

# ZIMA W LWÓW

przełożył Tomasz Kwiecień

STEFANIA AUCI

Stefania Auci

ZIMA LWÓW

przełożył Tomasz Kwiecień



Publikacja przetłumaczona dzięki wsparciu Centrum Książki i Czytelnictwa (CEPELL)  
włoskiego Ministerstwa Kultury.



Tytuł oryginału: *L'inverno dei leoni*

Copyright © Stefania Auci

© 2021 Casa Editrice Nord s.u.r.l.

Gruppo editoriale Mauri Spagnol

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXIII

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Rodzina Florio (1799–1868)

Morze (wrzesień 1868 – czerwiec 1874)

Tonnara (czerwiec 1877 – wrzesień 1881)

Oliwki (grudzień 1883 – listopad 1891)

Perły (luty 1893 – listopad 1893)

Koniak (marzec 1894 – marzec 1901)

Porcelana (kwiecień 1901 – lipiec 1904)

Konwalie (maj 1906 – czerwiec 1911)

Ołów (październik 1912 – wiosna 1935)

Zakończenie (listopad 1950)

Drzewo genealogiczne rodziny Florio

Od autorki

Podziękowania

Przypisy

*Eleonorze i Federicowi, za czułość i przywiązanie. Jestem z Was bardzo dumna*

Dość już długo żyłem;  
Schnie już mój żywot, zółkną – jego liście;  
A co starości winno towarzyszyć,  
Jak honor, miłość, przyjaciół drużyna,  
I posłuszeństwo – to już nie jest dla mnie!  
Lecz na ich miejsce przekleństwa, nie głośne,  
Ale głębokie; w ustach poważanie,  
Dech, który biedne chętnie by mi serca  
Odmówić chciały, tylko nie śmia.

William Shakespeare, *Makbet*, przeł. Leon Ulrich

Niebo dokoła jasne i błękitne. Otwórz oczy, kapitanie! Powiedz sam,  
czy widzisz choćby jedną, najmniejszą chmurkę na horyzoncie?

Joseph Roth, *Historia tysiąca i drugiej nocy*, przeł. Izydor Berman

## Rodzina Florio (1799–1868)

Bracia Paolo i Ignazio Florio przybyli z Bagnara Calabria do Palermo w 1799 roku, zdeterminowani, by w sycylijskiej stolicy dojść do fortuny. Z zawodu byli *aromatari* – kupcami korzennymi. Spotkali się z bezwzględnością konkurencji, jednak szybko zaczęli odnosić sukcesy i zasięg prowadzonych przez nich interesów się rozszerzył: handlowali siarką, kupowali domy i ziemię od zadłużonej palermiańskiej arystokracji, założyli kompanię żeglugową. Impuls ten, karmiony upartą determinacją, nie ustał, gdy stery Domu Florio przejął Vincenzo, syn Paola. W rodzinnej winiarni dojrzewała marsala – dotąd wino biedaków – i zmieniała się w nektar godny królewskiego stołu. Zastosowana na Favignanie rewolucyjna metoda konserwowania tuńczyka w oleju i puszkowania go ożywiła popyt. Palermo zaś obserwowało sukces Floriów z mieszaniną podziwu, zazdrości i pogardy: ci ludzie wciąż byli „cudzoziemcami”, „tragarzami”, ich krew „cuchnęła potem”. To właśnie gorące pragnienie społecznego awansu legło u podstaw ambicji Floriów i wyznaczyło na dobre i na złe ich życie publiczne i prywatne. Bo mężczyźni w tej rodzinie są jednostkami wyjątkowymi, ale także kruchymi i choć nie potrafią się do tego przyznać, potrzebują u swego boku równie wyjątkowych kobiet: takich jak Giuseppina, żona Paola, która poświęciła wszystko – także miłość – dla stabilności rodziny, czy Giulia, młoda mediolanka, która jak wichurka wkroczyła w życie Vincenza i stała się jego bezpieczną przystanią, jego opoką.

Vincenzo zmarł w 1868 roku, nie mając nawet siedemdziesięciu lat. Pozostawił losy Domu Florio w rękach swojego jedyne go syna, trzydziestoletniego Ignazia, który dwa lata wcześniej ożenił się z baronówną Giovanną d'Ondes Trigona, wnosząc wreszcie do rodziny błękitną krew. Ignazio dorastał w kulcie pracy i świadomości, że każdy Florio musi zawsze patrzeć poza horyzont. Wkrótce napisze nowy rozdział historii swojej rodziny.

## Morze (wrzesień 1868 – czerwiec 1874)

*Aceddu 'nta l'aggia 'un canta p'amuri, ma pi' raggia*  
„Nie z miłości, lecz ze złości w klatce śpiewa ptak”  
przysłowie sycylijskie

*Minęło siedem lat od chwili, gdy 17 marca 1861 roku parlament ogłosił narodziny Królestwa Włoch i jako suwerena obrał Wiktora Emanuela II. Wybory do tego pierwszego parlamentu zjednoczonej Italii odbyły się w styczniu (na ponad dwadzieścia dwa miliony mieszkańców prawo głosu miało niewiele ponad czterysta tysięcy), a zatriumfowała w nich ówczesna prawica, reprezentująca głównie właścicieli ziemskich i przemysłowców i postulująca spłacenie długów zaciągniętych przez państwo w czasie procesu zjednoczeniowego metodą radykalnego fiskalizmu. Szczególny sprzeciw budził tak zwany podatek młyński (wprowadzony 1 stycznia 1869 roku), czyli danina nakładana na chleb i zboże, która uderzała bezpośrednio w najuboższe warstwy społeczne. Wprowadzenie tego podatku wywołało gwałtowne protesty. Chociaż niektórzy politycy uważali go za „średniowieczną daninę, godną czasów burbońskich i feudalnych”, obowiązywał do 1884 roku. A jeszcze w roku 1870 minister finansów Quintino Sella przedstawił następną porcję surowych ograniczeń i wysokich danin.*

*We Francji koniec Drugiego Cesarstwa (1852–1870) i początek Trzeciej Republiki (1870–1940) miał istotne konsekwencje również dla Włoch: pozbawione francuskiego wsparcia Państwo Kościelne upadło 20 września 1870 roku. Po krótkiej wymianie ognia oddziały włoskie wkroczyły do Rzymu przez wyłom w porta Pia, wznosząc okrzyk Savoia! – „Sabaudzi!”. 3 lutego 1871 roku Rzym został oficjalnie ogłoszony stolicą Królestwa Włoch, którą wcześniej był Turyn (1861–1865), a po nim Florencja (1865–1871). 21 kwietnia 1871 roku rząd włoski uchwalił tak zwaną Ustawę gwarancyjną, która zapewniała papieżowi osobistą suwerenność i swobodę w sprawowaniu posługi*



duchowej, ale papież Pius IX – ogłosiwszy się więźniem państwa włoskiego – odrzucił ją w encyklice *Ubi Nos* (15 maja 1871). 10 września 1874 roku *Stolica Apostolska* ogłosiła tak zwane *non expedit*, czyli zakaz udziału katolików we włoskim życiu politycznym. Zakaz ten często omijano, aż w końcu został formalnie wycofany w 1919 roku.

Stopniowe zmniejszanie deficytu finansowego, wielkie inwestycje inżynierskie we Włoszech (otwarcie linii kolejowej przez przełęcz *Mont-Cenis* 15 czerwca 1868 roku i tunelu drogowego pod przełęczą *col du Fréjus* 17 września 1871 roku) oraz na świecie (otwarcie *Kanału Sueskiego* 17 listopada 1869 roku), a także napływ zagranicznego kapitału sprawiły, że „gorączkowe trzylecie” 1871–1873 było decydujące dla narodzin włoskiego przemysłu. Tę dynamikę przerwał w 1873 roku kryzys finansowy, który przetoczył się przez Europę i Stany Zjednoczone. „Wielka depresja”, spowodowana spekulacjami i ryzykownymi inwestycjami, trwała z różną intensywnością do 1896 roku i nie pomogła zniwelować głębokiej przepaści między bogatszą Północą a uboższym Południem Włoch. Na niekorzyść Południa działało również to, że znaczne inwestycje w sieć kolejową ograniczone były do Północy – na Południu rząd skoncentrował swoje wysiłki na rozwoju transportu morskiego.

\*

*U'mari unn'avi né chiese né taverne.* Na morzu nie ma kościołów ani gospód, mówią starzy rybacy. Nie da się na nim schronić. Bo pośród wszystkiego, co stworzone, morze jest najbardziej majestatycznym i nieuchwytnym żywiołem. Człowiek może jedynie poddać się jego woli.

Sycylijczycy zawsze to rozumieli: morze szanuje tylko tych, którzy jemu okazują szacunek. Jest hojne: daje ryby i sól, wydyma wiatrem żagle, ofiaruje koral na klejnoty dla świętych i królów. Ale jest też kapryśne i w każdej chwili może gwałtownie odebrać swoje dary. Dlatego Sycylijczycy je szanują, dlatego pozwalają, by określało ich istotę – wykuwało charakter, naznaczało skórę, podtrzymywało, karmiło, chroniło.

Morze jest otwartą granicą pozostającą w ciągłym ruchu. Dlatego ten, kto żyje na Sycylii, jest niespokojny, wciąż szuka ziemi za horyzontem i chce uciec, szukać gdzie indziej tego, co – jak odkrywa u kresu życia – zawsze miał tuż obok siebie.

Dla Sycylijczyków morze jest ojcem. Zdają sobie z tego sprawę, kiedy są od niego daleko, kiedy w ich nozdrza nie wwierca się już słona woń wodorostów, tak silna, codzienna, tak dobrze znana, gdy wiatr się podnosi i penetruje miejskie zaułki.

Dla Sycylijczyków morze jest matką. Ukochaną i zazdrosną. Niezbędną. Czasami okrutną.

Dla Sycylijczyków morze stanowi kształt i granicę ich duszy.  
To okowy. To wolność.

\*\*\*

Na początku jest szept, szmer niesiony podmuchem wiatru. Rodzi się w sercu Olivuzzy, pod osłoną zaciągniętych zasłon, w pomieszczeniach pogrążonych w półmroku. Wiatr wyłapuje głos, który przybiera na sile i miesza się ze szlochem starej kobiety ściskającej zimną dłoń.

– *Murìu...* – mówi głos i drży, i nie dowierza.

Słowo tworzy rzeczywistość, przypieczętowanie to, co się stało, ogłasza nieodwracalne. Szept dociera do uszu służących, ciśnie się im na usta, wychodzi na zewnątrz, ponownie powierza się wiatrowi, który niesie go przez ogród w kierunku miasta. Odbija się od ust do ust, ubrany w zdumienie, płacz, strach, przerażenie, złość.

– *Murìu...* – powtarzają mieszkańcy Palermo, kierując wzrok w stronę Olivuzzy.

Umarł. A oni nie mogą uwierzyć, że ktoś taki jak Vincenzo Florio nie żyje. Oczywiście – był stary, od dawna schorowany, zarządzanie swoim Domem powierzył synowi, a jednak... Dla miasta Vincenzo Florio był tytanem, człowiekiem tak potężnym, że nikt i nic nie było w stanie go powstrzymać. A tymczasem zmarł na udar mózgu.

Są i tacy, których to cieszy. Przez lata w niejednej duszy zagnieździły się zawiść, zazdrość i pragnienie zemsty. Ale próżna

jest ich satysfakcja. Vincenzo Florio umarł w spokoju, we własnym łóżku, otoczony miłością żony i dzieci. I umarł bogaty, pośród tego wszystkiego, co – siłą woli lub dzięki łutowi szczęścia – udało mu się zdobyć. Zdaje się wręcz, że śmierć okazała Vincenzowi litość, której on sam często nie okazywał innym.

– *Murìu...*

Teraz ten głos, brzemienisty zdumieniem, smutkiem, gniewem, przenika do serca Palermo, przelatuje nad La Cala i spada gwałtownie na otaczające port ulice. Dociera na via dei Materassai, niesiony przez zdyszanego sługę. Bieg był niepotrzebny, ponieważ ten okrzyk, to „*Murìu...*” wdarło się już przez drzwi i okna i potoczyło po płytkach posadzki, aż do sypialni Ignazia, do żony nowego właściciela Casa Florio.

Słyszając krzyki i wybuchy płaczu na ulicy, Giovanna d'Ondes Trigona podnosi raptownie głowę, wprawiając w ruch długi czarny warkocz, chwytając się podłokietników fotela i spogląda pytająco na donnę Ciccìę, która dawniej była jej guwernantką, a teraz jest jej damą do towarzystwa.

Głośno pukają do drzwi. Donna Ciccìa instynktownie otacza ramionami główkę niemowlęcia – to Ignazio, zdrobniale zwany Ignazziddu, drugi syn Giovanny – i idzie otworzyć drzwi. Zatrzymuje sługę w drzwiach, pyta sucho:

– Co się dzieje?

– *Murìu...* Don Vincenzo, przed chwilą. – Zdyszany sługa zatrzymuje wzrok na Giovannie. – Wasz mąż, signora, kazał wam powiedzieć, że trzeba przygotować dom na odwiedzin krewnych.

– Zmarł? – pyta Giovanna, bardziej zdumiona niż zasmucona.

Nie może czuć żalu z powodu śmierci człowieka, którego nigdy nie kochała i który zawsze wprawiał ją w tak wielki niepokój, że ledwo ośmielała się odezwać w jego obecności. Owszem, od kilku dni jego stan się pogarszał – to był jeden z powodów, dla których nie świętowano narodzin Ignazziddu – ale nie spodziewała się, że to się skończy tak szybko. Z trudem udało jej się wstać. Poród był bolesny i poruszanie się sprawiało wiele bólu.

– Czy mój mąż tam jest?

– Tak, donna Giovanna – potwierdza służący.

Donna Ciccia rumieni się, poprawia kosmyk czarnych włosów, który wymknął się jej spod czepka, i odwraca się, by na nią spojrzeć. Giovanna otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie może. Wyciąga tylko ręce, bierze dziecko i przyciska je do piersi.

*Donna* Giovanna Florio. Odtąd tak ją będą nazywać. Nie będzie już baronówną, który to tytuł przysługiwał jej z racji urodzenia i był przyczyną przyjęcia jej do rodu bogatych kupców. Teraz już nie ma znaczenia, że Giovanna jest z domu Trigona, że należy do jednej z najstarszych rodzin w Palermo. Liczy się tylko, że jest *la padrona*, panią, właścicielką, gospodynią tego domu.

Donna Ciccia idzie przed nią, bierze dziecko z jej rąk.

– Musicie przywdziać żałobę – szepce do niej. – Wkrótce pojawią się pierwsi goście z kondolencjami. – W jej głosie jest nowa powaga, akcent, którego Giovanna nigdy dotąd nie słyszała. Sygnał nieodwracalnej zmiany.

Teraz ma do odegrania konkretną rolę. I będzie musiała udowodnić, że potrafi stanąć na wysokości zadania. Czuje, że oddech ginie jej pod żebrami, a krew odpływa z twarzy. Ścisną brzegi peniuaru.

– Każcie zasłonić lustra i uchylić drzwi do połowy – mówi stanowczym głosem. – Potem przyjdźcie, by mi pomóc.

Giovanna idzie w stronę garderoby skrytej za wezgłowiem łóżka. Ręce jej drżą, przenika ją chłód. W głowie rozbrzmiewa tylko jedna myśl.

„Jestem *donna* Giovanna Florio”.

\*\*\*

Dom jest pusty.

W środku tylko cienie. Kładą się między meblami z orzecha i mahoni, sięgają za półotwarte drzwi, między fałdy ciężkich zasłon. Panuje cisza. Ale nie spokój. To brak hałasu, bezruch, który dusi, odbiera oddech, wstrzymuje ruchy.

Domownicy śpią. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Ignazio w pantoflach i szlafroku przechodzi nieoświetlonymi pokojami

kamienicy przy via dei Materassai. Dręcząca go w młodości bezsenność powróciła. Nie spał od trzech nocy. Od śmierci ojca.

Oczy mu wilgotnieją, więc przeciera je mocno. Nie może płakać, tego mu nie wolno; łyzy to kobieca rzecz. Jednak jego wyobcowanie, opuszczenie i samotność są tak silne, że niemal unicestwiający. Czuje w ustach gorycz cierpienia; przełyka je, zatrzymuje w sobie. Przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia. Staje przy oknie i wygląda na zewnątrz. Via dei Materassai pogrążona jest w ciemności rozpraszaną z rzadka światłem ulicznych latarni. Okna innych domów są niczym puste oczodoły.

Każdy oddech ma swój ciężar, kształt i smak, a ten smak jest gorzki. Bardzo, bardzo gorzki.

Ignazio ma trzydzieści lat. Jakiś czas temu ojciec powierzył mu zarządzanie produkcją wina w Marsali, a niedawno udzielił także ogólnego pełnomocnictwa do prowadzenia działalności. Od dwóch lat Ignazio jest żonaty z Giovanną, która urodziła mu Vincenza i Ignazia, synów zapewniających przyszłość Domu Florio. Jest bogaty, szanowany i potężny.

Nic jednak nie jest w stanie wymazać samotności żałoby.

Pustki.

Ściany, przedmioty, meble są niemymi świadkami dni, kiedy jego rodzina była cała, nienaruszona. Kiedy porządek świata był trwały, a czas wyznaczała wspólna praca. Teraz ta równowaga rozpadła się na tysiąc kawałków, pozostawiając krater, w którego centrum jest on, Ignazio. Dokoła siebie ma tylko gruzy i spustoszenie.

Pokonuje korytarze, mija gabinet ojca. Waha się, czy nie wejść do środka, ale zdaje sobie sprawę, że nie byłby w stanie, nie tej nocy, kiedy wspomnienia są tak gęste, że niemal fizycznie namacalne. Idzie dalej, wchodzi po schodach i dociera do pokoju, w którym ojciec przyjmował swoich partnerów na nieformalne spotkania lub gdzie się zamykał, by oddać się refleksji. To małe pomieszczenie wyłożone boazerią, z obrazami na ścianach. Ignazio stoi na progu, oczy ma spuszczone. Przez otwarte okna wpada strumień białego światła oświetlający skórzany fotel i stolik, na nim leży gazeta, ta sama, którą ojciec czytał wieczorem, zanim udar pozbawił go przytomności. Nikt nie miał odwagi jej wyrzucić, choć minęło już

kilka miesięcy. W rogu stołu leżą jego binokle i pudełko z tabaką. Wszystko jest takie, jakby Vincenzo w każdej chwili miał wrócić.

Ignaziowi wydaje się, że czuje zapach wody kolońskiej ojca, z nutą szaławii, cytryny i morskiego powietrza, że słyszy jego oddech, coś w rodzaju zmęczonego pomruku, a wreszcie jego ciężki krok. Widzi go, czytającego listy i dokumenty z nieznacznym uśmiechem, który zabarwia jego twarz ironią, mamroczącego pod nosem jakąś uwagę.

Zzera go lęk. Jak sobie poradzi bez ojca? Miał wiele miesięcy na to, by się przygotować, ale teraz nie wie, czy temu sprosta. Odnosi wrażenie, że jest na granicy utonięcia, tak jak wtedy, gdy jako dziecko o mało nie zginął w Arenelli. To ojciec wskoczył do wody i go uratował. Pamięta duszność, morską wodę palącą przełyk, tak jak teraz palą go łzy, które próbuje powstrzymać. Musi stawić opór, musi. Jest głową rodziny i musi zadbać o Dom Florio. A także o matkę, która została sama. No i oczywiście o Giovannę i synów: starszego, który nosi po dziadku imię Vincenzo, dla odróżnienia zdrabniane jako Vincenzino, i młodszego – Ignazziddu.

Oddycha głęboko przez otwarte usta, ociera oczy. Boi się, że zapomni ojca, że nie będzie pamiętał jego dłoni, jego zapachu. Ale nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt nie może wyczytać bólu z jego oczu. Nie jest synem, który stracił ojca. Jest nowym właścicielem doskonale prosperującego domu handlowego. Jednak w tym momencie bolesnej samotności przyznaje się do tego sam przed sobą: chciałby wyciągnąć rękę do ojca, zapytać go o radę, pracować razem z nim w ciszy, tak jak to robili wiele razy.

On, który jest już ojcem, chciałby na powrót być tylko synem.

\*\*\*

– Ignazio!

To szept jego matki, Giulii. Dostrzegła jego cień przecinający smugę światła w drzwiach sypialni Vincenzina i Ignazziddu. Siedzi w fotelu, trzymając w ramionach najmłodszego potomka rodu, który przyszedł na świat, kiedy jego dziadek szykował się, by go opuścić.

Giulia ma na sobie czarny aksamitny peniuar, a jej siwe włosy są splecione w warkocz. W migotliwym świetle lampy Ignazio widzi dłonie zdeformowane przez artretyzm i przygięte plecy. Ból kości prześladowuje ją od lat, ale dotąd zawsze udawało jej się trzymać prosto. Teraz jednak jest zapadnięta w sobie. Wygląda na znacznie więcej niż jej pięćdziesiąt dziewięć lat, jakby nagle zważyło się na nią całe zmęczenie świata. Także dlatego, że jej oczy – tak pogodne, a jednocześnie pełne ciekawości – zmatowiały.

– *Maman...* Co tu robicie? Dlaczego nie wezwaliście mamki?

Giulia patrzy na niego w milczeniu. Tuli noworodka, a na jej rzesach pojawia się łza.

– Cieszyłby się z tego dziecka. Byłby szczęśliwy, że obaj to chłopcy. Twoja żona dobrze się spisała: ma dwadzieścia pięć lat i już ci dała dwóch spadkobierców.

Ignazio czuje, jak w jego sercu tworzy się kolejne pęknięcie. Siada naprzeciwko matki, w fotelu obok kołyski.

– Wiem. – Ściska jej dłoń. – Najbardziej mnie smuci, że nie zobaczy, jak dorastają.

Giulia przełyka ślinę.

– Mógł żyć jeszcze długo. Ale nigdy się nie oszczędzał. Nigdy nie wziął dnia wolnego, nawet w święta pracował. Tutaj. – Wskazuje palcem na skroń. – Nie mógł przestać. I właśnie to mi go odebrało. – Wzdycha, po czym chwyta syna za rękę. – Przysięgnij mi. Przysięgnij, że nigdy nie przedłożysz pracy nad rodzinę.

Uścisk Giulii jest silny rozpaczliwą energią, która bierze się ze świadomości, że czas tylko zabiera, a nic w zamian nie daje, trawi wspomnienia i obraca je w popiół.

Ignazio kładzie wolną rękę na jej dłoni, wyczuwa kości pod cienką warstwą skóry. Pęknięcie w jego sercu robi się coraz szersze.

– Tak, oczywiście.

Giulia kręci głową, nie akceptuje tej mechanicznej odpowiedzi. Ignazziddu gaworzy w jej ramionach.

– Nie. Musisz myśleć o swojej żonie i o chłopcach. – Charakterystycznym sycylijskim gestem (ona, mediolanka, która przybyła na wyspę w wieku dwudziestu lat) unosi podbródek w stronę małego łóżeczka, gdzie śpi roczny Vincenzino. – Nie wiesz,

nie pamiętasz, ale twój ojciec nie widział, jak dorastają twoje siostry, Angelina i Giuseppina. Ledwie znajdował czas, by zajmować się tobą, i to wyłącznie dlatego, że byłeś synem, którego pragnął. – Jej głos cichnie, wibruje powstrzymywanymi łzami. – Nie popełnij tego samego błędu. Ze wszystkich rzeczy, które tracimy, pierwsze lata naszych dzieci są jedną z najbardziej bolesnych strat.

Ignazio kiwa głową i zakrywa twarz dłońmi. W jego pamięci wracają czasy surowych spojrzeń. Dopiero jako dorosły nauczył się rozpoznawać dumę i czułość w ciemnych oczach ojca. Vincenzo Florio nie był człowiekiem słów, ale spojrzeń. Nie był też człowiekiem zdolnym do okazywania uczuć. Ignazio nie pamięta uścisków. Zaledwie kilka gestów serdeczności. A jednak kochał ojca.

– A co do twojej żony, to nie zanedbuj jej. Giovanna, biedactwo, kocha cię i wciąż zabiega o twoją uwagę. – Giulia patrzy na niego z wyrzutem i rozzaleniem. Wzdycha. – Skoro się z nią ożeniłeś, musisz chyba coś do niej czuć.

Porusza ręką, jakby chciał odgonić denerwującą go myśl.

– Tak – mruczy. Nie dodaje jednak nic ponadto i spuszcza wzrok, aby uciec przed spojrzeniem matki, która od zawsze umie mu czytać w duszy.

*Ten ból należy tylko do niego.*

Giulia wstaje i wolnym krokiem idzie położyć Ignazziddu do kołyski. Dziecko z zadowolonym westchnieniem obraca główkę i zasypia.

Ignazio czeka na matkę w progu. Kładzie jej dłoń na ramieniu i prowadzi do pokoju.

– Cieszę się, że zechcieliście tu przyjechać, przynajmniej na kilka pierwszych dni. Nie mogłem znieść myśli o waszej samotności.

– Olivuzza bez niego jest zbyt duża – mówi Giulia.

„Pusta. Już zawsze taka będzie”, dodaje w myślach.

Oddech więźnie Ignaziowi w gardle.

Giulia wchodzi do pokoju, który zostawili jej syn i synowa, tego samego, gdzie przed laty mieszkała jej teściowa Giuseppina Saffiotti Florio. Ta surowa, wcześniej owdowiała kobieta wychowała Vincenza razem z Ignaziem, swoim szwagrem, i przez długi czas sprzeciwiała się wejściu Giulii do rodziny, uważając ją za



niemoralną arywistkę. A teraz to Giulia jest wdową. Stoi na środku pokoju, a gdy jej syn zamyka za sobą drzwi, spogląda na podwójne łóżko.

Ignazio nie słyszy jej słów. I nie może zrozumieć jej bólu, który jest inny niż jego: bardziej dotkliwy, sięgający trzewi, pozbawiony jakiegokolwiek nadziei. Ponieważ ona i Vincenzo wybrali siebie nawzajem, pragnęli siebie i kochali się wbrew wszystkiemu i wszystkim.

„Jak mogę żyć bez ciebie, moja miłości?”.

\*\*\*

Drzwi ledwie muskają podłogę i zamykają się niemal bezgłośnie. Materac obok niej się ugina, a ciało Ignazia ponownie bierze w posiadanie przestrzeń, emanuje słabym ciepłem, które miesza się z jej własnym.

Giovanna spowalnia oddech, udaje, że śpi, ale sen ją opuścił, gdy tylko jej mąż wstał z łóżka. Wie, że Ignazio cierpi na bezsenność, a ona, obudzona najdrobniejszym szelestem, często trwa długo na posłaniu, nie mogąc zmrużyć oka. Czuje, że śmierć ojca wpłynęła na Ignazia znacznie bardziej, niż chciałaby przyznać.

Szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w ciemność. Dobrze pamięta, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Vincenza Florio: masywnego mężczyznę ze zmarszczonym czołem i ciężkim oddechem. Patrzył na nią tak, jak się patrzy na zwierzę na targowisku. To spojrzenie ją przytłoczyło, umiała tylko spuścić oczy i wpatrywać się w podłogę salonu Villa delle Terre Rosse, tuż za murami Palermo. On zaś zwrócił się do żony czymś, co miało być szeptem, ale odbiło się echem w salonie pałacu rodowego baronów d'Ondes.

– *Ma unn' è troppu sicca?*

Nie jest przypadkiem za chuda?

Giovanna raptownie uniosła głowę. Czyżby miał jej za złe, że przez całe życie starała się nie upodobnić do swojej matki, tak grubej, że niemal bezkształtnej? Czy uważał, że nie może być dobrą

żoną? Zraniona tym oskarżeniem, spojrzała na Ignazia w nadziei, że powie coś na jej obronę. On jednak pozostał obojętny, a na jego ustach zagościł niejasny, zdystansowany uśmiech.

To jej ojciec, Joachim d'Ondes, hrabia Gallitano, wziął na siebie odpowiedź.

– To zdrowa *fimmina* – oświadczył z dumą. – I da silnych synów waszemu domowi.

Najważniejsze, żeby *fimmina*, kobieta, była zdrowa. Bo zdrowie kobiety rozumiane jako zdolność do rodzenia synów było jedyną rzeczą, która naprawdę interesowała don Vincenza: nie to, czy ona jest gruba czy chuda, ani nawet czy Ignazio jest w niej zakochany czy nie.

Mimo wszystko jednak weszła do domu Florio z sercem pełnym miłości do męża, mężczyzny opanowanego i spokojnego. Tak, była pełna entuzjazmu, ponieważ zakochała się w nim od razu – w chwili, gdy jako siedemnastolatka zobaczyła go w Kasynie Dam i Kawalerów – a potem zjednał ją sobie spokojem, który i jej się udzielał. Siłą, która zdawała się wypływać wprost z niepodważalnego przekonania o własnej wartości. Opanowaniem w słowach.

Namiętność pojawiła się później, w chwilach ich wspólnej intymności. Ale to właśnie namiętność ją zwiodła, wzbudziła w niej wiarę, że ich małżeństwo różni się od tego, co opisywali jej inni, wywołała myśl, że może się między nimi zrodzić uczucie, a przynajmniej szacunek. Wszyscy ją ostrzegali, poczynając od matki z jej niejasnymi uwagami, że będzie musiała „się poświęcić” i „znosić” męża, a kończąc na ojcu Berto, który w dniu ślubu napomniał ją: „Cierpliwość jest najważniejszym posagiem żony”. Tym bardziej gdy wychodzi się za kogoś o nazwisku Florio – dodało jego spojrzenie.

Ona zaś była cierpliwa, posłuszna, nieustannie szukająca śladu aprobaty lub przynajmniej uwagi. Przez dwa lata żyła między powściągliwą zyczliwością donny Giulii a ostrym spojrzeniem don Vincenza, czując się winna swojego posagu – niezbyt hojnego – i wykształcenia, znacznie gorszego niż to, które odebrały siostry jej męża. Zagubiona w domu i rodzinie, które okazały się dla niej obce.

Odwoływała się do swojej szlacheckiej dumy, do krwi rodu Trigona. Ale przede wszystkim odwoływała się do tego, co czuła, bo w tym domu i w tej rodzinie był przecież Ignazio.

Z uporem i determinacją czekała, aż ją zauważy. Aż obdarzy ją prawdziwym spojrzeniem. Tymczasem jedyne, co otrzymała, to łagodna uprzejmość, słabe i ulotne ciepło.

Słyszy ciche chrapanie leżącego za jej plecami mężczyzny. Odwraca się i patrzy na jego profil. Urodziła mu dwoje dzieci. Kocha go, ślepo i niemądrze, i wie o tym.

Ale wie też, że to nie wystarczy. „Prawda jest taka – myśli Giovanna – że do wszystkiego można się przyzwyczać”. A ona przywykła już do zadowalania się okruchami.

Teraz jednak chce czegoś więcej. Teraz naprawdę chce być jego żoną.

\*\*\*

Rankiem 21 września 1868 roku notariusz Giuseppe Quattrocchi odczytuje testament Vincenza Florio, kupca. Ubrany w ciemny angielski garnitur i czarny wełniany krawat, Ignazio słucha kolejnych rozdziałów testamentu, ułożonych zgodnie z sektorami działalności Domu Florio. Na stole leży równy stos fascykułów. Sekretarz notariusza bierze je po kolei, sprawdza listę aktywów. Ciągnie się litania miejsc, nazwisk, liczb.

Ignazio pozostaje niewzruszony. Nikt nie może zobaczyć drżących rąk, które trzyma splecione pod stołem.

Zawsze wiedział, że sieć ich działalności jest bardzo rozległa, ale jakby dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, jak niezwykle jest ona złożona i skomplikowana. Jeszcze kilka dni wcześniej był zaangażowany tylko w niektóre sektory, głównie w winiarnię w Marsali. Uwielbiał spędzać dni winobrania w fabryce i czekać na zachód słońca, aby patrzeć, jak znika ono za laguną Stagnone i archipelagiem Egadów.

Teraz jednak piętrzy się przed nim góra papierów oznaczających pieniądze, umowy i zobowiązania. Będzie musiał się na nią wspiąć,

dotrzeć na szczyt, a i to nie wystarczy: będzie musiał poddać ją swojej woli. Florio musi patrzeć dalej. Zawsze. Tak właśnie postąpili jego dziadek Paolo i stryjeczny dziadek Ignazio, kiedy wypłynęli z Bagnary do Palermo. Tak właśnie postąpił jego ojciec, kiedy stworzył winiarnię w Marsali, kiedy przejął zarządzanie połowem tuńczyka na Favignanie czy kiedy uparł się i wbrew wszystkim założył w Palermo – nieopodal rzeki Oreto, stąd nazwa zakładu – odlewnię Oretea, która obecnie zapewnia chleb i pracę dziesiątkom ludzi. I nigdy nie było wątpliwości, że to jego, Ignazia, zadaniem będzie podążanie tą drogą. Jest mężczyzną, głową domu, spadkobiercą – będzie musiał nieść dalej to nazwisko, umacniać władzę, zwiększać bogactwo.

Ignazio podnosi splecione dłonie, które wreszcie przestały się trząść, i kładzie je na stole. Następnie spogląda na swój palec serdeczny: lśni na nim złota obrączka, którą ojciec podarował mu w dniu ślubu z Giovanną przed dwoma laty. Wcześniej należała do jego dziadka stryjecznego, którego imię nosi, a jeszcze wcześniej do jego prababki, Rosy z domu Bellantoni. Jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak ciężka.

Notariusz kontynuuje lekturę: dotarł już do zapisów dla matki i sióstr, dla których testament przewidział szczodre sumy. Ignazio słucha, kiwa głową, a następnie podpisuje akt przyjęcia spadku.

W końcu wstaje, rozgląda się wokół siebie. Wszyscy oczekują, że coś powie. Nie chce i nie może ich zawieść.

– Dziękuję wam za przybycie. Mój ojciec był niezwykłym człowiekiem: nie miał łatwego charakteru, ale zawsze był lojalny wobec ludzi i odważny w przedsięwzięciach. – Robi pauzę, szuka właściwych słów. Plecy ma proste, a głos spokojny. – Ufam, że będziecie pracować dla Domu Florio z takim samym zaangażowaniem, jakie okazaliście przy nim. Ja zamierzam kontynuować jego dzieło, czyniąc nasze przedsiębiorstwa jeszcze solidniejszymi i silniejszymi. Nie zapominam jednak, że Dom Florio jest przede wszystkim źródłem utrzymania dla wielu ludzi, że oferuje im chleb, pracę i godność. Obiecuję, że będę miał to... będę miał was szczególnie na względzie. Wspólnymi siłami uczynimy ten

Dom sercem Palermo i całej Sycylii. – Wskazuje na leżące przed nim dokumenty i kładzie na nich rękę.

Ktoś kiwa głową. Zmarszczki niepokoju wygładzają się, spojrzenia łagodnieją.

„Przynajmniej na razie nie potrzebują więcej zapewnień – myśli Ignazio i czuje, jak napięcie spada mu z ramion. – Ale już jutro będzie inaczej”.

Obecni wstają, podchodzą do niego, powtarzają kondolencje, ktoś nawet prosi o spotkanie. Ignazio dziękuje i kiwa na swojego sekretarza, by je zorganizował.

Jako ostatni podchodzą do niego Vincenzo Giachery i Giuseppe Orlando. Są przyjaciółmi rodziny, wcześniej byli współpracownikami i doradcami Domu Florio. Vincenzo jest bratem Carla Giachery’ego, prawej ręki ojca i projektanta Willi Quattro Pizzi, zmarłego trzy lata wcześniej. Kolejna żałoba, którą musiał znieść Vincenzo, choć na zewnątrz wciąż pozostawał niewzruszony i zamknięty w sobie. Giuseppe jest wykwalifikowanym inżynierem mechanikiem, ekspertem w dziedzinie marynarki handlowej, z przeszłością w oddziałach Garibaldiego i teraźniejszością spokojnego urzędnika, dobrego ojca rodziny.

– Musimy porozmawiać, don Ignazio – zaczyna Giachery bez wstępów. – Kwestia parowców.

– Wiem.

„Nie, nie jutro: dzisiaj – postanawia Ignazio z zaciśniętymi ustami. – Nie mam czasu, nie miałem go i już nigdy mieć nie będę”.

Patrzy na obu mężczyzn, wstrzymuje na chwilę oddech, zanim wypuści powietrze z płuc. Wychodzi razem z nimi z salonu, gdzie służba już podaje rękawiczki i kapelusze krewnym, którzy przyszli na pogrzeb i odczytanie testamentu. Pozdrawia swoją siostrę Angelinę i jej męża, Luigię De Pace, podaje rękę Auguste’owi Merle’owi, teściowi Giuseppiny od lat mieszkającej w Marsylii.

Trzej mężczyźni idą w kierunku gabinetu Vincenza. Na progu Ignazio waha się przez moment, tak jak poprzedniego wieczoru, jakby stanął przed niewidzialnym murem. Wchodził do tego pokoju niezliczoną ilość razy, ale tylko wtedy, gdy żył jego ojciec, kiedy to on jeden trzymał w ręku wszystkie sznurki Domu Florio. A teraz

jakim prawem Ignazio tam wchodzi? Kim jest bez swojego ojca? Wszyscy mówią, że dziedzicem, ale czy nie jest w istocie oszustem?

Zamyka oczy i przez bardzo długą chwilę wyobraża sobie, że otwiera drzwi i widzi ojca siedzącego w skórzanym fotelu. Widzi, jak podnosi głowę, widzi jego siwe włosy w nieładzie, zmarszczone brwi, pytający wzrok, dłoń ściskającą jakiś dokument...

Ale to Vincenzo Giachery kładzie teraz dłoń na ramieniu Ignazia.

– Odwagi – mówi do niego szeptem.

„Nie, nie dzisiaj: teraz”, myśli Ignazio, próbując odegnać gnębiący go lęk. Jemu śmierć zabrała ojca, im – przewodnika. „Teraz, nie później”, bo nadszedł czas, aby udowodnić, że będzie godnym następcą ojca. Że jego życie – poświęcone Domowi Florio od chwili przyjścia na świat – nie jest bezużyteczne. Że kruchość cierpienia go nie dotyczy, a nawet jeśli Ignazio je czuje, musi to ukrywać. To on ma im dać poczucie bezpieczeństwa. Czas na potwierdzenie i pocieszenie już się dla niego skończył. „Zresztą – myśli – na to czasu nigdy nie było”.

I wtedy pokonuje ów niewidzialny mur. Wchodzi do gabinetu, bierze w posiadanie przestrzeń, a ona znów staje się tym, do czego została stworzona: miejscem pracy wyłożonym boazerią z ciemnego drewna, wyposażonym w solidne meble, bibliotekę, dwa skórzane fotele i duże mahoniowe biurko, na którym leżą sterty dokumentów, listów i raportów księgowych.

Ignazio siada za *tym* biurkiem, w *tym* fotelu. Przez chwilę jego wzrok spoczywa na kałamarzu i tacy z pieczętkami, nożem do otwierania listów, linijką i kilkoma arkuszami bibuły. Na jednym z arkuszy – odcisk palca.

– No dobrze.

Bierze głęboki oddech. Na podkładce widzi listy z kondolencjami. Na samym wierzchu bilecik od Francesca Crispiego. „Będę musiał od razu do niego napisać”, myśli. Crispi i jego ojciec poznali się w momencie przybycia wojsk Garibaldiego do Palermo i nawiązała się między nimi bezpośrednia relacja oparta na zaufaniu, umacniająca się przez lata. Crispi został prawnikiem Domu Florio, a teraz wszystko wskazuje na to, że czeka go błyskotliwa kariera

polityczna; niedawno został wybrany do parlamentu z okręgu wyborczego Maglie i Castelvetro.

– Najpierw musimy wszystkich uspokoić. Muszą nam ufać tak jak do tej pory.

– A kwestia dotacji państwowych, jak to widzicie? Krążą pogłoski, że rząd niechętnie odnawia dotacje, a brak jego wsparcia byłby dla Domu Florio niebezpieczny. Na Morzu Śródziemnym pełno jest kompanii żeglugowych, które raczyłyby się nawzajem kulami armatnimi, byle tylko zyskać koncesję na dodatkową trasę.

„Od razu na pierwszą linię”, myśli Ignazio. Kwestia koncesji morskich jest najbardziej drażliwa.

– Wiem o tym i nie mam zamiaru dać się wyprzedzić nawet o krok. Zwrócę się do dyrektora generalnego poczty, signora Barbavary. On chciałby pewnie usłyszeć, że mamy konkretne pomysły dotyczące połączenia naszych parowców pocztowych z kompanią Accossato Peirano z Genui. Oni i Rubattino posiadają razem ponad połowę krajowego tonażu parowego. To posunięcie poprawiłoby sytuację linii transportowych, a przy okazji wzmocniło naszą flotę. Przede wszystkim jednak zaprotestuję u niego przeciwko rezygnacji z trasy do Livorno. Dla nas to ogromna strata, ponieważ likwiduje bezpośrednie połączenie między Sycylią a środkowymi Włochami. Aby dostarczyć mu list, zdam się na naszego pośrednika w ministerstwie: *cavalier* Scibona zadba o naszą sprawę.

Orlando pociera dłonie o uda, prychnął.

– Scibona jest zwykłym urzędnikiem, a jego jedyną zaletą jest to, że siedzi w ministerstwie. Gryziopiórkiem jest i gryziopiórkiem pozostanie, nie wiem, na ile będą go słuchać. Potrzebujemy kogoś wyżej.

Ignazio powoli kiwa głową. Podnosi brwi.

– Dlatego chcę, aby moim rozmówcą był sam dyrektor generalny poczty – odpowiada. – On będzie mógł wywierać presję, gdy zajdzie potrzeba. Nawet jeśli... – Chwyta nóż do listów, obraca go w dłoni.

– Problem jest wyżej: rząd postanowił ograniczyć wydatki. Drogi i koleje budują na Północy, mało ich obchodzi handel na Sycylii. To my musimy dać im powód uzasadniający subwencje na transport, czyli sprawić, że utrzymanie tras będzie się opłacać.

Kiedy Giachery opiera łokcie na biurku, Ignazio uważnie mu się przygląda: w przyćmionym świetle jego szczupła twarz i ciemne, przyprószone siwizną włosy sprawiają, że jest niepokojąco podobny do swego zmarłego brata. „Jakbym był jedynym żywym na spotkaniu duchów. Duchów, które nie chcą odejść”, myśli Ignazio.

– A wy co sądzicie, don Vincenzo? – pyta w końcu. – Dlaczego milczycie?

Giachery wzrusza ramionami i rzuca mu spojrzenie z ukosa.

– Ponieważ już podjęliście decyzję i nic jej nie zmieni.

To zdanie wywołuje śmiech Ignazia, pierwszy od wielu dni. To jak otwarcie kredytu.

– Macie rację. Trzeba to tylko odpowiednio przedstawić. Uświadomić Barbavarze, że opłaca mu się ugodowość wobec Domu Florio i naszych interesów.

Giachery rozkłada ramiona. Jakby się uśmiechał, ale nie do końca.

– Tak jest.

Ignazio prostuje plecy na oparciu fotela i patrzy w dal. List, który ma napisać, już się kształtuje w jego głowie. Nie, to nie jest coś, co można powierzyć sekretarzowi. Zajmie się tym osobiście.

– W każdym razie musimy uważać na krajową konkurencję – odzywa się Giuseppe Orlando. – Doszły mnie słuchy, że Pietro Tagliavia, armator, zamierza zbudować flotę samych parowców do handlu ze wschodnią częścią Morza Śródziemnego. – Zaciśniętą w pięść dłoń ukrywa ziewnięcie. Ostatnie dni były ciężkie dla wszystkich i zmęczenie daje się we znaki. – Po otwarciu francuskiego kanału w Suezie podróż do Indii będzie o wiele łatwiejsza i szybsza.

– To kolejna rzecz, o której musimy porozmawiać – wchodzi mu w słowo Ignazio. – Handel przyprawami przyniósł mojemu ojcu spore bogactwo, ale nie jest już tak ważny jak kiedyś. Teraz trzeba się skupić na tym, że ludzie chcą się szybko przemieszczać, nie rezygnując z komfortu. Chcą się czuć nowocześnie. To właśnie musimy im zagwarantować, pokrywając trasy śródziemnomorskie parowcami szybszymi niż te, które pływają u naszych konkurentów.



Dwaj goście patrzą na siebie z niepokojem. Rezygnacja z handlu przyprawami, jednej z głównych działalności ich domu handlowego? Są starsi i widzieli już wiele. Wiedzą, że tak gwałtowna zmiana kierunku może mieć katastrofalne skutki.

Ignazio wstaje, podchodzi do ściany, na której wisi duża mapa świata. Wskazuje na Morze Śródziemne.

– To z parowców będzie pochodzić nasze bogactwo. Z nich i z marsali. Naszym głównym celem będzie ochrona i wspieranie tych dwóch gałęzi. Jeśli nie otrzymamy żadnej pomocy od rządu, będziemy musieli szukać jej sami. Będziemy musieli policzyć przyjaciół, ale przede wszystkim poznać wrogów, wiedzieć, jak z nimi walczyć, i zawsze mieć oczy szeroko otwarte, bo nikt nie wybaczy nam błędów. – Patrzy na obu mężczyzn. Mówi spokojnie, stanowczo. – Musimy rozbudować sieć transportową. Do tego potrzebujemy po naszej stronie ustosunkowanych ludzi, właśnie takich jak Barbavara.

Obaj mężczyźni znów wymieniają spojrzenie pełne napięcia, ale nie śmia się odezwać. Ignazio to zauważa i wychodzi im naprzeciw.

– Zaufajcie mi – mówi cicho. – Mój ojciec zawsze patrzył w przyszłość, za horyzont. I ja chcę robić to samo.

Po kilku chwilach Giachery kiwa głową. Wstaje, wyciąga rękę.

– Jesteście don Ignazio Florio. Wiecie, co robić – mówi i w tym zdaniu jest wszystko, na co Ignazio może liczyć, przynajmniej na razie. Uznanie, zaufanie, wsparcie.

Także Orlando wstaje i rusza do drzwi.

– Przyjdziecie jutro do banku? – pyta.

– Zamierzam to zrobić od razu. – Ignazio wskazuje na skoroszyt leżący na biurku. – Musimy zamknąć uprawnienia mojego ojca i otworzyć moje.

Orlando bez słowa kiwa głową.

Po chwili drzwi się za nimi zamykają.

Ignazio opiera czoło o framugę. „Pierwsza przeszkoda pokonana. Teraz przyjdą kolejne. I nie będą zwlekać”.

Z biurka patrzą na niego papiery, poganiają, by się nimi zajął, siada więc z powrotem, ale nie bierze ich do ręki. „Zaczekajcie jeszcze chwilę”, prosi, przesuwając dłonią po twarzy. Sięga po bilety

i telegramy z kondolencjami. Pochodzą z całej Europy: rozpoznaje podpisy i z dumą myśli, jak wiele ważnych osób znało i ceniło jego ojca. Jest tam nawet telegram z dworu rosyjskiego cara, co świadczy o szacunku, jakim cieszył się Vincenzo Florio przez długie lata.

I wtedy, wśród ostatnich wiadomości, znajduje kopertę z francuskim znaczkiem. Z Marsylii. Zna to pismo. Otwiera kopertę powoli, jakby się bał.

*Słyszałam o Twojej stracie.*

*Szczerze Ci współczuję. Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo cierpisz.*

*Ściskam Cię.*

Brak podpisu. Nie jest potrzebny.

Ignazio odwraca kartonik z cennego papieru czerpanego z Amalfi: na drugiej stronie wydrukowane są dwa imiona. Jedno z nich zostało wymazane ostrym pociągnięciem pióra.

Na twarzy Ignazia maluje się gorycz niemająca nic wspólnego z bólem po śmierci ojca. Do jednego cierpienia dołącza kolejne. Wspomnienie, które ma smak żalu, tęsknoty za życiem nigdy nieprzeżytych, a tylko wymarzone. Jedno z tych pragnień, które nosi się w sercu aż po kres życia, choć wiadomo, że nigdy się go nie zrealizuje.

„Nie”.

Odkłada bileciki na bok. Zajmie się nimi później. Ale ten niepodpisany umieszcza w kieszeni marynarki, na sercu.

\*\*\*

Giovanna, w domowej toalecie i pantoflach, dyskretnie wychyla się z okna. Pogoda w Palermo jest kapryśna, zimne poranki mrozą krew w żyłach, a w środku dnia duszą wciąż jeszcze letnie upały.

Patrzy na odjeżdżające powozy, słyszy pozdrowienia wymieniane na progu. Z trudem wraca i z grymasem bólu opada na fotel. Rozgląda się dookoła. Patrzy na drzwi sypialni do połowy przesłonięte ciężką zasłoną z zielonego brokatu, na rzeźbiony

i złożony baldachim łożka, na zagłówek ozdobiony wizerunkiem Chrystusa na krzyżu z szylkretu i masy perłowej. Na mahoniową komodę z mosiężnymi okuciami. Stoi na niej jeden z prezentów ślubnych od teściowej: srebrny zestaw toaletowy z motywami kwiatowymi, wykonany w Anglii.

Wszystko jest wyrafinowane. Luksusowe.

Ale poza tymi murami znajduje się dzielnica Castellammare, okolica od dawna zamieszkiwana przez kupców, pełna magazynów, sklepów i robotniczych ruder. Świat już nieodpowiedni do rangi, jaką posiada nazwisko Florio. Kilkakrotnie próbowała uświadomić to Ignaziowi, ale on nie chciał jej słuchać.

– Będzie nam tu dobrze – powiedział tylko. – Zostawmy Olivuzę moim rodzicom, są starzy i potrzebują dobrego powietrza i spokoju. Poza tym co ci się tu nie podoba? Moja matka zostawiła nam ten dom, jest dla nas wygodniejszy, leży bliżej piazza Marina i naszych biur. Ma nawet gazowe oświetlenie, nie tak dawno kazałem je zainstalować. Czego ci brakuje?

Giovanna wykrzywia swoje małe usta i prycha zirytowana. Nie rozumie, dlaczego Ignazio upiera się, by mieszkać w centrum Palermo, a Olivuzza, którą przecież sam wyszukał, ma pozostać w rękach teściowej, zwłaszcza teraz, kiedy Giulia owdowiała. Giovanna nie znosi wulgarności tej ludnej ulicy. Nie może odślonić zasłon, bo sąsiad z naprzeciwka natychmiast wychodzi na balkon, całkiem jakby chciał się przedostać do jej pokoju. Czasami nawet słyszy, jak mężczyzna, ku uciesze całej okolicy, głośno komentuje to, co u nich zobaczył.

Tęskni za świeżym powietrzem Terre Rosse, wiejskiego obszaru w pobliżu kościoła San Francesco di Paola, gdzie jej rodzice mają małą willę, budynek z pewnymi pretensjami do elegancji i niewielkim ogrodem. Tam się wychowała. Na via dei Materassai, gdzie domy cisną się jeden obok drugiego, a powietrze niesie intensywne zapachy pralni i kuchni, brak jej powietrza wsysanego przez wąskie uliczki. Nie ma tu intymności ani dyskrecji.

Nie obchodzą jej marmurowe schody, sufity pokryte freskami, meble z czterech stron świata. Nie chce mieszkać w domu bogatych kupców. Dla jej teścia mogło to być dobre miejsce, ale Ignazio,

poślubiając ją, stał się członkiem palermiańskiej arystokracji i potrzebuje domu godnego swojej nowej rangi. „Czy nie dlatego się ze mną ożenił? – pyta sama siebie, ze złością otulając się peniuarem. – Czy nie dla szlacheckiej krwi, którą wniosłam mu w posagu, aby zetrzeć kurz z jego butów? Aby usunąć etykietkę tragarza, której mój teść nigdy nie zdołał się pozbyć? Chciał mieć u swego boku baronównę Giovannę d’Ondes Trigona. I udało mu się”.

To gorzka myśl, ale po niej nadchodzi jeszcze bardziej gorzka refleksja.

„Więc dlaczego to mu nie wystarcza?”.

W tym momencie otwierają się drzwi i wchodzi Ignazio.

– O, obudziłaś się. Dzień dobry.

– Właśnie wstałam, czekam, aż donna Ciccia przyjdzie mnie przygotować. – Bierze go za rękę, całuje w policzek. – Jak było?

Ignazio siada na poręczy krzesła, obejmuje ją ramieniem.

– Denerwująco. – Nie może jej nic więcej powiedzieć, to nie ma sensu, nie rozumiałyby. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jak to jest, gdy cała odpowiedzialność za Dom Florio spoczywa na jego barkach. Gładzi jej twarz. – Jesteś blada...

– Brak mi tu powietrza. Chciałabym pojechać na wieś.

Ale Ignazio już jej nie słucha. Wstaje i rusza do garderoby.

– Przyszedłem na górę, żeby się przebrać. Wróciła ciepła pogoda. Po przyjęciu spadku muszę się udać do banku, aby sprawdzić listę wierzycieli i weksli. A jeszcze...

– Przydałby ci się lokaj – przerywa mu Giovanna.

Ignazio przystaje z rękami uniesionymi w powietrzu.

– Proszę?

– *Un cammareri che ti sistema i vistita*<sup>1</sup>. – Giovanna szerokim gestem wskazuje na miasto za oknem. – W mojej rodzinie mężczyźni mają lokajów, a kobiety mają pokojówki.

Ignazio lekko zaciska usta i Giovanna od razu rozumie, że jest zirytowany. Spuszcza wzrok i przygryza wargę, czekając na upomnienie.

– Wiesz, że wolałbym, byś mówiła po włosku – odpowiada sucho Ignazio. – Kilka sycylijskich słów od czasu do czasu można

powiedzieć, ale nigdy przy innych. To nieeleganckie. Zawsze pamiętaj, kim jesteś... – Wkłada lekką marynarkę, z drugiej wyjmując bilecik, umieszcza go w szufladzie w szafie i zamyka ją na klucz.

Nie jest to pierwsza tego typu rozmowa. Zaraz po ślubie Ignazio zatrudnił guwernera, aby nauczył żonę francuskiego i niemieckiego na tyle, by mogła prowadzić rozmowy z zagranicznymi gośćmi i jego partnerami w interesach. Jeśli mają podróżować razem, ona musi rozumieć i być rozumianą, wyjaśnił jej. Okazała mu posłuszeństwo, jak przystało na dobrą żonę.

Dotąd zawsze była posłuszna.

Skrucha Giovanni zmienia się w irytację. Ignazio nawet tego nie zauważa: muska jej czoło roztargnionym pocałunkiem i odchodzi.

Giovanna zrywa się na nogi, ignoruje zawrót głowy i idzie do garderoby. Przesuwa dłonią po brzuchu, który wciąż jest nabrzmiąły po ciąży. Przestała krwawić wkrótce po porodzie, co według położnej wynikało ze szczupłej budowy jej ciała. Powinna więcej jeść, napominała ją akuszerka: czerwone mięso, makaron, mięsne wywary... Zagrozili jej nawet, że jeśli nie odzyska sił, będzie musiała pić krew świeżo zabitych zwierząt. Jasne, że nie męczy się karmieniem piersią, bo od razu najęła mamkę, która przyjechała specjalnie z Olivuzzy, aby karmić malca. Ale dobre odżywianie jest obowiązkiem kobiety w połogu.

Na samą myśl o tym Giovanna czuje, jak z obrzydzenia ścisną jej się żołądek. Jedzenie przyprawia ją o mdłości. Jedyne, co może przełknąć, to plasterki pomarańczy lub mandarynki.

– Jesteście tam jeszcze? – Właśnie z talerzykiem owoców wchodzi donna Ciccina i patrzy na Giovannę z wyrzutem. – Czas się ubrać – mówi i dotyka miednicy pełnej wody. – Wasza teściowa czeka.

\*\*\*

Prócz niezwykłego o tej porze roku upału przy drzwiach czeka na Ignazia mężczyzna. Podchodzi i całuje go w rękę.

– *Assabbinirica*<sup>2</sup>, don Ignazio – mówi cicho. – Wybaczcie mi. Jestem Saro Motisi, chciałem z wami porozmawiać. Właśnie szedłem

do banku.

– I ja tam idę – odpowiada Ignazio z uśmiechem, starając się ukryć irytację.

Z via dei Materassai do Banco Florio nie jest daleko. Miał nadzieję, że pokona tę trasę samotnie i wykorzysta ten czas, by przemyśleć kilka spraw. Tymczasem ten drobny handlarz winem z dzielnicy Tribunali najwyraźniej chce mu towarzyszyć.

– Wybaczcie mi – powtarza Motisi, z wysiłkiem budując zdanie po włosku. – Mam do spłacenia weksle, a termin przypada na przyszły tydzień, ale miałem trudności i w ostatniej chwili przybyło jeszcze więcej weksli, bo wszyscy chcą pieniędzy i...

Ignazio kładzie mu rękę na ramieniu.

– Zobaczmy, co da się zrobić, signor Motisi – mówi. – Idźcie do banku, ja zaraz tam będę. Jeśli macie do zaoferowania jakieś zabezpieczenie, na pewno da się pomyśleć o odroczeniu płatności.

Motisi przystaje, kłania się niemal do ziemi.

– Oczywiście, oczywiście, wiecie, że jesteśmy dokładni. Poza tym to kwestia jednego miesiączka...

Ale Ignazio już go nie słucha. Zwalnia, pozwala Motisiemu odejść, a potem zatrzymuje się, by spojrzeć na piano San Giacomo. Plac jest nasycony światłem, oślepiająca biel bruku rani oczy. Najwyraźniej czas był łaskawy dla tego miejsca, które Ignazio przecinał niezliczoną ilość razy, idąc z ojcem. A jednak przez te lata zmieniło się sporo drobiazgów: chodnik, na którym niegdyś zawsze zalegały kałuże błota, jest teraz czysty, wejścia do kościoła Santa Maria La Nova nie okupuje już rzesza żebraków, tam, gdzie kiedyś był sklep warzywny, teraz jest mały warsztat, a nieco dalej ulokował się garncarz. Jednak dusza tego miejsca pozostała taka sama: chaotyczna, radosna, pełna rozmaitych głosów i akcentów. To jest jego okolica i to są jego ludzie. Ludzie, którzy teraz podchodzą do niego, całują go w rękę i ze spuszczonego wzrokiem składają mu kondolencje.

„Jak Giovanna może nie kochać tej dzielnicy”, dziwi się. Tyle tu życia, to miejsce jest jednym z najżywiej bijących serc Palermo. Ignazio czuje, że to wszystko jest jego; jakby był właścicielem każdego kamienia, każdej bramy, każdego promyka słońca i każdej

kałuży. Setki razy przechodził tędy z domu do banku, zna każdego z tych ludzi, którzy teraz pojawiają się w drzwiach, aby go pozdrowić.

Zna ich, owszem, ale widzi, że coś się w nich zmieniło. To dlatego, że Ignazio jest teraz *u' patruni*, właścicielem, pryncypałem, głową rodu i firmy.

Przez chwilę smakuje melancholię samotności. Jest świadomy, że od tej chwili już nie zazna odpoczynku, nie będzie miał gdzie uciec. Na jego barkach spoczęło coś więcej niż tylko odpowiedzialność za rodzinę – od losu Banco Florio zależy życie wielu ludzi, którzy zaufali jemu, jego umiejętnościom i kupieckiej sile.

Odpowiedzialność, mówią. Jego ojciec często używał tego słowa. Zaszczepił je w swojej duszy, zasadził jak ziarno, pozostawił, by kiełkowało w ciemnościach sumienia. Teraz rośnie, staje się potężnym drzewem. Ignazio wie, że korzenie tego drzewa w końcu zaduszą jego osobiste pragnienia, jego własne marzenia, w imię czegoś większego. Rodziny. Nazwiska Florio.

Wie o tym i ma nadzieję, że nie będzie zbyt cierpiał. Że już nie będzie cierpiał.

\*\*\*

– Donna Giovanna, dzień dobry.

Mamka wita się z nią, skłaniając głowę. Karmi noworodka. Giovanna patrzy, jak jej syn z zapalem ssie białą, nabrzmiałą pierś. Porównuje ją ze swoimi piersiami, podniesionymi przez gorset, który założyła na halkę, nalegając, by służąca ściągnęła sznurówki tak mocno, że prawie nie może oddychać. Nigdy nie chciałyby mieć takich piersi. Uważa, że są odrażające. Lubieżne.

– Giovannina, podejdz. – Giulia siedzi w fotelu i trzyma na rękach małego Vincenza. Wskazuje na fotel, na którym poprzedniego wieczoru siedział Ignazio.

– *Comu siti*, donna Giulia? – Nie boi się tego dialektalnego „jak się macie” w rozmowie z teściową. Giulia zawsze była dla niej miła. To prawda, że jest kobietą powściągliwą, ale nigdy jej nie karciała,

a nawet wykonała kilka uprzejmych gestów w jej stronę. Jednak Giovanna nie potrafi wyczuć, czy ta życzliwość jest szczerą, czy też rodzi się z jakiegoś dziwnego, tajonego kobiecego współczucia. Czy aż tak wyraźnie widać, że Ignazio nie dba o żonę, że darzy ją zaledwie letnim uczuciem?

Giulia nie odpowiada od razu.

– Mam się tak, jakby mi rękę odcięto – mówi w końcu.

Głaszcząc wnuka po głowie i całując jego jasne włosy.

Giovanna nie wie, jak się zachować. Powinna uścisnąć jej dłoń, wypowiedzieć słowo pocieszenia, bo tak robią krewni. Ale nie może, i to nie dlatego, że nie współczuje Giulii, o nie. Ból, który w niej widzi, jest zbyt wielki. Ogrom tej straty ją przeraża. Nigdy by nie pomyślała, że mężczyzna tak szorstki jak Vincenzo Florio może obudzić tak silne uczucie w jakiegokolwiek kobiecie, a zwłaszcza w kobiecie tak delikatnej i cierplivej jak Giulia.

– To nie był człowiek zdolny do życia w takim stanie, niech odpoczywa w pokoju – szepce. I taka jest bolesna prawda.

Giulia przetyka łzy.

– Wiem. Widziałam. W ostatnich dniach, kiedy ty miałaś rodzić, a on odchodził... – Głos jej się łamie. – Kiedy zobaczyłam, że już nie może mówić, że już na mnie nie patrzy, modliłam się do Boga, żeby go zabrał. Wolałam, by był martwy, niż żeby tak cierpiał.

Giovanna ukrywa zakłopotanie pod pospiesznym znakiem krzyża, który kreśli na piersi. Następnie cicho dodaje:

– Jest już u Pana, o tym pomyślcie. Zrobił tyle dobrego...

Giulia uśmiecha się gorzko.

– Chciałabym, żeby to była prawda. Wiele rzeczy zrobił, nie wszystkie były dobre. Zwłaszcza dla mnie. – Podnosi spojrzenie. Giovanna jest zaskoczona żarem, jaki się w nim kryje. – Wiesz, że przez długi czas żyliśmy w... grzechu. Że nasze dzieci urodziły się poza małżeństwem.

Giovanna z zakłopotaniem przytakuje. Kiedy Ignazio się jej oświadczał, jej matka kręciła nosem właśnie z tego powodu: mimo całego bogactwa ten człowiek urodził się jako bękart. Giulia i Vincenzo pobrali się dopiero po jego przyjściu na świat.



– Pamiętam, że kiedyś... – Głos Giulii łagodnieje, a mięśnie twarzy zdają się rozluźniać. – Na początku, kiedy już zdecydował, że mam być jego, a ja... ja nie wiedziałam, jak mu się oprzeć, pewnego dnia poszłam do jego sklepu, tego tu na dole. Miałam kupić nieco przypraw, a on, kiedy usłyszał mój głos, wyszedł z zaplecza, żeby mnie obsłużyć przy kontuarze. Rzecz bardzo dziwna, ponieważ od lat nikogo nie obsługiwał. Chciał mi podarować nieco szafranu, mówiąc, że to na szczęście i pogodę ducha. Odmówiłam, ale on włożył mi szafran do ręki i zmusił do przyjęcia. Pracownicy wpatrywali się w niego ze zdumieniem, ponieważ Vincenzo Florio nigdy niczego nie dawał darmo... – Wzdycha. – Ale ja nie byłam jak inni. Chciał mnie, mnie i nikogo innego. A kiedy mnie wziął, zabrał mi całe życie. Dałam mu je z radością i nigdy nie dbałam o to, co inni o mnie myśleli, a przecież wiem, co myśleli. Bo dla mnie był wszystkim. – Przyciska do piersi wyrywające się jej dziecko. – I pomyśleć, że mam teraz żyć bez człowieka, którego kochałam bardziej niż siebie, tylko dlatego, że Bóg go zabrał?

Vincenzino zaczyna marudzić i wyciągać rączkę do zabawek rozrzuconych po pokoju, potem kaszle. Giulia puszcza go wolno.

– Powiedziałałam ci to wszystko, ponieważ Ignazio mnie już nie słucha. Był czas, kiedy byłam dla niego wszystkim, ale potem jego ojciec zbliżył się do niego... i Ignazio był już cały jego. – Ponownie wzdycha. – A ja, teraz, bez Vincenza, już się nie liczę. – Giovanna chce zaprotestować, lecz Giulia powstrzymuje ją gestem i ścisza głos. – Oczywiście, jestem jego matką i mnie kocha, jednak... Teraz jesteś ty, jego żona, i jesteś tu panią. Możesz mi pomóc. Musisz z nim porozmawiać, musisz mu powiedzieć, że chcę zamieszkać w Quattro Pizzi. Wiem, że on jest temu przeciwny, uważa, że lepiej dla mnie będzie, jeśli tu zostanę, ale ja... ja nie chcę. Tam był nasz dom i tam zamierzam pozostać, razem z nim i naszymi wspomnieniami. Zrobisz to dla mnie?

Giovanna chciałaby odpowiedzieć, że Ignazio rzadko jej słucha, ale zaskoczona tą prośbą nie robi tego. Gdyby teściowa opuściła dom przy via dei Materassai, być może jej udałoby się przekonać Ignazia, by przenieśli się do Olivuzzy. Mogłaby się zająć

urządzeniem wewnątrz i ogrodu, a do mebli w stylu francuskim dodać inne, bardziej odpowiadające jej gustowi.

Swoją prośbą Giulia daje jej nieoczekiwany prezent.

I niejedyny. Bo powierza jej swój dom.

Dlatego Giovanna przytakuje. Wyciąga dłoń do teściowej.

– Porozmawiam z nim – mówi i już wie, co ma robić.

Choć to prawda, że mąż jej nie słucha, jest jedna rzecz, której nie może się oprzeć: prestiż związany z jego nazwiskiem. W tym względzie Ignazio jest identyczny ze swoim ojcem, ta ambicja pożera go od środka. A nic nie może być bardziej prestiżowe niż to, co ona planuje w związku z Olivuzzą.

\*\*\*

Nad bezpieczeństwem rozległego parku, willi i jej mieszkańców czuwają cisi, niewidoczni uzbrojeni mężczyźni. Jeśli nosisz nazwisko Florio, musisz oglądać się przez ramię. Rozumiał to już Vincenzo, ale jemu do ochrony wystarczyły przyjaźnie lub więzi wzajemnych przysług. Kiedy jednak jesienią 1869 roku Ignazio przeniósł się do Olivuzzy, ktoś zwrócił mu uwagę – po cichu i dyskretnie – że potrzeba czegoś więcej, aby „zapewnić spokój” rodzinie. Jako że Palermo tętni życiem i kwitnie w nim handel – zwłaszcza handel cytrusami – dający nadzieję zamożności, ciągną do niego i osiedlają się na jego przedmieściach robotnicy, wozacy, chłopci i młodzi ludzie marzący o życiu z dala od rolniczej niewoli, ale wraz z nimi przybywają także przemytnicy i złodzieje, rzezimieszki amatorzy i zawodowi bandyci. Ludzie ci stworzyli sieć powiązań, która zacieśniała się coraz bardziej, aż stała się w końcu nieprzenikniona dla sił porządkowych. Poza tym nie ma po co angażować policji „państwa piemonckiego”, jak tu się myśli o nowych władzach, skoro sprawy można załatwić samemu. Krzywda? Sprawę prostuje uszkodzenie zapasu cytryn gotowych do wysłania do Ameryki. Obraza? W ramach zadośćuczynienia podpala się właściwy dom. Konflikt? Strzela się w plecy komuś, kto nie okazał szacunku.

Było zatem oczywiste, jak się należy chronić: wystarczyło zwrócić się do „pewnych ludzi honoru”, którzy z chęcią zapewnią ochronę w zamian za odpowiednie przysługi lub „symboliczną” zapłatę. Była to przyjęta praktyka, do której stosowali się wszyscy – arystokraci i nie tylko oni.

I właśnie pod okiem owych ludzi honoru przed najstarszą częścią kompleksu budynków tworzących potężną willę Olivuzza zajeżdża lekki, nowoczesny powóz. Nikt go nie zatrzymuje ani nie przeszukuje wnętrza, bo don Ignazio powiedział, że goście są święci i nie wolno im czynić żadnego despektu. A ten gość jest bardzo ważny.

Z powozu wysiada mężczyzna o przeszywającym spojrzeniu i szerokim czole, na które opadają kosmyki kręconych włosów. Porusza się z wdziękiem, ale nie potrafi ukryć pewnego niepokoju. Ignazio stoi przy wejściu do budynku i czeka na niego. Podaje mu rękę i mówi po prostu:

– Wejdźcie.

Mężczyzna podąża za nim. Mijają westybul, potem przemierzają szereg urządzonych ze smakiem pokoi i salonów. W dopasowanych kolorach tapicerki, meblach zakupionych w Paryżu i Anglii, adamaszkowych sofach i wielkich perskich dywanach widać gust Giovanny. Odnowiła wnętrza, wybierając każdy mebel i każdą ozdobę.

Mężczyźni wchodzą do gabinetu gospodarza. Gość zatrzymuje się w progu, rozgląda, dostrzega duży obraz olejny przedstawiający winiarnię Floriów w Marsali: wysokie białe ściany zalewa dogasające światło wieczoru. Kimkolwiek był artysta, udało mu się uchwycić na płótnie zarówno blask zachodzącego słońca, jak i głęboką zieleń wód u wybrzeża.

– Fascynujące – mruczy. – Kto to namalował?

– Antonino Leto – odpowiada Ignazio. – Podoba się wam? Przedstawia moje gospodarstwo w Marsali. Leto dostarczył go dopiero kilka tygodni temu. Długo kazał mi czekać, ale rezultat jest wspaniały, przynosi ukojenie. Przede wszystkim świetnie oddał morze. Wciąż nie jestem pewien, czy zostawić go tutaj, w gabinecie, czy wystawić gdzie indziej. Ale usiądźmy.

Wskazuje gościowi fotel, sam też siada. Przez kilka sekund wpatruje się w niego w milczeniu. Na jego twarzy pojawia się uśmiech, ledwie skrywany przez gęstą, ciemną brodę.

Gość kręci się na swoim miejscu, czuje się nieswojo.

– Co się dzieje, don Ignazio? Coś jest nie tak? Budowa mauzoleum dla waszego ojca w Santa Maria di Gesù przebiega zgodnie z harmonogramem. Trudno nam było wydrążyć kryptę w skale, ale teraz roboty przebiegają sprawnie i wiem też, że De Lisi skończył projekt rzeźby.

– Nie po to was tu zaprosiłem. – Ignazio składa ręce w piramidkę przed twarzą. – Mam dla was propozycję.

Giuseppe Damiani Almeyda, profesor wzornictwa i architektury na Uniwersytecie Królewskim w Palermo, prostuje się w fotelu. Jest zakłopotany. Rozkłada ręce, a następnie splata je na kolanach.

– Dla mnie? Jak mogę wam pomóc?

Na jego neapolitański akcent nakłada się jeszcze jedna, obca melodia, będąca spuścizną po portugalskiej matce, pięknej Marii Carolinie Almeydzie, córce chrzestnej królowej Marii Karoliny Burbońskiej, arystokratce, w której do szaleństwa zakochał się urodzony w Palermo Felice Damiani, pułkownik armii burbońskiej.

– Jesteście nie tylko architektem, którego darzę wielkim szacunkiem, lecz także głównym inżynierem miasta Palermo. I człowiekiem wielkiej kultury: znacie i cenicie przeszłość, ale przyszłość też was nie przeraża. Wręcz przeciwnie.

Damiani Almeyda podnosi zamkniętą dłoń do ust i gładzi wąsy. Zrobił się ostrożny. Komplementy zawsze sprawiają, że ma się na baczności. Zna się od niedawna z tym młodym człowiekiem o spokojnej powierzchowności, ale wie, że jest on potężny, i to nie tylko z racji swego bogactwa. Jest również inteligentny, i to bardzo, ale tym rodzajem inteligencji, przy którym należy zachować czujność.

– Czego więc ode mnie oczekujecie, don Ignazio?

– Projektu.

– Czego?

– Odlewni.

Architekt otwiera szeroko oczy. W wyobraźni widzi pełen robotników okopcony hangar z ledwie obrobionego tufu.

– Oretea?

Ignazio nie kryje rozbawienia.

– Póki co nie mam żadnej innej.

Pauza. Obserwują się nawzajem, przyglądają sobie. Damiani Almeyda pochyla się do przodu, ręce trzyma skrzyżowane na kolanach.

– Pozwólcie mi zrozumieć. Czego dokładnie potrzebujecie?

Ignazio wstaje i robi kilka kroków po dywanie, który pokrywa prawie całą podłogę. To dywan z Kazwinu, wybrał go nie tyle dla jego niezwykłego piękna, ile ze względu na wyjątkową wagę, jaką w tym regionie Persji przywiązuje się do węzłów, jakości wełny i naturalności kolorów.

– Wiecie, że mój ojciec chciał mieć własną odlewnię i dążył do tego z determinacją, która nawet jak na niego była niezwykła. Wszyscy mówili mu, że ten projekt przyniesie same straty, ale on się uparł wbrew radom bliskich przyjaciół, nie chciał słuchać nawet Benjamina Inghama, świeć, Panie, nad jego duszą.

Zatrzymuje się przed szerokim oknem. Przypomina sobie pogrzeb Inghama i to, jak ojciec ze skamieniałą twarzą gładził jego trumnę. Ben Ingham był dla Vincenza Florio przyjacielem i rywalem, mentorem i przeciwnikiem. Łączyła ich przyjaźń niezwykła i silna, uczucie, którego on niestety nie zaznał.

Otrząsa się, uderza wierzchem jednej dłoni o zagłębienie drugiej.

– Czasy się zmieniły. Obecnie nasza odlewnia musi się liczyć z fabrykami na Północy, które są znacznie bardziej konkurencyjne. To był jeden z... nazwijmy to, darów Królestwa Włoch dla Sycylii: fabryki produkujące to samo co my. Winić ich za to nie mogę, Sycylia nie jest priorytetem dla królestwa, zresztą nie robi nic, by nim być. Tutaj, aby coś uzyskać, trzeba przekupić, zagrozić, pójść inną drogą lub odwołać się do wszystkich świętych na ziemi i w niebie. A czasem i to nie wystarcza. Kto ma najsilniejsze karty, ten wygrywa, jak to w grze, a reszta przepada. Doprowadza mnie to do furii: w Palermo jest kapitał i trzeba go mądrze zainwestować, bo inaczej wszystkich nas zmiążdży konkurencja. Fabryki na Północy

będą się rozwijać i bogacić, a my tutaj nadal będziemy uprawiać pszenicę, mleć sumak i wydobywać siarkę. Nie ma sensu kręcić się w kółko: w obecnej chwili nie możemy z nimi konkurować. I właśnie temu musimy zaradzić. Za wszelką cenę.

Odwraca się. Damiani Almeyda prawie wstrzymuje oddech. Ten cichy, łagodny młody człowiek w jednej chwili zmienił się w zaskakująco twardego kapitalistę.

– Jak zatem mogę wam pomóc?

Almeyda czuje się niemal zobowiązany, by zadać to pytanie.

– Wy, inżynierze, jeśli zechcecie, pomożecie mi to zmienić. Na początek zapytam was, czy jesteście gotowi przenieść odlewnię do współczesnej epoki, unowocześnić ją. Moglibyście zacząć od fasady.

– Ignazio znów zaczyna chodzić po gabinecie, a Damiani Almeyda podąża za nim wzrokiem. – Znacnie Oreteę, prawda? To niewiele więcej niż szopa przykryta paroma deskami. Ma się stać nowoczesnym obiektem, począwszy od wyglądu zewnętrznego, tak jak widziałem w Marsylii, gdzie warsztaty naprawy statków znajdują się w niewielkiej odległości od doków i portu. Odlewnia pracuje głównie na potrzeby remontowanych parowców i musimy wziąć to pod uwagę.

– A zatem chcielibyście mieć...?

– Przede wszystkim projekt fasady, a następnie plan przebudowy wnętrza. – Nie dodaje nic więcej: nie nadszedł jeszcze czas, aby rozmawiać o pomysły budowy mieszkań dla pracowników lub innego zaplanowania biur odlewni, na wzór angielski lub fancuski. Jest pryncypałem, dobrym pracodawcą i zadba o swoich ludzi, robotników i ich rodziny. Ale pozostało wiele do zrobienia, zanim się do tego przejdzie.

Rozmawiają długo, a światło jesieni rozświetla pokój na złoto. Rozmawiają o tym, co Ignazio chciałby mieć w swojej fabryce i jak wyobraża ją sobie Damiani Almeyda: jasną, z dużą przestrzenią dla robotników, podniesionym sufitem, który pomoże odprowadzić nadmiar gorącego powietrza. Słuchają się, uczą się siebie nawzajem, rozumieją. Mają tę samą wizję, chcą dla Palermo tej samej przyszłości.

Od tego momentu los Giuseppego Damianiego Almeydy – w przyszłości budowniczego Teatro Politeama, renowatora Palazzo Pretorio i założyciela Archiwum Historycznego Miasta Palermo – będzie nierozzerwalnie związany z losem Domu Florio.

A dla samych Floriów architekt stworzy coś jeszcze: arcydzieło na Favignanie.

\*\*\*

Jest wieczór. W kominku płoną ogromne polana, w powietrzu czuć zapach żywicy. Na twarzy zamyślanej Giulii widać zmęczony uśmiech. Jak dziwnie siedzieć znowu w tym pokoju, w którym prawie półtora roku temu zmarł Vincenzo.

Jest Wigilia 1869 roku. Ignazio i Giovanna poprosili ją, aby przyjechała do Olivuzzy na święta, także dlatego, że jak powiedział Ignazio, w Quattro Pizzi jest za dużo schodów i za zimno. Jednak nie byli nawet w połowie kolacji, kiedy Giulia spojrzała na Giovannę, a ta natychmiast ją zrozumiała, tak jak jedna kobieta potrafi zobaczyć w drugiej zmęczenie życiem, uwięzione w głębokich zmarszczkach i pod ciężkimi powiekami. Milcząco przytaknęła, po czym skinęła na gospodynię, by pomogła Giulii wstać z krzesła i odprowadziła ją do pokoju.

Ignazio podążył za nią wzrokiem, w którym troska mieszała się ze smutkiem.

„Pewnie sądzi, że dla mnie było tu za dużo śmiechu, za dużo hałasu i za dużo jedzenia – myśli Giulia. – Prawda jest taka, że już mnie to nie obchodzi. Chcę tylko zostać tutaj, gdzie on był”.

Podnosi wzrok na okno, patrzy w ciemność spowijającą park wokół Olivuzzy. Nie czuje się w tej willi zupełnie swobodnie. Pamięta, że pierwotnie należała ona do książąt Butery, jednego z najstarszych rodów szlacheckich Palermo, i że rosyjska arystokratka, księżna Warwara Pietrowna Szachowska, druga żona księcia Butery i Radalì, powiększyła i wzbogaciła rezydencję. Caryca Aleksandra, żona cara Mikołaja I, spędziła tu nawet całą zimę. Obsesyjnie pragnąc udowodnić bogactwo swojej rodziny, Vincenzo

nie szczędził kosztów i wysiłków, aby wejść w posiadanie tej rezydencji. A teraz przyszła kolej na Ignazia i jego żonę, aby powiększyć ją i upiększyć. Jej syn niedawno kupił także kilka sąsiednich budynków, aby uczynić kompleks jeszcze bardziej imponującym.

„To teraz ich dom”, myśli Giulia.

Palermo – jej Palermo, miasto kamiennych ulic i ciemnych zaułków – jest daleko, za zakurzoną drogą, która biegnie między arystokratycznymi posiadłościami i ogrodami. To właśnie w kierunku gór miasto szuka nowej przestrzeni, gdy po zjednoczeniu kraju zburzono otaczające je mury. Pola zostają pochłonięte przez nowe domy, a sady i gaje cytrusowe – przez włoskie ogrody; dwu- i trzypiętrowe podobne do siebie budynki, z kwadratowymi nadprożami i brązowymi drewnianymi okiennicami, wznoszą się wzdłuż nowych dróg prowadzących ku polom. Via dei Materassai, Castellammare, Kalsa należą do innego świata, innego życia. Miasto się zmienia, choć może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Giulia znów wzdycha. Powietrze zastyga w piersi i sprawia jej ból. Vincenzo nie pochwaliby niektórych dziwactw. Ale Vincenzo nie żyje.

A ona czuje, jak życie wymyka jej się z rąk, i nie robi nic, by je zatrzymać.

\*\*\*

Służba zaczęła już sprzątać ze stołu. Sprawne ręce zbierają srebrne sztuce, wkładają je do koszy i zanoszą do kuchni. Patery ze słodyczami przykryto lnianymi ściereczkami. Kryształowe puchary i srebrne samowary do herbaty opróżniono, umyto, wysuszono, wypolerowano i odstawiono do szaf. Światła przyciemniono lub całkiem zgaszono. W powietrzu unosi się zapach wawrzynu i kaliny, wędnących w cache-pot z chińskiej porcelany, a także bardziej trwałe zapach męskiej wody kolońskiej i kobiecego pudru.

– *Giuvannina! Giuvannina!*



Giovanna każe podać marszałę do salonu z widokiem na ogród – wszyscy nazywają go zielonym salonem ze względu na kolor obicia mebli – kiedy rozdrażniony głos matki każe jej się odwrócić. To Ignazio nalegał, aby rodzice Giovanny, wraz z Angeliną i Luigim De Pace, siostrą i szwagrem Ignazia, wzięli udział w obiedzie na Świętego Szczepana. Rano przybyli także Auguste i François Merle, teść i mąż jego siostry Giuseppiny, którzy mieszkają w Marsylii. Jej syn, Louis Auguste, jest co najmniej tak samo chorowity jak jego mały kuzyn Vincenzino, i Giuseppina nie miała ochoty odbywać z nim zimowej podróży morskiej parowcem, jednak Ignazio chciał pokazać światu, że Floriowie są zjednoczoną rodziną, i dopiął swego.

Giovanna patrzy na matkę, która kuśtyka w jej stronę, opierając się na dwóch laskach. Jej siwe włosy są ułożone w wysoki kok, jeszcze bardziej podkreślający krągłość twarzy. Wszystko w niej jest okrągłe: od palców, w których pierścionki zdają się tonąć, przez piersi ledwo mieszczące się w sukni, po halki, właściwie niepotrzebne, bo nadmiar ciała wypełnia suknię w sposób wystarczający. Eleonora d'Ondes Trigona, siostra Romualda Trigony, księcia Sant'Elia, jest kobietą w średnim wieku, która źle się starzeje, także dlatego, że cierpi na wiele dolegliwości i nie dba o siebie tak, jak powinna. Czerwienieje na twarzy, poci się i ciężko dyszy nawet po przejściu ledwie kilku kroków.

Córka pozostaje nieruchoma. Czeka, aż matka do niej dołączy, po czym razem spacerują po ogrodowych ścieżkach.

– Matko Najświętsza, ależ jestem zmęczona. Chodź, siądziemy – mówi w pewnym momencie Eleonora.

Giovanna wyprzedza ją o kilka kroków, potem czeka, aż matka usiądzie na kamiennej ławce przed wolierą, i zajmuje miejsce obok niej, na brzeżku. Pilnowane przez opiekunki dzieci kręcą się po ogrodzie i drażnią papugi w klatce. Nieco dalej mężczyźni palą cygara i rozmawiają półgłosem.

Na matczynej sukni Giovanna dostrzega plamy tłuszczu. „Musiała coś zjeść, zanim przyszła na obiad – myśli z mieszaniną konsternacji i złości. – Jak mogła doprowadzić się do takiego stanu? Ona, księżna!”.

– A więc jesteś w ciąży i nic mi nie mówisz? Donna Ciccina musiała mi o tym powiedzieć? Teraz chcę to usłyszeć od ciebie.

Giovanna nie odpowiada. Patrzy na swe smukłe palce i zauważa, że ślubna obrączka prawie się z nich zsuwa. Następnie spogląda na brylant i szmaragd, które Ignazio podarował jej w ciągu tych czterech lat małżeństwa. Na Boże Narodzenie dał jej złotą bransoletę z kwiatem ze szlachetnych kamieni, wykonaną specjalnie dla niej.

– Chciałam się upewnić. Poza tym sami wiecie, matko. To przynosi pecha, gdy mówi się za wcześnie.

Eleonora chwyta ją za rękę i dotyka jej brzucha.

– Kiedy się urodzi?

Giovanna cofa się, odsuwa dłoń matki i potrząsa głową.

– A kto to wie? Maj, czerwiec...

Potem wygładza suknię. Musiała poluzować gorset, który nazbyt ciśnie. Brzuch rośnie jej szybciej niż przy poprzednich ciążach, a donna Ciccina – niech ją szlag trafi za to, że nie umie trzymać języka za zębami! – twierdzi, że to może oznaczać, że tym razem będzie dziewczynka.

– Teraz musisz uważać, żeby twój mąż nie poszedł szukać innych kobiet. Po dwójce dzieci kobieta już nie jest jak ta róża... Musisz go pilnować.

– Wiem, ale mój mąż nie ugania się za spódniczkami – odpowiada szorstko Giovanna.

Ignazio jest poważny, nigdy nie zdradziłby jej z inną kobietą, zwłaszcza teraz, gdy ona jest w ciąży. A nawet gdyby tak było, nie chciałaby o tym wiedzieć. „Zajmij się lepiej sobą – myśli pełna gorczy. – Ile czasu minęło, odkąd twój mąż patrzeć na ciebie nie może?”.

Od kilku dni wszystko ją drażni. Jej matka nie jest wyjątkiem. Eleonora zdaje się to zauważać. W jej oczach zapala się smutek.

– Jesz?

– Tak.

– Zobacysz, że jak nie będziesz jadła, to będziesz taka sama. Poza tym *a' carni fa bedda la attà*.

– Kotka pięknieje od mięsa – powtarza Giovanna, a jednocześnie czuje rosnącą złość. Czy ona jest zwierzęciem domowym? – Już ci

powiedziałam, że jem!

Giovanna zdaje sobie sprawę, że podniosła głos, bo nianie odwracają się, żeby na nią spojrzeć. Czuje, że się rumieni. Łzy gniewu szczypią ją pod powiekami.

– Widzisz sama, dlaczego o niczym ci nie można powiedzieć! Bo zaraz zaczniesz paplać jak praczka.

Giovannie głos drży i nienawidzi się za to. Wszystko w niej – gardło, wnętrzności, całe ciało – przypomina jej o tym, co znaczyło być córką tej kobiety. Siostra księcia, która zawsze mówiła zbyt głośno, wciąż trzymała w ręce coś do jedzenia i nieustannie miała otwarte usta, bo inaczej nie mogła oddychać. Giovanna pamięta spojrzenia, jakimi krewni obdarzali ją i jej ojca: pełne szyderstwa lub zażenowania na widok księżnej w takim stanie. Gdyby tylko miała brata, do którego mogłaby się zwrócić, poprosić o pocieszenie, podzielić się swoim bólem. Ale nie: hańba matki spadła na nią w całości.

Z jej ust wydobywa się szloch. Giovanna zrywa się z ławki, choć matka próbuje ją powstrzymać, woła do niej, krzyczy, żeby wróciła, przeprasza.

Nogi same prowadzą ją w głąb parku. Chwyta się pnia gruszy, głośno płacze, a suche liście wpadają jej we włosy. Drzazgi wbijają się pod paznokcie. Z jednej strony Giovanna wie, że to dziecko w jej łonie sprawia, że jest tak krucha i nerwowa, że traci panowanie nad sobą. Ale jest jeszcze coś innego, głębszego, co wrze i usiłuje się wydobyć z głębin wspomnień i upokorzenia.

Nachyla się do przodu, wkłada dwa palce do gardła, próbuje zwymiotować. Udaje jej się. Jeden raz, potem drugi. Jedzenie wyciąga złość z jej ciała, oczyszcza je, uwalnia i nie ma znaczenia, że w ustach został kwaśny smak, że pali ją w gardle. Odruchowo odsuwa suknię do tyłu, żeby jej nie pobrudzić. Nauczyła się tego, gdy była młodsza i patrzyła, jak jej matka objada się na potęgę i tyje coraz bardziej, podczas gdy ona jadła coraz mniej, jakby chciała zniknąć z oczu świata.

W pewnym okresie zaczęły się omdlenia. Zdezorientowana matka poleciła jej położyć się do łóżka, kazała przynosić makarony, mięso, ciasta i słodczyce i zmuszała do jedzenia, połykania wszystkiego.

Giovanna posłusznie jadła, a potem wszystko zwracała. Lekarz orzekł, że jej żołądek jest nie większy niż filiżanka i że już nigdy nie będzie mogła normalnie jeść. Giovanna z całych sił trzymała się tej diagnozy, przywołując ją – z niewyraźnym uśmiechem przeprosin – za każdym razem, gdy ktoś zwracał uwagę na jej słaby apetyt.

Zmienił to dopiero Ignazio. Po pierwszych kilku miesiącach małżeństwa, zmęczony naleganiem, by żona trochę więcej jadła, zabrał ją do Rzymu, do słynnego lekarza. Po długim wywiadzie i jeszcze dłuższym badaniu lekarz oświadczył bez ogródek, że Giovanna musi pozbyć się tych dziecinnych kaprysów i że dziecko przywróci jej organizm do funkcjonowania zgodnego z naturą. Ona ograniczyła się do skinięcia głową, a Ignazio, uspokoiony, uśmiechnął się na myśl o synu, który wszystko załatwi. Lekarz przynajmniej częściowo miał rację: podczas ciąży sytuacja się poprawiła, także dlatego, że Giovanna zmuszała się, by nie wymiotować, z miłości do istoty, której się spodziewała.

Ale dziś smutek zaciemnia jej myśli, mrocznieje w duszy.

Znowu kaszle. Czuje, jak żółć wzbiera jej w gardle: teraz nie ma już nic do wyrzucenia. Czuje się lepiej: wolna, lekka. Zbyt lekka. Tak, że aż się chwieje.

W tym momencie czuje na ramieniu dłoń. Mocny, ale łagodny dotyk, który przeradza się w uścisk.

– To przez dziecko? Wymiotowałaś?

Ignazio ją podtrzymuje, opiera o swoją pierś. Jest silny, potężnie zbudowany. W jego ramionach Giovanna zdaje się znikać. Poddaje się uściskowi, z radością przyjmuje ciepło i pociechę, które daje ten dotyk.

– Mdłości – bagatelizuje i oddycha z otwartymi ustami. – Dużo zjadłam.

On wyciąga z kieszeni chusteczkę. Bez słowa ociera jej spocone czoło i usta. Nie powie, że słyszał jej kłótnię z matką i dlatego poszedł za nią ani że widział, jak wkładała palce do gardła. To nie pierwszy raz, kiedy widzi, jak ona to robi. Nie rozumie, ale nie pyta, nie może: to są rzeczy dla *fimmine*. Lekarz w Rzymie stwierdził jasno: to była вина złych nawyków, a resztę załatwiła typowa kobieca histeria.

Obejmuje żonę, dodaje jej otuchy. Od dawna rozumie, jak krucha jest Giovanna i jak wielki jest jej strach przed tym, że nie sprost nazwisku, które nosi. Ale nauczył się też doceniać jej wytrwałość i zdolność do reagowania. Bez jej zacieklej odwagi i twardości nie potrafiłaby być blisko niego, zaakceptować tego, że nie jest w centrum jego myśli. Ponieważ on należy do Domu Florio i do nikogo innego, podobnie jak jego ojciec. I nigdy tego przed nią nie ukrywał.

– Chodź – mówi do niej.

Giovanna próbuje odejść.

– Nic mi nie jest – oświadcza, ale zdradza ją bladość.

– Nieprawda – odpowiada on bardzo cicho. Głaszcze jej twarz, a potem bierze ją za rękę i całuje opuszki palców. – Pamiętaj, kim jesteś.

„Niepewną siebie histeryczką?”, zastanawia się Giovanna i chciałaby go o to zapytać, ale Ignazio przykłada palec do jej ust i pochyła się do przodu. Przez chwilę widać w jego oczach cień. I przeblysk świadomości. Żalu.

– Jesteś moją żoną – mówi w końcu. I dotyka jej ust pocałunkiem.

Giovanna chwyta go za klapy marynarki, przyciąga do siebie. On tylko tyle może jej dać i przynajmniej na razie to musi jej wystarczyć.

\*\*\*

W domu Giovanna i Ignazio zastają gości gotowych do pożegnania. Atmosfera się rozluźnia. Podczas gdy Ignazio żegna się z Auguste'em Merle'em i rodziną De Pace, Eleonora podchodzi do Giovanny i obejmuje ją, choć z niemałym wysiłkiem. Tuż za nią podąża jej mąż i mimo swego formalnego i zazwyczaj zdystansowanego sposobu bycia tym razem bierze rękę córki, całuje ją czule, a potem szepce:

– Uważaj na siebie.

W końcu Giovanna i Ignazio zostają sami na progu. Ignazio przesuwa dłoń po plecach żony i zatrzymuje się na talii.

– Chciałabyś odpocząć? – pyta.

– Tak, chciałabym.

On wyciąga z kieszeni zegarek, sprawdza godzinę.

– Idę do gabinetu popracować. Dołączę do ciebie na kolację, jeśli będziesz chciała coś zjeść. – Całuje ją w czoło i odchodzi.

Giovanna bierze Giulie pod ramię i pomaga jej wejść po schodach do najstarszej części willi. Idą do pokoju dzieci. Vincenzino miał lekką gorączkę i Giovanna kazała niani zabrać go do łóżka. Teraz na wpół śpiący chłopiec leży pod przykryciem. Ignazziddu siedzi na podłodze, jest bosy, bawi się żołnierzykami.

– Zostanę tutaj. Idź i odpocznij – mówi Giulia do Giovanny. Waha się przez moment, po czym dodaje: – Zbyt późno się zorientowałam, że twoja matka nie wie, że jesteś w ciąży...

Giovanna wykrzywia usta w grymasie.

– Bo też jej nie powiedziałam.

– Wybacz. – Giulia kładzie dłoń na czole synowej i patrzy na nią z melancholią. – Tak samo było z moją matką; zawsze miała mi coś do wytknięcia, do zarzucenia... – mówi w końcu. – I nigdy jej się nie zwierzałam. – Ujmuje Giovanę pod brodę i zmusza ją, by spojrzała jej w oczy. – Matki są istotami niedoskonałymi i czasami wydają się naszymi najgorszymi wrogami, ale tak nie jest. Chodzi o to, że często nie wiedzą, jak nas kochać. Przekonują same siebie, że mogą uczynić nas lepszymi i próbują oszczędzić nam cierpienia, ale nie zdają sobie sprawy, że każda kobieta i bez tego wymaga od siebie bardzo wiele i musi poznać swój własny ból.

Mówi bardzo cicho, z nutą żalu, która sprawia, że oczy Giovanny napełniają się łzami. To prawda, ona i jej matka kochają się, ale różnią się nieodwracalnie: Eleonora jest przesadna, żywiołowa, Giovanna zaś dyskretna, prosta. Przez całe życie się ścierały, ponieważ matka chciała ją przeciągnąć na swoją stronę, sprawić, by stała się do niej podobna. W rezultacie córka dorastała w ciągłym poczuciu nieadekwatności. Ta myśl zawsze w jakiś sposób jej towarzyszyła.

Z opuszczoną głową dociera do swojego pokoju. Czeka na nią donna Ciccina, zajęta haftowaniem dziecięcego ubranka. Dla dziewczynki, „bo to będzie *fimmina*”, orzekła już dawno temu

kobieta. Jest tego pewna, ponieważ policzyła dni księżyca, a poza tym ona pewne rzeczy czuje pod palcami, przechodzą jej przez skórę.

Ta kobieta o szorstkich i surowych rysach budzi zarówno lęk, jak i sympatię Giovanny, która nie lubi, gdy donna Ciccia oddaje się „tamnym rzeczom”, czyli kontaktom z zaświatami, ponieważ ma wówczas wrażenie, że traci tę minimalną kontrolę nad własnym życiem, tę drobną resztkę, którą jeszcze posiada. Nie mówiąc już o tym, że ojciec spowiednik ciągle jej powtarza, by trzymała się z dala od przesądów, ponieważ przyszłość jest zapisana w księgach, które tylko Bóg umie odczytać. Jednocześnie Giovanna zawsze mogła liczyć na donnę Cicię. W dzieciństwie, gdy się skaleczyła, kobieta ją pocieszała; w młodości, gdy odmawiała jedzenia – karmiła ją z cichą cierpliwością. To ona jej wytłumaczyła comiesięczne pojawianie się krwi i opowiedziała, co dzieje się między mężczyzną a kobietą. Asystowała jej podczas narodzin dzieci. Obejmowała ją, gdy Giovanna ze łzami w oczach wyznała jej swój lęk, że straciła afekt Ignazia. Bardziej niż prawdziwa matka, bardziej niż krewna, donna Ciccia zawsze dawała swej podopiecznej to, czego ta naprawdę potrzebowała. I to ona zaszczepiła w niej zamiłowanie do haftu. Giovanna zaczynała jako mała dziewczynka: wyszywała niewielkie obrazki ścięciem krzyżykowym, a teraz, razem ze swoją opiekunką, haftuje obrusy, prześcieradła, a nawet gobeliny.

Z czasem donnie Ciccii udało się dokonać cudu i sprawić, że Giovanna zaczęła nieco więcej jeść. Podczas posiłków wpatruje się w nią z mieszaniną twardości i czułości, dopóki Giovanna nie przełknie przynajmniej kilku kęsów. Potem, gdy haftowały razem, zwrócone do siebie twarzami w wygodnej ciszy wspólnej pracy i przyzwyczajenia, kazała jej postawić obok krzesła tacę z talerzykiem pomarańczy lub cytryn i małą cukierniczkę. Od czasu do czasu Giovanna zanurza plasterek w cukrze i zjada.

Pomagając jej się przebrać, donna Ciccia mówi jak zawsze bezpośrednio:

– Takaście blada, donna Giovanna... Nawet Vincenzino jadł więcej, gdy był chory. Musicie na siebie uważać, bo inaczej mała nie

urośnie, a może nawet stanie się jej krzywda.

– Ja nie potrafię tak po prostu usiąść i zjeść wszystkiego z talerza. Nie ma mowy. Po prostu powiedzcie, że nie zamierzam dziś jeść. Nie mogę, jestem zbyt zmęczona.

– Właściwe odżywianie się jest powinnością każdego chrześcijanina – wzdycha kobieta. Ujmuje jej nadgarstki, ściska je i zmusza Giovannę, by na nią spojrzała. – Nie wolno wam już kapryścić jak dziecko, jesteście mężatką. Macie męża, który was szanuje, a niewiele kobiet może powiedzieć to samo. Macie dwóch zdrowych synów. Mówiłam wam wiele razy, że kapryśnienie przy jedzeniu to obraza boska.

Giovanna kiwa głową, ale nie patrzy na nią. Wie, że kobieta ma rację, że ona nie powinna zasmucać Pana, ale to naprawdę jest od niej silniejsze.

– On nie rozumie, jak się czuję – mówi tak cicho, że donna Ciccia, która pomaga jej zdjąć suknię, musi przysunąć głowę bliżej, żeby usłyszeć. – Mój mąż jest najlepszy na świecie. Ale... – Przerywa, ponieważ pod tym „ale” kryje się nieustannie towarzyszący jej ból, cień pełen upiorów, któremu nie potrafi nadać nazwy. Samotność zimna jak tafla szkła.

Donna Ciccia przewraca oczami i zaczyna składać suknię.

– Macie wszystko i nie potraficie się tym zadowolić, już wam mówiłam. To mąż, to *masculu*: kobiecych spraw nie zrozumie, zresztą one go nie obchodzą. Wy zróbcie swoje: bądźcie żoną i myślcie o dzieciach. Jesteście żoną ważnego człowieka: nie możecie oczekiwać, że będzie koło was skakał.

– Macie rację – wzdycha Giovanna.

Kobieta patrzy na nią nieprzekonana, ale zrezygnowana.

– Mam wezwać pokojówkę, żeby pomogła wam się umyć i przygotować do nocy?

– Nie, dziękuję, donna Ciccia, mogę to zrobić sama.

– Jak sobie życzycie – odpowiada kobieta i wychodzi, aby uprzedzić w kuchni, że pani nie będzie jadła.

Giovanna opiera się o framugę drzwi. Jest wyczerpana. W lustrze o złożonych ramach widzi kruchą kobietę, która prawie znika w swej halce. Tego dnia miała na sobie zamówioną w Paryżu suknię



z kremowego jedwabiu, przy dekolcie i nadgarstkach ozdobioną koronką z Valenciennes. Założyła również naszyjnik i kolczyki z pereł otoczonych diamentami. Prezent ślubny od Ignazia.

Cała rodzina złożyła jej gratulacje. Ignazio ograniczył się do spojrzenia na nią i pełnego aprobaty skinięcia głową, po czym kontynuował rozmowę z Auguste'em.

Jakby po prostu spełniła swój obowiązek.

To słowo – „obowiązek” – ją prześladowało. Ma obowiązek jeść, bo musi być silna i mieć dzieci. Ma obowiązek być nieskazitelna, ponieważ musi być godna rodziny, która ją przyjęła. Ma obowiązek mówić dobrze po włosku i znać języki obce. A prywatnie ma obowiązek pozostawać w cieniu i znosić wszystko, bo tak zachowuje się dobra żona, bo na tym polega małżeństwo – na towarzyszeniu mężowi i milczącym posłuszeństwie. Taka była od razu, od pierwszej nocy. Łagodna, uległa, posłuszna wypowiedzanym z zakłopotaniem sugestiom matki: trzymać oczy zamknięte i zacisnąć zęby, gdyby poczuła ból. Modlić się, gdyby się bała.

Ale Ignazio okazał się namiętny i troskliwy w sposób, który sprawił, że ona nadal się rumieni na samo wspomnienie. Koszula nocna i modlitwy wylądowały w rogu łóżka, gdy on zawładnął jej ciałem i dał jej doznania, jakich nigdy sobie nie wyobrażała.

Tak było na początku, ale po narodzinach małego Vincenza Ignazio coraz rzadziej o nią zabiegał, i to bez namiętności. Jakby stała się dla niego obowiązkiem, powinnością do wykonania, a nie towarzyszką, z którą mógłby dzielić łożo, porywy ciała i duszy. Przez pewien czas myślała, że Ignazio ma inną kobietę. Ale po narodzinach drugiego syna zdała sobie sprawę, że jego brak zainteresowania nią był odwrotnie proporcjonalny do jego zaangażowania w rodzinny interes. Tak, miała rywalkę, ale nazywała się ona Dom Florio. Nie mówiąc o tym, że urodziła mu już dwóch chłopców, więc potomstwo było zapewnione... Próbowwała porozmawiać o tym z donną Ciccją, ale ta wzruszyła ramionami.

– Lepiej, że ma pracę, niż miałby mieć kobietę. A poza tym wasza teściowa, biedaczka, też musiała być bardzo cierpliwa. Najpierw Dom Florio, a potem ona i jej dzieci.

Tylko że ona, Giovanna, nie jest Giulia. Ona chciałaby swojego męża.

\*\*\*

Ignazio też nie je kolacji. Nalewa sobie filiżankę czarnej herbaty i dalej przegląda akta dotyczące działania aromaterii przy via dei Materassai. Sklep nie zarabia już tyle co kiedyś i Florio kilkakrotnie myślał nawet, by się go pozbyć, ale ostatecznie zwyciężyły tradycja i przywiązanie do korzeni. Jest też w tym coś z przesądu: sklep należał do jego ojca, a wcześniej do dziadka i stryja, których Ignazio nigdy nie poznał. To fragment ich historii, tak jak pierścień noszony przez niego na palcu.

Gasi lampę, wychodzi z gabinetu. Ziewa. Może uda mu się zasnąć.

Służba bezszelestnie przemyka przez pokoje, gasi pozostałe lampy i płomienie w kominkach, szczapy bezszelestnie rozsypują się w popiół. Drzwi zostają zamknięte.

Nocny patrol pilnuje domu. Ignazio nie może tego zobaczyć, ale ma wrażenie, że słyszy kroki mężczyzn chodzących po ogrodzie. Nigdy nie przyzwyczaił się do tej „koniecznej” ochrony: jako dziecko biegał beztrudnie po całym Palermo, od via dei Materassai aż po Arenellę. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Bogactwo przyciąga kłopoty.

Wchodząc po schodach, zdejmuje marynarkę i rozluźnia krawat. Mija pokój matki, ale nie przystaje, by jej nie zbudzić. Widzi, że jest coraz bardziej zmęczona i słaba. Spróbuje ją przekonać, żeby została w Olivuzzy.

Idzie do sypialni chłopców, zbliża się do łóżka Ignazziddu. Jego syn śpi z dłonią przy ustach. Po Giovannie ma delikatne rysy i karnację. Jest żywym dzieckiem, lubi być na widoku. Vincenzino śpi z otwartymi ustami i podniesionymi rękami. Ma po ojcu lekko falujące włosy i szczupłe ciało, niemal ginące pod przykryciem. Ignazio gładzi go po policzku i wymyka się z pokoju. Ciekawe, czy dziecko, które ma się urodzić, będzie chłopcem czy dziewczynką. „Chciałbym, żeby to była dziewczynka”, myśli i się uśmiecha.

Wraca do swojego pokoju, gdzie na stołku drzemie z otwartymi ustami Leonardo, przez wszystkich w domu nazywany Nanài, lokaj, do którego zatrudnienia przekonała go w końcu Giovanna. Ignazio potrząsa jego ramieniem.

– Nanài...

Krępy mężczyzna z gęstwiną czarnych włosów na głowie zrywa się i zamyka usta.

– Don Ignazio, ja...

– *Vattinni a dormiri. Ancora ma firu a canciarimi sulo*<sup>3</sup> – przerywa mu Ignazio, uśmiechając się porozumiewawczo. W rozmowie ze służącymi używa dialektu, aby nie czuli się nieswojo. Taka mała sztuczka.

Lokaj się kłania i zaczyna przeproszać.

– *Mortificato sugnu, signure. Ero ccà che v'aspettava e...*

– *Bonu. Ora va curcati, che dumani matina n'avemu a susuri pi'cinque*<sup>4</sup>.

Sługa znika za drzwiami, nie przestając bełkotać przeprosin.

Ignazio prostuje nad głową ręce, ziewa. Zaciąga adamaszkowe zasłony w oknach, zdejmuje marynarkę i rzuca ją na fotel. Zzuwa buty, rozpina kamizelkę, opada na łóżko i zamyka oczy.

Z powodu zmęczenia odżywa pewne wspomnienie. Tak potężne, że wyrywa go z terażniejszości, wymazuje wszystko wokół. Wydaje mu się niemal, że wślizguje się z powrotem w swoje dwudziestoletnie ciało, że nie czuje już zmęczenia ani ciężaru odpowiedzialności.

Marsylia.

Akacja i koc leżący pod drzewem. Zapach świeżo skoszonego siana, granie cykad, ciepło słońca. Światło późnego lata przeciskające się przez liście, wiatr śpiewający w gałęziach. Jego głowa na ramieniu kobiety. Jej dłoń gładząca go po włosach. On czyta książkę, potem chwytą tę dłoń i zbliża do ust. Całuje...

Ktoś puka do drzwi.

Ignazio otwiera oczy. Słońce, ciepło i cykady natychmiast znikają. Jest z powrotem w Olivuzzy, w swoim pokoju, pod koniec

świętecznego dnia, który zmęczył go bardziej niż dzień pracy. Siada na łóżku.

– Proszę.

Giovanna.

W koronkowej toalecie, z włosami splecionymi w warkocz wygląda jeszcze młodziej niż jej dwadzieścia kilka lat. Mimo pozorów słabości jest silną kobietą, która zaszczyca go swoim oddaniem. Która przysporzyła mu nowej, szlachetnej krwi.

Giovanna to pewność, że dobrze wybrał, to życie bez buntu, odpowiednie do stanu, jaki reprezentują Floriowie: nowej arystokracji opartej na pieniądzu. Na potędze. Na prestiżu.

A ona jest matką jego dzieci.

„O tym masz myśleć – wyrzuca sobie Ignazio. – Nie o tym, czego już mieć nie możesz. Czego nigdy nie mogłeś mieć”.

Żona staje na środku pokoju.

– Jesteś zadowolony? Wszystko poszło dobrze, prawda?

Przytakuje. Myślami jest daleko, wciąż więzi go tamto wspomnienie i nie potrafi tego ukryć.

Giovanna podchodzi do niego, chwyta jego głowę w dłonie.

– Co z tobą? – Jej ton jest serdeczny. – Przyszłam porozmawiać o twojej matce. Martwię się o nią, coraz mniej je i z trudem chodzi, a to zły znak. Czy to dlatego jesteś taki?

Ignazio przecząco kręci głową. Obejmuje żonę za szyję, przyciąga do siebie, całuje w czoło. Gest czułości.

– Natłok myśli.

– Związanych z pracą? – dopytuje Giovanna, odsuwając się, by na niego spojrzeć.

Ignazio jest pogodny jak zawsze.

– Oczywiście.

Nie chce, nie może dodać nic więcej, bo zżera go poczucie winy. Ta kobieta kocha go całym swoim jestestwem i rozpaczliwie pragnie wzajemności. A jednak jakaś jego część wciąż – i zawsze – związana jest tamtym wspomnieniem. Wspomnieniem, które tętni w jego krwi. To bicie kamiennego serca dudniące obok serca z ciała.

Kładzie rękę na jej piersi, szuka jej ust. Pocałunek jest jeszcze letni, ale to ciepło rozgrzewa go, przeradza się w pożądanie.

– Giovanna – szepce.

Ona go przyjmuje, ściska, wypowiada jego imię.

Ignazio nagle coś sobie uświadamia.

– Ale czy możemy? Nie wiem, z dzieckiem...

Ona uśmiecha się tylko i zdejmuje mu koszulę.

Kochają się szybko, szukając się pod powierzchnią skóry, ścigając się nawzajem.

Potem do Ignazia przychodzi ciemny, pozbawiony marzeń sen.

Potem do Giovanny przychodzi smutek z powodu miłości, która trwała tylko kilka chwil. I przecucie, że nigdy nie będzie mogła dołączyć do Ignazia w jego świecie cieni.

\*\*\*

Na Trzech Króli rodzina ponownie zbiera się w jadalni willi Olivuzza. Głosy dorosłych wymieniających życzenia mieszają się z okrzykami dzieci otwierających prezenty. Na stole stoją poobiednie przekąski – kandyzowane i suszone owoce oraz trunki.

„Za głośno”, myśli Ignazio. Chce porozmawiać o interesach z François, swoim szwagrem, ale w tym rozgardiaszu to się nie uda. Daje mu znak, by poszedł z nim do gabinetu, a kiedy drzwi się za nimi zamykają, dwaj mężczyźni rozkoszują się ciszą.

– *Les repas di famigghia peuvent être très bruyants!*<sup>5</sup> – stwierdza François. Mówi prędko, mieszając słowa włoskie, francuskie i sycylijskie.

Jest przystojny, nosi podkreścone wąsy i ma jasne, dobre spojrzenie. Ignazio darzy go sympatią także dlatego, że jego szwagier szczerze kocha Giuseppinę.

– Jak wiesz, przyjechałem tu również w interesach – ciągnie François. – Zabrałem partię towaru do sklepu mojego ojca w Palermo i musiałem odebrać nieco długów, które... A przy okazji, czy mogę przechować kilka weksli w waszym banku?

– Oczywiście. – Ignazio nalewa mu kieliszek marsali i napełnia również swój. – Chciałem cię zapytać, czy są jakieś wiadomości na temat magazynów do wynajęcia w marsylskim porcie.

François rozkłada ręce, kropla trunku spada mu na palec.

– Wypatrzyłem dwa. Oba odpowiednie, choć ten większy jest *un peu plus loin*<sup>6</sup>.

Ignazio kiwa głową. Magazyn w pobliżu portu pozwoliłby mu zaoszczędzić wiele czasu i pieniędzy.

– Jak tylko wrócę do Marsylii, przekażę wszystkie wskazówki twoim pełnomocnikom – mówi François i wzdycha. – Zamierzam wyjechać co prędzej, bo trochę się martwię o mojego małego Louisa. Chciałbym, żeby zajął się nim dobry lekarz. A ty, czy masz tu dobrych lekarzy? Vincenzino wydał mi się nieco wąły...

– Tak niestety jest. Łatwo dostaje gorączki, jest słabowity. Dopiero co przeszedł przeziębienie i wciąż ma świszczący oddech...

– Do diaska, on też! Na szczęście *Josephine*, twoja siostra, nie jest sama z Louisem. Przebywa w gościnie u Camille Martin Clermont.

Ignazio nie podnosi głowy znad kieliszka.

– Pewnie słyszałeś, że nie nazywa się już Darbon, tylko Clermont, prawda? Wyszła ponownie za męża. Za admirala, porządnego człowieka.

Nagle Ignazio ma wrażenie, że głos szwagra dochodzi gdzieś z oddali.

– Tak – mruczy. – Myślę, że to było na początku sześćdziesiątego ósmego.

– Tak. Owdowiała w wieku dwudziestu lat. Nie miała dzieci i wygląda na to, że i teraz nie mogą ich mieć. Wiele wycierpiała, ale może już się pogodziła... – François wzrusza ramionami, dopija swoją marsalę. – Życie potrafi być bardzo niesprawiedliwe. Ale szczęście to nie jest coś, czego należy oczekiwać na tej ziemi – kończy. W jego głosie pobrzmiwa nuta smutku. A może to zawołany wyrzut pod adresem szwagra?

Palce Ignazia zaciskają się na kieliszku z rżniętego kryształu. Florio zmusza się do podniesienia głowy, do obojętnego spojrzenia. Udaje mu się nawet przytaknąć.

I właśnie w tym momencie François go zaskakuje. Jego twarz łagodnieje, znika z niej smutek... a może wyrzut?

– Kiedy jej powiedziałem, że płynę do Palermo, prosiła, abym przekazał ci pozdrowienia.

Ignazio nabiera powietrza głęboko w płuca.

– Rozumiem – mówi cicho.

A przecież wolałby nie rozumieć, nie wiedzieć, nie pamiętać.

Przesuwa dłonią po karku, masuje zeszywniałe mięśnie. Opuszcza głowę. Oddech, który nie może wydostać się przez usta, rozpycha mu klatkę piersiową. Wraz z nim trudno się pozbyć tej jednej upartej myśli. Ignazio Florio, właściciel blisko pięćdziesięciu statków, odlewni, banku, dziesiątek nieruchomości, producent cennego wina, nie chce, żeby widziano jego twarz. Nie w tym momencie.

Ale po chwili podnosi głowę i patrzy na szwagra.

– Przekaż jej, że odwzajemniam pozdrowienia.

Nie ma prawa o nic prosić. Ma jedynie obowiązek żyć w teraźniejszości.

\*\*\*

Luty 1872 roku przyniósł nieco chłodu tej łagodnej dotąd zimy. Ignazio uświadamia to sobie niemal przypadkowo, gdy wysiada z powozu, który zatrzymał się przed cmentarzem Santa Maria di Gesù u stóp monte Grifone. Jego oddech przybiera postać niewielkiego obłoku pary.

Palermo jest daleko. Wokół Ignazia zieleń i cisza. Szare światło dnia przeciska się przez chmury. Szum deszczu łapanego przez gałęzie niedawno posadzonych cyprysów i grube krople kapiące z liści drzew pomarańczowych otaczających cmentarz odciągają go na kilka chwil od ponurych myśli, które towarzyszyły mu w drodze.

Z biegiem lat pustka pozostawiona przez śmierć ojca powoli się zasklepiła, jak rana, która goiła się długo i pozostawiła po sobie głęboki smutek. Ignazio już uwierzył, że potrafi z tym żyć, że znalazł spokój w rezygnacji i pracy. Wciąż rozmawiał z ojcem w myślach, by utrwalić ich wspólne małe rytuały, takie jak poobiednie czytanie

dziennika „Giornale di Sicilia”. I zachował pewne nawyki, jak picie porannej kawy w gabinecie, w całkowitej samotności.

A jednak...

Pewnego listopadowego wieczoru poprzedniego roku jego matka położyła się wieczorem do łóżka, a on pożegnał ją roztargnionym pocałunkiem w czoło.

Następnego ranka Giulia się nie obudziła.

Umarła we śnie. Jej dobre serce przestało bić. Odeszła tak samo cicho, jak żyła.

Pod maską żalu Ignazio skrywał wściekłą furję. Nie mógł jej wybaczyć – była niesprawiedliwa, odmówiła mu szansy na pożegnanie, na przygotowanie się do jej odejścia. Nie mógł podziękować jej za wszystko, co dla niego zrobiła: za dobroć, której go nauczyła, za spokój, który mu przekazała, za szacunek, który zawsze okazywała innym. Oddanie pracy, ducha poświęcenia i determinację odziedziczył po ojcu. Wszystko inne, począwszy od umiejętności przetrwania burz życiowych, wszystko, co naprawdę czyniło go człowiekiem, było darem Giulii. I nawet – dopiero wtedy to sobie uświadomił – nawet ta wyłączna, cicha, niezachwiana miłość, jaką darzyła ojca, była darem.

Potem, gdy upływały dni, zrozumiał. Jego matka zgasła dokładnie w rocznicę śmierci Vincenza. Pozostał po niej tylko duch gotowy, by rozwiać się w pierwszym świetle dnia. I pusta skorupa ciała. Potem to światło nadeszło. Wraz z nim nadszedł spokój. Bo jeśli jej ojciec był morzem, ona była skałą. A skała nie może istnieć bez morza.

Teraz Vincenzo wyobraża ich sobie w miejscu, które nie istnieje, a jednak bardzo przypomina willę Quattro Pizzi. Jego ojciec patrzy w morze, a matka wspiera się na jego ramieniu. Podnosi głowę ze swym charakterystycznym powściągliwym uśmiechem na ustach; ojciec spogląda na nią i przytyka czoło do jej głowy. Nie rozmawiają. Po prostu są blisko siebie.

Vincenzo czuje ucisk w gardle. Nie wie nawet, czy to, co umysł zaoferował mu na pocieszenie, jest wspomnieniem z dzieciństwa, czy może czymś innym. Mówi sobie, że nie chce tego wiedzieć, pokonując ostatnie kilka metrów do grobowca, który zbudował dla



swoich rodziców. To nie ma znaczenia: gdziekolwiek są, są razem, w pokoju.

Oto i kaplica. Imponująca budowla, otoczona innymi monumentalnymi grobowcami, należącymi do najstarszych rodzin Palermo. W Santa Maria di Gesù miasto zmarłych jest lustrzanym odbiciem miasta żywych.

Przed bramą widzi Giuseppego Damianiego Almeydę i Vincenza Giachery'ego. Mężczyźni rozmawiają, a ich słowa dźwięczą na tle świergotu ptaków zamieszkujących cyprysy. Nie od razu uświadamiają sobie jego obecność.

– Ostatnie domy, które kupił, wszystkie zostały wzięte na rzecz kompanii parowców pocztowych. Wiecie, co chce z nimi zrobić? – pyta Damiani Almeyda, podnosząc kołnierz, aby osłonić się przed wilgocią.

– Przestały go interesować przyprawy. Powiedział nam to zaraz po śmierci ojca, ale...

Ignazio włącza się do rozmowy cichym głosem:

– I wyjaśniłem wam także dlaczego: czasy się zmieniły.

Obaj mężczyźni odwracają się ze zdziwieniem.

Ignazio myśli o piwnicach w Marsali, o produkowanym przez siebie likierowym winie, które dociera do całej Europy. O parowcach przewożących towary i ludzi po Morzu Śródziemnym i dalej, do Azji i Ameryki.

– Są tacy, co są bogaci, i tacy, co chcą się czuć bogaci – dodaje.

Damiani Almeyda wzrusza ramionami.

– Co do tego macie rację. Ludzie dzisiaj aspirują do tego, aby czuć się bogatymi, nawet jeśli nimi nie są.

– Zawsze tak było. Ludzie lubią udawać hiszpańskich grandów. – Giachery opiera się na lasce, której używa od jakiegoś czasu z powodu dokuczliwego bólu w biodrze. – Wcześniej była arystokracja, która udawała, że wciąż ma pieniądze, nawet jak już wyprzedła ostatnie gwoździe ze ścian. Teraz udaje nawet biedota. – Wodzi wzrokiem po otoczeniu: nagrobki z wzniośle brzmiącymi nazwiskami sąsiadują z pustymi płytami, milczącymi w oczekiwaniu. Rodziny mieszczańskie łączą się z rodami o arystokratycznym rodowodzie, wystawne grobowce wznoszą się

obok grobów skromnych nie z wyboru, lecz z braku pieniędzy. Śmierć odebrała ambicję bogactwa tym, którzy aby przeżyć, musieli sprzedać nawet gwoździe ze ścian, jak to ujął Giachery, podczas gdy nowe grobowce rodzin mieszczańskich epatują bogactwem uzyskanym dzięki pracy. Tak jest na Santa Maria di Gesù oraz na innych miejskich cmentarzach, począwszy od największego: Santa Maria dei Rotoli.

– Im dalej zajdziemy, tym bardziej ta zmiana będzie widoczna. Tak już jest w innych częściach Europy. Jakby niektórzy chcieli udowodnić, że są panami świata, kiedy nie mają na własność nawet dziury w ziemi. – Damiani Almeyda schodzi po stopniach do krypty, gdzie nie tak dawno pochowano Giulię, i wyciąga z kieszeni pęk kluczy. Waży je w dłoniach, po czym wręcza Ignaziowi. – Proszę. Są wasze.

Ten bierze je do ręki, zaciska na nich palce. Są duże, żelazne, ciężkie. Takie jak spadek po ojcu.

Ignazio stoi teraz przed drzwiami do krypty. Klucz obraca się w zamku. Na podłodze ślady wapna i stóp.

W głębi krótkiego korytarza znajduje się biały sarkofag z rzeźbionego marmuru. Na medalionie jego ojciec przedstawiony jest jak półbóg, w todze narzuconej na mieszczańskie ubranie. Jego matka spoczywa w niszy za sarkofagiem. Tak samo dyskretna w śmierci jak w życiu.

Dwaj pozostali mężczyźni trzymają się z tyłu. Ignazio kładzie dłoń w rękawiczce na sarkofagu, gładzi marmur. Mimo chłodu milczącego kamienia w głębi serca czuje obecność swoich rodziców. Delikatne ciepło wzbiera mu w piersi. Robi, co w jego mocy. Próbuje. Ale tęskni za ich spojrzeniami, nawet po długim czasie. Nigdy do końca nie przestaje się być dzieckiem, tak samo jak nie sposób nie być rodzicem, gdy już się sprowadzi dziecko na świat.

Zamyka oczy i zalewają go wspomnienia. Quattro Pizzi, wielki gaj cytrusowy w Villa ai Colli di San Lorenzo, gdzie ganiał za siostrami, zabawy w kręgu wokół draceny przed portykiem, lekcje tańca z matką, która była tak niezdarna, że nieustannie nadeptywała mu na palce, a jednak cieszyła się z tego kontaktu z nim i śmiała się z głową odrzuconą do tyłu, podczas gdy mistrz tańca prychał,

a Angelina i Giuseppina przewracały oczami, zirytowane tą poufałością matki i syna. I jeszcze ojciec kładący mu rękę na ramieniu i tłumaczący cichym głosem, jak poruszać się wśród rekinów polityki...

A potem nieoczekiwanie ukazuje mu się twarz otoczona masą jasnych loków.

Ignazio nigdy nie potrafił o niej rozmawiać. Z nikim. Wie o niej tylko jego siostra Giuseppina. I prawdopodobnie – co można wnioskować z jego zachowania i doboru słów – François.

Nie, poprawia się Ignazio, jeszcze ktoś wiedział.

Jego matka. Zapytała go, czy naprawdę chce się ożenić z Giovanną, a on odpowiedział, że tak, że nie może postąpić inaczej.

„Nie tylko wiedziałaś, ale też rozumiałaś cały mój ból, mamó”.

Ta rana nigdy nie przestanie boleć, ponieważ było to największe wyrzeczenie, cena za to, by ojciec uznał go za prawdziwego Florio. Cena wyznaczona w milczeniu, bez jednego słowa o niej.

Dopiero wtedy Ignazio uświadamia sobie jeszcze jedną nić, która łączy go z matką. Oboje zrezygnowali z ważnej części siebie, aby Dom Florio mógł nie tylko dalej istnieć, ale przede wszystkim prosperować. Jego matka poświęciła swoją miłość i godność, aby Vincenzo mógł swobodnie oddać się ciałem i duszą swojej pracy. A on, ich syn, posunął się jeszcze dalej, wyrzekając się kobiety, którą kochał, aby rodzina Florio mogła rozszerzyć swoją działalność tam, gdzie jego ojciec dotrzeć nie był w stanie – najpierw na salonach palermiańskiej szlachty, a potem jeszcze dalej, na dworze Sabaudów. Sycylijska arystokracja, w której żyłach płynęła arabska, normańska i francuska krew, była przekonana, że pochodzi wprost od olimpijskich bogów, a oni, Floriowie, musieli się na ten Olimp wspiąć. I dokonali tego.

„Jednak są dni – i noce – kiedy to nie wystarcza”, myśli Ignazio. Właśnie w te dni i noce powracają wspomnienia Marsylii i najszcześniejszego okresu w jego życiu: widzi siebie, gdy miał dwadzieścia lat, pamięta dźwięki i barwy małego wiejskiego domu, zapach róż, woń mydła przesuwającego się po kobiecym ciele, nagim tak samo jak jego, w jednej wannie.

„Prawdziwym przekleństwem szczęścia jest nieuświadomienie sobie, kiedy się go doświadcza. W chwili, gdy uzmysławiasz sobie, że byłeś szczęśliwy, pozostaje ci tylko echo”.

Patrzy na nagrobek matki, Giulii Rachele Florio z domu Portalupi. Kobiety, która wiedziała wszystko, pośredniczyła, nie dając tego po sobie poznać, kochała, nie żądając niczego w zamian, która zawsze pozostawała krok z tyłu.

Jego córka, urodzona w czerwcu 1870 roku, nosi jej imię. Giulia. Jego *stidduzza*, jego gwiazdka na niebie, ma już półtora roku.

Florio słyszy za sobą kroki. Odwraca się. Giachery ma dobry uśmiech, w którym można odczytać słowa otuchy, choć pozostają niewypowiedziane. Ignazio natychmiast ukrywa swoje myśli za powściągliwą zasłoną spokoju. Nikt nie może wiedzieć.

– Dobra robota – mruczy. – Oczywiście robotnicy mogliby dokładniej posprzątać schody.

Dotyka nagrobka Giulii, składa opuszkami palców pocałunek, potem robi znak krzyża.

Giachery go naśladuje.

Damiani Almejda czeka na nich w progu z rękami splecionymi za plecami. Ruszają do wyjścia i wsiadają do powozu.

Ignazio przerywa ciszę.

– Mam nadzieję, że mi wybaczycie, że zaciągnąłem was aż tutaj, ale chciałem zobaczyć kaplicę po pochówku mojej matki.

– Jesteście usatysfakcjonowani?

– Bardzo, inżynierze – mówi Ignazio i rzuca spojrzenie za okno. Między postrzępionymi chmurami ukazują się łaty błękitu. – Ale chciałem porozmawiać z wami o jeszcze jednej sprawie. Rozważam zajęcie się czymś, co kiedyś chciał robić mój ojciec.

Giachery marszczy czoło.

– Tylko czym, powiedzcie. Wasz ojciec wciąż eksperymentował i trudno było nadążyć za wszystkimi jego pomysłami.

– To prawda. Mówię o przemyśle włókienniczym, o fabryce, którą chciał założyć w Marsali obok winnicy. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło. – Ignazio się zamyśla. – Słyszałem, że mecenas Morvillo, miejski asesor do spraw edukacji publicznej, szuka wspólników do swojej przędzalni bawełny, tu, w Palermo.

Inteligentny człowiek. Cenię go również za postępowe pomysły dotyczące pracowników. Postarajcie się dowiedzieć, jakie są jego intencje, ale nie odkrywając się zanadto, tak jak wy to umiecie.

Giachery kiwa głową.

– Chce tutaj prząść bawełnę, ale to kosztuje – mówi. – Neapolitańska konkurencja jest zbyt silna.

– To jakieś szaleństwo, że naszą sycylijską bawełnę trzeba wysyłać do przędzalni w Neapolu lub nawet w Wenecji, a potem ściągać ją tutaj z powrotem na sprzedaż. Cena rośnie nieproporcjonalnie, już taniej jest kupować angielskie czy amerykańskie płótno. A jeśli możemy obrócić sytuację na naszą korzyść, to czemu nie?

– W porządku. Zajmę się tym.

Damiani Almeyda obserwuje Ignazia i nie komentuje. Ten człowiek zastanawia go, dezorientuje i fascynuje. Z pewnością nie ustępuje swemu ojcu, a jednak nie mógłby bardziej się od niego różnić. Ma w sobie jakąś wewnętrzną głęboką siłę i bezwzględną determinację, ukrytą pod nienagannymi manierami. Ale Damiani Almeyda jednego jest pewien: uprzejmości należy się czasem obawiać bardziej niż okrucieństwa.

\*\*\*

– Duszone warzywa z masłem i odrobiną pieprzu i królik po prowansalsku – dyktuje Giovanna, a donna Ciccina zapisuje, wysunawszy koniuszek języka. – Co do wina, może być alicante – podsumowuje Giovanna. Dba o to, by Ignazio po powrocie znalazł się w przyjaznym otoczeniu i by wszystko było dopilnowane w najdrobniejszym szczególe.

Donna Ciccina składa papier, podaje go służącej, żeby zaniósła do kuchni, po czym przenosi uwagę na Giovannę i z zadowoleniem kiwa głową, patrząc na czarną suknię z dyskretnymi obszyciami w kolorze malwy. Od śmierci Giulii minęły zaledwie trzy miesiące, żałoba wciąż jest ścisła.

– *Site un ciure.*

Giovanna lekko się uśmiecha. Wie, że to nieprawda, że nie jest żadnym kwiatem i daleko jej do piękności, ale to niewinne kłamstwo sprawia, że czuje się lepiej. Donna Ciccia ściska jej ramię.

– I pomyśleć, że kiedyś baliście się wszystkiego. A teraz się okazuje, że jesteście doskonałą panią domu. Wiecie nawet, jak dobrać wina.

– Ma... mamamama...

To mała Giulia, najmłodsza pociecha. Niania podaje ją Giovannie, która uśmiecha się i całuje córeczkę w oba policzki. Dziewczynka chwytając jej palec i zbliża go do ust.

– Jaka jesteś piękna, serce moje – mówi Giovanna, pocierając nosem o nos małej, która próbuje złapać pukiel jej włosów. – Życiem moim jesteś.

Donna Ciccia patrzy na tę scenę i spada jej kamień z serca. Od dawna modliła się do Boga – i nie tylko do Boga – by jej *picciridda*, jej mała dziewczynka, zyskała pogodę ducha. Tak właśnie, jej *picciridda*, a nie *padrona*, pani, bo to donna Ciccia była dla Giovanny jak matka, ona ją wychowała, ona zawsze przy niej była. „Jakże się zmieniła od wczesnych dni małżeństwa”, myśli, składając zostawioną u stóp łóżka halkę. Zawsze była tak nerwowa i niepewna, schronienie znajdowała w głodówkach, jakby chciała zniknąć ze świata. Jakby nie mogła pozwolić sobie na istnienie. A teraz dobrze się czuje w roli matki i żony. Nabrała też trochę ciała, co dodało jej kobiecości. Donna Ciccia nie potrafi powiedzieć, czy jej *picciridda* rzeczywiście znalazła spokój, czy też tylko pogodziła się z losem. Z pewnością jej relacja z Ignaziem nie jest porównywalna do relacji innej pary, którą donna Ciccia poznała od podszewki – rodziców Giovanny. Oni nigdy nie przekroczyli granicy wzajemnej obojętności. Ale dystans między spokojem Ignazia a emocjonalnością Giovanny może się na dłuższą metę okazać nie do pokonania. Zdała sobie z tego sprawę natychmiast, ale mogła mieć tylko nadzieję, że tak się nie stanie. Czuwała więc w milczeniu, słuchała Giovanny, pocieszała ją, osuszała jej łzy, tak jak prawdziwa matka.

Giovanna daje ostatni pocałunek Giulii i powierza ją niani.

– Powiedz Vincenzinowi i Ignazziddu, żeby zaczęli się uczyć, bo zaraz przychodzi nauczyciel muzyki. Wkrótce do nich dołączę.

Kobieta znika za drzwiami. Donna Ciccia odwraca się i zaczyna porządkować gorsety, starając się ukryć grymas. Obie męskie latorośle Domu Florio są żywiołowe, jak to dzieci, ale o ile Vincenzino słucha upomnień i zawsze przeprasza, o tyle Ignazziddu wydaje się obojętny nawet na klapsy.

– *Acqua di malutempu*<sup>7</sup> – wymyka się jej szept.

– Coście powiedzieli? – pyta Giovanna.

– Myślałam o paniczu Ignazziddu. To żywe srebro.

– Mój mąż mówi, że tak się dzieje, bo jest jeszcze mały.

– *U' lignu si radrezza quann'è viridi*<sup>8</sup> – mówi kobieta.

– Jeszcze z tego wyrośnie, zobaczycie – odpowiada Giovanna, otwierając pudełko z biżuterią, by wybrać kolczyki.

Część biżuterii – topazy, perły, szmaragdy – należała do Giulii, choć większość ozdób trafiła do jej córek. Giovanna nieszczególnie lubi te klejnoty, uważa, że są staroświeckie w formie i zbyt ciężko opracowane. W każdym razie nie nadają się na czas żałoby. W końcu wybiera kolczyki z onyksu i pereł.

– Ciekawe, co by na to powiedziała moja teściowa – ciągnie. – Z tego, co wiem, Giuseppina i Angelina były jako dzieci znacznie bardziej niespokojne niż Ignazio. – Wzdycha. – W ostatnich dniach tak trudno było z nią rozmawiać. Zawsze stała przy oknie i wpatrywała się w drogę, jakby na kogoś czekała...

– To on ją przywołał do siebie. – Gdy donna Ciccia to mówi, wstrząsa się i robi szybko znak krzyża. – Jednego z ostatnich wieczorów poprosiła mnie, żebym zostawiła zapaloną lampę, bo przychodzi jej mąż. Pomyślałam wtedy, że coś jej się z głową dzieje. Ale kiedy umarła, trochę się przestraszyłam.

Giovanna wykrzywia usta. Nie lubi mówić o tych sprawach. Siada przy stoliku i bierze listy, które położyła tam dla niej donna Ciccia. Większość z nich to zaproszenia na obiady lub przyjęcia – czysto kurtuazyjne, zważywszy na żałobę – ale nie brakuje też biletów z kondolencjami.

– Ciągłe przychodzą... – komentuje, machając jednym z nich, podczas gdy donna Ciccia sięga po kosz z przyborami do haftu gobelinowego.

Współpracownik Vincenza, który był w podróży i dopiero teraz usłyszał wiadomość; kuzyn mieszkający w Kalabrii (Giovanna ledwo kojarzy jego imię); dostawca gęsto tłumaczący spóźnione kondolencje, bo był bardzo chory i nie...

A potem...

Bilecik na czerpanym papierze z Amalfi, ze znaczkiem poczty francuskiej, adresowany do Ignazia. „Jak to się tu znalazło?”, zastanawia się Giovanna, obracając go w palcach. Zauważa przede wszystkim delikatną kaligrafię, odmienną od kanciastego i ciężkiego pisma na pozostałych kondolencjach. Ma zamiar odłożyć bilecik na bok, ale potem znów na niego patrzy. Waha się przez chwilę. Następnie odsuwa na bok pozostałe koperty, wyciąga z włosów szpilkę i używa jej jak noża do papieru. „Ignazio nie będzie miał nic przeciwko, jeśli...”.

*Teraz także Twoja matka odeszła. Wiem, jak bardzo byłeś z nią zżyty, i wyobrażam sobie, jak trudno Ci nie móc opłakiwać jej tak, jak byś chciał. Moje serce płacze razem z Tobą.*

*Twój ból jest moim i wiesz o tym.*

C.

Giovanna ma wrażenie, że jej oddech zamienia się w odłamki szkła.

Żaden kupiec, żaden krewny, żaden przyjaciel nie napisałby takiego zdania. Żaden mężczyzna, poprawia się. Nie w takim tonie. Nie tym eleganckim pismem. Nie na tym pięknym papierze.

*Twój ból jest moim i wiesz o tym.*

Tylko kobieta mogła napisać takie zdanie.

I tylko do mężczyzny, którego dobrze zna.

Tylko do mężczyzny, którego kocha.

Giovanna energicznie potrząsa głową. Zdania, spojrzenia, gesty. Milczenie. Tyle milczenia.



Wspomnienia przepelniają umysł. Usłyszane niegdyś słowa nagle nabierają innego znaczenia.

„Nie”.

Podnosi głowę i niemal podskakuje, gdy widzi swój wizerunek w lustrze. Jej oczy są ogromne, puste i ciemne, jakby zapadła w nich noc. Patrzy na donnę Ciccę, która wciąż zajmuje się niemi i lnianym płótnem i niczego nie zauważyła.

Potem przenosi spojrzenie na kopertę. Chce wiedzieć. Musi wiedzieć.

Pieczęć jest prawie nieczytelna. Przechyla papier w stronę światła padającego z okna. Marsylia. Ta wiadomość jest z Marsylii. Czy to możliwe, by Giuseppina i François znali tę kobietę? Przez chwilę Giovanna rozważa pomysł napisania do Giuseppiny, ale szybko go odrzuca. O co miałyby zapytać?

„Zrobiłabyś z siebie idiotkę”, odzywa się w jej wnętrzu zły głos tonem mgliście przypominającym ten, którym mówi jej matka.

Giovanna podnosi kartonik, wacha go. Wydaje jej się, że czuje słaby zapach kwiatów. Może goździków. A może to jej wyobraźnia. Nie wie. Ręce ją mrowią, żołądek buntuje się i kurczy, jakby miał własne niezależne życie, a uczucie, które tak długo naznaczało jej egzystencję, powraca. Precz z jedzeniem, precz z emocjami.

Zamyka oczy, aż odruch wymiotny ustaje.

Lęki, te bezimienne lęki, wracają do życia, rzucają się na nią. Giovanna upuszcza bilecik na podolek, kartka wygląda teraz jak plama z kości słoniowej na czerni spódnicy. Zdaje się wydzielać jakąś złą energię.

*Moje serce płacze razem z Tobą.*

– Donna Ciccia, idźcie do dzieci – mówi stanowczym głosem. – Muszę odpisać na te bilety. Dołączę do was później.

Wstaje, chowa kartkę w dłoni i prawie nie zdając sobie z tego sprawy, gniece ją. Nie słucha odpowiedzi kobiety, wychodzi za drzwi i wpada do pokoju męża. Rozgląda się wokół gorączkowo, a krew szumi jej w uszach. W mgnieniu oka przypomina sobie inny poranek, inną żalobę. Otwiera na oścież drzwi szafy.

Zwabiony odgłosem kroków, w progu pojawia się lokaj.

– *Chi ci fu?* Co się stało?

Widok pani domu grzebiącej w ubraniach męża zbija go z tropu. Ona odwraca się i mrozi go wzrokiem.

– *Vattinni!* – syczy.

To dobitne „precz” wystarczy, by przestraszony mężczyzna wycofał się za drzwi. W Giovannę jakby demon wstąpił. Wkłada ręce między koszule, przesuwając szlafroki, obmacuje kieszenie spodni...

Potem nagle nieruchomieje. Czuje zawroty głowy. Przyciska palce do skroni.

Takie zachowanie nie jest jej godne. Ale jak to znieść, jak wytrzymać, jeśli mężczyzna, który nauczył cię miłości, dla którego zmieniłaś swój sposób bycia i nawet nauczyłaś się jeść, jeśli ten mężczyzna nosi w swoim sercu inną kobietę?

Zamyka oczy, próbuje myśleć. Nie, świat jej męża nie znajduje się w tym pokoju, wśród tych przedmiotów. „Tutaj Ignazio przychodzi tylko po to, żeby się przebrać i spać. Większość czasu spędza w gabinecie. To tam trzyma naprawdę ważne rzeczy”.

Więc Giovanna biegnie, biegnie jak nigdy w życiu. Zbiega po schodach, kieruje się do gabinetu. Przywołani hałasem, jej synowie wychylają się zza drzwi swej sypialni i z zaskoczeniem patrzą na matkę. Nigdy nie roztaczała wokół siebie aury takiej rozpacz. Vincenzino kaszle i spogląda pytająco na Ignazziddu, ale ten wzrusza tylko ramionami.

Giovanna otwiera drzwi do gabinetu. Wchodzi tu po raz pierwszy. To miejsce interesów, suchych słów, wytłumionych skórą ścian, dymu cygar. Przez kilka chwil patrzy, jak z półmroku wyłaniają się masywne drewniane meble, niska biblioteczka za biurkiem, orientalna lampa na szafce. Następnie podchodzi do biurka, gwałtownie wysuwa szuflady. Znajduje ołówki, pióra, stalówki, rejestry pełne cyfr. Przerzuca je, bezskutecznie. Potem pochyła się, otwiera ostatnią szufladę. Jest tam podwójna komora.

To właśnie tam je znajduje. Pudełko z drewna różanego i hebanu z metalową rączką. Ignazio trzymał je w swojej szafce przy *via dei Materassai*. Kiedyś zapytała go, co jest w środku, a on lakonicznie odpowiedział: „Wspomnienia”.

Ręce jej się trzęsą. Pudełko jest gładkie, ciężkie, ciepłe w dotyku. Giovanna stawia je na blacie biurka i promień słońca uderza w nią, oświetlając słoje drewna.

Otwiera.

Natychmiast czuje zapach bardzo podobny do tego, który, jak jej się zdawało, wyczuła na bilecie z kondolencjami. Potem, pod wytartym egzemplarzem *Księżnej de Clèves* madame de La Fayette, znajduje plik kopert. Wysypuje wszystkie na skórzaną podkładkę na biurku i z mieszaniną ciekawości i obrzydzenia zanurza w nich ręce. Papier jest ciężki, wytworny, a pismo kobiece. Wiele z listów nie jest nawet otwartych, inne są niemal w strzępach. Wszystkie mają pieczętkę Marsylii i wydają się pochodzić sprzed kilku lat. Spod stosu kopert wyłania się też niebieska satynowa wstążka, nieco wyblakła.

Na dnie pudełka leżała notatka podobna do tej, która wywołała burzę; teraz znajduje się na wierzchu stosu kopert. Giovanna patrzy na datę, odczytuje liścik. Kondolencje po śmierci jej teścia.

Znowu ogarnia ją szal.

– Kim jest ta kobieta?! – krzyczy Giovanna i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Chwyta kopertę, próbuje ją otworzyć.

– Co robisz?

Głos Ignazia jest jak strumień lodowatej wody na twarzy. Giovanna podnosi głowę, widzi go w progu z płaszczem w rękach. Bezwiednie upuszcza kopertę. Ignazio przenosi wzrok z twarzy żony na otwarte pudełko, a potem na koperty rozrzucone na biurku.

– Pytałem, co robisz – powtarza zachrypniętym, niemal metalicznym głosem. Jest blady.

Następnie zamyka drzwi, kładzie płaszcz na krześle i podchodzi do biurka. Powoli wyciąga rękę i bierze zmięty bilecik. Gładzi go niemal miłosnym gestem. Ale jego twarz jest zimna, nieruchoma.

I właśnie ten gest doprowadza Giovannę do furii.

– Co to jest, to...? – syczy, wymachując kopertą, którą zaciska w dłoni.

– Oddaj – mówi Ignazio, a jego oczy wciąż są utkwione w bileciku.

W tym szepcie brzmi rozkaz. Giovanna kręci głową i przyciska arkusik do piersi. Na jej bladą twarz wypływają czerwone plamy, dziwnie kontrastujące z czernią sukni.

– Co to jest? – powtarza Giovanna, tym razem grobowym tonem.

– Rzeczy, które nie mają z tobą nic wspólnego.

– To listy od kobiety. Kim ona jest?

Ignazio spogląda na nią i serce Giovanny pomija jedno uderzenie.

Ignazio – jej Ignazio – nigdy nie tracił nad sobą kontroli. Wszelkie sprzeciwy zawsze odrzucał wzruszeniem ramion lub pełnym dystansu uśmiechem. Ale ten mężczyzna, którego widzi przed sobą, mężczyzna o ziemistej twarzy, zaciśniętych szczękach i półprzymkniętych gniewnych oczach, nie jest jej mężem. Jest obcym, osobnikiem w furii niemożliwej do opanowania i lodowatej zarazem.

Myśli Giovanny się kłębią, są okrutne, przerażone, sprzeczne. „Głupia! Dlaczego chciałam wiedzieć? Ponieważ jestem jego żoną, a on jest mi to winien. Czy nie mogłam podrzeć tego biletu i zapomnieć? Nie, powinnam była go okłamać. Okłamać mojego męża... Wszystko pozostałoby bez zmian! Co ja teraz zrobię, żeby go udobruchać? Ale przecież mam prawo wiedzieć, po tych wszystkich latach poświęceń! A jeśli wybierze tamtą kobietę? Ale nie, to niemożliwe, są przecież Vincenzino i Ignazziddu...”

Potrząsa głową, jakby chcąc uciszyć te głosy, które ją rozdzierają.

– Dlaczego? – pyta go w końcu. Puszczą kopertę i opiera się o biurko, pochylając się w jego stronę. To jedyne pytanie, które może, które chce mu zadać. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że była inna? – ciągnie, a w jej głosie słychać teraz cień płaczu. – Czy to dlatego nigdy tak naprawdę mnie nie chciałeś? Bo myślałeś tylko o tej Francuzce?

– Odkąd cię poślubiłem, nigdy nie było innej.

Jego głos znów jest stanowczy, kontrolowany. Nawet wyraz twarzy Ignazio ma taki jak zwykle, spokojny i zdystansowany. Tylko drobny grymas wykrzywia jego usta, gdy on zbiera koperty, układa je i umieszcza z powrotem w pudełku.

Giovannie jednak nie umyka czułość tych gestów, troska, z jaką jej mąż zwija niebieską wstążkę, miękkość, z jaką bierze książkę.

Nie może się powstrzymać i rzuca:

– *Tanto megghiu di mia è?*<sup>9</sup>

– To przeszłość. Nie masz z tym nic wspólnego – odpowiada Ignazio, nie patrząc na nią. Następnie z kieszeni spodni wyciąga pęk kluczy. Jednym z nich, małym i ciemnym, zamyka szufladę. Ściska go mocno w dłoni, gdy kieruje się do drzwi. – To nie są twoje sprawy. I nigdy więcej nie wchodź do mojego gabinetu. Nigdy więcej.

\*\*\*

Piasek i sól pod butami. Wiatr jest gorący, silny, białe światło tak oślepiające, że zmusza do mrużenia oczu. Zapach oregano miesza się z wonią morza. Ignazio schyla się, podnosi garść piasku i ziemi i przesiewa ją przez palce. To pokruszony tuf, blada skała więżąca pozostałości muszli i morskich zwierząt, prawdziwe serce Favignany.

Jego wyspy.

„Naprawdę mojej”, myśli z uśmiechem, gdy rusza dalej i dociera nad krawędź urwiska Bue Marino, skąd może spojrzeć na ląd i morze. W dole robotnicy tną bloki tufu. Później przeciągną je na brzeg i załadują na statki płynące do Trapani. W powietrzu unosi się drobny pył, natychmiast porywany przez wiatr: to efekt wydobywania tufu z kamieniołomów głębokich na kilkadziesiąt metrów. Pozyskiwanie tufu to od wieków główna obok rybołówstwa działalność mieszkańców wyspy, nie tylko dlatego, że stanowi on źródło dochodu, ale również dlatego, że wykorzystuje się go tutaj do budowy domów.

To naprawdę jego wyspa. Kilka miesięcy wcześniej kupił od markizów Giuseppego Carla i Francesca Rusconiego oraz ich matki, markizy Teresy Pallavicini, całe Egady: Favignanę, Marettimo, Levanzo i Formikę, tę ostatnią położoną w połowie drogi między Levanzo a Trapani. Wszystkim powiedział, że dzięki tej inwestycji – wartej dwa miliony siedemset tysięcy lirów<sup>10</sup> – będzie mógł dać zdecydowany impuls połowom i przetwórstwu tuńczyka, że może

wykorzystać jako siłę roboczą skazańców zamkniętych w forcie Santa Caterina i że na dodatek jest tam tuf, który można sprzedać. W skrócie: poddał każdą z wysp drobiazgowej analizie, ocenił jej potencjał i podjął decyzję o zakupie. Wykorzystał też to, że poprzedni właściciel miał kłopoty, dzięki czemu udało mu się obniżyć cenę.

Przed samym sobą nie musi się jednak usprawiedliwiać.

Jak prawie siedemdziesiąt lat wcześniej stryj, którego imię nosi, od pierwszego spojrzenia pokochał tonnarę<sup>11</sup> w Arenelli, tak Ignazio zakochał się w Favignanie: kochał ją bardziej niż interesy, niż prestiż, niż te wszystkie rzeczy wypełniające jego życie. Napięcia związane z pracą – trudności przy wydobywaniu siarki, wzrost ceł – są odległe, jego rodzina również. Oczy Giovanni, poważne i smutne, są tylko wyblakłym wspomnieniem.

W tym miejscu chce stworzyć dla siebie dom, tak jak jego ojciec zbudował sobie dom w Arenelli. Ale jeszcze nie czas na to: ma podpisany kontrakt dzierżawy na tonnarę z jej *gabellotto*<sup>12</sup>, Vincenzem Drago. Musi poczekać jeszcze trzy lata – a będzie to rok 1877 – aby w pełni objąć zakład i wyspę w posiadanie.

Kilkanaście metrów pod nim morze jęczy, ryczy, dudni. Wiatr, kapryśny *favonio*, zaraz się zmieni – Ignazio już to wyczuwa – a wtedy i ten kawałek morza nagle złagodnieje. Uspokoi się tak, jak on się uspokoił w chwili, gdy postawił stopę na wyspie.

Zamyka oczy, pozwala światłu przeciskać się przez powieki. Przypomina sobie chwilę, kiedy przybył tu po raz pierwszy. Miał zaledwie czternaście lat i jego ojciec, który wówczas dzierżawił tę tonnarę, wziął go ze sobą. Zapach gnijących resztek tuńczyka wypełniał powietrze, słońce odbijało się od ścian domów, a Vincenzo podwinął rękawy koszuli, usiadł na dużym kamieniu i zaczął rozmawiać z rybakami w dialekcie, dyskutując o najlepszym miejscu do zastawienia sieci lub kierunku, jaki przyjmie wiatr podczas *mattanzy*<sup>13</sup>. Ignazio różni się od swojego ojca: jest jednocześnie przyjazny i zdystansowany. Mężczyźni z Favignany dostrzegają w nim jednak wewnętrzną siłę, która nie przejawia się w arogancji czy bucie, ale otacza go aurą cichej pewności siebie.

Dostrzegli ją tego samego ranka, kiedy Ignazio bez uprzedzenia pojawił się w tonnarze. Kilka tygodni wcześniej zakończyła się mattanza, wybuchło lato i podczas gdy magazyny pracowały nad zakończeniem puszkowania, rybacy zajęli się naprawą łodzi i sieci.

Ignazio rozmawiał z nimi długo; nigdy im nie przerywał, nawet gdy rozmowa zbacziała na inne tory, a dialekt stawał się trudny do zrozumienia. Przede wszystkim patrzył im w oczy, wychwytyjąc cały niepokój, lęk o przyszłość, chmury niepewności, czy to z powodu konkurencji ze strony hiszpańskich tonnar, czy też podatków, których domagali się Piemontczycy. Nie składał żadnych obietnic, a jednak sama jego obecność ich uspokajała.

– Zadowoleni jesteście?

Głos wyrywający go z zamyślenia należy do Gaetana Caruso, jednego z jego najbardziej zaufanych współpracowników, syna Ignazia Caruso, administratora, który pracował z jego ojcem. Oni również długo rozmawiali, zwłaszcza o tym, co Ignazio chce osiągnąć na Favignanie, o jego pomysłach na modernizację zakładu i o kontraktach, które chciałby podpisać.

– Tak, bardzo. Dobrzy ludzie tu pracują, godni szacunku – odpowiada Florio, pocierając dłoń. Na jego skórze zostaje cieniutka warstwa sproszkowanego tufu.

– Bo wiecie, jak do nich podejść. Dajecie im poczucie bezpieczeństwa, szanujecie ich i oni to czują. Nie jak inni, którzy tylko rządzą.

Caruso staje obok niego. Ma szczupłą twarz o ostrych rysach i kozią bródkę, którą często szarpie. Teraz jednak ma zapiętą marynarkę, ręce trzyma skrzyżowane na piersi, w przeciwieństwie do Ignazia, który wpatruje się w morze z rękami w kieszeniach i pozwala, by wiatr owiewał mu policzki.

– Dawno temu, gdy byłem jeszcze *picciriddu*, mój nauczyciel kazał mi przetłumaczyć fragment z *Dziejów* Tytusa Liwiusza, w którym mowa o bajce Meneniusza Agryppy. Znaćcie ją?

– Nie, don Ignazio.

– Musicie wiedzieć, że w tamtych czasach plebejusze żądali dla siebie takich samych praw, jakie miał patrycjat, dlatego w akcie protestu wyprowadzili się z Rzymu, zostawiając patrycjuszy samym

sobie. Menenius Agryppa poszedł do nich i sprawił, że wrócili. Opowiedział im bajkę o człowieku, którego kończyny nagle przestały pracować, zazdrosne o to, że żołądek stoi beczynnie, czekając na nadejście jedzenia. Ale robiąc to, całe ciało w końcu osłabło i dlatego kończyny musiały pogodzić się z żołądkiem. – Wargi Ignazia wyginają się w cień uśmiechu. – Nasi robotnicy muszą czuć się częścią czegoś. Mój ojciec też mi to powtarzał. Płaca nie może być jedyną rzeczą, do której dążą. Muszę pokazać, że każdy z nich jest ważny, a mogę to zrobić tylko wtedy, gdy spojrzę im prosto w oczy, każdemu z osobna.

Caruso kiwa głową.

– To nie zawsze jest łatwe.

– Tutaj jest. To są rybacy, prości ludzie, którzy rozumieją wartość pracy. W mieście robotnicy wysuwają żądania, szukają powodów, by nie pracować albo pracować mniej, i żądają, żądają, żądają tylko po to, by krytykować to, co im się daje. To nieustanna walka.

Chmurzy się, myśląc o robotnikach z Oretei i z tkalni, którą założył razem z mecenasem Morvillo, a teraz z trudem walczy o osiągnięcie produktywności.

Odwracają się plecami od morza. W niewielkiej odległości czeka na nich kolaska. Caruso patrzy, jak Ignazio wsiada do powozu, również pokrytego cienką warstwą pyłu tufowego, jak wszystko na wyspie, a następnie, próbując wywołać jego uśmiech, mówi:

– Ludzie tutaj uważają was za księcia, wiecie o tym? I nie zdziwiłbym się, gdyby król...

– Jestem przemysłowcem, signor Caruso – przerywa mu Ignazio. – Moim tytułem jest kapitał. I jest to tytuł, który daje więcej władzy i szacunku niż jakikolwiek inny.

Gdy kolaska zabiera go z dala od urwiska, część jego duszy śpiewa tym samym głosem co wiatr. Nie, nie pragnie tytułu księcia, hrabiego czy markiza Egadów. To, że wyspy do niego należą, czyni go wystarczająco szczęśliwym.



## Tonnara (czerwiec 1877 – wrzesień 1881)

*Fa' beni e scordatillo; fa' mali e pensaci*  
„Uczyń dobrze i zapomnij o tym; uczyń źle i zapamiętaj”  
przysłowie sycylijskie

18 marca 1876 roku, zaledwie dwa dni po ogłoszeniu, że osiągnięto porozumienie w sprawie budżetu, do władzy doszła ówczesna lewica (25 marca premierem został Agostino Depretis), partia złożona z przedstawicieli klasy średniej, zorientowana na niższe niż prawica obciążenia podatkowe i zdecydowana narzucić Włochom daleko idącą modernizację. Rządziła krajem nieprzerwanie przez dwadzieścia lat, do roku 1896, a na czele rządu wymieniali się Agostino Depretis, Francesco Crispi, Benedetto Cairoli i Giovanni Giolitti.

Ówczesna lewica osiągnęła pewien sukces także w kilku sycylijskich okręgach wyborczych, ale mimo obietnic poczynionych w czasie kampanii trudna sytuacja na Południu pozostała zasadniczo niezmienną. 3 lipca 1876 roku deputowany Romualdo Bonfadini przedstawił rządowi Raport Rady do spraw Sytuacji na Sycylii, w którym poruszono między innymi kwestię mafii. Dokument stwierdza, że jest ona „wykwitem i udoskonaleniem przemocy, instynktowną, brutalną, egoistyczną solidarnością, łączącą, ze szkodą dla państwa, praw i organów regularnych, wszystkie te jednostki i warstwy społeczne, które pragną zdobywać środki do życia i cieszyć się wygodą nie z pracy, lecz z przemocy, podstępem i zastraszenia”. Raport nie został jednak opublikowany w całości; dopiero dwaj młodzi przedstawiciele ówczesnej prawicy, Leopoldo Franchetti i Sidney Sonnino, rok później opublikowali niezależne badanie, przeprowadzone w terenie, zatytułowane Sycylia w 1876 roku, w którym z całą powagą ukazali problemy trapiące Południe, w tym korupcję, klientelizm, brak skutecznej reformy rolnej, a przede wszystkim brak „poczucia wyższego prawa dla wszystkich”. W roku 1877 specjalna komisja pod przewodnictwem senatora Stefana

Jaciniego zainicjowała inne badanie, opisanie w piętnastu tomach wydanych w latach 1881–1886 pod tytułem *Badanie sytuacji agrarnej i warunków życia klasy rolniczej, które uwypuklało niepokojącą sytuację włoskiego rolnictwa, jego ogólne zacofanie i nędzne warunki życia chłopów. Jednak również wyniki tego badania zostały zignorowane przez rząd.*

Król Wiktor Emmanuel II zmarł 9 stycznia 1878 roku. Jego następcą został syn, Humbert I, który w 1868 roku poślubił swoją kuzynkę Małgorzatę Sabaudzką. Ożywiony głęboko konserwatywnym duchem (dzielonym z żoną), starał się jednak od razu zdobyć przychylność ludu: zaraz po wstąpieniu na tron odwiedził wraz z królową i dziewięcioletnim synem Wiktorem Emmanuelem wiele włoskich regionów (w Neapolu 17 listopada 1878 roku uniknął zamachu ze strony anarchisty Giovanniego Passannantego) i często odwiedzał miejsca dotknięte klęskami żywiołowymi (powódź w Wenecji Euganejskiej w 1882 roku, epidemia cholery w Neapolu w 1884 roku).

7 lutego 1878 roku zmarł Pius IX. Mimo że nowy papież, Leon XIII, okazał się bardziej otwarty na dialog, rozdzwięk między Kościołem a państwem włoskim jeszcze przez długi czas rzutował na życie kraju.

\*

*Chiurma, sarpatu, chiummo, càmmara, coppu, bastardedda, panaticu, rimiggiu.*

Słowa dialektu jeszcze dziś dającego się czasem usłyszeć na Favignanie, wyspie w kształcie motyla, w których zaklęte są czas i trud.

Zimą czarne łodzie są uszczelniane, a sieci naprawiane i wzmacniane. Po majowym święcie Krzyża Świętego zarzuca się sieci na tuńczyka: przytrzymujące je kotwice opuszcza się w miejscu, które podaje *rais*, ten zaś określa je na podstawie wiatrów i prądów morskich. Wzywa się Ukrzyżowanego, Matkę Boską Różańcową, Najświętsze Serce i *Santu Patri*, Świętego Ojca, czyli Franciszka z Paoli, patrona żeglarzy i rybaków. Tonnarą kieruje *rais*, a grupa *tonnaroti*, rybaków, to *chiurma*. Ci mężczyźni

wsiadają na łodzie w wieku kilkunastu lat i opuszczają je dopiero wtedy, gdy wezwie ich starość, śmierć lub morze.

*Rais* słucha, co mówią wiatr i woda, i przewodzi *a' calata* i *u' sarpatu*, zarzucaniu i wyciąganiu sieci. Wraz z kotwicami na dno opuszcza się *chiummo* i *rusazzi*, łańcuch i ciosy tufu z kamieniołomu na Favignanie, aby *isula*, korpus tonnary, była stabilna, gdy bowiem tuńczyki wpadają w sieć i z całych sił walczą o życie, sieci i liny będą napięte do granic.

*Isula* jest podzielona na komory: tuńczyki są kierowane do wejścia, *vucca 'a nassa*, przez *custa*, długą sieć, która wyznacza im drogę. Ma ona zamknięcia wykonane z ręcznie podnoszonych siatek; ma *càmmara di punenti* i *càmmara di levanti*, czyli komorę zachodnią i wschodnią, połączone z *càmmara granni*, czyli komorą wielką i *urduharu*. Żadnych sieci na dole. Jedyńą komorą, która posiada siatki z pięciu stron, jest *coppu*, komora śmierci. Przedostawszy się przez *càmmara di punenti*, tuńczyki wpływają do *bastardedda*, przedsionka *coppu*. Kiedy brama – również wykonana z sieci – zostaje w końcu podniesiona, tuńczyki, oszalałe z powodu zagęszczenia, wpływają do komory śmierci w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Dzień przed połowem *tonnaroti* modlili się, przywoływali imię Jezusa i błagali, aby połów był obfity, aby *panaticu*, wynagrodzenie, wystarczyło do utrzymania rodziny, aby dostali też *migghiurato*, rodzaj premii zależnej od wielkości połowu.

W dniu *pisca*, połowu, *varcazzi*, długie łodzie, ustawiają się parami po bokach *quadratu*, czyli wyciągniętej na powierzchnię części komory śmierci; wraz z *parascarmi*, mniejszymi łodziami, i *vasceddi*, łodziami o czarnym kadłubie, długimi i potężnymi, zamykają *quadratu*. Zawsze są w parach, jedna pod wiatr, druga z wiatrem.

Nim nastąpi rzeź, *mattanza*, jeszcze odprawia się modły. Rybacy intonują *scialome*, pieśni, w których mieszają się wezwania do Świętego Piotra i przekleństwa przeciwko skąpemu, wrogiemu morzu.

Potem zaczyna się stopniowo wyciągać *coppu*, komorę śmierci. Wszystko to siłą ramion. Bryzgi wody mieszają się z potem, tuńczyki

walczą między sobą, bo brak im przestrzeni i wody. Sieci – ciężkie, nasiąknięte, szarpane przez ryby – są zabezpieczane wewnątrz łodzi. Z nich wychylają się *rimiggiu*, grupy rybaków o masywnych, umięśnionych ciałach, którzy mają za zadanie zahaczać tuńczyki harpunami i wciągać je na pokład za pomocą *spette*, długich śmiercionośnych haków.

Rozbrzmiewa sygnał. Pojawiają się *corchi* i *masche*, harpuny poławiaczy. Ranią tuńczyki, które są już przy powierzchni i z wielką siłą obijają się o kadłuby łodzi. Morze barwi się czerwienią, woda zmienia się w krew. Ryby szukają ucieczki, miotają się, ale rybacy je przebijają, siłą ramion wciągają na pokład, chwytają za płetwy, harpunami rozrywają ciała, oczy, pyski. Zwierzęta jeszcze żyją, gdy dotykają dna łodzi, lecz będą martwe, gdy dotrą do portu, a ich krew zostanie zmyta wiadrami morskiej wody.

W mattanzy jest dla tuńczyka szacunek, ale nie ma litości.

\*\*\*

Jest czerwcowy poranek 1877 roku, godzina wpół do piątej rano. Niebo ma barwę ołowiu. Kiedy powóz zatrzymuje się przed odlewnią Oretea, bramy właśnie zostały otwarte. Przed wysokim budynkiem zaprojektowanym przez Damianiego Almeydę rozbrzmiewają okrzyki i wyzwiska. Głosy unoszą się pod spadzisty metalowy dach i spływają do wnętrza przez grube szyby okien. Architekt złagodził masywne, surowe linie pierwotnej odlewni, poprawił też jej funkcjonalność.

Siedzący na ziemi lub oparci o ściany mężczyźni i chłopcy w roboczych ubraniach rozmawiają lub spierają się o coś. Niektórzy pogryzają kawałki chleba.

„Nie mają najmniejszego zamiaru wchodzić”, zauważa Ignazio.

Nagle przed bramą staje krępy mężczyzna z krzywym nosem i zmierzwionymi siwymi włosami. Rozkłada szeroko ręce i krzyczy:

– Co? Naprawdę chcecie pracować dla kogoś, kto zabiera wam pieniądze i wysysa z was krew?!

Jego głos odbija się echem od murów, dociera aż na ulicę i ucisza wszystkich. Ignazio wie, kim jest ten mężczyzna. To spawacz, jeden z tych, którzy jeszcze dwa dni temu pracowali przy remoncie statków, a od wczoraj odmawiają wejścia do odlewni, ponieważ dowiedzieli się, że nie będą już otrzymywać niewielkiego dodatku do pensji, tak zwanego *quarto di campagna*. Robotnicy wykrzykiwali, że to oszustwo, wściekłość rozprzestrzeniała się z prędkością błyskawicy. W pewnym momencie interweniowała nawet policja. Wieczorem drugiego dnia kierownictwo odlewni uznało, że tylko obecność Ignazia może zmienić sytuację, i błagało go, aby przyszedł do odlewni następnego dnia rano, kiedy otworzą się bramy.

– Ich nikt i nic nie obchodzi – grzmi spawacz. – Wiedzą, że nawet na gładkie ściany się wspinamy, zawsze jesteśmy, słowa nie powiemy...

Chór okrzyków „Prawdę mówi!” zagłusza głos mężczyzny. Niektórzy biegną do bram i zamykają je, po czym głośno walą w ściany odlewni. W ciągu kilku sekund ulica pulsuje dźwiękami, zaciętymi krzykami, napięciem, które pachnie potem i żelazem. Dziesiątki robotników walą pięściami w mur, krzyczą, że nie dadzą się okraść, że ta praca to życie dla ich rodzin, bo to prawda, że oni „nawet na gładkie ściany się wspinają”, żeby wykonać swoją pracę, i nigdy nie protestują, ale teraz miarka się przebrała.

To wtedy Ignazio postanawia wysiąść z powozu. Wychodzi niespiesznie, głowa uniesiona, kapelusz w ręku. Z kamiennym spokojem kieruje się w stronę bramy. Jego przybycie zauważa dziecko jednego z robotników. Ciągnie ojca za rękaw.

– Tato, tato! *U' principale!* Don Ignazio jest tutaj!

Mężczyzna odwraca się, szeroko otwiera oczy, ściąga czapkę i przyciska ją do piersi.

– Don Ignazio, *assabbinirìca* – wita go, czerwieniejąc z zakłopotania.

Zgiełk ucichł tak samo nagle, jak się zaczął. Tłum rozstępuje się, by go przepuścić, spawacz opuszcza ręce i odchodzi na bok, jakby nagle stracił cały rezon. Brama się nieznacznie uchyla. Niektórzy robotnicy zdejmują nakrycia głowy i wpatrują się w Ignazia z mieszaniną szacunku i podziwu. Inni cofają się, jeszcze inni

wbijają wzrok w ziemię. Ignazio odwzajemnia pozdrowienia skinieniem głowy, ale nie mówi ani słowa.

Niektóre spojrzenia nie są jednak wcale onieśmielone. Florio czuje ich ciężar na swoich plecach, wyczuwa ich gorycz, jego nozdrza wypełnia zapach ich gniewu, ostry niczym woń prochu strzelniczego. Wygłodniałe oczy śledzą go aż do drzwi budynku administracyjnego, gdzie czeka na niego mężczyzna z siwą kozią bródką i głębokimi zakolami na czole: to inżynier Wilhelm Theis, dyrektor odlewni. Jest szczupłym, żylastym mężczyzną, a obok potężnie zbudowanego Ignazia wygląda na jeszcze drobniejszego.

Gdy Ignazio wchodzi, inżynier zamyka za nim drzwi na podwójny zamek. W milczeniu idą wąskim ciemnym korytarzem i wchodzą schodami do biur, gdzie przy równym rzędzie biurek kilkunastu pracowników w czarnych garniturach i krawatach, koszulach z wykrochmalonym kołnierzykiem i perkalowych zarękawkach przygotowuje się do rozpoczęcia pracy. Przechodząc obok, Ignazio wita się z nimi, pyta o ich rodziny.

Jednocześnie zerka przez szybę wychodzącą na wewnątrz odlewni. To dobry punkt obserwacyjny. Robotnicy powoli wchodzą do hali. Widzi ich zmęczone twarze i zauważa pięści wygrażające w kierunku biur. Nie chowa się. „Niech mnie zobaczą – myśli. – Niech wszyscy wiedzą, że tu jestem”.

Za plecami słyszy kasznięcie.

– A zatem, inżynierze Theis, rozumiem, że ludzie nie przyjęli chętnie nowych warunków pracy przy statkach.

Drobny mężczyzna podchodzi do biurka. To miejsce, które zajmuje dyrektor pod nieobecność Ignazia. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jest tu *u' principale*.

– Don Ignazio, zniesienie *quarto di campagna* za pracę przy parowcach wywołało niezadowolenie, którego nikt z nas się nie spodziewał; przynajmniej nie tak gwałtownego. Szemrania, niekończące się protesty, do tego angażują nawet tę swoją gazetę, ten szmatławiec...

– „Il Povero”?<sup>14</sup> I to was zaskakuje? Połowa jego redakcji to pracownicy odlewni. Spodziewałem się tego protestu.

– Ale przesadzają. Robotnicy, zwłaszcza spawacze i mechanicy, skarżą się, że praca na statkach stała się zbyt ciężka i niebezpieczna i bez tego dodatku nie warto jej wykonywać. Przez dwa dni się opieraliśmy, także dzięki sile policji, ale teraz...

Ignazio słucha, nie odwracając się. Pociera ciemną brodę i myśli. Było kilka aresztowań, wie o tym; sam poprosił prefekta – oczywiście poufnie – o utrzymanie porządku wokół odlewni. Rozumie, że przywrócenie spokoju i harmonii jest teraz jego zadaniem.

Napięcie, które czuje w powietrzu, jest gęste jak para wodna. Przykleja się do robotników, ale również do urzędników. Nasyca białe ściany biura, poplamione sadzą ściany zakładu, można nim niemal oddychać.

Umundurowani strażnicy popychają robotników w kierunku stanowisk pracy. Pada kilka niepotrzebnych słów, jakiś chłopak zostaje pchnięty mocniej i reaguje. Strażnik podnosi ręce, inni interweniują, by stłumić kłótnię.

Syk wody pompowanej do rur dla schłodzenia pras zapowiada, że odlewnia wznawia pracę na pełnych obrotach.

Drzwi gabinetu otwierają się z brzękiem szkła, po którym rozlega się stukanie laski. W tle rozbrzmiewa dźwięk pras kujących metal.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Vincenzo Giachery, który jest dyrektorem administracyjnym odlewni. – Moja noga dziś rano nie miała ochoty przyjąć do wiadomości, jak się należy poruszać.

Ignazio podchodzi do niego, podsuwa mu krzesło.

– To moja wina, don Vincenzo.

– Nie, nie. – W naznaczonej upływie lat twarzy rozświetlają się oczy i pojawia się uśmiech. – Macie po ojcu tę wadę, że ludzie mają robić natychmiast to, co mówicie – wzdycha Giachery, siadając.

Ignazio odwzajemnia uśmiech. Gładzi wypolerowaną powierzchnię biurka, tego samego, którego przez lata używał jego ojciec w aromaterii przy via dei Materassai. Nie chciał się z nim rozstać. Siada, kładzie otwarte dłonie na blacie.

– Mój ojciec i wasz brat Carlo, *requiescant in pace*<sup>15</sup>, byli ulepieni z tej samej gliny.

Giachery przytakuje. Krzyżuje ręce na gałce swojej laski. Gestem głowy wskazuje na halę za oknem.

– Widzę, że mamy zajęcie.

Theis rozkłada ręce z obrzydzeniem.

– To zwykłe chamy. Obiboki, co ledwie potrafią mówić, trudno ich nawet nazwać robotnikami... Trzeba im dać przykładową lekcję. Niech zrozumieją, że nie jesteśmy tu do ich dyspozycji!

– To są nasi pracownicy, inżynierze – odpowiada Ignazio. – Może i chamy, ale wykonują pracę w odlewni i na statkach. Potrzebujemy ich. Szczególnie genueńskich mechaników i...

– Są dobrze opłacani, don Ignazio – przerywa mu Theis, wierząc się na krześle. – Jeśli jednak pomyślimy o pracy, którą są w stanie wykonać...

Giachery chrząknięciem prosi o uwagę. Mówi ostrożnie, wzrok kierując na ziemię, by nie urazić inżyniera o gwałtownym temperamencie.

– Posłuchajcie, inżynierze: w tej fabryce robimy wszystko, od sztucców do kotłów parowych. Wiecie o tym lepiej niż ktokolwiek. Pracuję z tymi ludźmi, słucham ich. niesprawiedliwie jest nazywać ich chamami: to skromni ludzie, ciężko pracują i otrzymują znacznie niższe wynagrodzenie niż robotnik francuski, a tym bardziej niemiecki. To prawda, że niewiele wiedzą i nie mają ochoty uczyć się nowych rzeczy, ale chcą zarabiać na chleb. – Podnosi głowę i spogląda na Ignazia, bo teraz mówi do niego. – Wiedzą, że praca przy statkach jest niebezpieczna, i się boją, ale wiedzą też, że jeśli jej odmówią, znajdą się inni, gotowi ich zastąpić. To jest Palermo, panowie, gdzie dwa liry zarabiane w naszej odlewni czynią człowieka bogatym. Są tacy, którzy zrobiliby wszystko, żeby tu pracować. Ale nam się to nie opłaca, bo byliby to pracownicy bez żadnego wykształcenia. A sami wiecie, jak trudno jest przekonać kogoś z Livorno, nie mówiąc już o jakimś Niemcu, żeby przyjechał tu uczyć innych fachu. Pomyślcie tylko, ile musielibyśmy mu zapłacić.

Ignazio dotyka obrączki po stryju.

– Zatem, jeśli dobrze rozumiem, don Vincenzo, zalecacie ostrożność?



– Jak najbardziej. A jeszcze lepiej: metodę kija i marchewki. – Pochyla się do przodu i mówi cicho: – Znam was, odkąd chodziliście w krótkich portkach, i wiem, że robotnicy was posłuchają, tak jak *tonnaroti* z Favignany. Porozmawiajcie z nimi.

Westchnienie. Ignazio bębni palcami w drewno, niby się waha, ale wie, że Giachery ma rację. Zbyt długo oceniał robotników jako ludzi pozbawionych pokory, chęci doskonalenia się, wdzięczności. Ich życie bardzo różniło się od życia rybaków, ale dumę i oczekiwanie szacunku mieli takie same. I teraz to od niego zależy, czy znajdzie równowagę między tymi ich potrzebami a koniecznością zachowania konkurencyjności przedsiębiorstwa. Nawet jeśli nie będzie w stanie jej osiągnąć w krótkim czasie.

– Ciąć koszty musimy – mówi, jakby zastanawiając się na głos. – To prawda, że odlewnia ma się dobrze, ale mieliśmy duże zamówienia i trzeba zatrudnić więcej pracowników. A robotników jest tu ponad siedmiuset. – Głos ma cichy, ton niezachwiany. – Nie stać nas na płacenie dodatku. Poza tym cofnięcie decyzji stanowiłoby niebezpieczny precedens.

Na jego ostatnie słowa nakładają się uderzenia mechanicznych młotów, które wykuwają ogromne płyty na kopułę dla nowego teatru, Teatro Politeama.

Odlewnia jest jednym z filarów Domu Florio, ale nie może konkurować z fabrykami z północnych Włoch czy Niemiec. Nie jest przypadkiem, że jedyne zamówienie rządowe, które dostali, dotyczy portu w Mesynie, podczas gdy północne huty mają kontrakty na budowę kolei czy suchych doków. Koszty produkcji są zbyt wysokie, a transport towarów i surowców uciążliwy. Jedynym sposobem, by móc dalej działać, jest utrzymanie niskich płac i liczenie każdego lira.

Może za jakiś czas będą mogli wprowadzić zmiany w cyklu produkcyjnym i pomyśleć o podwyżkach. Ale nie teraz. Rozwój oznacza inwestowanie i szkolenie nowych pracowników. Nie, w tej chwili ważne jest tylko to, by dotrzymać kroku przemysłowcom z Północy, którzy pracują z żelazem od dziesięcioleci.

Przez kilka chwil ogłuszające metaliczne dźwięki odbijają się echem w biurze.

Potem – nagle – dzwonek. Trzy uderzenia. Alarm.

Theis się zrywa, biegnie do okna. Z wysiłkiem podąża za nim Giachery.

Robotnicy zbierają się na podwórku. Porzucili młoty i cęgi, zablokowali prasy; nieliczni zostali, by pilnować maszyn parowych lub je odpowietrzyć. Wszyscy są wzburzeni i nie ma nikogo, kto by ich uspokoił, nawet strażnik uzbrojony w kij. Młodszy robotnicy podchodzą do niego, otaczają go, wrywają mu z rąk pałkę; dwaj inni chwytają go za ramiona i odciągają do tyłu.

Jeden cios, potem drugi. Trzeci.

Z magazynu wbiega inny strażnik, a zaraz za nim następni. Dźwięk gwizdka przedziera się przez gwar, zagłusza okrzyki.

Ranny strażnik leży na ziemi. Jęczy, z jego ust spływa strużka krwi. Robotnicy zwracają się w stronę pozostałych strażników, którzy stoją teraz przed nimi z podniesionymi pałkami. Ale jest ich niewielu, bardzo niewielu, ludzka fala zdaje się ich pochłaniać, zatapiać, dusić.

– Co się dzieje? – krzyczy Theis. – Mamy dzwonić na policję?

– Oni się pozabijają! – Ignazio wypada z pomieszczenia, zbiega po schodach, mija drzwi oddzielające biura od fabryki. Serce ma w gardle i jest pewien, że jeśli czegoś nie zrobi, dojdzie do katastrofy.

Gdy tylko stawia stopę na dziedzińcu, krzyczy: „Dość! Przestańcie!”. Następnie rzuca się na robotnika, który kopie strażnika. Chwyta go od tyłu, mężczyzna z przekleństwem wyzwala się z uścisku, gotowy do zadania ciosu. W tym momencie rozpoznaje pryncypała. Jego ręce opadają wzdłuż ciała, cofa się chwiejnie z szeroko otwartymi oczami.

– Don Ignazio!

To imię przebiega przez tłum jak szmer przypominający modlitwę. Pięści się rozluźniają, ręce się opuszczają. Pałki i kije upadają na ziemię. Strażnicy odstepują kilka kroków, przytrzymując rannego.

– Co tu się dzieje? – pyta Ignazio.

Potem rozgląda się wokół siebie. Wpatruje się w oczy stojących przed nim mężczyzn, jednego po drugim. Czeka.

Jeden z mechaników występuje krok naprzód. Może mieć kilka lat więcej od pozostałych. Jest przystojny i postawny mimo zadrapań i oparzeń na ramionach i twarzy czarnej od sadzy.

– Wielmożny pan wybaczy – mówi – ale w ten sposób nie można pracować. Załkują nas tu na śmierć tymi pałkami.

Nie mówi głośno, ale jego słowa zdają się odbijać echem od ścian.

– Co się stało? – pyta ponownie Ignazio swoim zwykłym spokojnym tonem. Z uwagą przypatruje się mężczyźnie, zbliża się do niego. Są tego samego wzrostu i mają takie same ciemne oczy. W ciszy, która zapadła wokół nich, Ignazio mówi:

– Ty jesteś Alfio Filippello, prawda? Główny mechanik?

Tamten przytakuje, już spokojniejszy.

– Tak, wielmożny panie. – I wymyka mu się uśmiech. To jest odlewnia Oretea: miejsce, gdzie pryncypał wie, kim są jego pracownicy. Zna ich. Jest dla wszystkich jak ojciec.

– *Cùntami* – ponagla Ignazio. Opowiedz. Używa dialektu, aby go zrozumieli i mu zaufali.

Alfio szuka wzrokiem wsparcia u swoich towarzyszy, którzy dają mu nieśmiałe gesty, by kontynuował.

– Mamy rodziny na utrzymaniu. Zarobek nie jest zły, tak jak dodatek za pracę przy parowcach. Ale teraz, jak go nie będzie, nie mamy gdzie iść. Tutaj dostajemy kijami, jesteśmy rewidowani, czy czego nie wynosimy przy bramie. – Potrząsa głową, rozpościera ręce. – *Principale*, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. A jeszcze dziś rano chłopak, który nosi na statki narzędzia, dźwigał taki ciężar, że złamał sobie bark.

Ignazio krzyżuje ręce na piersi, zastanawia się nad tym, co usłyszał. Biedni ludzie, którzy naprawdę potrzebują nawet tej nędznej zapłaty, jaką dostają przy parowcach. Chłopiec ze złamanym barkiem, uwłaczające rewizje, przemoc i znęcanie się ze strony strażników, trudności z pieniędzmi...

– A skąd wiecie o tym chłopaku?

Zza pleców Alfia wyłania się obdarty, pobrudzony węglem dzieciak. Ma nie więcej niż dziesięć lat.

– Ja tam byłem i widziałem, don Ignazio – mówi. Głos mu drży, ale spojrzenie ma szczere i już twarde od wyczerpującej pracy. – *Ju*

*ci porto i cassetti du chiova e u' vitti: cariu picchì era carrico di robba.*  
Mimmo Giacalone się nazywa.

Więc chłopak spadł z rusztowania, bo był obciążony narzędziami, myśli Ignazio i zaczyna rozumieć, dlaczego tu tyle złości.

– A gdzie on teraz jest?

– W domu.

– Co dalej? Co zamierzacie zrobić?

Spawacz potrząsa głową.

– Tak pracować nie możemy. Tu nas maltretują, i to nie tylko te dranie, z całym szacunkiem – mówi, wskazując na strażników, którzy przesunęli się obok Ignazia. – Są też tacy w biurach, co traktują nas jak śmiecie.

Ignazio podnosi głowę i powstrzymuje przekleństwo, które ma na końcu języka. Oto w czym tkwi problem: ci mężczyźni są w stanie znieść wiele, ale nie pozwolą się odrzeć z godności. To główny powód ich wściekłości i gorzkości.

Nad ich głowami księgowi i pozostali urzędnicy obserwują tę scenę z mieszaniną przerażenia i pogardy. Theis trzyma się okiennego parapetu i niemal się trzęsie.

– Porozmawiam ze strażnikami, powiem im, że mają was szanować – oświadcza Ignazio tak głośno, żeby wszyscy go słyszeli. Robi krok w stronę mężczyzn, ogarnia ich spojrzeniem, przytakuje. Chce, aby byli pewni jego słów, aby mu zaufali. – Ale wszyscy musicie wrócić do pracy.

Robotnicy wymieniają zdziwione i onieśmiałe spojrzenia. Alfio odwraca głowę, słucha szmerów towarzyszy. Kropla potu znaczy jasną linię na jego pokrytym sadzą czole.

– Nie możemy, don Ignazio – odpowiada w końcu. Czyni to niemal przepaszającym tonem, ale ze stanowczością niepozostawiającą miejsca na dyskusje i argumenty. – Nie wygasimy pieców, ale oni – wskazuje na strażników – oni nie mogą tak robić. *Nuatri nun semu armali. Semu cristiani!*

Nie jesteśmy zwierzętami, ale ludźmi jak oni! Głos mu się zmienia, brzmi w nim gniew.

– Cały dzień pracujemy, a oni co? *Ci pigghiano a parole, ci chiuino a porta 'nta faccia si facemu tardu e 'un ci lassanu trasiri, ci levanu*

*i picciuli di la jornata! Ci rumpunu l'ossa a lignate!*

Theis powiedział mu, że robotnicy się skarżyli, ale pilnował się bardzo, by nie sprecyzować, jak traktowali ich strażnicy i co się działo, jeśli się spóźniali: nie wpuszczano ich do środka, zabierano całą dniówkę i bito.

Jakby pociągnięci tymi słowami, pozostali robotnicy zbierają się wokół Alfia. Ich głosy nakładają się na jego słowa, ich podniesione ręce tworzą las pięści.

Strażnicy wycofują się chyłkiem, szukając schronienia blisko schodów.

Ignazio patrzy na mężczyzn, ale nie rusza się z miejsca. Pozwala, by szemranie nieco ucichło, po czym wpatruje się w Alfia i mówi półgłosem:

– Jesteście moimi ludźmi. – Przesuwa się kilka kroków w stronę tłumu, teraz znów milczącego. – Jesteście moimi ludźmi! – powtarza głośniej. Potem odwraca się, chwyta pięści Alfia umazane sadzą i podnosi brudne ręce w stronę robotników. – Odlewnia jest waszym domem. Jeśli ktoś zachował się wobec was podle, zapewniam, że za to zapłaci. Ale czy naprawdę chcecie strajkować? Czy naprawdę chcecie, aby wasz dom przestał istnieć i nie było już chleba ani pracy? – Rozpościera ręce, wskazuje na halę. – Czy się o was nie troszczyłem? Czy nie dbam o to, by wasze dzieci umiały czytać i pisać? Mimmo Giacalone... ten ranny chłopak. Zajmie się nim Towarzystwo Wzajemnej Pomocy, które dla was założyłem... – Cofa się i rozgląda dookoła. – Ja! Dla was! A jeśli się do niego nie zapisał, to ja sam o niego zadbam. Jesteśmy częścią tej fabryki, wszyscy. Jestem tu z wami... Gdyby to było konieczne, zdjąłbym marynarkę i pracowałbym tutaj, ramię w ramię z wami, byle iść do przodu. Oretea to nie tylko Florio: to także jej ludzie! To wy!

\*\*\*

Jest prawie wieczór, gdy Ignazio opuszcza odlewnię. Poczekał, aż robotnicy wyjdą, pożegnał się z nimi przed bramą, obserwując

kontrolę przy wyjściu, która tym razem była znacznie mniej uwłaczająca. Dla każdego miał jakiś gest, słowo, uścisk dłoni.

Pożegnali go okrzykiem „Niech żyje Florio!”, który echo zaniósło aż do portu. Po wystąpieniu Ignazia robotnicy wrócili do pracy. Szemrania nie ucichły, ale przynajmniej zostały nieco złagodzone przez myśl, że ich skarg wysłuchano i że coś się zmieni, bo to sam *u' principale* obiecał. A oni ufają Ignaziowi Florio.

On też nie próżnował. Odwiedził każdy oddział, wysłuchiwał każdej skargi i obiecał, że ludzie będą traktowani sprawiedliwie. Radził się Giachery'ego, dopytywał o stan zdrowia poszkodowanego pracownika. Stary przyjaciel jego ojca przy pożegnaniu poklepał go po plecach.

– Trzeba wiedzieć, jak sobie radzić z ludźmi, i nikt nie wie lepiej od was, jak to robić – powiedział mu, wsiadając do powozu.

Na sam koniec Ignazio zostawił sobie Theisa i strażników. Zebrał ich w swoim gabinecie i usiadł przy biurku. Nikt nie odważył się odezwać. Theis rzucał nerwowe spojrzenia, unikając wzroku Ignazia, przenikliwego i kłującego lodowatą furją.

– Dlaczego zaogniacie sytuację? – zapytał. Jego ton sprawił, że opuściła się niejedna głowa. – Kontrole można przeprowadzić bez obrażania ludzi. Nie ma potrzeby bicia pracowników, tak samo jak można mieć pewne minimum tolerancji na spóźnienia, dokładnie takie, jakie stosujecie dla samych siebie.

Ciszę, która zapadła po jego słowach, przerwał Theis.

– Don Ignazio, z całym szacunkiem, ale nie rozumiecie – zaprotestował. – Najpierw będzie to pięć minut, potem dziesięć... potem zażądają, by mogli zabierać narzędzia do domu, i kto wie, co się z nimi stanie. Sami widzicie, ile kontrowersji wzbudza zmniejszenie *quarto di campagna*...

– Niech szemrają. Tu niczego nie wskórają. W sprawie wynagrodzeń nie jestem skłonny do negocjacji. Ale to, co można zrobić bez wydawania grosza, a co może zapewnić spokój, musi być zrobione, i to zaraz.

– Surowość jest potrzebna.

– Surowość to jedno, nadużycia to drugie. – Ignazio złożył przed twarzą ręce w piramidkę. Oczy zwięzły mu się do dwóch szczelin. –

Słyszeliście, co powiedziałem i co mi powiedzieli oni: problemem są nie tylko pieniądze. To przede wszystkim sposób, w jaki są traktowani. Jak bezpańskie psy. I obiecałem, że to się skończy. Dlatego teraz zmniejszymy kontrole i będziemy bardziej przymykać oko na spóźnienia, przynajmniej w najbliższych tygodniach, aby się uspokoili. Nie będziemy karać grzywną za zakłócanie spokoju, a wy polecicie strażnikom, żeby tak ochoczo nie sięgali po pałki, bo nie mają do czynienia ze stadem owiec. Po tym, co się dziś stało, wystarczy tylko tyle – zbliżył do siebie palec wskazujący i kciuk – by wybuchł strajk, i Bóg wie, jakie mogłyby być jego konsekwencje. Powiedziałem i nie ustąpię: nikt nigdy nie powinien poniżać robotników. To oni stanowią trzon odlewni.

Żaden z obecnych nie miał odwagi ripostować.

Ignazio zwrócił się do Theisa:

– Inżynierze, liczę na was, że takie rzeczy się nie powtórzą.

Kaszel. Chrząknięcie. Theis potrafił sobie doskonale wyobrazić konsekwencje, gdyby złamał to polecenie.

– Będzie tak, jak mówicie.

Dopiero teraz, w powozie wiozącym go z powrotem do Olivuzzy, Ignazio może się odprężyć. Popołudniowy deszcz i północny wiatr oczyściły niebo, nieskazitelne teraz jak szkło. Palermo skąpane jest w ulotnym pięknie wciąż pachnącego słońcem zachodu.

Znikają mury miejskie, wyburzane, by zrobić miejsce dla nowych dzielnic. Znak obecnych czasów mających zastąpić przeszłość, o której nie wszyscy chcą pamiętać. Ludzie się przeprowadzają, zostawiają stare domy w sercu miasta i szukają większych i wygodniejszych mieszkań. Szerokie, obsadzone drzewami ulice prowadzą w stronę pól, tam gdzie wcześniej były tylko ścieżki przecinające cytrusowe gaje. Powóz mija palazzo Steri, miejsce, które jego ojciec tak dobrze znał, bo mieściła się w nim izba celna, a teraz i ono się zmieniło, odrestaurował je Damiani Almeyda. Rozpoczęto już porządkowanie placu, by mógł tam powstać ogród. W pobliżu, kilka kroków od dużej rezydencji rodu Lanza di Trabia, znajduje się pałac rodziny De Pace z widokiem na morze. Tam mieszka jego siostra.

Z masywnego Castello a Mare pozostały jedynie kamienne zręby porośnięte chwastami: na rozkaz Garibaldiego fort został wysadzony w powietrze, ponieważ miejsce, w którym stał, było strategiczne dla dostępu do miasta. Lepiej je zniszczyć, aby uniknąć niepotrzebnego ryzyka, zdecydował generał. Piemontczycy dokonali reszty. I właśnie na te ruiny wspinają się teraz ostatnie promienie słońca przeciskające się przez żagle i kominy statków zadokowanych w La Cala. Po drugiej stronie żółty tuf kościołów i pałaców zdaje się uwalniać zgromadzone za dnia ciepło, rozcieńczając ciemność łagodną jasnością, która pachnie latem.

Ignazio daje się pociągnąć pamięci do czasów, gdy miał dwadzieścia lat. Z każdym z tych miejsc wiąże się jakiś obraz, jakieś uczucie. La Cala przypomina mu również to, jak z ojcem czekał na przybycie parowców. Za porta Felice widzi Kasyno Dam i Kawalerów, gdzie poznał Giovanę.

Ale są też miejsca, w których Palermo zdaje się za jednym zamachem wymazywać tę przeszłość, która w pewnym sensie jest także przeszłością Ignazia. Aby zrobić miejsce dla teatru powstającego na ruinach bastionu San Vito i porta Maqueda, zburzono kościoły San Giuliano, San Francesco delle Stimate i Sant'Agata; cała dzielnica została wręcz wypatroszona. Wszystko się zmienia – i to normalne, że tak jest.

Ignazio drapie się po nosie. Uwielbia czerwiec, ciepło, które nie jest jeszcze duszące, eksplozję natury w ogrodzie otaczającym Olivuzę, zapach kwitnących krzewów juki, róży, pomelii i jaśminu. Być może zdąży jeszcze przed kolacją przejść się jego alejami. Jeśli jest coś, co naprawdę kocha w tej willi, to ten ogród. I woli Olivuzę od Quattro Pizzi, domu dzieciństwa przesyconego upajającym aromatem morza; woli ją nawet od domu przy via dei Materassai, gdzie urodzili się Vincenzo i Ignazio.

Właśnie, Vincenzino. Znów gorączkuje i Giovanna spędziła noc przy jego łóżku. Przez cały dzień nie miał o nim żadnych wieści.

Brak wiadomości to dobra wiadomość, jak mówią. Tak, na pewno tak jest.



\*\*\*

Wieczór zdążył już rozciągnąć zasłonę nad drzewami Olivuzzy, gdy powóz Ignazia zatrzymuje się pod dużym drzewem oliwnym obok bramy wozowni. Strażnicy poruszają się ścieżkami bezgłośnie jak duchy, podchodzą, by sprawdzić, czy nie ma zagrożenia. Ignazio odprawia ich gestem.

W domu panuje cisza. Z okna wychodzącego na ogród wylewają się światło i śmiechy.

– *Papà!*

Ledwie zdąży wysiąść z powozu, dwie małe rączki chwytają go za nogi.

Giulia. Jego córka.

– *Stidduzza!*

Jego gwiazdeczka się śmieje, patrzy mu w oczy i całuje jego dłoń. Jest rumiana i pełna energii. Okaz zdrowia. Wchodzą razem do domu, a Giulia opowiada, co robiła w ciągu dnia, o pracach domowych odrabianych razem z guwernantką i o zabawach z Pegasem, pudlem, którego dostała kilka dni wcześniej na siódme urodziny.

On słucha jej trajkotania i patrzy na ciemne, lśniące włosy, które dziewczynka ma po matce, tak samo jak łagodne, delikatne oczy. Jednak jej ruchy są pewne, krok zdecydowany. Cała Florio.

Przechodzą przez amfiladę pokoi, docierają do zielonego salonu. Tam w fotelu siedzi Vincenzino, skupiony nad książką, towarzyszy mu guwernantka. Giulia idzie usiąść na sofie, gdzie leży na wpół ubrana lalka z porcelanową twarzą.

Ignazio podchodzi do syna.

– Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję. – Dziecko patrzy na niego, nie wstając. Jego oczy są szkliste, ale nie wygląda na to, by gorączkował. Odgarnia kosmyk włosów z czoła, zamyka książkę. – Zjadłem rosół, jak kazał doktor, potem się uczyłem. *Maman* powiedziała, że niedługo jedziemy do Neapolu. To prawda?

– Do Neapolu lub do Francji. Zobaczymy.

Ignazio przypatruje się synowi. Chłopiec ma regularne rysy twarzy i spokojny temperament ukrywający błyskotliwą inteligencję; w wieku dziesięciu lat wygląda bardzo dojrzałe. I jest bardzo podobny do swojego ojca.

– Gdzie moja żona? – pyta Ignazio guwernantkę.

Na twarzy kobiety pojawia się ledwie dostrzegalny grymas niezadowolenia.

– Donna Giovanna jest na górze z paniczem Ignazziddu.

Po jej zaciśniętych ustach Ignazio domyśla się, że syn znów musiał coś przeskrobać.

– Co zrobił twój brat? – pyta starszego syna.

Vincenzino wzrusza ramionami.

– Rozzłościł nauczyciela, bo nie chciał się uczyć. Kiedy zostaliśmy sami w pokoju, wziął książki i wyrzucił je przez okno. – Chłopak przygryza wargę. Na jego twarzy maluje się wyrzut sumienia, że zdradza brata.

Ignazio kiwa głową. Vincenzino jest odpowiedzialny, ale Ignazziddu to mały hultaj. Pomyśleć tylko, że jest zaledwie rok młodszy od brata. Powinien być rozsądny, a tymczasem...

Ignazio opuszcza salon i wchodzi po schodach oświetlonych przez dwa wielkie kinkiety wykute w Oretei, tak samo jak lampa oświetlająca półpiętro. Tam czeka na niego Nanài.

– Zaraz przyjdę się przebrać do obiadu – zapowiada mu Ignazio.

Następnie idzie do pokoju Ignazziddu. Słyszy głos Giovanny. Surowy, szorstki.

– *Ora, appena veni to patri, ci lu cuntu soccu facisti! Accussì, uno pigghia e jecca i libbra, picchì 'un voli sturiari?*<sup>16</sup>

Ignazio sarka. Czy kiedykolwiek uda mu się przekonać Giovanne, że nie powinna używać dialektu, a już szczególnie gdy rozmawia z dziećmi?

Wchodzi i bez wstępów i powitań od razu zwraca się do Ignazziddu:

– Rozumiem, że zachowałeś się dzisiaj bardzo źle. Gdzie są książki?

Giovanna patrzy na niego i odsuwa się na bok. Chłopiec siedzi na łóżku, poduszka przyciśnięta do piersi osłania go przed światem. Jest nadąsany, loki ma w nieładzie, w oczach błyska złość.

– Poprosiłem tylko, żebyśmy mogli się trochę pobawić, żebym mógł odpocząć, ale on nie chciał, tylko mówił i mówił. A ja miałem dość słuchania.

– I uznałeś, że najlepiej wyrzucić książki przez okno? Źle, bardzo źle. Jest czas na zabawę i czas na pracę. Lepiej, żebyś się do tego przyzwyczaił.

– Nie! Jeśli mówię, że jestem zmęczony, to jestem zmęczony! – Ignazziddu kilkakrotnie uderza otwartą dłońią w łóżko. – Uczyłem się cały ranek, musiałem nawet pomóc Vincenzowi, bo nie rozumiał niektórych rzeczy z francuskiego! – krzyczy. – A poza tym to on jest tu dla mnie. Jeśli powiem mu, że chcę przerwać, ma być mi posłuszny!

Ignazio zbliża się do syna, który instynktownie cofa się na łóżku, przyciskając poduszkę do piersi. Złość przechodzi w niepewność, a potem w strach.

Ojciec wyrywa mu poduszkę.

– Nie waż się nigdy więcej mówić do mnie w ten sposób. – Przybliża swoją twarz do twarzy Ignazziddu. Głos ma cichy, dobitny. – I nigdy więcej nie będziesz się zwracał w ten sposób do ludzi, którzy dla nas pracują. Rozumiesz?

W oczach dziecka mieszają się gniew i lęk. Ojciec nigdy go nie uderzył, to prawda, ale wie, jak go ukarać znacznie dotkliwiej. Chłopiec kiwa głową, że rozumiał, ale jego usta nie potrafią sformułować odpowiedzi i Ignazio to zauważa.

– Jutro przeprosisz nauczyciela i brata. Okazałeś brak szacunku im obu. – Prostuje się, patrzy na żonę.

Giovanna stoi nieporuszona, ze złożonymi rękami. Ignazio wyciąga do niej rękę.

– Chodźmy – mówi do niej. Następnie wskazuje na Ignazziddu. – Nie będzie dziś jadł. Może pusty żołądek pomoże mu zrozumieć, jak należy się zachowywać.

Gasi lampy, podczas gdy Giovanna czeka na niego za progiem. Ostatnią rzeczą, jaką widzi przed zamknięciem drzwi, jest zacięte,

bezradne spojrzenie syna.

Małżonkowie schodzą po schodach obok siebie, nie dotykając się. Nagle Giovanna kładzie Ignaziowi rękę na ramieniu.

– Ale... bez jedzenia? – pyta słabym głosem.

– Tak.

– *Nico è. Un picciriddu...*

– Nie, Giovanna. Nie! *L'avi a capiri chi 'un po' fari sempre chiddu ca voli. Avi a travagghiari, e i picciuli 'un s'atruovano sutta u' marune*<sup>17</sup>.

Ignazio jest naprawdę rozeźlony, skoro używa takiego tonu i mówi dialektem. Chce, by syn jak najwcześniej zrozumiał, że pieniędzy nie znajduje się ot tak, że prowadzą do nich praca i zaangażowanie, wyrzeczenia i poświęcenia. Giovanna cofa się i spuszcza głowę. On przystaje, masuje palcami skronie.

– Wybacz mi – mówi cicho. – Nie chciałem być niegrzeczny wobec ciebie.

– Co się dziś działo?

– Niepokoje w odlewni. Ale nic, czym musiałabyś się przejmować.

– Bierze ją pod ramię i obdarza pierwszym życzliwym spojrzeniem w ciągu całego dnia. – Chodźmy na kolację, potem mam jeszcze trochę papierów do przejrzenia.

\*\*\*

Gdy spożywana w ciężkim milczeniu kolacja dobiegła końca, Ignazio wstał i pochylił się nad Giovanną, by pożegnać ją pocałunkiem w czoło. Ona jednak spojrzała mu w oczy, wzięła go za rękę i powiedziała po prostu:

– Chodź.

Może to były perfumy Giovanny o owocowych nutach, zawsze takie same, odkąd poznał ją w Kasynie Dam i Kawalerów, może jej spojrzenie, w którym mieszały się czułość, strach i samotność? A może wyrzuty sumienia, że przed chwilą tak ostro potraktował zarówno syna, jak i ją? W każdym razie Ignazio nie czuł się na siłach, by odrzucić zaproszenie.

I tak, prowadzeni jedynie światłem księżyca, dotarli na szczyt niewielkiego wzgórza, na którym stoi mała neoklasyczna świątynia. Trzymając się za ręce, odwrócili się, by spojrzeć na willę i inne budynki wokół, przez lata kupowane przez Floriów i adaptowane.

A teraz siedzą na ławce, wdychając nocne powietrze. Głęboką ciszę przerywa jedynie wiatr pieszczący korony drzew. Giovanna ma zamknięte oczy i ręce złożone na podołku. Ignazio patrzy na nią, na część swego życia bez niespodzianek, towarzyszkę podróży, matkę jego dzieci. To niemało, ale szczęściem tego nie nazwie. Ich jedyna prawdziwa kłótnia miała miejsce pięć lat temu. Nigdy więcej o tym nie mówili, ale Ignazio przeczuł konsekwencje: stało się tak, jakby Giovanna wyzbyła się wszelkich romantycznych złudzeń, a miłość, którą do niego czuła, zamieniła się w kamień, widoczny i namacalny, bezwładny. Tamta sprawa nigdy nie przestała jej dręczyć, tego jest pewien – wychwytywał to niekiedy w pełnych pretensji spojrzeniach, w nieco zbyt ostrych odpowiedziach, w braku gestów czułości, w twardości, z której rezygnowała tylko w obecności dzieci. Ale Ignazio nie może jej nic zarzucić, jest uważna i troskliwa, zarówno jako żona, jak i matka. Nie ma też prawa o nic pytać, a jednak w tej chwili czuje bolesną tęsknotę za młodą kobietą, którą poślubił, a która już nie istnieje, za jej łagodnością, za jej niezachwianym zaufaniem do niego. Za jej cierpliwością.

Próbuje więc wziąć to, co jeszcze zostało, i robi to na swój sposób. Bo jego poczucie winy jest miarą żalu po tym, co stracił.

Ujmuje jej twarz w dłonie, całuje ją. A ona, po chwili zdumienia, odpowiada na pocałunek. Robi to z oddaniem i łagodnością, która porusza Ignazia.

– Chcesz zostać dziś ze mną? – pyta ją niemal bezgłośnie.

Ona przytakuje. Obejmuje go i po raz pierwszy od dawna się uśmiecha.

\*\*\*

Nastały dni oczekiwania, szeptów, niedopowiedzeń, listów wysyłanych do Rzymu. Ignazio stał się jeszcze bardziej milczący, coraz mniej czasu spędza w domu. Giovanna obserwuje go, martwi się, ale o nic nie pyta.

Budzi się świeży, złoty świt. Morze pieszczotliwie gładzi skały Foro Italico, ulubionej promenady palermian. Wchodząc do siedziby Piroscafi Postali, czyli Parowców Pocztowych – tak oficjalnie nazywa się jego kompania żeglugowa – położonej przy piazza Marina w niewielkiej odległości od palazzo Steri, Ignazio wdycha pełną piersią całe piękno miasta, ogarnia wzrokiem prawie puste ulice, na których widać tylko nielicznych robotników, wozaków oraz służące z koszami owoców i warzyw kierujące się do Vuccirii, aby kupić mięso dla swoich chlebodawców.

Gabinet Ignazia znajduje się na pierwszym piętrze z widokiem na Cassaro, niemal naprzeciwko Vicarii. W pobliżu wznoszą się kwadratowe białe mury Santa Maria dell’Ammiraglio i to, co pozostało z porta Calcina. Za budynkiem monumentalna porta Felice z barokowymi wolutami otwiera się niczym kotara, pozwalając zobaczyć morze.

Ignazio wchodzi do gabinetu, w którym unosi się zapach cygar i atramentu. Patrzy na mapy morskie wiszące na ścianach obok zdjęć parowców. Patrzy, ale nie widzi. Czeka.

Ktoś puka do drzwi. To chłopiec na posyłki, młodzieniec krępy i już łysy. Kłania się i wręcza pryncypałowi gruby fascykuł.

– Od notariusza, don Ignazio. Dotarły przed chwilą: signor Quattrocchi zatrzymał je w swoim biurze, ponieważ zakończył pracę z syndykami masy upadłościowej późnym wieczorem i chciał mieć pewność, że otrzymacie wszystko do rąk własnych.

Ignazio dziękuje i odprawia posłańca, wręczając mu monetę. Siada przy biurku, gładzi wierzch fascykułu opatrzonego pieczęciami notariusza Giuseppego Quattrocchiego, który teraz sporządza wszystkie akty prawne Domu Florio. W dołączonej do dokumentów kopercie znajduje się bilecik, na którym widnieje tylko jedno słowo: „Gratulacje”.

Na okładce napisane jest po prostu: TRINACRIA<sup>18</sup>, CZERWIEC 1877.

Wszystkie inne myśli giną natychmiast.

Ignazio rozwiązuje sznurki, przebiega wzrokiem litanie nazw, która ma posmak odległych miejsc i czasów: „Peloro”, „Ortigia”, „Enna”, „Solunto”, „Simeto”, „Himera”, „Segesta”, „Pachino”, „Selinunte”, „Taormina”, „Lilibeo”, „Drepano”, „Panormus”.

Odchyła się na oparcie fotela. Oto jego arcydzieło, które pozwoli flocie Floriów wykonać decydujący skok do przodu. Trzynaście parowców. Część z nich zbudowano w Livorno, wszystkie najnowszej konstrukcji. Bierze akt notarialny sprzedaży i czyta. Kompanię Piroscafi Postali reprezentował Giuseppe Orlando, dyrektor firmy, z którym Ignazio uzgodnił przebieg działań. Jego satysfakcja jest niemal fizyczna i rośnie z każdą stroną.

Trzynaście parowców. Jego parowców.

Od dwóch lat konkurował z Pietrem Tagliavią i jego kompanią żeglugową o nazwie Trinacria. Powstała z wielkimi nadziejami, takimiż ambicjami i bazą finansową, która okazała się miękka jak glina. Po niecałych sześciu latach działalności Tagliavia miał nóż na gardle, a banki, w których się zadłużył, nie mogły – ani nie chciały – udzielić mu pomocy.

Ignazio dobrze pamięta dzień, w którym ten człowiek o dystyngowanej powierzchowności, ale twarzy naznaczonej napięciem, poprosił jego i Orlanda o „poufne i osobiste” spotkanie. Pamięta spokojną godność i dumę, z jaką armator mówił o swojej firmie.

– Nie sprzedaż, don Ignazio, ale fuzja – powiedział. – Rozwiązanie, które pozwoli mi wyjść z trudności, w jakie wpędziły mnie banki odmawiające mi kolejnego kredytu, nierozumiejące, że to kryzys węglowy zjada nas żywcem.

– Prawda. Rosnące ceny węgla i żelaza sprawiają, że cierpimy – potwierdził Ignazio. – Nawet Raffaele Rubattino z Genui przeżywa ciężkie chwile.

– Tylko że on jest z Północy i państwo go subwencjonuje. – Tagliavia rzucił mu wymowne spojrzenie. – Wy macie pieniądze

z koncesji pocztowych, o wiele więcej niż ja, bo macie też więcej tras. Ministerstwo słusznie uwzględniło wasze zasoby i was uprzywilejowało, pozostawiając takim jak ja tylko okruchy. Mam umowy na kursy pocztowe do Lewantu, ale one są niewielkie. Armatorów takich jak Rubattino ratuje interwencja banków. Tylko wy jesteście wystarczająco solidni... no i macie ważnych przyjaciół. Ja zaś stoję teraz, za przeproszeniem, goły jak święty turecki, bo mam na karku Banco di Sicilia, który grozi mi zawieszeniem linii kredytowej.

Ignaziowi od razu spodobał się ten pomysł, i to nie tylko dlatego, że mógłby wyeliminować konkurenta. Znał wysokość długów Trinacrii i wiedział, że spokojnie sobie z nimi poradzi. Ponadto ich parowce były nowe, sprawne i nie wymagały ciągłych napraw, jak część jego statków, zwłaszcza „Elettrico” czy „Archimede” – złom, którego Ignazio nie chciał się pozbywać jedynie dlatego, że były przydatne na trasach lokalnych.

Poprosił o wgląd w księgi rachunkowe, aby dowiedzieć się, jak duże jest zadłużenie Trinacrii wobec stoczni w Livorno, która budowała ich ostatni parowiec, „Ortigę”. Jednak w odpowiedzi Tagliavia i cały zarząd Trinacrii jakby zapadli się pod ziemię. Ignazio nie zabiegał o ponowne spotkanie, zresztą dowiedział się, że rząd zdecydował się pomóc upadającej kompanii. To nie Dom Florio miał kłopoty i nie on był zagrożony przez banki. Florio nie zebrze z kapeluszem w rękę.

A potem, w lutym poprzedniego roku, nastąpiła katastrofa. Sąd administracyjny w Palermo ogłosił upadłość Trinacrii, czego konsekwencją stało się natychmiastowe zwolnienie pracowników. Miasto pogrążyło się w chaosie, nastąpiły zamieszki, interweniowała policja.

Wtedy Ignazio postanowił działać.

Pośród odpowiedzialnych za zarządzanie masą upadłościową Trinacrii znalazł się Giovanni Laganà, który kompanii żeglugowej Floriów oddał więcej niż jedną przysługę, kiedy był doradcą Banca dei Trasporti Marittimi, Banku Transportu Morskiego. Człowiek umiejący dostrzec, kto ustala reguły gry, i odpowiednio się do nich dostosować – i z tego powodu równie cenny jak niebezpieczny.



Wystarczyło kilka właściwych słów, aby likwidatorzy spółki zorientowali się, że nikt inny nie może kupić tych parowców. I na dodatek w tak krótkim czasie. W ten sposób doszło do poufnych negocjacji.

Spokojne spojrzenie Ignazia napełnia się dumą. Nie tylko kupił statki będące w lepszym stanie niż jego własne, lecz także przejął umowę o transporcie pocztowym, którą Trinacria ostatecznie zawarła z Królestwem Włoch. A raczej *wszystkie* umowy dotyczące przewozu poczty, co oznaczało zastrzyk pieniędzy z Rzymu. Ogromnych pieniędzy.

Pukanie do drzwi.

– Proszę – mówi Florio.

Zamyka teczkę z odrobiną żalu. Pielęgnuje te chwile samotności, które udaje mu się wykraść rano, cenne chwile, by uporządkować myśli lub cieszyć się swoimi osiągnięciami.

– Wiedziałem, że znajdę was tutaj i z tymi dokumentami w ręku.

– Giuseppe Orlando podchodzi i siada naprzeciwko Ignazia. W pokoju wyłożonym boazerią jego postawna sylwetka w jasnym lnianym garniturze zdaje się wnosić światło.

– Trzymaście niemal zupełnie nowych parowców. – Ignazio uderza otwartą dłoń w akta. – Lepiej być nie mogło.

– Prawda. Do tego paliwo i sprzęt lądowy w cenie niemożliwej do uzyskania na rynku. Materiał w lepszym stanie niż nasz.

Ignazio rozkłada ręce. Potem patrzy na Orlanda z boku.

– Co oczywiście zawdzięczamy Barbavarze, który nie mało wam pomógł w ministerstwie.

– W rzeczy samej. – Orlando opiera ręce na kolanach. – Ech, Tagliavia, biedak, żal mi go było. Walczył do samego końca. – Spuszcza oczy, może ze skromności. – Zbyt wielu ludzi było zaangażowanych w Trinacrię, począwszy od jego krewnych. Ta porażka rzuciła ich wszystkich na kolana.

– Wykonaliście dobrą robotę. Dobrą dla nas i zdecydowanie bardzo dobrą dla niego. – Ignazio wstaje, kładzie mu rękę na ramieniu. Nie podziela skrupułów Orlanda. – Inni starliby go na proch.

– Tak, wiem o tym i musimy podziękować likwidatorom, którzy byli bardzo dobrze nastawieni do waszej kompanii.

Broda Ignazia drży, skrywając uśmiech.

– Okażę im swoją wdzięczność w odpowiednim czasie. A teraz musimy pomyśleć o podwyższeniu kapitału zakładowego. Nie jesteśmy już kompanią, która pływa czterema łupinami orzecha, musimy mieć odpowiedni kapitał do tego, co mam w planach.

Orlando mruży oczy.

– O czym myślicie?

Ignazio otwiera akta notarialne, wskazuje na nazwy statków.

– Francuzami zajmuje się Rubattino, który również otrzymał subwencję w wysokości pół miliona na linię do Tunisu. Nie, my się zatroszczymy o linię adriatycką, nie odważą się anulować trasy do Bari, nie po wywarceniu presji na rząd i podkreśleniu, że to fundamentalnie ważny port dla całego wschodniego Śródziemnomorza. Ale nie możemy zatrzymać się na Adriatyku: chcę posłać nasze statki aż do Konstantynopola, aż do Odessy, a potem...

Ignazio wie, że teraz czas spojrzeć dalej, poza Morze Śródziemne, i myśli o genueńskich i francuskich statkach, na które wsiadło setki mężczyzn i kobiet z tobołkami na ramionach i rozpaczliwą nadzieją w sercach, pragnących zostawić za sobą nędzę.

\*\*\*

Lato w pełni zawładnęło miastem. Zrobiło to gwałtownie, pałac bezlitosnym słońcem i dusząc zdradliwym upałem, który pachnie suchą trawą i wdziera się do pomieszczeń słabo chronionych przez zamknięte okiennice. W gałęziach drzew Olivuzzy grają cykady. Powietrze jest nieruchome: tylko rzadki wietrzyk porusza krzewami pospornicy i jaśminu.

Ignazio wyszedł wcześniej, kiedy wszyscy jeszcze spali. Giovanna wsłuchiwała się w odgłos jego kroków w pokoju, w dźwięk otwierania i zamykania szuflad, w krzątanie lokaja. Jak zwykle pozwoliła mężowi odejść bez pożegnania na cały dzień pełen

dokumentów, rachunków i interesów. W pierwszym okresie ich małżeństwa miała nadzieję, że Ignazio włączy ją również w ten aspekt swojego życia. W tej chwili nie ma już sensu pytać, dlaczego tego nie zrobił. Ona ma inne obowiązki.

A teraz, po śniadaniu, gdy dzieci bawią się w parku, czekając na przybycie nauczycieli, Giovanna siada obok donny Ciccii i kładzie sobie na kolanach przenośną podkładkę do pisania.

– A zatem potwierdzone. Dziś będą pięćdziesiąt dwie osoby. – Podnosi brwi, przegląda listę.

Formalnie jest to zwykła kolacja. W istocie jest to społeczne przypieczętowanie włączenia Trinacrii do Piroscafi Postali i pojawiają się wszyscy, którzy się liczą w Palermo.

– Nikt nie odrzucił zaproszenia. Podamy nawet *gelo di mellone*<sup>19</sup> z najlepszych syrakuzańskich arbuźów. *Monsù*<sup>20</sup> właśnie wlewa je do francuskich porcelanowych miseczek, a potem udekoruje jaśminem.

Donna Ciccia się krzywi.

– Może i jest dobrym kucharzem, ale znając go, to ogołoci cały krzak, żeby zdobyć cztery płatki.

Śmieją się obie.

Giovanna już dawno nauczyła się czerpać satysfakcję z życia towarzyskiego: kolacje, przyjęcia, herbatki, a nawet „konwersacje” odbywające się w ich salonach co najmniej dwa razy w tygodniu pozwalały jej być panią domu, a więc idealną żoną dla Ignazia. Dzięki niej mąż uświadomił sobie, że na bogactwo Floriów nie składają się tylko liczby, statki, wino czy siarka: aby uzyskać społeczną akceptację, musieli zmienić styl życia, otworzyć rezydencję, przyjmować przyjaciół i znajomych, gościć malarzy i pisarzy. Arystokraci musieli przestać patrzeć na nich jak na *pirocchi arrinisciuti*, na wszy, którym się udało, na wzbogaconych żebraków, ale żeby tak się stało, Dom Florio musiał pójść dalej, pokazać coś więcej niż pieniądze i władza, jakie miał w Palermo.

Najpierw Vincenzo, a po nim także Ignazio myśleli, że małżeństwo z d'Ondes Trigona wystarczy, by oczyścić ich krew. Przez pewien czas również Giovanna miała nadzieję, że to będzie

proste. Potem zrozumiała, że jej arystokratyczne pochodzenie to tylko wytrych, którym należy operować, aby zmiana nastąpiła w jak najlepszy sposób. Z cierpliwością i determinacją zabrała się do pracy: czytała, studiowała, uczyła się języków, czego oczekiwał od niej Ignazio, ale także wzbogacała swój dom, wyposażając go w meble Gabrielelego Capella i braci Levera, którzy zaopatrywali dwór królewski. Kupiła porcelanę z Limoges i Sèvres, dywany z Isfahanu, obraz wielkiego siedemnastowiecznego artysty Pietra Novellego, a także obrazy współczesnych malarzy; jej ulubionymi byli Francesco Lojacono i Antonino Leto, zwłaszcza ten ostatni. Organizowała obiady, kolacje i przyjęcia, nawiązywała lub umacniała przyjaźnie, dochowywała tajemnic, wysłuchiwała skarg i plotek. Sprawiała, że zaproszenie do rezydencji Floriów stało się przywilejem.

„Palermiańczyk lubi czuć się ponad innymi, zwłaszcza gdy jest wśród siebie równych, i robi wszystko, aby nikt go nie zapomniał. Gra pozorów”, myśli, przeglądając listę gości. I na tym właśnie polegała różnica między szlachtą z Palermo a Floriami: z jednej strony było arystokratyczne przekonanie – wyrażane, powtarzane, podkreślane – że górują nad innymi rodowodem, wykształceniem, elegancją, z drugiej strony stały fakty w całej ich niekwestionowanej, namacalnej konkretności, czyli przedsiębiorstwa i działalność charytatywna, zakup każdego bibelotu i zakup całych Egad. Tym wszystkim Floriowie *pokazywali*, że są lepsi. Ona podjęła się budowy mostu między tymi dwoma tak różnymi światami i dzięki swemu taktowi i wytrwałości dokonała tego. Dowód miała przed sobą w postaci listy gości obejmującej śmietankę arystokracji Palermo.

Nad tym, że pomagało jej to nie umrzeć z samotności i rozpacz, wolała się zbyt często nie zastanawiać.

Giovanna przegląda pozostałe notatki: w najbliższą niedzielę urządzą angielskie *tea party* z małą orkiestrą grającą pod niewielką świątynią na szczycie wzgórza i stołami ustawionymi w parku, by goście mogli spacerować i cieszyć się cieniem dawanym przez bujną roślinność. Będą kandyzowane owoce, ciastka, mieszanki herbat z Indii i Japonii, a dla panów koniak. Przyjęcie zaplanowano na

blisko osiemdziesiąt osób, dorosłych i dzieci. „Będzie wspaniale”, myśli i już wyobraża sobie ustawienie stołów pod drzewami, śmiech malców i pogawędki dorosłych.

Donna Ciccia wydobywa z koszyka tamborek z haftem. Giovanna chciałaby zrobić to samo, ale czekają na nią inne, mniej przyjemne zadania, zamknięte w skórzanej teczce. Sięga po nią, wydobywa ze środka papiery i marszczy czoło. Bo tam, na tych kartach, miasto arystokracji i festynów znika, wymazane przez biedne, bardzo biedne miasto, które musi polegać na dobroczynności możnych, by przetrwać. Do niej należy słuchanie, rozpoznawanie, kto jest najbardziej potrzebujący, i zrobienie tego, co może zrobić.

Przegląda prośby o wsparcie. Jest list od Towarzystwa Pań z Giardinello z apelem o zapewnienie posagu jednej z ich „niezwykle ubogich” podopiecznych oraz o wyprawkę dla noworodków z najbiedniejszych rodzin. Żony marynarzy z parowców należących do kompanii żeglugowej jej męża proszą, aby nauczyciel kształcił ich synów, „nauczył ich choć czytać i podpisywać się”.

„*Sulu i figghi masculi esistono*”, myśli Giovanna z nutą gorczy. Rzeczywiście, dla mieszkańców Palermo istnieją tylko synowie. Palermiańczycy nie dbają o to, by ich córki umiały pisać i liczyć. Chcą je zatrzymać w domu, *stritte dintra i falara* – uwięzione w fartuchach. Jednak to już coś, że w ogóle zależy im na odrobinie wykształcenia dla synów.

Patrzy na Giulie, siedzącą na trawniku i bawiącą się lalką. Dziewczynka ma siedem lat i jest niezwykle inteligentna. Właśnie rozpoczęła naukę z braćmi, a jej ojciec polecił, by opanowała francuski i niemiecki, jak przystało na córkę arystokratów. Natomiast bracia uczą się już geografii i matematyki i rozpoczęli lekcje gry na skrzypcach, ponieważ muszą być wykształceni również w sprawach piękna, jak to się dzieje we wszystkich arystokratycznych rodzinach w Europie. Rodzinach poznanych podczas letnich podróży po Włoszech, jak ta, w którą Floriowie mają się wkrótce udać, do Recoaro na północ od Werony. Zaczęli odwiedzać to uzdrowisko, gdy odkryli, że jest ono popularne nie tylko w kręgach palermiańskiej arystokracji, ale że z chęcią jeżdżą

tam także przemysłowcy i politycy z Północy. Ignazio zawarł w tamtym miejscu cenne sojusze, przypieczętowane nie szampanem, ale kieliszkiem krystalicznie czystej wody płynącej ze źródła Lelia.

Giovanna znów opuszcza głowę, patrzy na arkusze z rachunkami. Co dziwne, to właśnie jej teść, wiele lat wcześniej, zapoczątkował dzieła dobroczynne na rzecz ubogich z Palermo. Tłumaczył to tym, że jako człowiek urodzony w plebejskiej rodzinie wie, co znaczy pracować, by zarobić na skromny kawałek chleba. Oczywiście arystokratyczne rozdwojone języki twierdziły, że zrobił to, aby pieniędzmi zatrzeć swoje niskie pochodzenie i ożenek z kochanką. Że był to kolejny sposób na kupienie społecznego szacunku.

Giovanna wpatruje się w długą listę próśb i wraca do pomysłu, nad którym zastanawia się już od jakiegoś czasu. A gdyby tak założyć tanią kuchnię dla biedoty z okolicy, dla ludzi, którzy nie mają możliwości dobrze jeść, dla kobiet co rok zachodzących w ciążę, a potem patrzących, jak ich dzieci umierają z głodu, bo one nie mają mleka. Trzeba by się zastanowić jak i gdzie, zbadać, ile to będzie kosztować...

I właśnie w tym momencie coś się dzieje z Vincenzinem.

W trakcie gry z Ignazziddu stracił piłkę. Brat zaczął go dopingować, by ją złapał, nim piłka wpadnie do stawu. Vincenzo pobiegł i zdążył. Nagle poczuł uścisk w klatce piersiowej, promieniujący do gardła, który zamienił się w żelazne imadło. Vincenzino pochylił się i zaczął ciężko dyszeć. Teraz konwulsyjnie, płytko kaszle. Piłka wypada mu z rąk.

Do chłopca podbiega niania, klepie go otwartą dłonią po plecach, ale to nic nie daje. Twarz dziecka najpierw robi się czerwona, potem fioletowa. Ignazziddu, który pobiegł za nim i zabrał piłkę, zatrzymuje się w niewielkiej odległości. Robi krok do tyłu.

– Co ci jest, Vincenzo?

Widzi, jak ręka brata zaciska się na fartuchu opiekunki i mnie materiał, słyszy syk powietrza zasysanego przez tchawicę, ale tego powietrza jest za mało, z każdą chwilą zdaje się z niego uciekać. Widzi, jak brat pada na kolana, czyta w jego twarzy przerażenie.

– *Maman!* – woła Ignazziddu. – *Mamma!*

Giovanna podnosi głowę, słyszy panikę w głosie syna. Natychmiast dostrzega leżącego na ziemi Vincenza oraz nianię, która nim potrząsa.

– Donna Ciccìa! – krzyczy. – Pomocy! Zawołajcie kogoś! Doktora! Pomocy!

Podrywa się na nogi, biegnie w jego stronę. Kartki sfruwają na ziemię.

– Kołnierzyk! Rozepnijcie mu kołnierzyk! – krzyczy, ale zaraz sama go rozpina. Robi to tak gwałtownie, że drapie skórę na gardle chłopca, którego ciało wygina się w rozpaczliwym pragnieniu powietrza.

Przybiega donna Ciccìa, a za nią Nanài, który bierze dziecko na ręce i spieszy do salonu.

– Do środka, do środka! Posłałem po *dutturi*! – woła.

Donna Ciccìa chwyta Giovannę za łokieć i zmusza ją do wstania, podczas gdy niania odciąga Giulię, która zalała się łzami.

Ignazziddu pozostaje sam na słońcu, z piłką w ręku. Drobny, niepewnym krokiem podąża za matką i służbą, ale nie wchodzi do domu przez tarasowe drzwi, patrzy z dystansu. To nie stało się po raz pierwszy: już wcześniej wydawało się niekiedy, że powietrze nie chce przejść Vincenzowi przez gardło.

Patrzy z mieszaniną przerażenia i wyrzutów sumienia. To on kazał mu biec, fakt. Ale przecież Vincenzo jest wiecznie chory. „To nie moja wina”, powtarza sobie z nosem przyciśniętym do szyby i niepokojem w żołądku. Wokół niego oślepiające światło i granie cykad.

Twarz brata odzyskuje kolor. Matka zwilża mu czoło chusteczką, kładzie rękę na piersi, żeby go uspokoić. Pociesza go, całuje jego przerażone oczy. Vincenzo wybucha płaczem. Giovanna obejmuje go i płacze razem z nim. Donna Ciccìa pociesza ich oboje, po czym wstaje, wychodzi z salonu i po chwili wraca z doktorem.

Przez szybę Ignazziddu słyszy głosy, obserwuje gesty. Chciałby wejść do środka, poprosić brata o przebaczenie, bo wciąż sam siebie oskarża, powiedzieć mu, że to jego, Ignazia, wina. Chciałby go objąć, obiecać mu, że nie będzie już grał z nim w gry, w których

trzeba biegać, że będzie uważał. Wszystko, by nie czuć tego, co czuje w tym momencie.

Nie może wiedzieć, nie może sobie wyobrazić, że pewnego dnia znów spotka ten strach.

\*\*\*

Zima na przełomie 1878 i 1879 roku była jedną z najchłodniejszych w historii. Zgodnie z poleceniem Giovanny w kominkach zawsze płonął ogień, aby Vincenzino nie był narażony na przeziębienie. Zdrowie najstarszego syna Floriów wciąż było kruche. Ignazziddu skakał jak młody byczek, Giulię rozpieęła energia, natomiast Vincenzo był zawsze nieruchomy i milczący.

Przejęta Giovanna pilnowała syna na każdym kroku, spieszyła do niego na najmniejszy odgłos kaszlu i jadła razem z nim, aby upewnić się, że chłopiec nie umrze. I modliła się bardzo dużo. Kilka razy dziennie odmawiała różaniec, nowennę i błagała, by Bóg chronił jej dziecko i dał mu zdrowie.

Nawet teraz, choć nadeszła wiosna, słońce jeszcze nie ogrzewa, mimo że ma miodowy blask, a wiatr, zwykle ciepły o tej porze roku, wciąż przyprawia o drżenie i nie przynosi zapachu kwiatów ani świeżej trawy. „Poczekamy na cieplejszą aurę”, myśli Giovanna. Dopiero wtedy będzie spędzała z dziećmi więcej czasu na świeżym powietrzu. Vincenzo będzie mógł iść do woliery w parku lub bawić się obręczą... I może pojedą powozem na monte Pellegrino, jak mu tyle razy obiecywała. Ale przede wszystkim będą podróżować: spędzać wakacje choćby w Neapolu, jak zasugerował Ignazio. Latem Neapol jest chłodniejszy niż Palermo, a powietrze w ogrodach podmiejskich willi zdrowsze. Mogliby też wrócić do Recoaro...

Ale jeszcze nie czas myśleć o lecie. Dopiero zaczął się maj.

Giovanna przechodzi przez pomieszczenia, szeleszcząc suknią na orientalnych dywanach pokrywających podłogi. Każe służbie zamknąć kufry i zebrać zabawki dzieci. Zaraz wyjadą, a ona czuje w sercu dziwne podniecenie, niecierpliwość musującą jak szampan.



Wreszcie zobaczy dom, o którym tyle słyszała, na wyspie, w której tak szaleńczo zakochany jest jej mąż. Rezydencję książęcą pomyślaną dla rodziny, która nie posiada starodawnego szlactwa, ale jest bogatsza niż inne. I to nie tylko w Palermo. W całych Włoszech.

\*\*\*

Kiedy przyplývają na Favignane, popołudnie zamienia się w wieczór, zachodzące słońce kąpie morze w świetle o barwie płynnej miedzi, oświetlając niskie tufowe domy. Powietrze zdaje się tu cieplejsze, a wiatr nie ma w sobie tego chłodu, który nie chce opuścić Palermo.

Podczas przybijania do brzegu Giovanna rozmawia z Vincenzinem i każe mu założyć ciepły płaszczyk; za nim stoi Giulia z nianią. Ignazziddu natomiast wbiega na trap, próbując zwrócić na siebie uwagę ojca. Ma już prawie jedenaście lat, ale trudno mu porzucić dzieciinne zachowania. Ignazio zbeształ go jednym spojrzeniem, po czym kazał mu stanąć obok siebie i nic nie mówić.

Na molo u stóp trapu czeka na nich Gaetano Caruso, administrator tonnar na Favignanie i Formice.

Ignazio, nim zejdzie na ląd, poświęca kilka chwil na przyjrzenie się konstrukcji wznoszącej się tuż za miejscowością, u stóp góry. Kwadratowe hangary ze złotawego tufu, tak jasnego, że wygląda na całkiem biały. Wielkie otwory wychodzące na morze, zamknięte żelaznymi bramami z literą F na szczycie, jak Favignana lub jak *favonio*, zachodni wiatr, który sprawia, że żagle rybackich łodzi trzepoczą, a morze gotuje się przy brzegu.

Albo jak Florio.

Pod nim morze próbuje sięgnąć powierzchni molo, pieści je, zwilża śliską patynę wodorostów, która pokrywa jego boki.

Ignazio wraz z synem schodzi po trapie na molo, a potem rusza w stronę lądu; przygląda się głębokiej zieleni wody i rybom srebrzącym się wśród łak posydonii, potem podnosi głowę, patrzy na linie domów, wreszcie wodzi wzrokiem po górze i forcie Świętej

Katarzyny, w którym przed laty przetrzymywano licznych patriotów, a który obecnie jest jednym z najsurowszych więzień w królestwie.

– Nareszcie – szepce i oddycha głęboko.

W tym miejscu zapach morza jest inny niż gdziekolwiek indziej na Morzu Śródziemnym – mieszają się w nim oregano i piasek, solone ryby i ściernisko.

– Don Ignazio... – To odzywa się Gaetano Caruso, który mu towarzyszy, nieco zdziwiony jego milczeniem.

Florio odwraca głowę, patrzy na mężczyznę o wysokim czole, z sumiastymi wąsami i kozią bródką.

– Dziękuję, że mnie przywitaliście.

– To mój obowiązek. – Caruso lekko skłania głowę. – Kazałem przygotować dom, aby powitać was najlepiej, jak potrafię. Zastaniecie kolację gotową i przyszykowane na noc pokoje. Kazałem też przygotować pokoje dla gości, bo powiedziano mi, że trochę ich przybędzie.

– Dziękuję. Naprawdę, nie było potrzeby, żebyście tak ciężko pracowali: jesteście administratorem, a nie lokajem.

To grzecznościowa uwaga. Nie trzeba dodawać, że Caruso, choć zajmuje się przede wszystkim tonnara, musi również zorganizować pobyt swojego pryncypała na wyspie.

Caruso wskazuje drogę, Ignazio rusza obok niego. Za nimi Giovanna i dzieci z donną Ciccją i nianią, orszak służby i wózki pełne kufrów i waliz.

Giovanna zeszła ze statku ostrożnie, trzymając syna za rękę. Dopiero na końcu, gdy dotarła do lądu, przeniosła spojrzenie na fabrykę. Oto więc ta słynna tonnara, ta, w którą jej mąż zainwestował dużą część rodzinnego kapitału z gniewną determinacją przypominającą jej teścia. Ignazio, stawszy się właścicielem tego miejsca, zlecił generalny remont swemu zaufanemu Giuseppemu Damianemu Almeydzie. I to on stworzył projekt nowego pałacu rodowego, zbudowanego na gruzach starego fortu Świętego Leonarda w pobliżu portu.

Giovanna zachęca syna, by ruszył naprzód, potem się rozgląda, szukając wzrokiem donny Ciccii i Giulii. Ze spuszczoną głową idzie

nabrzeżem, a potem wspina się po zboczu, podtrzymując suknię, by się nie pobrudziła. Zwalnia, przystaje i na końcu małej uliczki dostrzega niskie, wąskie budynki. To tak zwane *pretti*, tam znajdują się pomieszczenia gospodarcze, stajnie i magazyny.

Na szczycie zbocza czeka służba, wybrana spośród mieszkańców wyspy. Spalone słońcem twarze, niewygodne uniformy i rękawiczki założone najlepiej, jak umieli. „Trzeba będzie się napracować, żeby zrobić z nich prawdziwych pokojowych”, myśli Giovanna, ukrywając irytację. Na szczęście jej osobista pokojówka, kucharz i kilkoro służących od razu ruszyło naprzód i udzieliło najpotrzebniejszych wskazówek. „W granicach tego, co możliwe”, myśli Giovanna, przyglądając się im uważniej. Wkrótce dołączy do nich kilkoro przyjaciół – są Damiani Almeyda i Antonino Leto. Później przyjadą jej rodzice i może nawet jej kuzynki; Giovanna nie chciałaby się wstydzić. „A może lepiej będzie przywieźć służbę z Palermo?”.

Odwraca się, chcąc zapytać o radę donny Ciccii i...

Z trudem łapie oddech.

Pałac jest przed nią. Widziała plany i rysunki Almeydy, ale słabe zdrowie Vincenzina i zobowiązania rodzinne uniemożliwiły jej wyjazd na Favignanę, by śledzić budowę. Oczywiście wyrobiła sobie jakieś wyobrażenie dzięki tym planom i słowom męża, który kilkakrotnie próbował jej opisać rezydencję. Teraz jednak jest zaskoczona jej niezwykłym pięknem. Jaka elegancka. Jaka potężna. Wygląda niemal jak zamek.

To masywny równoległobok zbudowany z tufu i cegły. Ostrołukowe okna, po prawej stronie mała wieżyczka ze spadzistym dachem. Na balustradach balkonów spirale przeplatają się z symbolem nieskończoności w ażurowej grze linii i prześwitów. Na dachu attyka przypominająca blanki. Żelazna brama została wykonana w odlewni Oretea, a na frontonie widnieje znak Floriów: lew pijący ze strumienia, w którym zanurzają się korzenie drzewa chinowego.

Pałac jest wspaniały, surowy i potężny.

Giovanna patrzy na budowlę, potem na plecy męża, który wciąż rozmawia z Gaetanem Caruso. Ten pałac wygląda jak Ignazio. Nie,

poprawia się po chwili: ten pałac to *jest* Ignazio. Monolit, w którym współistnieją łagodne linie i ostre krawędzie, lekkość żelaza i ciężkość tufu. Siła i elegancja.

Chciałyby do niego podbiec, puścić rękę syna, ale nie może, nie wolno jej. To nigdy nie był ich sposób porozumiewania się.

\*\*\*

Ignazio zostawia żonie i służbie rozlokowanie wszystkich w pałacu. Zostaną tu przez kilka tygodni, aż skończy się *mattanza*, a tuńczyk – wypatroszony, pokrojony, ugotowany – będzie gotowy do przetworzenia i puszkania.

Florio nie wchodzi do domu. Odsyła syna do matki z pieśczętą, która bardziej przypomina uderzenie w policzek, wędruje do ogrodu, gdzie krzewy pospornicy z trudem zapuszczają korzenie w napuchniętej od soli glebie.

Caruso podąża za nim, splecione ręce trzyma za plecami.

– Sieci zostały opuszczone jak należy – oznajmia. – Przed końcem tygodnia spodziewamy się pierwszego uboju.

Ignazio słucha, przytakuje.

– Czy *rais* powiedział, ile może być połowów?

– Jeszcze nie. Twierdzi jednak, że nadchodzące stado jest duże, i spodziewa się równie dużego w przyszłym tygodniu. Zawsze jednak kończy słowami: *U' signu di Cruci e Vergine addulurata facci aviri na' bona annata*<sup>21</sup>.

Śmieją się. Jednak Ignazio zaraz posepnieje.

– Sam nie wiem, czy życzyć sobie obfitych połowów czy przeciwnie.

Docierają na tył domu, gdzie Almeyda zaprojektował obszerną werandę z widokiem na ogród, osłoniętą zadaszeniem z kutego żelaza. Ignazio spogląda w stronę wyższych kondygnacji, na okna francuskie zamknięte neogotyckimi łukami. To są mieszkania rodziny. Na najwyższym piętrze znajdują się pokoje gościnne. Pięknie będzie tam stać i patrzeć na morze i łodzie pełne ryb wpływające do portu.

Caruso marszczy brwi.

– Tak – przyznaje z rezygnacją w głosie – w ostatnim roku hiszpańska konkurencja dała się nam we znaki.

– Hiszpańska i portugalska. Tyle że to właściciele z nazwy, a w rzeczywistości wszystko prowadzą genueńczycy. Jeśli sprzedają więcej, dostają więcej, i to bez płacenia podatków. A my, którzy pozostaliśmy z krajowym tytułem własności, musimy je płacić. – Ignazio unosi twarz. – Zamiast zatroszczyć się o nas, w Rzymie patrzą tylko na własną sakiewkę. Gnębią nas podatkami. Nie przyjdą im nawet na myśl ci ludzie, którzy harują tu na utrzymanie rodzin – mówi tonem ostrym jak brzytwa, wskazując na morze. Nawet nie próbuje ukryć gniewu.

– Więc co zrobimy? – pyta niespokojnie zarządca. Nie jest przyzwyczajony do takich słów pryncypała.

Ignazio prostuje ramiona, patrzy w stronę łowisk tuńczyka.

– Tutaj niewiele lub nic. Ale tam... – Wskazuje na północ. – Tam musimy ruszyć.

Caruso rozumie.

– Rzym?

– Nie od razu i nie bezpośrednio. Trzeba, żeby w ministerstwach zobaczyli wszystko z więcej niż jednego punktu widzenia. A my musimy ich zabrać tam, gdzie chcemy, ale tak, by się nie zorientowali, że ich prowadzimy.

Caruso pociera czoło.

– Tak, ale żeby dotrzeć do Rzymu... – mruczy, jednak zaraz się powstrzymuje, bo wie, że nie byłby to pierwszy raz, kiedy Ignazio znajduje odpowiednich rozmówców, którym przedstawiłby swoje potrzeby.

Chodzi o pokazanie, że pewne ścieżki można wydeptać inaczej. Albo że można wytyczyć inne.

– Jak już mówiłem, nie tylko my jesteśmy zainteresowani połowem tuńczyka. Jest mnóstwo tonnar. Pomyślcie o najbliższych: Bonagia, San Vito, Scopello... I wszystkie one mają ten sam problem: system podatkowy, który karze właścicieli obiektów rybackich w Italii. Krótko mówiąc, nie tylko my ponosimy straty.

Ale moje nazwisko nie może się pojawić. Rozumiecie dlaczego, prawda?

Oczywiście, że Gaetano Caruso rozumie. Od pewnego już czasu pracuje dla Domu Florio, dość długo, by zrozumieć, że wpływy Floriów idą w parze z posiadanym bogactwem. Jednak potęga nie tylko zjednuje przyjaciół, ale i przymnaża wrogów. A niektórzy wrogowie są jak robaki. Wystarczy pęknięcie, drobne osłabienie i larwy się zagnieżdżają, by zamienić zdrowe ciało w zgniłe mięso.

– Zacznę od spotkania z kimś w Trapani i Palermo, na początek z dziennikarzami – podejmuje Ignazio bardzo cicho, niemal szepcząc zarządcy na ucho. – Jak mówiłem, to nie my powinniśmy pokazywać wady tego stanu rzeczy, ale inni, a kto nadaje się do tego lepiej niż prasa branżowa i morska? Pomogą nam skłonić ludzi do mówienia o ich sytuacji, ponieważ ostatecznie ważne jest to, że się o niej mówi i że rząd odczuwa tego skutki. W Rzymie wiedzą, że dostają tu dużo głosów i że wywołanie niezadowolenia właścicieli fabryk soli i przetwórci rybnych byłoby fałszywym krokiem. – Robi pauzę, patrząc na morze. – Tak, pierwsze zaczną o tym mówić gazety. Nie będzie można im zarzucić, że działają z pobudek egoistycznych lub z osobistej zawiści. Jeśli gazeta coś pisze, to znaczy, że słyhać skargi, i ministerstwa będą musiały je uwzględnić.

Caruso już ma odpowiedzieć, ale przerywa mu głos rozlegający się za nimi.

– Proszę o wybaczenie. Pani pyta, kiedy chcecie wieczerzać. – Pokojowy w liberii, jeden z tych, którzy przybyli z Palermo, zatrzymał się kilka kroków od nich i czeka na odpowiedź.

Ignazio przewraca oczami, powstrzymuje przekleństwo.

– O tej samej porze co w Palermo, to oczywiste. Powiedz pani, że za chwilę przyjdę się przebrać. – Zwraca się do Carusa. – Zjecie z nami, prawda?

– Będę zaszczycony.

– Dobrze. Teraz wybaczcie. Do zobaczenia za jakiś czas.

Ignazio samotnie przechodzi przez miejscowość, kieruje się w stronę tonnary. Nie chce wracać do domu, nie od razu. Idzie z rękami w kieszeniach. Jedyńm jego towarzystwem jest szum fal,

który wślizguje się w uliczki, goni go, otula. Ignazio mija ufundowany przez siebie kościół, jeszcze w budowie, rusza wzdłuż brzegu. Skały przeplatają się z liniami piasku i suchej posydonii. Po lewej stronie widzi kilka domków rybackich. Dzieci bawią się, biegają boso. Kilka kobiet stoi w drzwiach, inne poszły szykować kolację, Ignazio dostrzega ich sylwetki przez sznurkowe zasłony oddzielające wnętrza domów od ulicy. Czuje zapach jedzenia, słyszy szuranie krzesel i stołków na podłodze.

– *Assabbinirica*, don Ignazio – wita go stary rybak siedzący niedaleko wejścia do tonnary.

Naprawia sieci. Przeplata nici, podnosi sieć, żeby zobaczyć, czy są jeszcze jakieś przedarcia. Ma oczy jak kreski ginące wśród zmarszczek przypominających kawałki garbowanej skóry. Ignazio go poznaje. To dawny *tonnaroto*, teraz zbyt stary, by wypływać w morze. Jego miejsce zajęli syn i zięć.

– *Assabbinirica* i wam, mastro Filippo.

Idzie dalej, dociera do zakładów.

Czyste linie budynku są takie, jak chciał i jak zaprojektował je dla niego Damiani Almejda. Ten pół neapolitański, pół portugalski architekt nadał tonnarze nowy wygląd i teraz zakład ma w sobie powagę greckiej świątyni. „Świątynia nad morzem”, myśli Ignazio.

Idzie wzdłuż muru granicznego, ścieżką, która prowadzi do fortu Świętej Katarzyny; tak jak przewidział, skazańcy okazali się bardzo przydatni do ciężkiej pracy w przetwórni. Wzniesienie jest strome; Ignazio nie pokonuje go do końca. Zatrzymuje się w połowie zbocza, by spojrzeć na port i wyspę, po czym opuszcza wzrok na swoje buty pokryte tufowym pyłem i wymyka mu się uśmiech.

Kiedy miał czternaście lat, zauroczyła go mięsista świetlistość tego materiału, który zdawał się więzić słońce. Dzisiaj, gdy ma lat czterdzieści, wie, że działał nie na fali emocji, ale na podstawie precyzyjnych kalkulacji. Dla umocnienia potęgi rodu Florio. Teraz, gdy tu stoi, nareszcie samotny, może pozwolić sobie na zrzucenie ostatnich więzów.

Ignazio krzyczy.

To krzyk wyzwolenia, który śpiewa wraz z wiatrem.

To krzyk zawładnięcia, jakby cała wyspa weszła w niego, jakby stała się jego ciałem, jakby morze było jego krwią. Jakby na jego oczach spajał się uroboros, krąg życia widoczny tylko dla niego, odkrywający przed nim prawdziwy sens jego obecności na tej ziemi.

To krzyk, który wymazuje nostalgię przeszłości i niepewność przyszłości, ofiarowując mu szczęście wiecznej teraźniejszości.

Następnego dnia, gdy Ignazio wstanie, zobaczy słońce mieszające się z tufem w kamieniołomach, poczuje słony wiatr przenikający przez zasłony, dostrzeże obezwładniającą zieleń krzewów na zboczach. I dlatego teraz stoi bez ruchu, sam, tylko z wiatrem i morzem, i nie ma znaczenia, że czekają na niego, że spóźni się na kolację. Ta wyspa, pocąca się solą i piaskiem – teraz Ignazio wie to na pewno – jest jego prawdziwym domem.

\*\*\*

Giovanna pierwsza odchodzi od stołu i udaje się na spoczynek do sypialni na pierwszym piętrze. Pomieszczenie wyposażone jest w neogotyckie meble wykonane na zamówienie w Palermo.

Zagubiony w myślach i jak zawsze nękany bezsennością, Ignazio życzył jej dobrej nocy i poszedł do swojego gabinetu, który znajduje się zaraz za garderobą, a jego okna wychodzą na zakłady po drugiej stronie portu.

Giovanna ma nadzieję, że na tej wyspie jej mąż znajdzie nieco wytchnienia.

Co prawda Favignana to praca. Ale to *także* praca, poprawia się później z uśmiechem, przeglądając się w lustrze, gdy zbiera włosy w warkocz. Będzie też czas, by pobyć razem i porozmawiać. Spróbować być parą, przynajmniej przez kilka dni.

Przyciemnia płomień lampy. Przez półotwarte okno dochodzi odgłos fal uderzających o molo i powiew wiatru przebiegającego przez uliczki osady. Giovanna delikatnie osuwa się w sen, ale budzi się, gdy do pokoju wchodzi Ignazio. Ma rozpiętą kamizelkę i rozluźniony węzeł krawata. Na jego twarzy nie maluje się



znużenie, lecz raczej wesołość, coś, czego nie przywykła widzieć, a co sprawia jej ciepłą przyjemność.

Ignazio zdejmuje marynarkę.

– Podoba ci się dom?

– Piękny – potwierdza Giovanna. – Zostawiłeś Nanài w Palermo?  
– pyta, wskazując ruchem głowy na jego ubranie.

Ignazio wzrusza ramionami, nuci pod nosem jakąś piosenkę.

– Tutaj nie potrzebuję Leonarda – mówi po chwili. – Tu jest mniej formalnie – dodaje, siadając na łóżku, by zdjąć buty.

To zdanie wystarczy, by Giovanna zrozumiała, że Ignazio jest szczęśliwy. Że czuje się tu wolny. Może inny. Zbliża się do niego, opiera głowę na jego masywnym barku, obejmuje go od tyłu.

Ignazio jest zaskoczony. Nieporadnie pieści ramiona żony. Są jak dwa dzikie koty, zazdrosne o własną przestrzeń życiową, rzadko pozwalające na dotyk.

– Jutro wezmę powóz i obwiozę cię po wyspie. Chcę ci pokazać, jaka jest piękna. – Odwraca się do niej, uśmiecha się oczami i gładzi ją po policzku.

Patrzy na nią, a nie na zjawę, pracę czy coś jeszcze innego. Na nią. Swoją żonę. Giovanna czuje wibrację, która przenika jej wnętrze, sunie w górę, przechodzi przez żołądek, dociera do klatki piersiowej i rozszerza jej żebra, każe głęboko zaczerpnąć powietrza. Rumieniec barwi jej twarz i Giovanna po raz pierwszy od dawna uświadamia sobie, że żyje. Całe życie czekała na taką chwilę – kruchą, intensywną, bezcenną – a teraz obawia się, że nie jest gotowa. Jej oczy wilgotnieją.

– Co się stało? – Ignazio jest dezorientowany. – Źle się czujesz?

– Nie. Tak... to nic takiego – odpowiada, jej usta drżą.

– Chciałabyś się ze mną wybrać na przejażdżkę?

Giovanna przytakuje. Nie może mówić. Przesuwa dłonią po włosach, jakby chciała rozpleść warkocz. Potem sięga po rękę Ignazia, którą oparł się na pościeli, podnosi ją do piersi i tuli się do niej.

Kiedy jesteś szczęśliwa, nie potrzeba słów.

\*\*\*

O świcie słońce jest lekko przesłonięte warstewką niskich chmur. Za morzem widać wybrzeże Trapani, a jeszcze dalej w głębi zwartą sylwetkę położonego na górze miasteczka Erice. Woda przy brzegu jarzy się niezwykłym światłem: jest oślepiająco biała, rani oczy i zmusza do odwrócenia wzroku.

– To saliny – wyjaśnia Ignazio siedzącej obok Giovannie, gdy ona mruży oczy. – Zbiorniki słonej wody, która odparowuje i pozostawia skorupę soli. Tę skorupę się zbiera, suszy i sprzedaje. Solanka, której używamy do tuńczyka, pochodzi właśnie stamtąd. – Podnosi rękę, wskazuje na jakiś punkt za wioską. – Tam dalej znajduje się zatoka, w której doszło do bitwy morskiej. Rzymianie pokonali tam Kartagińczyków. To była ważna bitwa, zakończyła pierwszą wojnę punicką. Nawet dzisiaj, co jakiś czas, rybacy wracają do domu z kawałkiem amfory. – Jego oczy błyszczą, wygląda jak szczęśliwe dziecko.

Oślonięta parasolką Giovanna obserwuje krajobraz: surowy, suchy i pylisty, tak różny od stałego lądu, że wywołuje u niej pewien niepokój. A jednak nagle wszystko staje się dla niej jaśniejsze. Jakby wyspa dała jej wreszcie klucz do serca męża. Giovanna widzi jej tajemnicze piękno, słyszy jej ciszę.

– Tak bardzo chciałeś tej wyspy – szepce.

– Tak – odpowiada Ignazio. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Przez chwilę milczą. Jedyne dźwięki przerywające ciszę pochodzą od niewielkiego orszaku przemieszczającego się po żwirowych drózkach: kilka wózków, kilka koni, a nawet osioł, zarezerwowany dla donny Ciccii, która od czasu do czasu piszczy ze strachu.

Ignazio patrzy na żonę: choć kapelusz częściowo skrywa jej twarz, zauważa kilka zmarszczek, zwłaszcza u nasady nosa i na czole. Oznaki zmęczenia lub napięcia. Nieważne. „Cóż, ja też się pewnie starzeję”, myśli. Nigdy nie robił z tego powodu zamieszania, nawet gdy rano zdarzyło mu się odkryć nowy siwy włos na głowie lub w brodzie. Wzrusza ramionami na tę myśl. „Ciekawe, jaka ona jest teraz”.

To zdanie przebiega przez umysł, uderza w niego z siłą błyskawicy.

*Ona.*

Wyobraża sobie zmarszczki nakładające się na twarz zastygłą w jego wspomnieniach, miedziany blond włosów przechodzący w szarość; niebieskie tęczęwki, niegdyś jasne, teraz wyblakłe, cienie pod oczami, ciężkie powieki.

„Kto wie, jak by to było, gdybyśmy się razem zestarzelili”.

Skąd wzięły się te myśli, skąd te pytania? Jaka część jego ducha opuściła gardę na tyle, by ta fantazja wypełniła mu umysł? Ze złością ją odsuwa, bo nie chce pozwolić sobie na żal. Spuszcza wzrok, niemal przestraszony, że Giovanna może odczytać, co się dzieje w jego głowie, ale tamten obraz nie przestaje go ścigać, szarpać, kłuć ostrzem żalu. Ignazio zgrzyta zębami. „Nie wolno mi o tym myśleć”, mówi sobie i aby odwrócić uwagę, zwraca się do Carusa, który jedzie tuż za nimi.

– Czy z Palermo nadeszły jakieś listy?

– Czekaliście na jakąś konkretną przesyłkę? – pyta Caruso w odpowiedzi. – W każdym razie nie. Poczta przyjdzie jutro.

– Tylko na parę raportów – mruczy Ignazio. – I dane o zamknięciu tkalni.

Caruso prychnął.

– Rzuciliście perły przed wieprze, don Ignazio. Zaoferowaliście im domy, edukację, nawet piekarnię, a oni to wszystko odrzucili.

– Tak. – Florio ściąga lejce kolaski, a siedząca obok niego Giovanna przechyla głowę, żeby lepiej słyszeć. – To nie było udane doświadczenie – przyznaje niechętnie Ignazio.

Nie chce wypowiadać słowa „porażka”. Ale tak właśnie jest. Odwraca się do żony. Ona patrzy na niego, czeka na wyjaśnienie.

– Mecenas Morvillo i ja założyliśmy tkalnię z domami robotniczymi, warsztatami, piekarnią i szkołą. Myśleliśmy nawet o nianiach, które zajmowałyby się noworodkami, aby matki mogły iść do pracy.

Giovanna słucha go, marszcząc brwi i starając się ukryć zdziwienie. Ignazio nigdy dotąd nie był wobec niej tak rozmowny, gdy szło o interesy. Czyżby Favignana dokonała kolejnego cudu?

– A tu nic, nic! – kontynuuje Ignazio ze złością. – Mężczyźni uznali, że nie warto się wysilać, by zdobyć coś więcej, że to, co mają, im wystarczy, nawet jeśli ledwo się z tego utrzymują. A kobiety się uparły: nie chciały zostawiać dzieci z niańkami, a do szkoły posyłały tylko chłopców. To, że dziewczynki mają zostać zamknięte w domu i trwać w absolutnej nieświadomości, nie podlegało dyskusji. Przecież zawsze tak było i tak być musi na wieki. – Prycha. – Ustaliliśmy cenę chleba na dziesięć centymów mniej niż w mieście, ale nikt nie chciał płacić, więc musieliśmy zamknąć piekarnię. Jednak najgorsze było to, jak robotnicy podchodzili do pracy przy krosnach i maszynach. Zamiast nauczyć się je obsługiwać, uszkodzili je, a potem zostawili, jakby mogły się same naprawić. Interesowało ich tylko, żeby brać. Niektórzy nawet ukradli tkaniny, by je odsprzedać. Co za bagno!

Giovanna gładzi go po ręce, kładzie dłoń na jego kolanie w milczącym geście czułości.

– Tu, na Favignanie, będzie inaczej, don Ignazio. – Caruso jest optymistycznie nastawiony, wręcz radosny. – Wystarczy nie oczekiwać od tych ludzi rzeczy, których dać nie mogą. Są przyzwyczajeni do pracy na łodziach, do zginania karku pod słońcem, tak jak to robili ich ojcowie i będą robić ich synowie. A dzięki dodatkowi *migghiurato* mają powód, by pracować wydajniej.

– Ależ ja nie oczekuję od nich niczego innego. Tylko uczciwości i zaangażowania, które zostaną nagrodzone nieco większą sumą pieniędzy.

Orszak wozów i wierzchowców posuwa się ku północno-wschodniemu krańcowi wyspy. Gdy Caruso się oddala, Giovanna bierze Ignazia za rękę. On odwzajemnia uścisk, nie patrząc na nią.

– Zrobiłeś coś dobrego. To te bezpańskie psy nie zrozumiały, co dostają – mówi zakłopotana.

On jednak krzywi usta i nie ukrywa irytacji.

– Wyobraziłem sobie nowoczesną fabrykę, taką jak te w Anglii, gdzie robotnicy i ich rodziny mają szansę na poprawę swego bytu. Widocznie byłem zbyt optymistyczny. Będę uważał, żeby tego ponownie nie zrobić.

Giovanna opiera głowę na jego ramieniu, a on jej nie odsuwa.

Z wózka za nimi dochodzą głosy dzieci. Nawet Vincenzino, zwykle spokojny, woła ze zniecierpliwieniem:

– Daleko jeszcze?

– Tylko kilka minut. Ta zatoczka jest naprawdę niezwykła: w skałach znajduje się otwór, jakby studnia, która schodzi ku morzu. Chciałem, żebyście to zobaczyli.

„Obwiozł nas po całej wyspie”, myśli Giovanna z uśmiechem łagodzącym jej zmarszczoną pod parasolką twarz. Pokazał im promienne piękno Cala Rossa i obiecał widok zachodzącego słońca nad zatoką Marasolo, poniżej góry, w niewielkiej odległości od rybackich domów.

Uświadomiła sobie, że Ignazio chciałby zostać tu na zawsze. To miejsce czyni go pogodnym, tu czuje się spełniony. Świadczą o tym jego rozluźnione rysy, cierpliwość do dzieci, znacznie dłuższy czas spędzany razem z nią. Ale nie da się tu pozostać na zawsze. Dlatego Giovanna chwytą te uczucia, chowa je w zakamarku serca, by je wydobyć, gdy nadejdą mroczne dni, gdy myśl o tamtych przeklętych listach powróci i będzie ją kąsać, gdy po raz kolejny pojawi się pytanie, kim była ta kobieta. Kiedy ona i Ignazio będą daleko od siebie, mimo że śpią w jednym łóżku.

\*\*\*

*In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.*

Drewno z chrzestem przesuwa się po szorstkim tynku. Zapach białych lilii nie może do końca stłumić woni kurzu i zaprawy.

Giovanna i Ignazio stoją blisko siebie. Na blade usta Giovanny skapuje kropla. Łza, po której natychmiast pojawia się kolejna.

Nie ociera ich.

Ignazio jest jak kamień. Prawie nie oddycha i w istocie oddychać nie chce. Wszystko, byle nie czuć tej udreki. Nie czułby takiego bólu, nawet gdyby wyrywano z niego strzępy ciała. Oddech drapie mu tchawicę, przeciska się, by wyjść, a wtedy on zamyka usta,

zostawiając tylko tyle, ile trzeba, by przeszła ta odrobina powietrza, która – niech to diabli! – utrzymuje go przy życiu.

Giovanna chwieje się, on podtrzymuje ją w samą porę, by nie upadła. Ona wyrywa mu się, wyciąga rękę, wybucha szlochem.

– Nie, nie, poczekajcie! – Jej krzyk jest niemal zwierzęcy. – Nie zabierajcie mi go! Nie zostawiajcie go tam! Tu jest tak zimno, on jest sam, *figghiu di lu me cori, anima mia*<sup>22</sup>... – Uwalnia się z uścisku męża, wymija mężczyzn, którzy już mają zamknąć grobową niszę. Chwyta się trumny, bije po niej pięściami, drapie. – Vincenzo! Vincenzino mój, życie moje! *Arruspigghiati, cori meo!*<sup>23</sup> Vincenzino!

Donna Ciccia za jej plecami wybucha płaczem. Dołączają do niej Ignazziddu i Giulia, trzymana za rękę przez nianię, która z błyszczącymi oczami wyprowadza dziewczynkę z kaplicy grobowej.

Ignazio odrywa Giovannę od trumny, zmusza ją, by stanęła na nogi.

– Przestań, na Boga! – syczy.

Ale ona zachowuje się jak oszalała: wciąż wyciąga ręce do trumny otoczonej girlandami białych kwiatów, próbuje się mu wyrwać, w końcu jej się udaje. Wbija paznokcie w drewno z taką siłą, że pozostają na nim rysy.

– Dość, Giovanna! – Ignazio chwyta ją za ramiona, potrząsa nią gwałtownie. Sam jest u kresu wytrzymałości; nie ma sił, by przyjąć na siebie jeszcze rozpacz żony. Odrobina więcej i zostanie starty na miazgę. – *Mortu è, capisti?* Martwy! – krzyczy jej w twarz.

Ale ona zawodzi jeszcze głośniej.

– Wszyscy się mylicie! Jest chory, ale nie jest martwy. Nie może być martwy! Wyciągnijcie go, może jeszcze oddycha! – I powtarza to ostatnie zdanie, rozglądając się dookoła, jakby szukała potwierdzenia w oczach obecnych.

Wtedy Ignazio obejmuje ją i trzyma tak mocno, że nie pozwala, by nawet szloch nią wstrząsał. Kapelusz z czarnym welonem zsuwa się na ziemię.

– Miał gorączkę, Giovanna – szepce Ignazio. – Miał taką gorączkę, że wypalił się jak świeca. Obejmowałam go i pielęgnowałam do końca,

ale Bóg go zabrał. Taki los.

Ona go nie słucha. Już tylko płacze, wyczerpana. Matce, która straciła dziecko, pozostają jedynie łzy i pragnienie śmierci.

Donna Ciccia podchodzi, bierze ją pod ramię.

– Chodźcie ze mną – mówi, delikatnie odciągając ją od Ignazia. Następnie daje znak opiekunce Giulii, która wróciła po Ignazziddu.

– Przejdźmy się – szepce i obie kobiety ciągną Giovannę na zewnątrz, między cyprysy, które otaczają kaplicę Floriów na cmentarzu Santa Maria di Gesù. Wrzesień jest łagodny i spokojny, obojętny na dojmującą rozpacz.

Ignazio przygryza wargę, patrzy na drzwi kaplicy. To nie do wiary, że tyle życia jest na zewnątrz, podczas gdy jego syn – jeszcze dziecko! – tego życia nie ma już wcale. Następnie odwraca się do czekających mężczyzn. Wstrzymuje oddech, po czym przez zęby wydaje polecenie:

– Zamknijcie.

Za nim rozlega się lekki dźwięk kroków.

Ignazziddu stoi na progu kaplicy. W ręku trzyma podkowę: znaleźli ją razem, on i Vincenzo, podczas wycieczki na monte Pellegrino w czasie zwiedzania sanktuarium Świętej Rosalii, przez palermian nazywanej po prostu *la Santuzza*. Brat powiedział mu, że ta podkowa przyniesie mu szczęście.

„To on powinien ją sobie zatrzymać”, myśli teraz Ignazziddu. Patrzy na ojca oczyma zaszklonymi przez łzy, z pięściami jedenastolatka zatopionymi w kieszeniach. Ma w sobie pustkę zmieszaną z czymś głębszym, nieznanym. Z poczuciem winy, które mają żywi wobec zmarłych. To rzecz dorosłych, a jednak Ignazziddu doznaje go z druzgocącą siłą. To kropla trucizny: on żyje, podczas gdy jego brat zmarł osłabiony chorobą, która w ciągu kilku dni wyniszczyła jego płuca.

Ojciec daje mu znak, a on posłusznie do niego dołącza. Razem patrzą na pracę murarzy.

Cegły wznoszą się równo, jedna na drugiej. Trumna Vincenzina powoli znika z oczu, aż pozostaje tylko mała pusta przestrzeń. Dopiero wtedy Ignazio daje sygnał mężczyznom, żeby się zatrzymali. Wyciąga rękę, dotyka rogu skrzyni. Zamyka oczy.

Vincenzino na zawsze pozostanie dwunastolatkiem. Nie dorośnie. Nie będzie podróżował. Niczego się już nie nauczy. Ignazio nie zobaczy, jak syn staje się mężczyzną. Nie zabierze go ze sobą na piazza Marina. Nie będzie mógł się cieszyć z jego ślubu ani z narodzin wnuka.

Po Vincenzinie pozostaną nuty leżące na pulpicie, zeszyty otwarte na biurku, ubrania wiszące w szafie, w tym kostium muszkietera, który chłopiec uwielbiał i który nosił na swoim ostatnim balu maskowym, kiedy Ignazio wezwał fotografa, aby uwiecznił jego dzieci przebrane za siedemnastowiecznych kawalerów i damę.

Jego syn pozostanie na zawsze dwunastolatkiem, a on, ze wszystkimi swoimi przedsięwzięciami, z całą swoją władzą, z całym swoim bogactwem, nie może nic na to poradzić.

\*\*\*

Kiedy wracają do Olivuzzy, donna Ciccia pomaga swej pani wyjść z powozu. Giovanna chwije się, ale po chwili biegnie w stronę schodów. Nie panuje nad sobą; przechodzi przez drzwi, które otworzył zapłakany sługa, i zaczyna błądzić po pokojach, wołając Vincenzina, jakby syn się ukrywał i tylko czekał na przybycie matki, by się pokazać.

Jednak służba stanęła na wysokości zadania. Na rozkaz Ignazia pozbierali rozrzucone po domu zabawki, skrzypce, książki. Wszystko zebrano w pokoju chłopca, jedynym miejscu, gdzie ból ma prawo istnienia.

Giovanna osuwa się na podłogę przed drzwiami do tego pokoju. Nie ma odwagi, by je otworzyć. Opiera czoło o drewno i wyciąga rękę w stronę gałki, ale nie ma siły jej przekręcić. Właśnie tam znajduje ją donna Ciccia. Delikatnie ją podnosi i prowadzi do sypialni. Giovanna rozgląda się, zagubiona. Żałoba pozbawiła ją siły i postarzyła twarz o dziesięć lat.

Ignazio stoi w progu i patrzy, jak donna Ciccia nalewa do szklanki mieszankę wody, soku z czarnej wiśni, syropu z białego maku



i laudanum. Następnie podnosi głowę Giovanni, podaje jej szklanekę do ust. Kobieta posłusznie pije. Z jej oczu płyną ciche łzy.

Wystarczy kilka chwil. Środek uspokajający zaczyna działać i Giovanna zapada w litościwy sen. Potem donna Ciccina siada na fotelu obok łóżka i składa ręce, zaciska w dłoni czarny różaniec i patrzy na Ignazia, jakby chciała mu powiedzieć: „Ja się stąd nie ruszę”. A poza tym wie, że *armicedda*, duszyczka Vincenzina, wciąż tu jest, i nie ma znaczenia, że jego zabawki zniknęły i że schowane zostały skrzypce. Donna Ciccina wie, że on nadal będzie w tych pokojach, trzymany przez wspomnienia matki, jak cień wśród cieni, tak samo jak wie, że jeszcze nieraz usłyszy go w korytarzach willi i że będzie się modlić, by jego smutny duch odnalazł spokój.

Ignazio zbliża się do łóżka, pochyla nad żonę i całuje jej czoło, wstrzymując oddech. Patrzy na nią raz jeszcze i wychodzi z pokoju.

„Muszę iść do gabinetu. Muszę myśleć o pracy. Muszę myśleć o Domu Florio”.

Przechodzi obok pokoju Giulii. Zza drzwi dobiega szloch córki i głos niani, która próbuje ją pocieszyć.

Nagle ktoś za nim go woła. To Ignazziddu. Chłopiec stoi na środku korytarza. Usłyszał, że ojciec przechodzi obok, i wybiegł z pokoju.

– *Papà*... – mówi przez łzy.

Ignazio zaciska pięści. Zostaje w miejscu. Wpatruje się w arabską dywanu.

– Chłopcy nie płaczą. Przestań – mówi lodowatym tonem.

– Jak ja sobie bez niego poradzę? – Ignazziddu wyciera oczy i nos rękawem czarnej bluzy. Wyciąga do ojca ręce. – Nie mogę o tym myśleć, *papà*!

– Ale tak jest. Umarł i trzeba się z tym pogodzić. – Ignazio mówi to ostro, ze złością.

Dlaczego to musiało się stać? Patrzy na swoje ręce. Drżą. Pustka, którą odczuwa w tym momencie, rozszerza się, odnawia ból żałoby po innych zmarłych: ojcu, matce, nawet po babce. Ale co innego dręczy go najbardziej i wyżera mu wnętrzności. „Żaden rodzic nie powinien przeżyć swojego dziecka – myśli Ignazio. – To nie jest zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy”.

A jednak, być może, nie wszystko jest stracone. Wciąż ze spuszczonego wzrokiem mówi do Ignazziddu głosem chropawym od żalu:

– Jego już nie ma. Teraz jesteś ty i będziesz musiał sprostać nazwisku, które nosisz.

Ignoruje wyciągnięte ręce syna i odchodzi do gabinetu.

Chłopiec stoi samotnie na środku dywanu, łza spływa po jego policzku. Co oznaczają słowa, które właśnie wypowiedział ojciec? Co miał na myśli? Kim on, Ignazziddu, teraz jest? Czym się stał?

Na korytarzu zalega głucha cisza.

\*\*\*

Czas nie ma szacunku dla żałoby. Chwyta ją, szlifuje, formuje dzień po dniu, zamieniając w ducha bardziej uciążliwego i bardziej widocznego niż ciało z krwi i kości. Wtłacza ją w oddech i odtąd każde tchnienie pamięta o bólu życia.

O tym myśli Ignazio, gdy zamyka się w swoim biurze przy piazza Marina. Woli trzymać się z dala od Olivuzzy i skamieniałej twarzy żony czy smutnych, milczących spojrzeń dzieci. Wraz z biletami kondolencyjnymi czeka na niego telegram od ministra nauki, Francesca Paola Pereza, jego palermiańskiego przyjaciela, który broni interesów Piroscafi Postali u ministra robót publicznych, Alfreda Baccariniego, i informuje go o najnowszych wydarzeniach.

Tak, ponieważ ministerstwo robót publicznych wciąż nie zdecydowało, co zrobić z linią żeglugi jońsko-adriatyckiej. Najpierw jej obsługę przyznano Floriowi, ale potem decyzję zawieszono w oczekiwaniu na ogólną reorganizację subwencjonowanych przez państwo szlaków handlowych. Reorganizacja nigdy nie nastąpiła, a teraz Ignazio zaczyna się niepokoić, bo pojawiają się inni, jak działający w Trieście Österreichischer Lloyd, i oferują pasażerom i kupcom bardzo korzystne usługi. Francuskie kompanie żeglugowe Valery i potężna Transatlantique też nie stoją z boku. W basenie Morza Śródziemnego bitwa nie toczy się już przy użyciu armat, ale

obniżonych taryf handlowych i dotacji dla kompanii transportowych.

Ignazio szkicuje treść telegramu zwrotnego. „W moim najgłębszym smutku nie zawiodła mnie myśl o wielkich obowiązkach...”, zaczyna i potrzebuje wielkiego wysiłku woli, by pisać dalej.

Praca, podobnie jak czas, nie będzie czekać.

– Czy można? – W na wpół otwartych drzwiach pojawia się kosmyk ciemnych włosów i zakłopotana twarz.

Ignazio nie odpowiada; może nawet nie słyszy.

– Don Ignazio... – mówi gość.

Ignazio podnosi oczy.

Drzwi otwierają się i do gabinetu wchodzi elegancki mężczyzna z przyprószonymi siwizną faworytami.

– Don Giovanni... Proszę – woła Ignazio, wstając.

Giovanni Laganà jest byłym likwidatorem Trinacrii i obecnym dyrektorem Piroscafi Postali. Florio zna go od wielu lat i ceni. Przybysz wpatruje się w Ignazia i nie może ukryć zaskoczenia. Gospodarz jest przeraźliwie blady i wychudzony, ma zmierzwione włosy, ale przede wszystkim widać w nim zmęczenie, którego nie da się przypisać przepracowaniu.

– Wołałem nie nachodzić was w domu. Nie chciałem zmuszać waszej żony do przyjmowania kolejnej wizyty kondolencyjnej.

Ignazio go obejmuje.

– Dziękuję – mówi cicho. – Przynajmniej ty zrozumiałeś – dodaje, przechodząc na „ty”, zarezerwowane dla poufnych rozmów.

Siadają naprzeciwko siebie przy biurku. Giovanni Laganà ma wąskie oczy i spokojne ruchy człowieka świadomego swej wartości.

– A ty jak się trzymasz?

Ignazio wzrusza ramionami.

– Trzymam się.

Giovanni ściska go za ramię.

– Przynajmniej masz drugiego chłopca – mówi. – Nie wszystko stracone.

Ignazio spuszcza wzrok na podłogę.

– Porozmawiajmy o czymś innym, proszę.

Giovanni przytakuje, jakby chciał powiedzieć, że tak, każdy ma prawo do wyboru własnej drogi ucieczki w obliczu cierpienia. Następnie z westchnieniem wydobywa z teczki kilka dokumentów. Podaje je Ignaziowi, który chwytając je i szybko przebiega wzrokiem. Jego zgaszona twarz ożywa, brwi się marszczą.

– Czy to plotki, czy też negocjacje są dalej posunięte, niż mogłoby się wydawać?

Cienkie wargi dyrektora stają się jeszcze cieńsze.

– Co o tym myślisz? – pyta Laganà.

– Że Francuzi z Valery wyrrywają nam krzesło spod zadka i że Austriacy z Lloyda chcą zrobić to samo. – Kładzie papiery na stole, zaczyna chodzić po pokoju. – Skąd masz te wiadomości?

– Od jednego z naszych agentów w Marsylii. Jego drużba pracuje w Transatlantique. A w Trieście mamy kilku znajomych, którzy potwierdzają plotki o Lloydzie. – Laganà przerywa, stukając palcami w kartki. – Nie chcę ci teraz przedstawiać szczegółów, ale...

Ignazio macha ręką.

– W Rzymie nie zdają sobie sprawy z tego, co się tu dzieje. I nie tylko tu, w Palermo, ale też w Genui, Neapolu, Livorno. Wszystkie porty są w trudnej sytuacji. Jeśli rząd pozwala sobie na luksus niepodejmowania żadnych inicjatyw, podczas gdy Paryż i Wiedeń działają i zdobywają najlepsze szlaki, to nie mamy wyjścia. – Marszczy czoło i w zamyśleniu kręci głową.

Laganà przygląda się mu uważnie. Wbrew sobie czuje przypływ ulgi. „Wrócił – myśli. – Ból go nie złamał, nie do końca”.

– Od miesiący czekam na odpowiedź w sprawie umowy na trasy do Ameryki – wznowia Ignazio. – Mamy trudności z zagwarantowaniem obsługi, zresztą wiesz o tym lepiej niż ja. Ledwo pokrywamy nasze wydatki, i to tylko dlatego, że Oretea zajmuje się naprawami. Wkrótce będziemy zmuszeni podnieść stawki frachtowe, a wtedy czeka nas klęska, bo obce statki na tej samej trasie mają znacznie niższe stawki i jest ich więcej. – Pociera zmarszczkę między brwiami. – W Rzymie nie ustaje gadanina, że rynek musi być wolny, podczas gdy Francuzi biorą znacznie większe dotacje niż Włosi i dokonują fuzji między sobą. – Uderza dłońią

w ścianę. – Czy oni tam w Rzymie zdają sobie sprawę, że wyrządzają więcej szkody niż pożytku?

– Nie i nie chcą tego zrozumieć.

Florio śmieje się z goryczą.

– Dotują mi linię z Ankony, która nie jest już potrzebna, a nie dają mi dotacji na trasy do Ameryki. I czego rząd ode mnie wymaga? Żebym zapewnił połączenie z wyspami greckimi, na które nikt nie pływa i gdzie rosną tylko oliwki i pasą się kozy. Powiesz mi po co? – Odchodzi od ściany, wskazuje palcem na poufne dokumenty pochodzące z Marsylii. – Kiedy oni otwierają nowe linie do Ameryki, dokąd płynąmy my? Na Zare? Na Korfu? – Siada z powrotem przy biurku, opiera brodę na rękach. Oddech ma ciężki, a oczy zamknięte, co jest znakiem, że intensywnie myśli. – Prawdziwe bogactwo pochodzi z podróży transoceanicznych, od biedaków jadących do Ameryki szukać pracy. Proponowałem dwa rejsy w tygodniu, ale co mam zrobić z konkurencją Anglików, którzy oferują trzy? Nie, nie będę stał z boku i czekał, aż zabiorą mi wszystko, co zbudowaliśmy z moim ojcem, kiedy w Rzymie paplają tylko o komisjach i możliwościach, które należy ocenić... Osły!

– Jedynym pocieszeniem jest to, że Rubattino myśli tak jak ty. Wy dwaj jesteście najważniejszymi włoskimi armatorami. Pamiętasz, co mi powiedział, kiedy poszedłem do niego w Genui? „Francuzi przerabiają nas na mielonkę i ani jeden listek nie porusza się w Rzymie”. Skarzył się na komisję do spraw reorganizacji szlaków handlowych, uważał, że to kolejny wymysł i marnowanie czasu. Doszedł do wniosku, że musimy sami podjąć działania, bo inaczej...

Ignazio otwiera oczy.

– Tak, piękne słowa, ale i on, i my wciąż stoimy w miejscu. Jedynym rozwiązaniem byłoby stworzenie silnej spółki, Genua razem z Palermo. Giovanni, musimy się zwrócić do ministra Baccariniego. Dotrę do niego; poproszę Francesca Paola Perezę, żeby z nim porozmawiał, przekonał, że pora spoważnieć, bo kiedy on śpi, inni idą naprzód. Musimy wziąć na cel Amerykę i zebrać takie siły, żeby nie pozwolić Francuzom i Austriakom na odbieranie rejsów i towarów z naszych portów. Coś musi się ruszyć i się ruszy, jakem Florio.

\*\*\*

– Jak to odwołali linię Palermo–Mesyna? Dziesiątki listów, petycji, rozmów, by trasy zostały przedłużone do Nowego Jorku... i to jest odpowiedź?

Giovanni Laganà robi krok do tyłu, zaskoczony gniewem, którym wybucha Ignazio. Jest grudzień 1880 roku, od ponad roku walczą o uratowanie Piroscafi Postali przed kryzysem ogarniającym branżę transportową. Kompania zostaje coraz bardziej w tyle za swoimi francuskimi i austriackimi konkurentami. Ignazio robił, co mógł: odwołał się do wszystkich swych wpływów, wykorzystał polityczne koneksje, obiecywał i groził. Ale, jak widać, tracił czas. A to irytuje go najbardziej.

– Słucham? – nie dowierza Laganà, podchodząc do biurka.

– Czytaj – burczy Ignazio i rzuca mu telegram, który właśnie nadszedł z Rzymu. Nie jest w stanie powiedzieć nic więcej, tak bardzo jest zły.

– Według nich trasa nie jest już potrzebna, bo teraz oba miasta łączy kolej, a pociąg odbędzie więcej podróży niż statki – streszcza Laganà.

„To rozsądne”, myśli, ale tego nie mówi. Rzuca jedynie spojrzenie w stronę Ignazia.

– Tak, oczywiście, sam widzę, że mają rację. – Ignazio jakby czytał w jego myślach. Przeżuwa niewypowiedziane przekleństwo. – Ale to nas doprowadzi do bankructwa. Dywidendy do podziału między akcjonariuszy są już i tak bardzo niskie, a teraz będę musiał jeszcze wyjaśnić im to, nie wspominając o wiadomościach, które Giuseppe Orlando ciągle przysyła z Francji.

– Fuzja Valery i Transatlantique? Zarządy wydały pozytywną opinię, niestety.

– To tylko kwestia papierów, bo Valery już właściwie nie istnieje. Oficjalne potwierdzenie to kwestia paru dni. Orlando już mi to napisał w telegramie. – Pięść Ignazia uderza o biurko. Portret Vincenzina oprawiony w ciężkie srebro drży i się przewraca. Ignazio stawia go na nowo, po czym kontynuuje już bardziej opanowanym

tonem: – Rubattino wciąż zwleka, a my powoli toniemy. Człowiek szuka pomocy u tych, którzy powinni jej udzielić, a ci trzaskają mu drzwiami przed nosem. Tymczasem Francuzi tworzą kolejne linie i wypierają nasze.

Laganà cicho prycha. Długi, powolny wydech wydobywa się z sykiem przez zęby.

– Jesteś pewien? To znaczy chciałem zapytać: co się stało?

Ignazio pociera skronie. Złość pulsuje mu w głowie.

– Tak. Osobiście napisałem do Roussiera, naszego francuskiego przedstawiciela. Potwierdził mi wszystko. Kolejnym krokiem Transatlantique po połączeniu będzie stworzenie linii do Cagliari, a następnie do innych włoskich portów. Rubattino powinien się wreszcie ruszyć, a co robi? Płakusia! – Kolejne stuknięcie w biurko, kolejne uderzenie w plik papierów, które spadają na ziemię. – Jest największym armatorem w Genui, to zwłaszcza jemu Francuzi mieszają szyki. Powinien podnieść głos, ruszyć się, wezwać Rzym, by chronił jego pozycję, a tymczasem nic! Nic nie robi! Nie mogę znieść marnowania czasu i tego zamieszania!

Giovanni Laganà schyla się po plik papierów. Uśmiecha się.

– Z upływem czasu coraz bardziej przypominasz swojego ojca.

Ignazio nieruchomieje, podnosi głowę. W jego włosach pojawiły się smugi siwizny, a w brodzie srebrne nitki. Wygląda na bardziej zirytowanego niż zakłopotanego tą uwagą. Rzuca rozmówcy pytające spojrzenie.

– Głos, gesty, nie wiem, co jeszcze. Słabo go znałem, a jednak przypominasz mi go. Nie masz jego gniewu, ale oburzasz się w taki sam sposób i tak samo to okazujesz – wyjaśnia Laganà.

– Mój ojciec już by jechał do Rzymu z podniesionymi pięściami – burczy Ignazio z irytacją. – Ale to nie jest mój styl.

Jego gabinet wyłożony jest orzechową boazerią, na której wiszą mapy i certyfikaty. Światło wpadające przez okna z widokiem na piazza Marina zdaje się przenikać wypolerowane włókna drewna, a następnie ślizgać po szafach bibliotecznych po obu stronach drzwi. Wokół monumentalnego biurka ustawiono skórzane fotele i lampy z czeskiego kryształu. Jest to biuro godne dużej firmy przewozowej.

A on jest armatorem, najważniejszym włoskim armatorem, i chce być odpowiednio traktowany.

Prostuje plecy, pociera nos, zastanawia się. Laganà czeka w milczeniu. Powolnym krokiem Ignazio podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz. „Ostrożnie – mówi sobie, oddychając głęboko. – Uważnie i ostrożnie”.

Dzień jest wietrzny, jak to często bywa zimą w Palermo. Ignazio patrzy na plac, na tufowe fasady budynków, na ruch wozów i przechodniów. Następnie podnosi wzrok w kierunku Vicarii, przebiega spojrzeniem obok San Giuseppe dei Napoletani, podąża w głąb Cassaro tak daleko, jak tylko może. W końcu chwytą złoty zegarek, który nosi w kieszonce kamizelki, sprawdza godzinę.

– W porządku. Skoro czcigodni ministrowie nie chcą słuchać nas, posłuchają innej muzyki. – Mówi tak cicho, że Laganà ledwo go słyszy.

– To znaczy?

Ignazio pochyla głowę.

– Walne zgromadzenie spółki ustalone jest na koniec stycznia. Krótko przed tym odbędzie się wizyta rodziny królewskiej w Palermo. Zamierzam poprosić o spotkanie z królem. – Światło wpadające przez okno rzeźbi jego twarz. – Porozmawiam z nim. A jeśli to nie pomoże... – Florio zaczyna chodzić po pokoju. – Jakiś czas temu, kiedy mieliśmy kłopoty z tonnarami, bo rząd nie chronił lokalnej produkcji, zrobiłem pewien manewr, który wówczas zakończył się sukcesem. Teraz nadszedł czas, aby go powtórzyć, ale na większą skalę.

Laganà siada, wygląda marnie.

– Wybacz mi, Ignazio, ale nie nadążam – wyznaje.

– Wtedy poprosiłem kilku znajomych, aby o sprawie opowiedzieli gazetom. Należało zwrócić uwagę, że sytuacja tonnar jest nie do przyjęcia, że trzeba chronić nasze rybołówstwo również za pomocą adekwatnej polityki fiskalnej... Napisali to i jeszcze więcej, zdołali nadać całej sprawie ogólnokrajowy rozgłos. Krótko mówiąc, te artykuły zrobiły to, co chciałem. Teraz mogę powiedzieć, że to był rodzaj próby generalnej.

Dyrektor Piroscafi Postali otwiera usta i zaraz je zamyka.



- A więc...
- Zobaczysz.

\*\*\*

4 stycznia 1881 roku Sabaudzi przybyli do Palermo. Damiani Almeyda zaprojektował pawilon na przyjęcie rodziny królewskiej, a mała armia robotników zamiotła ulice, oczyściła kwietniki i naprawiła latarnie, w które bandy uliczników lubią rzucać kamieniami. Na balkonach przy Cassaro świąteczne ozdoby ustąpiły miejsca dekoracjom w kolorach flagi narodowej; żołnierze paradują, mieszkańcy wiwatują, krzyczą i wymachują papierowymi gwiazdami z portretami króla Humberta i królowej Małgorzaty albo trzymają transparenty na cześć królewskiej pary.

Palermo lśni własnym światłem, jak kobieta, która po okresie zaniedbania odkryła na nowo swoje piękno i wybiera suknię na długo oczekiwane przyjęcie.

Nie mogło być inaczej. Miasto rośnie, rozszerza się. Nowe pokolenie architektów projektuje ulice, ogrody, wille, reorganizuje przestrzenie publiczne, przenosi wzrok poza granice wyspy. Nadeszła nowoczesność, która niszczy zaułki i wąskie uliczki, wtrąca nędzarzy z powrotem do ruder, popycha nawet najbardziej konserwatywnych arystokratów do zmiany przyzwyczajeń i życia, by przyjąć obyczaje z kontynentu.

Zmieniają się zapachy. Nie ma już smrodu ryb, zgniłych wodorostów i śmieci. Pachną pomelia, magnolia i jaśmin. Nawet woń morza ginie, przykryta aromatem kawy i czekolady płynącym z eleganckich, modnych miejsc z witrynami wychodzącymi na ulice nowego miasta.

Palermo nie patrzy już tylko na siebie: porównuje się z Londynem, Wiedniem, Paryżem. Chce się pochwalić szerokimi ulicami, pozbyć się barokowej ciężkości, która trąci myszką. Meble w domach zyskują nowoczesne i egzotyczne kształty, znikają brokaty, by zrobić miejsce chińskim i indyjskim jedwabiom. Pałace arystokratów wypełniają się japońską porcelaną i rzeźbioną kością

słoniową, ale też przedmiotami sycylijskiego rzemiosła: domowymi kropielnicami ze srebra lub koralowca, stołami ozdabianymi pietra dura<sup>24</sup> i szopkami z wosku. Trwa wyścig o to, kto ma najpiękniejsze, najbardziej poszukiwane rzeczy.

Dusza Palermo z morza i kamienia, przesycona solą, powoli i nieubłaganie się zmienia. W tej niezwykłej metamorfozie wiele rzeczy nosi znamię Domu Florio lub jest z nim związane. Począwszy od budynków. Od sześciu lat w mieście działa niezwykle piękny Teatro Politeama. Gmach zaprojektował Damiani Almeyda. Jak przystało na gorącego miłośnika klasycyzmu, dał mu podwójny portyk i malowidła w stylu pompejańskim na elewacji. Ale wśród tak wielu pamiątek przeszłości i tutaj wkrada się nowoczesność – dach, wykonany w odlewni Oretea, lśniąca w słońcu muszla z polerowanego metalu i paneli z brązu. Nieco dalej trwają prace nad jeszcze jednym przybytkiem sztuki, Teatro Massimo. Postępują powoli: kamień węgielny położono w 1875 roku, czyli dobre sześć lat wcześniej, i wciąż nie wiadomo, kiedy gmach zostanie ukończony. Architekt Giovan Battista Basile zaprojektował świątynię muzyki tak okazałą i elegancką, że mogłaby konkurować z Opéra Garnier w Paryżu.

„Może to za dużo jak na to miasto”, myśli Ignazio, siedzący obok żony w powozie. Zasuwa zasłonę, patrzy na swoje splecione palce. Palermo staje się coraz piękniejsze, ale teraz chyba najbardziej potrzeba mu odrobiny pragmatyzmu.

Powóz podskakuje na bruku. Zziębnięta Giovanna podciąga okrywający ją pled i wydaje z siebie westchnienie przechodzące w jęk. Ignazio to zauważa, ścisną jej dłoń w rękawiczce.

– Wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję – odpowiada jego żona pełnym napięcia głosem.

– Spotkałem go już w Rzymie kilka lat temu. To człowiek twardy, ale nie nierozsądny. Jego żona jest księżniczką królewskiej krwi i odpowiednio do tego się zachowuje. – Ignazio podnosi jej podbródek. – A ty jej nie ustępujesz w niczym – dodaje.

Giovanna przytakuje, ale niepokój nie przestaje jej dręczyć. Gdy mąż znów pogrzeża się w myślach, ona w półmroku bada każdy

szczegół sukni, dotyka gorsetu. To model wykonany w Paryżu, z ciężkiego jedwabiu, w kolorze jasnoszarym, pasujący do płaszcza obszytego futrem z lisa. Od śmierci syna minęło piętnaście miesięcy, więc okres półżaloby również minął, ale ona na co dzień nosi się głównie na czarno. Jej biżuteria jest dyskretna: kolczyki z pereł, pierścion z onyksem i przypięta na sercu kamea z masy perłowej odtwarzająca rysy Vincenzina.

Ignazio również nie chciał całkowicie zrezygnować z zewnętrznych oznak żałoby i nadal nosi czarny krawat. „To było ciało z jego ciała i nosiło imię jego ojca – powiedziała do Giovanny kilka dni wcześniej donna Ciccia. – W domu Florio nie ma już Vincenza. Dlatego wciąż nie akceptuje jego odejścia”.

„To prawda – myśli Giovanna. – Ale przecież są Ignazziddu i Giulia, nie wolno o nich zapomnieć. A jednak są takie dni, kiedy on całkowicie ich ignoruje...”.

Powóz zatrzymuje się z szarpnięciem na dziedzińcu pałacu królewskiego.

Z przyzwyczajenia Giovanna kładzie rękę na brzuchu, uciska go. Od lat trzyma pod kontrolą odruchy wymiotne, ale w tym momencie czuje się taka krucha. Przerażona. Potem patrzy Ignaziowi w oczy. To kolejny gest podyktowany przyzwyczajeniem: robi to, gdy chce się uspokoić, jakby była przekonana, że on w ten sposób może przenieść na nią swój spokój. Patrzy na niego i prawie go nie rozpoznaje.

Zamyślony wyraz twarzy zastąpiło bezpośrednie, pewne siebie spojrzenie. Na ustach pojawia się cień uśmiechu, ale nie dociera on do oczu. Ignazio plecy ma proste, gesty powolne, ale zdecydowane. Wysiada z powozu, po czym wyciąga rękę, by pomóc żonie. Uścisk jest mocny, prawie boli.

I wtedy Giovanna pojmuje: Ignazio przygotował się do bitwy.

\*\*\*

Para się rozdziela. Giovanna odchodzi z damami dworu królowej, Ignazio zostaje wprowadzony do czerwonego, wyłożonego brokatem

gabinetu, który udostępniono władcy na prywatne spotkania. Florio dyskretnie przygląda się królowi: jego ramiona są lekko przygięte, włosy już siwieją na skroniach, a imponujące wąsy zasłaniają usta. Humbert jest człowiekiem o silnej gestykulacji, szczupłych dłoniach i spojrzeniu kogoś, kto przywykł do wychwytywania tego, co nie zostało wyrażone słowami.

– Rozgoście się – mówi, wskazując na fotel.

Ignazio czeka, aż król usiądzie, i robi to samo.

Władca bierze cygaro z pudełka, które podaje mu służący, częstuje też gościa, po czym zapala i wdycha kłęb dymu. Nie odrywa wzroku od Ignazia, jakby próbował dopasować siedzącego przed nim mężczyznę do wyobrażenia, jakie przez lata sobie o nim wyrobił.

– A zatem – odzywa się w końcu – mówcie.

Ignazio wpatruje się w swoje dłonie, jakby szukając słów do wypowiedzi, która jednak jest już dobrze przygotowana.

– Przede wszystkim chcę podziękować waszej wysokości za przywilej tej audiencji. Wiem, że zrozumiecie, dlaczego moja żona i ja nie przyłączyliśmy się do reszty miasta, aby uczcić przyjazd waszej wysokości.

Umberto uśmiecha się lekko, ale bez wesołości. Jego oczy prześlizgują się po czarnym krawacie Floria.

– Wiem, że straciliście syna. Macie moje pełne zrozumienie.

– Dziękuję, wasza wysokość.

Humbert kiwa głową.

Ignazio krzyżuje ręce na kolanach.

– Jestem tu jako obywatel, jako właściciel jednej z największych włoskich firm żeglugowych i...

– Jednej z największych? Największej. Nie musicie próbować przy mnie skromności – poprawia go król z lekkim zniecierpliwieniem.

Ignazio nie traci rezonu. Wie, że Humbert zawsze jest bezpośredni, a nawet szorstki. Skutek wojskowego wychowania, które otrzymał od najmłodszych lat.

– Dziękuję za uznanie. – Florio kładzie swoje cygaro na popielniczce. – Wasza wysokość zrozumie więc, dlaczego to właśnie

ja wyjaśniam jej przyczyny kryzysu trapiącego włoską żeglugę morską.

– Pracuje nad tym komisja sejmowa. Dobrze znam przyczyny kryzysu.

– Proszę mi wybaczyć, ale może wasza wysokość nie zna ich dobrze, skoro nie było dotąd żadnego stanowiska rządu ani nie wprowadzono środków ochronnych.

– W takim razie obniżcie stawki za fracht. – Król z irytacją porusza się w fotelu. Popiół z cygara rozsypuje się na podłodze. – Od północy do południa wciąż spotykam ludzi, którzy narzekają, że państwo albo robi za dużo, albo robi źle. Wszyscy lepiej wiedzą, co należy robić! Bardzo chciałbym ich wszystkich zobaczyć w działaniu!

Ignazio pozwala, by minęła dłuższa chwila, zanim odpowiada.

– Wasza wysokość, problem nie polega na tym, kto robi, ale jak to robi – mówi spokojnie i cicho. – Jest kilkadziesiąt małych armatorów, którzy ledwo funkcjonują. Jeśli włoska żegluga morską zostanie poddana kontroli Francuzów i Austriaków, to nie tylko nie będziemy mieli już żadnej karty przetargowej, ale zostaniemy niewolnikami obcego państwa, jeśli chodzi o transport i taryfy. – Przerywa, jakby chciał dać władcy czas na przyswojenie wagi tego, co powiedział. – Oczywiście dotknęłoby to mnie i moją firmę, ale nie tylko: gospodarce całej Sycylii groziłoby zatonięcie. Przedsiębiorcy z Północy mogą przesyłać swoje towary pociągami, ale my tutaj, na Sycylii, nie mamy innej drogi niż morską.

– Z pewnością nie rozwiążecie sytuacji na Sycylii za pomocą swoich statków i tonnar. – Polemiczna nuta w głosie króla jest tak silna, że budzi w Ignaziu tłumiony gniew. – Wasze taryfy są wysokie nad wszelką przyzwoitość. Skoro wielu woli transportować swoje towary pociągiem, a nie statkiem, to musi być jakiś powód, czyż nie? – Umberto odkłada cygaro, dzwoni dzwonkiem, aby przywołać służbę, i prosi o podanie trunków.

Ignazio podnosi palec.

– Za pozwoleniem waszej wysokości... Przyniosłem wam prezent w postaci kilku butelek najlepszej marsali produkowanej przez moje

winiarnie. Byłbym zaszczycony, gdyby wasza wysokość uczynił mi uprzejmość i jej skosztował.

Kamerdyner przenosi wzrok na króla, który przyzwalająco kiwa głową.

Ignazio czeka, aż znów zostanie sam na sam z władcą, po czym podejmuje:

– Problem nie dotyczy tylko stawek przewozowych czy taryf. Z wielu stron Europy płyną apele o politykę państwowej ochrony. Prędzej czy później dojdzie do nałożenia ceł na nasze towary i wtedy naprawdę zostaniemy rzućni na kolana. Jeśli mi wolno powiedzieć, wasza wysokość, problem jest inny – oświadcza dobitnie Ignazio, pochylając się w stronę króla. – Trzeba zrozumieć, że w Italii Północ i Południe mają różne potrzeby i właśnie dlatego muszą współpracować. To, co może zaoferować moja firma, byłoby przydatne dla całych Włoch. I dlatego ja w Palermo, a Rubattino w Genui zastanawiamy się nad wspólnym działaniem. Tylko łącząc siły, możemy stawić czoła naszym przeciwnikom. – Prostuje się, bierze głęboki oddech. – Jeśli Włochy chcą się nadal liczyć na Morzu Śródziemnym, muszą stanąć na wysokości zadania. A może tak być tylko wtedy, gdy rząd im w tym pomoże.

Król patrzy na niego z nieufnością.

– Dobrze wiem, kto jest waszym adwokatem, tak jak wiem o waszych manewrach w celu pozyskania Rubattina. I czy naprawdę uważacie, że nie widzę osobistych relacji, które łączą was z kilkoma ministrami?

– Mecenas Crispi jest przede wszystkim przyjacielem rodziny. Co do relacji osobistych, są to znajomości oparte na wzajemnym szacunku. Wasza wysokość wie, jak się u nas mówi? *A ogni gran Statu un nnimicu è troppu, e centu amici sunnu picca*<sup>25</sup>.

Wchodzi służący ze srebrną tacą, na której znajduje się butelka marsali i dwa kryształowe kieliszki. Trunek ma w sobie blask bursztynu i ognia.

Umberto upija kilka małych łyków, po czym nad wyraz niearystokratycznie mlaska.

– Doskonale.

Podnosi wzrok na Ignazia.

– A zatem, signor Florio, o co konkretnie mnie prosicie?

– O to, by nie stawiano przeszkód dla projektu fuzji między nami a Rubattinem. O ponowne potwierdzenie preferencyjnych stawek i umów na usługi pocztowe. O pierwszeństwo dla transportu publicznego dla naszej firmy.

– Proście o wiele. Wy, południowcy, nie robicie nic innego, tylko wysuwacie roszczenia.

– Może inni tak, wasza wysokość. Ale nie dotyczy to ani mnie, ani mojej rodziny. Mój ojciec i ja zawsze walczyliśmy o Dom Florio. A teraz proszę tylko o to, co słuszne, aby chronić moje przedsiębiorstwa i moich ludzi.

\*\*\*

Ignazio czeka na żonę u stóp marmurowych schodów pałacu królewskiego. Na jego twarzy maluje się napięcie. Giovanna schodzi bardzo powoli, opierając się o balustradę; teraz, gdy i jej napięcie minęło, jest wyczerpana. Ignazio ponagla ją szorstkim gestem, pomaga wsiąść do powozu, po czym sam wsiada i każe stangretowi ruszać.

Giovanna układa sobie pled na nogach, potem dotyka kamei z portretem Vincenzina.

– Pierwszą rzeczą, którą zauważyła królowa, było to – zaczyna. – Powiedziała: „Nawet nie mogę sobie wyobrazić, co czuliście”. Wydawała się bardzo poruszona. – Szuka spojrzenia męża, ale Ignazio tylko kiwa głową, a kiedy Giovanna próbuje wziąć go za rękę, uwalnia się z jej uścisku. – Panie natomiast nie robiły nic innego, tylko patrzyły na to, jak jestem ubrana. Wyobraź sobie, że oglądały futro i jedna szeptała do drugiej, ile mogło kosztować. – Potem urywa i wzdycha. – Biedaczka królowa. Miała piękny naszyjnik z pereł. Wiesz, co mówią, prawda? Że król po każdej zdradzie daje jej naszyjnik. I rzeczywiście miała tak przygnębiony wyraz twarzy, że aż mi się serce ścisnęło.

Ignazio odwraca się i patrzy na nią z irytacją.

– Spędziłem ostatnią godzinę, próbując nakłonić króla do zrozumienia fatalnej sytuacji transportu morskiego i jestem pod ścianą, a ty mi mówisz o strojach i plotkach?

– Było mi jej żal, to wszystko – odpowiada Giovanna. – A wszyscy wiedzą, że król...

– Mężczyźni nie mają z tym nic wspólnego – wybucha Ignazio. – To tylko wina królowej. – Zaciska wargi. – Służąca czy królowa, kobieta musi wiedzieć, jak utrzymać męża przy sobie. Poza tym ich małżeństwo było zaaranżowane, powinna się spodziewać, że on weźmie sobie kochankę, i to niejedną. W takich przypadkach żona musi to znosić i milczeć.

W powozie zapada cisza.

Giovannie najpierw robi się zimno. Potem z brzucha napływa fala gorąca. Nie, już nie może milczeć. Ona wie, jak czuje się królowa. Sama przez lata nosiła w sobie pamięć o listach, które ukrywa jej mąż. Wypierała się tego, spychała w najciemniejszy kąt świadomości, ukrywała pod codziennymi obowiązkami, a nawet pod bólem po śmierci Vincenzina, ale obsesyjne pragnienie, by się dowiedzieć, kim jest ta kobieta, nigdy jej nie opuściło. Zazdrość była jej towarzyszką przez całe życie, groźną jak dziki kot z głodnymi żółtymi oczami, bestią czającą się zawsze i gotową gryźć. Ta nagła świadomość ją przeraża.

– Tak to widzicie wy, *masculi*, prawda? – syczy. – Robicie, co wam wygodnie, a żony niech siedzą w domu, ciche i nieme.

Ignazio patrzy na nią zaskoczony.

– O czym ty mówisz? – pyta sucho, machając ręką, jakby chciał odgonić te słowa. – Co to za urojenia?

– Urojenia? Kobieta wkłada duszę i serce w małżeństwo i nie ma prawa czuć się upokorzona, jeśli zdrada zostaje jej rzucona prosto w twarz? Ma pozostać na swoim miejscu, w milczeniu? Może jeszcze ma być zadowolona?! Ty uważasz, że kobieta nie ma godności? Że jej serce nie boli?

Ignazio patrzy na nią całkowicie zaskoczony. To nie jest Giovanna, którą zna, powściągliwa, opanowana, ugodowa. Czyżby niepokój związany ze spotkaniem z królową sprawił, że puściły jej nerwy?



Wtedy dostrzega jej pełne łez oczy i zaczyna rozumieć. Nie chodzi o królową, ale o to, co się wydarzyło między nimi. Zasłania twarz zaciśniętymi dłońmi w geście, w którym widać zarówno wyczerpanie, jak i rozdrażnienie.

– Giovanni, przestań...

– Dlaczego? Czy tak nie jest? – odpowiada ona. Chwyta za brzegi płaszcza, ściska je.

– Niektóre rzeczy po prostu się zdarzają. Jeśli człowiek został stworzony w określony sposób, nie możesz go zmienić, a tym bardziej zmienić jego przeszłości – mówi Ignazio cicho, uspokajającym tonem.

Ale ona spuszcza głowę i szeptem:

– Nie, nie, nie...

Zaciska zęby, powstrzymuje łzy, potem znów podnosi głowę i patrzy Ignaziowi prosto w twarz: w niepewnym świetle ulicznych latarni jej oczy wyglądają jak onyks, tak bardzo błyszczą.

– Rozumiem – mówi. – Ale nie możesz żądać, bym zapomniała. To mnie boli, wiesz? Za każdym razem, gdy myślę o tych listach, które zachowałeś, brak mi oddechu. Boli mnie świadomość, że nigdy nie byłeś mój.

Ignazio wykonuje ruch pełen irytacji.

– Mówiłem ci, jaka to dawna sprawa. A poza tym minęło... ile lat? Dziewięć, dziesięć? *Ancora vai pistanno acqua dintra un murtaru?*

– przywołuje porzekadło. Nadal ucierasz wodę w moździerz, wracasz myślą do rzeczy, których nie da się zmienić.

Dla Ignazia nie ma większego marnotrawstwa energii.

Giovanna cofa się i ciemność powozu zdaje się ją pochłaniać.

– Nigdy nie rozumiałeś, co to znaczy czuć się tak, jak ja się czuję. Inna kobieta by się przyzwyczaiła, odrzuciłaby od siebie te myśli, bo tak się nie da żyć. Ale nie ja. Ty jesteś tu w środku. – I uderza się pięścią w pierś. – I stąd nie możesz uciec.

Głos zanika, zostaje z niego ledwie obłok pary z oddechu w lodowatym powozie. Giovanna opiera brodę na piersi i zamyka oczy. Jakby z jej serca zdjęto ciężar tylko po to, by zastąpić go znacznie cięższym brzemieniem świadomości. Bo od tej pory ta nieodwzajemniona miłość – uczucie, które rani tego, kto je czuje,

i jest bezwartościowe dla tego, kto je otrzymuje – nie może się już ukrywać pod zasłoną spokoju czy rezygnacji. Zawsze będzie tam, pomiędzy nimi, w całej swej bezlitosnej konkretności.

Być może po raz pierwszy w życiu Ignazio nie wie, co powiedzieć. Jest zły na siebie, że nie zrozumiał stanu ducha żony, i to on, który w biznesie umie wyłapać każdy niuans, każdą intencję, przewidzieć każdą implikację. Potem próbuje przekonać samego siebie, że to tylko wybuch, jeden z tych kaprysów, które przychodzą i odchodzą jak letnia burza. Dopiero kiedy powóz zatrzymuje się przed wejściem do Olivuzzy, a Giovanna wysiada, korzystając z pomocy stangreta, który otworzył drzwi, i zostawia męża samego w ciemności, Ignazio rozumie, co ona naprawdę czuje.

Patrzy, jak żona odchodzi z głową wciśniętą w ramiona.

I wstyd zakleszcza mu gardło.

\*\*\*

9 lutego 1881 roku na łamach „Giornale di Sicilia” ukazuje się pierwsza część długiego, szczegółowego śledztwa dziennikarskiego dotyczącego warunków funkcjonowania włoskiej marynarki handlowej w ogóle, a palermiańskiej w szczególności. Słowa pełne ognia i precyzyjnie odnoszące się do konkretów wzbudzają najpierw oburzenie, potem niepokój, a wreszcie panikę. Ich właściwym adresatem jest rząd.

Siedzący w swoim gabinecie Laganà zamyka gazetę i uśmiecha się z podziwem. Ignazio nie mógł zrobić więcej i zrobił to najlepiej, jak się dało. To prawda, że „Giornale di Sicilia” jest de facto w rękach rodziny, ale informacje i liczby, które podają dziennikarze, są niepodważalne.

Czas zmusić do działania Raffaelego Rubattina. Laganà pisze więc notatkę do Giuseppego Orlanda, który został dyrektorem neapolitańskiego oddziału Piroscafi Postali. Orlando zna genuieńczyka najdłużej i wie, jak go podejść.

Fuzja.

Ślub dwóch przedsiębiorstw żeglugowych musi odbyć się jak najszybciej, jakby to było małżeństwo naprawcze. O tym właśnie Laganà pisze do Orlanda. Dodaje, że Rubattino musi przestać robić uniki jak młodzieniec niechętny do ożenku, bo jeśli nie pogodzi się z nieuniknionym – i to zaraz! – jego statki znikną z Morza Śródziemnego. Przypomina mu również o katastrofie, której o włos uniknęli w styczniu poprzedniego roku, kiedy to Rubattino próbował uzgodnić taryfę z Francuzami. Trzeba było całego spokoju Ignazia, by nie zasypać genueńczyka obelgami, ale wyjaśnić mu, że w wyniku tej umowy obaj – on i Rubattino – staliby się niewolnikami Transatlantique.

Laganà nie mówi, że Piroscafi Postali również potrzebują tej fuzji, nie tylko po to, by utrzymać swoją dominację na morzu, ale również by chronić tych, którzy z nimi współpracują: odlewnię Oretea, pracowników suchego doku, przewoźników i agentów handlowych działających w portach całego Morza Śródziemnego. Gdyby Piroscafi Postali straciły tę możliwość, a port w Palermo stałby się peryferyjny, ucierpiałoby na tym nie tylko miasto, ale też cała wyspa.

– Idiota z Genui. Nie mogę się doczekać, kiedy stanę przed notariuszem – mruczy Laganà, podpisując list.

Następnie wzywa chłopca, aby natychmiast go wysłał.

Ale Ignazio i on będą musieli poczekać do czerwca, aby sprawy naprawdę nabrały tempa, najpierw na zgromadzeniu akcjonariuszy Piroscafi Postali zatwierdzającym fuzję, a potem – w końcu! – za zgodą Rubattina wymuszoną w drodze wyczerpujących negocjacji. Brakuje tylko błogosławieństwa rządu.

Ignazio jedzie więc do Rzymu. Przyjmuje go premier Agostino Depretis wraz z odpowiedzialnym za roboty publiczne Baccarinim. Obydwaj starają się wyjaśnić to, co Ignazio wie już od jakiegoś czasu: że ze względu na znaczenie obu przedsiębiorstw konieczne jest złożenie projektu ustawy w parlamencie, ponieważ zwykłe zezwolenie ministerialne nie wystarczy, że inwestuje się dużo pieniędzy publicznych, począwszy od subsydiów na trasy żeglugowe przydzielone obu przedsiębiorstwom, i dlatego należy zachować ostrożność.

Ignazio przytakuje i unosi brodę, jakby chciał powiedzieć: „Tak, to zrozumiałe”. Ale później, z powrotem w hotelu, przegląda wieczorne gazety i to, co czyta, odbiera mu apetyt i sen.

W Genui i Wenecji protesty podnoszą mali przewoźnicy i armatorzy żaglowców: krzyczą „katastrofa”, oskarżają ministerstwo robót publicznych o faworyzowanie gigantów i brak troski o marynarkę handlową. Dwaj genueńscy armatorzy, Giovanni Battista Lavarello i Erasmo Piaggio, złożyli nawet petycję do parlamentu i wyrażają w niej „uzasadnione obawy w obliczu utworzenia kolosalnej spółki akcyjnej, której akcje, będące obecnie w rękach obywateli, mogłyby z czasem zostać nawet częściowo wykupione przez cudzoziemców”.

Nie, ta fuzja nie będzie łatwa.

\*\*\*

4 lipca 1881 roku odbyła się debata w izbie deputowanych. Ustawa przechodzi tam 5 lipca, zostaje przesłana do senatu i tego samego dnia poddana pod głosowanie. Czuć pośpiech, frenetyczny pośpiech, żeby się pozbyć tego gorącego kartofla.

Ignazio siedzi w saloniku dla gości w senacie, czeka. Prosi o herbatę, przynoszą mu ją w eleganckim porcelanowym serwisie. Nawet jeśli jest spięty, nie pokazuje tego. Kto mógłby wystąpić przeciwko niemu, osobistemu przyjacielowi ministrów i senatorów? Mimo to jego dłonie lekko drżą. Przyjmuje cygaro i rozkoszuje się ciszą panującą w gabinetach władzy.

Minister Baccarini przychodzi, by poinformować go o tym, co dzieje się na sali obrad. W dymie cygar i zapachu kawy, którą mu podano, minister uśmiecha się, pochyla głowę i mruczy:

– Niech pan będzie spokojny, panie Florio. Żaglowce to już przeszłość, choć niektórzy nie zdają sobie sprawy, że ich czas minął. Przyszłość to para. Para i żelazo. Będziecie chorążym tej nowej ery, wprowadzicie Italię w nowy świat.

Ignazio siedzi w obitym skórą fotelu.

– Już mój ojciec był tego pewien – mówi – ja też jestem tego pewien, i to o wiele bardziej niż wy. To już dwanaście lat, odkąd otwarto Kanał Sueski, i teraz przechodzi przez niego najcenniejszy ruch towarowy. Opieranie się na żaglowcach jest śmieszne. Potrzeba masywnych parowców, by przemierzać oceany.

– A wy je macie. Dlatego rząd będzie was wspierał.

Niedługo potem oddano głosy. Ustawa została uchwalona. Ignazio czuje, jak powietrze opuszcza jego płuca, a ucisk między żebrami się rozluźnia.

– Brakuje tylko waszego i Rubattina podpisu przed notariuszem.

Orlando, który właśnie do nich dołączył, klepie go po ramieniu. Wchodzi również Francesco Paolo Perez, a za nim urzędnik z butelką szampana i kieliszkami.

– Wreszcie się udało! – oświadcza Perez i ściska Ignazia.

Powściągliwy jak zawsze Florio pozwala sobie na uśmiech zadowolenia. Duma, którą czuje, jest tak wielka, że zdaje się płynąć w jego żyłach zamiast krwi. Uratował Piroscafi Postali przed bankructwem, uchronił swoich ludzi, marynarzy i robotników odlewni przed nędzą, a portowi w Palermo zagwarantował lata prosperity. On zaś, właściciel blisko stu statków, parowców handlowych i transatlantyków, stał się w istocie jednym z panów Morza Śródziemnego.

Jednak nie tylko to napawa go dumą. Chodzi także o przekonanie, że polityka, gdy umiejętnie z niej korzystać, zawsze mu pomoże. Zawsze. I nie ma znaczenia, że jakiś król nie ma na to ochoty. Przepęnia go świadomość, że potęga gospodarcza Domu Florio jest zdolna wpłynąć na losy całego kraju.

Jego ojciec, przy całej swojej ambicji, nawet w najśmielszych marzeniach nie mógłby sobie tego wyobrazić.

\*\*\*

Upał, który przydusił Palermo pod koniec sierpnia 1881 roku, objął w posiadanie Olivuzzę i zagnieździł się w sypialniach pałacu. Nie ma czym oddychać. Z okien wychodzących na ogród widać miasto

zasnute pyłem niesionym przez sirocco. Można dostrzec kopuły kościołów i dachy domów, ale są rozmyte, odległe.

Donna Ciccina w zielonym salonie porządkuje kosz do robótek, zbiera szpulki nici do haftu. Giovanna otwiera drzwi i zatrzymuje się w progu. W jej spojrzeniu widać irytację. Jej czoło jest jak niebo podczas burzy, a ręce drżą. Donna Ciccina natychmiast wychwytuje jej nastrój.

– Co się stało? Co z wami?

Giovanna wzrusza ramionami i opada na fotel.

– Co wam się stało? – nie ustępuje donna Ciccina, zirytowana tym milczeniem.

– Mój mąż zostawił mnie tu samą na całe tygodnie, a teraz mi pisze, że w tym miesiącu też nie wróci.

– Matko Boska! Cóż to jest? Jakbym miała przed sobą dziecko: całkiem jak mała Giulia, a nie poważna mężatka.

Giovanna macha ręką, zbliża ją do ust, jakby chciała powstrzymać słowa. Potem mówi szybko:

– Napisał mi, że z Genui chce jechać do Marsylii. Do swojej siostry. – Jej głos zamienia się w świst. – Do tej pory latem zawsze podróżowaliśmy razem, a teraz jedzie sam. Wyjeżdżał w interesach, to prawda, ale nigdy nie na tyle czasu, nigdy!

Donna Ciccina wznosi oczy ku niebu.

– Don Ignazio nie widział siostry od lat. Ma chyba prawo spędzić z nią trochę czasu, czyż nie?

– Jesteśmy rodziną – burczy Giovanna i ściska dłońmi podłokietniki fotela. – Czy dzieci nie powinny wreszcie poznać ciotki?

Donna Ciccina zakłada ręce na swoim obfitym biuście.

– Od tylu lat jesteście mężatką i wciąż nie znacie swojego męża? On jest jak chrześcijański święty, nie tak jak niektórzy bałamutni mężowie. Proszę, zaniechajcie złych myśli i weźcie się do jakiejś pracy, to wam pomoże. – Chwyta lniany obrus, wstaje i wkłada jej do ręki.

Giovanna ściska tkaninę, nie widzi, że jest tam igła, i się kłuje. Przybliżając palec do ust, szepce:

– Są rzeczy, o których nawet nie można myśleć...

I odwraca wzrok, bo nie chce, by jej udręka ujrzała światło dzienne.

Donna Ciccia patrzy na nią, ale nawet ona nie ma odwagi zapytać, co trapi jej panią.

To małżeństwo wydaje się kruche jak kryształ, a jeśli nie pęka, to dlatego, że uczucia Giovanny z jednej strony i szacunek Ignazia do niej z drugiej tworzą pancerz, który broni je przed napaściami życia. Ale Giovanna cierpiała zbyt wiele i zbyt długo – na ciele i na duszy – i donna Ciccia obawia się teraz, że wystarczy tylko lekkie drżenie, by jej pani się załamała. Trzeba jednak przyznać, postawa Ignazia nigdy – nigdy! – nie dawała powodu do choćby odrobiny niepewności. Dlatego donna Ciccia nie może sobie nawet wyobrazić myśli, że nie był wierny Giovannie, zawsze i w każdym przypadku.

Jednak gdy Giovanna przeczytała, jaki jest cel podróży Ignazia, ta właśnie myśl ponownie nią owładnęła. Marsylia. Obsesja przebudziła się, wlepiła w nią swoje żółte oczy. Giovanna próbuje ją od siebie odepchnąć, mówi sobie, że są tam Giseppina, François i mały Louis Auguste. Ale może jest także *tamta*...

Potrząsa głową, próbuje wyrzucić z niej wspomnienie kłótni z Ignaziem sprzed kilku miesięcy, po audiencji u króla. Tak samo jak po odkryciu listów nie mówili o tym więcej, pozwalając, by fale morza codziennych prac i przyzwyczajień wygładziły wszelkie nierówności. A jednak, jak zawsze, nie przestawała o tym myśleć. Czasami przekonywała samą siebie, że jej zazdrość nie ma sensu i że Ignazio miał rację: uparcie ucierała wodę w moździerz. Ale wystarczył jego bardziej szorstki gest, surowe spojrzenie, by rana otwierała się na nowo. Wtedy Giovanna nienawidziła tej kobiety, która dostała od Ignazia wszystko, nawet najcenniejszy dar, jaki można dostać w utraconej miłości – żal. Jej została tylko pustka po odrzuconym uczuciu.

Tamten straszny wieczór uświadomił jej coś jeszcze. Wyczytała to w jego oczach, w gestach, nawet w surowości, z jaką ją traktował. Dla Ignazia najważniejszy był Dom Florio. „Ważniejszy ode mnie. Ważniejszy od dzieci”. Gdy przychodziło do interesów, nie liczyło się żadne uczucie. Nawet ta kobieta nie mogła z tym konkurować.

Dlatego przez jakiś czas, gdy grozi jej kolejny atak zazdrości, Giovanna chwyta się tego, bo to jest pewne, niepodważalne.

Bierze za kosz z robótką. Kok, w który zebrane są jej ciemne włosy, drży w rytm jej nerwowych ruchów.

– Dobrze znam mojego męża – mówi cicho, unikając spojrzenia na donnę Ciccę.

I zaczyna haftować.

\*\*\*

Marsylia jest bardziej zakurzona, niż pamiętał. Brudniejsza, bardziej chaotyczna. Ale pamięć, kłamliwa strażniczka szczęścia, umie utrwalić obrazy pewnych miejsc w wiecznej teraźniejszości, w rzeczywistości niemożliwej do odtworzenia, a jednak – i z tego właśnie powodu – tym bardziej realnej.

Tak myśli Ignazio, a nuta goryczy zaciemnia jego rozważania i pozostawia kwaśny posmak na podniebieniu.

Marsylia to dla niego nadmiar wspomnień.

Teraz, pod koniec września 1881 roku, powietrze jest wilgotne, a wiatr nadchodzący od morza pachnie świeżym chłodem i jesienią. Tutaj Morze Śródziemne ma inną woń, a woda wydaje się ciemniejsza, jakby to nie było to samo morze, które obmywa brzegi Sycylii. Ulice wokół portu zapchane są furmankami i wózkami. Wielkie wozy ciągnięte przez perszerony dostarczają węgiel dla parowców zakotwiczonych między starym portem, obecnie już niewystarczającym, a nowymi nabrzeżami. Ignazio pamięta, że piętnaście lat wcześniej były dopiero w budowie.

Powolnym krokiem schodzi z parowca. Podróżował na francuskim statku incognito, jak zwykły pasażer. Skrócił brodę, nosił zwykłe podróżne ubranie, a jego naturalna rezerwa zrobiła resztę. Chciał ocenić jakość usług oferowanych przez konkurencję i wynik go zadowolili: ogólnie bez zarzutu, ale nic nie przewyższało standardów oferowanych przez jego kompanię, przynajmniej jeśli chodzi o pierwszą klasę.



Niedaleko od nabrzeża czeka na niego powóz. Przy koniach stoi François Merle.

– Mogę cię uściskać czy muszę się pokłonić najpotężniejszemu człowiekowi w basenie Morza Śródziemnego?

– Pozwalam ci na tę konfidencję. Niemniej liczyłem na czerwony dywan przed powozem.

Szwagier śmieje się, wyciąga rękę. Ignazio przyjmuje uścisk z wdzięcznością.

– *Comu sî?* – pyta François, otwierając mu drzwi powozu, a sycylijskie „jak się masz?” ma w jego ustach francuską melodię.

– Zmęczony. Ale skoro już byłem w Genui, postanowiłem przyjechać do was. Od lat nie widziałem siostry, więc wykorzystałem chwilę, skoro zrobiliśmy, co było do zrobienia.

– I sądzę, że to nie było łatwe.

– Wszystko ci opowiem.

Wnętrze powozu widziało lepsze czasy, ale Ignazio zdaje się tego nie zauważać. Pociąga go miasto: obserwuje zmiany, budynki wzniesione w nowym stylu, rozpowszechnionym za panowania Napoleona III.

– Jak długo zostaniesz? – pyta François.

– Kilka dni. Potem płynę prosto do Palermo. – Odwraca się, by spojrzeć na szwagra. – Jutro pójdę na place de la Bourse. Nie spodziewają się tam mnie. – Śmieje się. – Chcę zobaczyć, w jakim stanie jest moja agencja.

– Agencja Generalnej Włoskiej Żeglugi Morskiej, chcesz powiedzieć. – François przytacza nazwę nowo powstałej kompanii, Navigazione Generale Italiana. – Dalej, opowiedz mi, jak było w Genui.

– Jeśli chcemy być bardzo precyzyjni, musimy do tego dodać Zjednoczone Towarzystwa Florio i Rubattino. Po głosowaniu w Rzymie było już z górki. Akt podpisaliśmy przed notariuszem w domu senatora Orsiniego, który pełnił funkcję świadka. Był ze mną również adwokat Crispi.

Kącik ust szwagra unosi się w uśmiechu.

– Przyprowadziłeś kawalerię.

– Ostrożności nigdy za wiele.

Śmieją się.

– Jesteś zadowolony?

– Raczej tak. Oczywiście byliśmy zmuszeni do zaangażowania banków w całe przedsięwzięcie. – Między brwiami Ignazia pojawia się zmarszczka. – Ale nie dało się tego zrobić inaczej. Rubatino miał spore długi wobec swojego banku, Credito Mobiliare. Musieliśmy w ostatniej chwili włączyć ich do umowy.

– Gdybyś poczekał trochę dłużej, mógłbyś go przejąć bezboleśnie. Ignazio potrząsnął głową.

– To prawda, ale przejąłbym podupadłą firmę i znacznie trudniej byłoby mi uzyskać przydział dotowanych linii. Zresztą wszystko to przy założeniu, że on zbankrutuje, a nikt nie miał interesu w tym, by Rubattino źle skończył. Za dużo ludzi tam pracuje.

Powóz zwalnia. Na ulicy zrobił się zator: czyjś wózek przewrócił się na drodze, towar leży rozrzucony na ziemi. François odsuwa zasłonę, cicho klnie po francusku. Ignazio powstrzymuje ziewnięcie. Nagle czuje ciężar ostatnich niespokojnych dni. Tęskni za łagodnym sunięciem parowca, na lądzie czuje się wyczerpany.

– Teraz spółka ma wszystko, czego potrzebuje: odlewnię, parowce, kamienice... Ale tak, tego chciałem.

Powóz rusza.

– Jak to przyjeźli w Palermo? Wiadomo, że to osobliwe miasto...

Ignazio wzrusza ramionami.

– A jak mieli przyjąć? Dowiedzieli się i wszyscy mieli to gdzieś, włącznie z moimi pracownikami. Ani jednej linijki, ani pół komentarza w gazetach. Jakby to ich nie dotyczyło. A jest teraz ponad osiemdziesiąt parowców! – W jego głosie pobrzmiwa nuta goryczy, łagodzona pragmatyzmem. – Ich interesuje tylko, żeby mieć odrobinę *picciuli* w sakiewce, reszta ich nie obchodzi.

François już ma odpowiedzieć, ale w tym momencie powóz zwalnia.

– Jesteśmy na miejscu! – woła Merle i wyskakuje, nie czekając, aż całkiem się zatrzymają.

Ignazio podnosi wzrok. Dwupiętrowy budynek, elegancki, niekrzykliwy, o delikatnych liniach i balkonach z kutego żelaza. Taki, jak go zapamiętał.

Z okna dobiega okrzyk.

– Braciszku!

Ledwie Ignazio wychodzi z powozu, a Giuseppina już jest przy nim. Obejmuje go z taką siłą, że mężczyzna niemal traci równowagę. To ona i jednocześnie nie ona. Trochę tęższa, z przeredzonymi włosami na skroniach, zupełnie jak babka, po której imię nosi. Ale jej oczy nadal są wyraziste i dobre, a jej serdeczny uścisk jest taki sam jak przed laty. Siostra odsuwa się nieco, patrzy na niego, gładzi go po twarzy.

– *Sangu meo!* Ile to już czasu minęło? – szepce niemal niedosłyszalnie. Ujmuje jego twarz w dłonie i całuje go, dwa, trzy razy.

Ignazio czuje ciepło w sercu. Ten uścisk jest jak powrót do domu. Jak odnaleziony pokój. Jak kawałki życia, które wirują, by w końcu znaleźć swoje miejsce.

– Zbyt wiele – odpowiada i odwzajemnia uścisk.

Na progu pojawia się młody chłopak o prostych jasnych włosach. Jego ciało zapowiada już okres dojrzewania, ale twarz jest jeszcze dziecięca. To Louis Auguste, syn François i Giuseppiny. Siostrzeniec Floria.

Pamięć Ignazia natychmiast biegnie do Vincenzina. Byłby nieco mniejszy, ale miałby, być może, ten sam nieporadny wygląd, tę samą aurę niecierpliwości.

„Nie myśl o tym”, mówi sobie.

– Chodź, wejdz! – Giuseppina ciągnie go za rękaw, prowadzi po schodach do małego saloniku o ścianach wybitych niebieskim adamaszkiem, z aksamitnymi fotelami i kilkoma niskimi mahoniowymi stolikami. Nie ma tam wielkich luksusów, ale pokój jest schludny, pełen egzotycznych detali, statuetek z kości słoniowej, a na stoliku przykrytym orientálną draperią stoi chińska waza.

– Jak tu pięknie.

– Na tyle możemy sobie pozwolić – stwierdza François, rozkładając ramiona.

– Skoro ci mówię, że jest pięknie i że mi się podoba, to po co się krygujesz? – pyta Ignazio ze śmiechem. Zatapiając się w sofie, kiwa do siostry, by do niego dołączyła.

Giuseppina również się śmieje i siada obok niego.

– Powiedz mi: jak się ma Giovanna?

– Dobrze, dobrze. Ale ostatnio krążyłem między papierami, notariuszami, mediacjami i prawnikami, więc widywałem ją tyle co nic. Jest w Palermo, zajmuje się domem i dziećmi. Ostatni list od niej był raczej... – zrobił pauzę, szukając odpowiedniego słowa – ... pełen urazy.

Giuseppina pochyła głowę.

– Musiała się poczuć bardzo zraniona, że przyjechałeś tu bez niej.

Ignazio obraca na palcu pierścień po stryju. Jest zakłopotany.

– Akurat w tym przypadku nie mogłem postąpić inaczej. Sprawy fuzji nie zostawiłbym nikomu. Laganà i Orlando byli bezcenni, ale w Rzymie chciano widzieć mnie i rozmawiać ze mną, no i podpis na akcie w Genui musiał być mój. A gdy już byłem w Genui, nie miało sensu wracać do domu i potem tutaj.

– Masz rację – potwierdza siostra.

François siedzi w fotelu naprzeciwko szwagra. Louis Auguste stoi przy drzwiach.

– Podejź – przywołuje go ze skinieniem głowy Ignazio.

Chłopiec waha się, patrzy na matkę, po czym zbliża się niechętnie.

– Mówi po włosku, ale tylko trochę – włącza się tonem usprawiedliwienia Giuseppina.

– Cóż, mieszka w Marsylii – odpowiada Ignazio, uśmiechając się i poklepując Louisa Auguste'a, który zaraz potem ucieka. – Powinniście nas częściej odwiedzać.

– To nie takie proste, Ignazio – mówi François. – Ja mogę się poruszać bez problemu. Ale zamknięcie domu, przyjazd do Palermo... to nie jest łatwe dla twojej siostry.

Mówi to, trzymając oczy utkwione w dywanie, i Ignazio rozumie, jaki jest prawdziwy powód. Jest już między nimi zbyt wiele różnic i nie chodzi tylko o posiadanie dobrze urządzonego domu czy bycie bogatym. Stali się jak dwa odrębne światy.

Uderza się w udo.

– Zaproszenie jest w mocy. Byłbym naprawdę szczęśliwy, gdybyście przyjechali. Czeka na was dom i rodzina. – Następnie

zwraca się do szwagra. – Kiedy dostarczą bagaże? Przywiozłem kilka prezentów i z przyjemnością je wam wręczone.

– Och. – François kręci się na krześle. – Po południu, jak sądzę. Ale jeśli chcesz, pójdę ich pospieszyć.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – odpowiada Ignazio, odchylając się na oparcie kanapy.

Giuseppina chwyta go za rękę, całuje ją.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Mówi to miękko, a w tych słowach jest ślad zaufania, które łączyło ich przed laty.

Z zamkniętymi oczami Ignazio kiwa głową, że on też jest szczęśliwy. Nie mówi tego, ale po wielu tygodniach napięcia może znów oddychać pełną piersią i nie czuje już tego zdenerwowania, które nie pozwalało mu spokojnie spać.

Na razie może przestać być don Ignaziem Florio, może być po prostu Ignaziem.

\*\*\*

– Przyjęcie?

Było to rankiem następnego dnia po jego przybyciu. Podczas śniadania Giuseppina powiedziała mu, że tego wieczoru w Fort Ganteaume planowane jest przyjęcie i ona chętnie go na nie zabierze.

– Cóż, to bardziej nieformalne spotkanie kupców z oficerami marynarki i armii – wyjaśniła, patrząc na niego ponad brzegiem filiżanki z herbatą. – Żeby się trochę zabawić i poplotkować.

– To oni chronią nasze linie handlowe i placówki za granicą. Utrzymywanie szerokich stosunków jest dobre dla wszystkich – dodał François, nalewając szwagrowi kawy.

– Jasne, jestem tego świadom. Nie chciałbym tylko, żeby moja obecność została źle rozumiana. Sam dobrze wiesz: jestem teraz głównym konkurentem francuskiej marynarki handlowej. Ludzie widzą to, co chcą widzieć, a często widzą źle. Nie chciałbym przysporzyć ci kłopotów swoją obecnością.

– Daj spokój, szwagrze. Jesteś tu prywatnie. Nikt nic nie powie, a ty wiesz, jak się zachować.

Tak więc tego wieczoru znalazł się w powozie z Giuseppiną i François.

Siostra ma na sobie błękitną suknię, która dzięki umiejętnemu drapowaniu ukrywa cięższą sylwetkę. Jej szyję zdobi naszyjnik z pereł, który Ignazio przywiózł dla niej z Genui. François popatrzył na ten prezent ze zdumieniem, a potem zarumienił się z zażenowania, gdy zobaczył prezent przeznaczony dla niego: złoty kieszonkowy zegarek z wygrawerowanymi jego inicjałami.

– *Tu es vraiment elegante, ma chere*<sup>26</sup> – mówi Ignazio do siostry, patrząc na nią z uśmiechem. – Francja ci służy.

– Tak, to jest teraz mój dom – odpowiada ona, podając rękę François i obdarzając go czułym spojrzeniem. – A ty jesteś pochlebcą i kłamcą: jestem pewna, że ta suknia nie wytrzymałaby porównania z najskromniejszą z toalet Giovanni.

Wszyscy troje się śmieją, ale Ignazio odwraca się do okna powozu, podnosi zasłonę i udaje zainteresowanie budynkami. Wie, że Giuseppina się nie myli: Giovanna bardzo dba o siebie, ma eleganckie stroje i biżuterię. Nie ma jednak ani odrobiny pogody ducha jego siostry. Jego żona odgrywa rolę. Giuseppina nie. Najbardziej gorzka jest dla niego świadomość własnej odpowiedzialności w tej grze pozorów. Bo to on chciał, by ich życie stało się przedstawieniem, i w pewnym momencie aktorzy stali się nie do odróżnienia od postaci, które grali.

Powóz Merle'ów zatrzymuje się. Przed nimi czekają inne powozy. Giuseppina wzdycha, a François dotyka jej dłoni.

W końcu służący w liberii otwiera drzwiczki i pomaga im wysiąść. Ignazio z zainteresowaniem patrzy na imponujący budynek na planie kwadratu z widokiem na morze niedaleko starego portu w Marsylii. Fort Ganteaume na co dzień przemawia lśniącymi mundurami i wojskowym rygorem, jednak tego wieczoru, z pochodniami zatkniętymi w ziemi i dźwiękami małej orkiestry strojącej instrumenty w tle, wydaje się, że stracił swoją zwykłą surowość, by choć na chwilę ubrać się w beztroskę.

– Przypomina mi Castello a Mare w Palermo – mówi Ignazio do François.

– A wiesz, że miał podzielić ten sam los? W końcu jednak uświadomiono sobie, że wyburzanie go byłoby szaleństwem. Jest zbyt ważny dla obrony miasta. – Klepie go po rękawie. – Chodź. Przedstawię ci kilku oficerów. Zostawmy na razie w spokoju kupców, bo inaczej zanudzą cię swoimi pytaniami o stawki handlowe...

Dziedziniec ozdobiony jest osłoniętymi kandelabrami i koszami w kształcie rogu obfitości pełnymi kwiatów. Służący w liberiach prowadzą gości do sali, z której dobiegają ostatnie dźwięki strojenia instrumentów.

Ignazio spędza kilka minut na rozmowie po francusku z grupą oficerów w galowych mundurach. Czuje na sobie ich zaciekawione spojrzenia. Być może są zdumieni, że nowy władca włoskiej marynarki handlowej jest tak sympatycznym i życzliwym człowiekiem. Niektórzy jednak przypatrują mu się z oczywistą wrogością. Jeden z nich, starszy admirał z sumiastym wąsem, patrzy na niego z urazą.

– Czy nie zdajecie sobie sprawy, jakie szkody przyniesie Francji wasza fuzja?

– Właśnie, po co tu przyjechaliście? – dołącza inny oficer, z rzucającą się w oczy blizną na policzku.

– Przyjechał do swojej siostry i siostrzeńca – wtrąca François spokojnie, ale stanowczo. – Nie samym handlem żyje człowiek. Pan Florio jest moim gościem.

Admirał zaciska wargi.

– Każdy ma takie nieszczęścia, na jakie zasługuje – komentuje kwaśno.

François odpowiada uśmiechem.

– Zawsze można się poprawić, ale ja nie narzekam.

Podczas gdy wszyscy się śmieją, kelner podaje szampana. Kobiety przechodzą pod arkadami otaczającymi dziedziniec, niektóre wskazują na pomieszczenie zbrojowni przekształconej tymczasowo w salę balową. Orkiestra wreszcie zaczęła grać, zagłuszając gwar.

François odwraca się, dostrzega żonę i podchodzi do niej szybkim krokiem, za nim podąża Ignazio. Wchodzą, trzymając Giuseppinę pod rękę z obu stron.

– Co się stało? – pyta ona brata, zauważywszy zmarszczkę między jego brwiami.

– Cóż, z pewnością nie spodziewałem się, że będą mnie nosić na rękach, jednak...

Uśmiech Giuseppiny łagodzi jego urazę.

– *Un fare u' santo fora da chiesa* – szepce mu w dialekcie zabarwionym już francuszczyzną, na co on wybucha śmiechem.

„Nie udawaj świętego poza kościołem”, to było ulubione wyrażenie ich babki, kiedy dawała znać, że nagłe zmiany ich nastroju nie przypadły jej do gustu.

W pomieszczeniu ustawiono duże lustra na przemian z draperiami. Dają złudzenie większej przestrzeni. Bukiety irysów, goździków, róż w wazonach z brązu zdobią narożniki sali, a girlandy kwiatów oplatają filary, na których umieszczono lampiony, sprawiające, że jasno tu jak w dzień.

Niektóre pary zajmują już miejsca na środku sali. François ujmuje dłoń żony i składa jej ukłon. Ona kiwa głową, ściska jego palce, po czym uwalnia swoją rękę spod ramienia brata.

– Wybaczysz nam, prawda?

Ostatnie słowa są niemal szeptem. Mąż prowadzi ją na środek sali, śmieją się i ruszają do kontredansa.

Ignazio odczuwa ukłucie zazdrości, ponieważ na twarzach Giuseppiny i François widzi przyjemność z przebywania razem. Ich bliskość jest radosna, tak niepodobna do relacji, która łączy go z Giovanną. Do związku pełnego determinacji, by wyglądać doskonale w oczach innych, ale pozbawionego wesołości, swobody, lekkości. A przecież w tej chwili Ignazio chciałby, żeby żona była obok niego, żeby swoim uśmiechem wypełniła pustkę, którą on czuje w środku. By przegnała – choć na jeden wieczór – smutek, który przesłania mu każdą myśl.

Przyjmuje kolejny kieliszek szampana i rozgląda się obojętnie, świadom, że jest obiektem ciekawości zebranych. Obserwuje oficerów uwięzionych w galowych mundurach, kupców



rozmawiających nazbyt głośno i armatorów zerkających w jego kierunku.

Wszystko przepływa nad nim, nic go nie dotyka.

I wtedy...

\*\*\*

Kręcone włosy blond w odcieniu miedzi. Długa biała szyja. Suknia w kolorze pudru. Białe rękawiczki do łokcia. Wachlarz z piór.

Ignaziowi robi się zimno. Ponieważ w mgnieniu oka zdaje sobie sprawę, że zapomnienie, pod którym ukrył swoje wspomnienia, jest cienkie jak papier i wystarczy chwila, by je rozerwać. Pod spodem zaś jest jego dusza: obnażona i krucha.

Nie słyszy już nic poza mrocznym szumem w tle. Wszystko się rozmywa.

W centrum jego uwagi jest tylko jej głowa, lekko przechylona, usta układające się w niesłyszalne słowa i już gotowe do otwarcia w uśmiechu, który jednak nie nadchodzi.

A jednak śmiała się z nim.

„I płakała”.

Ojciec powiedział mu kiedyś, że najbardziej użyteczna zasada życia jest jednocześnie najprostsza: słuchaj głowy, a nie serca. Słuchanie namiętności wbrew temu, co mówi rozum, nieuchronnie prowadziło do błędów. Ojciec miał na myśli interesy, ale Ignazio przestrzegał tej zasady nie tylko w prowadzeniu Domu Florio, lecz także w życiu prywatnym. Kontrola i dystans zawsze były jego najwierniejszymi sprzymierzeńcami, niezależnie od tego, czy chodziło o zamknięcie transakcji, czy o wychowanie dzieci.

Ale teraz, być może po raz pierwszy, Ignazio słucha swojego serca. Jest posłuszny instynktowi samozachowawczemu. Daje się ponieść strachowi.

Musi odejść. Natychmiast.

Powie, że poczuł się źle i wolał wrócić do domu, siostra się nie obrazi. „Ona nie może mnie zobaczyć”, myśli, bo nie chce, nie może

się z nią spotkać. Idzie w kierunku tylnej części sali. I niech to wszystko tak się skończy.

Za późno.

Camille Clermont z domu Martin, *primo voto* Darbon, żegna kobietę, z którą rozmawiała, i odwraca się w stronę innej zaproszonej osoby, matrony w bordowej sukni.

I widzi.

Wachlarz wyslizguje się z jej dłoni. Pióra przez chwilę walczą z oporem powietrza, po czym osiadają na podłodze.

Camille wpatruje się w niego z półprzymkniętymi ustami; wygląda bardziej na przestraszoną niż zaskoczoną. Potem rumieni się gwałtownie, do tego stopnia, że starsza dama podchodzi do niej, dotyka jej ramienia, pyta, czy wszystko w porządku. Ona otrząsa się, schyla się, by podnieść wachlarz, zaciska go w dłoniach, a potem obdarza matronę przeproszającym uśmiechem.

I z tym jej uśmiechem w oczach Ignazio odwraca się i rusza szybkim krokiem do wyjścia z sali.

„Głupi, głupi, głupi, głupi”.

Jak to możliwe, że o tym nie pomyślał? Camille jest żoną admirała czy kogoś takiego. Że też o tym zapomniał. Nigdy nie powinien był tu przychodzić. Po tylu latach Giuseppina na pewno nie mogła wiedzieć i podejrzywać, że on...

Prawie biegnie. Zamierza zabrać powóz do domu i odesłać go z powrotem. „Tak właśnie zrobię”, przekonuje się w duchu. Najgrzeczniej, jak potrafi, odsuwa na bok kilku kupców, którzy próbują go zagadnąć. Zatrzymuje kelnera i prosi go o przekazanie wiadomości państwu Merle, żeby nie spieszyli się do domu.

Wychodzi na ganek. Dyszy, jakby biegł. Następnie rusza przez podwórze.

Ucieka. Ignazio Florio, najpotężniejszy człowiek w basenie Morza Śródziemnego. On, który nigdy przed nikim nie drżał. I mówi sobie raz po raz, że robi to, co najbardziej logiczne, najbardziej racjonalne, bo z wojny ze wspomnieniami można wyjść tylko pokonanym. Bo pozwolić, by ta zjawia ponownie oblekła się w ciało, oznacza zderzyć się z rzeczywistością, którą tyle lat pieczołowicie

budował zgodnie z tym, co uważał za ważne. Wymazać wszystko, czemu przypisywał wartość.

– Ignazio! – słyszy i zatrzymuje się.

„Nie mogę się odwrócić”.

Kroki.

„Nie mogę się z nią zobaczyć”.

Zamyka oczy. Jej głos.

– Ignazio.

Szelest materiału na kamieniach podwórca.

Ona już przed nim stoi.

Twarz jest bardziej pociągła. Wokół niebieskich oczu pojawiły się małe zmarszczki. Usta, niegdyś pełne, jakby się skurczyły, a wśród blond włosów srebrzą się siwe nitki. Ale wyraz twarzy – żywy, intensywny, inteligentny – pozostał niezmieniony.

– Camille.

Kobieta otwiera usta, żeby się odezwać, ale zaraz je zamyka.

– Nie wiedziałem, że tu będziesz – mówi Ignazio.

Ona nie odpowiada. Podnosi rękę w rękawiczce i przez chwilę pozostaje z wyciągniętymi w powietrzu palcami, po czym cofa je i przykładając wachlarz do piersi z taką siłą, że aż słychać skrzypienie piór.

– Dobrze wyglądasz – szepce w końcu.

– Dobrze? – Ignazio rozkłada ramiona i uśmiecha się gorzko. – Postarzałem się i utylłem. Za to ty... jesteś taka, jaka byłaś.

Camille przechyla głowę na bok, a na jej ustach pojawia się ten półuśmiech, który Ignazio tak dobrze pamięta i który tak go boli.

– Kłamca. Ja też się postarzałam. – Ale mówi to pobłaźliwie, jakby upływ czasu był darem, który należy przyjąć z wdzięcznością. Stawia kolejny krok w jego stronę. Obszycie dołu jej sukni dotyka czubków jego butów. – Śledziłam cię z daleka, wiesz? Czytałam gazety... I oczywiście rozmawiałam o tobie z Giuseppiną. – Robi pauzę. – Słyszałam o twoim synu. Moje kondolencje.

Myśl o Vincenzinie jest jak policzek. Ignazio ma rodzinę, żonę. Dlaczego rozmawia z tą kobietą po ponad dwudziestu latach?

„Bo kochałem ją bardziej niż cokolwiek innego na świecie”.

Robi krok do tyłu. Ale stawiając go, wyczuwa perfumy Camille, ten świeży i przenikliwy aromat goździków, który zawsze mu się z nią kojarzył.

Zawrót głowy, bezwładne spadanie w przeszłość.

– Camille? Co się dzieje? – Pod portykiem staje matrona w bordowej sukni. Zdziwiona patrzy na nich oboje i rusza w ich stronę niepewnym krokiem. – Już myślałam, że się źle poczułaś. Nie mogłam cię nigdzie znaleźć...

Camille potrząsa głową. Rumieni się, szybko porusza rękami, a pióra jej wachlarza trzepoczą nerwowo. Ignazio wie, że kobieta szuka wymówki. To niezwykle, jak on wciąż potrafi rozpoznawać jej gesty.

– Spotkałam mojego dawnego przyjaciela i zaczęliśmy rozmawiać – mówi w końcu Camille, zmuszając się do lekkiego uśmiechu. – Madame Brun, to jest monsieur Florio, brat mojej przyjaciółki Giuseppiny Merle. Madame Brun jest żoną admirała Brun, towarzysza broni mojego męża.

Ignazio kłania się i całuje kobietę w dłoń.

„Mój dawny przyjaciel”.

– Wróćmy do środka? – Matrona wskazuje na salę balową. – Zrobiło się tak zimno...

Dopiero wtedy Ignazio zauważa, że Camille drży.

Instynktownie wyciąga do niej rękę.

– Tak, wróćmy do środka – mówi z przekonaniem.

Teraz to Camille się waha. Ale po chwili jej palce przesuwają się po rękawie Ignazia, oplatają się wokół jego ramienia. Jakby znalazły swoje miejsce, swój naturalny dom.

Wchodzą do sali balowej. Jest bardzo gorąco, a powietrze jest ciężkie od zapachu potu zmieszanego z wonią kwiatów i perfum.

W tym momencie orkiestra zaczyna grać walca.

Ignazio ściska nadgarstek Camille. Patrzy na nią. I w blasku jej oczu odkrywa na nowo coś, o czym zapomniał: potrzebę poczucia, że żyje, wraz ze spokojem, że nie musi nikomu niczego udowadniać.

– Chodź.

– Ale...

– Chodź.

Ton Ignazia nie dopuszcza sprzeciwu. To głos człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania.

Camille idzie za nim, zafascynowana, zdezorientowana, ze spuszczonego wzrokiem. Ignazio prowadzi ją pewnie. Kładzie jedną dłoń na jej plecach, a drugą podnosi, by ją wesprzeć. Ich ciała pozostają w odległości podyktowanej konwenansem.

Przez jej twarz przemyka uśmiech.

– Muszę się poprawić. Zmieniłeś się – szepce Camille. – Przed laty nie miałbyś tej odwagi.

– Byłem niewiele więcej niż chłopcem.

„I byłem głupi”, chciałby dodać.

– Nie miałeś tych obowiązków, które masz teraz. Miałaś pełne życie. Wiele satysfakcji. Dobre małżeństwo. – Robi pauzę.

W tańcu ich ciała się rozpoznają, mówią do siebie. Camille opuszcza wzrok.

– Ale miałaś też naprawdę ciężkie chwile, *n'est-ce-pas*<sup>27</sup>? A ja nie... Jedyne, co mogłam zrobić, to napisać do ciebie. Ale nie miałam odwagi zrobić tego, kiedy... twój syn...

Przez umysł Ignazia przechodzi myśl. Giovanna. Ich kłótnia.

Złość ściska mu przeponę, sprawia, że prawie się potyka.

– Tak, dostałem twoje bilety. Były dla mnie wielką pociechą.

Ignazio czuje, że zapory są kruche, że przeszłość nakłada się na terażniejszość. Każde zdanie, każda chwila, każda kropla uczucia, które dzielił z tą kobietą, odżywa z gwałtownością, która może zniszczyć wszystko.

Kolejny obrót. Ignazio znów bierze ją w ramiona, ale tym razem trzyma ją mocniej. Teraz ich ciała się dotykają.

– Ignazio. – Camille próbuje się odsunąć.

On jej nie pozwala, zamyka oczy, jakby odczuwał ból, i może rzeczywiście tak jest, a ona to czuje, bo wydaje się, że dzieli z nim to samo napięcie, ten sam strach.

Jego oddech głaszcze jej ucho.

– Nic nie mów.

Pod barierą ubrania strużka potu skrapla się między łopatkami, zsuwa po plecach.

To ostatnie takty walca. Coraz szybciej, coraz bliżej, na końcu Camille odrzuca głowę do tyłu, suknia wiruje jej wokół nóg. Jej oczy są zamknięte, a na twarzy widnieje przyzwolenie, takie jak w tamtych chwilach, które dobrze pamięta i które sprawiają, że drży.

Łza, której nie powstrzymały rzęsy, ześlizguje się po jej policzku.

Nikt nie może tego zobaczyć. Nikt oprócz niego.

Muzyka się kończy.

Znajdują się w środku tłumu, blisko siebie.

Potem szum sali. Rzeczywistość.

Odsuwają się od siebie nagle. Ich skóra płonie, ręce parzą. Ale ich oczy, nie, nie mogą się rozdzielić.

Ignazio otrząsa się pierwszy.

– Chodź. Odprowadzę cię do madame Brun.

Żegna się z obiema kobietami formalnym pocałunkiem w rękę. Potem odchodzi.

Camille nie może oderwać odeń wzroku.

\*\*\*

„Jakże Marsylia różni się od Palermo”, myśli Ignazio. Szybko przyzwyczaił się do kurzu i chaosu, a teraz docenia nowoczesność, bogactwo, witalność tego miasta. Spotykają się tu różne kolory skóry, głosy, języki i ta będąca w nieustannym ruchu mieszanka wypełnia ulice i zaułki, przekształca port i jego okolice w tygiel twarzy i zapachów.

– Przez te wszystkie lata miasto bardzo się zmieniło – mówi.

François przytakuje.

– Napływające z kolonii pieniądze i plany rozwoju zrewolucjonizowały port. Mówi się o jego dalszej rozbudowie, choć dopiero co wybudowano nowe doki. – Wzdycha. – To miasto ma coś, czego brakuje Palermo.

– Chęć i siłę do zmiany – odpowiada Ignazio.

Giełda w Marsylii jest imponująca, z wielkimi kolumnami i fasadą przypominającą grecką świątynię. Znajduje się w pobliżu Canebière,

najważniejszej dla handlu arterii miasta.

W siedzibie firmy wszystko jest w porządku. Ktoś musiał go zobaczyć na przyjęciu poprzedniej nocy, bo biura są wypucowane, a wszyscy pracownicy obecni. Ignazio rozmawia z nimi, spotyka się z dyrektorem, krótko tłumaczy, jak zmieniają się ich linie po fuzji Florio–Rubattino. Jednak część jego umysłu uwięziona jest we wspomnieniu tego, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Gdy omawia nowe trasy, którymi biuro będzie musiało się zająć – pojawi się kilka linii z Marsylii do Ameryki – podchodzi do niego szwagier.

– Muszę iść. Właśnie zawiadomił mnie jeden z moich ludzi, że ma problem z celnikami. Twierdzą, że rachunki za fracht są niezapłacone. – Prycha głośno.

– Pewne rzeczy dzieją się na każdej szerokości geograficznej. Wszędzie taka sama biurokracja. – Ignazio ściska jego ramię. – Idź, śmiało.

Szwagier przewraca oczami.

– Dobrze, że to niedaleko. Zostawię ci powóz, więc możesz wrócić do domu, jeśli chcesz.

– Odeślę ci go, jak tylko skończę.

– Dziękuję. Zapowiada się dzień pełen kłopotów.

François odchodzi pospiesznie. Ignazio zostaje, by porozmawiać z pracownikami, pyta o ich imiona. Z pobliskiej *patisserie* każe przynieść słodycze i trunki. Wie, że przy jedzeniu ludzie mówią więcej, bez zastanowienia. I słucha.

Jest tuż po południu, gdy wychodzi z biura, zegnany ciepło i z uśmiechami. Gdy tylko drzwi się za nim zamykają, uświadamia sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna nie ma żadnych planów na resztę dnia. Jest oszołomiony, niemal zdezorientowany. Wokół niego ruch rowerów, koni i powozów, mężczyźni w czarnych melonikach, panny służące z koszami zakupów, eleganckie kobiety z parasolkami. Każdy wydaje się mieć coś do zrobienia, każdy się gdzieś spieszy. „A co ze mną? – zastanawia się Ignazio. – Gdzie mogę się udać?”. Pamięta, że François mówił mu z entuzjazmem o Café Turc na Canebière, z wielką fontanną i lustrami, w których odbijają się goście. Mógłby też przejść się w stronę portu.

„Albo iść do niej”.

– Nie – mruczy do siebie, kręcąc głową. – Nie bądź głupi.

Posuwa się kilka kroków dalej, zatrzymuje się, potem zawraca, podnosi rękę do ust.

Jakiś przechodzień rzuca mu zdziwione spojrzenie.

„Dość tego”, myśli Ignazio.

Idzie do powozu i każe się odwieźć do domu. Trzyma ręce na kolanach, niewidzące oczy kieruje na miasto. Żadnych dziwnych pomysłów, strofuje sam siebie. Giuseppina z radością spędzi z nim całe popołudnie. Ale wysiadłszy z powozu, zwraca się do woźnicy i pyta go, czy wie, gdzie mieszkają madame Louise Brun i madame Camille Clermont, i czy madame Merle ma zaufaną kwiaciarnię, dając do zrozumienia, że chce wysłać kwiaty obu paniom. Woźnica – chudy mężczyzna o twarzy naznaczonej głębokimi bliznami – odpowiada, że tak, oczywiście, wie, gdzie mieszkają obie panie, bo są przyjaciółkami madame Merle. Podaje adresy i wyjaśnia, że tuż obok jest kwiaciarnia, jedna z najlepiej zaopatrzonych w Marsylii... Czy monsieur Florio życzy sobie tam pojechać?

Ignazio kręci głową, że nie, że się przejdzie, i dziękuje woźnicy monetą. Powóz wraca po François. Przez kilka chwil rozbrzmiewa jeszcze stukot końskich kopyt na bruku.

Ignazio spogląda w górę, na balkon domu Giuseppiny. Okiennice są zamknięte, być może po to, by chronić wnętrza przed palącym słońcem. W oknach nie ma nikogo. Florio opiera dłoń o drzwi, przybliża ją do dzwonka.

Cofa ją.

Odchodzi.

\*\*\*

Nie zna dobrze miasta, ale wie, jak wrócić na Canebière. Tam wsiada do dorożki i podaje fiakrowi adres Camille.

Dom Clermontów znajduje się przy cichej uliczce niedaleko fortu Ganteaume, w sąsiedztwie białych dwu- lub trzypiętrowych budynków, które lśnią w słońcu. Po liczbie mężczyzn w mundurach



i wywieszonych flag Ignazio orientuje się, że to okolica zamieszкана przez wojskowych i ich rodziny.

Wysiada z dorożki, która odjeżdża z łoskotem.

Podchodzi do drzwi. Jedna jego część ma nadzieję, że Camille nie ma w domu. Inna głośno pragnie, by tam była.

Po raz drugi w ciągu dwóch dni Ignazio łamie zasadę swojego ojca: słuchaj głowy, a nie serca. Stuka do drzwi, odsuwa się, czeka. „Mogę jeszcze odejść”, myśli, ale w tym momencie drzwi otwiera starsza pokojowa w szarym stroju.

– Czy madame Clermont jest w domu? – pyta Ignazio, zdejmując kapelusz.

Z góry dobiega kobiecy głos. Pogodny, z nutami śmiechu. Kroki na schodach.

– *Que se passe-t-il*<sup>28</sup>, Agnès?

Camille pojawia się na ostatnich stopniach. Ma na sobie kwiecistą suknię domową, a włosy częściowo rozpuszczone na ramiona – chyba właśnie kończyła układać fryzurę. Gdy go widzi, uśmiech zastyga na jej twarzy, po czym powoli znika.

Ignazio opuszcza wzrok na próg, gdzie wyrzeźbiony w marmurze pies wydaje się gotowy ugryźć go w kostkę.

– *Pardonne-moi d’être venu sans te prévenir*<sup>29</sup> – mówi.

Głos ma niski, niemal bojaźliwy. Kobieta kręci głową, przesuwa dłońią po ustach.

Pokojowa patrzy to na jedno, to na drugie, zdezorientowana.

Ignazio cofa się o krok.

– Przepraszam – mamroce zakłopotany. – Widzę, że jesteś zajęta. Życzę ci dobrego dnia.

Odwraca się, wkłada kapelusz.

Ale Camille zbiega, zatrzymuje go.

– Czeka! – Kładzie mu dłoń na ramieniu. – Zaskoczyłeś mnie... Wejdz, wejdz.

Służąca odsuwa się, by go przepuścić. Camille mówi coś do niej szeptem i kobieta pospiesznie się oddala.

– Chodź. Wejźmy do salonu.

Jest to jasny pokój, umeblowany ciemnymi sofami i ozdobiony litografiami martwych natur i pejzaży morskich. Są też egzotyczne przedmioty, najwyraźniej przywiezione przez pana domu z podróży: cyzelowana kość słoniowa, egipska statuetka, arabskie pudełka z drewna i masy perłowej lub mosiądzu. Ignazio przygląda się im, gdy wchodzi pokojówka z tacą, na której znajdują się dwie filiżanki do kawy i talerz z herbatnikami, i stawia ją na mahoniowym stoliku.

– *Merci*, Agnès – mówi Camille. – Możesz teraz wrócić do domu, do córki. Będę czekała na ciebie później.

Kobieta odchodzi z ukłonem. Camille odwraca się w stronę Ignazia.

– Jej córka urodziła dziś dziecko i Agnès musi jej pomóc – tłumaczy. – Podobno to był trudny poród. – Na jej twarzy pojawia się cień, szara zasłona goryczy. – Biedna dziewczyna, jest sama. Jej mąż wypłynął w morze i kto wie, kiedy wróci. – Pauza. – Jest z moim mężem na „Algésiras”.

Siada, nalewa kawę do filiżanek, po czym tę dla siebie sładzi jedną łyżeczką cukru. Podnosi głowę.

– Dla ciebie dwie, prawda?

Ignazio stoi przed oknem. Przytakuje. W końcu siada naprzeciwko niej. W przeciskającym się przez zasłony świetle słońca włosy Camille pełne są czerwonych pasemek.

Piją kawę w milczeniu, nie patrząc na siebie.

W końcu Camille odstawia filiżankę na spodek i podnosi wzrok.

– Po co przyszedłeś?

W jej tonie jest surowość, której Ignazio nie poznaje i która go dezorientuje. Szorstkość, która go niepokoi. „Ona się broni – myśli. – Przede mną? Przed przeszłością?”.

– Żeby z tobą porozmawiać – mówi.

Przy niej bycie szczerym jest łatwe, bo to Camille sprawiła, że poznał tę stronę siebie. Dawniej nie miałby też trudności z odczytaniem jej stanu ducha, bo zawsze była wobec niego otwarta, prostolinijna.

Ale teraz?

Rozstali się po tym, jak Ignazio jej wyznał, że nie ma odwagi zmienić kierunku swojego życia, bo musi sprostać oczekiwaniom

ojca. Był dziedzicem Domu Florio i nic nie mogło zmienić jego przeznaczenia. Ani nikt. Małżeństwo „społecznie odpowiednie” było prostą, nieuniknioną konsekwencją tego wyboru. „Słuchaj głowy, a nie serca”.

Przez długi czas po tym pożegnaniu Ignazio nie chciał otwierać jej listów ani o nią pytać. Sukces w interesach, władza i bogactwo niczym niewidzialne ciężarki zatopiły głęboko w jego duszy cierpienie, wstyd, że oszukał kobietę, którą kochał, i żal, że życie nie potoczyło się inaczej. Co jakiś czas wspomnienia powracały, a on był niemal wdzięczny za ból, jaki mu sprawiały, bo z nim łączyła się słodczy uczucia, które nigdy do końca nie wygasło, i subtelna przyjemność z zachowywania tajemnicy: te wspomnienia z nigdy nieprzeżytego życia należały tylko do niego.

Ale Camille? Co się z nią działo?

Nic o niej nie wiedział. Postanowił nie wiedzieć. Poszła naprzód mimo wszystko, ale czy była szczęśliwa? Czy żyła, czy tylko egzystowała? On miał swoją pracę – brzemię i błogosławieństwo. A ona?

– Wiem dobrze, że nie powinienem był przychodzić, że narażam cię na obmowę. Ale dziś...

– Dziś co? – Camille odstawia filiżankę na tacę. Potem patrzy mu w oczy. – Czego chcesz ode mnie, Ignazio?

Dawny obraz Camille płaczącej przy jego odejściu znika, jego miejsce zajmują to zacięte spojrzenie i surowy ton. Za tą naganą kryje się coś, co alarmuje instynkt Ignazia. „Uraza, tak. Ale i pożądanie, być może?”. Nagle Florio uświadamia sobie, że nie potrafi już odczytać jej reakcji, że siedząca przed nim kobieta jest zupełnie inna niż ta, która błagała go, by jej nie zostawiał. Ta zmiana nie jest wyłącznie konsekwencją dzielącego ich czasu. Pewne błędy są niewybaczalne. Są jak zamknięte, zamurowane drzwi do przeszłości.

Słowa zatrzymały się na języku i nie chcą wyjść z ust. Kiedy Ignazio w końcu mówi, robi to z trudem. Bo dopiero w tej chwili uświadamia sobie prawdziwy powód, dla którego chciał się z nią spotkać.

– Przyszedłem dzisiaj, bo chciałem... prosić o wybaczenie tego, co stało się z mojej przyczyny... lata temu.

– Z twojej winy – poprawia go Camille. Błękit jej oczu ciemnieje.

– Przyczyna jest gdzie indziej. Po twojej stronie leży wina.

Ignazio odstawia filiżankę i kropla kawy plami spodek.

– Wina czy przyczyna, co za różnica? – prycha, dotknięty do żywego. – Mogłem wybrać inaczej, to prawda, ale miałem i mam obowiązki. Wobec mojego ojca. Dziś wobec rodziny.

Camille wstaje, idzie do okna. Zakłada ręce na piersi.

– Wiesz, wczoraj wieczorem coś sobie uświadomiłam. – Mówi z wysiłkiem, sylaby ślizgają się, nakładają na siebie. – Tym, za czym tęskniłeś bardziej niż za czymkolwiek innym, Ignazio, jest władza. Władza, uznanie społeczne. Nie wybierałeś między szczęściem swoich rodziców a naszym. Wybrałeś siebie. – Jej głos się łamie. Camille odgarnia kosmyk włosów z czoła. – Obserwowałam cię wczoraj, widziałam pewność twoich gestów, sposób, w jaki mówiłeś. I wtedy zrozumiałam: chłopiec, którym wtedy byłeś, dokładnie odpowiada mężczyźnie, którym się stałeś. Głupia byłam, że myślałam inaczej. Że mógłbyś wtedy wierzyć, że mnie potrzebujesz, że można cię kochać za to, jaki jesteś, a nie za to, co reprezentuje twoje nazwisko. Nigdy nie potrzebowałeś niczego poza Domem Florio.

Tuż pod mostkiem Ignazio czuje bolesne echo straty. „Tylko nie ona. Ona nie może mi mówić tych rzeczy”. Kręci głową, najpierw powoli, potem gwałtownie.

– To nieprawda, do diabła. Nie! – Zrywa się na nogi, chwyta ją za rękę. Chce nią potrząsnąć, ale się powstrzymuje, bo teraz Camille wygląda na przestraszoną. Puszczą ją, zaczyna chodzić po pokoju, przesuwając rękami po włosach. – Musiałem to zrobić, bo nie miałem wyboru. Nie mogłem postąpić inaczej. Czy wiesz, kim jestem, co reprezentuję na Sycylii i we Włoszech? Czy wiesz, co oznacza nazwisko Florio? Mój ojciec stworzył nasz Dom, ale to ja uczyniłem go wielkim, ja!

Camille pozwala mu się wyładować. Potem idzie przed nim, podnosi rękę, kładzie na jego policzku. Na jej twarzy rysuje się smutek. Żal tak głęboki, że natychmiast gasi wściekłość Ignazia.

– Ty *nie chciałeś* wybierać. Ale za jaką cenę?  
„Za jaką cenę”.

Nagle, jak tonącemu, życie przesuwa się Ignaziowi przed oczami duszy. Jego ojciec zabiera go do biura... Słuchają go robotnicy w odlewni... Po raz pierwszy widzi Giovannę, nie piękną, nie bogatą, ale inteligentną, o silnej woli, a przede wszystkim szlachetną, dokładnie taką, jakiej chcieli on i ojciec... Jego dzieci, dorastające w mieszkaniu godnym króla... Jego wpływy polityczne, ministrowie dumni z tego, że należą do jego przyjaciół... Malarze i artyści skupieni wokół Olivuzzy...

Statki. Pieniądze. Potęga.

Ale teraz wokół niego panuje ciemność. W świetle kryształowych żyrandoli i blasku sreber Ignazio nie widzi nic poza własnym odbiciem, zniekształconym wizerunkiem, jakby samotność, która w nim mieszka, przelała się na zewnątrz. Bo wie, że nie posiada nic oprócz pieniędzy, przedmiotów, ludzi.

Posiadanie. Posiada, ale *nie ma* nic, co byłoby naprawdę jego, co należałoby do niego. Poza wspomnieniem o niej.

Camille chwyta jego dłonie, oplata je swoimi.

– Tu nie ma nic więcej do powiedzenia, Ignazio. Cieszę się, że jesteś w dobrym zdrowiu i że jesteś tak bogaty i potężny, jak zawsze chciałeś. Ale z nas już nic nie zostało.

Ignazio opuszcza wzrok na ich złączone palce.

– Nieprawda, zostało. Myśl o tobie. – Głos ma zachrypnięty. – Jeśli ruszyłem do przodu, to także dzięki tobie. Dzięki pamięci o tobie. O nas. – Podnosi głowę, szuka jej wzrokiem. Jest bezbronny.

– Myślałem, że to może wystarczyć na całe życie, ale tak nie jest i proszę o wybaczenie, że sprawiłem ci tyle bólu. Ty ostatniej nocy widziałaś mężczyznę, którym się stałem. Ja widzę teraz kobietę, którą jesteś i zawsze byłaś: silną, odważną. Zdolną do przebaczenia.

– Nie mogę ci wybaczyć.

– Dlaczego?

Camille rzuca mu lodowate spojrzenie.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

Ignazio wpatruje się w nią, niezdolny odpowiedzieć. Skazał ich oboje na samotność. On swoją okrył złotem i prestiżem. A ona?

Znów to udręczone pytanie, ta świadomość winy, której nic teraz nie może zagłuszyć ani stłumić.

– A ty... – udaje mu się w końcu powiedzieć. – Jak zdołałaś ruszyć naprzód?

Camille uśmiecha się gorzko.

– Jak ocalenie. Po tym, co się stało, po miesiącach rekonwalescencji nie miałam już szansy naprawdę dojść do siebie. Kiedy dwa lata później poznałam Maurice'a, mojego męża, byłam już tylko w połowie kobietą.

Ignazio cofa się o krok. „Rekonwalescencji?”

I pyta ją o to; jego głos jest niski, ręce nie chcą puścić jej dłoni. Czuje, że drży w środku, bo nie wie i nie rozumie. Stan umysłu, który jest mu nieznany.

Camille patrzy w bok. Myśli o latach, które minęły.

– Po utracie dziecka – mówi jednym tchem.

– Dziecka? – Ignazio opuszcza ręce. Czuje się, jakby go spoliczkowano. – Byłaś...

Camille wraca na swoje miejsce. Zbladła, zakrywa twarz rękami.

– Napisałam do ciebie o tym wszystkim. Nigdy mi nie odpowiedziałeś. Najpierw myślałam, że nie chcesz, a potem, że ktoś, może twój ojciec, skradł moje listy...

Listy.

Listy, te, których nie miał odwagi otworzyć, bo nie chciał czuć więcej bólu, bo nie chciał słyszeć jej wyrzutów, bo to było skończone i po co płakać z tego powodu. Po co ucierać wodę w moździerz, czyż nie?

Nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Musi usiąść. Wspomnienie ich dwojga razem, ich ciał napiętych, bliskich sobie, jego zakochania, wszystko to zostaje spopielone przez tę wiadomość. Mógł mieć z nią dziecko, mógł...

– Zrozumiałam, że jestem w ciąży, na kilka dni przed poronieniem. Ledwo zdążyłam się zorientować, było już po wszystkim. Nie wiem, dlaczego tak się stało, może to był smutek, może los, kto wie. Kiedy zaczęłam krwawić, byłam w Prowansji, daleko od miasta, i nie mogłam zrobić nic, by temu zapobiec. I dobrze. – Mówi miękko, nie patrząc na niego. Jej usta wyginają się

w grymasie przypominającym gorzki uśmiech. – Cud, że przeżyłam. – Wstaje, podchodzi do niego. – Później dowiedziałam się, że kolejna ciąża byłaby dla mnie zabójcza. To właśnie mi zrobiłeś, Ignazio.

Ignazio nie ma siły na nią spojrzeć. Ona unosi jego twarz, dwoma palcami podtrzymując brodę, jak to miała w zwyczaju, gdy schylała się, by go pocałować.

– Zabrałeś mi wszystko.

– Nie wiedziałem... Nie mogłem. Ja... – Ignazio z trudem oddycha. Czuje zapach kawy, która ostygła w filiżankach, i woń jej perfum. Nagle wydają mu się mdłe. – Nie chciałem myśleć o tym, co się między nami stało, dlatego nigdy nie otwierałem twoich listów. Zatrzymałem je wszystkie, tak, ale nigdy ich nie otwierałem. Odejście od ciebie mnie też zadało ból.

„Ale jakże pozbawiony znaczenia jest teraz mój ból, jakże maleńki. Jak bezużyteczne moje przeprosiny...”.

Camille potrząsa głową. Wydaje się niemal, że zasłona pobłażliwości łagodzi jej rysy, ale wkrótce potem Ignazio uświadamia sobie, że to gorycz. Rozczarowanie.

– To już nie ma znaczenia. Nawet gdybyś wiedział, co się stało, wątpię, byś cofnął swoje kroki. Twoje wyznanie potwierdza to, co już dawno zrozumiałam. – Odsuwa się. – Jesteś tchórzem.

Ignazio jest zdumiony. Chwyta się za głowę.

Nic. Nic z tego, co miał zapisane w pamięci, nie istnieje. Jego sekretne życie, jego wyobrażone, wymarzone, upragnione życie to kupa spalonych kości, ruin, na które rzucono wapno. Bezsilny, pokonany, spustoszony przez poczucie winy. Tak się czuje, gdy podnosi głowę i wstaje, z mdłościami ściskającymi żołądek i bólem w piersi. Pokój jakby stracił światło i kolory, nawet Camille wygląda, jakby się nagle postarzała.

Chciałby móc jej powiedzieć, że kochał ją tak, jak można kochać niemożliwe marzenia. Pragnął ocalić coś ze swojej iluzji.

– Wybacz mi. Ja nie...

Ona go ucisza. Przykłada palec do jego ust, po czym pieści jego twarz z łagodnością, która jest równie czuła, co zacięta.

– Ty. Tak, zawsze ty, tylko ty. – Cofa rękę, odsuwa się, wskazuje na drzwi. – Odejdź, Ignazio.

\*\*\*

Ignazio nie potrafi powiedzieć, jak długo idzie po wyjściu z domu Camille. Wie tylko, że nagle znalazł się przed lasem masztów i kominów, zrefowanych żagli i wozów załadowanych towarami.

To jest stary port.

Rozgląda się dookoła, jakby dopiero co się obudził.

Szuka na palcu obrączki z kutego złota, myśli o tym wszystkim, co ona przedstawia i co dla niego znaczy. Ma ochotę pozbyć się jej, cisnąć ją z rozmachem do morza, by nie czuć już tego ciężaru na serdecznym palcu. Żeby to wszystko porzucić.

Ale nie robi tego. To kawałek historii jego rodziny. Symbol jego wyboru. Potem kieruje się do domu François i Giuseppiny. To już koniec, musi wyjechać, wrócić do Palermo.

Nazywa się Ignazio Florio, ale nie może wymazać przeszłości ani zmienić swojego przeznaczenia. Nawet bogowie nie mają takiej mocy. Popełnił błąd, został pokonany, a teraz płaci za to z odsetkami.

Nie myśli o Giovannie ani o swoich dzieciach.

Mógł mieć inne dziecko, inne życie, inne przeznaczenie.

Dociera w końcu do domu państwa Merle. Wbiega po frontowych schodkach, puka do drzwi. Giuseppina otwiera, całuje go, a potem marszczy czoło.

– Późno wróciłeś. Wszystko w porządku na place de la Bourse?

Wydarzenia sprzed kilku godzin wydają mu się bardzo odległe.

– Tak, tak – odpowiada Ignazio lakonicznie. – Czy François wrócił? Wiem, że miał jakieś kłopoty...

Siostra wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć „To nic ważnego”, po czym uważnie mu się przygląda. Widzi, że jest bardzo zdenerwowany. Chciałaby go zapytać dlaczego, ale nie robi tego. Ma nadzieję, że sam jej opowie.



Ignazio idzie za nią do salonu. Giuseppina przegląda leżące na stole listy, wybiera kilka i podaje bratu.

– Przyszły dziś rano z Palermo, wraz z telegramem od Lagany.

Wśród listów jest jeden od Giovanny, jeden od Giulii.

Ignazio siada w fotelu i zaczyna czytać.

Żona pisze o domu i dzieciach. Donosi, że Ignazziddu zachowuje się dobrze, że stał się bardziej odpowiedzialny i że spędzili trochę czasu w Villa ai Colli, gdzie powietrze jest świeższe, że gościł tam również Antonino Leto. Almeyda z żoną także przyjechali w odwiedziny. To spokojny czas, ale bez niego dom wydaje się pusty. *Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz*, kończy Giovanna. Wykorzystuje swoją zwykłą skromność, tę formę oderwania pozwalającą jej ukryć uczucia i miłość, którą nadal mu ofiarowuje, nie oczekując niczego w zamian.

Ignazio czuje ucisk w gardle.

Potem list Giulii.

Niepewnym, czułym pismem jego *stidduzza* pisze, że chciała mu pokazać, jak dobrze rysuje; na odwrocie kartki znajduje się szkic ołówkiem jednego z pudli w Olivuzzy. Dodaje, że matka i donna Ciccia próbują nauczyć ją haftu, ale bez większych sukcesów. Ona woli się przyglądać, jak Antonino Leto maluje w parku. Na zakończenie pisze, że mama za nim tęskni. *I ja też nie mogę się doczekać Twojego powrotu.*

To zwykły list małej dziewczynki do uwielbianego ojca, którego nie widziała od tygodni. A w nim trwa cichy kataklizm.

Ignazio czuje na sobie ciężar spojrzenia siostry.

– Dobre wieści z Palermo? – pyta Giuseppina.

Florio przełyka ślinę. Przytakuje. Potem potrząsa głową, jakby budząc się ze snu.

– W przyszłym tygodniu wsiadam na parowiec do domu – zapowiada. – Zbyt długo mnie nie było. Moja rodzina mnie potrzebuje.

Giuseppina wzdycha, zaciska wargi.

– A więc tak musi być.

## Oliwki (grudzień 1883 – listopad 1891)

*Cu di cori ama, di luntano vidi*  
„Kto z serca kocha, ten patrzy daleko”  
przysłowie sycylijskie

18 października 1882 roku, podczas spotkania z wyborcami w lombardzkiej miejscowości Stradella, premier Agostino Depretis ogłosił ponownie politykę transformizmu, zarysowaną już osiem lat wcześniej w innym jego przemówieniu, wygłoszonym również w Stradelli. W ten sposób podział na prawicę i lewicę został sprowadzony na drugi plan w imię tego, co historyk Arturo Colombo określa jako „ostrożną i umiejętną absorpcję ludzi i idei należących również do opozycji”. Sukces tego podejścia stał się widoczny już niecałe dwa tygodnie później, 29 października, w tak zwanych rozszerzonych wyborach<sup>30</sup>. Zwyciężyła w nich lewica Depretisa, a do izby niższej wybrano aż stu siedemdziesięciu trzech deputowanych niezwiązanych formalnie z żadną partią. Tym samym rozpoczął się okres, w którym włoska polityka nie wyrażała się już na gruncie ideologii, ale poprzez szukanie wspólnoty potrzeb, oddawanie przysług i czynienie ustępstw.

Aby przezwyciężyć izolację na arenie międzynarodowej oraz w odpowiedzi na „tuniski policzek” (francuska okupacja Tunezji, do której kolonizacji przymierzała się już Italia), Włochy podpisały 20 maja 1882 roku pakt obronny z Niemcami i Austrią, tak zwane trójprzymierze. Zwróciły się następnie w stronę Erytrei: najpierw kupiły zatokę Assab (1882), a następnie zajęły Massawę, jednak ich ekspansja została gwałtownie zatrzymana klęską w bitwie pod Dogali (26 stycznia 1887). Francesco Crispi, który po śmierci Agostina Depretisa (29 lipca 1887) zastąpił go w fotelu premiera, nie krył imperialistycznych celów i wiosną 1889 roku armia włoska zaczęła posuwać się w kierunku Asmary. Negus Menelik II podpisał wówczas traktat w Ucciali (2 maja 1889), na mocy którego Włochy ustanowiły się państwem opiekuńczym

Abisynii. Erytrea została uznana za kolonię włoską 1 stycznia 1890 roku, ale w październiku tego samego roku w liście do króla Humberta I Menelik zakwestionował interpretację traktatu z Ucciali. Doszło do międzynarodowego skandalu i Crispi został zmuszony do rezygnacji.

Wejście do trójprzymierza jeszcze bardziej pogorszyło stosunki Włoch z Francją, z którą prowadziły największą wymianę handlową. Jeszcze w trakcie wielkiego kryzysu (1873–1895) rząd włoski porzucił politykę wolnego handlu przyjętą w czasach ówczesnej prawicy i w 1887 roku podniósł taryfy celne na produkty importowane, chcąc chronić młody przemysł (zwłaszcza włókienniczy, stalowy i stoczniowy). Wybuchła prawdziwa wojna taryfowa, na której najbardziej ucierpiało Południe, gdyż nagle zatrzymał się nieprzerwany dotąd strumień eksportu wina, cytrusów i oliwy do Francji.

15 maja 1891 roku papież Leon XIII promulgował encyklikę Rerum Novarum, w której poruszył kwestię robotniczą i wskazywał, że „należy szybko i skutecznie przyjść z pomocą ludziom z warstw najniższych, ponieważ olbrzymia ich część znajduje się w stanie niezasłużonej, a okropnej niedoli”. Krytykując zarówno liberalizm, jak i socjalizm, encyklika podkreślała ducha miłosierdzia Kościoła i jego prawo do interwencji w kwestiach społecznych.

\*

Dla Egipcjan było darem bogini Izydy. Dla Żydów – symbolem odrodzenia. U Greków było poświęcone Atenie, bogini mądrości. Według Rzymian urodzili się pod nim Romulus i Remus.

Drzewo oliwne ma sękaty pień, błyszczące w słońcu srebrzystozielone liście i wyrazisty zapach. Jego ciepłe, złote drewno jest odporne na szkodniki i nadaje się do intarsjowania lub rzeźbienia; drewno na meble, które mają być trwałe i mieć moc przekazywania wspomnień.

To nie wszystko.

Spróbujcie podpalić drzewo oliwne lub ściąć jego pień. Minie dużo czasu – może nawet lata – ale prędzej czy później wytrwały, gniewny pęd wykiełkuje z ziemi i przywróci zranione drzewo do

życia. Aby zniszczyć drzewo oliwne, należy je wykarczować. Usunąć korzenie i przekopać ziemię, by nie pozostał po nich żaden ślad.

Dlatego drzewo oliwne jest również symbolem nieśmiertelności.

Wraz z cytrusami drzewa oliwne są najbardziej rozpowszechnionymi drzewami na sycylijskiej wsi. Nie ma ogrodu, w którym nie rosłoby przynajmniej jedno. Niektóre okazy były krzaczkami w 827 roku, kiedy Arabowie podbili Sycylię, były tam wciąż, kiedy latem 1038 roku przybyli na wyspę Normanowie, rosły tam nadal w 1282 roku, kiedy wybuchła rewolta przeciwko Andegawenom znana jako nieszpory sycylijskie, rosły wciąż w 1516 roku, kiedy przybyli Hiszpanie, i doczekały 1860 roku, kiedy Garibaldi postawił stopę na wyspie.

Starożytne, skromne, monumentalne, święte istoty.

Przed wejściem do willi Floriów w Olivuzzy stało – i nadal stoi – samotne drzewo oliwne. Tkwi uwięzione w betonowej wannie, a jego dzikie gałęzie sięgają w stronę parkingu. Wydaje się porzucone.

Ostatni, niemy świadek wspaniałej i strasznej historii.

\*\*\*

Jest grudzień 1883 roku. Ignazio spotyka na korytarzach senatu Abelego Damianiego. Pochodzący z Marsali były garibaldczyk, a obecnie poseł, Damiani, mężczyzna o sumiastych wąsach i krzaczastych brwiach, jest bez wątpienia człowiekiem swoich czasów.

– Senatorze! Mogę was nazywać *accusi*<sup>31</sup>? Macie do tego prawo.

Ignazio ze śmiechem otwiera ramiona. Wypolerowany marmur posadzki odbija obraz ich uścisku, gobelin na ścianie wchłania ich wesołe głosy.

– *Mi putete chiamari comu vuliti*<sup>32</sup>, Damiani.

– Don Ignazio, w takim razie. Choć jesteśmy na kontynencie – odpowiada Damiani, rozkładając ręce. – A nawet w samym sercu Królestwa Włoch! – dodaje i znów się śmieje.

Palazzo Madama należał do rodziny Medyceuszy, a od roku 1871, gdy Rzym stał się stolicą królestwa, mieści się w nim siedziba izby wyższej parlamentu, choć premier Crispi chciał, by w celu ograniczenia kosztów połączyć obie izby pod jednym dachem. Wyboru miejsca dokonała specjalna komisja i po wyczerpujących dyskusjach zgodziła się na budynek, który nazywa się tak samo jak pałac w Turynie, gdzie znajdowała się pierwsza siedziba senatu królestwa. Ale od czasów gdy Turyn był stolicą, w senacie nie zmieniło się nic: w fotelach palazzo Madama nie zasiadają przedstawiciele wybierani przez lud, lecz księżęta z dynastii sabaudzkiej po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia oraz mianowani dożywotnio przez króla mężczyźni, którzy ukończyli czterdzieści lat i należą do jednej z dwudziestu kategorii wymienionych w artykule 33 Statutu albertyńskiego, czyli pierwotnej konstytucji: ministrowie i ambasadorowie, oficerowie lądowi i morscy, członkowie Urzędu Zastępstw Procesowych Państwa i sędziowie. Jest jeszcze jedna kategoria: osoby, które od przynajmniej trzech lat płacą trzy tysiące lirów<sup>33</sup> w podatkach bezpośrednich z tytułu posiadanego majątku lub działalności gospodarczej.

Jak Ignazio Florio.

Damiani robi krok do tyłu, patrzy na niego i otwiera szeroko ręce.

– Moje gratulacje, don Ignazio, naprawdę. Wreszcie człowiek, który zna się na gospodarce tego kraju.

Ignazio niedługo skończy czterdzieści pięć lat. Jak zawsze jego spojrzenie jest pełne niezachwianego spokoju.

– Dokąd idziecie? Jeśli wolno mi pytać, ma się rozumieć. – Damiani ścisza głos, bawi się złotym łańcuszkiem zegarka.

Mijający ich urzędnicy i chłopcy na posyłki nie poświęcają im szczególnej uwagi. Sycylijczycy tworzą w palazzo Madama całkiem sporą grupę i nikogo nie dziwi, że w rozmowach między sobą używają dialektu.

Ignazio wskazuje ruchem głowy pomieszczenie w głębi sali.

– Do Crispiego.

– Byłem tam przed chwilą. Chętnie was odprowadzę.

Idą niespiesznym krokiem, rozmawiają cicho.

– Jest bardzo wzburzony z powodu afery Maglianiego – relacjonuje Damiani – i ma za złe Depretisowi, który chciał go mieć na stanowisku ministra finansów. Sztywny, jakby kij połknął. Zobaczycie, Magliani nie pozwoli nawet, by papiery dotarły do parlamentu, a co dopiero mówić o zlustrowaniu rachunków.

– Depretisa nie wybrali bez powodu. – Ignazio ścisza głos do szeptu. – To rekin.

Damiani zatrzymuje się przed drzwiami. Puka.

– Każdy tutaj jest rekinem, don Ignazio – komentuje.

– Wejść – odzywa się stentorowy głos, w którym żarzy się irytacja.

Wchodzi Ignazio, a za nim Damiani.

Crispi siedzi za biurkiem, pogrążony w lekturze jakiegoś dokumentu, i nie patrzy na wchodzących. W zimnym grudniowym świetle jego wąsy wydają się bardziej szare i zmierzwiłone, niż Ignazio pamiętał. Wokół niego otwarte teczki, ołówki, stalówki ociekające atramentem i brudnopisy listów, niektóre zmięte. Przed nim szczupły młody człowiek z brodą w szpic i w okularach, z pochyloną głową słucha i robi notatki.

– Niech im nie przychodzą do głowy żadne dziwne pomysły – mamroce Crispi. – Musimy dostać dokumenty z budżetem, zanim wejdziemy na salę obrad. Wszystko, czego potrzebujemy, to...

– Mecenasiu Crispi! To zawsze przyjemność widzieć was w tak bojowym nastroju.

Crispi sapie, wstaje i woła:

– Don Ignazio! A więc już przyjechaliście.

Florio podchodzi do biurka, a sekretarz z szacunkiem odsuwa się na bok. Następują uściski dłoni, padają zdania wypowiedziane półgłosem. Ignazio od razu nauczył się jednego: że tutaj nawet ściany mają uszy i słyszą to, co chcą usłyszeć.

Damiani staje nieco z tyłu, rejestrując strzępki zdań. Rozumie.

– Dobrze. Pożegnaj się już z panami, za pozwoleniem – mówi z uśmiechem. – Don Ignazio, jestem zawsze do waszej dyspozycji. – Wychodzi, ale zostawia otwarte drzwi. Milczące zaproszenie,

którego sekretarz zdaje się nie rozumieć, a może czeka na skinienie Crispiego. Ten rzuca mu zirytowane spojrzenie.

– Dokończymy później, Fabrizio – mówi w końcu, odsuwając się nieco, aby sekretarz mógł przejść.

Mężczyzna umieszcza dokumenty w skórzanej teczce.

– Czy życzy pan sobie czegoś do picia, panie senatorze?

– Nie, dziękuję.

Sekretarz zamyka za sobą drzwi. Crispi i Florio zostają sami. Przez chwilę Ignazio widzi swego gospodarza takiego, jakiego poznał w Palermo po przybyciu wojsk Garibaldiego na Sycylię, nie zauważa, by się znacznie zmienił. A przecież od tamtego czasu przebył długą drogę: deputowany, przewodniczący izby niższej, minister spraw wewnętrznych, postać znana i szanowana w Londynie, Paryżu i Berlinie... I niezmiennie prawnik Domu Florio.

Ignazio poznał go, gdy tamten był bojownikiem. Teraz jest mężem stanu.

„Być może zawsze był jednym i drugim”.

Crispi daje mu znak, by zajął miejsce, i sam siada w skórzanym fotelu. Podsuwa swemu gościowi cygaro.

– A zatem, *senatorze*? – pyta z uśmiechem kryjącym się w oczach.

Ignazio powoli smakuje cygaro, po dłuższej chwili wydmuchuje dym. Odpowiada tym samym tonem, nieznacznie spuszczać oczy.

– To wy sprawiliście, że tak się stało. Dziękuję.

Crispi wydmuchuje dym, po czym kładzie ręce na kolanach.

– Niezależnie od tego, że chcieliście nim zostać, niepojęte było samo to, że człowiek taki jak wy nie jest senatorem. Ze wszystkimi przedsiębiorstwami, które macie, i podatkami, które płacicie...

– Nie jestem przemysłowcem w rodzaju tych, których lubi Depretis, wiecie o tym dobrze. Wystarczy poczytać „La Perseveranza”, by to zrozumieć.

– To gazeta przemysłowców lombardzkich, don Ignazio: to normalne, że jest przeciwna subsydiom dla przemysłu morskiego i firm z Południa. Raczej zwróćcie uwagę na to, co robią wasi przyjaciele.

– Och, ależ wiem i doceniam. – Ignazio wrócił myślami do artykułów w rzymskich gazetach „L’Opinione” i „La Riforma”.

W szczególności ta ostatnia, bliska Crispiemu, opowiadała się za dotacjami dla nowych linii żeglugowych na Daleki Wschód. – Jednak sytuacja wciąż jest trudna. A politykę w dzisiejszych czasach robi się bardziej na łamach gazet niż u nas.

Tym razem Crispi patrzy na niego z ukosa.

– Inna rzecz, że niektóre skargi na wasz temat bywają uzasadnione.

Trzymająca cygaro dłoń Ignazia nieruchomieje. Usta wyginają mu się w sarkastycznym uśmiechu.

– I wy też, mecenasie? Sprawa starych statków czy drogiego frachtu? Która z nich?

– Obie. Ze względu na szacunek, jakim darzę was i waszą rodzinę, powiem wprost: niektóre statki Navigazione Generale Italiana, waszej kompanii, to prawdziwe wraki, a ceny biletów macie zbyt wysokie. I to trzeba zmienić.

Ignazio sarka. Miętko uderza zaciśniętą pięścią w podłokietnik.

– Zatem pospieszcie się i poddajcie pod głosowanie izby projekt ustawy o dotacjach dla stoczni, a wtedy będziemy mogli budować nowiutkie statki w Livorno. Samodzielnie Navigazione nie jest w stanie tego zrobić. Wiadomo wam, co się stało na tegorocznym zgromadzeniu wspólników. Laganà opowiedział wam ze szczegółami, nieprawdaż?

– Owszem.

– Więc wiecie też, dlaczego kieruję tę prośbę.

Zarząd Navigazione ma trudny czas: stawki frachtu drastycznie spadły, ponieważ inne zagraniczne firmy obsługują te same trasy po niższych cenach lub dysponują bezpieczniejszymi, wygodniejszymi i lepiej wyposażonymi parowcami. Węgiel do kotłów podwyższa koszty transportu, a cła na towary robią resztę.

Crispi gładzi wąsy, patrzy. Czeką, aż Ignazio skończy mówić.

– W tym roku dywidendy będą ograniczone, a spółka nie może sobie na to pozwolić. Będzie dobrze, jeśli nie zobaczymy spadku akcji. Ale żeby zbudować nowe statki, potrzebne są pieniądze, których Navigazione w tej chwili nie ma. – Zmarszczki na czole Ignazia pogłębiają się jeszcze bardziej.



– Egzekwie śpiewa się zmarłemu. Zastanówmy się, co można zrobić już dziś. – Crispi wskazuje na niego cygarem. – Teraz jesteście tutaj, don Ignazio, a to oznacza, że będziecie mieli szansę porozmawiać bezpośrednio z tymi, którzy mogą być wam użyteczni.

– Wcześniej też tak robiłem.

– To nie jest to samo. Teraz muszą was słuchać, bo jesteście tu i jesteście jednym z nich. Nie potrzebujecie pośredników.

– Dlatego poprosiłem was o zainteresowanie się moją nominacją.

– Ignazio zostawia cygaro na popielniczce, wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. – Dom Florio ma wielu przyjaciół. Ja sam mam ich wielu. Ale to, co zastałem tutaj, wykracza poza przyjaźń.

Crispi wie o tym i przytakuje.

Władza. Znajomości. Relacje.

– Dotarliście tam, gdzie waszemu ojcu się nawet nie śniło.

Florio wie, że jego ojciec byłby bardziej brutalny, bardziej bezpośredni. Być dyplomata, grać przysługami, zawierać sojusze, nie zrażając nikogo – tego Ignazio musiał nauczyć się sam. I nauczył się dobrze.

– Wiem. – Przenosi spojrzenie na Crispiego, który założył nogę na nogę. – Ale od tego czasu świat się zmienił. Dziś trzeba być znacznie sprytniejszym.

W pokoju wyłożonym drewnem i skórą głos Crispiego jest szeptem.

– Dziś polityka to sztuka elastyczności. Nawet jeśli oznacza to zdradę przyjaciół i zmianę strony politycznej. – Jego spojrzenie nabiera ostrości. – Znacie Depretisa, prawda?

– „Jeśli ktoś chce wstąpić w nasze szeregi i zmienić podejście, i stać się postępowym, kim jestem, żeby go odrzucać?”. To jego idée fixe. – Ignazio uśmiecha się krzywo. – Powtarza to od wielu lat. I stosuje, gdy tylko nadarza się sprzyjająca okazja. Trudno powiedzieć, by brakowało mu konsekwencji. I pragmatyzmu.

– Tak. – Crispi ze zniecierpliwionym westchnieniem wygładza kamizelkę. – Muszę mu oddać sprawiedliwość: zachowuje się jak korsarz, ale zna się na rzeczy. Ogromny z niego *crasto e cornutu*<sup>34</sup>, przyznajmy to: najpierw wytargował, żeby do senatu weszli

przemysłowcy z Północy, potem zrozumiał, że aby zrobić to, co chce, musi uzyskać jak najszerszą większość, i zaczął się rozglądać za nowymi nabytkami. Tamtym przemówieniem zburzył wszystkie stałe podziały w parlamencie. I dziś każdy, kto chce, może zmienić stronę i czuć się do tego upoważniony.

Ignazio opiera się o ścianę pod dużym drukiem przedstawiającym mapę Włoch.

– Podziwiacie go – mówi z nutą zaskoczenia.

– Podziwiam jego polityczny kunszt, a nie jego samego. To zupełnie co innego. – Crispi patrzy w stronę okna osłoniętego firanką. – Nadał legitymację praktyce, która funkcjonowała od lat, usunął z niej piętno zdrady. W pewnym sensie położył kres hipokryzji panującej w tym budynku. Nie ma już prawicy ani lewicy, są układy i gry o władzę. – Gdy Crispi to mówi, ma stalowe spojrzenie. – A wy, don Ignazio, będziecie musieli być bardzo sprytni i dobrze się namyślić, z kim się zwiążecie.

Ignazio rzuca okiem na papiery zaścielające biurko gospodarza.

– Zwiążę się tylko z jedną partią. Moją własną. – Kiedy podnosi twarz, jego oczy są jak ciemne lustra. – Poza tym, mecenasie, Sycylia to odrębny świat. Tu, w Rzymie, politycy mogą robić, co chcą, ale Sycylijczycy będą sami o sobie decydować i często przy tym robić głupstwa, bo wygląda na to, że nie są w stanie zrozumieć, kto może sprzyjać ich interesom. I nic ani nikt nie zmusi ich do przyjęcia określonych postaw, dopóki sami się na to nie zdecydują.

– A wy stoicie pomiędzy Sycylią a światem.

– Tak – odpowiada Ignazio z dziwnym uśmiechem, w którym kryje się coś z rezygnacji i coś z rozbawienia. – Moi ludzie w odlewni Oretea nie wiedzą nic o Ameryce, a jednak naprawiają kotły dla parowców, które zabiorą tam ich krewnych, może nawet rodzeństwo. Odlewnia nie ma wyspecjalizowanej produkcji jak fabryki na Północy, robi wszystko i jeszcze więcej. Wysyłam towary i ludzi z Dżakarty do Nowego Jorku, moje statki cumują w co najmniej siedemdziesięciu różnych portach, sprzedaję siarkę Francuzom, prezentuję moją marsalę na międzynarodowych wystawach, ale moim domem jest Palermo.

– I w Palermo zostaniecie. – Crispi wraca do biurka i zamyka kilka fascykułów z dokumentami, na które Ignazio zwrócił uwagę. – Dowiedziałem się o zaręczynach waszej córki z księciem Pietrem Laną di Trabia. Gratuluję. Lanza di Trabia to jedna z najbardziej znamienitych i starożytnych rodzin w całych Włoszech.

Zmarszczka na czole bardziej niż milczenie zdradza niepokój Ignazia. Crispi ją zauważa, ale nic nie mówi. Czeka.

– To również powód, dla którego tu jestem. – Ignazio wraca na swoje miejsce, zakłada nogę na nogę. – Chciałbym, abyście zajęli się ustaleniami dotyczącymi małżeństwa mojej córki. Oczywiście w sposób całkowicie poufny i nieformalny.

Tym razem to Crispi okazuje zdziwienie.

– Co macie na myśli?

– Mam na myśli to, że Giulia dostanie odpowiedni posag, ale małżeństwo zostanie zawarte dopiero za kilka lat, ponieważ ona ma lat zaledwie trzynaście, a moja żona przygotowuje ją do tego, co znaczy być żoną księcia Trabii. Ja chcę wykorzystać ten czas na zapewnienie jej bezpieczeństwa finansowego, mam zamiar dać jej coś, co będzie należało tylko do niej. Chcę, żeby umiała zarządzać pieniędzmi i majątkiem. – Szuka odpowiednich słów. – Nie ma nic smutniejszego niż być więźniem nieszczęśliwego małżeństwa.

W tym momencie Ignazio urywa. Dotknięcie akurat tej struny w obecności Crispiego jest nieeleganckie, mimo że od skandalu, który go dotyczył, minęło kilka lat. Tak, nawet groźny Francesco Crispi był bohaterem skandalu, zenującego romansu, który zmusił go do obrony w sądzie, przysparzając niemało upokorzeń. Faktem jest, że proces w sprawie o bigamię zakończył się jego uniewinnieniem: pierwsze małżeństwo z Różą Montmasson zostało uznane za nieważne, ponieważ udzielający go ksiądz był suspendowany, dlatego kolejne małżeństwo, z Liną Barbagallo z Lecce – z którą Crispi miał już córkę – uznano za całkowicie legalne. Ale wymuszona rezygnacja ze stanowiska, okrzyki w parlamencie, plotki, nagłówki gazet, królowa Małgorzata odmawiająca uściśnięcia mu ręki – tego wszystkiego nie da się zapomnieć i Ignazio o tym wie. Również dlatego, że ku zadowoleniu licznych przeciwników Crispiego ta groteskowa sprawa wydobyła na

jaw pewną prawdę, tę mianowicie, że jest on człowiekiem pozbawionym skrupułów. Zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym.

Prawnik przygryza dolną wargę, klnie pod nosem.

– Ze wszystkich pułapek, w jakie może wpaść człowiek, najgorsze jest małżeństwo.

Odpowiedzią Ignazia jest enigmatyczne spojrzenie. Chciałby odpowiedzieć: „Ja też to wiem”, ale się powstrzymuje. W oczach świata jest wzorowym ojcem i mężem i takim musi pozostać. Więcej: jest dumnym i szczęśliwym ojcem i mężem. Maską, którą założył wiele lat temu, stopiła się z jego tożsamością, stała się czymś, czego Ignazio nie potrafi i nie może się wyrzec.

Od dwóch lat nie ma żadnych wieści o Camille. Pamięć o niej zapadła w nim jeszcze głębiej i boleśniej pulsuje. Żal zatopiony w jeziorze goryczy. Istnieje wiele sposobów na przetrwanie żałoby i on w poszukiwaniu spokoju wypróbował je wszystkie. W końcu odkrył, że najtrudniejszą, ale najskuteczniejszą metodą jest zapomnieć o tym, że się kochało.

Oczyszcza gardło chrząknięciem i wraca do tematu:

– Wiecie, nie chcę, żeby moja córka znalazła się w kłopotach, jeśli zdecyduje się żyć z dala od męża, jak to się przydarza wielu parom. Prestiż jej małżeństwa nie wystarczy, by uchronić ją przed ewentualnymi... nieprzyjemnościami, które mogą się pojawić z biegiem lat, a ja nie chcę, by musiała o cokolwiek prosić. Poza tym dobrze wiecie, jaką sławą cieszy się matriarcha rodu Lanza di Trabia.

Crispi znacząco kiwa głową. Nie jest tajemnicą, że Sofia Galeotti, księżna Trabii, to jadowna żmija, która nie zawaha się zwrócić syna przeciwko jego żonie, jeśli ta nie będzie ostrożna.

– Czy na pewno chcecie, żeby Giulia wyszła za Pietra? Ona będzie miała tylko piętnaście lat, a on dwadzieścia trzy...

Odpowiedzi towarzyszy wzruszenie ramion.

– Lanza di Trabia potrzebują Floriów, by uregulować rodzinne rachunki, a dla Giulii to najlepsze możliwe małżeństwo. Jest młoda, ale wie, jakie są jej obowiązki. – Ignazio unosi brwi. – A zatem? Zajmiecie się tym?

– Sporządzę projekt umowy małżeńskiej i przedstawię go wam. Mała Giulia będzie miała wszelką ochronę, jaką może jej zapewnić prawo. – Crispi wstaje i rusza do drzwi.

Ignazio robi to samo i w progu podaje mu rękę.

– A więc wkrótce wracacie do Palermo? – pyta Crispi.

– Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu. Z Rzymu mogę nadzorować kompanię żeglugową, ale winiarnia i tonnara wymagają mojej obecności... to obiektywnie trudne. Owszem, mam świetnych współpracowników, ale nie chcę się oddalać od swoich interesów.

– I od rodziny. – Usta Crispiego wyginają się w uśmiech ledwo widoczny pod wąsami. – Co mówi donna Giovanna? Czy doszła do siebie po rozwiązaniu? To musiało być wyczerpujące...

– Wciąż jest silną kobietą. – Ignazio łagodnie, lekko się uśmiecha. – Malec dobrze rośnie. Będzie to dla mnie zaszczyt przedstawić go wam, gdy przyjedziecie do Palermo.

– Dla mnie również. – Crispi robi pauzę. – A zatem Dom Florio ma znowu Ignazia i Vincenza.

– Tak. Jak było od początku i jak musi pozostać.

\*\*\*

Ignazio i Vincenzo...

Giovanna pociera twarz o szyję dziecka. Malec pachnie mlekiem, wodą kolońską, dobrem. Vincenzo uśmiecha się, gaworzy. Wyciąga do niej ręce, a ona go podnosi, tuli do piersi i całuje. W pokoju są sami: tym synem Giovanna chce się zająć osobiście. To jej ostatnia szansa, by być matką, i nie chce jej zmarnować.

*Figghi nichì, guai nichì; figghi ranni, guai ranni.* Małe dzieci, małe zmartwienia; duże dzieci... Wzdycha. Ignazziddu skończył piętnaście lat, bałamuci starsze od siebie dziewczęta i ma zbyt gorący temperament. Trzynastoletnia Giulia została obiecana potomkowi rodu Lanza di Trabia i przygotowuje się do roli księżnej. Pojawienie się małego Vincenza zaskoczyło oboje rodzeństwa: w zależności od nastroju widzą w młodszym bracie lalkę do zabawy lub irytującego gościa.

„W gruncie rzeczy tak jest dobrze – myśli Giovanna. – Oboje patrzą w przyszłość, nie garną się już tak do matki, być może już jej nie potrzebują, taki jest naturalny porządek rzeczy”. Widziała, jak rosną i się zmieniają, ale niemal desperacki wysiłek, by w oczach Ignazia być idealną żoną i zdobyć jego miłość, pochłaniał większość jej energii. Dzieci były jeszcze jednym dowodem na to, że potrafi sprostać oczekiwaniom męża. Teraz jednak nie ma zamiaru popełnić tego samego błędu. Teraz chce, aby ten syn był przede wszystkim jej synem.

Dużo się modliła. Kiedy jej oczy ciemniały w odpowiedzi na cichą obojętność męża, kiedy jej twarz się zmieniała, a ciało więdło, błagała Boga, aby dał jej coś na dalsze lata życia, które wydawały się tak puste. Gdy pojawił się Vincenzo, przelała na niego całą czułość, do jakiej była zdolna.

Początkowo myślała, że brak menstruacji to pierwsza oznaka przekwitania. Potem przyszła dziwna bolesność w piersiach i niezwykła twardość brzucha. Po kilku tygodniach dezorientacja zmieniła się w oszołomienie. Wezwała położną, a kiedy ta potwierdziła: „Tak, donna Giovanna, jesteście najpewniej w drugim miesiącu”, zamarła ze spódnicą podciągniętą do bioder i tylko zakryła dłonią usta.

W ciąży. Ona. Jej zaskoczenie było naprawdę ogromne. A Ignazia jeszcze większe.

„Mój cud”, tak Giovanna nazywa Vincenza.

Cud, bo poczęła go, mając prawie czterdzieści lat, w wieku, w którym kobiety nie rodzą już dzieci, tylko zajmują się wnukami.

Cud, bo jest chłopcem i choć wyszedł z jej łona przed czasem, zrobił to z krzykiem. Jest silny, zdrowy. I zawsze się śmieje.

Cud, bo Ignazio się do niej zbliżył.

I może właśnie ta ostatnia rzecz napełnia ją największą radością.

Z małym na rękach Giovanna wychodzi z pokoju. Za drzwiami czeka na nią opiekunka.

– Może ja go wezmę, donna Giovanna?

– Nie, dziękuję.

Vincenzo gaworzy, wyciąga ręce w kierunku koralowych kolczyków matki. Śmieje się. Ma już prawie dziewięć miesięcy:

urodził się 18 marca 1883 roku, i wkrótce zacznie chodzić: już widać, jak wierzga nogami, gdy jest w jej ramionach, i jak próbuje samodzielnie wstać.

– A Giulia i Ignazziddu gdzie są? – pyta Giovanna z odrobiną poczucia winy.

– Panicz ćwiczy z nauczycielem francuskiego, a panienska skończyła już konwersację po niemiecku i czeka teraz na was z donną Cicią.

– Czy przyniosła robótkę, nad którą pracujemy? – pyta Giovanna już na schodach, jedną rękę opierając na poręczy, a drugą podtrzymując syna.

– Tak, signora.

U stóp schodów Giovanna surowo bada pracę pokojówek, które polerują meble pszczelim woskiem. Potem przenosi uwagę na świąteczne dekoracje w holu. Przygląda się świecom, kompozycjom kwiatowym z czerwonymi i białymi wstążkami, girlandom z jedliny z pobliskich gór Madonii przyozdobionym na angielską modłę. W srebrnych wazonach na stołach i kredensach gałązki ostrokrzewu i lauru przewiązane aksamitnymi kokardami przeplatają się z ozdobami ze złotego papieru.

Pośrodku sali balowej, na dywanie z Aubusson w wielobarwny kwiatowy wzór, kupionym w Paryżu kilka lat wcześniej, wznosi się gigantyczna jodła ozdobiona kryształowymi kulami i festonami z atłasu i tafty. Tę modę sprowadziły tu bogate rodziny anglosaskie od dawna mieszkające w Palermo i zwyczaj przyjął się wśród miejscowej arystokracji. Ciemna zieleń gałęzi odbija się w lustrach i zwielokrotnia. Salę przepęlnia zapach żywicy i karmi wyobraźnię widokami lasu, polany, ośnieżonych gór.

Ignazio nic o tym nie wie. To niespodzianka na jego powrót z Rzymu.

Decyzja, by zgotować mu takie powitanie, najlepiej obrazuje stan ducha Giovanny, jej radość i świadomość, że po tak wielu mrokach życie powróciło, by rozświetlić ten dom. Teraz naprawdę czuje, że jest Florio, i to nie tylko dlatego, że dała rodzinie kolejnego dziedzica. Czuje to, bo Ignazio poświęca jej więcej uwagi niż

kiedykolwiek. Zdarzają mu się nawet czułe gesty – nigdy nie omieszka przywieźć jej prezentu z licznych podróży na kontynent.

Vincenzo wyciąga ręce w stronę choinki i się śmieje.

A Giovanna wspomina.

Wszystko się zmieniło od czasu jego powrotu z Marsylii dwa lata wcześniej. Przywitała go w progu, z rękami zaciśniętymi na brzuchu i zakłopotanym uśmiechem. Giulia rzuciła się ojcu w objęcia, a Ignazziddu podał mu rękę. Potem Ignazio spojrział wreszcie na nią, przysunął się nieco bliżej i ujął jej dłoń, by ją pocałować. W jego spokojnych oczach pojawiło się niezwykle światło zabarwione żalem, samotnością, a może i bólem. Do dziś Giovanna nie potrafi sobie wyjaśnić, co skrywało to spojrzenie męża.

Potem, w nocy, przyszedł do jej pokoju i kochał się z nią z takim samym zapałem jak w pierwszych miesiącach małżeństwa. To była namiętna noc zduszonych westchnień i rąk odkrywających ciała bez wstydu.

Giovanna kładzie Vincenza na podłodze, pozwala mu raczkować po dywanie.

Coś musiało się stać w Marsylii, tam gdzie była *ona*. Co – tego nigdy się nie dowiedziała. Ale nie mogła inaczej wytłumaczyć zmiany, która zaszła w Ignaziu – czulszym, delikatniejszym, jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe, okazującym szacunek. Jednego tylko była pewna: podczas tej podróży, a może w samej Marsylii, coś go głęboko zraniło. Czytała w nim z całą przenikliwością zakochanej kobiety, była to intuicja zrodzona z uczucia pielęgnowanego w samotności przez wiele lat. I potwierdzona tym, co teraz dzień w dzień widziała w jego oczach, w gestach, a nawet w odkrytej na nowo namiętności. Jakby ta część siebie, którą Ignazio zawsze chował przed oczami świata, stała się definitywnie niedostępna. Jakby w jego duszy nastąpiło trzęsienie ziemi, a gruz na zawsze zablokował wszystkie wejścia. Był to ból, o którym Giovanna nic nie wiedziała – i nie chciała wiedzieć. Zaskoczyła ją nawet myśl, że przez tyle lat sprawiał jej cierpienie i teraz słusznie powinien za to zapłacić w tej samej walucie.

Tak, coś w duszy Ignazia się rozpadło. Ale na tym rumowisku ona mogła zbudować coś innego. Coś nowego, co byłoby jej i tylko jej.



A że już dawno nauczyła się zadowalać każdym okruczem, jaki jej dawał, nie sprawiło jej to kłopotu. Dla niej ważne było tylko to, żeby go odzyskać.

I przyjęła go, nie pytając o nic.

Wtedy to, zupełnie niespodziewanie, pojawił się Vincenzino. Kiedy Giovanna powiedziała Ignaziowi, że jest w ciąży, zobaczyła, jak jej mąż jaśniej, jak odnawia się jego zainteresowanie rodziną. Potem urodził się chłopiec, a on był bezbrzeżnie szczęśliwy i nie ukrywał tego. Nadał mu imię po swoim ojcu, który nauczył go odpowiedzialności i honoru, a jednocześnie na pamiątkę pierworodnego syna. Vincenzino nie żył od czterech lat; nadszedł czas, by w Olivuzzy znów pojawił się Vincenzo. I to właśnie powiedział robotnikom w Oretei, gdy przybył do odlewni, by osobiście przekazać dobrą nowinę.

Na swój sposób Ignazio znów był pogodny. Czasami jednak, gdy Giovanna przyglądała się, jak rozmawia z dziećmi lub z jakimś gościem, widziała pojawiające się na jego twarzy uczucie żałoby, straty. Jakby padł na niego gęsty cień, którego nie było w stanie rozproszyć żadne słońce.

Nie mogła wiedzieć, że tam, w Marsylii, umarła część Ignazia. I że piętno tej żałoby, pozbawionej ciała i grobu, będzie nosił w sobie do końca życia.

\*\*\*

Giulia szuka w koszyku nitki w kolorze kości słoniowej. Znajduje, odcina kawałek, zwilża koniec śliną, po czym mruży oczy, by przewlec go przez ucho igły.

Między nią a donną Ciccą lniana tkanina przybiera z wolna kształt obrusu do herbaty.

Giulia kilka razy się myli. Potrząsa głową, prychnie.

– Dlaczego matka musi mi zadawać te tortury?

Donna Ciccia podnosi rękę, by poprawić włosy poprzetykane już licznymi białymi nitkami, po czym opuszcza ją na ramię Giulii.

– Bo to musi umieć zameżna kobieta.

I jednym szybkim ruchem nawleka nitkę.

Na delikatnej twarzyczce Giulii maluje się wyniosłe niezadowolenie, które wywołuje uśmiech na twarzy kobiety. Giulia niekiedy jest tak podobna do swojej matki...

– Będę miała mnóstwo służących – nie ustępuje dziewczynka. – Ojciec mi obiecał, więc nie muszę się uczyć haftu. Chciałabym za to rysować.

– Haft też jest piękny.

Giulia przewraca oczami.

– Mój przyszły mąż jest księciem. Ja będę księżną.

W tym momencie wchodzi jej matka, a za nią niania z małym. Giovanna siada naprzeciwko córki i donny Ciccii, przyglądając się bacznie im obu.

Giulia ledwo podnosi wzrok. Przez chwilę zastanawia się, czy matka słyszała jej ostatnie zdanie, ale potem wzrusza ramionami. „Może sobie myśleć, co chce, ja nie zamierzam siedzieć w domu jak ona”.

– W którym miejscu jesteś z obszyciem obrusu? – pyta Giovanna, sięgając po robótkę.

Córka rozkłada tkaninę, pokazuje. Matka odwraca płótno, patrzy na nie krytycznym okiem.

– Ścieg nie jest wystarczająco równy – mówi, wskazując na miejsca, gdzie nici nałożyły się na siebie. – W tej pracy potrzebna jest precyzja. W naszej szkole są dziewczęta, które potrafią wykonać rzeczy piękne jak złoto.

Giulia chciałaby odpowiedzieć, że może je sobie zatrzymać, te dziewczyny ze szkoły haftu, biedne dziewczyny, dla których haftowanie to jedyne źródło zarobku. Nie robi tego tylko dlatego, że matka by ją zbeształa, a ona nie chce się wdawać w bezsensowną dyskusję. Matce, nie wiedzieć czemu, bardzo zależy na tej szkole, którą założyła.

Donna Ciccia patrzy na obie i wzdycha.

– Bo robią to z miłości i dla przyjemności. Giulia nie.

– Nie wszystko robi się dla przyjemności, donna Ciccia – odpowiada Giovanna. – Wiecie to lepiej ode mnie. A ta tutaj osoba, która już jest niemal panną na wydaniu, musi to szybko zrozumieć.

– Następnie zwraca się do córki. Tłumaczy, że Giulia nie może zawsze robić wyłącznie tego, co sprawia jej przyjemność, bo będzie miała obowiązki, a przede wszystkim społeczną rolę do odegrania. W jej głosie mieszają się troska i ostrzeżenie. – Ciebie, gdy przyjmujesz gości, powinno się zastać z robótką w ręku. To jest obyczaj dobrej gospodyni. Jeśli chcesz czytać, czytaj, gdy jesteś sama. Pamiętaj, że mężczyźni boją się kobiet zbyt inteligentnych, a ty nie masz straszyć swego męża.

– Kiedyś tak było, matko. Teraz już tak nie jest. – Wargi Giulii drżą, palce zaciskają się na płótnie. – Poza tym jestem sobą. Lubię czytać, rysować, podróżować. Nie jestem taka jak wy, co wolicie zostać w domu.

Giovanna lekko przymyka powieki.

– Co masz na myśli?

Giulia płonie pragnieniem, by ją zranić. Chciałaby powiedzieć jej wszystko, co zrozumiała przez te lata, w których widziała, jak ona i jej ojciec chodzą różnymi ścieżkami. Z jednej strony jej miłość, dusząca, natrętna, pełna błagalnych, niemal żalonych spojrzeń. Z drugiej strony dystans ojca, ten jego chłód, który w ciągu kilku sekund potrafił zamienić się w gniew. Ona – spokojna, uparta, tak cierpliwa, że zdaje się wręcz tępa. On – zimny, niezadowolony, zirytowany.

Giulii bardzo żal było ojca. Stanowił jej punkt odniesienia, jej pewność. Do matki zaś czuła wielką pogardę. Matka powinna przecież być dla niej wzorem do naśladowania, a tymczasem nie potrafiła zrobić nic innego, jak tylko unicestwić samą siebie, błagając o czułość i uwagę. Nigdy nie miała za grosz dumy. Nigdy tak naprawdę nie potrafiła wziąć tego, co się jej należało. Poświęciła się na ołtarzu rodziny, poniżając się i pozwalając się poniżać.

Sąd Giulii jest okrutny, przecina ciało i krew. To sąd córki, która nie wie, co przeżyli jej rodzice, i skupia się na jednej aroganckiej myśli: „Nie skończę tak jak ona”.

– Chodzi mi o to, że rzeczy się zmieniają – mędrkuje. – To dobrze, że wy i *mon père* znaleźliście mi męża, ale nie jestem szmacianą lalką.

– Wielkie nieba! Cóż to za jakieś nowoczesne pomysły! Może chcesz studiować, zostać adwokatem, jak ta kobieta z północy, ta cała Lidia Poët? Widziałaś, co się z nią stało, prawda? Odesłali ją w końcu do domu i na tym się skończyło<sup>35</sup>.

Giulia nadyma policzki, odrzuca obrus na bok.

Donna Ciccia interweniuje, by uspokoić sytuację.

– Nie mówcie tak, donna Giovanna. – Kładzie jej rękę na ramieniu. – Kiedy tak robicie, przypominacie mi waszą matkę, która zawsze krzyczała, gdy chciała, by ją usłyszano.

Giovanna blednie. Jej usta drżą, wygląda, jakby naprawdę miała zaraz krzyknąć. Ale nie robi tego; powstrzymuje gniew i energicznie kręci głową. Patrzy na donnę Ciccję, potem wskazuje na Giulję.

– Nie urodziła się, by być zwykłą kobietą. Musi pamiętać, jakie nazwisko nosi i jaka krew płynie w jej w żyłach.

Giulia patrzy na matkę, ale nic nie mówi. W spojrzeniu córki Giovanna widzi swoje własne pragnienie, by znów znaleźć miejsce w świecie, świadomość, że zaprzedałaby ciało i duszę, by zyskać choć nieco miłości i podziwu ze strony Ignazia. Giulia jednak nie ma ani pokory, ani cierpliwości swojej matki.

Jest tak inna... Kolejna zagadka, której Giovanna nie potrafi rozwiązać. Do swojej córki, równie pięknej, co zdecydowanej, czuje zarówno czułość, jak i gniew. Przez ostatnie miesiące przygotowywała ją do roli doskonałej gospodyni, księżny godnej tego tytułu, ale Giulia zdaje się tego nie rozumieć. Wręcz przeciwnie – niemalże wyśmiewa jej troskę.

Jednak Giovanna też córce współczuje, bo Giulia jest młoda. Nie wie, że będzie musiała bronić się przed wszystkim i wszystkimi, nie myśli o wyrzeczeniach, które będzie musiała ponieść tylko dlatego, że inni tego oczekują. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, ile będzie ją kosztować ochrona duszy w świecie, w którym pieniądze, tytuły i pozory to jedyna rzeczywistość. Te rzeczy każda kobieta musi odkryć sama.

Giovanna wzdycha i wstaje.

– Idę do Ignazziddu – mówi, nie patrząc na córkę. I wychodzi, a za nią idzie niania.

Przez kilka chwil w pokoju panuje absolutna cisza. Potem donna Ciccina zbliża twarz do twarzy Giulii i szeptem:

– Twoja teściowa będzie cię pilnować na każdym kroku, żeby zobaczyć, jak się zachowujesz, i wszystko potem opowiedzieć twojemu mężowi Pietrowi. Tak będzie. – Patrzy na nią i poważnieje. – Tę matkę ci jeszcze nie powiedziała, więc ja ci mówię. Uważaj. Księżę jest z matką bardzo związany, a ona jest przerażającą kobietą... – Mówi to miękko, z niepokojem, bo wie, czuje, że Giulii będzie w tamtym domu bardzo trudno.

To coś więcej niż przecucie: to świadomość, która chwyta ją za gardło i uzmysławia, że jej *picciridda*, jej dziewczynka, jej maleńka będzie cierpieć, i to bardzo.

– Jeśli ona jest straszną kobietą, to ja będę nie mniej straszna. – Giulia unosi podbródek. – Znam swoją wartość.

Donna Ciccina potrząsa głową i wraca do pracy nad mereżką. Widziała, jak ta dziewczynka się rodzi, troszczyła się o nią przez całe jej dzieciństwo, a teraz Giulia jest już prawie kobietą, nadmiernie pewną siebie, jak wszystkie dziewczęta w tym wieku. I jak wszyscy, którzy noszą nazwisko Florio. Kobieta nie ma wątpliwości: Giulia na własnej skórze pozna, co to znaczy wejść jako panna młoda – jako obca – do jednej z najważniejszych rodzin we Włoszech. Przy jej charakterze każda przykrość będzie powodem do konfliktu. Ale wie też, że nikt w rodzinie nie dorównuje tej dziewczynie, jeśli chodzi o determinację i dumę, a to ją uspokaja. Giulia nie da się zepchnąć na margines niczemu i nikomu, tak jak babka, której imię nosi. Po babce przejęła odwagę i umiejętność znoszenia bólu, po dziadku Vincenzu odziedziczyła niecierpliwość, wyniosłość i niezgodę na jakąkolwiek próbę umniejszenia jej wartości.

Jednak nawet donna Ciccina nie może sobie wyobrazić, jakie doświadczenia los zgotował dla jej *picciridda*.

\*\*\*

Lato 1884 roku jest niezwykle parne. Sirocco zagania do biur Navigazione Generale Italiana ciężki zapach gnijących wodorostów i węglowego dymu z parowców; obsypuje meble piaskiem, zmiękcza kontury budynków i odległych gór.

Ignazio zamyka leżący przed nim segregator, na którym dużymi literami napisane są słowa SOCIETÀ CERAMICA. Towarzystwo Ceramiczne. Myślał o tym od jakiegoś czasu i w końcu udało mu się otworzyć w Palermo fabrykę ceramiki, aby produkować między innymi naczynia, które będą używane na statkach NGI. Koniec z kupowaniem talerzy, kubków i waz z Anglii lub florenckiej fabryki Ginori; teraz sam każe je wykonywać i będą nosiły znak marki Florio. „Może nawet zlecę im wykonanie serwisów dla Favignany... Tak, poproszę Ernesta Basilego, żeby mi je zaprojektował”, myśli.

Podchodzi do drzwi, poleca wezwać powóz, którym wróci do Olivuzzy, potem znów siada za biurkiem i pozwala sobie na rozluźnienie plastronu. Przeciera oczy. Od jakiegoś czasu zawsze są podrażnione, a codzienne okłady z oczaru i rumianku łagodzą pieczenie tylko na chwilę. „Jeszcze raptem kilka dni”, myśli z ulgą. Na jego ustach pojawia się uśmiech: w tym roku postanowił uciec od zaduchu, wybrać się najpierw do Neapolu, a potem do Toskanii. Ale rozwesela go nie tylko perspektywa wakacji. Jakiś czas wcześniej kupił wagon kolejowy i kazał go wyposażyć jak prawdziwy „ruchomy dom”, zgodnie z najnowszą modą w światku europejskiej arystokracji: on i jego rodzina będą podróżować salonką w otoczeniu swoich mebli, w asyście własnej służby, będą mieli nawet całe pomieszczenie przeznaczone na bagaż. Luksus, komfort, prywatność. Kolejny sposób na odegnanie zmartwień i pokazanie prestiżu Floriów.

Unosi powieki, zdecydowany zamknąć już ten wyczerpujący dzień. Musi zrobić jeszcze tylko jedno: zająć się osobistą korespondencją przywiezioną przez parowce, które przybyły do Palermo po południu.

Chwyta nóż do listów. Otwiera koperty. Pierwszy list pochodzi od przedstawicieli neapolitańskich robotników, którzy proszą go o sprawiedliwsze płace. „Jesteś jak ojciec dla swoich pracowników”, piszą. Odpowie jutro.

Potem relacja od Damianiego z bieżącymi informacjami o ostatnich sesjach senatu, a także z plotkami i anegdotami. Te też są ważne i obaj o tym wiedzą. Ignazio przegląda je tylko i odkłada na bok.

Na koniec koperta z żałobnymi znakami. Obraca ją w dłoniach, patrzy jak na niebezpieczny przedmiot. Serce czasem widzi złe wiadomości, nim dostrzegą je oczy.

Marsylia, mówi stempel pocztowy.

Ignazio nie rozpoznaje pisma. Dobrze pamięta adres nadawcy. Nie, listu nie wysłali siostra ani Merle.

Wysycha mu w ustach. Oddech nie chce opuścić krtani. To nie jego ręce otwierają kopertę, te drżące palce nie należą do niego, ani te oczy, które szklą się łzami, gdy czytają słowa.

*Czerwiec... Choroba... Cholera. Nic się nie dało zrobić...*

Dłoń gniecie papier, zamyka się w pięść. Uderza w biurko, raz, drugi, trzeci. Szloch wymyka się z ust, kolejny czai się pod mostkiem, ale zostaje odpędzony.

Nie wolno mu płakać.

Ignazio podnosi kartkę, rozprostowuje, czyta ponownie.

Powściągliwe słowa wdowca, frazy, które pod zasłoną formalności ujawniają rozdzierający ból. Ignazio wie już teraz, że ten mężczyzna ją kochał.

Jego żona, pisze Clermont, zażądała od niego jasno i wyraźnie na kilka godzin przed śmiercią, by przekazał wiadomość jej „dawnemu drogiemu przyjacielowi”, a on czyni to, posłuszny jej życzeniu.

Przez chwilę Ignazio zastanawia się, co czuł admirał Clermont, pisząc tę notatkę. Czy Camille – „Boże, jak boli samo wspomnienie jej imienia!” – czy ona kiedykolwiek powiedziała mu, co się między nimi wydarzyło? A może milczała, pozostawiając jedynie podejrzenia? A może mówiła mu o tym jako o czymś nieważnym, należącym do przeszłości?

Miałyby pełne prawo ujawnić mu ich związek, tak jak ten człowiek ma teraz *prawo* do przeżywania swojego bólu.

Bo on, Ignazio, nie ma prawa do niczego.

Opiera czoło o blat biurka. Jedyne, o czym może myśleć, to jej zapach, ten świeży, witalny, wiosenny aromat goździków.

Oto co mu zostało. Jej zapach, choć nie na ciele, tylko w jego duszy. Jej uśmiech. Jego cierpienie z powodu jej wyrzutów, które wciąż palą i nie przestają boleć.

Za oknem Palermo przygotowuje się do wieczora. W oddali słychać odgłosy z placu: łoskot wozów i powozów zmierzających w stronę nadmorskiej promenady, ciężki oddech parowców, okrzyki gazeciarzy sprzedających popołudniowe wydania, gniewne głosy matek wzywających dzieci do domu. Latarnie toczą swoją walkę z cieniami, które zapadają nad Cassaro, a w oknach pojawiają się pierwsze światła. Podmuchy wiatru przynoszą raz po raz zapach morza, potraw, żarzących się głowni.

Wokół niego wszystko tętni życiem.

W jego wnętrzu panuje martwa cisza.

\*\*\*

Jest 3 października 1885 roku i Giulia, podtrzymywana pod ramię przez ojca, wchodzi po szerokich marmurowych schodach ratusza w Palermo. Ich podobieństwo jest wręcz niewiarygodne: te same spokojne, uważne oczy, ten sam wydatny nos, te same pełne usta. Ten sam dystans.

Ich bliskość dodatkowo podkreślona jest przez kontrast między czarnym *morning coat* Ignazia a elegancką kremową *toilette* Giulii z rękawami trzy czwarte obszytymi koronką. Ozdobna, ciężka spódnica wykonana jest z ośmiu warstw tkaniny i kończy się trenem. Ciemne włosy ułożone są w fale podtrzymywane diamentowymi spinkami.

Donna Sofia Galeotti, księżna Trabii i dama dworu królowej Małgorzaty, patrzy na pannę młodą i gwałtownie odwraca spojrzenie, jednak natychmiast się opanowuje, pokrywając fałszywym uśmiechem zranioną tym pokazem bogactwa dumę. Dla niej to małżeństwo jest nie tyle związkiem dwóch rodzin, ile ostatnią deską ratunku: majątek książąt Trabii doznał licznych dziedzicznych podziałów, które poważnie go naruszyły, i nawet rodzinne rezydencje – w tym ich główna siedziba, palazzo Butera –



wymagają pilnej renowacji. Która w końcu nastąpi, zdaje się myśleć donna Sofia, zaciskając wargi i kiwając głową.

Kilka kroków za Ignaziem i Julią idzie donna Ciccia. Jest wyraźnie wzruszona, ale i zaniepokojona, czy suknia się nie pogniecie. „A przecież to tylko ceremonia cywilna – myśli. – Muszę jeszcze przed ślubem kościelnym poprawić te dwie perły, które poluzowały się na kołnierzu, sprawdzić obszycie halki, zaszyć to małe rozdarcie w koronce welonu...”. Czuje ucisk niepokoju; boi się, że brak jej czasu. Niczym rozdzierający dreszcz przebiega przez nią jakieś niedobre przeczucie.

Giovanna podąża za nimi trojgiem ze spuszczonej oczami, podtrzymywana pod ramię przez Ignazziddu, który rozgląda się dookoła z wysoko uniesioną głową i buńczucznym wyrazem twarzy. Zapukał już wąsy i kręconą bródkę w próbie pozbycia się chłopięcego wyglądu, który zaczyna go uwierać. Ma przecież skończone siedemnaście lat!

Nagle Giulia traci równowagę. Może podeszwa atlasowego trzewika pośliznęła się na marmurze, może stopa trafiła na nierówność, nie wiadomo. Giovanna się wzdryga, donna Ciccia biegnie, by podtrzymać pannę młodą, przywołując w myślach Matkę Boską. Ale Giovanna przytrzymuje się ramienia ojca z rozbawionym uśmiechem.

– Tylko tego nam brakowało – szepce do niego, a on odpowiada na jej spojrzenie uściskiem dłoni.

Dziewczyna prostuje plecy, unosi brodę i rusza dalej w górę schodów.

Pod zwykłą maską opanowania Ignazio czuje dumę i ulgę: reakcja Giulii na ten drobny incydent to znak, że jego *stidduzza* potrafi o siebie zadbać i że nie traci ducha. Choć minęło zaledwie kilka lat, czasy, gdy witała go, wracającego do domu, pod drzewem oliwnym przy drzwiach powozu, są już odległe. Nie będzie już pogawędek przy śniadaniu ani pociechy, którą ojciec czerpał z bezsłownego porozumienia z córką, złożonego jedynie ze spojrzeń. Będzie mu jej bardzo brakowało.

Negocjacje z księżną Trabii prowadziła Giovanna: dwie arystokratki mówiły tym samym językiem i z równą wprawą

ćwiczyły subtelną sztukę drobnych ukłuc bez robienia sobie krzywdy. Giovanna wyszła z tych negocjacji zwycięsko, wykazawszy się niezwykłym opanowaniem i olimpijską obojętnością na wyniosłe, chwilami wręcz przykre zachowanie przyszłej teściowej córki. Ale to Ignazio ustalił warunki patrymonialne – sporządzone przez mecenasa Crispiego – które miały chronić Giulię, to on zlecił wykonanie cennych mebli do pałacu i zakupił przedmioty dodające blasku rodzinnej kolekcji sztuki, takie jak amorki Giacomina Serpotty pochodzące z kościoła San Francesco delle Stimmate. Rodzina Lanza di Trabia musiała się z tym pogodzić i milczeć.

Mądra inwestycja, zważywszy na to, że dzięki temu małżeństwu Giulia ma zająć czołowe miejsce we włoskich wyższych sferach. Ale też dobry sposób na uleczenie starej rany. Ignazio poślubił Giovannę, córkę hrabiów d'Ondes Trigona, członków mniej istotnej arystokracji. Natomiast Lanza di Trabia byli książętami o starożytnym rodowodzie, prawdziwymi bohaterami sycylijskiej historii. Teraz wiązali się z Floriami, arystokratami z pieniędzy i pracy.

Przez chwilę Ignazio myśli o ojcu. Dotyka obrączki, która do niego należała, jakby dzięki niej mógł go wezwać. Wyobraża go sobie, stojącego przed nim, szorstkiego, ze zmarszczonym czołem. „Widziałeś, tato? Nareszcie przestaną na nas patrzeć jak na tragarzy. Giulia zostanie księżną Trabii”.

A jednak.

Odwraca się, żeby poszukać żony, bo zaraz wejdą do budynku, i wtedy napotyka spojrzenie donny Sofii. Księżna się uśmiecha, ale w jej oczach jest twardość, która nie uchodzi uwagi Ignazia i wywołuje w nim przypływ irytacji. „Dobrze zrobiłem”, mówi do siebie Florio, odpowiadając arystokratce uśmiechem równie uprzejmym, co lodowatym. „Czy ci się to podoba czy nie, obdarzysz moją córkę szacunkiem, na który zasługuje”.

Właśnie tego ranka, jadąc do ratusza, wyjaśnił Giulii wszystko, a ona, jego *stidduzza*, zrozumiała doskonale. Nie mógł dać jej pogody ducha, ale pomógł jej się bronić, aby jej rola została uznana, publicznie i prywatnie. Dał jej odpowiednią broń.

\*\*\*

Szpaler służby w liberiach zegnał pannę młodą za progiem Olivuzzy. Do czekającego przed schodami powozu Giulia wsiadła wraz z ojcem. Z napięciem usztywniającym rysy, niewidzącym wzrokiem patrzyła na miasto, ignorując nowe budynki, które wyrosły wzdłuż drogi prowadzącej z willi do centrum Palermo; skupiała się jedynie na zapachu ślubnego bukietu.

Gdy jednak minęli plac budowy Teatro Massimo i powóz skręcił w via Maqueda, Giulia zaczęła widzieć. Pod barokowymi balkonami, na brukowanych chodnikach i przed bramami arystokratycznych rezydencji tłoczył się tłum pospólstwa i drobnych mieszczan. Wszyscy wyciągali szyje, by zajrzeć do wnętrza powozu i choćby przelotnie spojrzeć na pannę młodą, córkę prawdziwego pana Palermo i przyszłą księżną Lanza di Trabia. Zirytowany Ignazio zaciągnął zasłonę w okienku. Giulia odwróciła się, by popatrzeć na niewyraźne postacie, które wiwatowały, gdy przejeżdżali.

– Są tu, żeby zobaczyć... mnie? – zapytała ledwie słyszalnym głosem, z palcami zaciśniętymi na bukiecie.

Nagle ukazało jej się to, czym była: piętnastoletnią dziewczyną, która ma podjąć krok zmieniający jej życie.

– Są tu ze względu na to, co reprezentujemy. – Ignazio nachylił się do przodu. – Floriowie to Palermo. Pietro, twój przyszły mąż, ma rangę wicekróla, jednak zawsze pamiętaj, że najpierw mój ojciec, a potem ja kupiliśmy ziemię, fabryki i ludzi, którzy w nich pracują, a ty jesteś moją córką, a więc córką pana. Jesteśmy bogaci, bo budowaliśmy to miasto kawałek po kawałku.

Giulia słuchała go z szeroko otwartymi oczami. To nie był pierwszy raz, kiedy ojciec mówił do niej w ten sposób, jak do dorosłej, ale nigdy nie mówił tak otwarcie.

On nie zwrócił uwagi na jej zdumienie.

– Posłuchaj mnie. Masz prawnie zabezpieczony posag. Wiesz dlaczego? Czy matka coś ci wyjaśniała?

– Matka mówiła mi o... o czym innym – szepnęła Giulia, rumieniąc się z zażenowania.

Zmarszczka na czole Ignazia pogłębiła się, potem nagle wygładziła.

– Ach. Rozumiem – odparł z uśmiechem.

Chwycił dłoń córki – lodowatą i napiętą – i zatrzymał w swojej. – Zapomnij o *tych sprawach* i posłuchaj mnie. Oznacza to, że masz posag wysokości czterech milionów lirów, co jest ogromną sumą<sup>36</sup>, ale ponieważ rodzina twojego męża nie posiada przedsiębiorstw, a ja nie mam zamiaru utrzymywać kapryśnej arystokracji, postawiłem warunek, że będziesz mogła w porozumieniu z mężem wybrać, w jakie przedsiębiorstwa go zainwestować. Mecenas Crispi zajął się tym i umieścił odpowiednie punkty w umowie małżeńskiej.

Wpatrywała się w niego bardziej zdziwiona niż zaskoczona.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie chcę, aby rodzina Lanza di Trabia pozbawiła cię tego, co jest twoje, bo nigdy nie wiadomo, co się może w życiu zdarzyć. Pietro pokaże mi domy i ziemię, a ja kupię je w twoim imieniu, czerpiąc z funduszu posagowego. – Przysunął się bliżej i pogładził palcami jej twarz. – Będziesz musiała być sprytne, *stidduzza mia*. Dopóki ja tu jestem, nie masz się czego obawiać. Ale w nowym domu będziesz musiała nauczyć się chronić siebie i nie pozwolić nikomu się wykorzystywać, nawet jeśli jest to twój mąż lub, co gorsza, twoja teściowa, która, powiedzmy sobie szczerze, jest jadowitą żmiją. Pietro ma dwadzieścia trzy lata, ale jest od niej zależny pod każdym względem. Ty za to jesteś inteligentna i będziesz wiedziała, jak się ochronić, podobnie jak babka, której imię nosisz, zdecydowana i mądra kobieta. Pamiętaj, że tylko pieniądze dadzą ci niezależność i możliwość decydowania, a z tego nigdy nie wolno ci zrezygnować. Rozumiesz?

Giulia przytaknęła, jej oczy błyszczały. Potem, po kilku chwilach, jeszcze raz kiwnęła głową, szepcząc:

– Nie chcę cię zawieść...

Uściskał ją, jego broda łaskotała jej szyję i drapała skórę twarzy.

– Nasza rodzina nigdy nie bała się niczego ani nikogo. Przetrwaliśmy nawet rewolucję i wojnę domową. Nie mamy tak długiej historii jak ród Lanza di Trabia, to prawda, ale jesteś Florio,

a jeśli chodzi o inteligencję i odwagę, nie masz sobie równych, a już na pewno nie w środowisku tej przemądrzałej szlachty. Zawsze pamiętaj: kto ma pieniądze, ten ma władzę.

Właśnie z tą myślą Giulia wspina się teraz na ostatnie stopnie prowadzące ją przed oblicze księcia Giulia Bensa della Verdura, którego poproszono o udzielenie ślubu w zastępstwie burmistrza Palermo.

Chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach czeka na nią po drugiej stronie stołu z życzliwym uśmiechem. W niewielkiej odległości stoi Pietro Lanza di Trabia: krępy młody mężczyzna o czole już powiększonym cofającą się linią włosów i z grubym ciemnym wąsem. Zalecał się do niej z elegancją, jak przystało na arystokratę. Podarował jej cenny pierścień i towarzyszył w przyjęciach szlachty z Palermo. Traktował ją jak księżniczkę. Czy sprawia, że jej serce przyspiesza? Nie. Jest miłym towarzyszem, ale na pewno nie jest człowiekiem, dla którego można stracić głowę. Giulia nie wie, czy będzie dobrym mężem. Wie jednak, jakie jest jej zadanie: urodzić zdrowe, silne dzieci i być księżną godną tytułu, który nosi.

„Małżeństwo to umowa”, myśli Giulia, gdy odrywa swą dłoń od ciepłej dłoni ojca i kładzie ją na lodowatej, lekko drżącej dłoni Pietra. Umowa między rodzinami, dotycząca jej samej i posagu.

A jeśli chodzi o interesy, to nikt nie ma większych umiejętności niż Florio.

\*\*\*

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jak wyglądał jubileusz królowej Wiktorii! – Ignazziddu wyciąga przed siebie nogi, w jednej ręce trzyma kieliszek szampana, w drugiej cygaretkę i spogląda na przyjaciół: swojego kuzyna Francesca d’Ondes, zwanego Ciccio, dalszego kuzyna Romualda Trigone i Giuseppego Monroya. Cała trójka chętnie przyjęła zaproszenie Ignazziddu, by spędzić z nim kilka dni w Villa ai Colli pod Palermo. Jest tam zresztą cała rodzina, która wkrótce wybiera się na Favignanę.

Młodzieńcy siedzą na tarasie z widokiem na gaj cytrusowy, rozparci w wiklinowych fotelach. Jest późny wieczór, a chłód nocy ostatecznie rozprasza upał letniego dnia. Zapach kwitnących pomarańczy miesza się z ostrą wonią mięty rosnącej w doniczkach ustawionych na kamiennej balustradzie.

– Gdy przybyliśmy do Londynu, lał deszcz: pominę szczegóły tego piekła, jakim było wyciągnięcie walizek i kufrów z pociągu. Moja mama i brat przechorowali całą podróż morską z Calais do Dover i poszli prosto do swojego pokoju, aby odpocząć. Za to mój ojciec chciał się przejść po mieście i wybrałem się razem z nim. Na szczęście przestało padać. Co za widok! Kwiaty, flagi, festony, wszędzie portrety królowej, nawet w najbardziej ukrytych zaułkach. Widziałem na przykład dom, przed którym zbudowano dużą platformę, pełną palm i japońskich parasolek, a pośrodku ogromne marmurowe popiersie królowej otoczone girlandami kwiatów. Inny miał fasadę w całości pokrytą flagami, a na jeszcze innym utworzono kaskadę kwiatów zwisających z balkonów w taki sposób, by tworzyła liczbę pięćdziesiąt. Wyszło słońce, miecze i hełmy lśniły tak jasno, że wyglądały jak rzeka płynącego srebra. Ale największe wrażenie zrobiło na mnie to, co wydarzyło się przed pałacem Buckingham, zanim rozpoczęła się parada. Jak można sobie wyobrazić, był tam ogromny tłum. Ale panowała wielka cisza.

– Cisza? – zdumiewa się Giuseppe.

– Niewiarygodne, prawda? U nas byłyby krzyki, harmider, a tam nic! Dopiero gdy pojawiły się konie królewskiego powozu, a wszystkie były kremowej maści, tłum eksplodował. Zaczęli krzyczeć, zagłuszając nawet fanfary obwieszczające przybycie królowej. Potem machano chusteczkami, rzucano kapelusze w powietrze. Opowiadali mi, że gdy królowa przejeżdżała obok, jakiś gość krzyknął: „Jest! Widziałem ją! Ona naprawdę żyje!”, wywołując u wszystkich śmiech. Krótko mówiąc, poddani królowej Wiktorii naprawdę ją czczą, nie tak jak my naszych Sabaudów!

Przyjaciele śmieją się i patrzą na Ignazziddu z mieszaniną fascynacji i zazdrości, a ten opowiada dalej.

– Tylko rodziny Florio, Trabia i kilku innych Włochów zostało zaproszonych – mówi. Podkreślał to kilka razy. – Były tam wszystkie

rodziny królewskie Europy, nie mówiąc o arystokracji i bankierach oraz politykach. Ojciec witał się z każdym, przechodząc od jednego do drugiego, a matka zawsze krok z tyłu. Gdybyście widzieli, jak na nas patrzyli... Nie było nikogo, kto by nas nie znał lub nie prosił o przedstawienie go mojemu ojcu, właścicielowi Navigazione Generale Italiana...

– Ale potem pojechałeś do Paryża, prawda? – wchodzi mu w słowo Romualdo.

– Tak, byliśmy gośćmi Rothschildów. – Ignazziddu uśmiecha się i pochyła znacząco do przodu. – Ale przede wszystkim spędziłem niezapomniane popołudnie w Chabanais...

– Twoja matka wie, że bywasz w domach publicznych? – Ciccio nalewa sobie wina i mruga znacząco.

– Moja matka kazała przynieść do pokoju hotelowego krucyfiks i klęcznik – prycha Ignazziddu. – Zresztą ona mnie uwielbia; nawet jeśli mnie zbeszta, zawsze kończy się wybaczeniem. – Opróżnia swój kieliszek, po czym podnosi się w fotelu. – Poza tym była bardzo zajęta. Musiała wybrać meble do Olivuzzy, dywany do salonów... Nie mówiąc już o tym, że razem z moją siostrą pojechały do Wortha i zmarnowały tam cały dzień na przymierzaniu sukni. Tymczasem ojciec odbywał spotkania w interesach i zmuszał mnie, bym w nich uczestniczył. Udało mi się wykręcić dopiero pod pretekstem, że idę odwiedzić muzeum.

– Ech, mój drogi... Twój ojciec już dawno się zorientował, że jesteś wielkim kobieciarzem! – Romualdo wstaje, klepie go po barku.

Są dobrymi przyjaciółmi i dzielą tę samą pasję do kobiet i drogich rozrywek.

– Jeśli kobieta jest piękna i chce mnie, a ja chcę jej, to co w tym złego? – mówi spokojnie Ignazziddu i podnosi oczy. – W hotelu była rosyjska hrabina z mężem. Wierzcie mi, oszałamiająca! Prawdziwa bogini: blondynka, zielone oczy... Spojrzałem na nią, ona na mnie i... – Śmieje się na to wspomnienie, a potem zatrzymuje wzrok na swoim kuzynie. – Och, czy ty mnie słuchasz?

Ciccio i Giuseppe nagle przestali się uśmiechać, a Romualdo, również poważny, wskazał głową na coś za plecami Ignazziddu.

W drzwiach tarasu pojawił się Ignazio. Na jego twarzy widać zmęczenie; z wyrzutem przygląda się czterem młodzieńcom.

– Panowie – zwraca się do nich cichym głosem, z rękami założonymi na piersi. – Jest już bardzo późno. Czy mogę zasugerować, abyście poszli już do swoich pokoi?

Romualdo opuszcza głowę.

– Oczywiście, don Ignazio... rzeczywiście, przepraszam, jeśli przeszkadzaliśmy.

Wstaje, bierze Ciccia za rękaw i wślizgują się do willi, a za nimi Giuseppe, który rzuca Ignazziddu zaniepokojone spojrzenie. Ten ostatni już zamierza zrobić to samo, bo dobrze zna wyraz twarzy ojca i wie, że szykuje się burza. Ale Ignazio zatrzymuje go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Ze wszystkich sposobów, w jaki mogłeś mówić o mnie i swojej matce, wybrałeś najgorszy. Zwłaszcza o twojej matce, która chce ci nieba przychylić i wszystko ci wybacza.

Te słowa są jak policzek. Chłopak wzdryga się, próbuje się oddalić.

– Ale co ja takiego powiedziałem?

– Masz tak nie mówić i basta. Nie musimy niczego udowadniać i nigdy nie wolno chwalić się tym, co się ma lub kim się jest. Zostaw te rzeczy nuworyszom. – Chwyta go, przyciąga do siebie. – I jeszcze jedno. Następnym razem, gdy będziesz się chciał zabawić, powiedz mi o tym. Na pewno nie będę cię powstrzymywał, ale musisz zrozumieć, że są obowiązki i że one stoją zawsze przed przyjemnościami. A tobie tylko *fimmine* w głowie. Jesteś *masculu*, jesteś młody i ja to rozumiem, jednak chwalenie się pewnymi rzeczami jest nikczemne. Konieczny jest szacunek, i to nie tylko dla kobiet, z którymi się umawiasz, ale też dla siebie samego.

– Ależ *papà!* To był dom publiczny i to były...

Ignazio zamyka oczy, starając się trzymać nerwy na wodzy.

– Nie obchodzi mnie, czym lub kim były.

– Gdyby to od ciebie zależało, żyłbym jak mnich: tylko dom i praca – mamroce syn.

– Do licha! Nazywasz się Florio i musisz przede wszystkim okazać szacunek swojej rodzinie. – Unosi dłoń. – Pewnego dnia będziesz



musiał być godny tego pierścienia, który należał do twojego stryja Ignazia, człowieka uczciwego i odważnego, do twojego dziadka Vincenza, któremu zawdzięczamy wszystko, a teraz do mnie. W swoim życiu musisz zachowywać umiar i *decorum*. W przeciwnym razie nie zajdziesz daleko.

Udaje, że nie zauważa grymasu, z jakim chłopak odwraca się i wchodzi do domu. Pozostawia mu złudzenie, że jest bardziej przebiegły i wie o życiu więcej niż ojciec. Ignazio rozumie, że musi trzymać syna blisko i nauczyć go zachowywać się odpowiednio do zajmowanej pozycji. Bo nie stanie się dorosły, jeśli nie będzie wiedział, jak się zachowywać i kiedy mówić. A przede wszystkim – kiedy milczeć.

\*\*\*

Woda portu na Favignanie jest tak przejrzysta, że można zobaczyć dno i ryby pływające wśród kęp wodorostów. Przybój ma łagodny dźwięk: to szmer wiatru i wody, która pieści kadłuby łodzi i ciągnie się aż do piaszczystego brzegu przed tonnara.

Ignazio oddycha głęboko. W powietrzu czuć zapach suchej posydonii, słony i lekko mdlący; po niebie szybują unoszone prądami mewy, czekające, aż rybacy wrzucą do morza resztki ryb z naprawianych przez nich sieci.

Tak jest zawsze na wiosnę i ten maj 1889 roku nie był wyjątkiem.

Od jego przybycia na mattanze były tylko jasne dni; słońce wzięło wyspę w posiadanie, zalewając ją łagodnym światłem, które on tak kocha.

Ignazio nie kryje uśmiechu. Osłania ręką oczy, po czym przenosi wzrok na pałac zbudowany dla niego przez Damianiego Almeydę. Widzi sylwetkę Giovanny w ogrodzie z donną Ciccją oraz Vincenza grającego w piłkę. Chłopiec ma sześć lat i wykazuje oznaki błyskotliwej inteligencji. Żywe srebro.

Giovanna woli zostawać na wyspie z Vincenzem także dlatego, że musi zająć się domem i służbą, którą teraz zabiera z Palermo. Poddała się i zrezygnowała z prób wykorzystania wyspiarzy jako

personelu – są zbyt szorstcy i spaleni słońcem – przeznaczyła dla nich proste prace fizyczne. Kiedy jednak przybywa na Favignanę, służba zabrana z Olivuzzy nieco się rozluźnia, co ją irytuje, więc czuje się zmuszona osobiście sprawdzić każdy pokój i każde danie, które zostanie podane na stół, zwłaszcza jeśli są goście. Do tej pory wszystkie swoje siły skupiła na byciu panią domu.

Ignazio natomiast został na „Queen Mary”, jachcie, który niedawno kupił od Louisa Pratta z Marsylii. Francuz nazwał go „Reine Marie”, ale Ignazio chciał przywrócić jachtowi imię, którym został ochrzczony po opuszczeniu stoczni w Aberdeen. Trzydzieści sześć metrów długości, żelazny kadłub i ożaglowanie typowe dla kutra oraz napęd parowy przenoszony na śrubę. Jest to największy parowiec rekreacyjny zarejestrowany we Włoszech i prawdopodobnie najszybszy: dziesięć węzłów. Prawdziwa perła. Z jego „Queen Mary” może konkurować tylko „Louise” jego przyjaciela Giuseppego Lanzy di Mazzarino.

To właśnie Lanza di Mazzarino zachęcił go do zakupu. Myśl o posiadaniu jachtu od dawna Ignazia korciła, ale na pierwszym miejscu musiał postawić interesy, posag dla córki i zakup nowych parowców. Oczywiście wstąpił do Królewskiego Yacht Clubu w Genui, ale był to krok, który podjęli prawie wszyscy armatorzy – i Raffaele Rubattino, i Giuseppe Orlando, i Erasmo Piaggio, który został dyrektorem genueńskiego oddziału Navigazione Generale Italiana.

Pewnego dnia Lanza di Mazzarino, jeden z członków promotorów klubu, powiedział mu ze śmiechem:

– Nie możesz nie mieć własnej łodzi, Ignazio. To nie jest godne ciebie! Jak to możliwe, że właściciel najważniejszej floty we Włoszech nie ma nawet starej krypy tylko dla siebie?

Ignaziowi nie spodobał się ten sarkazm.

– Myślałem o tym, ale nie czas na to – odparł, nieco dotknięty. – Nie mógłbym się tym jeszcze cieszyć: mam zbyt wiele na głowie, jest Navigazione, są tonnary. Nie mogę szastać pieniędzmi, gdy inni prowadzą moje interesy.

– To kwestia perspektywy. Zarabiasz miliony na swoich firmach, a wstydzisz się posiadać własną łódź? Możesz jej poświęcić tylko

jeden dzień w roku, ale ją masz, jest twoja.

Ignazio zrozumiał, że Lanza di Mazzarino miał rację: jacht będzie symbolem – kolejnym – potęgi Domu Florio. Jak Olivuzza, jak prywatna salonka. Jak małżeństwo Giulii z księciem Trabii.

Ale teraz, na jachcie, Ignazio uświadamia sobie, że dokonał wyboru, który porusza go głęboko i jest ważniejszy od prestiżu. Pod jego stopami, pod skórzanymi podeszwami butów morze pulsuje, oddycha. On czuje jego wibrację, która wznosi się od kostek, sięga ramion i ogarnia głowę i oczy.

Kiedyś, właśnie na Favignanie, ojciec powiedział: „My, Floriowie, mamy morze w żyłach”. Pochodzenie jego rodziny odżywa, krew śpiewa pod skórą.

No i Favignana. Jedyne miejsce, w którym może czuć się spełniony. Jedyne miejsce, gdzie wspomnienia nie boją, gdzie może bez cierpienia obserwować swoje demony, wyobrażając sobie, że są tuż obok niego, choć ukryte w cieniach, które wymykają się przenikliwemu światłu wyspy.

Jego rodzice. Jego syn. Camille.

– Don Ignazio.

Odwraca się i widzi marynarza w niebieskim mundurze i jasnej czapce.

– Co tam, Saverio?

– Jest pan Caruso, który chce z wami porozmawiać. Czeka w salonie.

Salon „Queen Mary” to funkcjonalne pomieszczenie, doskonały kompromis między wymaganiami żeglugi a luksusem wyposażenia. Na wyłożonych drewnem ścianach wiszą olejne obrazy o tematyce marynistycznej, sofa jest obita pluszem, a perski dywan z Senneh w odcieniach burgundu został przymocowany do podłogi, aby się nie ślizgał przy kołysaniu.

– Don Ignazio, co za przyjemność was widzieć. – Gaetano Caruso zdejmuje słomkowy kapelusz i wstaje. Jego twarz o ostrych rysach jest poprzecinana głębokimi zmarszczkami, a kozia bródka zrobiła się biała.

„Najpierw jego ojciec z moim ojcem, a teraz ja z nim... kolejna rodzinna historia”, myśli Ignazio, podając mu rękę i patrząc w oczy.

Niewielu ludziom na świecie może ufać tak jak temu człowiekowi.

Caruso podaje mu teczkę pełną listów.

– Przywiozłem wam pocztę. Statek przybył z Trapani właśnie wtedy, gdy miałem do was płynąć.

Ignazio dziękuje mu skinieniem głowy, zaprasza, by ponownie usiadł, i szybko przegląda korespondencję. Niektóre listy noszą pieczęć senatu królestwa, inne mają charakter handlowy. Nic, co nie może poczekać.

– Mówcie – mruczy, siadając na sofie.

Caruso opiera ręce na kolanach. Oczy – ciemne, czujne – są ostrożne. Ale słowa są szybkie.

– Znów pojawiają się plotki, że chcą zmienić naczelnika więzienia. Nie wiemy, kto nim zostanie i czy nadal będzie pozwalał osadzonym pracować w zakładzie. Wieści krążą od jakiegoś czasu, wiadomo. Ale wydaje się, że tym razem to już kwestia dni.

– Co? Czy oni nie mają co robić? – Ignazio świszcze przez zęby z irytacją. – I czy nie można choć na chwilę przestać myśleć o tym, co znowu wymyślą te gryzpiórki z ministerstwa? I to tuż przed mattanza? – Złość wymazuje dotychczasowe dobre samopoczucie. Zmarszczka między brwiami staje się głębsza. – Napiszę natychmiast do Rzymu; Abele Damiani się tym zajmie. Już raz musiałem go niepokoić w podobnej sprawie. – Robi pauzę, kręci głową. – Gdyby nie to, że zatrudnianie skazanych pozwala nam zaoszczędzić sporo pieniędzy, chętnie bym się obył bez nich. Bo tu, jeśli nie liczyć mattanzy, mamy tylko straty.

Niepocieszony Caruso szeroko rozkłada ręce.

– Don Ignazio, mnie tego nie trzeba mówić. Pensje dla rybaków i pracowników przetwórci, koszty naprawy kotłów w zakładzie i w winnicy, do tego mamy w Favignanie zobowiązania, które... – Robi niewyraźny gest w stronę osady. – I to nie licząc grosza dla księdza i zakrystianów.

Ponure spojrzenie Carusa rozśmiesza Ignazia.

– Wiem, że dwóch zakrystianów to z pozoru za dużo jak na taką małą wyspę, ale oni dbają o kościół, a ta troska jest jednym z ciężarów spoczywających na właścicielu wysp, ponieważ tutaj morze zjada wszystko, a zaczyna od budynków... Poza tym

obiecałem to żonie. Wiecie, że to pobożna kobieta. Co do winnicy...  
– Opiera łokieć na podłokietniku sofy, a brodę na zaciśniętej pięści.  
– Aromat tutejszego wina to jedna z niewielu przyjemności, jakie mi pozostały. Czuję w nim zapach morza.

Caruso nie potrafi ukryć zdumienia pod maską szacunku. Czasem w zachowaniu *u' principale* – tak go nazywa, podobnie jak robotnicy – otwierają się szczeliny, które nadają mu bardziej ludzki charakter. Szybko jednak się zamykają.

– Don Gaetano, kiedy ktoś jest bogaty, ma dwa wyjścia. Albo cieszyć się życiem i nie martwić o nic, albo sprawić, by wszystko szło ku lepszemu dla niego i tych, którzy z nim pracują. Nie muszę wam tłumaczyć, jaki był mój wybór.

– Wiem, don Ignazio. Nawet gdy jesteście na tym statku, wiem, że pracujecie. Pracujecie tu, w środku. – Caruso dotyka skroni. – Nigdy nie przestajecie myśleć o Navigazione, odlewni, winiarni...

– Bo to moja praca – odpowiada Ignazio z prostotą. – Dom Florio to moja rodzina, a rodziny nie można zaniedbać. – Wstaje, zaprasza go skinieniem głowy do wyjścia. – Ale to nie znaczy, że nie mogę cieszyć się dobrymi rzeczami, które posiadam.

Na pokładzie Ignazio kieruje wzrok w stronę przetwórni.

– Wkrótce będzie się mówić o tonnarze jeszcze więcej niż dotychczas.

Caruso mruży oczy przed słońcem.

– To znaczy?

– Omawiamy z Crispim pewien projekt. Duży. – Florio ścisza głos, lekko się uśmiecha. – Wystawa krajowa.

– Naprawdę? Coś takiego!

– Nadszedł czas na wystawę na Południu. A gdzie, jak nie w Palermo? Mamy niezbędne przestrzenie między obrzeżami miasta a Favoritą, a poza tym... – Wskazuje na siebie, unosi brwi. – Poza tym mamy pieniądze i odpowiednich ludzi, którzy mogą zaplanować takie wydarzenie.

– To byłoby wspaniałe! – Caruso szeroko otwiera ręce. – Wystawa w Palermo oznaczałaby tysiące zwiedzających i możliwość zaprezentowania naszych produktów. Byłby to sposób na

uświadomienie Rzymowi i Północy, że nie jesteśmy tu tylko hodowcami kóz i rybakami.

– Och, w Rzymie wiedzą o tym bardzo dobrze. I to właśnie dlatego stawiają opór. – Ignazio wskazuje na morze za swoimi plecami. – Jeśli nam się uda, to jak myślicie, kto będzie organizował transport towarów? I do kogo waszym zdaniem będą musiały się zwrócić firmy, które chcą się zaprezentować, jeśli nie do organizatorów imprezy? – Zbliży się do Carusa, bierze go za ramię. – Ale nie tylko ja tego chcę. Chce tego sam Crispi, a że jest teraz premierem, pierwszym człowiekiem z Południa, który dostąpił tego zaszczytu, może przełamać wiele przeszkód. Wie, że zostanie poparcie całego sycylijskiego środowiska politycznego. Ja wyłożę konieczne pieniądze – mówi, pocierając wymownie kciuk i palec wskazujący – żeby dali mi taką przestrzeń, jakiej chcę. – Prostuje się i mruży powieki. Światło słoneczne pogłębia ból oczu, który dręczy go od kilku lat. – Ale to wszystko na razie jest jeszcze w powietrzu. Wy tymczasem nic nie mówcie, bo to wielka sprawa. Gdy wieść się rozniesie, zaprojektujemy pawilon dla naszej działalności, a nasz tuńczyk będzie gwiazdą targów, razem z marsalą.

– Ani słowa, don Ignazio. – Caruso nie dodaje nic więcej. Wie, że gdyby wystawa doszła do skutku, korzyści byłyby niezwykle.

Ignazio odprowadza go do trapu.

– Czekam jeszcze na wiadomości z odlewni o usprawnieniach, które trzeba uzgodnić z personelem nowej linii żeglugowej do Bombaju.

– Osobiście je wam dostarczę, gdy tylko przybędą.

W tym momencie Ignazio dostrzega swojego syna. Ignazziddu trzyma w jednej ręce kapelusz, a w drugiej laskę ze srebrną gałką – jak nakazuje moda – ale biegnie jak szalony, wzbijając tumany kurzu. W końcu dociera do trapu i zatrzymuje się, by złapać oddech.

Ignazio wzdycha. Są dni, kiedy traci nadzieję, że da się uczynić syna jego prawą ręką w Domu Florio. I to nie tylko dlatego, że chłopak nie okazuje cienia zainteresowania negocjacjami, w które próbuje go wciągnąć ojciec. To coś głębszego, jakby Ignazziddu chciał widzieć na świecie jedynie piękne rzeczy. Które jakimś cudem w jego przypadku są również niezwykle kosztowne.

Caruso bawi się rondem swojego słomkowego kapelusza.

– Zatem będę czekał na was później, don Ignazio. Żeby przejść się po zakładzie, rozumiecie.

– Przyjdę. Tymczasem wyślę telegram do Damianiego.

Caruso i Ignazziddu mijają się na trapie. Mężczyzna dotyka runda kapelusza, mruży pozdrowienie; młodzieniec podnosi rękę w obojętnym geście. Następnie podchodzi do ojca, który patrzy na niego ponuro.

– Wygląda na to, że nie nauczyliśmy cię dobrych manier. Czy tak się należy zachować?

Ignazziddu wzrusza ramionami.

– Przecież to Caruso, *papà*. Zna mnie od czasu, gdy byłem *picciriddu*... Czy muszę mu bić salemalejkum?

– Dobre maniere nie mają wieku. Masz prawie dwadzieścia jeden lat i powinieneś o tym wiedzieć. To one czynią mężczyznę dżentelmenem. – Spojrzenie Ignazia pada na skórzane buty toskańskiej produkcji. – Jesteś cały zakurzony. Czemu tak biegleś?

Chłopak macha kartką papieru.

– Chodzi o coś, o czym Giulia i ja rozmawialiśmy, a dziś wysłała mi telegram, dając potwierdzenie.

Ignazio czuje, jak serce rozszerza mu się w piersi. Trzy lata po ślubie Giulia, jego *stidduzza*, ma go wreszcie uczynić dziadkiem. Gdy widział ją po raz ostatni, kilka tygodni wcześniej, zastał ją pogodną, choć bardzo zmęczoną ciążą.

– To znaczy?

Ignazziddu nagle się waha, szuka słów. Idzie z ojcem przez pokład, raz nieco za nim, a raz nieco go wyprzedzając.

– Giulia chciałyby odpocząć po rozwiązaniu, ale oczywiście jej mąż nie zamierza pozwalać jej na spacer, zwłaszcza z noworodkiem. Wiesz, jak to jest... – Ścisza głos, uśmiecha się porozumiewawczo. – Już i tak przez całą ciążę musiała przebywać blisko teściowej. Po tym wszystkim chciałyby mieć trochę spokoju.

Ignazio patrzy na niego z kamienną twarzą.

– Zatem? Do rzeczy, synu. Co chcesz mi powiedzieć?

– Giulia i ja chcielibyśmy wiedzieć, czy pozwoliłbyś nam skorzystać z „Queen Mary”, żebyśmy mogli się wybrać do Neapolu

na kilka dni tego lata. – Mówi to wszystko jednym tchem, wąsy drżą nad wargami wygiętymi w krzywym uśmiechu. A potem jego spojrzenie staje się błagalne.

Ignazio wybucha irytacją. Tylko jedno przekleństwo, przeżute i przełknięte. Znow rusza przed siebie z dłońmi splecionymi za plecami, a klapy jego marynarki trzepocą na wietrze.

– To ty zapytałeś siostrę, czy chce płynąć, a ona, jestem pewien, skorzystała z okazji, aby uciec od teściowej, która nie robi nic innego, jak tylko ją krytykuje i obmawia przed Pietrem. – Przerywa, spogląda na syna. – Tak... Założę się, że rozmawiałeś też ze szwagrem i zasugerowałeś, że to będzie dobry sposób, by Giulia mogła odpocząć. Czy się mylę?

Chłopak przygryza wargę. Sprawia wrażenie, jakby powstrzymywał uśmiech zażenowania, jak dziecko przyłapanie na kradzieży w spiżarni. To zachowanie potrafi pokonać wszelkie opory Giovanny, która zawsze pozwalała synowi na zbyt wiele, jeśli nie na wszystko, ale Ignazio nie jest Giovanną, a Ignazziddu musi nauczyć się prosić o pewne rzeczy i własnym potem płacić za to, co dostaje, a nie tylko żądać.

Ignazio zatrzymuje się, wbija mu palec w pierś.

– Nie możesz myśleć o manipulowaniu ludźmi według swojej woli, a zwłaszcza mną. To jest coś, czego nienawidzę, i wiesz o tym. Działałeś za moimi plecami, żeby postawić mnie przed faktem dokonanym, tak że nie mogę odmówić Pietrowi i Giulii, bo wyszedłbym na despotę.

Chłopak robi minę pełną oburzenia.

– Ciebie o nic nie można poprosić bez określenia dlaczego, jak i kiedy. Co cię to kosztuje, że pozwolisz Giulii i mnie spędzić trochę czasu z naszymi przyjaciółmi? Ty i *maman* i tak nie korzystacie z jachtu, a gdybyście chcieli wyjechać, to macie jeszcze naszą salonkę.

– Z przyjaciółmi? – Ton Ignazia staje się ostrzejszy.

Polerujący poręcz marynarz podnosi głowę, rzuca w ich stronę zaciekawione spojrzenie. Ignazio piorunuje go wzrokiem, więc tamten natychmiast się garbi i wraca do pracy.



– Ile osób zaprosiłeś? Czy zamierzasz powiedzieć mi wszystko od razu, czy też będziesz opowiadać po fragmencie, jakbyśmy byli w jednej z tych powieści, które czytuje donna Ciccia?

Ignazziddu przesuwając dłonią po włosach, mierzwi je. Potem uświadamia sobie, że ten gest zdradza zdenerwowanie, i poprawia fryzurę.

– Ten jacht może pomieścić pół Palermo, *papà*, i dobrze o tym wiesz. – Przewraca oczami. – Poza tym to nie jest kwestia odmawiania czegoś tylko mnie...

„Mały nieszczęśnik – myśli Ignazio. – A właściwie wcale nie mały. Nie, wielki krętacz i drań!”. Dobrze wie, że ojciec darzy Giulie ogromnym uczuciem i nie zrobiłby niczego, co by ją mogło zasmucić. Nieźle manipuluje ludźmi ten Ignazziddu. Ignazio posiadał tę umiejętność i rozwinął ją z czasem, podczas gdy u jego syna jest wrodzona. „Tę umiejętność należy pielęgnować”.

Chłopak podchodzi bliżej, zniża głos.

– Proszę, tato.

Spojrzenie jest błagalne, wręcz uległe. Ignazio uśmiecha się wbrew sobie. Ale jeśli będzie musiał ulec, zrobi to na swoich warunkach.

– Dam ci znać w ciągu najbliższych dni. Ale jedno powiem ci od razu.

Ignazziddu wpatruje się w ojca. W jego oczach nadzieja i jednocześnie niejasny strach.

– Powiedz. Cokolwiek.

– Od jesieni zaczniesz chodzić ze mną do biura.

\*\*\*

Wrześniowe słońce rysuje na monte Bonifato długie cienie podobne do wielkich fal, które schodzą ze szczytu w kierunku doliny, podążając za linią tarasów.

Ignazio wysiada z zakurzonego wagonu, głęboko wdycha słodkawe, pełne wilgotnych zapachów powietrze otulające pola. Zaraz za nim wysiada osowiały Ignazziddu. Krajobraz jest bogaty,

brąz świeżo zaoranych pól przeplata się z szarą zielenią gajów oliwnych i ciemniejszą zielenią winnic. Potem Ignazio przenosi spojrzenie na metalowy peron i rozgałęzienie torów kilka metrów za stacją kolejową. Na zwrotnicy widnieje napis: ODLEWNIA ORETEA – 1889 – PALERMO.

W 1885 roku Ignazio kupił posiadłość znajdującą się tuż za Alcamo, gdzie mieszka wielu dostawców winogron i moszczu do marsali. Przemysłał to dobrze. Kazał zbudować *baglio*<sup>37</sup> z kwadratowym dziedzińcem: zakład produkcji wina z dużymi zbiornikami zewnętrznymi do miażdżenia winogron i piecami do maceracji moszczu. Ten pomysł zrodził się z rozmowy z Abelem Damianim, którego Ignazio poznał w Rzymie podczas sesji parlamentarnej. Jak to często bywało, rozmawiali o tym, co można zrobić, aby wzmocnić sycylijską gospodarke, a Damiani zwrócił uwagę na możliwości płynące z posiadania winiarni w pobliżu Alcamo.

– Moglibyście przetwarzać moszcz tam, a następnie dostarczać go do Marsali – powiedział. – Byłaby to wielka wygoda, don Ignazio.

– Z Alcamo do Marsali, tamtejszymi drogami? I jak? Wózkami? – odparł Ignazio, nieco zirytowany. Ale wtedy, w mgnieniu oka, zobaczył, co może zrobić.

Rewolucję.

„Nie, nie wózkami. Dużo większymi wozami – wagonami”.

Zanim jeszcze go dostrzeże, wyczuwa nadjeżdżający pociąg towarowy z Palermo. Czuje wibrację, która przechodzi z ziemi na jego skórę, a potem słyszy delikatny syk niesiony przez wiatr. Wówczas odwraca się plecami do torów i wraz z synem przechodzi przez monumentalną bramę ozdobioną symbolem rodziny – lwem pijącym pod drzewem chinowym, po czym kieruje się w stronę czekających na niego dyrektora zakładu i Abelego Damianiego. Witają się mocnymi uściskami dłoni. Jeśli Damiani jest zaskoczony obecnością Ignazziddu, nie okazuje tego.

– Tak jak wam mówiłem, dobrze się stało, że zbudowaliście tu *baglio* – woła z szerokim uśmiechem.

Ignazio przytakuje.

– Prawda. A ja chciałem być tu dzisiaj, aby zobaczyć pierwszy ładunek beczek z Palermo, których będziemy używać do rafinacji wina. Dzięki temu, że tor dochodzi aż tutaj, nie będzie już trzeba rozładowywać towaru na zewnątrz.

Tak, ponieważ to jest jego kolejne arcydzieło: uzyskał zgodę, aby linia kolejowa – państwowa! – została poprowadzona w sposób, który umożliwił doprowadzenie bocznicy do samego zakładu. Dla Sycylii było to niezwykle. Dla tego małego rolniczego ośrodka – niewiarygodne.

Ignazio długo omawiał swoje pomysły z Vincenzem Giacherym, czerpiąc z jego wieloletniego doświadczenia administracyjnego. Po jego niedawnej śmierci bardzo mu zabrakło tego tak inteligentnego i wrażliwego człowieka. Nie opuścił jednak rąk i gdy tylko przedstawił swój pomysł Damianemu, ten sprytny polityk poruszył niebo i ziemię, aby projekt się powiódł; dzięki temu mógł się pochwalić, że to on przekonał Floria, aby stworzył nowe miejsca pracy w tej odległej krainie. A tworzenie miejsc pracy oznaczało zwiększanie prestiżu. I zdobywanie głosów.

Ignazio się tym nie przejmuje. Osiągnął swoje cele: usprawnił produkcję marsali i obniżył koszty produkcji. Przynajmniej tak się wydaje. Nadszedł czas, aby to zweryfikować. Zwraca się do dyrektora zakładu.

– A zatem? Wszystkie zamówione owoce dotarły?

– Do ostatniej garstki. To był dobry rok, don Ignazio. Chodźcie, zabiorę was do biura.

W tym momencie na dziedziniec wjeżdża lokomotywa, smugą czarnego dymu brudząc niebo. Pociąg zatrzymuje się z sykiem, ściągając zdumione spojrzenia robotników zebranych na peronie i przy wejściu do magazynów. Wszystko zatrzymuje się na kilka sekund. Potem wybuchają oklaski i okrzyki radości. Ignazio chwytając syna za ramię, patrzy z dumą i mówi:

– Zapamiętaj tę chwilę. To my, rodzina Florio, sprawiliśmy, że stała się możliwa.

Gdy robotnicy rozpoczynają pracę, grupa towarzysząca Ignaziowi wspina się na wyższe piętro *baglio* i staje przed podwójnymi drzwiami, które prowadzą do biur. Na drzwiach widnieją wykonane

z brązu dwie litery wielkości dłoni: I oraz F splecione ze sobą; wokół nich koło zębate, również z brązu, na którym wygrawerowane jest motto: L'INDUSTRIA DOMINA LA FORZA. „Przemysł góruje nad siłą”. To sformułowanie wymyślił sam Ignazio. Pomysłowość, badania, praca pokonają ignorancję, brutalną siłę, zacofanie.

Jego koncepcja wielkiej wystawy w Palermo powoli nabiera kształtów. Rozmawiał z wieloma politykami w Rzymie, a także z największymi przemysłowcami w całych Włoszech. Jako idealną osobę do zaprojektowania pawilonów wskazał architekta Ernesta Basilego. Ernesto ma wizję architektury, która bardzo się Ignaziowi podoba, bardziej wyrafinowaną, ale i bardziej nowoczesną niż wizje jego ojca Giovana Battisty, projektanta Teatro Massimo. Oczywiście będzie to wymagało pieniędzy, czasu, energii...

Ale już w tym motcie tkwi ostateczny sens jego projektu. Co go obchodzi wszystkie przeszkody, z którymi przyjdzie mu się zmierzyć? On je pokona, wszystkie co do jednej.

Postępu nie da się zatrzymać.

\*\*\*

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1890 roku Ignazio zaczyna odczuwać dziwne zmęczenie, które sprawia, że trudno mu rano wstawać, i które zmusza go do popołudniowego odpoczynku. Porzuca swój gabinet przy piazza Marina i rezygnuje z regularnych wizyt w Banco Florio. Giovanna zdaje się nie zauważać złego samopoczucia męża. Prawie codziennie odwiedza jedną ze swoich przyjaciółek, Giovannę Nicolettę Filangeri, księżnę Cutò, która zapadła na zdrowiu. Opiekuje się nią z oddaniem, każdego dnia, widząc, jak ta bliska jej osoba słabnie, jak wyniszcza ją choroba, wobec której lekarze bezsilnie rozkładają ręce.

– To ponoć wynik źle leczonej przepukliny, wiesz? – wyjaśnia Ignaziowi przy kolacji, kilka dni po uroczystości Niepokalanego Poczęcia.

Są sami w dużej jadalni Olivuzzy. Ignazziddu wyszedł z Giuseppem Monroyem i Romualdem Trigoną na przyjęcie.

Vincenzo jest w swoim pokoju, tam zjadł posiłek z nianią.

Ignazio nie odpowiada. Giovanna podnosi wzrok. Wpatruje się w męża, który siedzi nieruchomo, blady, z zamkniętymi oczyma.

– Co ci jest? Źle się czujesz?

Ignazio macha ręką, jakby chciał przegnać tę myśl. Potem otwiera oczy, bierze łyżkę, zanurza ją w zupie rybnej i patrzy na Giovannę z uśmiechem, który bardziej przypomina grymas. Tłumaczy, że od jakiegoś czasu czuje lekkie mdłości, kiedy je. Rzuca jej spojrzenie, które ma być uspokajające, ale ją jeszcze bardziej niepokoi.

Giovanna uświadamia sobie w tej chwili, że Ignazio prawie nic nie zjadł i że to nie pierwszy raz, kiedy tak się dzieje. Złe samopoczucie, które uparcie ignorował, teraz staje się wyraźne, namacalne i niemalże prześlizguje się z niego na nią, wkrada się pod jej skórę i niepokoi.

Giovanna zaczyna czuć strach.

Strach, bo jej mąż nigdy wcześniej nie miał tych ciemnych kręgów pod oczami. Strach, bo jego twarz jest pusta i nawet włosy, zwykle gęste i lśniące, są matowe. Strach, bo wokół niego unosi się dziwny, nieprzyjemny zapach.

– Wychudłeś – szepce.

– Tak, zeszczuplałem trochę, to prawda. To był męczący okres, bardzo mało śpię.

– Tylko tyle zjadłeś? – pyta Giovanna, biorąc go za rękę. Wskazuje talerz ruchem głowy, a on wzrusza ramionami.

– Myślę, że jutro wezwę naszego lekarza – podsumowuje, odsuwając talerz.

Giovannę zaskakuje ta nagła decyzja. Nie jest pewna, jak ją interpretować, ale wie jedno: to ją przeraża.

– Tak, oczywiście. Jutro nie pójde do Giovanny. Zostanę z tobą. Trzeba cię zbadać. Może wystarczy jakaś odżywka lub syrop, który pomoże ci zasnąć.

Ignazio wstaje i całuje ją w czoło.

– Tak. Ale teraz pójde się już położyć.

I odchodzi. Jest bardziej pochylony, a jego ruchy są mniej sprężyste, mniej pewne.

Giovanna nasłuchuje kroków na schodach. A kiedy zapada cisza, składa ręce i zaczyna się modlić.

\*\*\*

Lekarz ma przyjść późniejszym przedpołudniem. Szukając sobie zajęcia, Giovanna wydaje polecenie, by rozpocząć dekorowanie willi świątecznymi ozdobami i przygotować hol na ustawienie wielkiej jodły. Ale udreka ściga ją po wszystkich pomieszczeniach, wspina się po jej spódnicy, zawija się u podstawy gardła jak mały zły wąż, potem zsuwa do żołądka i tam się zagnieżdża. Donna Ciccia widzi ją, jak zbliża ręce do brzucha, jak ściska różaniec ze srebra i koralu, a potem wkłada go do kieszeni. Patrzy na nią i bez słowa kręci głową, bo nie podoba jej się to, co czuje w powietrzu, i zastanawia się, czy tym razem naprawdę nie powinna zwrócić się do *armicedde du purgatorio*, dusz czyścicowych, by zapytać, co się dzieje.

Ignazio jest wyczerpany. Pozostał w łóżku, w półmroku przymkniętych okiennic.

Giovanna wydaje polecenia, przestawia wazy i świece, strofuje pokojówki, zbyt powolne jej zdaniem. W końcu beszta Vincenza, który swoimi żartami drażni służbę zajęta układaniem dekoracji. Wysyła go, by ćwiczył grę na skrzypcach, tylko po to, by za chwilę tego żałować i błagać syna, by przestał zadawać im „te męki”.

Wreszcie pojawia się lekarz. Rozmawia z Ignaziem, bada go z pomocą lokaja. Giovanna szybko się orientuje, że coś jest nie tak. Widzi to na twarzy medyka, gdy Ignazio tłumaczy, jak się czuje, i ma tego potwierdzenie, gdy mąż się rozbiera, odsłaniając niemal przeraźliwą szczupłość.

Wychodzi z pokoju z pochyloną głową. Ma wrażenie, jakby w jej wnętrzu coś zmieniało stan z lotnego w stały. Niepokój przeradza się w grozę.

Czeka na nią donna Ciccia. Wyciąga ręce, obejmuje ją. Jest dla niej jak matka, której Giovanna nigdy nie miała, zawsze przynosi pokrzepienie.

– Nie martwcie się. Doktor nic jeszcze nie powiedział.

– Ale to już nie jest on – odpowiada Giovanna.

Potem zamyka oczy i kładzie dłoń na ustach, jakby chciała postawić przeszkodę na drodze swojej udręki, by cierpienie nie wypłynęło na powierzchnię.

Niedługo potem lekarz prosi ją do siebie. Donna Ciccia prawie wpycha Giovannę do pokoju, po czym zamyka drzwi i składa ręce do modlitwy.

– Wasz mąż, *signora*, jest bardzo osłabiony. Pobiorę próbkę moczu oraz krew do zbadania. Na pewno potrzeba mu lekkiej, ale pożywnej diety, która pomoże odzyskać siły i wrócić do zdrowia. I musi odpoczywać, bardzo dużo odpoczywać.

Lekarz, wysoki mężczyzna o ciemnych włosach przyprószonych na skroniach siwizną i nosie naznaczonym skupiskami fioletowych naczynek, zwraca się do Ignazia i upomina go surowo:

– Żadnego podróżowania i szaleństw, senatorze. To nie czas na to.

Leżący w łóżku Ignazio przytakuje. Nie patrzy na Giovannę; nie chce, by martwiła się bardziej, niż już się martwi. Dlatego milczy o tym, co powiedział mu lekarz: że ostry zapach jego potu, skóra napięta i krucha jak papier, pieczenie oczu, zmęczenie, ciągła utrata wagi i bezsensowność sugerują, że jego nerki są w złej kondycji i mają trudności z oczyszczaniem krwi.

Ignazio pozwala lekarzowi i żonie omówić kwestie terapii. Słyszy o kąpielach parowych, naparstnicy, żelazie na wzmocnienie krwi, mleku... Następnie zwraca się do swego lokaja i każe mu przynieść z gabinetu pióro i papier. Nanà kręci głową z przyganą, ale Ignazio wyjaśnia z niezwykłą jak na niego miękkością:

– Tylko kilka liter. Nie mogę całkowicie porzucić interesów...

Pozostawiony sam sobie, pisze do swojego przyjaciela Abelego Damianiego, radząc mu, aby uważnie przyglądał się sprawie koncesji pocztowych; to prawda, że obecnie zarządza nimi Navigazione Generale Italiana, ale za rok wygasną, a Dom Florio i tak potrzebuje ich odnowienia. Następnie sporządza notatkę dla Carusa, prosząc o wiadomości na temat prac modernizacyjnych w fabryce konserw z tuńczyka na Favignanie.

Nagle za drzwiami rozlega się głos.

– *Papà!*

Ze ściągniętą twarzą, troską w głosie i niedowierzaniem w oczach do pokoju wchodzi Ignazziddu, opiera łaskę o futrynę i rzuca kapelusz na fotel, podczas gdy Nanài łapie jego płaszcz, który już miał spaść na podłogę.

Młody człowiek zatrzymuje się przed Ignaziem, chciałby usiąść na łóżku, ale się waha.

– Mogę?

Ojciec pozwala sobie na uśmiech i klepie dłonią w prześcieradło.

– Oczywiście! Chodź. Jestem tylko trochę zmęczony.

Ignazziddu siada.

– I co? – pyta Ignazio. – Co się dzieje na piazza Marina?

Od poprzedniego roku syn pracuje z ojcem, który udzielił mu nawet ogólnego pełnomocnictwa do spraw Domu Florio. Nigdy też nie szczędził wskazówek – dyskretnych, delikatnych, lecz stanowczych – i to właśnie uspokajało ich obu do tej pory.

– Nic szczególnego. Laganà wciąż powtarza, że aby podpisać nowe umowy na przewozy, musimy poprawić obsługę, zmodernizować kajuty pasażerów i zwiększyć płace pracowników. Ale wie, że pracujemy jak najtaniej, bo dotacje ledwo starczą na najkonieczniejsze rzeczy i nie jesteśmy w stanie pokryć wszystkich wydatków, mimo że parowce naprawiamy w Oretei...

– A co z winnicą? Jakie masz wiadomości?

Syn spuszcza głowę, gładzi prześcieradło.

– Dobrze, *papà*, możesz być spokojny. Dziś napisał do mnie mister Gordon. Dyrektor twierdzi, że odnieśli duży sukces z pieczęcią Antonia Corradiego, tą, którą przyjęliśmy, aby zapobiec kradzieży wina podczas transportu lub w urzędzie celnym. Gdy nałoży się blaszaną pokrywę na korek w beczkach, nie można ich otworzyć bez pozostawienia wyraźnych śladów włamania.

Ignazio siada. Czuje się lepiej. Może lekarz ma rację: musi ograniczyć swoje obowiązki, więcej odpoczywać, a zatem – porozdzielać zadania.

– Doskonale. *P'un cornutu, un cornutu e menzu*<sup>38</sup> – mówi.

Ignazziddu się śmieje.



Ojciec daje mu znak, by wstał, i prosi, żeby podał mu jego kaszmirowy szlafrok.

– Chodźmy na spacer do ogrodu – proponuje.

– Czy na pewno? Robi się ciemno.

– Nie szkodzi. Byle tylko twoja matka nie zobaczyła. Swoją drogą, gdzie ona jest?

Chłopak wzrusza ramionami.

– W zielonym salonie odmawia nowennę do Niepokalanej z donną Ciccją i pokojówkami, jak sędzę. Czy jest coś jeszcze, co by robiła poza modlitwą i haftowaniem?

– Ignazziddu... – upomina go ojciec. – To twoja matka.

– Moja matka powinna była wstąpić do klasztoru.

Ignazio się uśmiecha, po czym spogląda przez okno: zapada wieczór. To był niezwykle ciepły dzień jak na grudzień. Park – nagi, milczący, wypiełgnowany przez ogrodników – skąpany jest w półmroku i tylko szum wiatru tkającego swe nitki w gałęziach daje znać, że jest zima. Ignazio już wyobraża sobie spokój, który poczuje, spacerując ścieżkami do woliery z papugami, kosami i wielkim orłem przednim. Rzuca spojrzenie na łóżko i opiera się o syna.

– *L'amuri pu' letto unn'è cosa bona*<sup>39</sup>. – Gdy wypowiada tę przyganę lenistwa, przypomina sobie wzmiankę ojca o chorobie dziadka Paola. Vincenzo nigdy nie mówił o tym zbyt wiele, a to, co wiedział Ignazio, pochodziło od jego babki Giuseppiny, niech spoczywa w pokoju. Pozostało po nim tylko kilka opowieści i grób w Santa Maria di Gesù. Jedno wspomnienie jest jednak żywe, niezatarte: wiele lat wcześniej ojciec zaprowadził go pod zrujnowany budynek, obok którego rosło dzikie drzewo cytrynowe. W tym domu zmarł na suchoty Paolo Florio. Vincenzo, jego ojciec, miał wówczas osiem lat. Wtedy właśnie zaczął się nim zajmować stryj Ignazio.

Drży.

Jego Vincenzo też ma już prawie osiem lat.

Święta Bożego Narodzenia mijają na pozór spokojnie. Co wieczór Olivuzza – ciepła i gościnna – lśni w sercu parku: światło wylewa się z okien, pieści drzewa, odsłania sylwetki żywopłotów, rzeźbi linię palm wznoszących się ku niebu. Ale światło zdaje się też wdzierać do wszystkich pomieszczeń, nawet tych najbardziej oddalonych, jakby Giovanna nakazała służbie zapalić każdą lampę, każde możliwe do zapalenia światło, by pokonać ciemność. Goście gromadzą się wokół świątecznej jodły udekorowanej czerwonymi świeczkami: są Giulia i Pietro – wraz z małym Giuseppem, który ma półtora roku, i jego młodszym bratem Ignaziem urodzonym 22 sierpnia – jest też siostra Ignazia Angelina i jej mąż Luigi De Pace. Jak to jednak często bywa, rodzina Merle pozostała w Marsylii; od śmierci Auguste’a, teścia Giuseppiny, ani razu nie byli na Sycylii. Giuseppina, François i Louis Auguste, który jest już prawdziwym mężczyzną, przysłali jednak kufer pełen prezentów.

Giovanna robi wszystko, by mieć zajęty umysł i ręce: zapewniła tradycyjną dostawę darów dla ubogich w okolicy oraz wyprawki dla noworodków z najbardziej potrzebujących rodzin, prosząc wszystkich o modlitwę za nią i jej rodzinę. Uważnie nadzorowała dziewczęta ze szkoły haftu, zajęte wykańczaniem wypraw ślubnych, które na wiosnę posłużą ubogim pannom, gdy po zakończeniu wielkiego postu zacznie się sezon ślubów. Zabawiała gości o każdej porze dnia, poza tymi chwilami, gdy kobiety w domu zbierały się na modlitwę.

Wszystko, byle nie pozostawić miejsca na obawy.

Ignazio jednego dnia odpoczywa, a drugiego udaje się do swojego biura przy piazza Marina i tak na zmianę. Stara się nie okazywać, że jest osłabiony: nie wyświadczyłby tym przysługi Domowi Florio. W godzinach popołudniowych nie stroni od pogawędek z gośćmi. Jednak mało się rusza, je niechętnie i często siedzi w fotelu przed kominkiem, czytając lub pisząc listy na przenośnym pulpicie z korzenia orzecha i mosiądzu.

Podczas świąt Giulia zauważyła, że ojciec jest bardziej zmęczony niż zwykle, ale nie miała odwagi zadać żadnego bezpośredniego pytania. Były szepty, spojrzenia, półsłówka. Ignazziddu zdawał się bardzo zdenerwowany, wręcz drażliwy, matka coś wspomniała, po

czym natychmiast zmieniała temat. W wirze zobowiązań, które ją przytłoczyły – dzieci, przyjęcia w palazzo Butera, wizyty charytatywne – nie miała okazji porozmawiać z ojcem w cztery oczy, zrozumieć, czy rzeczywiście coś jest nie tak.

Dlatego z niepokojem podsycanym przez poczucie winy Giulia pojawia się w Olivuzzy w zimne jasne popołudnie skąpane w słońcu, które nie grzeje, krótko po sylwestrze. Giovanni nie ma: czuwa przy łóżku umierającej księżnej Cutò.

Giulia bez zapowiedzi wchodzi do gabinetu. Ale przy biurku nie ma nikogo.

– Gdzie mój ojciec? – pyta szorstko służącego, który odkurza książki na regale.

Ten wpatruje się w nią niepewnie; z senatorem nie jest dobrze i wszyscy w domu o tym wiedzą. Ale tego nie mówi się tu na głos.

– Gdzie on jest? – naciska Giulia.

Lokaj nie umie odpowiedzieć. W progu pojawia się Vincenzino z włosami w nieładzie i szkicownikiem pod pachą. Wchodzi do gabinetu i ciągnie ją za suknię.

– Giulia! Idę do niego. Chodź ze mną.

Dziecko wyciąga rękę, a siostra ją przyjmuje. Nie znają się dobrze, ona i ten ciemnooki mały diabeł, bo przecież dzieli ich trzynaście lat. Gdy ona wyszła za męża, on miał zaledwie dwa lata, wiekiem bliżej mu do jej dzieci niż do niej.

– Co z ojcem? – pyta go szeptem.

Vincenzino chowa głowę w ramionach i ściska jej rękę.

– O tak. – Mówiąc to, rozkłada przed sobą małą dłoń i porusza nią, symulując falę. Wzloty i upadki.

Docierają do pokoju ojca. Giulia puka.

– Proszę – odpowiada głos.

Waha się chwilę, zanim naciśnie kunsztowną mosiężną klamkę. W ustach czuje gorzki smak. Głos jej ojca zawsze był głęboki, stanowczy. To, co słyszy, jest nikłe, niepewne.

Znajduje go w fotelu, w domowym ubraniu.

– Rozumiesz, Nanài? – mówi Ignazio do lokaja. – O dziewiątej ma na mnie czekać powóz. I przypomnij Ignazziddu, że on też ma przyjść. Laganà spotka się z nami na piazza Marina i... – W tym

momencie dostrzega Giulię. Rozpromienia się w uśmiechu, podnosi się, by ją przywitać.

Ona zamyka go w objęciach.

I rozumie.

Chowa twarz w aksamitnym kołnierzu, w pośpiechu stawia emocjom zapory potrzebne, by udręka się nie przelała. Czuje, jak jego solidne i silne ciało stało się słabe i kruche. Czuje coś, czego nie może stłumić znajomy zapach Eau de Cologne des Princes, kupiony w Paryżu u Pivera. Widzi, że jego ramiona uniosły się tylko nieznacznie, jakby ich podnoszenie było zbyt męczące.

Giulia patrzy na ojca oczami pełnymi łez.

– *Papà...*

Vincenzo spogląda na tę scenę z ołówkiem w ustach, jego podłużne oczy wędrują od ojca do siostry i z powrotem.

Ignazio wzrokiem błaga Giulię, żeby nic nie mówiła, po czym przywołuje chłopca. Ten przycupnął na fotelu, w którym chwilę wcześniej siedział jego ojciec.

– Vincenzo, może zejdziesz do kuchni i poprosisz, żeby przynieśli nam coś do jedzenia, co? – mówi.

– Wiem, że upiekli świeże taralli. Jak byłem na dole, to czułem ich zapach! – woła malec i zeskakuje z fotela. – Dla ciebie mleko, tato?

– Tak, poproszę.

– Taralli? – pyta Giulia. – Przecież to słodczyce na święto zmarłych.

Vincenzino wzrusza ramionami.

– Ale i tak je dla mnie robią – odpowiada z błyskiem rozbawienia w oczach. I znika za drzwiami, podskakując na jednej nodze.

– Za bardzo go rozpieszczacie – skomentowała Giulia, siadając blisko ojca na krześle, które podsunął jej Nanài.

– Rozpieszcza. Twoja matka. Ona nie potrafi mu odmówić.

Nanài wymienia szybkie spojrzenie ze swoim panem, po czym wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

– A więc co się dzieje? – pyta Giulia, gdy jej ojciec siada z powrotem. Nie ukrywa już paniki w głosie. Pochyliła się w jego stronę, chwytając go za rękę.

– Nic, nic. Byłem chory, jakiś rodzaj zatrucia nerek. Ale już mi lepiej – odpowiada, przykładając palec do jej ust, by ją uciszyć. – Dawali mi odżywki i kazali pić wodę i jakieś mikstury, których nie potrafię nazwać... a potem kazali pić mleko, jakbym był oseskiem. Wygląda na to, że ta dieta jednak działa. Nie odzyskałem jeszcze pełni sił, ale jestem na dobrej drodze.

Giulia odgarnia mu kosmyk włosów z czoła, ze wstrzymanym oddechem szukając w jego rysach jakiegoś znaku, jakiegoś śladu potwierdzającego to, co mówi. Ale go nie znajduje. Szuka ponownie. Chwyta twarz ojca w dłonie, patrzy mu prosto w oczy i odczytuje w nich to, co kryje się pod kłamstwem, które Ignazio próbuje wmówić innym i sobie.

Strach. Zniechęcenie. Rezygnację.

Czuje, że oblewa ją pot zimny jak źródłana woda. Otrząsa się.

– A co mówi *maman*?

Ojciec wzrusza ramionami.

– Boi się. Ale ja nie jestem typem, który łatwo da się zakopać w ziemi.

Oczami wyobraźni Giulia widzi oliwkę, wysoką i silną. Drzewo, które – jak zawsze powtarzał jej ojciec – nie może umrzeć, nawet jeśli zostanie wycięte u podstawy. A tymczasem to drzewo marnieje na jej oczach, jakby jego soki wysychały, jakby korzenie nie były już w stanie wyssać pożywienia z ziemi.

– A lekarze?

– Mówią, że mi się poprawia. Ale ja chyba wiem najlepiej, jak się czuję. I czuję się lepiej. – Jakby na potwierdzenie stuka dłonią w pierś. Następnie kontynuuje, starając się zachować pogodny ton: – Muszę jak najszybciej stanąć na nogi. Dobrze wiesz, że w listopadzie nasz Dom będzie sponsorował wystawę krajową w Palermo. – I dodaje z uśmiechem: – Palermo jak Mediolan i Paryż, wyobrazasz to sobie? Powinnaś zobaczyć projekty, które robi dla nas Basile. Są wspaniałe. Pawilon wejściowy przypomina architekturę mauretańską, a w jego wnętrzu znajdzie się nawet belweder, z którego będzie można podziwiać miasto.

– Giovan Battista Basile? Ale czy on nie jest za stary na takie zobowiązania? – pyta Giulia. Domyśla się odpowiedzi, ale lubi

patrzeć, jak ojciec się zmienia, gdy może z nią porozmawiać o swoich sprawach. Jego oczy znów błyszczą, plecy wydają się prostsze, a głos odzyskuje dawną głębię.

– Nie Giovan Battista. Ernesto, jego syn. Ojciec, jak się wydaje, jest chory. Ernesto zaprojektował pawilony w stylu arabsko-normańskim, z kopułami i dużym wejściem z widokiem na Teatro Vittorio Emanuele.

Giulia puszcza dłonie ojca, krzyżuje ręce na piersi.

– Słyszałam coś o wystawie krajowej. Parę dni temu przyszedł do nas prefekt i zaczął rozmawiać z Pietrem. Powiedział, że książę Radali jest bardzo zadowolony z umowy. I że już liczy pieniądze, które mu wpadną do kiesy.

Ignazio przygląda się jej z ukosa i lekko się uśmiecha. Giulia, cicha i powściągliwa, zawsze potrafiła wychwycić naprawdę ważne treści w rozmowie. Przez długą, przyprawiającą o zawrót głowy chwilę wyobraża sobie, że to ona prowadzi Dom Florio, że firma prosperuje dzięki intuicji i bystrości, jaką jego córka wykazała się przez lata. Nie tak jak Ignazziddu, który buja w obłokach. Potem jednak Ignazio potrząsa głową, jakby chciał od siebie odpędzić tę absurdalną myśl.

– Radali to szczywany lis, córeczko – odpowiada. – Zaoferował nam bezpłatne użytkowanie swojej posiadłości obsadzonej cytrusami w Villafranca, ponieważ wie, że po zakończeniu wystawy będzie mógł sprzedać tę ziemię za taką cenę, jaką tylko zechce podać. On naprawdę zarobi dużo pieniędzy.

Giulia przytakuje, ciesząc się, że złe samopoczucie ojca nie jest już głównym tematem rozmowy.

– Ma teatr z jednej strony, via della Libertà z drugiej, a potem, na końcu swojej ziemi, hotele, nowe ogrody i drogę, która poprowadzi aż do parco della Favorita. Może tam robić, co chce.

– Właśnie. Po raz kolejny Palermo jest nam winne podziękowanie. To dzięki Floriom i ich znajomościom pewne rzeczy się spełniają. Wiesz, że w Rzymie nikt nie chciał, żeby wystawa odbyła się na Sycylii? To za daleko, mówili, za dużo kosztowałby transport. To znaczy transport naszymi statkami, a to jest coś, czego niektórzy nie potrafią przełknąć. – Robi pauzę, prosi o szklanek wody. Udręka,

która na chwilę zniknęła, wraca. – Cała organizacja będzie po naszej stronie. Nasze będą statki, którymi przybędą wystawcy i ich towary. Nasze będą największe pawilony: tuńczyka, marsali i maszyn Oretei. – Ignazio się uśmiecha i patrzy na dno pustej już szklanki. Jego uśmiech jest odległy, trudny do odczytania. – A my z kolei winniśmy wdzięczność mecenasowi Crispiemu – kończy.

Giulia unosi brwi, po czym przytakuje, powoli. Francesco Crispi jest bóstwem opiekuńczym Domu Florio w ogóle, ale także jej osobistym; zdała sobie z tego sprawę pięć lat wcześniej, w dniu ślubu, kiedy ojciec wyjaśnił jej, że to Crispi sporządził umowę małżeńską wiążącą jej posag.

– Oczywiście. Ale nic by nie zrobił bez ciebie. – Młoda kobieta jest lakoniczna i bezpośrednia. – Wola polityka byłaby bezużyteczna bez pieniędzy Floriów.

Ignazio już ma odpowiedzieć, gdy zjawia się Vincenzino, a za nim pokojówka z tacą, na której stoją mleko i słodycze.

Giulia dziękuje, chwytając tarallo, miękkie ciastko pokryte cytrynowym lukrem, które zwykle przygotowuje się na Święto Zmarłych. Ale tu, w domu, wszyscy wiedzą, że Vincenzino je lubi, i chętnie robi się dla niego wyjątek... „Może robią zbyt wiele wyjątków”, pomyślała, marszcząc czoło. Gdy jednak widzi drugi talerzyk, śmieje się.

– *A' pignuccata!* Znacznie lepiej! – Bierze patyczek ciasta pokryty miodem i wkłada go do ust. Potem oblizuje palce, co natychmiast naśladuje jej młodszy brat.

Ignazio patrzy na nich i czuje, że serce mocniej mu bije. Widzi w Giulii znów dziecko, a obok niej po raz pierwszy od dawna swojego Vincenzina, chłopca, któremu odmówiono szansy na dorosłość. Pamięta ich zabawy w parku, ich śmiech, oddech we śnie, ich psoty, które sprawiały, że Giovanna tak bardzo rozpaczała.

Nic. Nie ma już nic.

Co do *tego* Vincenzina, to obserwuje go tylko z daleka. Chłopiec jest zbyt żywy, zawsze w ruchu i Ignazio nie może się nim zajmować, zajęty odzyskiwaniem sił. Upija łyk mleka, znów nieruchomieje. Obserwuje, jak Giulia karmi brata i opowiada mu o jego siostrzeńcach, którzy dla niego są jak kuzyni, biorąc pod

uwagę niewielką różnicę wieku. Słucha ich śmiechu i zastanawia się, jak wiele go w życiu ominęło. Gdzie podziały się lata, kiedy jego dzieci były małe? Był zajęty rozwijaniem swoich przedsiębiorstw, osiągnięciem takich wyzyn bogactwa i władzy, których jego ojciec mógł tylko lekko dotknąć. Jego matka powiedziała mu to dawno temu: „Ze wszystkich rzeczy, które tracimy, dzieciństwo naszych dzieci jest jedną z najbardziej bolesnych strat”. Rozumie to dopiero teraz. Teraz, gdy nie może już niczego zmienić.

A do tego bólu dołącza się drugi, bezimienny, opowiadający o chwilach, które mogły zaistnieć, ale nie zaistniały, o radości, od której się odwrócił i która teraz lśni jak kryształ w królestwie rzeczy utraconych, a ponieważ utraconych, to doskonałych.

Na chwilę zapach taralli zostaje wyparty przez woń goździków i marsylskiego lata.

A potem ta woń znika.

\*\*\*

Mijają tygodnie, zima zbliża się ku końcowi. Ignazio staje na nogi, próbuje ponownie zająć się interesami w pełnym wymiarze godzin. Planuje nawet wyjazd do Rzymu i pisze w tej sprawie do Abelego Damianiego, swego przyjaciela w senacie. Ale jego ciało się nie zgadza.

Ignazio uświadamia to sobie pewnego ranka po nieprzespanej nocy, w środku której nagle pojawiły się silne bóle pleców i wymioty. Gdy próbuje wstać z łóżka, kręci mu się w głowie, nogi nie dają oparcia. Patrzy na swoje ręce i widzi, że się trzęsą. Zatacza się. Trzymając się najpierw boku łóżka, a potem fotela, szuka swego odbicia w lustrze.

I nie może go znaleźć.

Bo ten upiór z zapadniętymi policzkami nie może być nim, myśli przerażony. Ta wychudzona twarz, to ciało, które zdaje się ginąć w koszuli nocnej, ta stara, pożółkła skóra... Nic z tego nie należy do niego.



Wzywa lokaja, raz, drugi. Na trzecie wezwanie Nanài przybywa i gdy Ignazio widzi jego spojrzenie, rozumie. Rozumie, że nie ma już czasu, że to coś, co go pochwyliło, jest zdeterminowane, by szybko go zabrać z tego świata.

– Zawołaj moją żonę – mówi z wysiłkiem. – I wezwij lekarza.

Po kilku chwilach drzwi między pokojem Ignazia a Giovanni otwierają się szeroko. Żona w podomce i z rozpuszczonymi włosami przebiega przez sypialnię, niemal się potykając. Gdy go widzi, zasłania usta dłonią.

– Wczoraj tak nie wyglądałeś – szepce.

Ignazio pozostaje bez ruchu i nie odzywa się. Kosztowałoby go to zbyt wiele wysiłku.

Giovanna jest silna. Ale też przerażona.

– Coś... Coś musiało się stać w nocy.

Kiedy dwaj lekarze przybywają na miejsce, osłuchują go, ponownie pobierają krew i mocz w nadziei, że analiza da jakieś wskazówki. To jednak wymaga czasu. Gdyby byli gdzie indziej, na przykład w jakimś mieście na Północy, mieliby inne instrumenty, ale tu...

Po konsylium dołączają do Giovanni w parku, z dala od ciekawskich uszu. Patrzą na siebie, zakłopotani, szukając właściwych słów, najdelikatniejszych, najmniej okrutnych. Wahają się. To wystarczy, by Giovanna zrozumiała.

I ma tylko jedną myśl: nie chce wiedzieć.

Odwraca się, biegnie szukać Ignazziddu i znajduje go w gabinecie ojca, zatopionego w lekturze dokumentów. Prosi go, błaga, żeby porozmawiał z lekarzami, bo to nie może być aż tak...

Czekający w ogrodzie lekarze patrzą po sobie zdumieni, nie wiedząc, co robić. Potem przychodzi syn Ignazia i rozmawiają z nim. Młody Florio słucha z pochyloną głową. Wydaje mu się, że niebo chce go zmiążyć, że drzewa wokół zaraz na niego runą, że ziemia drży pod jego stopami. Mówi, że odda im do dyspozycji dwa pokoje w willi. Nie powinni odchodzić, nie kiedy mają *tego* pacjenta, w *takim* stanie.

Wchodzi do domu, wydaje polecenia służbie, żegna lekarzy uściskiem dłoni, po czym wraca do parku.

Nikt go nie zatrzymuje.

Chwieje się, przemierza aleje z otwartymi ramionami, jakby szukając pociechy czyjegoś uścisku.

Płacze.

Stracił już brata i dobrze to pamięta, wie, co to znaczy pogrzebać kawałek życia, i nie chce się z tym mierzyć ponownie. Wciąż czuje tamten ból serca, zapach białych lilii wokół trumny Vincenza. Jego ojciec ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat, nie może tak odejść. To zbyt szybko, zdecydowanie zbyt szybko. „Co ja zrobię?”, pyta sam siebie. Płacze długo i gniewnie, podczas gdy jego matka w swoim pokoju zanosi się szlochem w ramionach donny Ciccii.

Ale on potrafi myśleć tylko o bólu, który wybucha w jego wnętrzu.

\*\*\*

Gdy słyhać pierwsze nieśmiałe kroki nadchodzącej wiosny, Ignazio czuje, jak życie oddziela się od jego skóry i kości, niczym szata, którą zmuszony jest zrzucić. Siedzi sam w pokoju, zatopiony w fotelu przy oknie. Powietrze jest rześkie, pachnie świeżością. Brzęczenie owadów zagłuszają krzyki ptaków w wolierze lub wołania Vincenzina jeżdżącego welocypedem po parku.

Jest marzec i Ignazio czuje woń ziemi ogrzanej słońcem. Będą jeszcze zimne dni tego roku, jak zawsze, ale panowanie zimy już się skończyło i wkrótce drzewa wypuszczą pąki, krzewy różane zakwitną, pomelie pokryją się białymi kwiatami, a w jego ukochanym gaju pomarańczowym w Villa ai Colli drzewa wydadzą ostatnie owoce.

Nie zostało mu wiele czasu.

Myśl jest tak surowa i tak szczerą, że wywołuje falę rozpacz.

Wszystko. Niedługo straci wszystko.

Dzieci, których dorastania nie zobaczy i którym nie będzie mógł doradzać ani pomóc. Vincenzino jest taki mały, a Ignazziddu jeszcze tak wiele musi się nauczyć i tak bardzo brakuje mu pokory. Jego żona Giovanna, do której żywi jeśli nie miłość, to głęboką czułość za

jej wielkoduszne oddanie. Ale także Favignana, surowy zarys Marettimo i cienka kreska Levanzo, które wyłaniają się natychmiast, gdy tylko opłynie się wyspę, łodzie płynące na mattanze, przełamujące błękit fal czarne kadłuby, które staną się czerwone od krwi. Pylista biel tufu w kamieniołomie. Zapach morza mieszający się z zapachem tuńczyka. I jeszcze winnica w Marsali, jej tufowe ściany nadgryzane przez sól, żelazo odlewane w Oretei, kominy parowców NGI...

Straci to wszystko i nie ma na to wpływu, bo wie, że śmierć chce nas nagich, czystych jak w momencie przyjścia na świat. Jego wola nie zdziała nic przeciwko losowi.

Ignazio czuje w ustach cierpki smak żółci, która zdaje się mieszać ze łzami. Ostatnio często płacze, częściej, niżby chciał, ale jak ma się powstrzymać? Płacze w milczeniu, a rozpacz wdziera się do jego żył i kości i pozostawia go wyczerpanego niczym wrak poruszany łagodnymi falami.

Jasne, będzie dalej udawał, mówiąc wszystkim, że wyzdrowieje, że lekarze znajdą nowe lekarstwo. Pewnie, że będzie walczył do końca, ale nie potrafi okłamać samego siebie.

Umiera.

Ta myśl – ta pewność – jest ciężarem nie do uniesienia.

Jego życie było pełne pracy, tak jak życie jego ojca. Lata spędzone w służbie idei, by Floriowie byli bogatsi, potężniejsi, ważniejsi niż ktokolwiek inny. I tak też się stało. Udało mu się.

A teraz?

A teraz, gdy już tego dopiął?

A teraz, gdy nie ma już projektu, biura, przedsięwzięcia, któremu mógłby poświęcić czas i energię?

„Moje ręce są pełne rzeczy, a serce puste. Mam jeszcze pomysły i siłę woli i chciałbym żyć i być z rodziną, widzieć wnuki i śledzić bieg życia”.

„A teraz...”.

Rozpacz zaciska mu gardło, odbiera oddech.

„A teraz, kiedy odchodzę, co zostaje?”.

\*\*\*

Mijają tygodnie, nadchodzi maj.

Ignazio nie może już nawet usiąść w fotelu.

Stojąc w progu, Giovanna patrzy, jak Nanà z pomocą drugiego służącego obmywają Ignazia. Patrzy na nieruchomą twarz męża, czyta w niej wstyd, że opiekują się nim jak dzieckiem, wstyd silniejszy niż fizyczny ból, który z pewnością Ignazio musi odczuwać.

Obok niej stoi Ignazziddu. Ściska ramię matki, próbując ukryć dyskomfort, jaki czuje na widok ojca traktowanego w ten sposób przez obcych ludzi. Odwraca twarz, potem coś mamroce. Mówi, że idzie do biur na piazza Marina, żeby zobaczyć, co się dzieje, a potem do Banco Florio, żeby wszystkich uspokoić.

Ignazziddu ucieka od tego cierpienia, którego widoku nie potrafi znieść. Ignazio to zauważył. Kręci powoli głową, stara się przeciwstawić falom bólu. Modli się, aby jego syn otrząsnął się ze strachu i był dobrym administratorem. I właśnie ta myśl powoduje, że zwraca twarz w stronę żony.

– Giovannina... wezwij *u' nutaro*.

Ona już tylko przytakuje, bez żadnych protestów.

Notariusz Francesco Cammarata przybywa o zmierzchu. Spisuje testament Ignazia: majątek zostaje podzielony między dwóch męskich spadkobierców, Ignazziddu i Vincenza. Ignazio wie, że Ignazziddu nie jest jeszcze gotowy, że potrzeba mu pazurów, by nie dał się pozreć, i że ten syn, który wbrew sobie stał się pierworodny, nie ma jeszcze dość sprytu, by zarządzać Domem. Ale nie może postąpić inaczej. Zapisuje rentę Giovannie i udział w spadku Giulii. Przewiduje zapisy dla służby domowej i niektórych robotników.

Giovanna, siedząca za drzwiami obok donny Ciccii, przesuwa w palcach różaniec, niemal nie poruszając ustami. Modli się, choć sama nie wie o co. Może o cud. Może o przebaczenie nieznanym jej grzechów. Może o ulgę. Może o spokój dla męża.

Kiedy notariusz wychodzi, donna Ciccia odprowadza go do wyjścia. Giovanna pozostaje w progu pokoju, jedną rękę opierając

na futrynie, w drugiej zaciskając różaniec nad sercem.

Ignazio odwraca głowę na poduszce, widzi ją. Gestem prosi, by podeszła.

– Myślałem o tobie – mówi.

Próbuje się uśmiechnąć. Jego usta są spierzchnięte, a broda prawie całkiem siwa.

– Ja też myślę o tobie – odpowiada ona i podnosi różaniec. – Musisz się leczyć. Wyzdrowiejesz. Pan mi udzieli tej łaski.

Ignazio ściska jej dłoń, skinieniem głowy wskazując na drzwi.

– Wiem. A teraz daj mi się zdrzemnąć. Kiedy Ignazziddu wróci, powiedz mu, żeby przyszedł i opowiedział mi, co się dzieje w Navigazione. Musimy też napisać do Crispiego, aby przypomnieć mu o odnowieniu koncesji pocztowych. Z tym trzeba się spieszyć.

Ona kiwa głową, przełykając łzy. Złość i gorycz wiążą się ze świadomością, że po raz kolejny straciła prymat w życiu męża. Dom Florio przed Bogiem, przed rodziną, przed dziećmi. Dom Florio przed wszystkim innym. Zawsze.

\*\*\*

Ignazio zostaje sam. Wpada w odrętwienie z wyczerpania i od laudanum, które zaczęli mu podawać, by uśmierzyć ból. W półmroku blask małej elektrycznej lampki na ścianie pokrywa wszystko żółtą patyną.

Budzi go szelest tkaniny. Szelest spódnicy dochodzący z najciemniejszego kąta pokoju, znajomy dawny dźwięk, który sprawia, że jego puls przyspiesza.

Otwiera oczy, szukając w półmroku. Nawet podnosi głowę, żeby lepiej widzieć.

Potem dostrzega ją i pozwala głowie opaść na poduszkę.

To może być tylko ona.

Postać posuwa się małymi, cichymi krokami w kierunku łóżka. Kręcone blond włosy z rudymi refleksami. Bardzo blada skóra. Uśmiech, który nie potrafi w pełni rozkwitnąć na cienkich wargach.

Ignazio czuje zapach, świeży i czysty. Goździk.

Camille.

Wygląda na dwadzieścia lat. Ma na sobie tę samą suknię co w dniu ich spotkania w Marsylii latem 1856 roku. Siada na brzegu łóżka, wyciąga do niego rękę. Materac nie ugina się pod jej ciężarem ani jej ręka nie marszczy materiału. Ale jej dotyk jest ciepły, a spojrzenie pełne zrozumienia i miłości. Niebieskie oczy nie są już zaczerwienione od łez, nie widać w nich urazy; wydają się rozświetlone światłem przebaczenia, na które Ignazio w swoim przekonaniu nie zasłużył. Ale to tylko chwila. Potem rozumie i zamyka oczy. Rozumie, że miłość, ta prawdziwa, ta, która nie umiera, może istnieć tylko wtedy, gdy towarzyszy jej przebaczenie. Że w każdym z nas jest wyrzut sumienia wołający o rozgrzeszenie.

Cieszy się tym dotykiem, wdycha aromat, który odpędza chorobę.

Nie potrafi powiedzieć, czy Camille istnieje naprawdę, czy jest duchem uwięzionym między snem a jawą. Wie jednak, że przestał się bać, a rana, którą nosi w sobie od lat, odmowa przebaczenia bólu, który jej zadał, pustka podyktowana nieobecnością, do której sam się zmusił, wszystko to zniknęło. Nawet poczucie winy wobec Giovanni łagodnieje, bo teraz Ignazio wie, zrozumiał, że można przeżywać różne miłości w tym samym czasie i że trzeba tylko umieć przyjąć to, co się czuje i co się otrzymuje, jako dar. Że nawet jeśli popełnił błąd, to nie ma już czasu go naprawić i musi po prostu wybaczyć innym i sobie.

A teraz ona mówi do niego.

Ignazio zamyka oczy. Poddaje się dźwiękowi jej głosu, który ma brzmienie wspomnień, szeptanym po francusku słowom, które koją jego serce i pozwalają kilku łzom obmyć duszę, zanim krople zsuną się z powiek. Pozwala sobie nareszcie czuć spokój.

\*\*\*

W Olivuzzy czas zdaje się zwalniać, jakby chwile nakładały się na siebie w oczekiwaniu.

Vincenzino przerwał lekcję gry na skrzypcach. Przechodzi na palcach obok pokoju ojca w towarzystwie gospodyni, która nie

pozwała mu wejść, bo „nie wolno mu przeszkadzać”. A on ma zaledwie osiem lat i żyje osaczony bezimiennym strachem, który widzi w gorączkowych gestach matki, coraz bardziej mrocznej i odległej, zawsze z różańcem w ręku, pogrążonej w modlitwie, ściganej przez donnę Ciccę, która błaga ją, by coś zjadła i choć trochę odpoczęła.

Jedyną osobą, która go zauważa, jest Ignazziddu, ale on znika rankami, żeby pójść do Oretei albo na piazza Marina, albo kto wie gdzie jeszcze, a wieczorami często wychodzi do klubu i wraca późno, bardzo późno. Ale on też ma zmęczoną twarz i Vincenzino to zauważa.

Chciałby zapytać, zrozumieć, ale jakie pytania miałby zadać? Wie, że dzieje się coś poważnego, ale jest jeszcze dzieckiem i nie potrafi złożyć wszystkich elementów w całość. Pojmuje tylko, że jego brat ucieka z domu, kiedy ma okazję.

Pewnego wieczoru przychodzi opiekunka, by zaprowadzić go do pokoju ojca. Vincenzino leży w łóżku, rozespany. Zaczerwienione oczy gospodyni są ostatnim elementem mozaiki, która ułożyła się w jego umyśle. Bo w tym momencie chłopiec rozumie.

Jego ojciec umiera.

Dla niego śmierć to kaplica na cmentarzu Santa Maria di Gesù. Za jej drzwiami, jak mu mówiono, leżą jego dziadkowie i ten brat, co miał na imię tak samo jak on i którego miejsce – Vincenzo wie o tym w nieświadomy i okrutny sposób, typowy dla dziecka – zajął. Ten drugi Vincenzo to dla niego obraz, fotografia, którą matka trzyma na toaletce i na którą codziennie patrzy. Tak go sobie wyobraża: blady, śpiący, pokryty kurzem wśród girland jedwabnych kwiatów, jak porcelanowa lalka.

Opiekunka pomaga mu włożyć szlafrok, towarzyszy mu do pokoju ojca. Vincenzo wchodzi. W jego nozdrza wwierca się zapach niewietrzonego pomieszczenia, potu, strachu. Przy łóżku stoi matka, trzyma ojca za rękę, a w drugiej dłoni ściska chusteczkę. Ksiądz z fioletową stułą odkłada olej święty i modlitewnik.

Jego ojciec to zaledwie cień pod pościelą. Skóra, która w chorobie stała się przezroczysta, naznaczona jest siecią niebieskawych żył. Na szafce nocnej stoi kubek mleka z łyżeczką.

Vincenzino puszcza dłoń opiekunki, podchodzi do łóżka. Ujmuje dłoń ojca i zbliża ją do swojej twarzy, szukając pieszczoty, choć Ignazio zawsze się przed tym wzbraniał.

Dłoń jest gorąca, rozpalona.

– *Papà*. – Chłopiec jest przerażony. Musi zaczerpnąć powietrza, a robiąc to, walczy ze łzami, które palą go w gardle.

– Vincenzo... – mruczy Ignazio. – Synku. – Jego głos to świst, zachrypnięty dźwięk powietrza drapiącego tchawicę.

Jego spojrzenie ożywa, pojawia się czuły uśmiech. Ignazio gładzi syna po policzku, podnosi dłoń, by przeczesać mu włosy. Po drugiej stronie łóżka Giovanna nie potrafi powstrzymać szlochu.

– Jak mój ojciec będziesz – szepce Ignazio. – Jak on.

Potem patrzy za plecy syna, a jego uśmiech się poszerza. Chłopiec czuje palce brata, które właśnie spoczęły na jego ramieniu i ściskają go niemal do bólu.

– Jeden Ignazio i jeden Vincenzo. – Słowa Ignazia są lekkie jak oddech. Ostatni. – Tak było od początku i tak musi pozostać.

\*\*\*

Kiedy 17 maja 1891 roku do odlewni Oretea dotarła wiadomość o śmierci Ignazia Florio, niedowierzający robotnicy obejmują się nawzajem i płaczą, jakby to nie ich pryncypał umarł, ale ktoś z najbliższej rodziny. Marynarze zeszli ze statków, zgromadzili się przed odlewnią, a tłum mężczyzn i kobiet z zaczerwienionymi oczami i ciężkim oddechem przeszedł ulicami, dotarł do wielkiej willi i zatrzymał się oniemiały przed bramą parku, obserwując paradę powozów: najpierw najważniejsze rodziny Palermo, a potem inne, z całej Sycylii, jadą oddać hołd senatorowi Florio, ale to oni – robotnicy i marynarze – są jego ludźmi.

W willi uwijają się pokojówki, wyciągają z kufrów czarne krepowe suknie, zasłaniają lustra i zamykają okna. Tylko jedno pozostaje otwarte: w sypialni Ignazia, aby jego dusza mogła odlecieć, jak nakazuje tradycja i jak poleciła donna Ciccìa. Ona sama od dawna stoi przy jego łóżku niczym żywy posąg, jakby



mogła jeszcze porozmawiać z mężczyzną, którego jej podopieczna kochała i będzie kochać do końca swoich dni.

Ciało Ignazia ubrano w niezwykle elegancki czarny frak uszyty przez Henry'ego Poole'a, najbardziej znanego krawca z Savile Row w Londynie, niegdyś zarezerwowany na wielkie okazje towarzyskie. Ale ten frak wydaje się nie należeć do niego, tak jest luźny.

U stóp łóżka ksiądz wraz z grupką sierot i nowicjuszek z pobliskiego klasztoru szepce modlitwy. W powietrzu miesza się zapach kadzidła, kwiatów i wosku świec. Jest tak silny, że aż zapiera dech w piersiach.

Gdy ksiądz pobłogosławił ciało, donna Ciccina odprowadziła jego i towarzyszący mu mały orszak do drzwi, Vincenzo zaś wrócił do swojego pokoju. Miał atak płaczu i guwernantka została przy nim, żeby go pocieszyć.

Jeszcze bardziej wyszczuplona przez swoją czarną jedwabną suknię Giovanna błąka się po domu, jej kościste dłonie kurczowo ściskają spódnice, stopy potykają się o dywany. Jej spojrzenie jest zagubione. Pokojówkom nakazuje, by parkiet i podłogi w czarno-białą szachownicę zostały wypolerowane, a wszystko odkurzone, lokajowi poleca, by wystawił księgę dla tych, którzy przyjdą złożyć kondolencje. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że Floriowie nie okazują wdzięczności.

Ignazziddu pozostał w pokoju ojca. Siedzi w kącie razem ze swoją siostrą Giulią. Ona ma na sobie czarną krepową suknię i żałobny welon. Patrzy na Ignazziddu.

– Nie mogę uwierzyć, że go nie ma.

Brat kręci głową i szepce:

– Teraz muszę zająć się rodziną. Ja. Rozumiesz?

Giulia nieco się odwraca i kieruje na niego swoje jasne oczy, takie same jak oczy babci. Nie może pobłagać lękowi brata ani go usprawiedliwiać. Przetyka łyzy, prostuje się i pewnym głosem odpowiada:

– Tak, ty. Teraz ty jesteś Ignazio Florio.

Brat patrzy na nią i otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie do pokoju wchodzi Giovanna. Szuka ich wzrokiem, zbliża się.

– Przybywają pierwsi goście, kuzyni d'Ondes są już w salonie, razem z twoimi krewnymi – informuje, patrząc na Giulie.

Jej córka kiwa głową.

– Pójdę ich przywitać.

Ignazziddu odprowadza ją wzrokiem. Wie, że Giulia zawsze była od niego silniejsza, i gdy siostra wychodzi z pokoju, jego strach rośnie.

Teraz młody Florio boi się wszystkiego.

Nienawidzi pogrzebów, nienawidzi żalu, który go trawi i wydobywa na powierzchnię poczucie opuszczenia doznanego po raz pierwszy, gdy umarł jego brat. Chciałby się ukryć, zniknąć, stać się niewidzialnym dla wszystkiego i wszystkich.

Kiedy więc matka łapie go za rękaw, on odruchowo wciąga ją w rozpaczliwy uścisk. Ale ona się wykręca, kładzie mu ręce na ramionach, odsuwa go. Następnie, kierując na niego swoje ciemne oczy, mówi dobitnie:

– Ty, teraz, nie możesz zostawić mnie samej.

Te słowa sprawiają, że Ignazio przestaje być Ignazziddu. W tym gniewnym, nieszczęśliwym głosie odczytuje swoją przyszłość.

Giovanna odwraca się, by spojrzeć na męża, człowieka, którego tak bardzo kochała i którego tylko śmierć zdołała jej odebrać. Podchodzi do niego, gładzi rękaw marynarki. Wreszcie klęka, przez chwilę opiera głowę na łóżku, potem bierze jego rękę, zimną i sztywną. Zdejmuje mu z palca rodzinny pierścień, ten sam, który jego ojciec Vincenzo podarował mu w dniu ślubu, a który wcześniej należał do innego Ignazia, jeszcze wcześniej zaś do jego prababki, Rosy Bellantoni.

Pierścień, który należy do innych czasów, kiedy Floriowie byli zwykłymi kupcami.

Giovanna nie może tego wiedzieć. O tej odległej skromnej przeszłości nikt z nią nie rozmawiał, nawet Ignazio, który czasem tylko rzucał w zakłopotaniu okruchy zdań. Wie jedynie, że jej mąż ani na chwilę nie rozstawał się z tą obrączką.

Kładzie dłoń na nieruchomej klatce piersiowej gestem, który jest pieśczętą. Nigdy więcej nie dotknie tego mężczyzny, którego przyjęła w siebie, z którym miała czworo dzieci, który dał jej tak

mało miłości i sprawił tak wiele bólu. Nigdy więcej go nie dotknie, ale i nigdy nie przestanie go kochać. Nikt nie może go teraz jej odebrać.

Potem prostuje plecy. Wstaje. Podchodzi do syna, bierze go za rękę i niemal zmusza, by otworzył dłoń. Wsuwa mu na palec pierścień ojca.

– Teraz ty jesteś głową rodziny.

Ignazio nie ma czasu się zbuntować, powiedzieć, że ten staroświecki pierścień jest na niego za duży i że go nie chce, że jest za ciężki, bo nagle pomieszczenie wypełnia się ludźmi żegnającymi się znakiem krzyża, szemrzącymi modlitwy, a potem podchodzącymi do niego, by złożyć kondolencje.

Giovanna dostrzega kuzynki Trigona i gdy jedna z nich ją obejmuje, wybucha płaczem. Usta ma szeroko otwarte w niemym krzyku bólu.

Ignazio zostaje obok matki, która wypłakuje wszystkie łzy. Czuje na sobie spojrzenia, wyłapuje szept, urywane zdania. Wszyscy patrzą teraz na niego. A on nie wie, co ma robić.

\*\*\*

15 listopada 1891 roku imponująca procesja powozów przejechała przez Palermo, aby zatrzymać się w pobliżu Salone delle Feste, w hali wejściowej wystawy krajowej, obok Teatro Politeama Garibaldi – przemianowanego tak w 1882 roku – który został ostatecznie wykończony na tę okazję.

Z największego powozu, ozdobionego herbem Sabaudów, wysiadają król Humbert I i królowa Małgorzata. Następnie zajeżdża powóz premiera Antonia Starabby markiza Rudinì, który kilka miesięcy temu zajął miejsce Crispiego. On także jest południowcem, urodził się w Palermo, był tu burmistrzem oraz prefektem. Po otwarciu wystawy król i jego orszak przechodzą przez półokrągły plac, mijając dwie wieże z mauretańskimi kopułami po obu stronach wejścia, gdzie znajdują się posągi Przemysłu i Pracy, wykute w brązie przez innego palermiańczyka, Benedetta Civilettięgo.

Orszak idzie przez pawilony. Są imponujące, pełne światła, mają wielkie, pokryte arabeskami sklepienia. W centrum wystawy znajduje się ogród mauretański z fontanną pośrodku, ożywiony grą światła; dalej, w kolejnej zielonej przestrzeni, mieści się kawiarnia arabska w namiocie obok krytych strzechą chat wioski abisyńskiej, z widokiem na wystawę erytrejską, symbol kolonii, które Królestwo Włoch zdołało podbić kosztem wielkiego wysiłku i rozlewu krwi, jak w pamiętnej bitwie pod Dogali.

Tymczasem Palermo niecierpliwie czeka. Z biletem w ręku przed bramą stoją robotnicy i baronowie, nauczyciele i prawnicy, sklepikarze i szwaczki, zjednoczeni tym samym podnieceniem i entuzjazmem. W ciągu ośmiu miesięcy, które zajęło Ernestowi Basilemu ukończenie tej wioski cudów, po mieście krążyły plotki, pogłoski i fragmenty informacji, często przesadzone i prawie zawsze sprzeczne. Snuto nawet opowieści o kawiarni z arabskimi tancerkami i ogromnymi fontannami lejącymi wino.

Tak więc ledwie bramy zostają otwarte, tłum wlewa się do pawilonów z gwałtownością strumienia lawy. Z rozchyłonymi ustami, podniesionymi głowami i oczami pełnymi zdumienia ludzie podziwiają belweder ponadpięćdziesięciometrowej wysokości i wjeżdżają na jego szczyt hydrauliczną windą zbudowaną w odlewni Oretea, przechodzą przez imponującą Galerię Pracy, mijając pawilony przemysłu mechanicznego, chemicznego i złotniczego. Grupy kobiet idą podziwiać wyroby przemysłu tekstylnego i meblarskiego, zamożni widzowie zwiedzają Pawilon Sztuk Pięknych, w którym znajduje się ponad siedemset obrazów i trzysta rzeźb, a ci bardziej leniwi udają się do Café Chantant, mieszczącej się za pawilonem poświęconym ceramice i szkłu.

Z tego wszystkiego Ignazio widział jednak bardzo niewiele. Najpierw musiał powitać króla i królową, co też uczynił, przyjmując kondolencje władcy, wraz z matką, która wyróżniała się w czarnej wełnianej krepie pośród barwnych eleganckich strojów. Potem wpadł w wir świętowania. Ścisnął dłonie, pozdrawiał przyjaciół i znajomych, składał wyrazy szacunku dworskim dygnitarzom i wymieniał uwagi z politykami różnych szczebli, którzy przybyli z całego Włoch.

I tak, pośród cisnącego się tłumu, oszołomiony głosami ludzi i dźwiękami dochodzącymi z pawilonów, zirytowany mdłym zapachem słodczy pieczonych dla dzieci, Ignazio rozglądał się dookoła i potrafił myśleć tylko o swoim ojcu, który tak bardzo pragnął tej wystawy i nie dożył jej ukończenia. Dopóki był w stanie kierować firmą, zawsze była w centrum jego myśli: dbał o to, by budowa postępowała zgodnie z harmonogramem, by obiekty były imponujące, by wszystkie przedsięwzięcia Domu Florio były odpowiednio wyeksponowane. Co do młodego Ignazia, ten nalegał głównie, by kawiarnie i lokale rozrywkowe miały odpowiednią przestrzeń i charakteryzowały się modną ostatnio nutą egzotyki i zmysłowości. Resztą zajęli się inżynierowie i oczywiście niezmordowany architekt Basile.

Wszyscy gratulowali młodemu Floriowi i jego rodzinie, bo tak, oczywiście, rząd miał w tym swój udział, ale początkowy impuls i pierwsze wyłożone pieniądze pochodziły z Domu Florio. I wiedziało o tym całe Palermo: można to było wyczytać w spojrzeniach, jakimi obdarzano Ignazia, w tej mieszance zdumienia, szacunku i przede wszystkim zazdrości.

„A niech się patrzą – powiedziałyby jego ojciec. – Naszą rzeczą jest pracować”.

Tylko że Ignazio chce zrozumieć. Chce *zobaczyć* to, co widzą inni. Dlatego pewnego ranka każe przygotować swoje lando. Z podniesioną budą, aby być niezauważonym, przejeżdża przez corso Olivuzza, zabudowane nowymi mieszczańskimi willami w otoczeniu małych ogródków, i dociera na plac budowy Teatru Vittorio Emanuele, gdzie niedawno wznowiono prace pod kierownictwem Ernesta Basilego.

„Ten człowiek to geniusz”, myśli, gdy widzi wysokie kolumny rysujące się na tle nieba. To prawda, że w tym dziele jest ręka Basilego seniora, Giovana Battisty, który zmarł w czerwcu tego samego roku, ale Ernesto dostrzegł pewne wady konstrukcyjne i przeprojektował część planów. Od ponad piętnastu lat budynek czeka na realizację. „Jeśli Basile nie zdąży dokończyć teatru, to na zawsze pozostaniemy z tą ruiną”, myśli gorzko Ignazio.

Stamtąd do bram wystawy krajowej odległość jest niewielka. Ignazio wysiada z powozu i idzie szybkim krokiem, starając się uciec przed spojrzeniami oczekujących, którzy cisną się do niego, błagając o pozdrowienie lub choćby tylko spojrzenie. W pośpiechu mija pawilon złotników i dociera do pawilonu przemysłu ciężkiego, za którego oknami widać ogród pełen zwiedzających. Opuszcza głowę, jedną ręką zasłania twarz. Nie chce być rozpoznany. Zwalnia i ostrożnie podchodzi do miejsca pośrodku hali, gdzie wystawione są kotły z odlewni Oretea. Metalowe potwory o paszczach z błyszczącego czarnego żelaza. Cylindry o średnicy większej niż rozpiętość ramion dorosłego człowieka. Są one sercem statków, które przewożą towary i ludzi na całym świecie. Ich statków.

Dookoła znajdują się prasy hydrauliczne, a na mniejszych ekspozycjach – sztucce, garnki i artykuły gospodarstwa domowego. Produkty z innych odlewni zdają się blednąć w porównaniu z tym, co wytwarza Oretea. Mogą być bardziej zaawansowane technicznie, zgrabniejsze i lżejsze, ale nie mają tych rozmiarów, tej siły. „Zresztą kogo to obchodzi – mówi sobie Ignazio. – Ze wszystkich tych obiektów to właśnie nasze są najbardziej widoczne. To właśnie dla nich przychodzi tu Palermo i cała Italia. Chce zobaczyć potęgę Domu Florio”.

Idzie powoli, rozgląda się na boki i trafia do Galerii Pracy, ogromnego korytarza ze spadzistym dachem, z którego wydobywa się kaskada światła i rozbrzmiewają dziesiątki głosów.

Nie sposób nie zauważyć wysokich kolumn z puszek po tuńczykach z jego tonnar. Aluminiowe puszki po tuńczyku wszelkich rozmiarów – od ogromnych czerwonych przeznaczonych na zaopatrzenie armii po małe, do codziennej konsumpcji – na które padają refleksy słońca, rozświetlając kolory emalii. Są sieci rybackie, tuńczyki z masy papierowej, artystycznie ułożone gałązki oliwne mające dać jakiś obraz środowiska tonnary. Jest nawet *muciara*, jedna z łodzi używanych do połowu.

Ignazio idzie dalej, w kierunku działu z winami. Uśmiech ukrywa za zaciśniętą dłońią, bo mógłby tam trafić nawet z zamkniętymi oczami, podążając za słodkim, intensywnym zapachem wina i spirytusu.

Nie jest jednak przygotowany na to, co go czeka.

Widzi kolumnę sięgającą prawie pod sam dach, ułożoną z butelek marsali, otoczoną u podstawy beczkami. Na szczycie, na głowicy w porządku korynckim, znajduje się posąg Apolla, boga sztuk medycznych, symbolizującego lecznicze właściwości wina. Wokół niej piramidy butelek różnych rodzajów marsali, od *stravecchio* po *riserva*.

Podchodzi do niego jeden z pracowników.

– Don Ignazio, coś za niespodzianka! Jak...

– Nie.

Sucho, niemal niegrzecznie, Ignazio podnosi palec, by nakazać mu milczenie, jego oczy utkwione są w kolumnie butelek i piramidzie beczek, w półkach pełnych trunków. Pracownik cofa się, zbity z tropu.

Oto jest. Koniak Florio na honorowym miejscu.

Produkcja rozpoczęta wiele lat wcześniej według technologii stosowanej w Charente, do samego końca nadzorowana przez jego ojca, a teraz doglądana przez Ignazia z pomocą francuskich ekspertów. Rezultatem jest łagodny trunek, ciepły i delikatny zarazem, o słodczy miodu, barwie zachodzącego słońca i okazałym bogactwie smaku. To właśnie ten produkt cieszy się największym powodzeniem.

Ignazio podchodzi bliżej, odchyła głowę do tyłu, żeby lepiej się przyjrzeć. Teraz widzi. Teraz, kiedy jest zmuszony spojrzeć na tę wysoką jak pomieszczenie wieżę butelek, rozumie, co mogą wyprodukować jego piwnice.

„*Moje piwnice*”.

Winiarnia należy do Floriów, więc należy do niego, bo on jest teraz don Ignazio Florio. Już nie do jego ojca, nie do jego brata. *Do niego*.

Jak tonnary. Jak Oretea. Jak cała reszta.

Jakim cudem dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy? Dlaczego nie uzmysłowił sobie tego wcześniej?

Ukrywali to przed nim, oto dlaczego. Począwszy od ojca, który zawsze miał go pod kuratelą i dawał mu tymczasowe zadania. Nigdy tak naprawdę mu nie ufał. Natychmiast po jego śmierci obsypali go

utrapieniami, zobowiązaniami reprezentowania firmy, papierkową robotą, rachunkami do zapłacenia. Potem zaczęli go dręczyć, zwłaszcza ten nudziarz Laganà, który potrafi tylko narzekać na brak pieniędzy, i matka, która nie przestanie mu doradzać, żeby był ostrożny, albo przywoływać łzami i westchnieniami wyjątkowe cechy jego ojca.

„To już nie ma znaczenia – myśli Ignazio. – On nie żyje, a ja żyję. Jestem tutaj. I udowodnię wszystkim, że mogę być równie wielki”. Bierze głęboki oddech i rozgląda się dookoła. Czuje dumę i zachwyt, wraz z czymś nowym, co niezwykle go porusza, co uderza do głowy, zamazując ostrość widzenia.

Nie będzie więźniem nazwiska.

Nie będzie taki jak jego ojciec.

Nie będzie taki jak inni.



## Perły (luty 1893 – listopad 1893)

*Malidittu u'mummuriaturi, ma chiossai cu' si fa mummuriare*  
„Przeklęty ten, kto oczernia, ale jeszcze bardziej ten, kto się  
oczerniać pozwala”  
przysłowie sycylijskie

Po upadku rządu Crispiego (31 stycznia 1891) premierem został najpierw urodzony w Palermo Antonio Starabba di Rudinì, a następnie, 15 maja 1892 roku, Piemontczyk Giovanni Giolitti, który sprawował ten urząd łącznie przez ponad dziesięć lat z przerwami, aż do roku 1921. Jednak pierwszy rząd Giolittiego upadł już 15 grudnia 1893 roku, w wyniku największego skandalu finansowego w historii Włoch.

Pod koniec XIX wieku Banca Romana, Bank Rzymski, był jedną z sześciu włoskich instytucji upoważnionych do emisji banknotów będących prawnym środkiem płatniczym oraz do rozszerzenia w określonych granicach tej emisji poza gwarancję złota. W 1889 roku minister przemysłu Francesco Miceli na polecenie Crispiego wszczął dochodzenie w sprawie działalności tego banku, które ujawniło poważne nieprawidłowości, w tym zawyżoną o dwadzieścia pięć milionów lirów emisję, nieuprawniony druk dziewięciu milionów i nielegalne finansowanie biznesmenów, polityków, a nawet króla. Jednak wyniki śledztwa zostały upublicznione dopiero 20 grudnia 1892 roku, kiedy dotarły do rąk sycylijskiego posła Napoleonego Colajanniego, który odczytał je podczas burzliwej sesji izby niższej parlamentu. 19 stycznia 1893 roku aresztowany został prezes Banca Romana, Bernardo Tanlongo, wraz z głównym księgowym, Cesarem Lazzaronim. Postawiono im zarzut defraudacji i fałszowania dokumentów publicznych. Jednak dwa śledztwa – parlamentarne i sądowe – charakteryzowały się powściągliwością i zaniechaniami, kompromitujące dokumenty w tajemniczy sposób znikwały, a oskarżenia padały również pod adresem Giolittiego i Crispiego. 23 listopada odczytano w sądzie

raport sporządzony przez „komisję siedmiu” – parlamentarną komisję śledczą – ujawniający odpowiedzialność byłych ministrów, deputowanych, administratorów i dziennikarzy. Giolittiego zmuszono do dymisji, a szefem rządu po raz trzeci został Francesco Crispi (15 grudnia 1893). Proces Tanlonga i Lazzaroniego zakończył się 28 lipca 1894 roku wyrokiem „politycznym”: obaj zostali uniewinnieni.

Skandal Banca Romana (spowoduje on utworzenie Banca d'Italia, Banku Włoch, co nastąpiło oficjalnie 10 sierpnia 1893 roku) nie był jedynym nieszczęściem trapiącym kraj. Już w 1891 roku na Sycylii, przeżywającej poważne trudności z powodu kryzysu gospodarczego, a w rolnictwie wciąż udręczonej systemem latyfundiinalnym, powstały Fasci Siciliani dei Lavoratori, Sycylijskie Związki Pracujących, ruch społeczny walczący o byt ludzi należących do niższych warstw społecznych. Początkowo Fasci zawiązywały się w miastach – i dlatego uważano je za nieszkodliwe, bo podobne do towarzystw wzajemnej pomocy – ale zyskały ogólnokrajowy rozgłos, gdy przyłączyły się do nich masy chłopskie. 20 stycznia 1893 roku w Caltavuturo w prowincji Palermo pięciuset mężczyzn i kobiet zajęło gminną ziemię, „chcąc pokazać, że jest ona własnością wspólną”, jak już dzień później pisał wydawany w Mediolanie dziennik „Corriere della Sera”. Do manifestujących otworzyli ogień karabinierzy, zabijając trzynaście osób. Demonstracje, strajki i protesty trwały przez cały rok, najintensywniej w sierpniu, głównie w prowincjach Palermo, Agrigento, Caltanissetta i Trapani.

Wydarzenia związane z Banca Romana i Fasci Siciliani stanowiły awers i rewers tego samego problemu, co dobrze ujął Napoleone Colajanni w przemówieniu wygłoszonym w izbie deputowanych 30 stycznia 1893 roku: „W ciągu ostatnich kilku dni zajmowałem was kwestią bankowości, a teraz muszę krótko przedstawić bardzo bolesne wydarzenia z Caltavuturo. Choć na pierwszy rzut oka może się tak nie wydawać, istnieje głęboki związek między tymi dwoma zagadnieniami, bo o ile w pierwszym widzimy walkę toczącą się na górze, między klasami rządzącymi pragnącymi uzyskać jak najwięcej luksusu, o tyle w wydarzeniach z Caltavuturo widzimy walkę ubogich o zdobycie minimum koniecznego do egzystencji”.

\*

Perły są wspaniałe. I dziwne. Ani martwe, ani żywe.

Rodzą się w ostrydze, której skorupa przypomina skałę, ale jej wnętrze jest przytulne i pulsuje poświatą masy perłowej. Rodzą się z bólu. Gdy obce ciało dostaje się do ostrygi, zmusza ją do reakcji, do tworzenia konkretu z masy perłowej wokół elementu raniącego jej ciało.

Z cierpienia rodzi się piękno, podobnie jak wiele innych rzadkich i cennych rzeczy.

„Najpierwszą tedy i najwyższą z wszystkich rzeczy cenę mają perły”, pisze Pliniusz Starszy w swojej *Historii naturalnej* (I wiek naszej ery) i wyjaśnia: „[...] bywają zapładniane, jak mówią, rosą, przyjętą w siebie: potem rodzą, a płodem konch są perły, które mają własności podług rosy przyjętej; jeżeli ta wpłynęła czysta, perła jest białej i świetnej farby; jeżeli zaś mętną, natenczas i płód jest nieczysty; staje on się bladym, gdy w czasie poczęcia niebo powleczone było groźnemi chmurami”<sup>40</sup>. Pliniusz relacjonuje, że królowa Kleopatra założyła się z Markiem Antoniuszem, iż zje potrawy warte dziesięć milionów sesterców w czasie jednej uczy. Następnie zażądała, by przyniesiono jej puchar z octem, rozpuściła w nim jedną z dwóch pereł, które nosiła w kolczykach, i wypiła zawartość. Za panowania Oktawiana Augusta zamiłowanie do pereł – według prawa mógł je nosić wyłącznie patrycjat – skłoniło niektórych kupców do wyspecjalizowania się w handlu nimi. Pasja ta pozostała żywa przez wieki: Elżbietę I przedstawia się w sukniach ozdobionych perłami, symbolizującymi czystość i dziewictwo, a także gospodarczą potęgę; oprócz słynnej *Dziewczyny z perłą* (1665–1666) Jana Vermeera kolczyki, naszyjniki i bransolety z pereł można znaleźć też na wielu innych obrazach siedemnastowiecznych malarzy holenderskich; na portrecie z 1859 roku pędzla Franza Xavera Winterhaltera królowa Wiktoria, wówczas czterdziestoletnia, nosi naszyjnik z diamentów o wadze 161 karatów i bransoletę z pereł ozdobioną kameą z podobizną jej męża, księcia Alberta; tę samą bransoletę królowa nosi na portrecie pędzla Berthy Müller

z 1900 roku eksponowanym w londyńskiej National Portrait Gallery: starsza, zmęczona, smutna królowa w żałobnej sukni (choć Albert nie żyje od niemal czterdziestu lat), nosząca tę bransoletę na znak wierności.

Aż do tego czasu są to naturalne perły. Dopiero pod koniec XIX wieku japoński badacz, Kokichi Mikimoto, opracował system „rodzenia” pereł. Stał się niezmiernie bogaty i jak przystało na geniusza marketingu, którym niewątpliwie był, oświadczył: „Chcę dożyć dnia, gdy będzie tak wiele pereł, że każda kobieta będzie mogła kupić naszyjnik, a my będziemy mogli dać po jednym tym kobietom, których nie będzie na niego stać”. Prorocze zdanie – perły hodowlane są dziś w zasięgu każdego. Stały się popularną, czasem wręcz pospolitą biżuterią.

Naturalne perły, córki morza i ukrytej rany, pozostają dobrem dostępnym dla nielicznych.

\*\*\*

Dzień jest jasny, wydany na podmuchy gniewnego wiatru i zimny. Zaproszeni goście spieszą do kościoła San Jacopo in Acquaviva w Livorno, starając się uniknąć rozbryzgów fal atakujących molo i przeklinając pod nosem niepogodę.

San Jacopo ma proste, surowe linie. Zupełnie inne niż bogate barokowe kościoły Palermo, miasta przyszłych małżonków. Jego fasada wychodzi na nabrzeże, zupełnie jakby to była dla nich bezpieczna przystań. Wzdłuż nawy róże i białe lilie pyszną się w koszach ozdobionych kaskadami bluszczu. Aromat kadzidła miesza się z zapachem kwiatów. Szum morza za murami stanowi kontrpunkt dla muzyki organów.

Przez uchylone drzwi zakrystii proboszcz zerka na obecnych, którzy zajęli już miejsca w ławkach. Pociera dłonie o sutannę, potem łapie się za głowę, kręci nią. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie musiał odprawić tak ważny ślub. I to w lutym!

Niedługo potem z kościoła wychodzi mężczyzna i zerka na zewnątrz. Znika, by wkrótce pojawić się ponownie; podaje ramię

ubranej na czarno kobiecie.

To matka i syn.

Ignazio i Giovanna.

Za nimi Giulia Lanza di Trabia i Emma di Villarosa trzymają za ręce niespokojnego i podekscytowanego Vincenzina.

Idą nawą z wysoko podniesionymi głowami, piękni, wspaniali, elegancy. Gdy Ignazio zbliża się do ołtarza, trzy kobiety i dziecko zajmują miejsca w pierwszej ławie, a do nich dołączają Romualdo Trigona i Giuseppe Monroy, друзbowie; uśmiechają się, całują dłonie kobiet i gładzą włosy Vincenzina. Następnie podchodzą do Ignazia, śmieją się wraz z nim.

I kto by pomyślał, że to on będzie pierwszym, który skapitułuje?

Po chwili przybywa również Pietro Lanza di Trabia, ale ma mrok na twarzy. Kiwa głową do Giulii, a ta wstaje, odprowadzana zatroskanym spojrzeniem Giovanny.

Para oddala się o kilka kroków.

Giulia podnosi dłoń do serca, chcąc się uspokoić. Nie ma odwagi pytać. Jej najmłodszy, zaledwie dwuletni syn Blasco jest bardzo chory. Do ostatniej chwili nie była pewna, czy uda jej się uczestniczyć w ślubie brata. Opiera dłoń na ramieniu męża w niewypowiedzianym pytaniu.

– Nic nowego. To samo co we wczorajszym telegramie – odpowiada Pietro, wzruszając ramionami. – Wciąż słaby, gorączkuje i kaszle. – Powstrzymuje westchnienie, po czym ściska jej nadgarstek. – Ale teraz jesteśmy tutaj.

Giulia mruga, odwraca głowę. Nie będzie płakać, nie dzisiaj.

Patrzy na Giovannę i kręci głową. „Nic nowego”, mówi bez słów, a matka zamyka się w sobie, ściskając w dłoniach swój nieodłączny różaniec ze srebra i koralu. Potem Giulia podnosi wzrok i patrzy na Ignazia. Jej brat ma dwadzieścia cztery lata i wciąż jest bardzo niedojrzały. A jednak jest tak zakochany, że gotów nawet zmienić swoje życie.

Mimo bólu Giulia się uśmiecha. Nie, nie mogła opuścić jego ślubu.

\*\*\*

– No i stało się! – wykrzykuje Romualdo Trigona, klepiąc Ignazia po plecach.

Ten wzrusza ramionami, ale się śmieje.

– Och, spokojnie!

Jest szczęśliwy jak chyba nigdy dotąd. Przynajmniej od śmierci ojca. Myśl o ojcu to cień, kropla atramentu, która z trudem rozcieńcza się w przejrzystym oceanie szczęścia.

Ignazio ma się właśnie ożenić z najpiękniejszą kobietą w Palermo. Zaczął się do niej zalecać już wtedy, gdy ujawniła się choroba, która zabrała mu ojca, ale początkowo daleki był od poważnych zamiarów. A potem wszystko się zmieniło. Narodziło się łagodne uczucie i delikatnie towarzyszyło mu w tygodniach poprzedzających śmierć ojca. Jej słowa były jedynymi prawdziwymi słowami pocieszenia; jej pieszczoty łagodziły ból straty.

Romualdo podnosi wzrok na sufit nawy głównej.

– Co prawda ten kościół jest goły, ale mimo wszystko... – Potem patrzy na przyjaciela i na chwilę w jego spojrzeniu, zwykle tak szyderycznym, widać dziwną powagę. – Czy kiedy ją poznałeś, wyobrażałeś sobie, że właśnie z nią się ożenisz?

Ignazio odwraca głowę w stronę Romualda. Marszczy czoło, a potem uśmiech rozluźnia jego rysy, wypełnia oczy dumą.

– Nie. Ale od razu wiedziałem, że to wyjątkowa kobieta.

„I taka właśnie jest”, powtarza w duchu.

Wszystko zaczęło się w pogodne wiosenne popołudnie, podczas spaceru w towarzystwie Romualda po publicznym ogrodzie Villa Giulia, wciśniętym między Foro Italicco a ogród botaniczny. Tam, wśród alei palm i żywopłotów pospornicy, zobaczyli trzy ubrane na biało dziewczęta w towarzystwie guwernantki mówiącej z silnym niemieckim akcentem. Bezcelni jak zwykle, poszli za nimi. Dziewczęta to zauważyły i zaczęły chichotać. W odpowiedzi on i Romualdo zaczęli pogwizdywać i wymieniać głośne żarty.

A potem zerwał się nagły wiatr. Słomkowy kapelusz odfrunął i spadł na ziemię, wywołując okrzyki dziewcząt. Ignazio wkrótce się

dowie, że dwie z nich to siostry Emma i Francesca Notarbartolo di Villarosa. Uważano je za jedne z najpiękniejszych w Palermo, a ich rodzinę łączyła z Floriami dawna przyjaźń.

„Ale ta trzecia? Kim ona jest?”

Wysoka, posągowa, o bursztynowej skórze. Zaczęła biec ścieżką, goniąc kapelusz, który wiatr unosił wciąż dalej. Wszystko w niej emanowało spontanicznym, nieodpartym wdziękiem: lekki, sprężysty krok, dłoń podtrzymująca białą spódnicę, która unosząc się, ukazywała zgrabne kostki, druga ręka osłaniająca oczy przed słońcem, mglisty uśmiech bez śladu złośliwości.

Ignazio był szybszy: pobiegł za kapeluszem, podniósł go, oddał właścicielce i skorzystał ze sposobności, by się przedstawić, jak to on – czarujący i zuchwały zarazem. Dziewczyna wzięła kapelusz, a potem wypowiedziała swoje imię, podczas gdy cudowny rumieniec zabarwił jej policzki.

Franca Jacona di San Giuliano.

Tak, Ignazio słyszał o niej w klubie dla arystokratów na Foro Italico. Podczas jednej ze zwykłych jałowych rozmów w gęstym dymie cygar i przy brzęku kieliszków koniaku ktoś powiedział, że ta dziewczyna nagle rozkwitła i stała się prawdziwą pięknoscią. A potem mrugnął do niego. Wtedy Ignazio uśmiechnął się jak drapieznik i powiedział, że sam się przekona, gdy będzie miał okazję.

Nikt jednak nie powiedział mu o tej długiej, giętkiej szyi podkreślonej przez koronkowy kołnierz, o tych pełnych piersiach, wznoszących się i opadających pod falbankami bluzki, o tych zgrabnych kostkach, które ujawniły się, gdy biegła za kapeluszem. O tych dużych zielonych oczach, czystych i pełnych zakłopotania, które teraz wpatrywały się w niego.

To właśnie te oczy sprawiły, że Ignazio stracił głowę. Żadna kobieta nigdy nie patrzyła na niego w tak bezpośredni i szczerzy sposób, nawet te najbardziej nieskrępowane. W tych oczach była obietnica wspaniałości i wydawała się skierowana tylko do niego.

Nie mieli tego samego kręgu znajomych ani nie bywali w tych samych salonach, ale po tym pierwszym spotkaniu Ignazio niestrudzenie zabiegał o kolejne. Zaczął przejeżdżać swoim lando

pod balkonami palazzo Villarosa, gdzie mieszkała, rzucał jej długie spojrzenia z daleka, szukał sposobności, by natknąć się na nią w Villa Giulia, gdzie lubiła spacerować, i wysyłał jej namiętne listy. Po pierwszym okresie niewinnego oporu Franca przyjęła zaloty najpierw z niedowierzaniem, a potem z taką otwartością, że Ignazio się zaniepokoił. Ale te nieliczne chwile, kiedy mogli być ze sobą sam na sam, przeżywali z drżeniem serca i obawą, że zostaną odkryci, ponieważ rodzina Jacona di San Giuliano nigdy nie zaakceptowałaby dla swojej córki takiego zalotnika jak Ignazio, najbardziej bezwstydnego kobieciarza w Palermo. Ignazio o tym wiedział i nawet nie mógł ich winić. Nigdy nie był święty i zawsze lubił kobiety.

Bardzo.

Ale ona jest inna. Ona jest Franca. I on – wie to, czuje – będzie ją kochał całe życie.

\*\*\*

Giulia podchodzi do matki, mówi o zdrowiu Blasca. Giovanna zmęczonym głosem szepce: „Niech się dzieje wola Boża”, po czym sugeruje córce, aby wyszła poczekać na pannę młodą. Giulia kiwa głową i wyrusza wraz z Emmą. Vincenzino wykorzystuje okazję, by wymknąć się im i dołączyć do Ignazia.

Giovanna odwraca się w stronę donny Ciccii, która siedzi daleko z tyłu, i kręci głową. Stara kobieta czyni znak krzyża. One dwie nie potrzebują wielu słów.

Od śmierci męża minęły niecałe dwa lata, ale Giovanna ma na sobie dopasowaną, elegancką suknię żałobną z satyny i aksamitu z koralami na nadgarstkach. Mroczna plama wśród kwiatów, które Ignazio sprowadził ze szklarni połowy Włoch. Czuje się przygnębiona i nie na miejscu, jakby życie wymknęło jej się spod kontroli, a ona nie może zrobić nic, by pozbierać rozpadające się kawałki. Jest rozgoryczona. Bardzo rozgoryczona. Nie na takie małżeństwo liczyła dla swojego syna. I to nie tylko dlatego, że ceremonia odbywa się w obcym mieście, z dala od Palermo i ich



przyjaciół, w kościele tak pustym, że gdy weszła, ścisnęło jej się serce. Kręci się w ławce, jest jej niewygodnie. „Zupełnie jakbyśmy uciekli z domu”, myśli. I w pewnym sensie tak jest.

W Palermo nigdy nie brak oczu, które badają i oceniają, nie brak wymienianych bez przerwy szeptów, słów upuszczanych w odpowiednim momencie z łatwością i właśnie z tego powodu cięższych niż gład. Myśleć, że pewne rzeczy pozostaną ukryte, jest złudzeniem, wyobrazać sobie, że nie jest się zauważonym, jest naiwnością, za którą można drogo zapłacić. A im bardziej soczysta plotka, tym bardziej karmi wygłodniałe ego tych, którzy ją rozpowszechniają lub podsycają.

Było więc nieuniknione, że plotki o zalotach Ignazia do Franki dotrą do Giovanny mimo grubej zasłony żalu po śmierci ukochanego męża. Zaniepokoiły ją do tego stopnia, że poprosiła donnę Ciccę, by wybadła, czy ten flirt nie ma się przypadkiem przerodzić w coś poważniejszego.

Szybkość, z jaką donna Ciccia zebrała plotki i opowieści na temat Franki, sprawiła, że Giovanna zaniemówiła. Widziano ich, owszem, wiele razy, i to również w sytuacjach, które pannie z dobrego domu nie przystoją. Ale jeszcze bardziej niepokojący był spokój, z jakim Ignazio przyznał się jej, że kocha Francę i że spotykają się od miesięcy, choć rodzice dziewczyny są temu przeciwni. Powiedział to stanowczym głosem i z płomieniem w oczach, który głęboko zaniepokoił matkę, ponieważ po raz kolejny uświadomiła sobie, że jej syn jest już mężczyzną i przestał jej słuchać.

Przysięgał jej, że Franca jest właściwą osobą – „Czuję to, *maman*: nikt na mnie nie patrzy tak jak ona” – i że chce się z nią ożenić, że przy niej czuje się wreszcie szczęśliwy i lekki. Że jest zmęczony życiem w tym ponurym domu po śmierci ojca, że chce się cieszyć i kochać, a nie myśleć tylko o pracy i zmarłych, którzy jak duchy wciąż unoszą się wokół niego.

Tego już było za wiele. Jak śmiał wymawiać jej żałobę? Giovanna protestowała, przypominając mu jego miłostki w całej Europie, pieniądze – wielkie, zdecydowanie zbyt wielkie – wydawane na przyjęcia i eskapady, jego nieprzystojne znajomości, brak szacunku dla pamięci ojca, jego niewdzięczność wobec obojga rodziców.

Posunęła się nawet do insynuacji, że Jacona go wykorzystują, bo owszem, mają arystokratyczny tytuł, ale są zadłużeni po uszy. Wszyscy wiedzieli, że interesy ojca Franki źle się mają i że przestał płacić swoim dostawcom. Ignazio wzruszał ramionami na te stwierdzenia – „Wszyscy w Palermo mają długi, *maman*” – i nadal utrzymywał, że Franca jest dla niego idealną kobietą. Nie było o czym dyskutować.

Giovanna zareagowała zatem tak, jak umiała, a raczej tak, jak zwykł reagować świat. Uzbroidła się w cierpliwość i czekała, aż to zauroczenie minie. Zaprzeczała wszystkiemu, mówiła, że Ignazio zachował się bez zarzutu i że jeśli ktoś tu ponosi winę, to właśnie ta dziewczyna, ponieważ była jeśli nie lekkomyślna, to przynajmniej nieostrożna, pozwalając sobie na poufałość z jej synem, który, jak wiadomo, jest młodzieńcem o gorącym temperamencie.

Wszystko na próżno. Palermo nie przestało plotkować. Imiona Franki i Ignazia biegły ulicami, znajdowały schronienie w salonach, za wachlarzami, pod kapeluszami mężczyzn, którzy między szturchnięciem a dwuznacznym uśmiechem opowiadali o potajemnych spotkaniach przeradzających się – o zgrozo! – w śmiałe schadzki.

Nagle jednak stało się coś nieprzewidzianego: rodzina Franki musiała się na jakiś czas przenieść do Livorno, prawdopodobnie z powodu zbyt natarczywych wierzycieli. Przynajmniej tak mówiono. Giovanna odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że dzięki odległości wszystko wygaśnie, niczym ogień, do którego nie dokłada się drewno, i że Ignazio znajdzie sobie inną do zabawy.

Tymczasem...

\*\*\*

– Oczywiście wolałabym, żeby ten ślub odbył się w Palermo, ale nic nie szkodzi. Najważniejsze, że moja Franca jest szczęśliwa.

Costanza Jacona Notabartolo di Villarosa, baronowa San Giuliano, ściska dłoń swojej bratanicy, Franceski di Villarosa, siedzącej obok niej w powozie. Dziewczyna kiwa głową.

– Tak – szepce, zaciskając cienkie wargi i opuszczając twarz, która zdaje się wtapiać w półmrok.

Nosi czarną suknię. Żałobną.

Owdowiała, gdy nie miała nawet dwudziestu lat. Poślubiła Ameriga Gondiego, tokańskiego arystokratę, którego już po trzech miesiącach małżeństwa zabrała straszliwa choroba; na nic zdały się lekarstwa czy zbawienne powietrze wsi pod Palermo, gdzie przenieśli się małżonkowie w nadziei na poprawę. Czując zbliżający się koniec, Amerigo poprosił, by dane mu było umrzeć w Viareggio, i tam zabrał go jeden z parowców Domu Florio na polecenie Ignazia, który wiedział o głębokim uczuciu łączącym Francescę i Francę. I właśnie dlatego, że Franca jest dla niej jak siostra, Francesca zgodziła się wziąć udział w ceremonii: ślub kuzynki jest jedynym światłem w gęstej jak smoła ciemności, która spowija jej dni.

Szybkim gestem ociera łzy. Nie chce, by ciotka widziała jej płacz ani by się nad nią litowała. Nie chce wprowadzać smutku w ten radosny dzień. Costanza jednak widzi jej ból i z zakłopotaniem przygryza wargę. Następnie odwraca się do Franza, swojego syna, i poprawia mu kłapę marynarki. Chłopak reaguje czymś w rodzaju grymasu, który miał być uśmiechem. Ona wzdycha i odwraca się do swej damy do towarzystwa.

– Wytrzyjcie mu usta. Ślini się – mówi z nutą żalu w głosie.

Smutek widać również w oczach Franceski, która bez słowa śledzi gesty baronowej. Wie, co ciotka czuje do tego chorego od urodzenia dziecka i jak wiele wycierpiała. Straciła pięcioro dzieci w bardzo młodym wieku, przeżyli tylko Franca i Franz. Teraz jednak nadeszła wreszcie jakaś radość. Z miłosną gwałtownością Costanza chroniła Francę, modląc się, by przynajmniej ona mogła być szczęśliwa. To małżeństwo jest odpowiedzią na jej modlitwy.

\*\*\*

Kiedy powóz zatrzymuje się przed San Jacopo in Acquasanta, Franca drży. Patrzy na swojego ojca, Pietra Jacone, po czym spuszcza wzrok. Nie powinna być spięta: jest piękna i wie o tym. Potwierdziło

jej to odbicie w lustrze tuż przed wyjściem do kościoła. W złoconej ramie ukazała się jej harmonijna twarz, duże zielone oczy, długie czarne włosy uczesane w szerokie fale, smukła sylwetka. Ma dziewiętnaście lat, wdzięk i elegancję, nosi wspaniałą jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej z długim tiulowym welonem. Nie ma znaczenia, że jest blada i że drży z zimna. Wkrótce ma poślubić mężczyznę, którego kocha. Ona, która nigdy wcześniej nikogo nie kochała.

Jej palce drżą, a serce z niewiarygodną prędkością pompuje krew do arterii: słyszy w uszach ryk, tak głośny, że niemal zagłusza szum fal rozbijających się o molo, ponury dźwięk, który gasi jej myśli. Czuje się jak romantyczna bohaterka, ale ma pewność, że to nie jest szczęśliwe zakończenie. To początek wspaniałego życia.

Potem przychodzą wspomnienia, te gorzkie, z czasów, kiedy cierpiała, kiedy myślała, że traci wszystko, kiedy ona i Ignazio zostali zmuszeni do rozstania. Na początku, kiedy go poznała, czuła się tak, jakby gwałtowne światło przebiło się przez zasłonę mroku otaczającego ją przez niemal dwadzieścia lat. Dotąd bowiem niewielu zauważało baronównę Jacona di San Giuliano, mieszkającą w zaledwie przyzwoitym palazzo Villarosa, *u' palazzo cornutu*, rogatym pałacu, jak go nazywano, być może z powodu dwóch kominów górujących nad fasadą, a może z powodu licznych pozamałżeńskich romansów jego właściciela, Francesca Notarbartola, diuka Villarosy. Potem pojawił się Ignazio Florio i jego zaloty, a wówczas całe miasto zwróciło na nią uwagę. Znalazła się na ustach wszystkich. Nie mogąc przyczepić się do jej niekwestionowanej urody, krytyka – nieraz bezlitosna – skupiła się przede wszystkim na sposobie chodzenia, mówienia i ubierania się Franki. Ale i to nie trwało długo: Jacona di San Giuliano, choć znajdowali się obecnie w trudnej sytuacji finansowej, nigdy nie oszczędzali na córce i nie tylko zapewnili jej nienaganne wykształcenie, powierzone sprowadzonej z Niemiec guwernantce, lecz także wychowali ją w miłości do piękna i elegancji. W końcu, w następstwie oskarżeń pod adresem Ignazia – kobieciarza, lekkoducha, nieokrzesanica – plotki zmieniły się w opowieści naznaczające ją jako skompromitowaną, „zepsuty towar”,

dziewczyne zbyt lekkomyślną, by wciąż uważać ją za godną szacunku, bezwstydną grzesznicę.

Wówczas musiała zmierzyć się z gniewem ojca, który najpierw zamknął ją w domu, a następnie wywiózł do Livorno wraz z matką i bratem. I na nic zdały się jej protesty, że naprawdę kocha Ignazia Florio: niczym fala nieczystości płynąca wartkim nurtem z Palermo plotki i złośliwości dotarły nawet do Livorno, dołączając do okrutnych komentarzy na temat jej ojca i niespłaconych długów.

Franca patrzy na portal kościoła. Okrywa ją lodowaty płaszcz niepokoju. Czy uda jej się sprostać wymaganiom nowej rodziny? Florio posiada największą włoską flotę morską, jej przyszła teściowa zna koronowane głowy połowy Europy, szwagierka jest księżną. Franca zostanie jedną z nich, a nie żoną prowincjonalnego barona czy podrzędnego markiza.

Zostanie Florio.

Teraz zdaje sobie sprawę, że wszystko się zmieni, a ta myśl wywołuje u niej zawrót głowy. Gorset robi się nagle zbyt ciasny, by mogła swobodnie oddychać.

A Ignazio? Czy rzeczywiście będzie ją kochał na zawsze, jak powtarza, czy też się nią zmęczy?

Strach.

Dlaczego teraz?

Ojciec przygląda się jej ze zmarszczonym czołem, jakby czytał w jej twarzy lęk i niepewność, które każą jej zamknąć oczy. Jego skryte pod zarostem wargi zaciskają się w twardą kreskę. Od początku był przeciwny temu związkowi. Na wszelkie sposoby próbował odwieść córkę od tego zamiaru, najpierw rozsądną argumentacją, potem złością, a w końcu bezlitosnymi opiniami: Ignazio jest niesolidny, pozbawiony kręgosłupa, zbyt zepsuty, by wziąć na siebie odpowiedzialność za rodzinę. Niezdolny do wierności, stały jedynie w dążeniu do przyjemności.

Każde oskarżenie rozbijało się z jednej strony o mur łez Franki, a z drugiej o determinację młodego człowieka, który wykazał się niespodziewaną wytrwałością i jeździł za nią aż do Toskanii. W pewnym momencie Pietro musiał skapitulować. Nie zrezygnował jednak całkowicie i głęboko w środku obawiał się dnia, w którym

jego córka zrozumie, że te obiekcje miały solidne podstawy. Ale teraz ma już tylko nadzieję, że rany pozostawione przez tamtą walkę się zablżnią.

– Wszystko dobrze? – pyta ją.

Ona próbuje odpowiedzieć, ale nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Dopiero po chwili szepce ciche „tak”.

Ojciec ściska jej dłoń.

– Zawsze bądź ostrożna, kochanie. To kobieciarz i nawet jeśli mówi, że cię kocha, miej oczy otwarte.

Dziewczyna podnosi głowę. Zniknęły wszelkie oznaki strachu.

– Nie będzie musiał szukać innych kobiet. Ma mnie – mówi dobitnie, zdecydowanie, niemal gniewnie. – Obiecał, że będzie pragnął tylko mnie.

Nie czekając, aż stangret otworzy drzwi powozu, Pietro wychyla się i sam otwiera je szeroko.

– Wiem, że mówi, że cię kocha, Franca, i nie wątpię, że tak jest – odpowiada. – Ale ten człowiek to łowca – dodaje już ciszej i wiatr porywa to zdanie ze sobą.

Francesca i Emma pomagają jej wyjść z powozu, podtrzymując suknię, aby się nie pobrudziła. Costanza na próżno próbuje utrzymać w porządku welon córki targany przez wiatr.

Kilka kroków i są na progu kościoła.

Kuzynki śmieją się, całują Francę i poprawiają fałdy spódnicy. Stojąca kilka kroków w tyle matka usiłuje powstrzymać łzy, zakrywa twarz, ale potem wykrzykuje:

– Ależ jesteś piękna, córeczko moja!

Obejmuje ją, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, wywołując protesty Emmy i Franceski, które mówią, że nie, nie płacze się na ślubie, bo to przynosi nieszczęście.

Costanza bierze twarz córki w dłonie, całuje ją w czoło i szepce:

– Wychodzisz za kogoś, kto poruszył niebo i ziemię, żeby cię zdobyć, czy wiesz o tym?

Nie może jednak czekać na odpowiedź: kuzynki niemal ciągną ją do wnętrza świątyni, zostawiając Francę z ojcem.

A on podchodzi do niej i podaje jej ramię. W milczeniu. Między nimi w mgnieniu oka przebiega wspomnienie słów

wypowiedzianych, wykrzyczanych, przemilczanych. Ale teraz należą już do przeszłości, ustąpiły miejsca serdeczności i nadziei.

Drzwi kościoła otwierają się szeroko. Dźwięki organów docierają do Franki, otulają, wciągają w wypełnioną kwiatami nawę. Jej pierwsze kroki są niepewne, tak niepewne, że Pietro przygląda jej się ze zdziwieniem. Jednak w chwili, gdy Franca dostrzega Ignazia czekającego przed ołtarzem, odmienia się: rozluźnia uścisk na ramieniu ojca, prostuje plecy i kroczy pewnie, z wysoko uniesioną głową.

Ledwie dostrzega Giovannę, całą w czerni, sztywną i smutną, Vincenzina przechylającego głowę, by lepiej się jej przyjrzeć, Giulie posyłającą jej przyjazny uśmiech. Jej matka i kuzynki mają łzy w oczach i mną chusteczki. W kościele nie ma prawie nikogo innego.

To zupełnie inny ślub niż ten, który Franca wyobrażała sobie w swoich nastoletnich marzeniach. Ponure niebo, lodowaty wiatr, nieznaną kościół, żadnego pazia, niewielu gości. Ale teraz nie chce niczego więcej i nikogo nie potrzebuje poza swoim Ignaziem.

Wszystko, czego pragnie, jest przed nią.

Pietro kładzie dłoń Franki na dłoni Ignazia, a ten zbliża ją do swoich ust.

– Jesteś przepiękna – szepce, a jego oddech jest urywany.

Franca miałaby ochotę śmiać się i krzyczeć z radości. Czuje, że życie tańczy w jej piersi. Jest najszczęśliwszą i najbardziej kochaną z kobiet, mówi sobie i dziękuje za to niebu. Udaje jej się powiedzieć jedno słowo, tylko jedno, a ono unieważnia długie czekanie, cierpienie, plotki, obmowy, wątpliwości, dystans, kłótnie. Franca wpatruje się w mężczyznę, który ma zostać jej mężem, i mówi:

– Nareszcie!

\*\*\*

Atmosfera weselnego obiadu jest pogodna i swobodna. Franca i Ignazio śmieją się, trzymają za ręce. Są we własnym świecie, zanurzeni w niewyobrażalnym szczęściu, jakby otaczał ich nimb

światła. Siostra Ignazia, Giulia, patrzy na nich i spuszcza wzrok na porcelanowy talerz, wciąż pełen jedzenia, którego ledwie skosztowała. Ona nie miała prawa wyboru, kogo ma pokochać, jej małżeństwo zostało zaaranżowane. Błądzi wzrokiem po gościach i rozważa, jak jej pozornie godne pozazdroszczenia życie jest zupełnie inne, niż się wydaje: ciężko chory syn, któremu być może grozi śmierć, teściowa, która jej nienawidzi, i mąż, który traktuje ją z szacunkiem i nic ponadto. Nigdy nie czuła tego ognia, który widzi w twarzy Franki.

Pietro przygląda się żonie z dystansu. Giulia jest piękna, inteligentna i wyrafinowana, owszem, ale z biegiem lat zaczyna za bardzo przypominać swoją matkę, baronównę Giovannę d'Ondes. Ma jej twarde i surowe usta, zmarszczkę między wiecznie ściągniętymi brwiami, a nawet jej temperament... Wzrok Pietra pada na teściową, która wygładza nieistniejącą fałdę obrusu, a oczy ma zagubione w pustce. Pietro nie może powstrzymać dreszczu niepokoju: czy jego żona będzie taka sama?

– A cóż to za smutna twarz?

Romualdo Trigona nie czeka, aż kelner poda mu krzesło. Bierze je sam, ustawia obok Pietra i siada, zakładając nogę na nogę z typową dla siebie nonszalancją. Następnie wskazuje głową w kierunku młodej pary i opiera ręce na kolanach.

– Ignazziddu wciąż nie wie, co go czeka – mruczy z sarkastycznym uśmieszkiem. – Jak to zakochany.

– Wiem. I ma tylko do tego głowę, ale to nie może trwać długo. Bo też złe czasy się zbliżają...

Romualdo marszczy brwi. Prosi służącego o kieliszek szampana, a potem pyta przyjaciela:

– Co masz na myśli?

Pietro ścisza głos:

– Aresztowanie Bernarda Tanlonga i Cesarego Lazzaroniego z Banca Romana. Po tym, co oni wyprawiali...

Romualdo ze zrozumieniem kiwa głową.

– Już w grudniu było jasne, że dzieje się coś dużego, kiedy Colajanni podniósł hałas w izbie deputowanych i zaczął pytać,



dlaczego rząd nie upublicznił wyników dochodzeń komisji parlamentarnych w sprawie instytucji kredytowych...

– ...a więc prowadzonych również w okresie, gdy premierem był Crispi – kończy za niego Pietro. Potem milknie, odwraca głowę w kierunku Ignazia. – Dom Florio nie przejmował się tym zbytnio, także dlatego, że nasz Ignazio miał i ma głowę zaprzątniętą całkiem czym innym, ale w sprawę zamieszany jest również Crispi, a to już coś bardzo poważnego. Prawda jest taka, że niestety każdy ma coś na sumieniu w tej aferze. – Klepie Romualda w ramię, jego rysy się napinają. – To, że Crispi sam nie nagłośnił sprawy, potrafię jeszcze zrozumieć: zbyt wiele osób i zbyt wiele banków było w to zaangażowanych. Pamiętasz Banco di Napoli i proces dyrektora Cuciniello, który udzielał pożyczek na prawo i lewo, nawet ludziom bez zdolności kredytowej? – Pochyliła się do przodu. – W biurach Banca Romana znaleźli straszne rzeczy. Sfałszowane dokumenty, matryce drukarskie i papiery podpisane przez ważne osoby, które teraz trzęsą portkami. Tanlongo zarządzał kasą banku jak swoją własną.

Romualdo upija łyk szampana, po czym zasłania ręką usta i mówi jak najciszej:

– Tak. On i Lazzaroni zachowali matryce banknotów, które miały być zniszczone, i wykorzystali je ponownie, fałszując datę i podpis poprzedniego prezesa. Banknoty na nowym papierze, ale ze starymi numerami seryjnymi. I wydawali je ludziom, którzy prosili o pożyczki, nie mogąc zaoferować gwarancji, przyjacielom i krewnym lub po prostu tym, którzy nie chcieli figurować w rejestrach bankowych. Lub nie powinni.

Pietro otwiera usta, by coś powiedzieć, zamyka je na chwilę, po czym mruczy:

– W parlamencie mówi się teraz, że cały system jest zepsuty. Cały. Krążą nawet plotki o udziale króla.

Romualdo podnosi rękę, by go powstrzymać, patrzy w dal.

– Wiele się mówi, a ty wiesz lepiej niż ja, jak to działa. Wśród tylu plotek musi być ziarno prawdy.

Pietro kiwa głową, ale nie komentuje. Jest Sycylińczykiem i przestrzega złotej zasady, którą na Sycylii zna każdy: najlepszym

słowem jest to, którego się nie mówi. Potem unosi twarz i jej poważny wyraz szybko znika. Właśnie zbliża się Ignazio pod ramię z Giuseppem Monroyem.

– Oto i pan młody!

Romualdo zatrzymuje służącego, każe przynieść więcej szampana. Niedaleko słyhać kobiecey śmiech: to Franca gawędzi z kuzynkami i szwagierką; nawet Giulia się uśmiecha, jakby przynajmniej na kilka chwil opuścił ją niepokój o syna.

Ignazio zabiera butelkę z rąk służącego, oświadcza, że sam ją odkorkuje, ale jest podekscytowany, nieuważny i trunek ochlapuje jego i przyjaciół. Śmieją się.

Wznoszą toast, Ignazio podaje rękę Romualdowi.

– I co? O czym mówiliście? Wyglądałeś jak drugi listopada...

– O tym, co się stało w Rzymie, i o tym, że ludzie tacy jak Crispi są uwikłani w tę katastrofę – odpowiada Pietro.

Rola deputowanego do parlamentu otworzyła mu oczy na wiele mrocznych spraw i choć nie może wchodzić w szczegóły, lojalnie ostrzega swoich przyjaciół, gdy trzeba się mieć na baczności.

– Ale to dlatego, że Tanlongo i jemu podobne szumowiny dostały zbyt wiele swobody od Rzymu – stwierdza Ignazio. – Jak to możliwe, że przez lata nikt nie kontrolował banku? Okazja czyni złodzieja... i fałszerza, w tym przypadku.

Daje Romualdowi przyjacielskiego szturchańca, a ten robi mu miejsce obok siebie. Siadają we dwóch na jednym krześle jak dzieciaki.

– Nie wiem. Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy. – Szwagier poważnieje. Ignoruje kolejny wybuch śmiechu dochodzący od strony siedzących za nimi kobiet i patrzy na Ignazia z wyrazem twarzy, w którym mieszają się wyrzut i troska. – Nie pozwoliłbym Credito Mobiliare na otwarcie oddziału w tym samym lokalu co Banco Florio. Oni również mają swoje ciemne sprawy. Dobrze byłoby zachować wobec nich większą ostrożność.

Niewielka różnica wieku dzieli Pietra od jego szwagra, a jednak Pietro ma sposób bycia znacznie starszego mężczyzny. Czasami jest tak ostrożny i spokojny, że Ignazio zastanawia się, jak to możliwe, że jego siostra nie umarła przy nim z nudów. Wzrusza ramionami.

– Może i nie mają czystych rąk, ale Banco Florio jest solidny i nie ma nic do ukrycia. Mój ojciec pracował z nimi od czasu fuzji z Rubattinem. Credito Mobiliare to świetny bank, prowadzony przez porządnych ludzi. Dodatkowo dali mi stanowisko wiceprezesa biura w Palermo i jestem częścią ich zarządu. Gdyby coś nie grało, już bym wiedział, nie sądzisz? Zaoferowali mi wystarczające gwarancje. Zresztą ludzie w Palermo wiedzą, że jesteśmy dwiema różnymi instytucjami.

– Może i tak – mruczy Pietro, nieprzekonany.

Giuseppe potrząsa Ignazia za ramię.

– Hej, twoja żona rozgląda się za tobą. Zapomnij o interesach, nie wypada zaniedbywać tak pięknej panny młodej, by rozmawiać o nudnych rzeczach.

Ignazio odwraca się, spotyka zauroczone spojrzenie Franki. Posyła jej pocałunek opuszkami palców, po czym mówi do przyjaciół:

– Zabiorę ją do Florencji i Wenecji, a potem pojedziemy do Paryża. Chcę jej pokazać najpiękniejsze miejsca. Zasluguje na to. W zasadzie oboje na to zasługujemy, zwłaszcza po tym, co przeszliśmy, aby móc się pobrać, po wszystkich tych obrzydliwych plotkach. Teraz byle dalej od Palermo.

Romualdo wstaje, poprawia krawat.

– Bardzo dobrze. Wyjedź, zabaw się i wróć z dzieciakiem, najlepiej chłopcem: rodzina potrzebuje nowej krwi.

Ignazio i Giuseppe wybuchają śmiechem, Pietro prycha. Franca podchodzi do nich, podaje mężowi rękę, a on ją przyjmuje i całuje na oczach wszystkich.

Za oknami nadal świszcze wiatr.

\*\*\*

To właśnie w Paryżu, podczas miesiąca miodowego, Franka coś sobie uzmysłowiła. Wyczytała to w twarzy subiekta u Cartiera, który podszedł z ukłonem, oddając się do ich dyspozycji. Dostrzegła to w suchym, niemal niegrzecznym geście odmowy Ignazia, który zażądał: „*Appelez-moi le directeur, s’il vous plait*”<sup>41</sup>. Usłyszała to

w unizonym, zabarwionym niepokojem tonie dyrektora, przepraszającego w kółko, że to nie on ich powitał, składającego gratulacje, życzenia oraz wygłaszającego pochwały na temat urody i elegancji młodej żony i szczęścia młodego męża.

Franca uświadomiła sobie, że Ignazio mówi uniwersalnym językiem, który otwiera każde drzwi – językiem pieniędzy.

Wprowadzono ich do saloniku wyposażonego w lustra i aksamitne sofy, poczęstowano szampanem – wypić, ciesząc się, że może delektować się winem, które jeszcze kilka dni wcześniej było jej zupełnie nieznaną – a potem rozpoczął się pokaz biżuterii: otwieranie kolejnych futerałów, kryjących w sobie cuda. Franca wygłosiła kilka uwag w swoim niepewnym francuskim. Ignazio słuchał jej uśmiechnięty, poprawiał jej wymowę i pieszczotliwie dotykał jej szyi, co wywoływało więcej niż westchnienie. „Wybierz wszystko, co chcesz”, szepnął jej do ucha. A ona, drżącymi z emocji palcami, musnęła sznur grubych pereł mieniących się na czerwonym aksamicie. Uwielbiała perły, a do tej pory mogła sobie pozwolić jedynie na niewielkie okazy.

Kręciło jej się w głowie, ale nie od szampana, tylko od brylantów, szmaragdów, rubinów i pereł. Stanowiły bowiem niezaprzeczalny i obezwładniający znak nowej świadomości: rodzina Florio była ogromnie bogata. A ona weszła do tej rodziny.

Ignazio kupił jej parę pięknych kolczyków z pereł, ale przede wszystkim naszyjnik godny księżniczki: trzynastce pasm japońskiego koralu zwanego anielską skórą. Jasnoróżowe kule wspaniale wyglądały na tle miodowej skóry Franki. I zamówił specjalnie dla żony godny jej łabędziej szyi *collier de chien* z pereł i diamentów.

Podobne sceny powtarzały się u Houbiganta, perfumiarza królowej Wiktorii i cara. W jego ogromnym sklepie przy rue du Faubourg Saint-Honoré Franca odkryła nazwę perfum Ignazia – Fougère – i mogła wybrać perfumy dla siebie. I u Wortha, twórcy sukni wieczorowych cesarzowej Eugenii i Elżbiety Austriackiej, który przywitał ją jak królową, pokazując modele najlepiej podkreślające jej posągowe kształty. I u Lanvina, gdzie kupiła dziesiątki szali dla siebie i matki. I u mademoiselle Rebours, która pokazała jej najpiękniejsze wachlarze, w tym ten ze strusich piór,

wykonane dla Marii Saxon-Coburg-Gotha, nowej narzeczonej księcia Rumunii.

– Dla mnie? – pytała, a jej wielkie zielone oczy były pełne zdumienia.

Ignazio czuł, że serce bije mu szybciej, gładził jej twarz lub rękę, kiwał głową i prosił, by wybierała.

„To sen”, myślała Franca, dotykając biżuterii, którą podarował jej mąż. A potem były światła Paryża i jego bulwary, pałace, eleganckie kobiety i lśniące powozy. Wszystko zachwycało, wypełniało jej oczy i serce takim pięknem, że chwilami radość wprost ją rozsądzała. Podobnie czuł się Ignazio, który dzięki France zobaczył to miasto na nowo i którego poruszały naiwne zaskoczenie i entuzjazm żony.

Takim samym snem był przyjazd do Olivuzzy. Po powrocie do Palermo nowożeńcy zamieszkali początkowo w Villa ai Colli, ale mieli tam pozostać tylko do zakończenia prac w Olivuzzy. Ignazio nie zdradził jej, na czym polegają te prace, powiedział jedynie, że dom zawsze wydawał mu się zbyt ciemny, że trzeba go powiększyć i wpuścić do pomieszczeń więcej światła. Za każdym razem jednak dodawał z uśmiechem: „Zobaczysz, zobaczysz, co cię czeka...”.

W końcu nadszedł ten moment.

Powóz zatrzymuje się kilka metrów przed głównym gmachem Olivuzzy, przed dużą bramą z kutego żelaza, otwierającą dostęp do skrzydła, które Ignazio przeznaczył dla siebie i żony. Pomaga France wysiąść, potem bierze ją za rękę, wprowadza do środka i wchodzi po wielkich schodach z czerwonego marmuru. Mijają ogród zimowy pełen bujnych roślin i otulony ciepłym światłem padającym ze szklanego sufitu. Za nimi podąża służba i Giovanna, która z pobłażliwym uśmiechem trzyma za rękę Vincenza. Franca rozgląda się, bardziej onieśmielona niż zaskoczona, na jej twarzy maluje się zachwyt.

Przeszedłszy przez korytarz, Ignazio zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami.

– Poczekajcie tutaj – rozkazuje służbie.

Giovanna odsuwa się, a coś jakby smutek, może żal, zasnuwa na chwilę jej bladą twarz. Franca odwraca się, by spojrzeć na zgromadzonych: uśmiechnięte twarze, przebiegłe spojrzenia. Jest

niemal zirytowana tym, że wszyscy wiedzą, co ją czeka, wszyscy oprócz niej, ale Ignazio staje za nią i zasłania jej oczy rękami.

– Na nic nie patrz. Zamknij oczy – szepce do niej, otwierając drzwi i wprowadzając ją do pokoju.

Śmiejąc się i trochę potykając, Franca pozwala się prowadzić.

Kiedy otwiera oczy, ma wrażenie, że zawisła między niebem a ziemią.

Nad nią błękitny firmament, na gzymsie pod sufitem cherubini trzymają girlandy róż. Przed jej oczami baldachim o kolumnach z kości słoniowej nad wielkim łóżkiem i mahoniowe meble ze złotymi intarsjami. U jej stóp majolikowe płytki w barwie kości słoniowej pokryte płatkami róż, jakby rozrzucili je cherubini z sufitu.

To jej osobisty fragment raj.

– Dla mojej róży. Dla ciebie – szepce jej do ucha Ignazio.

Franca odwraca się, patrzy na niego. Szczęście jest tak wielkie, że nie pozwala jej mówić.

Całują się na oczach wszystkich.

\*\*\*

Pierwsze wiosenne sirocco w Palermo jest jak bolesny policzek. Upał, ciężkie powietrze, niepokój. Czuć je już od wczesnego ranka, kiedy prześcieradło zdaje się przygniatać śpiącego, a cienka warstwa potu na plecach zmusza do odkrycia się i powiewania pościelą. Potem, po szerokim otwarciu okien, robi się gorąco. Niebo jest matowe, powietrze nieruchome.

W powozie wiozącym go na piazza Marina Ignazio z niezadowoleniem przyjmuje upał. Wachluje się chusteczką, ociera pot ze skóry. Nienawidzi gorąca. Przy takim wietrze i takiej temperaturze dzień warto byłoby spędzić na morzu, może na jachcie, który kupił krótko po śmierci ojca. „Fieramosca” kosztowała go niemało – „nierozważny zakup”, jak skwitowała jego matka – ale było warto. Prawda, mieli już inny jacht, „Sultane” – ogromny, z białym kadłubem – na który zabrał swoją piękną żonę, a ta się nim

zachwyciła. Nie mieli już za to „Queen Mary”. Ignazio uznał, że jacht jest przestarzały, i sprzedał go jakiemuś tokańskiemu markizowi.

Kazał też zbudować „Arethuse”, stalową łódź o napędzie parowym, ale przede wszystkim kupił „Valkyrię”, jacht regatowy o smukłym kadłubie, śmigły niczym wiatr, prawdziwy klejnot. Nabył go od kuzyna cesarza Austrii Franciszka Józefa, arcyksięcia Karola Stefana Habsburga, i na nim zamierzał brać udział w najważniejszych regatach na Morzu Śródziemnym. Nie mógł żyć samymi interesami, czego ani jego matka, ani Giovanni Laganà, ani Domenico Gallotti zdawali się nie rozumieć.

Ci dwaj właśnie wezwali go do biura „w trybie pilnym”.

„Jacyż oni są nudni! Jacy męczący!”.

Laganà i Gallotti nie zostawili go w spokoju nawet podczas jego podróży poślubnej po Europie. Listy, bilety, telegramy... Jak mogą nie zdawać sobie sprawy, że on potrzebuje czegoś innego, że nie może cały czas pozostawać zamknięty w tym biurze? Chce się czuć wolny. Chce żyć. Nie chce skończyć jak jego ojciec, który zmarł, mając nieco ponad pięćdziesiąt lat, po życiu wypełnionym harówką, irytuje się.

Czasami czuje wobec ojca głuchy gniew: nie powinien był tak wcześnie zachorować, nie powinien był zmuszać go do tej roli, do wzięcia na siebie obowiązków, które uniemożliwiały mu prawdziwe życie. Nie może tego znieść.

Niespokojnie odsuwa zasłonę powozu: jedzie wąskimi uliczkami Borgo Vecchio, a robotnicy i ludzie pracy pozdrawiają go z szacunkiem. „*Assabbinirica, don Ignazio*”, rozbrzmiewa w zaułkach i u drzwi nędznych mieszkań. Biedne, zapadnięte twarze, przedwcześnie zwiędłe kobiety, wielkookie, głodne dzieci bawiące się na ulicy. Zapach zgniłych ryb drażni nozdrza i miesza się z fetorem śmieci fermentujących na rogach ulic i w rynsztokach pełnych błota, szmat i resztek jedzenia.

Jednak ci ludzie zdają się o to nie dbać. Część z nich pracuje dla Domu Florio, jednak Ignazio nie umiałby ich rozpoznać. Inaczej niż jego ojciec, który znał wszystkich co do jednego i był przez nich szanowany i ceniony.

„Tylko po co?”, pyta siebie młody Florio i odpowiada ludziom niechętnym pozdrowieniem. Nie lubi tej dzielnicy, nędznej i pełnej rozpacz. Nie lubi Palermo, *tego* Palermo, by rzec prawdę. Lubi eleganckie wille na obrzeżach miasta, sale balowe arystokratycznych pałaców i foyer teatrów. Uwielbia Londyn i Paryż, francuską Riwierę i spokój austriackich gór. Uwielbia czuć wiatr na twarzy, gdy spaceruje po pokładzie jachtu.

Ale nie to zatechłe, zalatujące zgnilizną powietrze.

Nie pamięta – a może nie chce pamiętać – że niespełna sto lat wcześniej w podobnym miejscu żył jego dziadek Vincenzo. Nie chce pamiętać, że jego stryjeczny pradziadek, którego imię i pierścień nosi, przybył z Kalabrii, by uciec od biedy i goryczy życia. Obaj z trudem wywalczyli sobie miejsce w tym wrogim, nieprzyjemnym mieście. Udało im się to, ponieważ zdobyli szacunek prostych ludzi.

Tyle że rodzice Ignazia zadbali, aby to wspomnienie zostało niemal całkiem wymazane, aby w domu przywoływano je jak najrzadziej. Bo jeśli nie mówi się o przeszłości, to ona w końcu zniknie. A jeśli zniknie, to tak, jakby nigdy nie istniała.

Tymczasem na niego czeka teraźniejszość. Ignazio czuje, że to będzie ciężki dzień.

Wchodzi po schodach, odkłania się pracownikom, po czym dociera do gabinetu na pierwszym piętrze. Domenico Gallotti, prezes Navigazione Generale Italiana, ma okrągłą twarz, gęste faworyty, krępą sylwetkę i brzuch smakosza. Czeka już od dwudziestu minut, przechadzając się po sali z dłońmi splecionymi za plecami.

– Wybaczcie zwłokę – mówi Ignazio, wchodząc.

– To ja przepraszam, jeśli was ponaglałem, ale są sprawy, które nie mogą dłużej czekać. – Żadnego wstępu, żadnych konwenansów. Gallotti nie robi nic, by ukryć swoje zniecierpliwienie; przeciwnie, stoi i bębni palcami po tekturowej teczce, którą położył na biurku.

– Pisaliście do mnie bardzo niepokojące listy podczas mojego miesiąca miodowego – odpowiada Ignazio, siadając za biurkiem ojca. Robi pauzę, patrzy na wysoki stos papierów, ułożonych na blacie i czekających na jego podpis. Następnie, po dłuższej chwili milczenia, zaprasza gestem, aby Gallotti zajął miejsce.



Ten siada i patrzy na Ignazia spod półprzymkniętych powiek.

– Zdaję sobie sprawę, że wydałem się poniekąd natarczywy, ale to delikatny okres. Afera z Banca Romana ujawnia wiele problemów w naszym systemie bankowym i zapewniam, że słowo „problemy” to eufemizm. Poza tym są drażliwe kwestie, które ściśle dotyczą Domu Florio, począwszy od odnowienia koncesji na przewozy morskie. Wasz ojciec, niech Bóg go przyjmie do swej chwały, wynegocjował umowę na dziesięć lat i wkrótce, bardzo wkrótce, ma zapaść decyzja o jej przedłużeniu. A my musimy być pewni, że to przedłużenie będzie dla nas korzystne. Pamiętajcie, don Ignazio, że dotacje państwowe są ważną pozycją w budżecie Navigazione, śmiem twierdzić, że wręcz fundamentalną, ponieważ pozwalają nam obsługiwać trasy, które w przeciwnym razie byłyby nieopłacalne.

Ignazio kręci się w fotelu. Jest niezadowolony. Denerwuje się tym, że traktuje się go jak *picciriddu*.

– Dobrze wiem, jak są one ważne, panie Gallotti. Proszę raczej powiedzieć, jak przebiega proces w parlamencie.

Gallotti otwiera fascykuł, wyciąga notatkę.

– Przeszkody, don Ignazio. Przeszkody przede wszystkim właśnie w parlamencie, ponieważ Giolitti i bliscy mu przemysłowcy nie patrzą na nas przychylnie. Zažadają oceny stanu firmy, począwszy od floty, która przez tyle lat, co wiecie lepiej niż ja, nie była modernizowana.

– Temu można zaradzić. – Ignazio odrzuca obiekcję zirytowanym machnięciem ręki. – Wykonamy najpilniejsze naprawy, a co do reszty, postaramy się zyskać na czasie. Nazwisko Florio gwarantuje solidność Navigazione. Nie ma się czego obawiać w związku z ewentualną kontrolą.

– Prawda. Ale ludzie słyszą i się boją, a niepewność odnowienia koncesji nie pomaga. Kilka dni temu przedstawiciele zawodów morskich z Palermo za pośrednictwem Konsulatu Pracowniczego, do którego należą, powiedzieli „Giornale di Sicilia”, że cztery tysiące rodzin straci pracę, jeśli koncesje nie zostaną odnowione. Pod palazzo Villarosa odbyła się już demonstracja, mogą wybuchnąć zamieszki. Albo, co gorsza, strajki. Trzeba to mieć na uwadze.

– Pracownicy pochylni i odlewni zawsze byli w gorącej wodzie kąpani i dobrze wiem, że chcieliby strajkować, ale nie będą. Mój ojciec umiał z nimi rozmawiać; ja też to zrobię. Nie potrzebujemy strajków, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z tym, co dzieje się w Rzymie.

– Otóż właśnie.

Z teczki wyłania się kolejny stos papierów. Gallotti przesuwa go w jego stronę.

„Jeszcze? Co to jest?“, myśli Ignazio, odbierając papiery. To sprawozdanie parlamentarne podpisane przez posła z północnych Włoch, Maggiorina Ferrarisa.

– „Niejeden mógłby to uznać za dobry dzień dla naszego kraju, gdyby Navigazione Generale Italiana przestała istnieć sama z siebie” – czyta na głos. – A czego, u diabła, chce ten cały Ferraris? – rzuca ze złością. – Według niego włoski handel morski byłby znacznie lepszy, gdybyśmy nie istnieli? Czy on ma pojęcie, co mówi?

Gallotti wykrzywia usta.

– Odezwali się już nasi przyjaciele z parlamentu, bliscy Crispiemu. Ten spór ma niewiele wspólnego z ekonomią, za to wiele z politycznymi znajomościami Ferrarisa, a także premiera. Zwłaszcza premiera.

– Przy wszystkich kłopotach, które mają z Banca Romana, byłbym zaskoczony, gdyby Giolitti wytrzymał dłużej. Crispi opowiedział mi o nim w liście. To biurokrata bez doświadczenia i umiejętności rządzenia. Taki, co sobie siedział w ciepełku w Turynie i studiował, podczas gdy ludzie tacy jak Crispi walczyli o zjednoczenie Italii...

– Może i tak, ale teraz jest premierem i mówiąc wprost, musi chronić przemysłowców z Północy, bo to oni na niego głosowali, podobnie jak Crispi i jego ludzie mają interes w ochronie swoich wyborców, którzy są z Południa w ogóle, a z Sycylii w szczególności. Słowa Ferrarisa odzwierciedlają myśli wielu, don Ignazio. Tak to działa u tych z Północy: prostacy kopiący motykami na południe od Rzymu nie przynoszą im głosów. A jeśli chodzi o arystokrację, która tę ziemię posiada, ona nie jest zainteresowana ani współpracą z przemysłem, ani nie chce zajmować się handlem.

Powietrze zdaje się nieruchome. Ignazio patrzy wyczekująco na Gallottiego.

– Czytajcie – zachęca go tamten i wskazuje odpowiedni fragment tekstu. – Ferraris narzeka, że nasze parowce są zagranicznej produkcji, i proponuje wspieranie firm, które korzystają ze statków zbudowanych we włoskich stoczniach. Czyli w toskańskich i liguryjskich. Ponadto postuluje przeprowadzenie aukcji na poszczególne linie pocztowe i transportowe oraz likwidację koncesji, o które tak zabiegał wasz ojciec.

W piersi Ignazia wzbiera gniew.

– Chcą nam amputować nogi. Jeśli zabiorą nam koncesje, możemy zamknąć interes. – Oddycha głęboko przez cienkie wargi. Potem patrzy w okno. Zastanawia się, co zrobiłby jego ojciec, jak by zareagował, do kogo by się zwrócił.

– Jedźmy do Rzymu – decyduje w końcu. – Ja, wy i Laganà. Nikt nie może nas wyprzedzić. Nikt – powtarza. Przesuwa dłonią po czole. – A teraz musimy dać znać robotnikom, że nie wolno im się tak emocjonować... I że nie warto słuchać wywrotowców.

Ignazio wstaje, wkłada ręce do kieszeni i zbliża się do okna. Przechodzi na dialekt, co – Gallotti już to wie – jest niezaprzeczalnym znakiem rozdrażnienia.

– Najpierw mój ojciec, a teraz ja, zapewniliśmy im wszystko, czego potrzebują: leczenie, gdy się zranią, pensję taką, o jakiej marzą inni robotnicy w Palermo, domy na wynajem w pobliżu odlewni lub pochylni... Mój ojciec proponował nawet, żeby pozwolili swoim dzieciom się uczyć po pracy, ale nie chcieli. Za to krzyczeli, że chcą praw, praw, praw! Teraz nawet zrobili sobie stowarzyszenie... Fasci Siciliani di Lavoratori. – Mówi to tak, jakby miał w ustach coś zgniłego. – Szczekają w gazetach, że musimy skrócić czas pracy, ale dać więcej *picciuli*... Czego im się zachciewa? Już zapomnieli, co znaczy przychodzić na piazza Vigliena i każdego ranka zatrudniać się na jeden dzień?

Gallotti przytakuje.

– Macie rację, don Ignazio, Fasci mogą stanowić problem. Zgromadziły pod jednym sztandarem wiele towarzystw robotniczych i towarzystw wzajemnej pomocy. Jak to oni mówią, „Każdy może

złamać kij, ale wiązki kijów już nie”. Wiecie, że ich przywódca, ten cały Rosario Garibaldi Bosco, brał nawet udział w zakładaniu Włoskiej Partii Robotniczej? Nie mówiąc już o tych trzynastu chłopach z Caltavuturo, co chcieli zająć ziemię i zostali zabici przez żołnierzy. Ta tragedia zwróciła na nas oczy całych Włoch. Czasy nie są spokojne, o nie. Ale... – Gallotti ścisza głos i nachyla się do Ignazia. – Radziłbym na razie odłożyć tę sprawę na bok. Dzięki Bogu, niewielu naszych robotników z Oretei przyłączyło się do Fasci: większość z nich wie, że są uprzywilejowani, ponieważ innej stałej pracy nie można znaleźć ot tak. Wierzcie mi, oni pamiętają, jak to jest czekać na zatrudnienie za dniówkę na piazza Vigliena. Teraz pomyślmy o koncesjach, bo jak nie będzie tej pracy, to nic nie będzie.

– Zgoda. Jednak chcę też usłyszeć, co sądzi Laganà. Zapewniał mnie, że w senacie nie będzie żadnych problemów – mówi szybko Ignazio i towarzyszy temu wzruszenie ramion.

To, czego nie widzi – albo nie chce widzieć – to sceptyczne spojrzenie, jakim obdarza go Gallotti. I rzeczywiście, zaraz potem prezes NGI rzuca cierpką uwagę:

– Laganà powinien zapewniać całkiem co innego.

Ignazio marszczy czoło.

– To znaczy?

Gallotti przygryza wargę. Nie do końca wie, jak się zachować. Z senatorem nie miałyby skrupułów rozmawiać wprost, ale z jego synem, tak aroganckim i niecierpliwym... Ostatecznie jednak szacunek dla pamięci ojca skłania go do podjęcia decyzji. Lojalność wobec człowieka, który umarł o wiele za wcześnie.

– Otóż, don Ignazio, jeśli mi wolno. Powiedzmy, że mógłby powściągnąć swoją skłonność do współpracy z naszymi rywalami.

Ignazio wpatruje się w niego, zdumiony. Jego zdziwienie widoczne w spojrzeniu przechodzi w podejrzliwość. Potem Florio mgliście przypomina sobie jakieś żarty, które usłyszał w Livorno zaraz po swoim ślubie. Odłożył je do szafy pamięci, myśląc, że są nieistotne. Z dreszczem niepokoju, który sprawia, że występuje mu gęsia skórka na ramionach, mówi:

– Tak, słyszałem kilka niepocholebnych plotek... – Chciałby zrozumieć więcej, zapytać, ale zbyt wielu rzeczy nie wie lub je przeoczył, a boi się, że wyda się powierzchowny lub, co gorsza, mało sprytny.

Gallotti krzywi się, czemu towarzyszy westchnienie będące niemal gniewnym parsknięciem.

– To coś więcej niż plotki, don Ignazio. Czy powiedziano wam, że Laganà jest bardzo blisko Erasma Piaggio, który ma interes w tym, by przenieść dużą część działalności Navigazione do Genui?

Ignazio nieruchomieje. Laganà? Ten Laganà, którego ojciec szanował i doceniał tak bardzo, że mianował dyrektorem generalnym NGI, teraz zachowuje się w ten sposób? Jasne, zawsze był natarczywy, czasem irytujący, ale stąd do podejrzeń o takie działania droga jeszcze daleka.

Gallotti zdaje się rozumieć jego niepewność.

– Nie zrozumcie mnie źle; uznaję jego zasługi. Muszę jednak zwrócić uwagę, że zachowuje się w sposób co najmniej dwuznaczny. I takie gierki w jego wykonaniu nie są niczym nowym, don Ignazio. Byliście zbyt młodzi, ale ktoś, kto jak ja ma już siwe włosy, dobrze pamięta, co zrobił, gdy był administratorem Trinacrii. A wasz ojciec, który dobrze go znał, wiedział, co robi, i traktował go tak, jak się traktuje psa stróżującego, czyli trzymał na krótkiej smyczy.

Ignazio mówi, że owszem, on też coś pamięta. Kiedy Trinacria zbankrutowała, jego ojciec czekał, co zrobi Laganà, zanim ją kupił. Będący wówczas syndykiem masy upadłościowej Laganà umożliwił mu zakup sprzętu i parowców po śmiesznie niskiej cenie. „Ojciec wysłał go na przeszpiegi i obiecał mu miejsce w naszej firmie”, dociera do niego w przebłysku intuicji. A teraz? Czyżby teraz Laganà grał w tę samą grę, ale ich kosztem?

– Porozmawiam z nim – mówi oburzony. – Jest mi winien wyjaśnienia, choćby za to wszystko, co dała mu ta rodzina.

Gallotti wykonuje gest, który zdaje się mówić: nie spodziewałem się niczego innego. Następnie otwiera teczkę, wyjmuje z niej papiery i podaje Ignaziowi do podpisania. W końcu wstaje i zabiera się do wyjścia.

– Pojadę z wami do Rzymu, ale najpierw porozmawiajcie z Laganą. Upewnijcie się, że jest lojalny.

\*\*\*

Podmuchy wiatru poruszają białymi zasłonami w dużych francuskich oknach z widokiem na ogród. Przynoszą do willi zapach kwiatów pomarańczy i przekopanej ziemi. W rogu zielonego salonu skapanego w różowawym świetle wiosny Franca, w zwiewnej białej sukni i *collier de chien* Cartiera na szyi, siedzi na krześle z wysokim oparciem, pozując do portretu.

– Proszę się nie ruszać, *signora* – upomina ją z westchnieniem malarz, gdy kobieta wierci się na krześle.

Ettore De Maria Bergler jest szczupły, ma rzadkie czarne włosy, wydatny nos i twarz korsarza. W ustach trzyma papierosa i jest skupiony, tylko czasem sarka ze zniecierpliwieniem na niezdyscyplinowaną modelkę.

– Co prawda wasz mąż prosił mnie o jak najbardziej naturalny portret, ale nie chcę namalować grymasu na waszej twarzy. Taką urodą jak wasza los obdarza tylko boginie i nieliczne śmiertelniczki. Ale nie wolno się wam ruszać, bo nie będę mógł tego uchwycić – mówi, przenosząc wzrok na szkic węglem.

– Będę nieruchoma niczym grecki posąg – obiecuje Franca z dziecięcym uśmiechem.

– Och, trudno mi w to uwierzyć... – mruczy malarz, a krople potu występują na jego duże zakola. – Jest w was taka lekkość i elegancja! Utrwalenie tego na płótnie to nie lada wyzwanie.

Ona rzuca mu wdzięczne spojrzenie, po czym zwilża usta, czuje słodki smak, który na nich pozostał, i przechodzi ją dreszcz rozkoszy. Codziennie rano kucharz piecze rogaliki. Ona i Ignazio karmią się nawzajem dla zabawy, śmieją się, a pocałunki po śniadaniu smakują namiętnością i cukrem pudrem.

– Donna Franca, dzień dobry. Wybaczcie, że przeszkadzam, ale donna Giovanna chciała was zobaczyć.

Franca dziękuje Rosie, która wraz z Giovanną d'Ondes zajmuje się szkołą haftu dla dziewcząt, a potem rzuca malarzowi przeproszające spojrzenie.

– Nigdy tego nie skończę... – De Maria Bergler jest rozdrażniony.  
– I co na to powie wasz mąż?

– Wyjaśnię mu, że to wszystko wina jego matki. – Franca wstaje, po czym nagle zbliża rękę do szyi. – Proszę, maestro, pomóżcie mi to zdjąć ...

Malarz podchodzi i rozpina zapięcie naszyjnika. Franca przez chwilę czule pieści klejnot. Chciałaby wciąż go dotykać, czuć go na sobie: przypomina jej o miesiącu miodowym.

– Czyżby wasza teściowa nie lubiła biżuterii? – pyta malarz, chowając szkic do dużej teki.

– Moja teściowa jest w żałobie i ogólnie nie lubi przepychu. Chcę okazać szacunek jej bólowi. Powinnam też się przebrać, ale nie mam na to czasu...

De Maria Bergler przytakuje. Nie może wiedzieć, że po pierwszym spotkaniu z Giovanną Franca zawsze bardzo ostrożnie podchodzi do biżuterii, którą nosi w obecności teściowej.

Spotkanie to odbyło się w hotelu Excelsior sieci Abetone, położonym bliżej Sieny niż Livorno, wybranym przez rodzinę Jacona di San Giuliano, ponieważ był cichy i dyskretny. Giovanna przyjechała powozem wraz z synem i obie rodziny zasiadły w małym saloniku przy herbacie. Franca milczała ze spuszczonej oczyma, onieśmielona i pełna szacunku, wiedząc, że bez zgody matki Ignazio nigdy by się z nią nie ożenił. Słuchała wymiany uprzejmości, banalnych rozmów – „Jaka pogoda w Livorno? Ach, tam też jest rześko? A Blasco, jak się ma *u' picciriddu*?” – zwracając uwagę na cichą wojnę, którą toczyły ze sobą obie matki: Costanza, uzbrojona w arystokratyczną przeszłość, ale tonąca w długach, i Giovanna, z imponującym bogactwem, ale z nazwiskiem, które mimo wszystko – i mimo jej pochodzenia – nadal było nazwiskiem kupców.

Z perspektywy dziewczyny ta rozmowa toczyła się bez końca. W pewnym momencie jednak Giovanna poprosiła ją, by podeszła bliżej. Franca zbliżyła się niepewnie, podczas gdy Ignazio wiercił się

na krześle, a Costanza wstrzymała oddech. Giovanna przyglądała się jej dokładnie. I długo. Franca miała wrażenie, że to spojrzenie szpera jej w duszy, szukając cech, które mogłyby ją uczynić prawdziwą Florio, i przerażała ją myśl, że nie ma żadnych. Instynktownie sięgnęła po złoty łańcuszek na szyi, na którym wisiała elegancka kamea. Donna Giovanna podążyła spojrzeniem za tym gestem i prawie niezauważalnie zadrżała. Na szyi Franki, na wpół ukryty przez kameę, wisiał pierścień jej męża. Ten, który dała swojemu synowi w dniu śmierci Ignazia i który pozostawał w rodzinie Floriów od pokoleń.

Franca zrozumiała. Obawa, że w jakiś sposób uraziła donnę Giovannę, złączyła się z zawstydzeniem, bo nosiła tę obrączkę bez jej wiedzy. Ale potem przypomniała sobie Ignazia w chwili, gdy podarował jej pierścień: mówił, jak ważny jest dla niego i dla jego rodziny i że przedstawia szczerą jego zaangażowania. Był to konkretny znak miłości, o wiele cenniejszy niż jakakolwiek inna biżuteria.

I wtedy spojrzała swoimi wielkimi zielonymi oczami wprost w oczy Giovanny. Pewna siebie, dumna, zakochana. W spojrzeniu tej drugiej pojawił się bezgraniczny smutek. Żal kobiety, która straciła męża, a teraz odebrano jej ukochane dziecko. Giovanna rozluźniła napięte dłonie, które trzymała na podołku, i gestem zaprosiła dziewczynę, by usiadła obok niej. Smutek nie zniknął, ale dołączyła do niego subtelna groźba: zostawiam go tobie, ale biada ci, jeśli nie będziesz godna jego i nazwiska Florio.

Wspominając to spojrzenie, Franca czuje niepokój. Giovanna nigdy nie przestała na nią tak patrzeć. Czy nieufność teściowej kiedykolwiek się skończy? Ach, gdyby tylko Ignazio nie wyjechał, właśnie teraz, gdy...

Ignazio jest w Rzymie, zajmuje się przedłużeniem koncesji morskich. Wyjaśnił jej, że nie może przełożyć tej podróży i że gdy chodzi o interesy, to lepiej będzie, jeśli ona zostanie w Palermo. Franca przyjęła to z rezygnacją, próbując zrozumieć, dlaczego jej ukochany i zawsze uśmiechnięty mąż nagle stał się tak niespokojny.

Idąc w stronę pokojów teściowej, położonych w najstarszej części Olivuzzy, rozgląda się i myśli, czy kiedykolwiek będzie w stanie



przyzwyczaić się do tych niemal niekończących się pomieszczeń umeblowanych w luksusowym stylu – do orzechowych komód z epoki Ludwika XVI, do empirowych lusterek z marmurowymi blatami, do intarsjowanych i złożonych stołów, do hebanowych szafek ze zdobieniami z pietra dura i kości słoniowej, do porcelanowych posążków z Capodimonte, do cyzelowanych sreber, antycznych brązów i marmurów, do perskich, indyjskich i chińskich dywanów, do obrazów przeróżnej wielkości, od małych pejzaży morskich po wielkie siedemnastowieczne portrety ledwie muśnięte światłem, od mitologicznych przedstawień po sycylijskie pejzaże tak świetliste, że wydają się oknami otwierającymi się na świat. Wszystko jest dla niej niezwykle.

Drzwi otwierają się przed nią jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ukazując rzeszę służących, którzy kłaniają się, gdy ona przechodzi, a potem znikają w meandrach domu.

Czasami Franca odczuwa dyskomfort, który ją niepokoi. Nie może im nawet powiedzieć, co mają robić, bo wszyscy znają swoje zadania i wykonują je jak należy; nie może się sama ubierać ani czesać włosów, bo ma Diodatę, swoją osobistą służącą, dziewczynę o dużych czarnych oczach, nieśmiałą i milczącą, zawsze gotową na jej skinienie, nie musi porządkować swoich ubrań, bo zajmuje się tym garderobiana, nie musi myśleć, jak ułożyć kwiaty, bo jest służąca, która tylko tym się zajmuje i codziennie wymienia aranżacje. Nie musi nawet wybierać menu na przyjęcia, bo *monsù* zna gusta gości i z doskonałością swego fachu wychodzi im naprzeciw. Franca zatem woli milczeć w obawie, że popełni błąd, że będzie nie na miejscu, że udowodni wszystkim – a przede wszystkim teściowej – że nie jest godna nazwiska, które nosi.

Czasami czuje się jak gość we własnym domu.

– Ach, jesteś.

Giovanna podnosi głowę znad ramy do haftu, która dominuje w salonie, gdzie matka Ignazia spędza swe dni na modlitwie i robótkach. Franca stoi przez chwilę na progu, po czym wkracza w półmrok przesiąknięty zapachem kwiatów. Za jej plecami został ogromny, jasny dom, pełen życia. Tu jednak wszystko jest nieruchome. Nawet duże francuskie okna są pozamykane.

Z rogu pomieszczenia, prawie niewidoczna, pozdrawia ją donna Ciccina. Franca wie, że kobieta ją polubiła, a jednak nie może czuć się przy niej zupełnie swobodnie.

Podchodzi do teściowej, całuje ją w policzek.

Giovanna zauważa białą suknię Franki, wykrzywia usta. Następnie chwytając koralik, nawleka go na nitkę i wplata w ścieg.

– Dziś wieczorem odprawimy modły za świętą duszę Blasca, chłopca Giulii. Przyjdiesz, prawda?

Franca wstrzymuje oddech. Dobrze wie, że żadna kobieta z domu Florio nie pozwoliłaby sobie opuścić nabożeństwa w intencji krewnego, a zwłaszcza trzeciego syna Giulii, który zmarł wkrótce po ślubie Franki i Ignazia. Teściowa znowu ją wypróbuj.

– Oczywiście... Biedne dziecko. Nie zdążyło dorosnąć – odpowiada cicho.

Ręce Giovanny zatrzymują się na płótnie.

– Ja wiem, co znaczy widzieć śmierć syna – mówi. – Odchodzi ci ciało od kości. Serce ci pęka, chciałabyś oddać w zamian własne życie. I moja nieszczęsna córka właśnie to przeżywa.

– Nie myślcie tak. On jest już z aniołkami – wtrąca z westchnieniem donna Ciccina.

Giovanna przytakuje. Ociera łzę i milczy.

Franca robi krok do tyłu, a po jej plecach przebiega dreszcz. Ukradkiem kładzie rękę na brzuchu, po czym rozgląda się wokół. Wszędzie oprawione zdjęcia jej teścia. Na ścianie wisi jego olejny portret, obok jeszcze większego portretu Vincenzina, brata jej męża, który zmarł przed wielu laty, jako dziecko.

„To bardziej świątynia pamięci niż pokój”, myśli Franca. Cofa się w stronę drzwi, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Czuje się bezradna wobec tej udręki, boi się, że cierpienie Giovanny przylgnie do niej jak cień albo, co gorsza, jak *magaria*, złe życzenie, klątwa. Jeśli człowiek jest tak nieszczęśliwy, prawdopodobnie nie potrafi nawet sobie wyobrazić, że inni są pogodni. Możliwe nawet, że doświadczą radości innych jako czegoś niesprawiedliwego. O tym myśli, gdy dociera do drzwi, podczas gdy poczucie osaczenia, które jej towarzyszy, odkąd weszła do tego pomieszczenia, ścisną jej żołądek. Niejasno przeczuwa, że dzieje się tak wtedy, gdy cierpienie

przekracza wszelkie granice i sprawia, że człowiek nie jest w stanie tolerować nawet małego światełka nadziei.

„Dlaczego Ignazia nie ma tutaj, by chronić mnie przed tym wszystkim?”.

\*\*\*

Franca.

Myśl o niej – o jej rozchylnych ustach, oczach płonących namiętnością, gibkim ciele – rozprasza Ignazia, ale tylko na chwilę; jest jak promień słońca, który szybko znika. Tam, gdzie Florio jest teraz, w Rzymie, są tylko szare chmury, surowi mężczyźni i białe gmachy ministerstw.

Po drugiej stronie biurka siedzi Camillo Finocchiaro Aprile, minister poczty i telegrafów; człowiek o spokojnym temperamencie, cienkich wąsach i pince-nez w złożonych oprawkach, przez które jego oczy wydają się jeszcze mniejsze, niż są. Ten palermiańczyk z pochodzenia dzieli z byłym premierem Crispim zarówno przeszłość u boku Garibaldiego, jak i życzliwość wobec wszystkich, którzy reprezentują Sycylię i jej interesy. A więc wobec Ignazia Floria.

Pokój – surowy, wyłożony czerwonym dywanem, z ciężkimi mahoniowymi meblami – przesiąknięty jest zapachem męskiej wody kolońskiej. Obok Ignazia stoi ścisłe kierownictwo Navigazione Generale Italiana: prezes Gallotti i dyrektor generalny Laganà. Pomimo nacisków Gallottiego Ignazio nie znalazł odpowiedniego momentu na bezpośrednią konfrontację z tym ostatnim, a informacje, które o nim zebrał, były sprzeczne: z jednej strony wydawało się, że rzeczywiście zachowywał „bardzo przyjazne relacje” z liguryjskimi armatorami, z drugiej strony nikt nie zaprzeczał, że zadał sobie wiele trudu, aby otworzyć oddziały Credito Mobiliare w Banco Florio, przynosząc tym samym chwałę Domowi. W skrócie: nie było wątpliwości, że zna się na rzeczy. Ostatecznie Ignazio uznał, że umie oceniać ludzi lepiej niż ci, którzy, jak Gallotti, chcieliby go niańczyć, i zabrał go ze sobą do

Rzymu. Jednak napięcie między tymi dwoma mężczyznami było niemal namacalne.

Także dlatego, że sytuacja jest niezwykle delikatna. Przedłużenie umów z NGI nie jest bynajmniej przesądzone. Zbyt wiele osób działa przeciwko nim, począwszy od liguryjskich kompanii żeglugowych, które chciałyby czerpać z hojnych publicznych dotacji i mają wsparcie zwartego bloku politycznego w parlamencie.

„Jak oni sobie wyobrażają konkutowanie z Navigazione?”, myśli Ignazio, przesuwał dłońmi po włosach. Przecież to on ma największą flotę we Włoszech, prawie sto parowców.

– Wasza flota jest jedną z najstarszych i najbardziej wyeksploatowanych na całym Morzu Śródziemnym – zauważa Finocchiaro Aprile, podnosząc brwi. – Macie statki, które pochodzą z czasów waszego dziadka, niech spoczywa w pokoju. Musicie to przyznać.

Ignazio reaguje gestem irytacji. Domenico Gallotti chrząka i oponuje:

– To drobiazg, nic, czego nie da się załatwić paroma naprawami lub zakupem nowych parowców, zwłaszcza jeśli dostaniemy dotacje. Ale żeby to był powód odmawiania nam kontraktu...? Bądźmy poważni!

– Tak mówicie? – pyta minister. W jego głosie brzmi nutka prowokacji. – Więc dlaczego dotąd jeszcze o tym nie pomyśleliście?

Laganà potrząsa głową. Już ma coś powiedzieć, ale Ignazio go powstrzymuje.

– Bo to kosztuje, o czym świetnie wiecie. Navigazione Generale Italiana utrzymuje się dzięki dotacjom, ale potrzebuje ich tylko po to, by dotrzymać kroku flotom francuskim i austriackim, a nie by zarabiać. Dlatego poprosiłem o pomoc w budowie stoczni: abyśmy mogli budować nasze parowce, ponieważ do napraw mamy już pochylnię, na której pracują robotnicy z odlewni Oretea. Ale miasto nie ma *picciuli*, a z Rzymu nie przyszło nic, nawet dobre słowo. Co się stało z tym projektem? Z mojej strony na pewno nie zabrakło chęci, aby go zrealizować.

Minister krzywi usta, oczy ma utkwione w krawędzi biurka.

– Pomóżcie nam. Dajcie nam pieniądze, a wszystko wyremontujemy – nalega Ignazio i w jego głosie jest niemal błagalna nuta, która jednak kontrastuje z wściekłym spojrzeniem i dłońmi zaciśniętymi w pięści na kolanach.

– Tak, ale w ten sposób nie da się nic zrobić – mruczy Finocchiaro Aprile. – Mamy zdecydowanie zbyt małą większość, aby uzyskać zgodę na odnowienie. – Wstaje, otwiera okno. Do pokoju wdzierają się głosy rzymskiej ulicy. Okrzyki, turkot kół na bruku, katarynka. Minister jest zirytowany, zamyka okiennice, po czym odwraca się i pyta cichym głosem:

– Rozmawialiście z Crispim?

Właśnie. Crispi.

Trzej mężczyźni wymieniają spojrzenia.

Owszem, rozmawiali z Crispim. Były premier przyjął Ignazia w swoim gabinecie i długo na niego patrzył, nie odzywając się, jakby porównywał syna z ojcem, być może w nadziei, że znajdzie przed sobą uważnego i bystrego rozmówcę, jakim był senator. A może dlatego, że musiał pogodzić się z upływem czasu, bo był to przedstawiciel trzeciego już pokolenia rodziny Florio, który się do niego zwracał. Najpierw był Vincenzo, szorstki i przerażający, potem Ignazio, równie wyrafinowany, co bezwzględny. A teraz ten, niewiele więcej niż chłopak, którego Crispi wciąż nie potrafi rozgryźć.

Z kolei Ignazio zobaczył człowieka zupełnie innego niż ten energiczny, bystry mężczyzna z buntowniczym błyskiem w oku, którego poznał w Rzymie wiele lat wcześniej. Byli wtedy w imponującym holu hotelu d'Angleterre pełnym zagranicznych podróżnych, otoczeni miękkim luksusem. Ignazio przypomniał sobie, jak Crispi pochylił się, by ucałować dłoń jego matki; potem ojciec wziął go pod ramię i oddalił się z nim do innej sofy w głębi sali. Siedzieli tam i rozmawiali, on zaś zabrał matkę i siostrę na przejażdżkę powozem.

Ignazio nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten blady i zmęczony siedemdziesięciolatek nie ma już energii, by trzymać ster okrętu polityki, raz po raz wydawanego na pastwę jakiejś burzy. Może nawet nie ma już na to ochoty.

Crispi wskazał mu fotel i sam z wysiłkiem zajął swoje miejsce.

– Jest zbyt wiele zamieszania, don Ignazio. Moi wrogowie krzyczą i protestują, atmosfera jest ciężka – zaczął, zapaliwszy cygaro, głosem szorstkim od dymu. – Ale mogę powiedzieć tyle: to prawda, że na razie Giolitti i jego przyjaciele z Północy prowadzą w grze, jednak to nie potrwa długo. Giolitti udaje wielkiego człowieka, ale jest gorszą gnidą niż inni i popełnia błędy, bo sam ma wiele kłopotów. Brudy, które wyszły na jaw w sprawie Banca Romana, są dowodem, że nikt nie jest niewinny. On krył ludzi na wszystkich szczeblach i prędzej czy później zgnilizna się pojawi. Ale w tej chwili niewiele mogę zrobić. Musicie porozmawiać z Finocchiarem Aprilem. To też palermiańczyk. Czeka na was.

– Już o tym myślałem – odpowiedział Ignazio. – Ale najpierw chciałem poznać wasze zdanie. Od wielu lat jesteście prawnikiem Domu Florio i dobrze znacie moją rodzinę.

Francesco Crispi przymknął powieki, ale miał spojrzenie starego ogara. Uśmiechnął się z zadowoleniem, a jego oczy zalśniły.

– Oczywiście, że znam, don Ignazio. To dlatego przemówienie Ferrarisa nie wyrządziło więcej szkód. Gdyby mnie tam nie było, po nim odezwaliby się inni i konsekwencje byłyby znacznie gorsze. Zadbałem o to, by jego słowa... By zostały zapomniane, tak to ujmijmy.

– I za to wam dziękuję.

Crispi machnął ręką naznaczoną starczymi plamami.

– Zrobiłem, co mogłem. Ale teraz kolej na Finocchiara Aprilego.

I te właśnie słowa Ignazio powtarza ministrowi.

– Crispi zrobił, co mógł, by ograniczyć szkody – odpowiada ten z irytacją. – Wiecie lepiej niż ja, że w tej chwili nie można od niego wymagać więcej.

– Tylko że my nie możemy czekać. Nikt naprawdę nie wie, kiedy ten rząd upadnie. Sojusze polityczne są podyktowane chwilą, to też wiecie. – Domenico Gallotti z trudem hamuje frustrację.

Laganà w milczeniu kiwa głową.

– Mam niestety związane ręce – mówi minister. – Zbyt wiele wpływa skarg na sposób zarządzania waszymi trasami i...

Ignazio wstaje, zaczyna chodzić po pokoju.

– Do diaska, potrzebujemy tych umów, rozumiecie to? Całe miasto żyje z pieniędzy, które przynosi Navigazione. Jeśli koncesje nie zostaną odnowione, to co się stanie? – Prawie krzyczy, nie hamując głębokiej irytacji.

Finocchiaro Aprile wzdycha. Nie może się już ukrywać, nie pod przenikliwym spojrzeniem tych trzech mężczyzn. Zakłada ręce na piersi.

– Wiem. Ale w tej chwili niewiele mogę zrobić. Północnych deputowanych bliskich Giolittiemu jest więcej niż naszych. I są bardziej zwarci. – Rzuca Floriowi wymowne spojrzenie. – A gdybym był na waszym miejscu, don Ignazio, wzburzyłbym ludzi w Palermo. Żeby tutaj zaczęli się bać. Wiecie, że nie ma nic bardziej... jak by to powiedzieć... przekonującego niż strach.

Ignazio rozumie. Finocchiaro Aprile prosi go, by trudną rzeczywistość odmalował w jeszcze ciemniejszych barwach, zagroził widmem zdradzieckiego wroga, wyniszczającego kryzysu gospodarczego i wzburzył opinię publiczną. Podoba mu się ten pomysł. Uśmiech, który wygina jego usta, jest jednocześnie lekki i ostry.

Finocchiaro Aprile lekko rozluźnia się w fotelu, Gallotti mruga oczami, a potem pyta:

– Demonstracje?

Minister rozkłada ręce.

– Protesty, manifestacje... Wasi robotnicy z Oretei należą do najbardziej aktywnych, a w Palermo silne są też Fasci Siciliani, ci politykierzy, co twierdzą, że bronią praw robotników.

– Agitatorzy, którzy nie chcą słyszeć o pracy – zrzędzi Laganà.

Gallotti piorunuje go wzrokiem.

– To robotnicy, którzy dbają o swoje miejsca pracy. Jeśli się przestraszą, to zrobią rwetes – mówi Ignazio i spogląda na Aprilego.

Ten przytakuje i dodaje:

– Wiecie, z kim rozmawiać albo komu pozwolić mówić w waszym imieniu. Niech się boją. I niech cała wyspa się o tym dowie, bo jeśli port w Palermo przestanie działać, to załamię się cała gospodarka Sycylii.

Ignazio pamięta, co zrobił jego ojciec, gdy chodziło o ułatwienie fuzji z Rubattinem. Doskonały manewr. „A pewne rzeczy się nie zmieniają – myśli. – Strach to strach”.

W tym momencie rozlega się pukanie i w uchylonych drzwiach pojawia się okrągła twarz.

– Czy można?

W pomieszczeniu zapada pełna zakłopotania cisza. Ignazio patrzy w dal. Minister daje znak, by gość wszedł do środka.

– Nie spodziewaliśmy się was, don Raffaele. To poufne spotkanie – dodaje, gdy tylko drzwi się zamknęły.

– Tak mi się wydawało. Dlatego czekałem na zewnątrz. Nie chciałem wam uchybić – mówi Raffaele Palizzolo uniżonym tonem.

– Przybyłem jako uczciwy Sycylijczyk, ale także jako krewny don Ignazia. Jego żona, donna Franca, jest spowinowacaną z moją siostrą, duszesą Villarosy, wiecie o tym, prawda? – Podaje rękę Ignaziowi, który ściska ją z wahaniem, po czym, nieproszony, siada na krześle. – W każdym razie jestem tutaj, aby dołożyć swoją cegiełkę, ponieważ Palermo nie może stracić koncesji morskich.

Niepokój staje się niemal namacalny. Raffaele Palizzolo od lat cieszy się w Palermo opinią kogoś, kto lubi wchodzić Bogu Ojcu pod kapelusz: wszystkiego słucha, wszystko obserwuje i zawsze wie, jak te informacje wykorzystać. Umiejętność, która z pewnością przydała mu się także w Rzymie, odkąd został posłem. Od pewnego czasu wisi nad nim jednak długi i groźny cień związany ze zbrodnią, która wstrząsnęła całym miastem: 1 lutego tego roku Emanuele Notarbartolo, były dyrektor Banco di Sicilia, człowiek uczciwy i szanowany przez wszystkich, został zabity w pociągu wiozącym go z Termini Imerese do Palermo. Zadano mu dwadzieścia siedem ran kłutych. Krążyły pogłoski, że Palizzolo był zamieszany w to morderstwo, ponieważ miał, jak mówią Sycylijczycy, *'u carbuni vagnato*, „mokry węgiel”, czyli razem z innymi majstrował przy finansach banku, a Notarbartolo, według osób dobrze poinformowanych, dowiedział się o tym. Choć brakowało na to dowodów – świadków morderstwa oczywiście nie było – obecni nie mogli się otrząsnąć z poczucia, że znajdują się w jednym pomieszczeniu z przestępcą.



Ciszę, która nastąpiła po wypowiedzi Palizzola, przerwał w końcu Laganà.

– Oczywiście, wszyscy się z tym zgadzamy. Problem polega na tym, jak interweniować, by sobie nie zaszkodzić.

– Posłuchajcie mnie – mówi Palizzolo, pochylając się w stronę biurka ministra z poufałością, na którą nikt mu nie dał pozwolenia.

– Musimy ich przestraszyć. Wiecie, ministrze, że w izbie mnie słuchają. Wystarczyłoby moje przemówienie.

Minister głaszcze brodę. Patrzy na Palizzola, a ten opuszcza głowę. W sposób dorozumiany prosi o zgodę na działanie, ponieważ ci mężczyźni są przede wszystkim Sycylijszymi, dopiero potem politykami, a zatem działają dopiero po poinformowaniu odpowiedniej osoby o swoich zamiarach i po otrzymaniu zgody.

Teraz minister jest bardziej skłonny słuchać.

– Co chcecie zrobić?

– W Palermo już jest gorąco. Wystarczy, że im pokażemy, co może się stać. – Twarz Palizzola ciemnieje. Poseł zerka na pozostałych. – Czy wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby na Sycylię dotarła wiadomość, że koncesje nie zostały odnowione? Na ulicach pojawiłyby się barykady. W najlepszym wypadku. A jaki rząd może sobie pozwolić na powstanie ludowe? Na pewno nie ten. Ma już dość nieszczęść, z którymi musi się zmagać.

Ignazio wymienia spojrzenia z Gallottim, a ten przewraca oczami: tak, Palizzolo musiał podsłuchać ich rozmowę.

Laganà opiera się o biurko ministra. Odzywa się, nie ukrywając irytacji:

– Mówiliśmy właśnie o tym, zanim tu wtargnęliście, ale wyobrażam sobie, że już się tego domyśliliście. Mianowicie, że można by namówić robotników Oretei do protestu.

Palizzolo potrząsnął głową. Jeśli irytuje go ta zawołowana reprimenda, nie daje tego po sobie poznać.

– Trzeba zagrozić strajkiem. Potrzebujemy czegoś, co przerazi wszystkich. – Zwraca się do ministra, ignorując jego zakłopotanie: – Sami jesteście palermiańczykiem i wiecie, co mam na myśli. Giolitti nie chce tykać tego ognia, bo się boi, że go poparzy. A my właśnie do tego mamy go zmusić.

Ignazio patrzy na opuszki swoich palców.

– Innymi słowy, chcielibyście go przestraszyć i poddać presji do tego stopnia, by musiał zignorować prośby swoich własnych ludzi.

Na potwierdzenie Palizzolo rozkłada ręce.

– Jedna rzecz, której tu, w Rzymie, jeszcze nie zrozumieli, to że kiszki Włoch są w Palermo. Cokolwiek zostanie postanowione w Rzymie, one muszą to najpierw przepuścić przez siebie.

Gallotti przytakuje, zwraca się do Aprilego:

– Co powiecie, panie ministrze?

Ten wzrusza ramionami.

– Oczywiście, to bardzo ryzykowne, ale może się udać. Będziecie musieli uważać, by nie stracić kontroli nad sytuacją na Sycylii. Ja zrobię tutaj, co w mojej mocy. Każda pomoc będzie nam potrzebna, niezależnie od tego, skąd przyjdzie – kończy dobitnie. Jego głos jest jak ruch wahadła w pustym pokoju.

Ignazio wstaje, zadowolony, i wyciąga rękę do ministra.

– Navigazione i Palermo będą wam wdzięczne za to, co możecie zrobić. – Patrzy na niego wymownie. – Rodzina Florio będzie wam wdzięczna.

Camillo Finocchiaro Aprile rozumie. I lekko się uśmiecha.

\*\*\*

Franca dotyka ust. Ciemnozielona satynowa suknia uwydatnia kształt jej piersi. Młoda kobieta ma niemal wrażenie, że widzi w lustrze teściową, która patrzy na nią z rozczarowaniem. Słyszy nawet jej głos: „Zbyt wydekoltowana, córko, zwłaszcza w twoim stanie”.

Jej stan.

Upierścieniona dłoń biegnie do brzucha, który zaczyna się zaokrąglać. To już prawie czwarty miesiąc. Uśmiecha się. Wraz z nadejściem czerwcowych upałów ciąża stała się jeszcze bardziej męcząca, ale radość pomaga jej przezwyciężyć dyskomfort. Do tego dochodzi szczęście Ignazia, który obsypuje ją prezentami. Choćby te kolczyki ze szmaragdami i diamentami, które niespodziewanie

pojawiły się na jej toalecie dzień po tym, jak oznajmiła, że spodziewa się dziecka.

Zakłada je teraz, wsuwa na nadgarstek kilka bransoletek, po czym wzywa Diodatę i wskazuje na szal w szafie. Pochodzi z pracowni Lanvina, wykonany jest z jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Układa go na ramionach, zakrywając część dekoltu.

Ignazio czeka na nią przy powozie, pod dużym drzewem oliwnym. Są z nim Giovanna i donna Ciccina. Matka całuje syna, kładzie mu rękę na piersi.

– Nie wracajcie zbyt późno – poleca mu. – Ona nie może się męczyć.

– *Maman*, Franca staje się największą znawczynią najwygodniejszych palermiańskich sof. Odkąd wyszło na jaw, że spodziewa się dziecka, gospodynie rywalizują o to, by się nie przemęczała. A donna Adele de Seta jest najbardziej troskliwa ze wszystkich.

Giovanna ignoruje facecje syna i lustruje Francę od stóp do głów. Młoda kobieta wciąż nie może się przyzwyczaić do tego surowego, smutnego spojrzenia i odruchowo spuszcza oczy. Ale, jakby w odpowiedzi, teściowa podchodzi do niej, poprawia jej szal.

– Prawda, że jest gorąco, ale ty *accuppunati*.

Okryj się. Nie z powodu zimna.

– *Ne vous inquiétez pas, maman*<sup>42</sup> – odpowiada Franca i pochyla się, by pocałować ją w policzek.

Ignazio pomaga jej wejść do powozu, jego dłoń za jej plecami przesuwa się niezauważenie w dół. W powozie Florio przyciąga do siebie żonę i całuje.

– Mój Boże, ciąża czyni cię jeszcze piękniejszą – szepce, pozwalając, by jego ręka przejechała po jej biodrach wolnych od gorsetu.

Ona rumieni się w ciemności, odwzajemnia uścisk. Powiedziano jej, że gdy zajdzie w ciążę, Ignazio przestanie bywać u niej w nocy, aby „nie zaszkodzić dziecku”. Nie doszło do tego. Ale jego zapał nie zdołał sprawić, by zapomniała, że podczas przyjęć, na które byli zapraszani, jej mąż często zachowywał się nieco zbyt swobodnie

wobec niektórych kobiet. Dlatego, choć zmęczona, woli mu towarzyszyć, bo chce przypomnieć wszystkim – a zwłaszcza jemu – że Ignazio Florio nie jest już kawalerem szukającym rozrywki.

Kiedy docierają do pałacu rodziny de Seta, salony są już wypełnione. Wśród szeptanych plotek i zaciekawionych spojrzeń Palermo kobiet pokazuje się w wirze jedwabów i biżuterii, a Palermo mężczyzn – bardziej dyskretnie – tworzy nowe związki lub umacnia stare sojusze. Ignazio i Franca są teraz protagonistami w tej grze. Wydaje się, że plotki na ich temat ucięło ich jawne szczęście i wiadomość o ciąży Franki. Od powrotu z podróży poślubnej chodzili regularnie na wieczorki, ale musieli przełożyć przyjęcie w Olivuzzy ze względu na stan Franki. Sezon już się prawie skończył i ten wieczór jest jednym z ostatnich spotkań towarzyskich: wkrótce rodziny opuszczą swoje miejskie rezydencje i udadzą się do francuskich kurortów nadmorskich lub alpejskich wiosek w Austrii czy Szwajcarii; inni przeniosą się do wiejskich willi. Jeśli chodzi o Ignazia i Francę, to na rejs po Morzu Śródziemnym czeka ich ulubiony jacht, „Sultana”.

O tym właśnie Ignazio rozmawia z Giuseppem Monroym.

– Nie ma powodu, żeby nie płynąć – mówi mu. – „Sultana” jest bardzo solidna i lekarz okrętowy będzie miał wszystko, czego potrzebuje do opieki nad Francą.

Giuseppe wznosi kieliszek w toaście.

– W końcu spodziewa się dziedzica. Słusznie jest zachować ostrożność.

– Ech, mnie nie musisz tego mówić. Chociaż moja matka będzie protestować i... – Ignazio nagle urywa, ponieważ jego uwagę przykuwa dziewczyna w jasnoróżowej sukni, która przechodzi obok, eskortowana przez starszą kobietę, prawdopodobnie matkę.

– Kto to? Chciałbym wiedzieć, gdzie je trzymają – chichocze Giuseppe.

– Cóż, ważne, że wychodzą... w odpowiednim czasie – podsumowuje Ignazio.

Potem nagle wstaje i rusza za dziewczyną, a rozbawiony Giuseppe patrzy i kręci głową.

Po kilku krokach starsza kobieta zatrzymuje się, by porozmawiać z przyjaciółką, a dziewczyna odwraca się i patrzy na Ignazia. Nie jest to przelotne, nieuważne spojrzenie. A on widzi ciemne migdałowe oczy, wydatne usta i mleczone piersi, które zdają się wyrywać z gorsetu. Zastanawia się, czy są jędrne, czy też miękkie i nieco opadające. Zbyt wiele razy został wprowadzony w błąd przez suknię wspierającą ciało w strategicznych miejscach...

Ona nadal na niego patrzy, teraz już niemal bezczelnie. Ignazio drży, ale się waha. „Powinienem najpierw się dowiedzieć, kim ona jest. Boże broń, żeby to była krewna markizy de Seta, może jej siostrzenica...”

W tej chwili ktoś przechodzi obok niego i poklepawszy go po ramieniu, szepce:

– Żona cię szuka, Ignazio...

Florio odwraca się gwałtownie. Franca zbliża się do niego sprężystym krokiem, uśmiecha się promiennie. Bierze go za rękę, splata swoje palce z jego palcami.

– Kochanie, pomóż mi uciec przed donną Alliatą. Chce mi opowiedzieć, co się dzieje podczas porodu, a ja już wystarczająco się boję. Zaprosz mnie do tańca: jestem brzemienna, a nie chora, i mogę sobie pozwolić na walca z mężem.

Ignazio bierze ją za rękę, wprowadza na środek sali akurat w momencie, gdy zaczyna grać orkiestra. Otacza ją ramieniem w talii, a ona się śmieje, śmieje głośno, hałaśliwie, dokładnie tak, jak ją uczono, że nie wypada. A jednak to robi. „Niech mi się dobrze przyjrzą”, myśli, kierując wzrok na bezczelną pannicę w różowej sukience, bo zauważyła, oj, zauważyła, jak ta patrzy na jej męża, i bardzo ją to zirytowało.

Dziewczyna odwraca się do nich plecami i odchodzi.

Franca rzuca spojrzenia na siedzące wokół matrony i jakby w odpowiedzi na ich milczące upomnienie uśmiecha się. Wie, co myślą: kobieta w jej stanie nie powinna nawet uczestniczyć w przyjęciu, a co dopiero tańczyć. Ale ona się tym nie przejmuje. Nadal wiruje, rzucając wyzywające spojrzenia pozostałym kobietom, które są jeszcze piękne i pożądane, i wyobraża sobie ich myśli: są

przekonane, że Ignazio wkrótce znajdzie sobie kogoś innego, kto mu ulży. Tak bowiem postępuje mąż, gdy jego żona zachodzi w ciążę.

„Mam wszystko, czego wy już nie możecie mieć i być może nigdy nie miałyście”, mówi spojrzeniem do matron. Potem pochyła się do Ignazia i głaszcze jego szyję w niemej deklaracji posiadania. I myśli: „Wasi mężowie tak się zachowują. Ale nie Ignazio. On jest mój i mnie kocha. Ja mu wystarczam”.

\*\*\*

Lipiec w Palermo jest jak psotne dziecko; raz niesie dni pogodne, raz lepkie od gorącej wilgoci, która klei się do skóry i zatyka dech w piersiach. Potem nadchodzi sirocco, niesie przez morze piasek z pustyni i zmienia górskie szczyty w rozmazane plamy na tle kości słoniowej nieba.

Tego dnia jednak lipiec postanowił się zachować jak przystoi: dzień jest pogodny, wietrzny i zachęca do przebywania na świeżym powietrzu. Franca poleciła więc przygotować herbatę w parku, pod palmami obok woliery.

Czeka na Franceskę i Emmę di Villarosa, które przyjeżdżają spędzić z nią popołudnie. Siedzi w salonie przy swojej sypialni, czytając *Marion. Artystkę z kawiarenki*, powieść Annie Vivanti, którą pożyczyła jej szwagierka Giulia, zaznaczając przy tym, żeby nie pokazywała jej teściowej, bo „są tam rzeczy trochę niestosowne”. Ciąża jest już widoczna, a Franca bez przerwy czuje się zmęczona i przede wszystkim samotna. „Ignazio był niesprawiedliwy”, myśli, nerwowo przewracając strony. Najpierw obiecał jej, że popłyną w rejs „Sultana”, potem, pod pretekstem, że ona musi dbać o siebie podczas ciąży, dał jej do zrozumienia, że zostaną razem w Palermo. W końcu zmienił zdanie i wyjechał w podróż do Afryki, twierdząc, że naprawdę potrzebuje odpoczynku po wyczerpującym oczekiwaniu na odnowienie koncesji na transport morski.

Odnowienie, które w końcu zostało zatwierdzone. Na kolejne piętnaście lat, to jest do roku 1908, Navigazione Generale Italiana miała zachować monopol na dotowane usługi. Rezultat osiągnięty

dzięki płomiennemu wystąpieniu Raffaelego Palizzola w izbie deputowanych – „Zobaczmy, co się będzie działo, kiedy jednego dnia sześć tysięcy rodzin zostanie bez chleba! To byłaby katastrofa narodowa!” – wspólnemu działaniu bloku sycylijskich parlamentarzystów z Crispim na czele, który po raz kolejny pokazał, że wciąż jest cennym sojusznikiem, oraz presji społecznej wywołanej artykułami w „Giornale di Sicilia”, które w ponurych barwach przedstawiały los nie tylko Palermo, ale całej Sycylii, jeśli koncesje nie zostaną odnowione. Przerażeni myślą o utracie pracy, ludzie wylegli na ulice. Codzienne hałaśliwe, gniewne demonstracje przerodziły się w końcu w radosne obchody, gdy nadeszła dobra wiadomość. Na pochylni i w odlewni panowała taka radość, jakby po miesiącach suszy nadszedł deszcz. Oczywiście nic za darmo, bo NGI musiała zlecić modernizację starych parowców i kupić trzy kolejne, ale nie był to problem nie do pokonania.

W Olivuzzy Ignazio wzniósł toast najlepszym szampanem, gdy opowiadał Franca, jak się sprawy potoczyły, naśladując raz głos Crispiego, a raz Palizzola. Franca śmiała się, gdy powiedział, że teraz Finocchiaro Aprile będzie mógł wreszcie kupić to *baglio*, na które tak długo miał oko. Na co Giovanna pokręciła głową, wzywając syna do większej dyskrecji.

Jednak po wyjeździe Ignazia euforia szybko się ulotniła, a Franca wraz z całą Olivuzzą popadła w milczący stupor, który niewiele miał związku z upałem.

Kiedy służąca zapowiada przybycie kuzynek, Franca wstaje i wychodzi im naprzeciw.

– Franca, kochana, jesteś coraz piękniejsza... – Emma, w słomkowym kapeluszu i białej bawełnianej sukni, całuje ją w policzki.

Za nią opanowana i poważna Francesca kiwa do niej głową. Zawsze była najżywsza z całej trójki i wszyscy zazdrościli jej urody. Teraz jednak przygasła. Wczesne wdowieństwo wciągnęło ją w otchłań, z której z trudem się wydostaje, także dlatego, że wiele osób traktuje ją jak najnieszczęśliwszą z kobiet.

Franca próbuje odegnąć tę myśl, otwiera okno tarasowe.

– Chodźcie do ogrodu. Wypijemy herbatę obok woliery – mówi z nieco wymuszoną wesołością.

Siostry wymieniają zdziwione spojrzenia.

– Ale... nie przywitamy się z twoją teściową? – pyta Francesca.

– Nie, nie przeszkadzajmy jej. Pewnie haftuje w swoim salonie. Pójdziemy do niej później – niecierpliwie odpowiada Franca.

Chwyta Emmę za rękę i niemal ciągnie ją po ścieżce. W ostatnich dniach oprócz tęsknoty za Ignaziem czuje niepokój, a gdy nachodzą ją nieprzyjemne myśli, potrzebuje ruchu.

Przybywszy do woliery, zastają Vincenzina bawiącego się obręczą, dogładanego leniwym spojrzeniem guwernantki. Chłopiec wita się z kobietami, całuje je z taką powagą, że nawet Francesca się uśmiecha, a potem odbiega w podskokach.

Tak jak za dawnych czasów Franca siada między kuzynkami.

– *Comu si?* – pyta Emma, biorąc ją za rękę.

– Dziecko zaczęło się ruszać i zmusza mnie do spania na boku. A ty? Jak się masz, serce? – pyta Francescę.

– Ja? Całkiem dobrze, dziękuję – odpowiada młoda wdowa. W jej głosie słychać lekkie echo toskańskiego akcentu.

Franca bierze dłoń przyjaciółki obleczoną w czarną koronkową rękawiczkę, otrzymując w zamian uścisk.

– Właściwie to chciałabym więcej przebywać na zewnątrz – mówi – ale jest taki upał, a Ignazio wyjechał, więc nie mam zbyt wielu okazji do wyjścia. Dla mojej teściowej wyjście oznacza tylko wizytę w kościele, więc się nudzę.

Emma lekko się uśmiecha, wyciąga rękę w stronę jej brzucha, ale ją zatrzymuje.

– Mogę? – pyta.

Franca przytakuje, a potem bierze także rękę Franceski i kładzie je obie na swoim brzuchu.

– Poprzedniego wieczoru byłam w domu Roberta i Sofii Whitakerów – mówi Emma. – Była tam grupka, która mówiła o was dwojgu, o tobie i Ignaziu.

Francesca piorunuje ją wzrokiem, ale Franca się uśmiecha.

– Co tym razem wymyślili? Że Ignazio ma nową kochankę? Jakiś czas temu do moich uszu dotarła plotka, że na „Sultanie” jest



hiszpańska śpiewaczka. – Przewraca oczami. – Niewiarygodne! Tak trudno im uwierzyć, że on mnie kocha i że się ustatkował, zwłaszcza teraz, kiedy ma zostać ojcem?

Francesca zaciska wargi.

– Robert podkreślał, że Ignazio był bardzo skuteczny w uzyskaniu odnowienia kontraktów, a Giuseppe Monroy bardzo go chwalił. No i oczywiście, że plotek nigdy nie brakuje. Są solą tych wieczorów, w przeciwnym razie byłyby niezwykle nudne. Ale wiesz lepiej ode mnie, że to wymyślone opowieści.

Franca przytakuje, nagle poważniejąc.

– Tak. I zwykle nie zwracam na nie uwagi. Ale... – Zniża głos. – Czasami mam wrażenie, że muszę się rozliczać z każdego gestu, i to nie tylko wobec męża czy teściowej, ale wobec całego miasta.

– To nieuniknione, że wszyscy cię obserwują, biorąc pod uwagę twoją pozycję – odpowiada Francesca. – Najważniejsze, że nie masz sobie nic do zarzucenia. Zawsze zachowywałaś się wzorowo.

– Ale jeśli jesteś w ciąży i chcesz tańczyć walca z mężem, kończysz na ławie oskarżonych – mruczy Franca.

– Mój nauczyciel zwykł mawiać: „Jak rdza pochłania żelazo, tak zazdrość pochłania zazdrośników” – konstatuje Emma.

Franca odrzuca głowę do tyłu i przygląda się ptakom w wolierze.

– Ale tak, wam mogę to powiedzieć: zirytowało mnie, że Ignazio wyjechał beze mnie. Choć to prawda, że muszę o siebie dbać. Oby nic się...

Emma macha ręką, by przegnać tę myśl, a Francesca ściska Francę w ramionach i całuje.

– Nawet nie mów takich rzeczy, moja droga. I zawsze pamiętaj, że mężczyźni potrzebują wolności. Albo przynajmniej iluzji wolności. Potem wracają do domu szczęśliwsi niż wcześniej. – Błyska porozumiewawczym uśmiechem, pierwszym od wielu miesięcy.

Franca się uśmiecha, przyznaje jej rację. Nalewa kuzynkom mrożoną herbatę, częstuje ciastkami. Śmieją się i żartują, jakby wciąż były podlotkami.

A jednak myśl, *ta* myśl, jest złym ziarnem, które kiełkuje. „Dlaczego Ignazio w ogóle wyjechał?”. Nawet jego matka próbowała mu to wyperswadować: nie wypada zostawiać żony samej w takim

stanie. I nawet jeśli sprawa kontraktów została zamknięta, nie jest mądrze zaniedbywać interesy.

Więc dlaczego?

\*\*\*

Giovanna patrzy, jak synowa odchodzi wraz z kuzynkami ścieżką w głąb ogrodu. Słyszała odgłos kół powozu na bruku, a potem coraz cichsze głosy. Byłoby jej miło, gdyby od razu przyszedł się z nią przywitać, ale synowa natychmiast zabrała je ze sobą. Prycha cicho. „Sprytna”, myśli. Gdyby przyprowadziła je prosto do niej, ona nie pozwoliłaby im zostać w ogrodzie, nie w taki upał.

Stuka palcami o framugę okna, donna Ciccia unosi brwi.

– Co się stało? – pyta, nawlekając nitkę.

– Mój syn nie powinien był wyjeżdżać – mruczy Giovanna. – To nie czas na podróże, przy tym, co się dzieje. Robotnicy są nadal zbyt wzburzeni.

To prawda, że nie rozumie zbyt wiele z polityki i biznesu – to męskie sprawy – i że Ignazio kilkakrotnie jej mówił, żeby zachowała spokój, bo nie są w gorącej wodzie kąpani i nawet te całe Fasci dei Lavoratori, które kilka miesięcy wcześniej urządziły w Palermo kongres – kongres! jakby byli deputowanymi! – nie pożyją długo. Ale Giovanna, tak jak za życia jej Ignazia, czyta „Giornale di Sicilia” i nie znajduje w nim żadnych uspokajających wiadomości. Wręcz przeciwnie, jakiś czas temu wyszła ta skomplikowana historia o bankach, które upadają, bo nie mają już pieniędzy. Tak przynajmniej to rozumiała. Próbowała porozmawiać o tym z synem, ale on tylko się śmiał i powiedział, że Credito Mobiliare i Banco Florio są bardzo solidne i nic im nie zagraża.

Jednak sytuacja w Palermo to niejedyna rzecz, która ją martwi.

Spogląda z powrotem do ogrodu; słyszy głosy trzech kobiet niesione przez podmuch wiatru i widzi ruchliwego, roześmianego Vincenzina. Wbrew sobie jest zmuszona przyznać, że Franca jest dobrą żoną, je i odpoczywa. No ale Ignazio... Wąż niepokoju pełźnie

po jej chudym ciele, owija się wokół talii. Giovanna pociera dłońmi twarz, masując zmarszczki, które od śmierci męża stały się głębsze.

Nagle widzi tuż obok siebie donnę Ciccję. Postarzała się, ma całkiem siwe włosy, a twarz, nawet w młodości surowa, teraz zdaje się wyrzeźbiona w kamieniu.

– Nie bójcie się, bo Pan czuwa. Ja pewne rzeczy wiem. Kochają się, a Ignazziddu uważa, by nie robić głupstw.

Donna Ciccia nie musi wyjaśniać, o jakie głupstwa chodzi: zamięłowanie Ignazia do spódniczek jest powszechnie znane i on sam nigdy tego nie ukrywał. To prawda, jest żonaty i wydaje się szczerze zakochany we France. Ale czy naprawdę się zmienił? A może to tylko euforia pierwszych miesięcy małżeństwa? Giovanna kręci głową.

Donna Ciccia wzdycha i rozkłada ręce. Ona też kocha Ignazia. Była przy tym, jak przyszedł na świat, widziała, jak rośnie i jak dojrzewa. Rozpieszczany, chroniony i broniony przez matkę, wyrósł jak roślina gotowa zdziczeć, jeśli tylko zostanie zaniedbana. Ale czy można winić za to Giovannę? Śmierć Vincenzina była dla niej ciosem, po którym nigdy się w pełni nie podniosła. Została sama ze swoim smutkiem i zareagowała przywiązaniem do Ignazziddu. Całą swoją miłość przelała na syna, który z biegiem lat stał się eleganckim i wyniosłym młodzieńcem. A po śmierci ojca także niezmiernie bogatym.

Ignazio jest przyzwyczajony do bycia pierwszym we wszystkim. W życiu, w interesach, u kobiet. „Ale teraz, kiedy ma zostać ojcem, co się stanie?”, zastanawia się donna Ciccia, wracając do haftowania. Kiedy Giovanna jej powiedziała, że Ignazio chce, by spotkała się z rodziną Jacona di San Giuliano w Abetone, „aby ustalić zaręczyny”, donna Ciccia poczuła dreszcz niepewności. Dla niej Ignazio był zbyt młody i miał zbyt gorącą głowę, by zawrzeć małżeństwo. Po przemyśleniu sprawy postanowiła zapytać dusze czyścicowe o los tego małżeństwa. Wiedziała, że jeśli zapyta z czystością umysłu i prostotą, to zawsze odpowiedzą, a kłamać nie mogły. Wprawdzie Giovanna nie chciała, żeby ona robiła „takie rzeczy”, ale trudno.

Pewnej letniej nocy wyszła zatem przez ogród na skrzyżowanie dróg przy wjeździe do willi, bo tam, jak na wszystkich rozstajach, spotykało się dobro i zło, życie i śmierć, Bóg i diabeł. Minęła strażnika, a ten tylko skinął jej głową. Wiał dokuczliwy wiatr, naciągnęła na głowę chustę, żeby liście i piasek nie dostały jej się do włosów. Dotarła do skrzyżowania, przeżegnała się i odmówiła *Ojczy nasz, Zdrowaś Maryjo* i *Chwała Ojcu*, aby Pan się nie gniewał, że dusze zmarłych zostały wezwane do odpowiedzi na pytanie żywych.

– Dusze ciał od głowy odłączonych, powieszonych, utopionych, zamordowanych – wymruczała, resztę zaklęcia wymawiając samymi wargami, bo wiedziała, że są to rzeczy, które nie każdy powinien usłyszeć.

I czekała. A odpowiedź nadeszła.

Z początku wydało jej się, że słyszy kilka uderzeń dzwonu, choć nie potrafiła określić, skąd dochodzą. Potem na drodze pojawiły się trzy koty. Trzy samice, sądząc po maści. Przeszły przez skrzyżowanie, po czym zatrzymały się i spojrzały na nią wyzywająco i obojętnie zarazem, tak jak tylko dzikie koty potrafią.

Właśnie wtedy Donna Ciccina zrozumiała: ślub, owszem, ale i kobiety, wiele kobiet i wiele kłopotów. Wróciła z pochyloną głową, obojętna już na wiatr targający jej włosy. Nie była pewna, co zrobić, ale w końcu postanowiła nie zdradzać niczego Giovannie. Kusiło ją jeszcze, by zapytać dusze czyścicowe, co stanie się z tym dzieckiem mającym przyjść na świat, ale coś ją powstrzymało.

Patrzy na swoją chlebodawczynię. Kocha ją, jakby Giovanna była jej własną córką, bo w pewnym sensie tak jest. Donna Ciccina miała niespełna dwadzieścia lat, gdy zaczęła się nią opiekować. Teraz Giovanna ma lat pięćdziesiąt, a ona siedemdziesiąt. I przeraża ją, że zbliża się do kresu swych dni, choć nie ze względu na nią samą. Czuje, że gdy jej zabraknie, nadejdą inne burze, a Giovanna nie będzie w stanie stawić im czoła, nie doświadczając przy tym jeszcze większego cierpienia niż to, którego już doznała.

\*\*\*

Powrót Ignazia do willi oznacza wielkie zamieszanie. Olivuzza pełna jest walizek, skrzyń i kufrów, ale także zwierzęcych skór, które trafią na ściany i podłogi. Skóra tygrysa ozdobi salon „Sultana”. W lipcowym upale woń tych skór wywołuje u Franki, która jest już prawie w szóstym miesiącu ciąży, silne mdłości, więc Giovanna natychmiast każe je zabrać.

Ignazio wrócił z podróży pełen energii: wchodzi i wychodzi, wbiega i zbiega po schodach, podśpiewuje. Ścigany przez Sara, lokaja, który zajął miejsce Nanài, mija kolejne pokoje i wydaje polecenia, gdzie postawić pudła i walizki; co jakiś czas przychodzi do Franki, która siedzi w małym saloniku obok sypialni, i całuje ją w czoło.

Z bagaży wydobywane są kościane statuetki, rzeźbione kamienie i dziwne drewniane pudełka, które Ignazio pokazuje żonie, opowiadając, gdzie je kupił lub co wtedy robił. Franca słucha go z radością tańczącą w oczach: cieszy się, że znów ma go blisko siebie, i podziwia te dziwne przedmioty, obraca je w dłoniach, wdycha zapach drewna lub korzenny aromat esencji.

Późnym rankiem Ignazio bierze kapelusz i mówi z westchnieniem:

– Muszę iść do biura.

– Wróc wkrótce, kochany. Chcę, żebyś opowiedział mi więcej o podróży – szepce Franca, całując go na pożegnanie.

W progu czeka na niego Giovanna ze splecionymi na podołku dłońmi i patrzy surowo. Widziała przed wejściem powóz Romualda Trigony i zrozumiała prawdziwe zamiary syna.

– Nie wybierasz się do Navigazione – beszta go, idąc za nim.

Nie zwalniając tempa, Ignazio macha ręką.

– Oczywiście, że tak, *maman*. Jutro, jak będzie spokojniej. Jaką różnicę robi jeden dzień? Teraz idę do klubu z Romualdem, czekają tam na mnie – wyjaśnia i odchodzi.

Nie może się doczekać, by opowiedzieć przyjaciółom o swoich afrykańskich przygodach i usłyszeć, co działo się w Palermo podczas jego nieobecności.

Giovanna zatrzymuje się i kręci głową, zdziwiona. Jej mąż popędziłby na piazza Marina i nie wróciłby do domu, dopóki by nie sprawdził każdego rejestru, każdej transakcji. A jej syn... Tylko co

ona może z tym zrobić? Taki właśnie jest. Giovanna pochyla z rezygnacją głowę i wraca do siebie. W tym momencie z górnego piętra dobiega do niej odgłos przesuwanych kufków i pospiesznych kroków. Patrzy w sufit i wzdycha. Zostawić żonę, by pójść do przyjaciół... To nie wróży niczego dobrego.

\*\*\*

W sypialni Ignazia prawie nie da się przejść, tyle tam kufków i walizek. Z jednej strony okrycia i buty, z drugiej góra angielskich koszul i krawatów w nieładzie. Saro wrzuca brudne ubrania do kosza, który jest tak przepełniony, że Diodata błaga go, by już przestał, bo inaczej nie doniesie go do pralni. Saro cofa się o krok, a ona podnosi kosz z jękiem, po czym rusza do drzwi, ale potyka się o dywan i przewraca.

– Wielkie nieba, co za upadek! Nic ci się nie stało? – pyta Franca, podbiegając do służącej.

Podczas gdy Diodata wyrzuca z siebie tysięczne przeprosiny i rumieni się ze wstydu, lokaj zbiera porozrzucone koszule.

I właśnie tam, pośród bieli, pojawia się coś różowego. Franca to dostrzega, Saro też. I próbuje zakryć to stopą, ale na próżno: rąbek wystaje spod buta.

Koronka.

Franca nie od razu rozumie. Doznaje obcego uczucia, ucisk w żołądku odbiera jej oddech.

– Odsuń się – mówi.

Lokaj ustępuje, a Franca schyla się i podnosi tkaninę.

Różowy jedwab. Przezroczyta halka. Tkanina więcej pokazująca niż ukrywająca. Rzecz dla kobiety, która chce wystawić siebie jak towar. I ten zapach... Tuberoza. Franca zbiera się na mdłości, kręci jej się w głowie.

Chwieje się.

Stojąca za nią Diodata przykładła dłoń do ust. Saro przysuwa fotel, by posadzić na nim roztrzęsioną panią.

– To musiało się stać u celników, donna Franca – tłumaczy pospiesznie. Próbuje zabrać jej z rąk zwitek jedwabiu, ale ona nie puszcza i patrzy na niego oszołomiona.

– Na cle otworzyli wszystkie bagaże i przewracali. Musieli zmieszać bieliznę don Ignazia z toaletą jakiejś damy. – Saro ponownie wyciąga rękę.

Franca podnosi wzrok, wpatruje się w lokaja i kiwa głową. Chciałaby trzymać się tej myśli, ale coś pęka w jej piersi.

Przecucie.

Słowa tłoczą się w głowie i zamieniają w demony. Słowa jej ojca, zawsze niechętnego Ignaziowi. Słowa Franceski i Emmy, dyskretne, ale wyraźne. Słowa teściowej, przerywane zniecierpliwionymi westchnieniami. I cały chór Palermo: szepty plotkarek ukrywających się za wachlarzami, aluzje matron rzucających jej współczujące spojrzenia, aroganckie miny młodych kobiet, bezsłowne insynuacje mężczyzn uśmiechających się i trącających łokciami, gdy przechodziła obok. Kakofonia głosów, ale wszystkie opowiadają tę samą historię.

Franca patrzy na halkę, podnosi ją na wysokość oczu. Ona nigdy nie miała takich rzeczy: to coś pasującego do kokoty, bezwstydnej kobiety, jak powiedziałaaby jej matka. Zawsze myślała, że Ignaziowi wystarczy jej uroda i miłość. A tymczasem...

Opuszcza wzrok na swój brzuch, który wydaje jej się teraz jeszcze większy. Ręce ma spuchnięte, twarz zaokrągloną. Czuje się potworna, zdeformowana. Wszelkie piękno, które przyniosła jej ciąża, wydaje się teraz znakiem nieodwracalnej przemiany.

„Może Ignazio też mnie taką widzi, więc...”.

Zakrywa twarz i wybucha niepohamowanym szlochem.

– Wyjdźcie. Wyjdźcie wszyscy! – krzyczy głosem tak wysokim, że nie przypomina jej własnego.

Gdy Saro i Diodata wychodzą bez słowa, Franca, wstrząsana gwałtownym szlochem, zalewa się łzami. Uspokojenie się zajmuje jej kilka minut. Potem gniewnymi gestami ociera łzy, a następnie, z różowym jedwabiem w palcach, siada w fotelu, prostuje plecy i z zaciśniętą szczęką wpatruje się w drzwi. Czeka. Musi wiedzieć. Ma do tego prawo.

\*\*\*

I taką właśnie znajduje ją Ignazio po powrocie o zmierzchu. Wchodzi, podśpiewując, do sypialni pełnej długich, nikłych cieni, zauważa, że pokój nadal jest w nieładzie, i zastanawia się dlaczego. Potem spostrzega żonę, uśmiecha się i zbliża do niej.

– Franca, moja kochana, co ty tu robisz? Nie czujesz się dobrze? I co to za bałagan? Poleciałem Sarowi, aby...

Ona tylko wyciąga rękę, w której trzyma halkę.

– To. Czyje to jest?

Ignazio blednie.

– Nie wiem... Co to jest?

– Kobieca bielizna! – woła Franca, jej głos drży. Potem podnosi się z fotela, staje przed nim. – Była między koszulami! Co ona robiła razem z twoją bielizną, co?

– Ależ... Musiało dojść do nieporozumienia. Uspokój się – mówi Ignazio i cofa się o krok. – Na pewno jakaś pomyłka w hotelu, może pokojówki pomieszały moją bieliznę z twoją...

– Moją? Ja nie mam *takich* rzeczy. – Głos Franki podnosi się i jakby w odpowiedzi na wezwanie Saro wychodzi z garderoby i wbiega do pokoju.

– Signora, proszę! Mówiłem, że to było zamieszanie na cle – woła.

– Tak, to prawda, tak jest! – wtóruje mu Ignazio. – Otworzyli wszystkim bagaże, było duże zamieszanie.

– Nie wierzę ci – mówi Franca. Za chwilę znów się rozplącze. – Ty... ty... – jąka się i znów podnosi kłęb różowego materiału, a ręka jej drży. I wtedy widzi.

Spojrzenie, które wymienili Saro i Ignazio. Spojrzenie współników, mężczyzn zjednoczonych w kłamstwie.

Rozumie.

Upuszcza halkę na podłogę, odwraca się, chwyta z toaletki flakon wody toaletowej i ciska nim w Ignazia.

– Ty obrzydliwy kłamco! Ty zdrajco!

On się uchyla, flakon spada na podłogę i rozbija się, rozsiewając w pokoju przenikliwy zapach lawendy z korzennymi nutami. Nim



Ignazio się wyprostuje, w ramię uderza go srebrna szczotka; potem przychodzi kolej na słoiczek brylantyny, który rozbija się u jego stóp.

– Co robisz, kochana? Uspokój się! Czy można się tak zachowywać?

Próbuje złapać ją za rękę, ale ona uchyla się i uderza go w klatkę piersiową.

– Ty świni! Jak mogłeś?

– Zrobisz dziecku krzywdę, Franca, uspokój się!

– Drań!

Franca krzyczy na cały głos. Hormony ciążowe i złość zawładnęły jej umysłem, strach i wstyd robią resztę. Zdradził ją, to prawda i wszyscy o tym wiedzą. Zawsze wiedzieli, że ją zdradza. Upokorzenie jest trujące, straszne i tłumi wszystko, nawet miłość, nawet radość macierzyństwa.

Odgłos kroków na korytarzu. Giovanna pojawia się w progu. Obok niej staje Vincenzino w koszuli nocnej i patrzy na scenę wzrokiem urwisa.

– Co się dzieje? Kłóćą się? – pyta, chichocząc.

Matka zatrzymuje go w drzwiach, po czym wchodzi i dołącza do Franki.

– Co się stało? – pyta cichym, surowym głosem.

– On! – krzyczy Franca, wskazując na Ignazia. – On mnie zdradził! Mnie, która noszę jego dziecko! – Szloch staje się głośniejszy, jej twarz wykrzywia gniew.

Giovanna odwraca się w stronę syna. Ignazio próbuje się odezwać, otwiera rękę, jakby chciał przeprosić, ale ona go uciska spojrzeniem ostrym jak policzek, mówiąc: „Milcz, jeśli nie chcesz narobić więcej szkód”. Następnie zwraca się do Sara, który kryje się w kącie.

– Chodź tutaj. Odprowadź panicza Vincenzina do jego pokoju i zostań z nim do mojego powrotu.

Gdy chłopiec zostaje zabrany, Franca opada na fotel i znów zalewa się łzami. „Płacze tak, że aż serce boli”, myśli Giovanna, zamykając drzwi. Potem wzdycha, opiera dłoń na futrynie drzwi. Wiedziała, że ten moment nadejdzie.

Ignazio stoi pośrodku pokoju z bezwładnie zwisającymi rękami i patrzy na przemian na matkę i żonę z miną kogoś, kto wie, że został skazany, ale nie zna jeszcze wymiaru kary.

Giovanna spogląda to na jedno, to na drugie. Od samego początku tego małżeństwa przeczuwała, że Ignazio i Franca nigdy nie będą mieli dość hartu ducha, by się naprawdę połączyć. Pobrali się, nie zaznawszy nigdy ćwiczenia cierpliwości, nie uświadomiwszy sobie, czym jest duch ofiary. Wierzyli, że „na zawsze” oznacza podróżowanie przez całe życie z prądem szerokiej i spokojnej rzeki. A tymczasem oznaczało to unikanie skał, omijanie wirów, walkę, by nie osiąść na mieliźnie. Można to zrobić tylko wtedy, gdy oboje wiosłują w tym samym kierunku, gdy patrzą na ten sam horyzont.

Tak bardzo tego pragnęła, poświęciła wszystko dla tego ideału miłości. W końcu jednak musiała pogodzić się z tym, że w małżeństwie nierzadko jedno musi kochać za oboje. Bo są tacy, którzy nie chcą kochać lub po prostu nie umieją. Nauczyła się więc, że miłość może żyć dalej, nawet jeśli druga osoba zapomni ją pielęgnować. Nauczyła się, że aby nie popaść w rozpacz, można też zgodzić się na codzienne płacenie ceny za kłamstwo. Nauczyła się, że lepiej zadowolić się okruchami niż umrzeć z głodu.

Teraz była kolej młodych na naukę, jak poradzić sobie z tym, że w istocie tak niewiele ich łączy.

Syn staje obok niej.

– *Maman*, ty jej powiedz, że to musi być jakaś pomyłka. Przysięgam, że nigdy bym jej tego nie zrobił...

– Och, milczże!

Zdumiony Ignazio robi krok do tyłu. Matka nigdy nie mówiła do niego takim tonem. Zawsze była po jego stronie, zawsze go broniła. A teraz?

Giovanna schyla się, bierze halkę między palec wskazujący i kciuk, podnosi ją, a potem upuszcza i depce po niej.

– Zawsze uważałam, że się pobraliście, nie rozumiejąc, co robicie. Teraz jestem pewna.

– Ja wiedziałam bardzo dobrze, *maman* – ripostuje zirytowana Franca. – A tymczasem on...

– Ona robi scenę o nic, to tylko... – Ignazio prawie krzyczy.

– Cicho. Oboje. – Giovanna wpatruje się w synową, podnosi jej twarz dwoma palcami. – Moja córko, spójrz na mnie. Czas, abyś uświadomiła sobie, że to na kobiety zawsze spada największy ciężar. – Mówi to spokojnym, niemal słodkim tonem. – To prawo natury, chyba że świat kiedyś wywróci się do góry nogami i to my będziemy nosić w domu spodnie. Trzeba zachować milczenie, a czasem udawać, że się nie widzi. Cokolwiek się stanie, jesteś teraz jego żoną i tak to wygląda. Nieważne, że serce krwawi: są istotniejsze rzeczy niż duma, a jedną z nich stanowi nazwisko rodowe. Druga to twój syn.

Franca podnosi dłoń do brzucha, jakby chciała obronić dziecko przed tym, co się dzieje. Odwrócić się? Zaakceptować? Zdzierzyć bez słowa? Nawet rodzona matka nie odważyłaby się powiedzieć jej takich rzeczy. Chciałaby się zbuntować, oznajmić, że ma swoją godność, ale wtedy patrzy w górę i odczytuje coś w oczach Giovanny.

Ta kobieta nie broni pozorów; ona wyjaśnia, jak jej samej udało się przetrwać ból życia na marginesie, upokorzenia związanego z tym, że tak naprawdę nie jest brana pod uwagę, bo liczy się tylko mężczyzna. To odległe cierpienie, a jednak wciąż żywe, płonące. I Franca to czuje, rozumie. Rozpoznaje.

– Wyszłam za niego, bo go kocham, *maman*, a nie z powodu nazwiska, wiecie to – szepce, ocierając łzy grzbietem dłoni. Prostuje się. – Chcę szacunku, na który zasługuję.

– On nie jest w stanie ci go dać – odpowiada sucho Giovanna. – Mój syn musi pokazać wszystkim, że dziewczęta padają do jego stóp. Nie wiesz, ile razy ojciec go beształ i ile nas to kosztowało. On cię kocha i to widać, inaczej już dawno trzasnąłby drzwiami i uciekł do klubu. Bo on tak właśnie robi. Ucieka – kontynuuje, gdy Ignazio wpatruje się w nią, oniemiały, z otwartymi ustami. – Jeśli próbuje cię przekonać, że cię nie zdradził, to dlatego, że jesteś naprawdę jego kobietą. Ale nie myśl, że przestanie uganiać się za spódniczkami tylko dlatego, że jest twoim mężem. Taki jest i jego natury nie zmienisz.

Ignazio nie wierzy swoim uszom. Oczywiście, to dobrze, że matka przypomina France, jak powinien się zachowywać, ale jednocześnie

nigdy nie przypuszczał, że będzie mieć o nim tak niskie zdanie ani że tak łatwo go zdemaskuje.

– Nie, nie, jeszcze raz nie! – protestuje, kręcąc się po pokoju. – *Maman*, mówicie o kłamstwach, które wygadują ludzie, a teraz dajecie im wiarę? Nie wiecie, co czuję... Poza tym skąd możecie wiedzieć? Wy i mój ojciec nigdy się nie kochaliście. Myślicie, że nie wiem? Że nie widziałem, jak szliście za nim, a on nawet nie spojrzał na was?

Giovanna wstrzymuje oddech; jej blade policzki pulsują czerwienią.

– Co ty wiesz o mnie i twoim ojcu? – Jej głos staje się chrapliwy. Jest gorzki, przesycony złością. Kobieta kładzie rękę na piersi syna takim ruchem, jakby go chciała popchnąć. W pokoju zapada cisza. – Żadne z was nie wie, co to znaczy być z kimś przez całe życie. Jesteście tylko dwoma dzieciakami, co to mają jeszcze mleko pod nosem. Miłość! – Śmieje się, ale jest to śmiech z kamieni i szkła. – To słowo nie schodzi wam z ust, a nawet nie wiecie, co ono oznacza. Ty – mówi do syna, wskazując na niego palcem – zawsze miałeś wszystko i nigdy nie zrobiłeś nic, by na cokolwiek zasłużyć. A ona – kontynuuje, wskazując na Francę – to dziewczę, które żyło pod kloszem, chronione przed wszystkim i wszystkimi. Miłość jest dobra dla *cunti* o Orlandzie i Angelice, bo tym właśnie jest: *cunto*, baśnią. Nie wiecie oboje, co to skrucha i wyrzeczenie. Ty nie jesteś zdolny do wyrzeczeń, a z tego, co mówi twoja żona, wynika, że i ona nie jest do nich zdolna. – Ścisza głos, jakby mówiła do siebie. – To był nasz błąd, nie nauczyliśmy cię, że rzeczy najpierw trzeba zdobyć, a potem je utrzymać. – Zwraca się do Franki. – Wyszłaś za niego za mąż. Taki jest i nic nie możesz z tym zrobić – mówi centymetr od jej twarzy. – Możesz wnieść skandal do tego domu, a wtedy będziesz miała we mnie wroga i nie dam ci spokoju. Albo możesz być silna i wytrzymać, bo on na swój sposób cię kocha. – Ścisza głos niemal do tchnienia. – Tylko jedna rzecz jest ważna. Pozwól, że powiem ci to tak, jakbym była twoją matką: on zawsze musi do ciebie wrócić. Nieważne jak i po jakim czasie. Jeśli chcesz go zatrzymać, musi wiedzieć, że zawsze mu wybaczysz. Zatkaj oczy i uszy, a gdy wróci, zachowaj spokój.

– Mimo zła, które mi wyrządził? – Głos Franki także jest teraz szeptem. Łzy znów zaczynają płynąć. – Gdy zobaczyłam... to? – dodaje, wskazując różowy jedwab na podłodze.

Giovanna schyla się, podnosi halkę, chowa ją w dłoniach.

– Teraz już tego nie ma – mówi z nutą współczucia w głosie. Potem, niespodziewanie, obdarza synową pieśczętą: pierwszym prawdziwym gestem czułości, odkąd Franca weszła do tego domu. – Córko... ty nadal nie wiesz, co to znaczy być żoną kogoś, kto jest Floriem. Kiedy to sobie uświadomisz, przypomnisz sobie wszystko, co ci powiedziałam, i zrozumiesz. – Wyprostowała się. – Wyrzucę te śmieci – mówi, machając halką. – Nie dawajcie służbie więcej powodów do plotek. A ty nie wyrządzaj więcej szkód, niż już wyrządziłeś – kończy, patrząc wymownie na syna.

Ignazio kiwa głową, mamroce pod nosem niewyraźne „dobrze”.

Giovanna otwiera drzwi i wychodzi z pokoju. Czuje się wyczerpana, jakby to przecucie nieszczęścia zamieniło się w coś konkretnego. Cierpienie, jej cierpienie, wraca, by wgryźć się w jej ciało.

Idzie korytarzem. Jedwab w jej rękach jest gorący. Nie może się doczekać, kiedy się go pozbędzie, i ma nadzieję, że wraz z nim odejdą pewne wspomnienia.

Kochała Ignazia, swojego Ignazia, w sposób ślepy, jak te psy, które wracają do swoich panów, nawet gdy są przez nich bite. Po wielu latach, kiedy ta druga kobieta być może zniknęła z jego myśli, on również ją kochał: oczywiście zwykłym uczuciem, składającym się z zaufania i porozumienia. Była to czułość, nie miłość, ale to Giovannie wystarczyło, bo rozumiała, że może mieć tylko tyle i że Ignazio nie jest w stanie dać jej nic więcej. Wymagało to czasu i łez, ale rozumiała.

Teraz pozostaje tylko nadzieja, że ci dwoje również rozumieją, jakie jest ich przeznaczenie. I zaakceptują je.

\*\*\*

Tego wieczoru Ignazio siedzi samotnie w gabinecie ojca i przegląda papiery, które nagromadziły się podczas jego nieobecności. Z Marsali napływają doniesienia o spadku produkcji winogron z powodu kilku ognisk filoksery. Wzrusza ramionami; w okolicach Trapani nie ma jeszcze żadnych wieści o zarażeniu, ale trzeba uważać, bo to naprawdę byłby cios. Następnie czyta skargi właścicieli kopalni siarki: proszą o podjęcie działań zmierzających do dalszego obniżenia podatków. W pewnym momencie skóra zaczyna go świerzbić ze złości, rzuca wściekłym przekleństwem i zaczyna chodzić po pokoju. Jego ojciec założył towarzystwo producentów siarki i pomógł im uzyskać korzystniejsze opodatkowanie, ale to najwyraźniej wciąż im nie wystarcza. Nieustannie skarżą się na podatki i na zbyt wysokie koszty w stosunku do przychodów ze sprzedaży.

Ignazio siada i wraca do lektury. Nie, rynek włoski nie wystarcza do wchłonięcia sycylijskiej siarki: może opłaciłoby się oddać w dzierżawę jakieś kopalnie, na przykład w Rabbione lub Bosco. Albo zwrócić się za granicę, do Francuzów i Brytyjczyków przede wszystkim. Ci ostatni opracowali szybszy i tańszy system ekstrakcji siarki. Mógłby nawiązać kontakt z Alexandrem Chance'em, przemysłowcem, który opatentował cały proces w Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że będzie zainteresowany przejęciem ich produkcji po korzystnej cenie.

Zbyt wiele rzeczy do przemyślenia, zbyt wiele pytań. Po raz enty Ignazio zastanawia się, jak to było możliwe, że nic nie uchodziło uwadze jego ojca. Ale zaraz uznaje, że przecież nie ma sobie nic do zarzucenia, że przecież działa w najlepszy możliwy sposób. „Poza tym jakie problemy? Nic poważnego”, myśli. Nie widzi żadnych oznak kryzysu. Jego dom handlowy jest solidny, tak solidny jak ten zbudowany na skale, o którym mówi Ewangelia. Co więcej, ma również wsparcie ze strony Credito Mobiliare, z którym nawiązał bardzo owocną współpracę: ten bank ma oddział w Banco Florio, udział w akcjach spółki i jest gotów zagwarantować rządowi, że firma zmodernizuje swoje statki i kupi nowe parowce. Krótko mówiąc, pieniądze są.

To prawda, że świat banków wciąż się trzęsie. Właśnie rozpoczął się proces szefów Banca Romana, a zarzuty są bardzo ciężkie: malwersacje, korupcja, obrót fałszywymi pieniędzmi, defraudacja. Chodzą nawet pogłoski, że w domu głównego oskarżonego znaleziono weksle z podpisem króla, który potrzebował pieniędzy na zachcianki swoich przyjaciółek. To nieuniknione, że taki skandal będzie miał pewne konsekwencje, ale stąd do zmartwień o przyszłość Domu Florio droga daleka.

Ignazio znów wstaje. Najpierw podchodzi do okna, odsuwa zasłony i stoi przez chwilę, patrząc na opustoszały plac. Potem idzie do kredensu, gdzie na srebrnej tacy stoją butelki koniaku, armagnacu i brandy, niektóre jego własnej produkcji. Nalewa sobie koniaku i delectuje się trunkiem.

Ale prawdziwy powód jego niepokoju nie słabnie. „Idiota”, mówi do siebie i lekko stuka dłońią w ścianę. Powinien był bardziej uważać na swój bagaż. Ale jak, u diabła, halka tej kobiety znalazła się między jego koszulami?

*Ta kobieta.*

Pamięć podsuwa mu jej obraz z hotelowego lobby w Tunisie. Wspomnienie, które przyprawia go o dreszcz rozkoszy: blond włosy, bardzo jasna skóra i wpatrzone w niego lodowatoniebieskie oczy pełne obietnic. Potem spełnionych z nawiązką.

Spędził z nią dwa dni szaleństwa. Posiłki jedli, nie wychodząc z pokoju, pili szampana. Tylko raz opuścił hotel, by pójść na bazar, gdzie na stoiskach jubilerów kupił dla Franki naszyjnik ze złotych serc, a *dla niej* bransoletkę, również ze złota, z osadzonym w środku szmaragdem.

„To pewnie wtedy się przebrała i halka trafiła do moich koszul. W dniu wyjazdu tak się spieszyłem, że wrzuciłem wszystko luzem do kufków, nie biorąc nawet Sara do pomocy. Ale kogo to obchodzi? Dlaczego miałbym czuć się winny z powodu nieistotnej przygody? Nie pamiętam już nawet jej imienia”.

Wypija kolejny łyk koniaku. Nie wystarczą obowiązki związane z przedsiębiorstwem, jeszcze musi znosić awantury żony. Przecież powinna zrozumieć, do cholery, że on ma swoje potrzeby. „Kobiety w ciąży są zawsze takie delikatne, jakby każda była Matką Boską”,

myśli, krzywiąc usta. A on musi czuć się wolny. Robić, co chce, bawić się, czuć się lekko. Ona nadal jest jego żoną, czyż nie? Ona jest jego domem. Królową jego serca. Matką jego dzieci. On w końcu zawsze wróci, a ona będzie musiała mu wybaczyć.

\*\*\*

Ignazio ma na sobie garnitur z pracowni Meyer & Mortimer i jedwabny krawat spięty diamentową spinką, właśnie je na śniadanie croissanty i pije kawę w jadalni z widokiem na ogród zimowy na pierwszym piętrze Olivuzzy. Tej nocy padało i balustrada lśni kroplami wody, ich szare światło spowalnia gesty i myśli. Listopad otrząsnął się ze złota jesieni i ukrył je pod mlecznym kocem.

Wchodzi Giovanna, otulona czarnym szalem. Każe służącemu podsyć ogień w kominku, po czym prosi o śniadanie: herbatę z odrobiną pokruszonego chleba. Franki nie ma. „Może jeszcze śpi – myśli Giovanna. – I słusznie, bo teraz każdy dzień może być tym właściwym”. Ostatnio uważnie obserwowała synową. A właściwie obserwowała i ją, i jej męża, by sprawdzić, jakie są konsekwencje ich kłótni. On okazywał jej uwagę i troskę: bukiety kwiatów, drobna biżuteria, wspólnie spędzane popołudnia... Ona często była w dobrym nastroju, ale uwagi Giovanny nie umknęły spojrzenia rzucane w stronę Ignazia, czasem smutne, innym razem surowe, bardzo surowe. „Trzeba dać jej czas”, mówiła sobie.

Służący przynosi dzbanek z herbatą, a Nino, lokaj, podchodzi do Ignazia z tacą, na której leży wizytówka. On, pochłonięty czytaniem gazety, początkowo jej nie zauważa. Potem nagle widzi kremową kartę. Podnosi ją, marszczy brwi.

– Gallotti? O tej porze? – wykrzykuje. – Tak, proś go.

Giovanna spogląda na syna, po czym wraca do swojej herbaty.

W drzwiach pojawia się Domenico Gallotti: jego włosy są w nieładzie, krawat ma źle zawiązany i wygląda na zdenerwowanego. Ignazio przygląda mu się ze zdziwieniem: Gallotti



nigdy nie był niechlujny, a jego zachowanie zawsze cechowała opanowana elegancja.

– Co się dzieje, signor Gallotti? Siadajcie. Macie ochotę na kawę?

Mężczyzna nerwowo potrząsa głową. Jakby wraz z nim weszła do salonu ponura mgła, przyczała się w kątach i wypełniła pomieszczenie cieniami.

– Don Ignazio, wybaczcie, ale mam bardzo pilną wiadomość i... – Odwraca się, dopiero teraz zauważając Giovannę. Onieśmielony opuszcza głowę w pozdrowieniu. – Donna Giovanna, nie widziałem was. Dzień dobry – mówi cicho i kieruje niezdecydowane spojrzenie na Ignazia.

Ten macha ręką, jakby chciał powiedzieć: to moja matka, może zostać.

– Usiądźcie, Gallotti, i powiedzcie mi, co się dzieje. Czy parowiec zatonał? Trzęsienie ziemi, pożar? – dodaje z zawadiackim uśmiechem, gdy służący podsuwa krzesło prezesowi Navigazione Generale Italiana.

Przed Gallottim pojawia się filiżanka kawy, a on patrzy na nią, jakby zawierała coś obrzydliwego. Następnie przesuwa dłońią po czole. To nie są krople deszczu, to pot.

– Nie, don Ignazio. I dodam, że to byłoby lepsze.

Ignazio chwyta rogalik, odrywa końcówkę i zanurza go w kawie.

– Aż tak?

– Tak.

Pauza. Długa, ciężka.

Ignazio dopiero teraz zaczyna uważać.

– Wczoraj wieczorem spotkałem Francesca La Lumię. Wiecie, jednego z kasjerów w Credito Mobiliare. Porządny młody człowiek. Widziałem, jak dorasta... Znalazłem mu tę pracę po śmierci jego ojca, człowieka prawego, którego miałem zaszczyt znać od dzieciństwa. I jest to osoba bardzo godna zaufania, ktoś, kto wie, o czym mówi.

Ignazio ponagla go spojrzeniem. W końcu udzielił mu się niepokój prezesa NGI.

– Do rzeczy, Gallotti. Co się stało?

– Pozwólcie mi opowiedzieć po kolei. Wczoraj późnym popołudniem podszedł do mnie przy wyjściu z biura przy piazza Marina i powiedział, że pilnie potrzebuje ze mną porozmawiać. Poprosił o to tonem, który bardzo mnie zaskoczył, bo to niezwykle spokojny człowiek. Pomyślałem, że zrobił coś złego, więc się zgodziłem. Wróciłem do środka, powiedziałem dozorczy, że ja zamknę drzwi. Francesco miał taką twarz, że aż strach brał, uwierzcie. Ledwie weszliśmy do mojego gabinetu, wybuchnął płaczem. I powiedział mi, że... że... – Przebiega dłonią po czole. Drżą mu palce.

– Matko Święta, jakbyście opowiadali powieść w odcinkach. Co się stało?

Ignazio niezgrabnie odsuwa filiżankę. Okruchy z rogalika się rozsypują, a Giovanna, która do tej pory pozostawała nieruchoma, podnosi głowę i patrzy na Gallottiego.

Mężczyzna chrząka, zbliża dłonie do twarzy.

– Do końca miesiąca Credito Mobiliare zamknie wszystkie oddziały. W najbliższych dniach ogłosi upadłość.

Ignazio zbliża dłonie do ust, jakby chciał zdusić okrzyk.

– Jak to... upadłość? – pyta niemal żałośnie.

Giovanna, przerażona, patrzy na syna, potem na prezesa NGI. Nie rozumie. Bankructwo? I co to ma wspólnego z nimi?

– To wszystko wina tego megalomana Giacinta Frascary! – Gallotti zrywa się z fotela, prawie krzyczy. – Teraz chce zrezygnować z funkcji prezesa, bo się boi. A drobnym ciułaczom, których zrujnował, co powie? To on chciał rozszerzyć działalność, on postanowił uczynić Credito Mobiliare największym bankiem ze wszystkich. Francesco powiedział mi, że od jakiegoś czasu krąży plotka, jakoby zaczęli odmawiać kredytów, ponieważ nie mają płynności, ale nikt nie przypuszczał, że kryzys będzie tak poważny. Frascara rozmawiał ze wszystkimi, od Giolittiego po ministra finansów Gagliarda, próbował nawet zaangażować Bank Narodowy. Ale problem polega na tym, że nie ma już pieniędzy. Jeśli dobrze pójdzie, dostanie nieco więcej czasu, ale nic ponadto.

Ignazio również wstaje. Robi to jednak powoli, jakby obawiając się, że nogi go nie utrzymają, i rozgląda się dookoła. Nagle ten

pokój pełen ciężkich mahoniowych mebli w stylu neorenesansowym, który pamięta z dzieciństwa, wydaje mu się obcym miejscem. Podchodzi do matki, która wpatruje się w niego z przerażeniem, i głaszcze ją po policzku. Następnie idzie do okna.

– Okienka... Kazałem umieścić ich okienka obok naszych... – mówi drżącym głosem. – Jedno obok drugiego, dosłownie. Ludzie chodzili tam zdeponować swoje *picciuli*, bo choć było napisane Credito Mobiliare, to biura były nasze. Słyszałem kilka głosów niepokoju w związku z tymi machlojkami, które zrobili w Rzymie... ale nie sądziłem, że są aż tak narażeni. Powtarzałem sobie, że byliśmy zawsze z boku tego skandalu, a tu proszę. – Przesuwa dłonią po twarzy. – Ludzie zaufali naszemu nazwisku, bo jesteśmy Florio. Ale okazuje się, że my też zostaliśmy oszukani. Sam zainwestowałem w Credito Mobiliare, wierząc, że jest solidnym bankiem.

Cisza, która następuje, jest lodowata jak zimowy wicher. „Naprawdę taka jest”, myśli Ignazio.

Niemal w odpowiedzi na tę myśl przychodzi nagła i gwałtowna ulewa. Skrzypią okiennice, trzaskają drzwi. Służba pospiesznie zamyka okna, ale chłód już wdarł się do pomieszczeń.

Wszystko wokół Ignazia zdaje się trzeszczeć.

Giovanna odwraca się, kiwa głową do służących. Nino daje znak służbie, by wyszła, po czym zamyka za sobą drzwi.

– Teraz ludzie zaczną myśleć, że to Florio zgarnia *picciuli*, i będą wycofywać depozyty z naszego banku, który nie ma z tym nic wspólnego. – Głos Giovanny jest ostry, wyraźny. Jej ręce gładzą obrus, który wyhaftowała przed laty. – Tak się stanie.

Gallotti powoli siada, rzucając jej zdumione spojrzenie. Kiwa głową. Nigdy by nie pomyślał, że donna Giovanna Florio zna mechanizmy interesów. Ignazio natomiast błądzi po pokoju, wygląda na zagubionego.

– Nie mogę pozwolić, by do naszego imienia przylgnęło błoto. – Przeciera oczy, jakby chciał się obudzić ze złego snu. Wraca na swoje miejsce i uderza otwartą dłonią w stół. Srebrna zastawa i porcelana z Limoges podskakują z brzękiem. – Co za dranie...

A mówiono mi, żebym nie pozwalał im na zbyt wiele, że się mylę, ale skąd mogłem wiedzieć? Kto mógł wiedzieć?

Gallotti wpatruje się w niego i kręci głową. „Jak widać, wiedzieli wszyscy oprócz was”, chciałby powiedzieć. Ale nie może. To już nic nie da.

Ignazio zakrywa twarz rękami.

– Co teraz? Co mam zrobić? – pyta.

W odpowiedzi otrzymuje jedynie ciszę przerywaną trzaskaniem drewna w kominku i stukaniem deszczu o szyby.

Giovanna oddech szybko; Ignazio niemal sapie.

Gallotti wstaje z szuraniem krzesła, następnie przesuwając ręką po włosach.

– Don Ignazio, za pozwoleniem, złożyłbym wizytę kilku znajomym, którzy mogą wiedzieć więcej – mówi zakłopotany. – Żebyśmy mogli się zorientować, ile mamy czasu.

Ignazio podnosi głowę, sygnalizuje mu, że tak, może iść. Nie ma siły odpowiedzieć. Gallotti rozkłada ręce w geście rezygnacji, po czym kłania się Giovannie. Ona mu dziękuje, prosi, by dał im znać jak najszybciej, ale pozostaje bez ruchu, dopóki drzwi się za nim nie zamkną. Potem wstaje gwałtownie, chwytając syna za ramię, potrząsa nim.

– Dość już. Nie bój się – mówi. Jest zdecydowana. – Teraz pójdziesz do Banco Florio. Wysłuchasz pracowników, obliczysz odszkodowanie. To są ich konta, nie nasze; zobacz, czy mamy u nich jakieś długi i ile ich jest. Przyjrzyj się wszystkiemu sam, osobiście. – Przerywa, pochyla się w jego stronę. – Tak by zrobił twój ojciec. – To nie jest wyrzut, ale napomnienie, przywołanie dumy. – I przestań patrzeć jak zbity pies. Jesteśmy Florio i tylko to się liczy.

Ignazio ciężko wzdycha. Opiera się o stół, wstaje. Panika znikła, a on odzyskuje panowanie nad sobą. Dopiero teraz pozwala sobie na odpowiedź w postaci uśmiechu.

– Wszystko w porządku, mamó – mówi. – Ale jeśli Franca...

Giovanna przytakuje, uspokaja syna spojrzeniem.

– Poślę po ciebie. Nie martw się.

Kiedy drzwi zamykają się za synem, Giovanna osuwa się z powrotem na fotel. Jej myśli zwracają się ku zmarłemu mężowi.

Gdyby on tu był, coś takiego by się nie stało, tego jest pewna. Czuje łzy wzbierające pod powiekami, bo teraz bardziej niż kiedykolwiek tęskni za silnym uściskiem i spokojnym, chłodnym spojrzeniem Ignazia.

– Co zrobimy, serce moje? – pyta go z twarzą zwróconą do okna.  
– Co my zrobimy?

\*\*\*

Credito Mobiliare zamyka swoje oddziały 29 listopada 1893 roku.

Kilka dni wcześniej na świat przychodzi dziecko Ignazia i Franki.

Giovannuzza.

Dziewczynka.

## Koniak (marzec 1894 – marzec 1901)

*Abballa quannu a fortuna sona*  
„Tańcz, gdy fortuna przygrywa”  
przysłowie sycylijskie

*Pod koniec 1893 roku sytuacja na Sycylii stawała się coraz trudniejsza. 10 grudnia w Giardinello pod Palermo tragedią zakończyła się demonstracja przeciwko wysokim podatkom – zginęło jednaście osób, a wiele zostało rannych. 25 grudnia w podobnej demonstracji w nieodległej Lercara Friddi zginęło siedem osób. Na całej wyspie wybuchały liczne protesty, często tłumione zbrojnie. 4 stycznia 1894 roku, gdy liczba zabitych przekraczała tysiąc, Francesco Crispi zadekretował stan wyjątkowy na Sycylii i mianował generała Roberta Morra di Lavriano, byłego prefekta Palermo, królewskim nadzwyczajnym komisarzem cywilnym, przekazując mu pełnię władzy wojskowej i cywilnej. Nowego porządku strzegło, uciekając się do brutalnych represji, czterdzieści tysięcy żołnierzy: doraźne procesy kończyły się surowymi wyrokami i jak mówi w swoim raporcie sam generał, zniesiono „wolność jednostki, nienaruszalność miru domowego, wolność prasy, prawo do zgromadzeń i stowarzyszeń”. Oczywiście Fasci dei Lavoratori zostały rozwiązane, ale żądania ekonomiczne i społeczne – które łączyły robotników i robotnice, rzemieślników oraz górników z kopalni siarki, a nawet urzędników i nauczycieli – sięgnęły daleko poza granice wyspy. Protesty i zamieszki wybuchły w niemal całym kraju, od Apulii, przez Emilię-Romanię, do Lombardii. Największe manifestacje odbyły się w historycznej krainie Lunigiana na terenie Ligurii, gdzie aresztowano dwieście pięćdziesiąt osób. W tym samym okresie powstaje Włoska Socjalistyczna Partia Pracujących, oficjalnie powołana w 1893 roku (13 stycznia 1895 roku zmieni nazwę na Włoską Partię Socjalistyczną z Filippem Turatim jako sekretarzem).*

W sytuacji tak głębokich niepokojów społecznych minister finansów i skarbu Sidney Sonnino 21 lutego 1894 roku ogłosił w parlamencie konieczność podniesienia podatków w celu przezwyciężenia trudności gospodarczych kraju. Napotkał zdecydowaną opozycję – i w rezultacie podał się do dymisji – ale premier Crispi nie ustąpił. Choć 4 czerwca upadł jego trzeci rząd, to już 14 czerwca gotowy był nowy gabinet. Wykorzystując wzburzenie, które wywołał nieudany zamach na jego życie, przeprowadzony 16 czerwca przez anarchistę Paola Legę, już 20 lipca Crispi zdołał doprowadzić do zatwierdzenia przez parlament serii reform ekonomicznych, w tym podwyżki cła na zboże i sól, ale przede wszystkim podwyżki podatku dochodowego o dwadzieścia procent.

Rząd Crispiego upadł niecałe dwa lata później, 10 marca 1896 roku, do czego walenie przyczyniła się klęska w bitwie pod Aduą 1 marca 1896 roku. Czternaście i pół tysiąca Włochów na próżno próbowało stawić czoła naporowi stu tysięcy żołnierzy Menelika II (ofiary śmiertelne po włoskiej stronie liczyły co najmniej sześć tysięcy). Liberalny deputowany Bernardo Arnaboldi Gazzaniga tak podsumował katastrofalne doświadczenia afrykańskie: „W ciągu dwunastu lat polityki kolonialnej udało nam się [...] wydać około pięciuset milionów, nie osiągając żadnych rezultatów, [...] siejąc w zamian biedę i niezadowolenie wśród ludności” (przemówienie w izbie deputowanych z 19 maja 1897 roku).

Następcą Crispiego został Antonio Starabba di Rudinì, który sprawował urząd premiera do 29 czerwca 1898 roku (na czele czterech różnych rządów). Sytuacja gospodarcza kraju była bardzo trudna. Obok niezmiernie wysokich kosztów przedsięwzięcia kolonizacyjnego pogarszały ją słabe zbiory (we wrześniu i październiku 1896 roku wystąpiły niszczące powodzie, zwłaszcza w Piemontie i Kalabrii) połączone ze wzrostem ceny importowanego zboża, a tym samym wzrostem ceny chleba – za kilogram trzeba było zapłacić średnio od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu centów. Głębokie niezadowolenie – które zyskało już świadomość społeczną, jako że w 1895 roku do parlamentu weszło piętnastu socjalistycznych deputowanych, w tym Leonida Bissolati i Filippo Turati – objawiło się w serii protestów, które z początkiem 1898 roku rozpały całe Włochy (największe demonstracje odbyły się we Florencji, Ankonie, Rzymie, Foggi i Neapolu), oraz strajków, których kulminacja nastąpiła 8 maja na piazza del Duomo

w Mediolanie, gdzie sprawujący pełnię władzy i dowodzący dwudziestoma tysiącami żołnierzy generał Fiorenzo Bava Beccaris rozkazał otworzyć ogień do demonstrantów, co spowodowało śmierć przynajmniej stu osób. Bezpośrednio po tym tragicznym wydarzeniu Bava Beccaris zarządził aresztowanie około dwóch tysięcy osób, zamknięcie czterdziestu czasopism i rozwiązanie Izby Pracy. Król mianował go Wielkim Oficerem Orderu Wojskowego Sabaudii „dla upamiętnienia wielkich zasług, jakie oddał instytucjom i cywilizacji”.

Powstania ludowe wybuchały jednak nadal: 9 maja ogłoszono stan wyjątkowy dla Toskanii i prowincji Neapolu, a 11 maja przyszła kolej na Como. Di Rudinì złożył dymisję, a król powołał na szefa rządu generała Luigiego Pelloux (29 czerwca 1898), który w lutym 1899 roku próbował doprowadzić do uchwalenia ustawy militaryzującej pracowników kolei i poczty, poważnie ograniczającej wolność zrzeszeń i prawo do strajku oraz wprowadzającej cenzurę prewencyjną gazet. Reakcja lewicy była gwałtowna i po długiej serii starć w parlamencie również Pelloux złożył dymisję (24 czerwca 1900). Na jego miejsce powołano umiarkowanego Giuseppego Saracco, który pozostał na stanowisku do 15 lutego 1901 roku.

4 czerwca 1899 roku Humbert I udzielił amnestii wszystkim skazanym za tak zwane zamieszki chlebowe, ale to nie wystarczyło, by powstrzymać anarchistę Gaetana Bresciego, który 29 lipca 1900 roku w Monzy trzema strzałami z pistoletu zastrzelił króla i oświadczył: „Zrobiłem to, by pomścić krwawe ofiary Mediolanu. Nie zamierzałem zabić człowieka, tylko zasadę”. Bresci został skazany na dożywocie 29 sierpnia i zmarł – być może samobójczą śmiercią – 22 maja 1901 roku.

Trzydziestoletni Wiktor Emmanuel III wstąpił na tron 10 sierpnia 1900 roku.

\*

Koniak to dzieło ziemi, drewna, cierpliwości i morza. Tak samo jak whisky. I jak marsala.

Mówiło się o nim już w XVII wieku, ale od 1 maja 1909 roku, na mocy dekretu rządowego, reszta świata musiała pogodzić się z tym,



że produkuje „zwykłą” brandy, ponieważ za jedyną prawdziwą kolebkę koniaku uznawano departament Charente w południowo-zachodniej Francji. Kredowa ziemia, bogata w osady morskie, pokryta jest winoroślą ugni blanc (klonem trebbiano, który sadzono we Francji po klęskach spowodowanych przez filokserę pod koniec XIX wieku), colombard o delikatnych żółtych owocach i folle blanche o zwartej kiści. Aby stać się koniakiem, wino musi składać się w co najmniej dziewięćdziesięciu procentach z tych trzech szczepów, pojedynczych lub zmieszanych. Do pozostałych dziesięciu procent można użyć innych szczepów: montils, semillon, jurançon blanc, blanc ramé, select, sauvignon.

Ale na tym nie koniec. Jest ściśle ustalony czas zbioru, zwykle od października do pierwszych przymrozków. No i beczki: drewno musi pochodzić z dębów z lasów Limousin i Tronçais. Klepki dojrzewają na wolnym powietrzu, a następnie są łączone jedynie żelaznymi obręczami, dzięki czemu ani gwoździe, ani klej nie zmieniają smaku. Na koniec są długo i dokładnie opiekane, czyli przegrzewane w środku. Zanim trunek trafi do beczek, wino musi zostać poddane destylacji, obowiązkowo w tradycyjnym alembiku *charentais*, i to dwukrotnie, najpierw w temperaturze 25–27 stopni, a następnie 70–72.

Dopiero wtedy przychodzi dojrzewanie. Bo tak to już jest: wszystko, co piękne i cenne, wymaga czasu, spokoju i cierpliwości. To są trzy niepisane, ale absolutnie niezbędne składniki. Trzeba czekać, czekać i jeszcze raz czekać, bo nic dobrego nie może się urodzić przed czasem.

W przypadku koniaku ten czas to co najmniej dwa lata, ale może to być nawet pięćdziesiąt lat, a czasem więcej. W piwnicach przesyconych wonią Atlantyku, gdzie parowanie odbywa się powoli, mieszając aromat alkoholu z wonią drewna i soli, koniak nabiera charakterystycznych smaków wanilii, tytoniu, cynamonu i suszonych owoców oraz przybiera bursztynową barwę i jedwabistą konsystencję. Oczywiście z każdym kolejnym rokiem kurczy się objętościowo o trzy do pięciu procent. Francuzi wiedzą, że to jest *la part des anges*, czyli „część dla aniołów”. W piwnicy znajduje się

również miejsce zwane *paradis*, „raj”, gdzie przechowuje się koniaki mające co najmniej pięćdziesiąt lat.

\*\*\*

Niestety dziewczynka.

Uśmiech Ignazia przygasł, gdy położna przekazała mu tę wiadomość. Na gratulacje i życzenia odpowiedział tylko skinieniem głowy. Potem Diodata otworzyła drzwi do sypialni Franki, wpuściła go do środka i włożyła mu w ręce płaczącą maleńką czerwoną istotkę, owiniętą pieluchami, które chroniły ją przed listopadowym chłodem.

Franca leżała w łóżku, miała zamknięte oczy i ręce złożone na brzuchu. Poród był długi i trudny. Gdy usłyszała jego kroki, uniosła powieki.

– To dziewczynka. Przepraszam.

Na te słowa, wypowiedziane smutnym tonem, przez Ignazia przetoczyła się fala wzruszenia. Usiadł obok niej i pocałował ją w czoło.

– Nasza córka Giovanna – odpowiedział, powierzając jej noworodka.

Byli teraz rodziną, a nie tylko parą walczącą o równowagę w związku.

Nie minęły trzy miesiące, a Giovannuzza, jak zdrobniale nazywano dziewczynkę, zawładnęła sercem Ignazia. Franca wciąż jest królową, ale córeczka jest jego księżniczką.

Chłopak jeszcze przyjdzie na świat. Musi. To kwestia czasu. Dom Florio potrzebuje dziedzica. Lekarz powiedział, że Ignazio wkrótce będzie mógł znów odwiedzać sypialnię żony, i to jest jedna z niewielu dobrych wiadomości z tego czasu.

Tak, bo styczeń 1894 roku był trudnym miesiącem. Rzadko nadarzały się okazje do świętowania poza zwykłymi okresami spędzonymi z rodziną, mało było czasu na wypoczynek. Eleganckie towarzystwo pozostaje w domach, zadbawszy o odpowiednią ochronę, aby nikt nie niepokoił porządnych ludzi.

Palermo nie jest już bezpieczne.

W pierwszych dniach roku na wyspie ogłoszono stan wyjątkowy. To przez agitatorów z Fasci Siciliani, organizacji zrzeszającej robotników rolnych i fabrycznych, mężczyzn i kobiety, wszystkich jednakowo niezadowolonych z ciężaru podatków i szykan, które muszą znosić. Niepohamowane jak zaraza protesty rozprzestrzeniły się z miasta na wieś. I przerodziły w zamieszki. W Pietraperzia, Spaccaforo, Salemi, Campobello di Mazara, Mazara del Vallo, Misilmeri, Castelvetrano, Trapani i Santa Ninfa ludzie spalili punkty poboru opłat i z bronią w ręku szturmując urzędy i więzienia, uwalniali osadzonych.

Chaos zapanował na wyspie i trzeba było wezwać wojsko, by przywrócić porządek. Piemontczykami, jak nazywali ich starzy wyspiarze, dowodził generał Morra di Lavriano, któremu rząd powierzył pełnię władzy. Przybyli, wycelowali karabiny i zaczęli strzelać do wszystkich, nawet do kobiet. Nie zrobiono nic przeciwko tym, którzy nękali chłopów i robotników, sprowadzając na nich głód i rozpacz. Wręcz przeciwnie: każdy protest miał swój udział w żniwie śmierci, każdy zostawiał rannych i aresztowanych, po każdym następowały procesy. Rozczarowanie potęgowała świadomość, że premierem jest Crispi, Sycylijczyk, były garibaldczyk, który zastąpił Giolittiego po skandalu z Banca Romana.

Teraz panuje ponury spokój wymuszony strachem, utrzymywany przez masowe aresztowania i surowe wyroki. Trzeba było się zgodzić z donną Ciccją, gdy mamrotała, że tym z Północy nie można ufać i lepiej by było wrócić pod panowanie Burbonów.

Jest wieczór; kilka lamp oświetla pokoje i ogród. Ciepłe refleksy rozświetlają koniak w kieliszku, który Ignazio trzymał dotąd w dłoniach. Jego aromat – korzenny, z ledwie wyczuwalną nutą miodu – wypełnia pomieszczenie.

Ktoś puka do drzwi.

– Proszę! – mówi Ignazio, oderwany od lektury specyfikacji „Britannii”, kutra księcia Walii czekającego na zwodowanie w stoczni w Glasgow, z którym w czerwcu jego „Valkyrie” będzie rywalizować w Channel Race.

Drzwi się otwierają i staje w nich Franca.

– Nie jesteś jeszcze gotowy?

– Jeszcze nie. Powiedz, jak się ma Giovannuzza? – pyta Ignazio, odkładając papiery. – Dziś po południu moja *picciridda* bardzo płakała, dlaczego?

– Pielęgniarka powiedziała, że miała silną kolkę. Długo masowała jej brzusek.

Myśl o tym miękkim, pachnącym małym ciałku napełnia ją taką czułością, jakiej nigdy się nie spodziewała. Początkowo, po cierpieniach związanych z porodem, obawiała się, że rozwinie się w niej rodzaj niechęci do córki: zbyt wielki był ból, zbyt wyczerpujące dochodzenie do siebie. A jednak to dziecko zdobyło ją jednym spojrzeniem, obdarzyło gorącą, bezwarunkową miłością, która wykluczała resztę świata i chroniła ją przed wszelką brzydotą.

Franca podchodzi do męża. Po urodzeniu Giovannuzzy jej ciało stało się – jeśli to w ogóle możliwe – jeszcze bardziej zmysłowe. Ignazio nie może się oprzeć: obejmuje ją i całuje w szyję.

– Jesteś boginią – mruczy przy jej skórze.

Franca się śmieje i pozwala mu na pieszczotę, mimo że układanie włosów zajęło Diodacie prawie dwie godziny. Ignazio jest ostatnio zbyt spięty, a ona ma poczucie, że nie potrafi sprawić, by mąż zapomniał o troskach. I chce uniknąć sytuacji, w której zacząłby szukać tego zapomnienia w innych ramionach.

Oczywiście afera z Banca Romana wywołała ogromne poruszenie. Przez wiele dni w gabinecie Olivuzzy pojawiali się mężczyźni o marsowych minach, a Ignazio spędzał na piazza Marina znacznie więcej czasu niż zwykle. Franca słyszała również, że po zamknięciu oddziałów Credito Mobiliare Ignazio musiał zapłacić pięć milionów lirów<sup>43</sup>. Suma ta wydawała się na przemian ogromna i niewielka. Ale co ona z tego rozumiała? Rachunki za usługi krawcowej i modystki przed ślubem przychodziły do jej matki, a teraz trafiają bezpośrednio do Ignazia. Próbowwała pytać, ale zarówno Ignazio, jak i Giovanna zbywali ją półsłówkami i ogólnikową radą, by się nie przejmowała.

– Czy naprawdę musimy jechać? Nie możemy iść do ciebie na górę? – pyta Ignazio z twarzą zatopioną we włosach Franki.

Wsuwa ręce pod jej peniuar, znajduje gorset, pieści jej piersi.

Ona uwalnia się z jego objęć, śmieje się i odpycha go lekko.

– Nigdy nie sądziłam, że będę musiała przekonywać męża, by poszedł do teatru i na przyjęcie! – Owija się ciasniej peniuarem i zerka na niego. – Teraz pójdę i skończę się szykować... Ty też powinienes.

Ignazio się uśmiecha.

– Porozmawiamy po powrocie – mówi i całuje jej nadgarstek.

\*\*\*

Po południu 4 marca 1894 roku powóz z herbem książąt Lanza di Trabia zatrzymuje się przed wejściem do Olivuzzy. Najpierw wysiada z niego Pietro, potem Giulia, a na końcu mężczyzna o falujących ciemnych włosach, szerokim czole, żywym spojrzeniu i gęstym wąsie. Lokaj z ukłonem kieruje gości na schody z czerwonego marmuru ozdobione kaskadami kwiatów. Na ich szczycie czeka Franca. Wyciąga ręce do Giulii i Pietra, całuje ich i zaprasza do ogrodu zimowego. Następnie uśmiecha się do towarzyszącego im mężczyzny.

– Witajcie, maestro. Wasza obecność przynosi nam zaszczyt. Zapraszam. Nasi goście czekają na was z niecierpliwością.

Giacomo Puccini rusza za nią, zerkając jak najdyskretniej na piękne kształty gospodyni. Przybył na Sycylię na przedstawienie opery *Manon Lescaut* – premiera odbyła się miesiąc wcześniej w Turynie – którą Palermo przyjęło z entuzjazmem: aplauz, wezwania na proscenium dla niego i śpiewaków oraz końcowa owacja, od której zadrżał cały budynek Teatro Politeama.

Franca i Ignazio poznali kompozytora poprzedniego wieczoru podczas kolacji wydanej na jego cześć w palazzo Butera i zaprosili na herbatę dla zwieńczenia triumfu.

Franca zwalnia kroku, zrównując się z Puccinim.

– Maestro, wasza *Manon* naprawdę dotyka samej duszy. Wczoraj nie miałam odwagi wam tego wyznać, ale płakałam gorącymi łzami.

Puccini wygląda na poruszonego komplementem wypowiedzianym z takim przejęciem. Zatrzymuje się, ujmuje dłoń Franki, całuje ją.

– Wasze słowa, signora, są warte więcej niż wszystkie oklaski ostatniej nocy. Jestem wzruszony i zaszczycony – mówi z emfazą.

Franca waha się przez chwilę, po czym pyta niemal szeptem:

– Ale dlaczego wielka muzyka sprawia, że ludzie tak cierpią?

Puccini przybliży usta do ucha Franki i takim samym szeptem odpowiada:

– Bo zaczyna się tam, gdzie kończą się słowa. Tak samo jak piękno... Jestem pewien, że wiecie, co mam na myśli. – I znów całuje jej dłoń.

Franca rumieni się, uśmiecha, a Puccini podaje jej ramię i ruszają dalej.

\*\*\*

– Ignazio! – Sens wypowiedzianego półgłosem wezwania Giovanny jest jednoznaczny.

Ona również była świadkiem tej sceny: Puccini schylił się dwukrotnie, by ucałować rękę Franki, a nawet szepnął jej coś do ucha. Poufałość – intymność? – która z pewnością doprowadziła do furii Ignazia, czekającego na znakomitego gościa przy drzwiach ogrodu zimowego. Giovanna zna syna aż za dobrze: jest zazdrosny, zaborczy i nie ma większego znaczenia, że sam jest niewierny, bo tak jak rozpieszczone dziecko, nie zgadza się, by ktokolwiek inny bawił się jego zabawkami.

Franca i Puccini są już przed nim i Ignazio zdobywa się na uśmiech.

– Maestro, witamy! – wykrzykuje nieco zbyt głośno. Następnie wkracza między tych dwoje i prowadzi kompozytora do Giovanny, która wraz z donną Ciccją zabawia grupę starszych kobiet ubranych na czarno.

To Giovanna zadbała o każdy szczegół tego popołudniowego przyjęcia: wybrała kwiaty, bieliznę stołową, srebra, porcelanę, bogaty zestaw mieszanek herbacianych w drewnianych pudełkach, a nawet rodzaj ciasta. Wszystko jest doskonałe i eleganckie. „Ona nadal mi nie ufa”, myśli Franca, rozglądając się dookoła.

Otrząsa się z tych rozważań, kiedy słyszy kobiecy śmiech. To niepowtarzalny głos Tiny Scalii Whitaker, żony Josepha Isaaca Whitakera – wszyscy mówią na niego po prostu Pip – wnuka Bena Inghama, który odegrał decydującą rolę w życiu Vincenza Florio, dziadka Ignazia. Pip i Tina, być może najznamienitsza para Palermo, nie mogliby się bardziej od siebie różnić. On kontynuuje rodzinną tradycję związaną z produkcją marsali i jej sprzedają, a w wolnych chwilach zajmuje się swoimi prawdziwymi pasjami – archeologią i ornitologią. Tina, córka garibaldyjskiego generała, jest kulturalną i inteligentną kobietą, która żyje i żywi się światowością: nikt się nie uchroni przed jej docinkami i sarkazmem.

Franca odwraca się w stronę małej grupki kobiet z rodziny Whitakerów, które gawędzą, mieszając angielski i sycylijski, i napotyka spojrzenie Tiny. Przez chwilę obie kobiety wpatrują się w siebie, a Franca odczytuje w oczach tamtej coś pomiędzy współczuciem a kpiną. Wie, że Tina uważa ją za piękną i trochę głupią, za elegancką lalkę do pokazania. Zaciska więc usta, dotyka naszyjnika z topazów i pereł jakby dla pokrzepienia, a potem tylko kiwa głową na powitanie.

Inny głos ją rozprasza, głos Ignazia.

– Teatro Politeama jest piękny, ale nie ma idealnej akustyki – mówi do Pucciniego i zebranych wokół nich gości. – Ufam, że już niedługo będzie gotowy Teatro Massimo. Mówię to z pewną dumą, gdyż dach tego budynku jest dziełem rodzinnej odlewni.

– A ja dziękuję mecenasowi tworzącemu w Palermo świątynię opery. Jemu i jego odlewni! – odpowiada Puccini, wywołując śmiech obecnych.

W ciszy, która nastąpiła, odzywa się poważnie wyglądająca młoda kobieta.

– Mistrzu... to taki zaszczyt móc z wami rozmawiać. Czy mogę zadać pytanie?

– Ależ proszę – zachęca Puccini z uśmiechem.  
– Jak... piszecie swoją muzykę?  
– Praca kompozytora nie jest typową pracą, a przede wszystkim nie zna przerw – odpowiada Puccini. – To bardziej obowiązek ducha. Nawet teraz, gdy jestem tu z wami, w moim umyśle, w mojej duszy nuty komponują się, wiążą. To potok, który nie zazna spokoju, dopóki nie dotrze do rzeki. Na przykład teraz... – Podchodzi do fortepianu, który mały Vincenzo dręczy dwa razy w tygodniu podczas lekcji muzyki.

Szmer cichnie, filizanki zostają odstawione, również służba zastyga bez ruchu. W nagłej ciszy Franca podchodzi do instrumentu i patrzy zachęcająco na Pucciniego. Ręce mężczyzny spoczywają na klawiaturze i nagle melodia wypełnia pokój.

*Che gelida manina, se la lasci riscaldar  
Cercar che giova?  
Al buio non si trova.  
Ma per fortuna è una notte di luna,  
e qui la luna l'abbiamo vicina...*<sup>44</sup>

Puccini gra i śpiewa, a pachnące wanilią i herbatą powietrze chwyta nuty i nie chce się z nimi rozstać. Wreszcie artysta kończy z palcami zawieszonymi nad klawiaturą i twarzą zarumienioną od emocji.

Gdy wybuchają oklaski, wstaje i pochyła się w stronę Franki.

– Cieszę się, że usłyszeliście fragment mojej kolejnej opery. Zawsze będę pamiętał o tej chwili, a to ułatwi mi ukończenie dzieła.

Franca się rumieni, a Ignazio każe przynieść szampana i wznosi toast za „przyszły triumf maestra Pucciniego. W nadziei, że wróci do Palermo, by tu wystąpić!”. Mężczyźni przytakują, a kobiety wzdychają i mówią, że tak, to rzeczywiście boska muzyka.

Puccini, wznosząc toast, ponownie podchodzi do Franki.

– To było wspaniałe. Dziękuję za ten niespodziewany prezent – mówi ona, podekscytowana.



W odpowiedzi Puccini bierze jej dłonie i zbliża obie do swoich ust. Spojrzenia obecnych stają się głodne skandalu, podnoszą się szepty. „Czy ona nie pozwala temu mężczyźnie na zbyt wiele poufałości? Myśli, że zasady jej nie dotyczą?”.

– Dziękuję waszej rodzinie za otwarcie przede mną drzwi tej wspaniałej rezydencji – odpowiada kompozytor. – I dziękuję wam, signora. Macie w sobie niezwykle, cenne światło. Mam nadzieję, że uda się wam zachować je na zawsze.

Na te słowa Franca się uśmiecha, ale jej oczy na chwilę wilgotnieją.

I tylko jedna osoba to zauważa.

Jej szwagierka Giulia.

\*\*\*

Palazzo Butera, rezydencja książąt Lanza di Trabia, przylega do murów miejskich kilka kroków od porta Felice. Z ogrodu zimowego roztacza się widok na morze o barwie stali, w którym odbijają się szare chmury tego niezwykle jak na początek maja ponurego dnia. W powietrzu unosi się zapach suchych liści, wilgotnej ziemi i pączkujących roślin. Siedzące w wiklinowych fotelach wśród krzewów cytrynowych i małych bananowców Franca i Giulia mogą swobodnie rozmawiać, podczas gdy Vincenzo i dzieci Giulii bawią się w niewielkiej odległości od nich, pod czujnym okiem guwernantek.

– A zatem? Dlaczego chciałaś się ze mną widzieć?

Franca ściska uszko porcelanowej filiżanki z Sèvres ozdobionej herbem Lanza di Trabia. Zastanawia się, kiedy Giulia stała się tak szorstka, tak różna od tamtej młodej kobiety, która pisała do niej czułe listy, kiedy Franca dołączyła do rodziny. Nie chce jej jednak oceniać: napięte relacje z teściową i śmierć małego Blasca zahartowały szwagierkę. To była tragedia, której rozmiar dociera do Franki dopiero teraz, gdy sama została matką.

Gdzieś wśród drzew Vincenzo coś wykrzykuje, na co Giuseppe, najstarszy syn Giulii, odpowiada śmiechem. Tupot małych stóp,

dźwięk odbijanej piłki. Dziwnie jest patrzeć na te dzieci – jedno ma jedenaście, drugie pięć lat – i myśleć, że to wuj z siostrzeńcem.

W końcu, po raz pierwszy od przybycia Franki, Giulia się uśmiecha, a następnie patrzy na nią zachęcająco.

– Potrzebuję rady – mówi wtedy Franca. – Szczerej, jakbyś była mną.

Giulia unosi brwi, po czym spogląda na dłonie szwagierki. Drżą. Wyjmuje jej z rąk filiżankę, stawia ją na stoliku i opiera się w fotelu.

– Dlaczego drżysz? – Ścisza głos. – Wciąż drżysz o wszystko, prawda? Boisz się, że inni źle cię oceniają.

Franca szybko mruga. Kiwa głową, zaskoczona, i wbija wzrok w swoje ozdobione klejnotami palce.

– Zastanawiałam się, kiedy zrozumiesz, że tak się nie da żyć. Wyglądasz jak dusza czyścowa – kontynuuje Giulia.

Ręce Franki zaciskają się na fałdach spódnicy, a jej głos się łamie.

– Nie myśl, że jestem naiwna. Ignazio... Zawsze myślałam, że to głównie on jest tematem plotek, i zmuszałam się, żeby ich nie słuchać, bo w końcu on zawsze do mnie wraca i widać, że to mnie kocha. Tymczasem mnie też krytykują. Słyszę komentarze i żarty za każdym razem, gdy wychodzimy gdzieś we dwoje. Wczoraj na wieczorku u markizów de Seta flirtował z gospodynią w naprawdę nieprzyzwoity sposób. Czułam się poniżona! W domu jestem jak gość, bo nie muszę nawet ust otwierać: ze wszystkim zwracają się do teściowej. Mam wrażenie, że służba patrzy na mnie dziwnie. A twoja matka, która naprawdę jest chrześcijańską świętą, zawsze ma mi coś do zarzucenia. – Wybuch Franki ma teraz impet wezbranej rzeki. Szloch wymyka się z jej gardła. – I nie tylko ona. Wszyscy, całe miasto! Że za mało mówię, że za dużo gadam, że się ubieram tak, a nie inaczej, że coś źle zrobiłam. Już sama nie wiem, jak się mam zachować.

Giulia potrząsa głową, na jej twarzy odbijają się emocje, których Franca nie umie zinterpretować.

– Jesteś za dobra, moja droga. Musisz wyhodować pazury, bo jeśli nie, to rozerwą cię na kawałki i zostawią same kości. To dotyczy również mojej matki.

Franca otwiera szeroko swoje zielone oczy. Giulia jest brutalnie szczerą.

– Naprawdę? – pyta z łkaniem.

– Tak. – Giulia wstaje, kieruje się w stronę szklanej ściany zimowego ogrodu. – Myślisz, że nie zauważyłam? – Nie czeka na szwagierkę, która rusza za nią i musi się spieszyć, żeby nadążyć. – Ty teraz jesteś donna Franca Florio. Nie moja matka, wdowa, która myśli tylko o tym, żeby zamawiać msze za duszę mego ojca. Jesteś żoną Ignazia, głowy rodziny, i musisz wziąć to, co ci się należy, zaczynając od szacunku. – Chwyta ją za ramiona, mówi cał od jej twarzy. – Kiedy wyszłam za mąż, mój ojciec dał mi jasno do zrozumienia, że nikt nigdy nie może wejść mi w paradę. Musiałam od razu się bronić, jasno wyznaczać granice, inaczej rodzina męża by mnie zadusiła. I to właśnie mówię teraz tobie. Kocham mojego brata, ale znam go: ma pstro w głowie i kręci się wokół niego zbyt wiele kobiet. Jest zapatrzony w siebie i nie rozumie, że ludzie krytykują cię przede wszystkim z jego powodu. Znam go, nie jest zły, ale jest taki... powierzchowny. On nawet nie rozumiałby, jak się czujesz, bo nie zwraca uwagi na to, co mówią za twoimi plecami. Co ja sama słyszałam. – Giulia spogląda w bladą ze wstydu twarz Franki. Ignoruje mokre od łez rzęsy szwagierki, potrząsa nią. – Patrz na mnie. To ty musisz się bronić, bo wiem, co świat mówi o nas, kobietach Florio. Że wydajemy za dużo pieniędzy na stroje i biżuterię, że wszystko posiadamy dzięki rodzinnym *picciuli*, ale głowy mamy puste. I że jesteśmy tak aroganckie, że nie wiemy, gdzie nasze miejsce. – Ręka Giulii zaciska się w pięść. – Nie obchodzi mnie, co mówią. Ciebie również nie powinno to obchodzić; jeśli ich słuchasz, dajesz im nad sobą władzę. To nędznicy, których gadanina ujawnia tylko, jak bardzo są zawistni. Mamy wszystko, czego oni nie mają, i dlatego paplają o nas i będą to robić nadal.

Giulia jest bezpośrednia, prostolinijnie okrutna.

Franca ledwo zdaje sobie sprawę z trudności, z jakimi musiała się zmierzyć szwagierka. Nie wie, że i ona znosiła ciężkie upokorzenia, zwłaszcza na początku, kiedy teściowa nie robiła nic innego, jak tylko wypominała przy wszystkich jej mieszczańskie pochodzenie.

Przez lata nie traciła okazji, by wytykać, że to małżeństwo znaczy niewiele więcej niż umowa. A Pietro nigdy nie stanął w żony obronie ani jej nie pomógł. Ani razu.

Jednak te lata nauczyły Giulie, by się nie poddawać, by nigdy nie opuszczać głowy. Rozbudziły w niej gniew podobny do tego, który jej dziadek Vincenzo hodował w sobie przez całe życie. On wykorzystał go, by zdominować miasto, które chciało go upokorzyć, ona zaś użyła go najpierw jako tarczy, a potem jako broni, by zdobyć szacunek rodziny Lanza di Trabia. A teraz była prawdziwą panią tego domu i rodziny. Udało jej się to również dzięki zastosowaniu podstawowej zasady ojca: nie ma nic cenniejszego niż jasność umysłu, niż opanowanie. Jej także ojciec wielokrotnie powtarzał: „Słuchaj głowy, a nie serca”. Prezentowała się innym jako kobieta wyniosła i odpychająca, ale zbudowała ten obraz, aby się chronić.

Nie, Franca nie może w pełni poznać ceny, którą zapłaciła szwagierka, by stać się tym, czym jest: zdeterminowaną, nietykalną, dumną kobietą. Ale właśnie to chce jej pokazać Giulia. Że Franca musi wywalczyć sobie miejsce wśród Floriów i w Palermo, bo nie ma innej drogi. A może to zrobić, tylko jeśli znajdzie w sobie niezbędną siłę i dystans. Musi sprawić, by wszystko, co ją rani, spływało po niej i nie przywierało. Musi zbudować mur wokół swojej duszy.

Franca patrzy Giulii w twarz, nerwowo pociera policzek. Zastanawia się. Dla jej teściowej bycie Florio oznaczało trwanie przy mężu we wszystkim, wysiłek, by nigdy nie miał powodu do narzekań, brylowanie w towarzystwie, stawanie na wysokości zadania w każdej sytuacji. Jeśli on popełnił błąd, to jej rolą było mu wybaczyć.

Słowa Giulii malują jednak rzeczywistość, w której Ignazio schodzi na drugi plan. Jest tylko ona, Franca, oddzielona – wolna? – od swej roli żony. Musi być przede wszystkim sobą. Musi być dumna, lepsza. Nietykalna. Żadna krytyka nie może jej zranić, a nawet jeśli tak się stanie, to rana musi się natychmiast zagoić.

Uwalnia się z uścisku Giulii, robi krok w bok. To wszystko jest tak odmienne od tego, co pamiętnego wieczoru powiedziała jej

Giovanna, tak odmienne od tego, jak została wychowana: na posłuszną córkę, na posłuszną żonę. A teraz...

– Ale ja... zachowywałam się dobrze. Nie protestowałam, nie płakałam, gdy on... – W jej głosie słychać spotęgowany ból. – Nawet kiedy wiedziałam, że mnie zdradza, to... Byłam dobrą żoną, a przynajmniej starałam się nią być.

– I to był twój błąd: chciałaś zadowolić wszystkich. Nie masz się zachowywać dobrze: masz wziąć to, co należy do ciebie, i zrobić to bez obawy, że zostaniesz osądzona. Nie jesteś już dzieckiem, które szuka aprobaty matki. Nie wystarczy mieć ważne nazwisko. Nie wystarczy dać mężowi dziecko, by zyskać jego szacunek. Nie można też liczyć, że moja matka ustąpi z własnej woli. Zrobi to, gdy zobaczy, że żyjesz zgodnie z nazwiskiem, które nosisz, a uwierz mi, ani nie będzie to łatwe, ani nie stanie się szybko. Pamiętaj, że ten, kto może coś robić, a nie robi, skazuje się na wieczne niezadowolenie. – Jej głos mięknie, zamienia się w pieśczęotę. – W Palermo nikt ci nie da niczego za darmo. – Giulia wskazuje za mury pałacu, w kierunku Cassaro. – W tym mieście wszyscy, od wozaka do księcia, żyją chlebem i zazdrością. Niektórzy prędzej daliby się zabić, niż przyznali, że są miernotami. Kiedy słyszysz krytykę, pomyśl, że ty jesteś Florio, a oni nie. Jeśli powiedzą ci, że twoja biżuteria jest krzykliwa, pomyśl, że ich nie jest warta połowy twojej. Jeśli będą wytykać cię palcami za sposób, w jaki się ubierasz, pomyśl, że nie mają ani takiej figury, ani takich pieniędzy, by nosić twoje suknie. Pamiętaj o tym, gdy usłyszysz, że plotkują za twoimi plecami. Zapamiętaj to i śmieję się, śmieję się z nich i ich przeciętności.

Franca słucha.

Słowa Giulii otwierają niezbadane pomieszczenia, dają nowe spojrzenie. To tak, jakby po raz pierwszy popatrzyła w lustro i odkryła cechy, o których istnieniu nigdy nie myślała. Nieskończone możliwości, jakie może zaoferować jej życie.

Giulia patrzy na nią i rozumie. Robi krok do tyłu, lekko się uśmiecha. Na twarzy szwagierki dostrzega autentyczną świadomość siebie, coś, co sprawi, że wreszcie będą do siebie podobne.

– Nie wolno się bać. Urodziłaś się, by być Florio. – Gładzi ją po twarzy. – Jesteś nie tylko piękna: jesteś również inteligentna, masz wdzięk i elegancję. Masz w sobie taką siłę, że świat nie będzie mógł jej zignorować. Nie bój się być tym, czym jesteś. Pamiętaj jednak: dziecko to zawsze dobra rzecz, ale syn to błogosławieństwo. Musisz jak najszybciej zajść w ciążę. – Ścisza głos, wypełnia go podtekstami. – Będzie łatwiej, jeśli urodzisz syna. I zyskasz więcej wolności.

Kiedy Franca wychodzi z palazzo Butera, krok przed guwernantką i figlującym Vincenzinem, ma lekkie ruchy. Patrzy przed siebie, obojętna na niebo, które grozi wiosenną ulewą.

Tak. Była cicha, dyskretna, cierpliwa, uległa.

Teraz musi się uczyć.

Aby zerwać z niepewnością.

By wziąć to, co się jej należy.

Być donną Francą Florio.

Ta myśl jest tak nowa, że aż kręci jej się w głowie.

„Bym stała się sobą”.

\*\*\*

Odległy grzmot.

Ignazio odrywa się od papierów, idzie otworzyć okno. Sirocco niedawnych dni ustępuje miejsca szaremu niebu brzemiennemu piaskiem, który grozi portowi La Cala i lśniącym czarnym powozom zmierzającym na Foro Italico. Mężczyźni w redingotach i kobiety w sukniach z *faille*, tafty i muślinu tłoczą się na ostatnim odcinku Cassaro, aby się pokazać. To jest nowe Palermo. W jego chłopięcych wspomnieniach miasto było eleganckie i dyskretne. Teraz stało się niepokorne i bezczelne: kiedyś zagładało przez okiennice i komentowało na osobności, teraz gapi ci się prosto w twarz, gotowe złośliwie ocenić to, jak się nosisz, powóz, którym jeździsz, krąg twoich znajomych. Ta bezczelność głęboko drażni Ignazia.

Jego wzrok zatrzymuje się na praczce niosącej w koszu stertę prania i ciągnącej za sobą bosą dziewczynkę. Na krańcu ulicy są

jeszcze rudery zamieszkałe przez bardzo biedne rodziny, kobiety wiecznie wyczerpane i wiecznie czekające na swoich mężczyzn będących w pracy, w fabryce lub na statku. Tych ludzi Palermo po prostu woli nie widzieć. On też nie chce ich widzieć, choć matka nalega, by zaangażował się w jakąś działalność charytatywną. Tak, wie, że to ważne dla nazwiska rodziny, i rzeczywiście Floriowie mają kuchnię dla ubogich, a Franca należy do Towarzystwa Pań z Giardinello i zawsze jest hojna, zwłaszcza wobec samotnych dziewcząt. On jest przedsiębiorcą: daje pracę i chleb pracownikom NGI, pracownikom odlewni, robotnikom na pochylni. Nie mówiąc już o wszystkich innych zajęciach, także poza Palermo.

Ignazio zaczyna przeczesywać dłońmi włosy, ale zaraz przestaje, by nie zniszczyć fryzury. Patrzy na siebie w odbiciu okiennej szyby. Wypomadowane wąsy, goździk w butonierce, idealnie zawiązany i spięty diamentową broszką krawat. Nienagannie.

Ale te papiery na biurku czekające na podpis, lekturę, decyzję – one wszystko psują.

Czasami, gdy jest sam w tym biurze, wydaje mu się, że słyszy jego głos, jakby budynek zawodził z bólu. Jakby pod boazerią gabinetu pojawiały się jakieś pęknięcia. Wie, że to absurdalna myśl, ale i tak wzbudza w nim niepokój.

Odchodzi od okna, odwraca się, by spojrzeć na obraz, który jego ojciec zamówił u Antonina Leto, przedstawiający winnicę w Marsali. Tam przed budynkiem woda jest zielona i spokojna, światło ciepłe i łagodne.

Ten spokój przydałby mu się teraz.

Floriowie zawdzięczają swoje bogactwo morzu. Z tą myślą Ignazio walczy od wielu tygodni. Jako niezbędny warunek odnowienia koncesji zażądano od niego radykalnej modernizacji parowców pasażerskich. Opierał się, mówił, że to zrobi, ale odkładał rzecz na później. Teraz nie może już uchylić się od spełnienia tego żądania.

Ale za co? Afera Credito Mobiliare – „Niechże ich szlag trafi!” – zmusiła go do naruszenia płynności finansowej domu handlowego. Aby uratować nazwisko Florio, przejął książeczki oszczędnościowe i czek palermiańskich deponentów banku, spłacając je z własnej

kieszeni i przejmując przynoszące straty papiery wartościowe. Dokonał również wszystkich formalności, aby wpisać się na listę wierzycieli Credito Mobiliare i odzyskać swoje pieniądze, a także zainwestowany kapitał osobisty, ale bezskutecznie. Uratował dobre imię rodziny, to prawda, ale teraz nie ma już prawie żadnej gotówki: jedynie stos bezużytecznych obligacji.

Papiery, papiery, papiery. Zawsze i wciąż papiery.

Nie ma wyjścia. Będzie musiał zwrócić się o kredyt do Banca Commerciale Italiana, aby uzyskać pieniądze na pokrycie natychmiastowych wydatków. Ten, kto nigdy dotąd o nic nie prosił, będzie musiał się upokorzyć i poprosić. O pieniądze, o zaufanie, o kredyt.

I nie tylko. Jest jedna rzecz, która głęboko go smuci, choć nigdy nikomu tego nie wyzna. Jest zbyt dumny, by przyznać się nawet przed sobą, że popełnił rażący błąd w ocenie. Wiele osób, począwszy od Gallottiego i jego szwagra Pietra, radziło mu, by był ostrożniejszy, by nie ufał zapewnieniom kierownictwa tamtego banku.

A jednak to zrobił.

Myśli o swoim ojcu, zastanawia się, jak on by postąpił, gdyby znalazł się w takiej sytuacji. Przede wszystkim – syn musi to przyznać – nigdy by się w niej nie znalazł. Nie ufałby ślepo nikomu.

Ignazio niemal doznaje ulgi na myśl, że ojciec nie może zobaczyć błędu, który popełnił syn, ale jednocześnie odczuwa gorzkie rozczarowanie, zrodzone ze świadomości, że gdyby ojciec żył, spojrzalby na niego z wyrzutem i go odtrącił.

To dla niego zbyt wiele. Błądzi po pokoju, szukając w pamięci, kto miał wpływ na te jego decyzje, kto był zwolennikiem podjęcia tych nieszczęsnych zobowiązań, bo nie, to nie może być tylko jego wina. I decyduje, że ten błąd ma imię i nazwisko. Giovanni Laganà.

\*\*\*

Giovannuzza gaworzy, patrzy w górę i się śmieje. Przed nią, na dywanie, matka wyciąga ręce. Wspierane przez mademoiselle



Coudray, nianię, dziecko robi jeden krok, potem drugi. To dla małej nowe doświadczenie i Giovannuzza bardzo się stara: widać to w jej skupionym spojrzeniu i sposobie, w jaki zaciska usta.

– No chodź tu, serce moje – zachęca ją Franca i klaszcze w dłonie.

W momencie gdy dziecko czuje się bezpiecznie, niania wypuszcza je z rąk. Na chwiejnych nóżkach Giovannuzza dociera do matki i śmieje się, odsłaniając małe perłowe ząbki.

– Brawo, moja maleńka! – Franca obejmuje ją, zasypuje pocałunkami.

– Nie powinnaś siedzieć na podłodze. To nie jest godne zachowanie.

Jakby w pokoju nagle pojawił się duch. To Giovanna.

Franca odruchowo mocniej ściska dziecko i spogląda na teściową.

– Jestem z córką w jej pokoju. Bawimy się. Nikt na nas nie patrzy – odpowiada cicho.

Giovanna spogląda na mademoiselle Coudray, która się rumieni i ze skinieniem głowy odchodzi w stronę drzwi, ale Franca ją zatrzymuje i poleca zabrać Giovannuzzę.

– Proszę, wyprowadźcie ją na zewnątrz, niech zaczerpnie świeżego powietrza.

– Rozpieszczasz ją – mówi Giovanna, gdy tylko mademoiselle Coudray zabiera dziecko. – Małe dziewczynki potrzebują surowości. Bardziej niż chłopcy.

– Surowości? – wykrzykuje Franca, wstając z gorzkim śmiechem.

– Jak wasz syn, który zawsze robił, co chciał, i nadal zachowuje się gorzej niż kapryśny *picciriddu*!

Giovanna przechyla głowę, zaskoczona tym wybuchem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odpowiada zirytowana.

– Wasz syn, a mój mąż, jest rozpieszczonym dzieciakiem, który nie przejmuje się konsekwencjami tego, co robi. I nie udawajcie, że nie wiecie, bo wszyscy w Palermo o tym mówią. Odkąd ta śpiewaczka przyjechała do miasta – krzywi się – on każdego wieczoru idzie do Alhambry na Foro Italico. Zawsze siada w pierwszym rzędzie. A potem czeka na nią po spektaklu.

– Ach.

Jedna sylaba.

Franca wpatruje się w teściową z wyrazem buntu na twarzy.

Giovanna nie opuszcza wzroku.

– Mówiłam ci już raz, moja córko – odpowiada. – Musisz nauczyć się patrzeć w inną stronę.

– I tak zrobiłam. Ale to nie znaczy, że on ma prawo tak się zachowywać. Nie daję wam to również prawa do krytykowania tego, jak wychowuję moją córkę.

Giovanna drży. Nie jest przyzwyczajona do tego, że synowa się jej przeciwstawia.

– Trzeba dać się poprowadzić tym, którzy mają większe doświadczenie od ciebie, nawet w roli matki...

– Matki, która daje swojemu dziecku swobodę deptania więzi małżeńskiej? Nigdy nie odmówię szacunku jemu i tej rodzinie, niech to będzie jasne. Chcę jednak, by moja córka czuła się kochana i od początku się uczyła, jak ważna jest obrona swojej godności. Honor nazwiska to sprawa drugorzędna.

Giovanna jest zbyt zdumiona, by natychmiast odpowiedzieć. Wpatruje się w swoje pomarszczone dłonie i pięści ślubną obrączkę, której nigdy nie zdjęła.

– Czasami nazwisko jest jedyną rzeczą, która pozwala ci przetrwać – mruczy w końcu.

Ale Franca nie może jej usłyszeć; wyszła w pośpiechu i zostawiła ją samą na środku pokoju.

„Tak właśnie jest”, myśli Giovanna. Nazwisko Florio – związana z nim rola społeczna, znaczenie, władza – było kotwicą jej małżeństwa, jej powodem do życia. I tak jest nadal, nawet jeśli po śmierci Ignazia otworzyła się przed nią pustka, z trudnością zapełniana modlitwami.

Jej czarna suknia pochłania i więzi światło z okna. Z parku dobiega zapach ostatnich kwiatów i szcęk nożyc ogrodników obcinających suche łodygi. Giovanna wpatruje się w drzwi, za którymi zniknęła Franca, i myśli: „Musisz się jeszcze wiele nauczyć, moja córko”.

\*\*\*

Franca opiera czoło o framugę, jedną rękę kładzie na kluczu, drugą na sercu, czeka, aż minie napięcie. Oddycha głęboko.

Z garderoby wychodzi Diodata i dyga.

– Czy pani mnie potrzebuje?

– Nie, dziękuję. Boli mnie głowa i chciałabym trochę odpocząć.

Nie wpuszczaj do mnie nikogo.

Diodata przytakuje.

– Chcecie, żebym zamknęła drzwi balkonowe?

– Tak, proszę.

Gdy Franca w końcu zostaje sama, zrzuca pantofle i kładzie się na łóżku, jedną ręką zasłaniając oczy. Pomieszczenie skąpane jest w półmroku; w powietrzu unosi się aromat jej perfum. To jej azyl; za każdym razem, gdy ktoś – teściowa, Ignazio, Palermo – odbiera jej spokój, wystarczy, że wejdzie do tej sypialni i spojrzy na płatki róż na podłodze i freski na suficie, by znów go odnaleźć.

Nie przestała myśleć o tym, co Giulia powiedziała jej kilka miesięcy wcześniej. Że musi być silna, że musi stawiać siebie na pierwszym miejscu. Ale jakże męcząca jest walka z tymi, którzy ją oceniają, krytykują, oskarżają. Jak trudno jest być szanowaną za to, kim się jest, a nie tylko za to, co się reprezentuje.

Franca osuwa się w płytki sen, który ją otula, pociesza i rozwiewa złe myśli.

Sen, który przerywa denerwujący dźwięk. Ktoś puka do drzwi.

Jęczy, odwraca się, przykrywa głowę poduszką.

– Powiedziałam, że nie chcę, by mi przeszkadzano! – woła.

– Kochanie, to ja, Ignazio. Otwórz! – Ponowne pukanie, bardziej natarczywe. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Niespodziankę.

Gorycz ogarnia Francę, odbierając jej spokój snu. Jeszcze rok wcześniej to zdanie sprawiłoby, że pobiegłaby prosto do drzwi. Teraz jednak już wie, że takie zachowanie Ignazia to znak, to przyznanie się do winy. Sposób na oczyszczenie sumienia: prezent dla żony, zwykle cenny przedmiot, po tym jak ją zdradził i zaspokoił kaprysy kochanki.

Nieproszone odszkodowanie.

Franca wstaje z łóżka, idzie otworzyć drzwi. Nie obdarza go spojrzeniem, siada przy toalecie i zaczyna wyciągać spinki, by rozpuścić i rozczesać włosy.

Ignazio uśmiecha się do niej w lustrze i pieści jej szyję. Szeptem komplement, po czym kładzie na jej kolanach obciążone skórą pudrko.

– Dla mojej królowej. – Grzbietem dłoni muska jej policzek. – Otwórz.

Franca wzdycha. Chwyta pudrko, obraca je w palcach.

– Kto to jest?

– Co masz...

Przerywa mu:

– To ta śpiewaczka, która występuje w Alhambrze niemal całkiem nago?

– *Mon Dieu*, Franca, co ty mówisz? – Ignazio wygląda na oszołomionego. – Nie mogę dać żonie prezentu bez powodu? Skąd te insynuacje? To niepodobne do ciebie!

W końcu Franca otwiera etui, odsłaniając pierścionek z szafirem o kaboszonowym szlifie otoczonym brylantami. Potem odwraca się i wpatruje w Ignazia.

– Prezent bez powodu? – pyta chłodno. – Im większe robisz głupstwa, tym cenniejsze dary przynosisz, taka jest prawda. Wszyscy wiedzą, że mnie zdradziłeś. Znowu. – Powstrzymuje łzy. Nie będzie płakać, nie wolno jej. – Ci rozpustnicy z klubu powiedzieli swoim żonom, a one powiedziały mnie!

Ignazio się cofa. W jego spojrzeniu widoczne są zaskoczenie i rozczarowanie.

– A ty im wierzysz?

– Och, nie trać czasu na zaprzeczanie. Wiem o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach: o wieczorach, które z nią spędzasz, o toastach z członkami twojego klubu z okazji kolejnego podboju, nawet o tym, że chwaliłeś się, jaka jest uległa. Niczego mi nie oszczędzono. – Ściskając w rękach pudrko, podnosi głos. – I wiesz, co odpowiedziałam tym żmijom, po tym jak mi to zakomunikowały? Że ich mężowie wiedzą o tym wszystkim, bo byli w towarzystwie mojego męża!

Ignazio jest zdumiony. Niedośłyśzalnie mruczy:

– Co za *crasti e cornuti*!

Potem uśmiecha się, próbuje ją objąć. Ale ona się uchyla.

– Moje kochanie, co też te kobiety plotą. Prawda, uczestniczyłem w kilku spektaklach i ta śpiewaczka poświęciła mi uwagę i uśmiech. Ale nic więcej. – Prycha. – Niektórzy mężczyźni są bardziej zazdrośni od kobiet i wymyślają cuda.

– Zazdrośni? – Franca śmieje się gorzko i odrzuca głowę do tyłu. – Oczywiście, że ci zazdrozczą! Bierzesz do łóżka największe piękności, obsypujesz je pieniędzmi. Można wręcz powiedzieć, że w twoim towarzystwie nie mają na sobie nic innego!

– Nie bądź wulgarna! – ripostuje Ignazio.

– Ja jestem wulgarna? Ja? – Franca zrywa się na nogi, rzuca w niego pierścieniem, który spada i odbija się od podłogi. – Nie chcę tego, do diaska! Jestem twoją żoną, a nie kobietą, którą można kupić! A teraz wynoś się! Odejdź do tej dziwki, która czeka na ciebie z rozłożonymi nogami!

Ignazio się cofa, podnosi pierścień. Potem patrzy na czerwoną ze złości Francę.

– To już ostatni! Wierzysz bardziej w plotki kobiet niż w słowa męża – odzywa się tonem, który ma być pogardliwy. – Wrócę, gdy będziesz bardziej rozsądna.

Franca pozostaje bez ruchu, ma opuszczone ręce i zamknięte oczy. Słyszy, jak drzwi się otwierają, a potem gwałtownie zatrząskują.

Łzy moczą teraz jej zarumienione policzki. Płacze i czuje w piersi ciężar, udrękę, która pęcznieje i zdaje się oddychać, jakby była żywą istotą. Płacze jednak nie z tego powodu, że została zdradzona. Płacze, bo wie, że mu wybaczy. Tak, robi to, i bynajmniej nie dlatego, że Giovanna kazała jej zawsze mu wybaczać. Wybaczy mu, bo go kocha, naprawdę kocha. I z całego serca ma nadzieję, że ta miłość go zmieni, uświadomi mu, że nigdy nie znajdzie innej kobiety zdolnej go kochać tak jak ona. Ale każda zdrada to pęknięcie duszy, w które wkradają się rozczarowanie i gorycz. I Franca płacze jeszcze mocniej, i modli się rozpaczliwie, żeby te pęknięcia jej kiedyś nie roztrzaskały.

Wreszcie ociera twarz rozdrażnionym gestem, odwraca się do lustra i wpatruje się w swoje odbicie. Nie powinna była pozwolić, by złość wzięła górę: teraz jest zrozpaczona, a jej oczy są czerwone. Wspaniała kobieta o twarzy zdeformowanej przez udrękę.

„Co teraz? – pyta sama siebie. – Ile tym razem będzie mnie to kosztowało?”.

\*\*\*

Odgłos zdecydowanych kroków zapowiada czyjeś przybycie do biura Ignazia w siedzibie Navigazione Generale Italiana przy piazza Marina.

Do gabinetu wchodzi Giovanni Laganà. Nie wita się z Ignaziem, który stoi przed oknem. Niemal zatrzaskuje drzwi i nieproszony siada przed biurkiem.

– Daliście mi znać, że nie chcecie już korzystać z moich usług – zaczyna bez wstępu. – Niech tak będzie, wasze prawo. Ale nie możecie mi tego przekazać listownie, jakbym był ostatnim prostakiem pracującym w waszej odlewni. Nie zasługuję na to, nie po tym wszystkim, co zrobiłem dla was i waszej rodziny. – Nieskrywana wrogość to tylko naskórek ledwo powstrzymanego gniewu. – Chcę wiedzieć dlaczego. Co doprowadziło was do tej decyzji? Musicie mi to powiedzieć prosto w oczy.

Ignazio powoli podchodzi do biurka, siada. Patrzy wyniośle.

– Jeśli wy jesteście wściekli, to ja jestem zasmucony. Dlaczego, pytacie. Ponieważ zdradziliście zaufanie moje i mojej rodziny. Chcieliście mieć więcej władzy i więcej pieniędzy, a ponieważ nie mogliście ich zdobyć tutaj, postanowiliście je zdobyć gdzie indziej, co postawiło mnie i Dom w złym świetle. Zrobiliście to również, gdy namawialiście mnie, bym zaufał Credito Mobiliare. Dobrze pamiętam, jak bardzo podkreślaliście ich rzetelność, i zobaczcie, ile mnie to kosztowało! A może zaprzeczycie? – Nie daje mu czasu na odpowiedź. – A teraz... Chcecie zobaczyć dokumenty, które przysły do mnie z Genui? Waszą ręką pisane! – Wskazuje na beżowy fascykuł, jedyny na blacie biurka.

Laganà chwyta go, otwiera gniewnymi ruchami, przegląda papiery.

– Sądziście, że pozostanę nieświadomy, że próbujecie nie dopuścić do ulepszenia statków, aby rząd nie odnowił nam koncesji?  
– Ignazio celuje w niego palcem. – Jesteście nie tylko kłamcą, ale i człowiekiem zarozumiałym. To ja decyduję, które modernizacje zrobić, ja razem z zarządem. Myśleliście, że możecie mnie oszukać, jakbym był ostatnim idiotą. Za kogo się uważacie?

Laganà sprawia wrażenie, jakby go wcale nie słuchał. Odkłada papiery na blat biurka, kręci głową, potem patrzy na swoje dłonie, na masywne palce i starcze plamy na skórze. Ignazio milczy, czekając, aż jego słowa odniosą skutek. „Został zdemaskowany i teraz będzie przeproszał – myśli. – Będzie zaklinał, że jest niewinny, będzie prosił, bym pozwolił mu się wytłumaczyć”. Kiedy jednak mężczyzna podnosi spojrzenie, Ignazio niemal drży.

Na twarzy starego dyrektora widać tylko jedno uczucie – pogardę.

– Wasz problem, don Ignazio, polega na tym, że wierzycie we wszystko, co wam mówią ludzie. Nie wiem, czy to z powodu naiwności, czy może dlatego, że jesteście idiotą. Tak czy inaczej, jesteście niekompetentni.

Ignazio jest tak zdumiony, że zastyga bez ruchu.

Na zewnątrz koła wozów i bryczek turkoczą na bruku, ich odgłosy wypełniają ciszę pokoju.

– Byliście niełojalnym administratorem, zdradziliście zaufanie Domu Florio, a teraz jeszcze mnie obrażacie? – atakuje po chwili Ignazio.

Pod przyprószonymi siwizną wąsami usta Giovanniego Lagany tworzą twardą linię.

– Tak. Was. Pracowałem z oddaniem dla waszego ojca, towarzyszyłem mu w każdym przedsięwzięciu, zawsze doradzałem mu to, co najlepsze. Moja lojalność wobec Domu Florio nigdy nie była kwestionowana, a teraz wy oskarżacie mnie o wyprzedawanie tras, by faworyzować naszych konkurentów? I to na podstawie czego? Plotek? Pogłosek? – Chwyta papiery, gniecie je i rzuca na podłogę.

– Negocjowaliście z naszymi rywalami!

Laganà się śmieje. To mroczny, zły śmiech.

– Teraz rozumiem. – Szeroko, niemal z niedowierzaniem otwiera oczy. – Jesteście słabi, don Ignazio. Dom Florio nie ma *picciuli* w kasie, a bez grosza nikt wam mszy nie zaśpiewa. Zdajecie sobie sprawę, że nie macie dość pieniędzy, aby naprawić flotę? A wy, zamiast mi dziękować, że negocjuję z waszymi konkurentami, żeby ograniczyć szkody, żeby nie naskoczyli na was i nie puścili was z torbami, winicie mnie, choć zawsze wam służyłem? Choć was broniłem?

„To groźba”, oburza się Ignazio. Zaciska palce na podłokietniku fotela, który należał do jego ojca. „To jest groźba; ten drań chce mnie przestraszyć i upokorzyć”. Ta myśl przekonuje go jeszcze bardziej, że Laganà jest kłamcą i manipulatorem.

Stara się wyglądać pewnie. Chce, musi tak wyglądać.

– A ja dziękuję za pracę, którą wykonaliście. Mój ojciec, gdyby tu był, też by wam podziękował, ale podobnie jak ja, nie tolerowałby nawet cienia podejrzeń co do waszej lojalności wobec Domu Florio. – Składa przed sobą ręce. – W imię tego, co było, nadal winien wam jestem szacunek. Oferuję wam możliwość odejścia bez rozgłosu i z odpowiednią odprawą. Zróbcie ten krok. Nie zmuszajcie mnie, bym was zwolnił, ujawniając powody, dla których to robię.

Laganà rzuca mu spojrzenie pełne politowania.

– Po waszym ojcu macie tylko nazwisko. Wkrótce zresztą nie będzie ono już miało żadnej mocy. I to będzie wasza i tylko wasza wina. Uważajcie, jak się zachowujecie i kogo słuchacie: to ostatnia rada, którą wam daję. Nie widzicie ani nie rozumiecie, jakie szkody wyrządzacie Navigazione. Wszystko, co dzieje się w Domu Florio, od tej pory będzie rezultatem tylko waszych decyzji. – Wstaje. Jego palce pocierają rondo kapelusza. – Jutro otrzymacie moją rezygnację. To ja nie chcę już dla was dłużej pracować. Po tylu latach zostać wyrzuconym za drzwi w taki sposób... Nie, nie zasługuję na to. – Pochyla się do przodu i przez chwilę Ignazio niemal się obawia, że tamten go zaatakuje. Wściekłość w spojrzeniu starego dyrektora jest jak żarząca się lawa. – Będziecie musieli mi jednak zapłacić, i to dużo, bo moja praca i lojalność mają swoją cenę.



Ignazio milczy. Znów słyszy skrzypienie ze ścian, jakby boazeria się kurczyła. A może to odgłosy obojętnego Palermo.

Laganà dochodzi do drzwi, staje w progu, odwraca się.

– To nie koniec, *signor* Florio. – Słowo „*signor*” zamiast należnego „*don*” brzmi obraźliwie. – Bo wszystko w życiu ma swoją cenę, również niewdzięczność. To, co dzięki mnie zdobyliście, będziecie mi musieli oddać.

Drzwi zamykają się za nim z hukiem.

\*\*\*

„Wszystko w życiu ma swoją cenę. To takie oczywiste”, myśli zirytowany Ignazio. Czy ten Laganà sądził, że ujdzie mu na sucho? Że on, Ignazio, jest gorszy od swojego ojca? Wolne żarty!

W powozie wiozącym go do domu Ignazio zastanawia się nad tym, co się stało, i niemal nie zdaje sobie sprawy, że słońce zaszło, a temperatura spadła. Październik przyniósł ze sobą krótkie dni, jakby podmuchy wiatru chciały ukraść światło.

Kiedy otwiera się brama Olivuzzy i powóz wjeżdża pod wielkie drzewo oliwne, Ignazio przebywa już myślami gdzie indziej. Jest w nastroju do śmiechu, szampana, muzyki i wesołej pogawędki. To był zbyt ciężki dzień, by wieczór spędzać w domu lub na jakimś małym spotkaniu. Zapyta Francę, jakie otrzymali zaproszenia, i wybierze najbardziej ekscentryczne.

Znajduje swoją żonę w pokoju Giovannuzzy. Franca stoi z *mademoiselle* Coudray naprzeciwko dziewczynki ściskającej w dłoniach srebrną łyżeczkę. Uśmiecha się do męża.

– Patrz, jaka dzielna jest nasza *picciridda* – mówi mu z dumą. – Uczy się jeść samodzielnie.

Ignazio podchodzi do wysokiego krzesła. Giovannuzza rozjaśnia się na jego widok, po czym wyciąga do niego małe rączki, rozsypując kaszkę.

– Papapaa – duka.

– Jedz – mówi do niej ze śmiechem jej ojciec i wskazuje na talerz. Dziecko upuszcza łyżkę na podłogę i klaszcze w dłonie.

Na chwilę znikają niepokoje, Laganà, papiery, rachunki, które się nie zgadzają, wszystko zdaje się tracić znaczenie. Ale to tylko moment. Gdy mademoiselle Coudray wyciera usta Giovannuzzy, Ignazio mruczy do Franki:

– Chciałbym wyjść dziś wieczorem. Muszę się rozerwać.

Ona owija wokół palców pukiel włosów.

– Wolałabym zostać w domu, Ignazio. Diodata powiedziała mi, że było dziś więcej protestów i obrzucono kamieniami jakiś powóz. Jestem zaniepokojona.

– Ależ tam, zwykłe gadanie służby. Idź i się przygotuj, chodź.

Franca kręci głową.

– Proszę, zostańmy w domu. Tylko dzisiaj wieczorem. Wciąż gdzieś wychodzimy i chciałabym spędzić kilka godzin tylko z tobą i naszą córką.

– W domu? Jak biedacy, których nie stać na przyjęcie zaproszenia? – Ignazio potrząsa głową, odchodząc w kierunku drzwi. – Nie mogę uwierzyć, że ty, ze wszystkich ludzi właśnie ty mi to mówisz!

Franca idzie za nim korytarzem, bierze go za rękę.

– Nie rozumiem... Jeden wieczór... Myślałam, że sprawi ci to przyjemność...

– Ja chcę wyjść! Nie mogę dłużej wytrzymać tego zamknięcia tutaj!

Franca cofa dłoń i opuszcza głowę.

– A ty dalej baw się w guwernantkę, skoro tak bardzo to lubisz – mówi Ignazio gniewnie. – Ja jadę do Romualda, a potem do klubu... albo gdzie indziej, jeśli będę miał ochotę. Nie czekaj na mnie.

\*\*\*

– Błogosławione oczy, które cię widzą! Nie pojawiałeś się od tygodnia. Dostałem zaproszenie na wieczór karciany, idziesz ze mną?

Mieszkanie Romualda Trigony przy piazza della Rivoluzione nie ma nawet śladu wysmakowanej nowoczesności Olivuzzy, ale Ignazio

uwielbia atmosferę wolności, która panuje w kawalerskim lokum przyjaciela. Romualdo ubiera się w sypialni przed lustrem z typową dla siebie flegmą. Wokół niego, na łóżku, mahoniowej komodzie i na krzesłach, walają się marynarki i krawaty.

– Masz więcej ubrań niż dziewczyna, kuzynie! – woła Ignazio.

– I to mi mówi człowiek, który gdy idzie do swojego krawca w Londynie, zamawia tyle marynarek, jakby miał odziać całą armię – komentuje tamten.

Nosi adamaszkową kamizelkę, przykładą do niej jedwabny krawat i spojrzeniem pyta Ignazia o opinię.

– Wyglądasz jak kanapa, *curò* – śmieje się Ignazio i każe mu zmienić krawat. – Lepiej weź ten gładki, satynowy.

Kuzyn uśmiecha się, słysząc to zabawne i nieco czułe określenie, którego Ignazio używa tylko wobec niego, przyjmuje radę, zawiązuje plastron, a jednocześnie rzuca przyjacielowi spojrzenie.

– Co się stało, Ignazio? Kłopoty masz wypisane na twarzy.

– Problemy w Navigazione. I pokłóciłem się z Francą. – Wzrusza ramionami.

– Cóż to, odkryła jakieś grzeszki? Może inne kobiety poszły jej opowiadać o twoich sprawkach?

– Nie, nie tym razem. Ale zachowywała się tak, że się wściekłem.

Romualdo nie pyta o nic więcej. Spory między tymi dwojgiem nie są dla niego nowością.

– Jak myślisz, dlaczego dotąd się nie ożeniłem? Oszczędzam sobie gderania i drzwi zatrzaśniętych przed nosem.

– Przecież ty nie masz nawet umowy przedślubnej.

– A i owszem, mam ją z ojcem Giulii Tasca di Cutò. Jednak jak na mój gust to jeszcze *picciridda*, a ja chcę się bawić.

Ignazio odchyła głowę na oparcie fotela.

– Nawet mi nie mów. Franca dostaje hysterii za każdym razem, gdy słyszy o pewnych rzeczach. Chciałem z nią dziś wyjść, a ona wbiła sobie do głowy, że powinniśmy zostać w domu i rozmawiać ze sobą, my i *picciridda*. I jak ci się wydaje? Człowiek pracuje cały dzień, a potem ma zostać w domu jak nędzarz?

Romualdo wzrusza ramionami, przeczesując włosy.

– To *fimmina* – zauważa z dystansem. Obserwuje linię przedziałka, idealną, błyszczącą od brylantyny. – A *fimmine* po pewnym czasie chcą zostawać w domu i być matkami rodziny.

– W porządku, zgoda. Ale Franca nie może założyć mi łańcucha na szyję – wzdycha Ignazio. – Musi zrozumieć, że mężczyzna ma swoje potrzeby. Tak jest i było od zarania dziejów. Kiedy się bawię czy mam kochankę, to nie znaczy, że mniej kocham żonę: Franca to jedno, inne kobiety to drugie. Poza tym nie pozwalam, by jej czegokolwiek brakowało.

– Teraz kobiety wbijają sobie do głowy takie idee, że to mężczyźni muszą im się tłumaczyć i ich słuchać... – burczy Romualdo i macha ręką, jakby chciał powiedzieć, że to obłąd.

Ignazio potrząsa głową.

– Ależ nie, ona po prostu się boi, że już nie będę na nią patrzeć, a to działa mi na nerwy, zresztą w ten sposób nie wybije mi z głowy niczego. Potrzebuję innych kobiet. Chcę się bawić, chcę się nimi fascynować i brać to, co mi oferują. Zwłaszcza jeśli są najbardziej pożądane, najbardziej upragnione. Nie akceptuję tego, że mówią mi „nie”. Czy to grzech? No cóż, mam jeszcze całe życie na spowiedź i pokutę.

– I rzeczywiście kobiety mówią ci „tak”. A już najbardziej mówią to twoim *picciuli*. – Romualdo zapala papierosa i wydmuchuje dym, uśmiechając się pod wypielegnowanymi wąsami. – W każdym razie cała ta rozmowa o kobietach sprawiła, że mam ochotę na spacer. Zapomnijmy o kartach i wybierzmy się do Domu Róż. Podobno przybyły nowe dziewczyny.

Czerwone aksamity, alkowy, koronkowe szlafroki, których poły rozsuwają się, by odsłonić miękkie, jędrne ciała. Ignazio wyobraża sobie to wszystko i niemal czuje zapach pudru i perfum. Dom Róż to wytworne miejsce, zupełnie inne od burdeli wokół piazza Marina czy w okolicach odlewni. Tam człowiek może zostawić ciężar zmęczenia i udręki za drzwiami i zaznać nieco spokoju i – czemu nie? – trochę radości.

– Masz rację. Chodź, *curò* – mówi i zrywa się na nogi.

Romualdo gasi papierosa, wyciąga z szafy redingot i śmieje się do siebie. Niewiele trzeba, by zmienić nastrój Ignazia.

\*\*\*

Jest już po północy, gdy Ignazio wraca do Olivuzzy. Wypił sporo szampana i lekko się zatacza. Uśmiecha się, odurzony. Wieczór był udany, a dziewczyna, z którą poszedł, okazała się prawdziwym kwiatem, neapolitańską piękną o oczach w kolorze strumienia i takich ustach, że...

– Nie powinieneś wracać o tej porze.

Giovanna czeka na niego u szczytu czerwonych schodów, otulona peniuarem.

– *Maman*, jest późno – wzdycha Ignazio, nagle zirytowany. – O czymkolwiek musimy porozmawiać, nie możemy zrobić tego jutro? Boli mnie głowa.

Ona schodzi kilka kroków, staje przed nim.

– Śmierdzisz winem i dziewczkami jak rozpustnik – upomina go matka. Drży z gniewu. Nie tak wychowała swojego syna. Nie poznaje go. – Twój ojciec, niech go Bóg przyjmie do chwały, zawsze odnosił się z szacunkiem do swojej rodziny i do nazwiska, które nosił, a teraz wygląda na to, że jego syn robi wszystko, co może, aby je okryć hańbą.

– Nie pozwolę mówić do mnie w ten sposób, nawet swojej matce.

Ignazio wyciąga rękę, aby ją przesunąć, ale Giovanna stoi jak marmurowy posąg. Kładzie dłoń na jego piersi, wbijając w niego zacięte spojrzenie.

– Jesteś nieodpowiedzialny. Słyszałam, co zrobiłeś w Navigazione: wyrzucenie Lagany w taki sposób było niepoważne. On jest teraz wściekły i ma rację, bo pewne rzeczy trzeba robić umiejętnie. A teraz? Kogo powołasz na jego miejsce?

– To nie wasza sprawa! – prawie krzyczy Ignazio. – Cóż to, chcecie mi tłumaczyć, jak mam się zachowywać w pracy? Chcecie włożyć spodnie i iść do biura zamiast mnie? Zróbcie to. Wyświadczyście mi przysługę!

Giovanna pozostaje bez ruchu. Są rzeczy, które muszą zostać wypowiedziane, i ona wie, że nikt oprócz niej nie może tego zrobić.

Przez chwilę ma ochotę zbesztać męża w myślach za to, że zostawił ją samą z niedojrzałym synem.

– Wszystko robisz źle, Ignazio. Powinieneś być ze swoją żoną, która jest piękna jak róża, a zamiast tego krzyczysz na nią i uciekasz. Minęło już wiele miesięcy od czasu, gdy urodziła ci się *picciridda*, i powinieneś pomyśleć o tym, żeby spłodzić *masculu*, zamiast włóczyć się po mieście jak... – Kładzie dłoń na ustach, by powstrzymać obelżywy epitet. – Czeka na ciebie piękna i wierna żona; zamiast tracić czas i pieniądze na inne *fimmine*, pomyśl o tym, co masz.

Ignazio oblewa się rumieńcem. Jest już całkowicie trzeźwy.

– Nawet do sypialni chcecie mi wejść?

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz. – Głos Giovanni jest ostry jak brzytwa. – Jedyne, na czym mi naprawdę zależy, to ta rodzina i jej przyszłość. – Odsuwa się na bok, odwraca plecami do niego i zaczyna wchodzić po stopniach z czerwonego marmuru. – Ty, ja się nie liczymy. Liczy się tylko nazwisko Florio i musisz mu sprostać. A teraz idź i doprowadź się do porządku.

Zostawia go samego na schodach, bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami i nagłym atakiem mdłości. Ignazio czuje nadchodzące torsje, przykłada rękę do ust i zbiega w samą porę, by nie zwymiotować na marmur.

Potem, z czołem opartym o ścianę, zamglonym wzrokiem, ciałem spoconym i drżącym, spogląda na palec ze złotym pierścieniem ojca. Franca oddała mu go podczas ich miesiąca miodowego, mówiąc, że to on powinien go nosić, ponieważ jest głową rodziny.

Jego ojciec... Tak, on był prawdziwą głową rodziny. Był trzeźwy, ostrożny i dyskretny. Za wszelką cenę bronił honoru Floriów. Nigdy nie upokorzył swojej żony ani nie wyrzucił współpracownika bez dania mu szansy na wytłumaczenie.

A on sam? Kim jest?

\*\*\*

Sala balowa lśni od świateł. Rozjarzone żyrandole z kryształu z Murano rzucają złote blaski na sztukaterie wokół drzwi i adamszkowe zasłony w kolorze kości słoniowej. Wielkie lustra nad francuskimi konsolami rozjaśniają i powiększają przestrzeń. Ustawione wzdłuż ścian sofy i otomany czekają na gości, którzy mają się zjawić.

Z dwóch sal balowych Olivuzzy Franca wybrała tę – mimo że znajduje się w starszej części pałacu – ponieważ jest większa i okazalej zdobiona. Pierwszy bal sezonu 1895 w Palermo nie jest pierwszym dla niej i Ignazia, ale chyba jest najważniejszy, bo będzie punktem odniesienia dla wszystkich kolejnych.

Na wypolerowanym parkiecie rozbrzmiewa lekki krok Franki, przytłumiony dźwiękami niewielkiej orkiestry strojącej instrumenty. Zaczną od walca i to gospodarze będą w pierwszej parze. Przy francuskich oknach wychodzących na ogród czekają ubrani w liberie lokaje, wyprężeni niczym królewska gwardia. Franca patrzy na jasny sufit otoczony złożonymi gipsowymi ramami i przypomina sobie, jak mała się czuła, gdy po raz pierwszy weszła do tego bogatego pomieszczenia, i jak ekscytujący był widok pochodni oświetlających ogród za szklanymi taflami drzwi.

Wychodzi na taras: pod altaną z kutego żelaza przykrytą białym płótnem ustawiono długie stoły. Lemoniada i soki owocowe są już gotowe w kryształowych karafkach marek Baccarat i Bohemia. Szampan i białe wino chłodzą się w srebrnych kubekach tak dużych, że można by w nich wykąpać dziecko. Na wypolerowanych tacach lśnią kieliszki z finezyjnie rżniętego szkła.

Franca kiwa głową z zadowoleniem, po czym wraca do sali balowej i kieruje się do bufetu umieszczonego w sali, którą ozdobił freskami Antonino Leto w czasach, kiedy żył jeszcze jej teść. Tam zastaje Nina rozmawiającego z domowym sommelierem. Kelnerzy kończą ustawiać na stołach butelki najlepszej marsali Domu Florio, koniaku, porto i brandy. Po drugiej stronie sali służąca układa srebrne sztuce obok porcelanowego serwisu z Limoges. Gdy tylko czuje na sobie wzrok pani, rumieni się i szybko dyga.

– Skończyłam, signora – mówi przepaszającym tonem i niemal ucieka.

Franca powstrzymuje pełne irytacji westchnienie, patrząc, jak dziewczyna biegnie w kierunku schodów. Podczas przyjęć z tańcami służące muszą zostać w kuchni. Mają tam komu pomagać, bo w przeciwieństwie do innych rodzin szlacheckich Floriowie zatrudniają nie tylko *monsù* z kilkorgiem pomocników, ale całą brygadę kucharzy i własnych cukierników. Na ten wieczór Franca zamówiła tarty owocowe, ciasta z kremem chantilly, babki savarin, a także krem bawarski i spongatę<sup>45</sup>. Potem będą jeszcze *gelo di mellone*, sorbety i pucharki z kandyzowanymi owocami.

Na wielkim stole ustawiono zabytkowe neapolitańskie dzbanki do kawy, srebrne, z uchwytyami z hebanu i kości słoniowej, które Franca wybrała spośród licznych serwisów przechowywanych w przepastnych szafach i kredensach Olivuzzy. Gładzi płótno flandryjskiego obrusu, olśniewająco białe, położone na satynowym nakryciu z długimi frędzlami sięgającymi podłogi, i z zadowoleniem uśmiecha się do siebie, po czym skinieniem wzywa do siebie Nina.

– Zamówiłam kosze na kotyliony, które miały być ozdobione liliami ze szklarni. Dopilnowałeś tego?

Lokaj przytakuje.

– Tak jest, donna Franca. Umieściliśmy kwiaty w komorze lodowej, aby zachowały świeżość, a kiedy nadejdzie czas, wyniesiemy je razem z prezentami dla gości.

– Dobrze. Jak tylko sala będzie pełna do połowy, zaczniecie podawać szampana. Chcę, żeby goście od razu mogli się bawić i tańczyć.

Odprawia lokaja, po czym przechodzi przez amfiladę aż do karmazynowego salonu, gdzie w porozumieniu z Ignaziem kazała przygotować kilka stołów do gry wraz z obfitym zapasem toskańskich cygar. Służący ustawia butelki brandy i koniaku marki Florio w inkrustowanej kością słoniową, szylkretem i masą perłową szafce na alkohole, nad którą widnieje obraz Antonina Leto przedstawiający łodzie pod pełnymi żaglami.

Znajdujący się obok salon dla pań jest już w pełni gotowy: na etażerkach stoją wazony z chińskiej i japońskiej porcelany wypełnione kwiatami z ogrodu, a lampy, osłonięte orientальnym



drukowanym jedwabiem, dają delikatnie rozproszone światło, podkreślające piękno obrazów, dzieł Francesca De Mura, Mattii Pretiego i Francesca Solimeny, które Franca wybrała specjalnie do tego pomieszczenia.

I właśnie tam, w półmroku, na małej kanapie, Franca dostrzega Giovannę, czarną sylwetkę na tle różowego aksamitu. Teściowa patrzy na nią przyjaźnie.

– Wszystko zrobiłaś bardzo dobrze – mówi i wyciąga do niej rękę. Zaskoczona Franca przyjmuje ją i siada obok niej.

– Czuję, jakbym wróciła do czasów, kiedy żył mój Ignazio, kiedy sale były udekorowane i pełne tańczących par. – Giovanna uśmiecha się niemal niezauważalnie. – Moja ciotka, księżna Sant’Elia, mawiała, że żadne przyjęcia nie dorównują naszym.

Wspomnienie dawnej radości łagodzi jej spojrzenie. Giovanna cofa rękę.

– Idź witać gości.

Gdy Franca przechodzi przez ostatni salon, zatrzymuje się przed lustrem i odgarnia kosmyk włosów z policzka. Wydekoltowana suknia z satyny w kolorze brzoskwiniowym obszyta jest koronką barwy kości słoniowej. Zaprojektowano ją dla niej u Wortha. W upierścienionych palcach Franca trzyma wachlarz ze wstawkami z macicy perłowej. Na szyi ma swoje ukochane perły.

Tak, wszystko jest gotowe.

Jako jedni z pierwszych przyjeżdżają Tasca di Cutò: Giulia, która stała się bliską przyjaciółką Franki, w towarzystwie Alessandra, dziedzica rodu, i młodszej siostry, Marii. Tasca di Cutò czują się w Olivuzzy jak u siebie i jako jednych z niewielu Giovanna widzi ich z przyjemnością, pamiętając o przyjaźni, która łączyła ją z ich matką, księżną Giovanną Nicolettą Filangeri, która zmarła kilka miesięcy przed jej Ignaziem.

Franca wita się ze wszystkimi, po czym bierze Giulie pod ramię.

– Moja droga, gdzie jest Romualdo?

Kobieta wykonuje niejasny gest.

– Mój przyszły mąż zatrzymał się z Ignaziem, aby powitać mojego szwagra Giulia i jego żonę Bice. – Krzywi się z irytacją. – Wiesz, jak to jest: kiedy przyjeżdża moja siostra, wszyscy padają jej do stóp.

Franca nie komentuje, ale w jej oczach widać błysk zrozumienia. Również Ignazio nie jest odporny na urok Beatrice Tasca di Cutò, żony Giulia Tomasiego, księcia Palmy i przyszłego księcia Lampedusy. Nie bez znaczenia jest fakt, że Bice doskonale wie, jak używać swoich wdzięków.

Jednak Giulia, praktyczna z natury, nie rozwodzi się nad tym.

– Chciałabym cię prosić o radę w sprawie sukni na ślub cywilny. Czy możesz mi jutro towarzyszyć u krawcowej? Ufam tylko tobie i twojemu gustowi.

Franca przytakuje i ściska jej rękę.

– Ale teraz chciałabym przekazać pozdrowienia od mojego ojca dla donny Giovanny – dodaje Giulia. – Czy wiesz, gdzie ją znajdę?

– W salonie dla pań. Idź, porozmawiamy później.

Patrzy, jak przyjaciółka znika za drzwiami obitymi aksamitem, a potem idzie powitać innych gości: najpierw szwagierkę Giulie i jej męża Pietra, a potem inną drogą przyjaciółkę, Stefaninę Spadafore, która lustruje ją od stóp do głów i wydaje okrzyk zachwyty nad wspaniałością jej toalety.

Franca znów się uśmiechnęła. Ten uśmiech, suknia i biżuteria są teraz jej tarczą chroniącą ją przed lękami, plotkami i zazdrością. A dziś wieczorem tarcza jest mocniejsza niż kiedykolwiek. Bo pierwszy taniec tego sezonu musi być niezapomniany.

\*\*\*

– Co się stało, *curò*? Nie bawisz się? – pyta Romualdo Trigona, siadając obok kuzyna.

Ignazio wzrusza ramionami.

– Kłopoty, sam wiesz.

– Spójrz tam. Panie są razem. Moim zdaniem właśnie planują nasze ukrzyżowanie – zauważa Romualdo, chichocząc, i nie czeka na odpowiedź Ignazia. Wprawnym ruchem zdejmuje z tacy przechodzącego lokaja kieliszek szampana. Delektuje się nim z zamkniętymi oczami, po czym otwiera je i widzi, że Pietro Lanza

di Trabia obserwuje go z rozbawieniem. – Ach, idealna temperatura! Ileż to wózków z lodem musiałeś przywieźć z gór Madonii, Ignazio?

Ten jednak go nie słucha. Wygląda na zaabsorbowanego, na jego czole pojawia się zmarszczka.

– Och, Ignazio, chyba mi nie powiesz, że perrier jouët przestał ci smakować! – Pietro śmieje się wraz z Romualdem. – Ach, już rozumiem! Jesteś smutny, bo nie możesz przyglądać się kobietom z powodu obecności żony.

– Nie, nie. – Ignazio otrząsa się, po czym mówi: – Nie mogę wyrzucić z głowy tej sprawy z Laganą i jego synem.

Pietro nagle poważnieje, lekko się odwraca, jego oczy wędrują po sali. Pary tańczą skoczego mazurka, dźwięk obcasów na parkiecie jest tak głośny, że niemal zagłusza muzykę.

– Nie tutaj. Chodźmy na zewnątrz.

Wychodzą na taras z widokiem na ogród, stają w niewielkiej odległości od stolików, na których serwowane są słodczyce i lody. Park Olivuzzy to ciemne morze usiane dziesiątkami małych pochodni ustawionych wzdłuż ścieżek. Tu i ówdzie widać spacerujące pary, za którymi podążają przyzwoitki.

– Kazał Augustowi, swojemu synowi, kandydować na deputowanego, a dla siebie stara się o miejsce w senacie – wyjaśnia Ignazio, upewniwszy się, że jest z dala od ciekawskich uszu. – Chce brać czynny udział w polityce, ponieważ, jak twierdzi, należy mu się to bardziej niż innym ze względu na sposób, w jaki służył Domowi Florio i krajowi. – W jego głosie mieszają się gorycz i irytacja. – A potem ma czelność przyjść do mnie i żądać pieniędzy, które jestem mu winien jako odszkodowanie.

Pietro patrzy na niego, a potem na Romualda.

– Czekaj, są rzeczy, o których nie wiem. Co to za sprawa z senatem?

Romualdo wyciąga z kieszeni cygarnicę i zapalki.

– Konsekwencja bałaganu, jakiego narobił twój szwagier, gdy pożegnał Laganę, a raczej w nieładny sposób wyrzucił go z Navigazione. Teraz tamten szuka satysfakcji. – Zapala cygaro. – Podniósł raban, ot co. – Wypuszcza kłęb dymu, patrzy w niebo. – Prawdziwy raban.

– A teraz jeszcze chce *picciuli* – dodaje Ignazio zirytowany.

Romualdo spogląda na pusty kieliszek, macha do lokaja stojącego w drzwiach tarasu, żeby podał mu kolejny.

Pietro zaciska usta z dezaprobatą. Ostatnio Romualdo pije trochę za dużo i nie zachowuje się odpowiednio.

– Skontaktował się z kilkoma deputowanymi, którzy następnie zasypali mnie listami, radząc, bym działał „rozważnie”. Wyobrażacie to sobie? On chce mi mówić, jak mam się zachowywać! Obiecałem mu to odszkodowanie i dam mu je, ale najpierw będzie je sobie musiał wypocić. Nie mówiąc już o tym, że w tej chwili nie mam nawet takich pieniędzy w kasie.

– A od kogo usłyszałeś, że jego syn kandyduje? – pyta Romualdo, ignorując ostatnie zdanie kuzyna. – To znaczy plotkę słyszałem, ale myślałem, że to tylko spekulacje.

Ignazio wkłada ręce do kieszeni. Studiuje doskonały kształt swoich angielskich butów.

– Niestety nie. Wszystko potwierdził mi Abele Damiani. Laganà poszedł do niego, obrzucił mnie błotem i poprosił o rozmowę z Crispim, aby on sam przeprowadził procedury, by uczynić go senatorem. Damiani był wręcz zakłopotany, kiedy mi to mówił.

Romualdo macha ręką.

– Damiani i zakłopotanie? Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić, ale...

– Och, nie przerywaj mi ciągle!

Pietro i Romualdo patrzą po sobie. Ignazio dotąd nie okazywał aż takiej irytacji. Teraz gładzi wąsy i pociera dłonie. Pietro rozpoznaje oznaki zakłopotania.

– Laganà to rekin, Ignazio. Powinieneś był to wiedzieć.

Wyrzut ze strony szwagra nie jest bezpodstawny.

– Ta historia o jego wejściu do parlamentu jest haniebna – syczy Ignazio. – Ten szczur kanałowy nie może zostać senatorem.

Romualdo wypija prawie całego przyniesionego mu szampana jednym haustem.

– A jego syn?

– Augusto Laganà? Sam Crispi go popiera!

Pietro rozgląda się, bierze dwa krzesła i proponuje jedno Romualdowi.

– Z nim nie chcesz zadzierać, Ignazio. Crispi to zawsze Crispi.

– I był też naszym prawnikiem, więc powinien okazać trochę wdzięczności. Tyle że... – Ignazio odchyła głowę do tyłu. Przez chwilę słucha głosów przyjęcia i śmiechów płynących falami przez otwarte na taras drzwi. To jest świat, do którego naprawdę należy, jego własny. Podnosi rękę, by zasłonić światło wydobywające się z pomieszczenia. Ponad wolutami altany rozpościera się nocne niebo. – Tyle że Crispi ma już prawie osiemdziesiąt lat i od dawna jest na równi pochyłej. Zaprzęzenie pólzywego konia do wozu to najlepsza droga donikąd. Nie, potrzebujemy kogoś nowego, kogoś, kto ma siłę i chęć do działania.

– To znaczy? – pyta Pietro.

– Crispi promuje Laganę? Więc ja promuję Rosaria Garibaldiego Bosco.

– Tego socjalistę? Tego, którego Crispi wsadził do więzienia za podżeganie do buntu? – Pietro szeroko otwiera oczy.

– Tak, jego. Socjaliści mają wielu sympatyków wśród robotników i marynarzy w moich przedsiębiorstwach. Wystarczy, że trochę popracują, by wyrzucić presję na wyżej postawionych. Pomyślałem o wszystkim. Masz mnie za idiotę?

Pietro nadal obserwuje go bez przekonania.

– Ryzykujesz, że cię wezmą za socjalistę, takiego jak ten w gorącej wodzie kąpany Alessandro Tasca di Cutò.

Romualdo rozkłada ręce, nie komentuje.

– Mnie? Wolne żarty – prycha Ignazio. – Tu nie chodzi o idee polityczne, ale o to, kto potrafi zabezpieczyć interesy Domu Florio. Crispi i jego przyjaciele udają, że narzucają mi pewne zasady, ale to jest stary sposób działania, a ich polityka już jest nieadekwatna do rzeczywistości. Dziś nie wystarczy mieć pieniądze i tytuły, by liczyć się w parlamencie. Jeśli siłą mojej rodziny są fabryki i pracujący w nich ludzie, to muszę szukać wsparcia u tych, którzy mają interes w tym, aby te firmy nadal działały i prosperowały. – Ignazio mówi powoli i cicho, aby zrozumieli, że nie żartuje.

– To znaczy u robotników. – Romualdo podnosi kieliszek w jego stronę w geście toastu.

Ignazio przytakuje.

– Jeśli polityka jest rynkiem, to mogę sobie pozwolić na wolny wybór tego, kogo popieram.

\*\*\*

Minęła północ. Starsze kobiety zebrały się w salonie dla pań, by odpocząć i porozmawiać. W salonie karmazynowym grają w karty liczni mężczyźni, spowici chmurą gęstego dymu. W sali balowej wciąż jest tłoczno i – mimo szeroko otwartych okien – gorąco.

Franca wraz z Emmą di Villarosa i Giulią Tasca di Cutò stoi przy wejściu do sali bufetowej i obserwuje tańczących. Wie, czuje, że nawet jeśli pojawiły się złośliwe komentarze, to się nie zakorzeniły. Wszystko było absolutnie idealne: na jej oczach ucztowało, tańczyło, plotkowało i bawiło się całe Palermo.

– Prawdziwie wspaniałe przyjęcie, Franco. Gratulacje.

Franca się odwraca. Przed nią stoi Tina Whitaker, której towarzyszy mąż Pip. Wędrował samotnie po salonach, podziwiając kolekcję statuetek z Capodimonte, i na dobre pięć minut zatrzymał się nad wielką porcelanową grupą Filippa Taglioliniego przedstawiającą Herkulesa jako niewolnika królowej Onfale. Tina natomiast jak zawsze była w centrum uwagi i popisywała się całym repertuarem dowcipnych uwag i docinków.

– Dziękuję, Tino – odpowiada Franca, zdumiona, że najostrzejszy język Palermo nie ma nic innego do powiedzenia na temat balu. – Spróbowaliście czegoś z bufetu deserowego, prawda?

– Tak. Wasz *monsù* przeszedł samego siebie. Lody jaśminowe to prawdziwa rozkosz! Jednak na nas już czas.

– Naprawdę? Jest jeszcze bardzo wczesnie, nie ma nawet pierwszej! – Franca protestuje, ale zna przyzwyczajenia Tiny.

Ta klepie ją po nadgarstku, podczas gdy Pip wpatruje się w czubki swoich butów.

– Wy, Franco, jesteście kobietą stworzoną do światowego życia. Ja z kolei uważam, że nie jest dobrze pozostawać u gospodarzy po pewnej godzinie.

Franca otwiera ręce w geście rezygnacji.

– Niech tak będzie. Pozwólcie, że przynajmniej podaruję wam pamiątkę tego wieczoru.

Dyskretnie daje znać Ninowi, który stoi za nią. Ten znika, by chwilę później pojawić się z wiklinowym koszem ozdobionym białymi liliami. Niektórzy goście, zaintrygowani, podchodzą bliżej.

– Proszę – mówi Franca, podając Tinie futerał. Pipowi natomiast wręcza podłużny przedmiot zawinięty w marmurkowy papier. – Dla pań pomyśleliśmy o wisiorze wykonanym przez jubilerów z Fecarotty. To granaty, na cześć nadchodzącej jesieni – wyjaśnia, gdy Tina podnosi drobiazg. Wykonany jest ze złota, z granatami w formie ziaren. – A dla mężczyzn srebrne cygarnice. – Pochyliła się w stronę Pipa, mówiąc do niego ściszone głosem: – Jestem pewna, że to docenicie.

Joseph Whitaker się rumieni.

Tina przewraca oczami, wkłada klejnot do etui i wsuwa go do swojej satynowej torebki.

– Gościnność Floriów okazuje się niezrównana, najdroższa Franco – mówi. Potem, podając jej rękę, spogląda na pary znów tańczące mazurka i rzuca: – A oni nie mają domów i łóżek?

I odchodzi z Pipem pod ramię.

Franca wzdycha, to samo robią Emma i Giulia, która komentuje:

– To silniejsze od niej. Ta kobieta musi wylać choć odrobinę trucizny.

W tym momencie Ignazio wchodzi z tarasu do salonu, dostrzega Francę i macha do niej. Ona uśmiecha się i idzie w jego stronę.

Kolejny walc z mężem będzie przypięczętowaniem idealnego wieczoru.

\*\*\*

– Widać go?

– Za chwilę, za chwilę. Gdy zejdzie, musimy go ponieść w triumfie!

– Siedział we wszystkich więzieniach na kontynencie, a teraz jest deputowanym, i to dzięki Floriom!

– Nawet panowie w końcu zrozumieli, że muszą rozmawiać z nami, robotnikami!

– Jest parowiec! Tam!

– Wiwat Rosario Garibaldi Bosco! Wiwat Florio!

Jest trzecia nad ranem, ale port w Palermo wygląda, jakby było południe. Molo i keje pełne są robotników z dzielnic Castellammare i Tribunali, czekających na swojego deputowanego. Rosario Garibaldi Bosco ponad dwa lata wcześniej, w lutym 1894 roku, został skazany za przewodzenie rewolcie Fasci Siciliani, której był również jednym z założycieli. Nie jest robotnikiem, tylko księgowym, jego ręk nie splamił smar, a płuc nie zatrąła sadza, jednak od lat walczy o triumf sprawiedliwości: jako uczeń liceum czytał niepiśmiennym robotnikom broszury propagandowe, potem, jako dziennikarz, pisał długie artykuły, w których wyobrażał sobie Sycylię, gdzie robotnicy nie są nękani przez panów i represyjny rząd.

Mimo pobytu w więzieniu kandydował do izby deputowanych z ramienia lewicy i wygrał w trzech głosowaniach, w jednym z nich zwyciężył Augusta Lagane, syna Giovanniego. A kiedy w marcu 1896 roku nadeszła amnestia dla niego i jego towarzyszy, mógł wreszcie wrócić do Palermo.

Parowiec „Elettrico” należący do Navigazione Generale Italiana powoli przybija do molo. Po kilku minutach na trapie pojawia się Rosario Garibaldi Bosco. Witają go oklaski, okrzyki radości i powiewające flagi Fasci i Włoskiej Partii Socjalistycznej.

Długie więzienie mocno go doświadczyło. Ma dopiero trzydzieści lat, ale wygląda o wiele starzej. Jest niezwykle szczupły, porusza się powoli. Schodzi, wita się z towarzyszami, potem długo ściska ojca, który nie może powstrzymać łez.

Gdy tłum odprowadza go do domu, nadjeżdża powóz. Podąża za wszystkimi, a następnie zatrzymuje się na sąsiedniej ulicy. Mija jeszcze pół godziny, zanim tłum się rozejdzie, a okiennice balkonu,



na który Garibaldi Bosco kilkakrotnie wychodził, by podziękować za powitanie, zostają zamknięte. Dopiero wtedy z powozu wysiada Ignazio w towarzystwie mężczyzny, którego twarz ocienia rondo kapelusza. Wchodzą do kamienicy, wspinają się po kamiennych schodach. Gdy Ignazio puka do drzwi, radosna wrzawa wewnątrz mieszkania nagle ustaje.

Otwiera sam Rosario.

– Wy tutaj? – woła oszołomiony.

Jest tylko w spodniach i koszuli, ma okruchy herbatników w wąsach. Mała dziewczynka obejmuje go za nogi. Wygląda na przestraszoną. Rosario bierze ją na rękę.

– Uspokój się, maleńka moja. To nie są policjanci – mówi z uśmiechem. Całuje ją, po czym stawia z powrotem na ziemi. – Idź do mamy, idź – prosi i klepie ją po ramieniu. – Powiedz, że rozmawiam z kilkoma... przyjaciółmi. – Następnie zwraca się do obu mężczyzn: – Wybaczcie, ale nie spodziewałem się was tak szybko. Wejdźcie – mówi i prowadzi gości do pomieszczenia za szklanymi drzwiami.

Podczas gdy Rosario zapala lampę naftową, dwaj mężczyźni siadają na kanapie. Ignazio, trochę zakłopotany, zagaja rozmowę.

– Nie chcieliśmy się rzucać w oczy. Rozumiecie, że ani wam, ani nam nie pomogłoby, gdyby wyszło na jaw, że się spotkaliśmy – mówi w ramach przeprosin. – Prawda, Erasmo?

Jakiś czas temu genueńczyk Erasmo Piaggio objął stanowisko dyrektora generalnego NGI po Giovannim Laganie. Jest to człowiek surowy, zdecydowany, zręczny i pozbawiony skrupułów. Kładzie kapelusz na kolanach, gładzi końce wąsów i kiwa głową. Potem wpatruje się w Rosaria, czeka.

Gospodarz pociera dłońmi uda, szukając odpowiednich słów.

– Nie wiem, jak wyrazić wdzięczność. Słyszałem, że naciskaliście, by ogłoszono amnestię, że pomogliście mojej rodzinie i pozwoliliście moim towarzyszom prowadzić kampanię wyborczą nawet w Oretei i na pochylni. To, że wsadzili mnie i moich towarzyszy do więzienia, to absurd. Sąd wojskowy nie zdawał sobie sprawy, że gdybyśmy chcieli, potrafilibyśmy wzniecić rewoltę na całej wyspie.

– A może właśnie doskonale to rozumiał? – wtrącił Piaggio ściszym głosem.

Rosario przytakuje i opuszcza głowę.

– Tak. Jest zbyt wiele zła na ziemi, zbyt wiele spraw domaga się sprawiedliwości, a państwo wydaje się ślepe i głuche. – Robi pauzę.

– Wiecie jednak, że jest już bardzo wielu sympatyków partii socjalistycznej.

– W istocie. Alessandro Tasca di Cutò został aresztowany za te same idee polityczne co wy – mówi Ignazio. We wrześniu poprzedniego roku musiał znosić niekończące się skargi Romualda, którego policja długo wypytywała o „wywrotowe znajomości” jego szwagra. – Ja, jak się domyślicie, nie podzielałam wielu waszych pomysłów. Mam się jednak za osobę inteligentną i uważam, że robotnicy i chłopcy powinni się liczyć bardziej. Innymi słowy, że ich głosy powinny być słyszane przez polityków w Rzymie.

Rosario sztywnieje.

– Jeśli pracownicy czują się chronieni, to są też chętni do współpracy, a przedsiębiorstwo może się rozwijać. Czy o to wam chodzi?

– Tak, właśnie o to. – Ignazio lekko się uśmiecha. – Zyskaliście naszą pomoc z wielu powodów, i wcale nie ostatnim było to, by powstrzymać aspiracje syna człowieka, który na wszelkie sposoby próbował zaszkodzić Palermo i jego statkom.

– Chodzi wam o syna Lagany, Augusta. Startował przeciwko mnie w tym samym okręgu.

– W istocie. Jego porażka leżała z pewnością w moim interesie, ale także w interesie robotników. Bo chodziło o to, by nie dopuścić do pozbawienia Sycylii udziału w państwowych trasach i zleceniach remontowych, które utrzymują przy życiu zarówno Oreteę, jak i pochylnię.

Piaggio prostuje się i kieruje wzrok na Rosaria.

– To, o co was prosimy, signor Bosco, to żebyście byli naszym głosem wobec robotników. Tak aby dobrze rozumieli, jakie korzyści mogą odnieść, współpracując z nami – mówi ze spokojną stanowczością.

Rosario nie odpowiada od razu. Siada w fotelu, a jego spojrzenie przechodzi z Piaggia na Ignazia.

– Jestem waszym dłużnikiem, to prawda – mówi w końcu. – I tak jak w sytuacji z Laganą, wasze interesy zbiegły się z moimi. Nie sądźcie jednak, że ja i moi towarzysze jesteśmy gotowi zrezygnować z naszych praw w zamian za jałmużnę.

– Ale nikt was nie prosi o... – zaczyna Piaggio.

– Postawmy sprawę jasno: czasy się zmieniły – przerywa mu zirytowany Ignazio. – Kiedyś mogliśmy liczyć na Crispiego, ale w tej chwili jest już stary, a po klęsce pod Aduą ma coraz więcej wrogów. Na nowego premiera też bym za bardzo nie liczył: co prawda di Rudinì jest z Palermo, ale to konserwatysta z krwi i kości. Nie, Sycylia potrzebuje nowych ludzi, którzy umieją słuchać zarówno polityków, jak i robotników. I zgodnie z tym działać. To jest przyszłość.

– Crispi zawsze i przede wszystkim służył interesom tych, którzy na niego głosowali i zdobywali mu głosy. – Rosario ścisza głos, ale w jego słowach nie ma niepewności.

– Prawda. – Ignazio szeroko rozkłada ręce. – Wiele zawdzięcza mojej rodzinie, tak jak Dom Florio wiele zawdzięcza jemu. Ale on reprezentuje przeszłość. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jak świat się zmienia i dlaczego. Wy natomiast to wiecie i macie na uwadze interesy naszej ziemi. Razem możemy zapobiec marginalizacji Sycylii w życiu gospodarczym kraju. Czy jesteście gotowi nam pomóc?

\*\*\*

– Drogi Giovanni, czy wiesz, jak się mówi w moim mieście? *Si voi pruvari li peni di lu 'nfernù, lu 'nvernu a Missina e l'estate 'n Palermu*<sup>46</sup>. Ale jestem przekonany, że w Palermo będzie ci dobrze, nawet podczas sirocco. A ty wykonasz świetną robotę – powiedział z uśmiechem, głaszcząc się po brodzie, markiz Antonio Starabba di Rudinì.

Hrabia Giovanni Codronchi Argeli odwzajemnił uśmiech premiera. Ale za miłym wyrazem twarzy kryła się świadomość, że sprawowanie tego urzędu o górnolotnej nazwie – Królewski Nadzwyczajny Komisarz Cywilny dla Sycylii – jest w rzeczywistości zadaniem bardzo delikatnym i pełnym pułapek.

Tak, gdyż wyspa stanowiła beczkę prochu. Zbyt wiele panowało na niej niepokojów, począwszy od działalności Fasci dei Lavoratori. Korupcja była zbyt powszechna, wymuszenia zbyt częste. Di Rudinì doskonale wiedział, że konieczna jest rewizja budżetu, reorganizacja ceł i podatków, inspekcja urzędów administracji państwowej i wymiana skompromitowanych urzędników. Żeby to wszystko zrobić, musiał polegać na polityku, który byłby odporny na wpływy i naciski, nie chronił żadnych osobistych interesów w tym miejscu i miał w swych działaniach wolną rękę. A zatem na kimś spoza Sycylii.

Poważny, ostrożny, roztropny Giovanni Codronchi – przez osiem lat burmistrz swojego rodzinnego miasta Imoli – był idealnym kandydatem. Nie mówiąc już o tym, że mógł się przydać do dalszego osłabienia wpływów Crispiego, ograniczając jednocześnie rozprzestrzenianie się idei socjalistycznych. Krótko mówiąc, wzmocni pozycję prawicy na wyspie. Ambitny projekt, który potrzebował ważnych sojuszników. Wybitnych osobistości.

Jak Ignazio Florio.

Tak więc na początku czerwca 1896 roku Ignazio został zaproszony na rozmowę z komisarzem. Czekał na ten moment od swego spotkania z Rosariem Garibaldim Bosco. Kontrolowanie żądań robotników – na tyle, na ile to możliwe – było tylko pierwszym krokiem; teraz należało przekonać rząd, że jedynym sposobem uniknięcia protestów i buntów – jeśli nie czegoś gorszego – jest dawanie pracy, i to na wielką skalę. Długo dyskutował na ten temat z Piaggiem, ale ostatecznie najbardziej zasadnym rozwiązaniem wydała mu się budowa stoczni połączonej z suchym dokiem poszerzającym istniejącą już pochylnię. Pomysł, który trzy lata wcześniej rozbił się o brak pieniędzy w miejskiej kasie.

Codronchi kazał mu czekać. Całe dwa miesiące. Ale w końcu Ignazio siedzi naprzeciwko komisarza w jego prywatnym gabinecie

w palazzo Reale. I przygląda się temu krzepkiemu mężczyźnie o pyzatyh policzkach i sumiastych siwych wąsach z pewnością siebie kogoś, kto dobrze zna Palermo i jego mieszkańców, i to nie z opowieści.

Przez otwarte okna dobiegają głosy miasta: krzyki ulicznych sprzedawców, biegających dzieci, dźwięk katarynki. Obaj mężczyźni najpierw wypili kawę, gawędząc niezobowiązująco. W końcu sekretarz zabrał filiżanki i zostawił ich samych, zamykając za sobą drzwi.

– A zatem... – Giovanni Codronchi ociera szerokie czoło zroszone potem, znak, że di Rudinì miał rację co do lata w Palermo. – Osobiście bardzo popieram wasz projekt, don Ignazio. Budowa i naprawa parowców gwarantowałyby długoterminowe zamówienia, a to oznaczałoby większy spokój społeczny.

– Cieszę się, że się zgadzacie – odpowiada Ignazio i pochyla się w stronę biurka. – Palermo potrzebuje pewników: jest kryzys, ludzie są wściekli i dają wiarę gawędziarzom opowiadającym historie o bajecznych zarobkach dla wszystkich. Robotnicy w mojej odlewni...

– Oretea...

– Właśnie. Protestują, bo płace od lat stoją w miejscu, ale przede wszystkim dlatego, że były zwolnienia, dużo zwolnień. Proszę mi jednak wierzyć, że inaczej się nie dało: jestem przedsiębiorcą, muszę zadbać o dobrą kondycję mojej firmy. Nie jesteśmy w stanie utrzymać ich wszystkich. – Marszczy brwi, wzdycha dramatycznie. – Wierzą, że tu, na Sycylii, możemy mieć takie same *picciuli* jak na Północy, gdybyśmy mieli te same drogi i te same zamówienia. Ale prawda jest taka, że tutaj pieniądz nie krąży tak samo; gdyby nie my, Floriowie, i kilku innych przedsiębiorców, wyspa byłaby już wyludniona, bo wszyscy wyjechaliby do Ameryki lub gdzie indziej. Rząd zaś powinien zrozumieć, że utrzymywanie tak wielu ludzi w bezrobociu jest niebezpieczne, bo ryzyko, że gorące głowy to pod byle pretekstem wykorzystają, jest ogromne.

– Pewnie, pewnie. – Codronchi opiera się na podłokietniku, drugą ręką bębni po leżących przed nim dokumentach. – Moim zdaniem taki projekt odebrałyby siłę właśnie tym awanturnikom. To leży na

sercu rządowi, a zwłaszcza naszemu premierowi, który tak jak pan pochodzi z Palermo. Ja osobiście będę do tego zachęcał, ale... – Prostuje się w fotelu, splata palce przed twarzą. – Wiecie równie dobrze jak ja, że włoski przemysł stoczniowy nie jest obecnie w dobrym zdrowiu: Livorno i Genua przeżywają trudności, a zamówienia na budowę statków często trafiają za granicę, do Anglii.

– Praca tworzy pracę, komisarzy, wiecie o tym dobrze. Od dłuższego czasu Navigazione Generale Italiana jest proszona o modernizację swoich parowców: gdybyśmy mieli do dyspozycji stocznie, moglibyśmy to zrobić bez konieczności udawania się do Genui czy wręcz Southampton albo Clyde i przetrzymywania statków w nieskończoność, zamiast nimi pływać. Poza tym powiedzmy sobie jasno: dobrze wiadomo, że genueńczycy są przeciwko Palermo i robią wszystko, by nam przeszkodzić. Gdybyśmy mogli budować statki tutaj, zatrudnilibyśmy nowych pracowników i mielibyśmy zamówienia zarówno dla suchego doku, jak i dla odlewni. Do tego potrzebne są fundusze państwowe: Dom Florio może zapewnić wiele, ale nie wszystko. Możemy postawić stocznie, ale potrzebujemy ulg podatkowych i możliwości wykorzystania terenu, który teraz należy do państwa i graniczy z fabryką tytoniu.

Codronchi przytakuje, ociera usta.

– Wiecie, że osoby bliskie Crispiemu nie poprą tego projektu, prawda? – pyta ostrożnie. – I że nawet w rządzie natrafimy na przeszkody.

Ignazio odchyła się do tyłu i zakłada ręce na piersi.

– Crispi miał swój czas, komisarzy. Nie jest już tym samym człowiekiem, którego cenił mój ojciec. – Ścisza głos i ciągnie obojętnym tonem: – Nasze stanowiska są już daleko od siebie, jeśli nie wprost ze sobą sprzeczne. Mamy dziś inne potrzeby. Gdybyśmy byli w stanie dać pracę robotnikom, stolarzom i murarzom, wytrącilibyśmy broń socjalistom i anarchistom, którzy nie mogliby już wykorzystywać niezadowolenia, by wzniecać niepokoje. Musimy zrobić miejsce dla nowych, dalekowzrocznych sił, którym zależy na rozwoju gospodarczym Sycylii, i z taką wizją przyszłości, w której

instytucje państwowe i przedsiębiorstwa prywatne mogą współpracować.

Codronchi jako doświadczony polityk umie czytać między wierszami. Przytakuje.

– Jesteście przemysłowcem i finansistą, który wie, jak wykorzystać swoją pomysłowość i zasoby w służbie społeczności. Macie też bystre spojrzenie na przyszłość – mówi.

Usta Ignazia wyginają się w pewnym sobie uśmiechu.

– Finanse i polityka muszą działać w harmonii – potwierdza Florio. – Od ludzi takich jak my zależy, czy to się stanie.

\*\*\*

– *Mamma mia*, ależ zamieszanie! – wykrzykuje Giulia, obejmując szwagierkę.

Franca czekała na nią u stóp schodów wychodzących na ogród, otoczona rojem ogrodników i służby, którzy pracownicy sprzątają po wizycie cesarza Niemiec i Prus Wilhelma II, cesarzowej Augusty Wiktorii i ich synów Wilhelma i Eitela Fryderyka – dzień wcześniej rodzina cesarska gościła u Floriów na herbacie.

– Tak, to był pracowity tydzień: przygotowanie Olivuzzy, decyzja, co podać, przestrzeganie protokołu, uff. Ale na szczęście wszystko poszło dobrze. Kaiserowi szczególnie smakowały ciastka migdałowe, cesarzowa podziwiała papugi w wolierze i pięknie rozrośnięte juki, a Vincenzino długo rozmawiał z młodym Wilhelmem, który jest w jego wieku. – Uśmiecha się. – Zrobił sporo błędów gramatycznych, ale jego niemiecka wymowa była nienaganna!

– A ty jesteś teraz tak zmęczona, że to widać – komentuje Giulia, bezpośrednio jak zawsze.

– Tak, trochę – przyznaje Franca. – Ale przede wszystkim potrzebuję porozmawiać z kimś, kto... – opuszcza głowę i wskazuje na swoje stopy – kto nie rozpowie po całym Palermo, że moje buty są zakurzone, bo nie miałam czasu się przebrać.

Giulia się śmieje.

– Dlatego posłałaś po mnie. Chodź, przejdźmy się po ogrodzie. Ja też zakurzę sobie buty!

Bierze ją pod ramię i ruszają przed siebie. Słońce zachodzi, już niedługo cienie padną na park.

– Zatem... wygląda na to, że u Whitakerów wczoraj też poszło cudownie – wesoło mówi Giulia. – Tina przysłała mi bilecik, w którym wszystko opisała.

– Tak, mnie też. I bardzo podkreślała, że kaiser docenił jej występy wokalne – mówi Franca, bawiąc się sznurem pereł, który nosi na szyi.

Giulia je zauważa, ściska jej ramię.

– To nowe?

Franca spuszcza głowę i przytakuje.

– Ignazio znów coś przeszkrobał? – pyta szeptem Giulia. – Dlatego po mnie posłałaś?

– Nie. To znaczy tak. Dał mi te perły, a wiesz, co to znaczy. – Robi pauzę pełną goryczy. – Mówią, że perły przynoszą łzy. Nigdy nie chciałam w to uwierzyć, bo dla mnie to jedno z najpiękniejszych rzeczy, jakie istnieją. Ale przyniosły mi ich trochę, to prawda. Nawet nie wiem, kim jest tym razem ta jego... ulubienica. – Wzdycha, prostuje się. – I tak, wiem już, jak pewne rzeczy dzieją się w małżeństwie. Nawet Romualdo ma kochankę, mimo że tak niedawno się ożenił.

Giulia wzrusza ramionami.

– Romualdo i mój brat są ulepieni z tej samej gliny, niestety. – Robi pauzę, patrzy France w oczy. – Zdobyłaś niezwykle opanowanie, umiesz odpowiednio reagować. Ale nie możesz o tym nie myśleć, wiem. – Potem ją obejmuje.

Tak bardzo chciałyby skonfrontować się z bratem, zmusić go do większej dyskrecji, powiedzieć mu wprost, że dręczy France, ale wie, że to nic nie da.

Uwalnia ją z uścisku i raptownie zmienia temat.

– Teraz, gdy nawet kaiser pochwalił jej głos, będziemy musieli wysłuchiwać nieustających opowieści o tym, że Wagner wpada w uniesienie, gdy słyszy, jak Tina śpiewa partię Elzy z *Lohengrina*!



Ale trzeba ją zrozumieć: matka natura była dla niej hojna, jeśli chodzi o głos i dowcip, za to skąpa, jeśli chodzi o urodę.

Na ustach Franki maluje się złośliwy uśmiezek.

– Na szczęście córki są od niej ładniejsze i nie mają ambicji artystycznych.

Śmieją się i jeszcze chwilę spacerują w ciszy ogrodu, przerywanej jedynie głosem Vincenzina, pedałuującego na welocypedzie pod czujnym spojrzeniem donny Ciccii i Giovanni. Podchodzą do nich; Giulia chce się przywitać z matką i bratem.

Nagle tuż za żywopłotem, między drzewami, Franca dostrzega mężczyznę. Wygląda jak wieśniak: ma na sobie brązową kurtkę i znoszone buty. Patrzy na nią, przykłada rękę do ronda kapelusza, po czym znika.

Kobieta marszczy czoło i się zatrzymuje.

– Naprawdę musimy mieć tych ludzi w pobliżu? – pyta Giovanę, do której dołączyła.

Teściowa zerka na mężczyznę znikającego wśród drzew, który teraz jest tylko sylwetką w cieniu. Spuszcza oczy, przytakuje z zaciśniętymi wargami.

– Masz rację. Powiem Sarowi, żeby kazał im zachowywać większy dystans – mówi. – Ale zawsze lepiej mieć ich blisko siebie, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. – Patrzy na swojego syna. – Ty zostań tutaj – poleca mu i wraca do willi.

Chłopiec czeka, aż matka znajdzie się na tyle daleko, że będzie mógł uciec alejkami w kierunku woliery.

– Vincenzo! Wracaj tu! – woła za nim Giulia.

On tylko macha ręką i znika za dorodnym krzewem róży.

Giulia bezsilnie rozkłada ramiona.

– Teraz matka będzie zła. Vincenzo jest zbyt rozpieszczony, nikogo nie słucha. Powiedział mi wczoraj, że planuje strzelać do papug i że...

Franca jej nie słucha. Mężczyzna oddalił się, ale ona wie, że wciąż tam jest. Czuje jego spojrzenie i obecność w zielonej gęstwinie.

– Ten człowiek mnie przeraża.

– Rozumiem cię. Ja też nie lubię przebywać w otoczeniu tych prostaków, ale inaczej się nie da – mruczy Giulia. – Tu czy na wsi,

w Trabii czy Bagherii, zawsze ktoś nad nami czuwa. Pietro jest zaniepokojony tymi porwaniami.

– Rozumiem to, choć... – Franca się rozgląda. Nie chce mówić zbyt głośno. – Czy wiesz, że nie tak dawno porwali Audrey, córkę Jossa, starszego brata Pipa Whitakera? Musiał zapłacić, i to sporo, za jej odzyskanie. Jakie to straszne!

– Tak, słyszałam – potwierdza Giulia. – Biedna Stella, wygląda na to, że miała koszmary przez wiele dni. Powiedzieli mi, że stało się to w parku Favorita; podobno było ich czterech i pobili masztalerza, który jej towarzyszył. Gdyby coś takiego spotkało moje dzieci, nie wiem, co bym zrobiła.

– Zapłaciłabyś, tak jak Joss. Zażądali stu tysięcy lirów, a on je zapłacił cicho i potulnie. Prefekt próbował interweniować, ale Whitakerowie zamilkli. Przestraszyli się i woleli nie robić zamieszania.

Z woliery dobiega krzyk orła, a po nim głos Vincenzina. Giulia robi się blada.

– Mój Boże! Gdyby zabrali mojego brata, matka by umarła.

Franca obejmuje szwagierkę.

– To się nie stanie – zapewnia, ale w jej głosie nie słychać tego przekonania, które chciałyby mieć.

Pamięta, że dawno temu zbeształa Francesca Noto, głównego ogrodnika, bo źle przyciął róże, które przywiozła z Anglii. Ignazio poczekał, aż Franca wróci do domu, po czym wziął ją na bok i obejmując ją, szepnął:

– Kochana, proszę cię, zawsze traktuj z szacunkiem tego dobrego człowieka, a także jego brata Pietra, odźwiernego. To są... przyjaciele, którzy pomagają nam zachować spokój.

Od tamtej pory Franca zauważyła, że nikt nie zwracał się do tych dwóch mężczyzn bez wcześniejszego ukłonu. Nikt. Nie zadawała jednak wielu pytań: żyła pod kloszem, ale wiedziała, jak działają pewne rzeczy.

W tym momencie zauważa Sara, lokaja Ignazia, idącego szybkim krokiem w stronę stajni. Jest zdenerwowany, kłania się jej nieuważnie. Giovanna wychodzi z willi kilka sekund później i kiwa głową. Franca przytakuje w odpowiedzi. Bierze Giulie pod rękę

i woła Vincenzina, żeby wrócił z nimi do domu. Odwraca się plecami do ogrodu. Nie chce widzieć.

\*\*\*

Dziesiąty dzień sierpnia 1897 roku jest pogodny i ciepły. Palermo drzemie, oczy ma jeszcze półprzymknięte, a światło świtu wlewa się do domów przez uchylone okiennice.

Służąca przemierza ciąg salonów, saloników i pokoi na parterze Olivuzzy; drży, niemal się potyka, odwraca się, by spojrzeć na Giovannę, która idzie za nią z rękami mocno zaciśniętymi na brzuchu, sztywnymi plecami i kamienną twarzą. Gdy przechodzi, lustra przez chwilę zdają się odbijać obraz młodej wojowniczkki, która weszła do tego domu trzydzieści lat wcześniej, a nie starej, zmęczonej i nieszczęśliwej kobiety.

Pokojówka w pośpiechu wchodzi do jadalni i wskazuje na jeden z kredensów z szeroko otwartymi drzwiami.

– Zobaczcie – mówi skonsternowana.

Pusty. Zupełnie pusty.

Zniknęły srebrne tace, dzbanki i imbryki. Znikł też duży srebrny wazon na kwiaty, który Giovanna kupiła w Neapolu, kiedy jeszcze żył jej Vincenzino. Kwiaty leżą na podłodze pod mahoniowym stołem, rozdeptane przez stopy, które zostawiły błotniste ślady.

– Czego jeszcze brakuje? – Głos Giovanny jest jak syk.

Pokojówka kładzie rękę na ustach, po czym wskazuje na kolejne pomieszczenie.

– Dwie z tych rzeczy o francuskiej nazwie, do których wkłada się owoce...

Jest niepewna, zawstydzona i przestraszona. Boże broń, żeby donna Giovanna pomyślała, że ona ma z tym coś wspólnego.

– Dwie *épergnes*? – domyśla się Giovanna.

Podnosi wzrok na sufit, jakby tam mogła zobaczyć obraz tego, co wydarzyło się w nocy. Próbując uspokoić gniew, oddycha głęboko. Bardziej opanowanym tonem pyta:

– Gdzie jest Nino?

Jakby wywołany jej słowami, lokaj pojawia się na progu jadalni. Giovanna całkowicie ufa człowiekowi, który przez długi czas pracował w pałacu koło tonnary na Favignanie, a od czterech lat jest w Olivuzzy. Nigdy bardziej niż w tym momencie nie potrzebuje jego spokoju, jego spojrzenia, któremu nic nie umyka.

– Jestem, donna Giovanna – mówi służący, podchodząc. – Wygląda na to, że brakuje również francuskich alabastrowych waz i kilku złotych tabakierok waszego syna. – Przerywa i chrząka. Na jego twarzy widać oburzenie i strach. – Ale to jeszcze nie wszystko. Zabrali też zabawki signoriny Giovannuzzy. Na całym korytarzu są ślady stóp.

Giovanna czuje, że powietrze nagle opuszcza jej płuca.

Wnuczka.

Dotarli do ich sypialni. Do ich prywatności.

Kradzież w rezydencji Floriów.

To jest hańba. Obraza dla ich potęgi. Złodzieje w jej domu. Przywłaszczają sobie rzeczy, które wybierała, kolekcjonowała, ceniła. Chodzi o wspomnienia, a nie tylko o przedmioty, jak choćby te dwie antyczne alabastrowe wazy, które kupiła w Paryżu z ukochanym Ignaziem u antykwariusza na place des Vosges.

Jak oni śmieli? Rozgląda się i czuje coś, co wykracza poza strach. Poza oburzenie.

Mdłości.

Patrzy na te błotniste ślady – „mieli popękane stopy”, myśli z pogardą – na odciski palców na wypolerowanej powierzchni mahoni, na zdeptane kwiaty. Czuje się tak, jakby miała te ślady na sobie, na swoim ciele, na swojej sukni.

– Posprzątajcie to wszystko – rozkazuje pokojówce. – Wszystko! – powtarza głośniej, nie zadając sobie trudu, by ukryć złość. – A ty, Nino, zrób szczegółową listę wszystkich rzeczy, których brakuje. Poproś pokojówki o pomoc. Muszę wiedzieć, co ci dranie zabrali.

Odwraca się, opuszcza jadalnię, schodzi po schodach prowadzących do ogrodu. Świeże powietrze nie przynosi jej żadnej ulgi, wręcz przeciwnie. Giovanna zauważa błotniste ślady również na stopniach – znak, że złodzieje musieli wejść i wyjść właśnie tędy.

Powinna wezwać Ignazia, ale wie, że syn jeszcze śpi. Właśnie wrócił z rejsu po Morzu Egejskim na swoim nowym jachcie, który nosi starożytną nazwę Favignany: „Aegusa”. Był to zasłużony urlop. Utworzenie rok wcześniej Anglo-Sicilian Sulphur Company, spółki siarkowej, w którą zaangażowani byli angielscy przedsiębiorcy i kilku Francuzów, powiodło się dzięki mediacji Ignazia i inicjatywa wreszcie zaczynała przynosić dochody. Ostatnio Palermo odwiedził Nathaniel Rothschild, który przyplął na swoim jachcie „Veglia”. To była nieprzerwana seria przyjęć, wizyt, zwiedzania miasta i spotkań w interesach. Kiedy więc znakomity gość wreszcie wyjechał, Ignazio zaproponował całej rodzinie wspólny rejs, ona jednak nie miała ochoty opuszczać Palermo. Powiedziała sobie, że jej dzieci powinny się bawić bez starej kobiety, i została w willi, mając za towarzystwo jedynie donnę Ciccę i haft.

Nigdy nie bała się zostawać sama w Olivuzzy. Nigdy, przez te wszystkie lata.

Wchodzi do zielonego salonu i zatrzymuje się na środku pomieszczenia, w którym spędziła tyle spokojnych chwil. Błądzi wśród mebli, muska fotografie męża, dotyka kilku przedmiotów, jakby chcąc się upewnić, że nadal tam są, potem patrzy na swoje dłonie. Skóra pokryta jest starczymi plamami, palce są suche i przykurczone. Przenosi spojrzenie na stół. Koszyk z robótką, mszalik i krucyfiks z kości słoniowej, świece w srebrnych lichtarzach i małe cynobrowe pudełko na zapalki. W narożnej gablocie kilka porcelanowych figurek. Na stoliku obok sofy kryształowy wazon ze świeżymi kwiatami i zdjęcie jej Vincenzina i Ignazia w srebrnych ramach. Wszystko wygląda na nietknięte.

To świat, w którym nigdy nie czuła najmniejszego strachu. Nazwisko Florio zawsze budziło lęk i było potężne. Zawsze wystarczało, by ją chronić. A teraz zostało zdeптane, tak jak te kwiaty na górze.

I właśnie to ją naprawdę przeraża.

\*\*\*

Obudziwszy Ignazia, Giovanna idzie do pokoju synowej. Gdy wchodzi, Franca gwałtownie podnosi głowę, nie potrafi ukryć strachu. Diodata opowiedziała jej już o tym, co się stało; pomogła swojej pani w założeniu toalety i wychodzi, mamrocząc obelgi pod adresem „tych drani bez honoru, co nie mają Boga w sercu ani rodziny”.

Na łóżku morze biżuterii. Franca opróżniła zawierającą kosztowności torbę ze złotej siatki, by upewnić się, że nic nie zginęło. Wiele z nich to prezenty od Ignazia: złote i platynowe bransoletki, pierścionki i naszyjniki z brylantami, szafirami i szmaragdami. I perły, wiele pereł lśniących w porannym świetle. Siedząca na łóżku Giovannuzza – ma po matce długie czarne włosy i zielone oczy – jest jeszcze w koszuli nocnej i bawi się pierścionkami; są zbyt duże na jej palce, więc spadają na pościel.

– Nic mojego nie tknęli – odzywa się Franca, przytulając córkę. – Zabrali tylko jakieś blaszane zabawki z pokoju... – Nie potrafi wymówić imienia dziecka. – Mój Boże! Gdyby to się skończyło tak jak z Audrey Whitaker...

Giovanna błądzi wzrokiem po posadzce ozdobionej płatkami róż. Nigdy nie lubiła tego pokoju i zawsze uważała, że bardzo pasuje do Franki.

– Ale się nie skończyło – szepce.

Patrzy prosto w twarz synowej spojrzeniem, które mówi więcej niż tysiąc słów.

Franca każe córce odejść.

– Ignazio nie wezwie policji, prawda?

Giovanna kręci głową.

– To nie są sprawy dla policjantów.

Policji nie można ufać: to cudzoziemcy, Piemontczycy, nic nie wiedzą o Palermo; przychodzą, zaczynają mówić z tym swoim śpiewnym akcentem, zadają pytania, których nawet nie powinno się pomyśleć, a co dopiero powiedzieć, i zamieniają ofiary w winowajców. Tymczasem pewne sprawy można rozwiązać szybko i bez robienia hałasu większego, niż to konieczne.

– On już rozmawia z Notem. Płacimy mu, i to dobrze płacimy. – Ma szorstki głos, jak kamień trący o kamień. Gniew, który czuje, jest

tam, pod zdaniami, ledwie ukryty przez surowy ton. – Dajemy mu *picciuli*, zaproponowaliśmy mu nawet pracę, a on co?

\*\*\*

– Jak to było możliwe? – woła wściekły Ignazio. Wali pięścią w biurko. Kałamarz brzęczy, pióra toczą się po blacie. Potem Florio ścisza głos, a jego gniew zdaje się zamieniać w sztylet. – Płacimy ci za nadzór, tobie i twojemu bratu, i to nie dwa liry... a teraz się dowiaduję, że jakaś hałastrą wchodzi mi do domu i tak po prostu wynosi, co chce?

Francesco Noto – włosy zaczesane do tyłu, kanciasta twarz – trzyma w ręku kapelusz i zgniata jego rondo. Wygląda raczej na niezadowolonego niż skruszzonego, może nawet jest zirytowany: nie nawykł do tego, by zwracano się doń w ten sposób.

– Don Ignazio, boli mnie, że tak mówicie.

– Ale to waszym zadaniem było chronienie domu przed właśnie takimi bezpańskimi psami, by nie wchodziły i nie brały rzeczy moich i mojej matki. Weszli nawet do pokoju mojej małej córki! Co zrobią dalej, zabiorą też ją? A może mojego brata? Jeśli nie możecie się tym zająć, po prostu powiedzcie. Świat jest pełen ludzi, którzy z radością zajęliby wasze miejsce.

Spojrzenie mężczyzny staje się ostre. Pod linią krzaczastych brwi pojawia się ostrzegawczy błysk.

– Tak wam mówić nie wolno, don Ignazio. Zawsze okazywaliśmy wam szacunek.

Jednak Ignazio chyba nie wychwycił ostrzegawczej nuty w jego głosie. Albo świadomie ją ignoruje.

– Wiecie lepiej niż ja, że na szacunek trzeba zapracować czynami, nie słowami, don Ciccio. Gdzie byliście?

Mężczyzna waha się, nim odpowie. Ale nie jest to milczenie zawstyżone, to milczenie kogoś, kto wybiera, co i jak powiedzieć.

– Ktoś was uraził z naszego niedopatrzenia i za to proszę o wybaczenie. Moim i mojego brata zadaniem będzie dopilnować, aby zwrócono wam to, co zostało zabrane, aż do ostatniej szpilki.

Tak szlachetny mężczyzna jak wy nie może mieć w domu złodziei przeszkadzających waszej żonie i waszej matce, która jest świętą kobietą – mówi, patrząc prosto w oczy Ignazia. – Dopilnujemy, aby nikt nie przeszkadzał wam i waszej rodzinie.

Te słowa są dla Ignazia jak śnieg rzucony na ogień, mają brzmienie obietnicy. Jego oddech, który w złości stał się krótki, uspokaja się.

– Naprawdę mam taką nadzieję, signor Noto.

*Signor* Noto, a nie *don* Ciccio. To nie było przejęzyczenie.

Francesco Noto lekko mruży oczy.

– Uznajcie to za rzecz załatwioną. I nie obawiajcie się.

\*\*\*

Atak kaszlu, po chwili kolejny.

– Nie podoba mi się to – wzdycha Giovanna i przesuwa różaniec między palcami.

Zwykle odmawia go razem z donną Ciccją, ale dziś jest sama, bo donna Ciccia została w łóżku. Od pewnego czasu cierpi na bóle nóg, często bardzo silne.

Siedząca na ławce Giovannuzza bawi się swoją ulubioną porcelanową lalką Fanny – prezentem od ciotki Giulii – w spokojnym słońcu łagodnego październikowego dnia. Jest szczupła, blada i często dręczy ją kaszel. Nie pomogły długie dni na morzu najpierw w Favignanie, a później podczas rejsu po Morzu Egejskim. Giovanna się martwi. Chciałaby jeszcze raz porozmawiać z Francą, poprosić ją, by coś zrobiła. Pomyślała, że może Giovannuzza powinna powtórzyć kurację wyciągiem z sosny nadmorskiej, tymi tabletkami, które sprowadzili z Paryża i które, jak się wydawało, przyniosły pewną poprawę. Oczywiście było wiele kłopotu z tym, by je przełknęła: Giovannuzza buntowała się, zaciskała usta, a raz nawet zwymiotowała niani na spódnicę.

Ale synowa wyszła z Giulią Trigoną do modystki. Giovanna słyszała, że potem idą odwiedzić Giulie w palazzo Butera i że zjedzą tam obiad. Będzie musiała poczekać do popołudnia, żeby z nią



porozmawiać. I musi się przygotować na to, że zostanie uznana za nadopiekuńczą i przewrażliwioną staruszkę.

„Może lepiej byłoby zabrać Giovannuzę do domu”, myśli, ale nie ma serca tego zrobić: dzień jest słodki i pachnący, aromat kwiatów juki miesza się z wonią jaśminów, które wciąż kwitną wzdłuż ściany Olivuzzy. A słońce jest dobre, myśli, głaszcząc drobną buzię dziecka.

Giovannuzza znów kaszle. Ale tylko przez chwilę, zaraz potem ubiera Fanny w miniaturowe ubranko, które dostała od matki, wyglądające tak samo jak jej sukienka.

Nieco dalej Vincenzino próbuje wsiąść na nowy welocyped, w czym pomaga mu służący. W końcu udaje mu się i śmieje się, szczęśliwy.

Czasami Giovanna widzi w nim tego pierwszego Vincenzina, jej najstarszego syna, który od osiemnastu lat śpi obok ojca i dziadka w kaplicy na cmentarzu Santa Maria di Gesù. Tęskni za nim. Tęskni za wszystkimi swoimi zmarłymi. W te dni, kiedy światło jest jak miód, a zapachy ogrodu nasycają powietrze, wydaje jej się, że znów słyszy ich głosy niesione wiatrem: głos matki, nieżyjącej od ponad dwudziestu pięciu lat, gardłowy i szorstki od choroby, głos syna, który nie zdążył przejść mutacji, głos Ignazia, spokojny i stanowczy.

To jego głosu najbardziej jej brakuje. I jego ciepła, jego rąk, jego gestów. Czasem jeszcze czuje na sobie jego spojrzenie lub słyszy śmiech. Zabrała ubrania męża na strych i co jakiś czas tam chodzi, otwiera kufry, pieści tkaniny, wacha je, szuka śladu, znaku. Ale przez te wszystkie lata pamięć, tak samo jak te tkaniny, wyblakła.

Od śmierci Ignazia minęło sześć lat. Bolesnych lat, w których serce Giovanny więdło, stając się jak pergamin pod żebrami. Miłość przestała ją ranić dopiero wtedy, gdy zamieniła się w pamięć, której ona jest jedyną właścicielką. „To niesprawiedliwe – mówi sobie, wyciągając chusteczkę z rękawa. – Powinien być tu ze mną, z nami wszystkimi”. Gdyby nadal żył, miałby teraz pięćdziesiąt dziewięć lat; idealny wiek, by nadal być panem Domu Florio, ale też by uwolnić się, przynajmniej częściowo, od odpowiedzialności i cieszyć odrobiną spokoju, przy niej. U jego boku Ignazziddu mógłby zdobywać doświadczenie, zacząć rozumieć, wydorosnąć. Wzdycha.

Jej syn ma dwadzieścia dziewięć lat, ale w pewnych sprawach jest lekkomyślny i niedojrzały jak mały chłopiec.

Tupot małych stópek. Giovanna patrzy w górę. Przed nią stoi Giovannuzza, wnuczka o zielonych oczach tak podobnych do oczu matki, ale słodszych i bardziej niewinnych.

– Co robisz, *Oma*<sup>47</sup>? – pyta dziewczynka.

Za jej plecami niemiecka opiekunka zbiera zabawki. To Franca postanowiła ją zatrudnić, Giovanna wolałaby angielską nianię.

– Modłę się – odpowiada, podnosząc różaniec.

– Dlaczego?

– Czasami modlitwa jest pamiętaniem. Jest to jedyny sposób, aby utrzymać blisko siebie osoby, które kochałeś najbardziej, a których już nie ma.

Giovannuzza patrzy na nią z ciekawością. Nie rozumie, ale z typową dla dzieci intuicją czuje, że babcia jest smutna, bardzo smutna. Bierze ją za rękę.

– Ale ja tu jestem i nie musisz o mnie pamiętać. *Kommst du?*<sup>48</sup>

Giovanna przytakuje.

– Idę, maleńka – mówi. Potem uwalnia rękę z uścisku wnuczki i dodaje: – A ty zawołaj Vincenzina.

Dziewczynka ucieka, trzymając Fanny przy piersi, i głośno woła stryja, który jest od niej starszy ledwie o dziesięć lat.

Giovanna spogląda na dom. Po śmierci Ignazia Olivuzza wydawała jej się ogromna, jakby jego nieobecność sprawiła, że te wielkie przestrzenie stały się bezużyteczne. Dopiero z czasem nauczyła się je zajmować, a przynajmniej nie pozwoliła się im przytłoczyć. Jej wzrok wędruje po fasadzie i zatrzymuje się na oknie sypialni męża.

Zauważa go w mgnieniu oka. Cień.

Instynktownie robi znak krzyża, potem odwraca oczy i odchodzi ze spuszczoną głową. Sama.

Jej zjawy, jak zawsze, podążają za nią.

\*\*\*

To właśnie niepokój o wnuczkę nie pozwala Giovannie zasnąć kilka dni później. Wędruje po pokojach Olivuzzy w peniuarze, otulona szalem, z nieodłącznym różańcem w ręku i smutną twarzą. Śpi mało, jak to starzy ludzie, a jej sen jest niespokojny, pełen zmartwień i wspomnień.

Z kuchni dochodzi brzęk naczyń i rozmowy służących przygotowujących się do sprzątnięcia pokoi. Mimo protestów Giovanny – „Tam będzie złe powietrze, nie mówiąc już o wilgoci...” – Franca jest nieugięta i chce zabrać Giovannuzę do Wenecji. Ignazio przebywa w Rzymie wraz z Vincenzem w sprawie służbowej. „Kwestie podatkowe” – powiedział jej.

Powolnymi krokami Giovanna kieruje się do kuchni: nazajutrz przyjmuje na herbacie grupę arystokratek. Chce je zaangażować w inicjatywę charytatywną, zwłaszcza w swoją szkołę haftu, i postanowiła poprosić *monsù* o przygotowanie gofrów w stylu belgijskim, z dżemem agrestowym, być może razem ze *scones* w stylu angielskim i kanapkami z masłem i marmoladą pomarańczową.

Nagle jednak coś ją uderza, zmusza do zatrzymania się. Giovanna cofa się, rozgląda, mruga.

Alabastrowe wazy, kupione w Paryżu z mężem i skradzione na początku sierpnia, stoją na tej samej półce, na której postawiła je ponad dwadzieścia lat wcześniej. Jest zdezorientowana, nawet przestraszona. Potem podchodzi, dotyka naczyń.

Żadnej wątpliwości. Są prawdziwe. To te same wazy.

Przyspiesza kroku, niemal biegnie po szachownicy posadzki, po parkiecie sali balowej, aż dociera do jadalni. Otwiera kredensy, szafy, wysuwa szuflady. Dotyka srebrnych sztućców, nie dowierza: są lśniące, bez skazy. Chwyta srebrny dzbanek do kawy, odwraca go i drżąc z emocji, szuka na podstawie znaku Antonia Alvina, neapolitańskiego złotnika. Jest, nie do pomylenia. Zamyka szafę powolnym gestem i kiwa głową. Ostatni pokój należy do Giovannuzzy. W koszu na podłodze leżą blaszane zabawki dziewczynki.

Wszystko, co zostało skradzione, wróciło na swoje miejsce.

Francesco Noto dotrzymał słowa i uratował swój honor.

Giovanna podnosi dzwonek, żeby zadzwonić na lokaja. Ale zaraz potem odkłada go na bok. „To nic nie da – myśli. – Nikt ze służby nie piśnie słowa. Ulży im jedynie, że sprawa została rozwiązana”.

Emocje są gwałtowne; Giovanna potrzebuje świeżego powietrza. Robi jednak tylko kilka kroków ścieżką w parku, gdy dostrzega stojącego pod palmą mężczyznę. To główny ogrodnik. Wyraźnie na nią czeka.

Francesco Noto zdejmuje kapelusz, kłania się lekko.

– Donna Giovanna, *assabbinirìca*.

Ona wita go skinieniem głowy.

– Muszę wam podziękować w imieniu swoim i rodziny, don Francesco – mówi, podchodząc. Obszycie jej czarnej szaty ociera się o zakurzone buty mężczyzny.

– Cieszę się. – Noto nie patrzy jej w twarz; jego oczy zdają się błądzić po ogrodzie, gdzie powinien być jego brat Pietro, odźwierny.

– To było dwóch z przedmieścia, dwóch stangretów. Proszą o wybaczenie za uczyniony despekt.

– Kto? Nazwiska.

– Vincenzo Lo Porto i Giuseppe Caruso. Odesłaliśmy ich z Olivuzzy.

Giovannie tyle wystarczy.

To, czego nie wie, to sposób, w jaki sprawa została rozwiązana.

Nie wie, że rodziny Lo Porto i Caruso rozpaczliwie szukają obu mężczyzn, bo owszem, zostali wyrzuceni z Olivuzzy, ale nie wyjechali do Ameryki czy Tunezji, jak im ktoś powiedział. Wszyscy w okolicy wiedzą. Nie można występować przeciwko braciom Noto, stawiać ich w złym świetle w oczach rodziny Florio i myśleć, że ujdzie to na sucho.

Oczywiście także bracia Noto postępowali nierozważnie, choćby ostatnio, gdy poprosili starszego brata Pipa, Jossa Whitakera, o *prezent* i nie podzielili się nim z przyjaciółmi Lo Porto i Caruso. A kto tak traktuje przyjaciół? Niektórzy twierdzą, że obaj stangreci okradli Floriów specjalnie, aby wyrównać rachunki z braćmi Noto. Inni – że chcieli pozbawić braci stanowiska. Krąży wiele plotek. Bracia Noto nie mogli tolerować takiego despektu.

Nie, Giovanna nie wie o tym wszystkim ani nie chce wiedzieć.

A jednak się dowiaduje pod koniec listopada, gdy wybiera się do klasztoru sióstr miłosierdzia na trzynastodniowe nabożeństwo ku czci Świętej Łucji. Coraz bardziej zgarbiona i powolna, w towarzystwie nieodłącznej donny Ciccii, wsiada do powozu, wspierana przez stangreta, gdy obok niej pojawiają się dwie kobiety otulone ciemnymi szalami, które osłaniają je przed północnym wiatrem.

– Donna Giovanna! Signora, musicie nas wysłuchać! – woła młodsza z nich. Jej włosy są zaczesane do tyłu, ubranie ma skromne, ale czyste. Skóra na jej policzkach jest ściągnięta, a oczy duże, głodne, pociemniałe z bólu. – Jesteście nam to winni – nalega, trzymając się drzwi powozu.

Zaskoczona Giovanna robi krok do tyłu.

– Czego chcecie ode mnie? Kim jesteście? – pyta ostro.

– Jesteśmy żonami Giuseppego Carusa i Vincenza Lo Porto – odpowiada druga. Wygląda na tyle samo lat co Giovanna, ale w rzeczywistości jest znacznie młodsza: smutek i wstyd nagle ją postarzyły. Ma na sobie suknię, która być może nie do niej należy, bo jest zbyt krótka i zbyt luźna. – Nie bójcie się, donna Giovanna: jesteśmy kobietami i matkami, jak wy. Mamy dzieci, ale nie mamy nikogo, kto dałby nam chleb.

Serce Giovanny zamienia się w kamień.

– Przychodźcie prosić mnie o pieniądze, bo musicie nakarmić dzieci? Weźcie je od swoich mężów, ich proście. Powinni byli o tym pomyśleć, kiedy wchodzili do mojego domu, żeby kraść! Zamiast tego uciekli jak tchórze.

– Mój mąż nigdzie nie uciekł – mówi dobitnie żona Vincenza Lo Porto z oczyma czerwonymi od łez. – Nie mogę nawet zapalić mu świecy ani nie mam gdzie kwiatów położyć. Bez głowy rodziny przez was zostałam.

Giovanna trwa nieporuszona. Czuje, jak stojąca za nią donna Ciccia sztywnieje, a potem słyszy jej ciężki oddech. Patrzy na żonę Giuseppego Carusa, która trzyma ręce zaciśnięte na brzuchu. Kobieta przytakuje.

– Nawet mój teść wie: domagał się sprawiedliwości, powiedział, że aż do Rzymu pójdzie, jeśli mu nie powiedzą, co się stało z jego

synem. Rzucili nam zdechłego psa na próg. – Ujmuje nadgarstek Giovanni, ściska go. – Teraz rozumiecie? – szepce do niej w rozpaczy.

– Wiecie, że inni chcieli zabrać wam więcej niż cztery sztuki srebra? – Twarz żony Lo Porto jest teraz ledwie o piędź od jej twarzy. – Że chcieli porwać waszego syna lub wnuczkę? To się już zdarzało...

Dla Giovanni to zbyt wiele. Robi krok do tyłu, cofa się.

– Zostawcie mnie – rozkazuje.

W tym momencie stangret łapie jedną z kobiet za łokieć, odciąga ją do tyłu. Giovanna wykorzystuje to, by wsiąść do powozu, choć druga próbuje ją zatrzymać. Donna Ciccina uderza ją po ręce.

– Ruszaj! – rozkazuje Giovanna bez tchu i ze wzburzonym sercem.

– Ruszaj, ruszaj! – powtarza głośniejszym głosem, gdy dwie kobiety krzyczą, kopią i walą w drzwi.

W końcu powóz rusza. Krzyki zagłusza turkot kół na bruku i ciężki oddech donny Ciccini.

Giovanna ledwie może mówić. Zaciska dłonie w czarnych rękawiczkach.

– Widziałyście? – pyta donna Ciccina.

Giovanna przełyka ślinę, szuka pocieszenia w szemranym naprędcie *Zdrowaś Mario*, ale nie znajduje go. Poczucie winy i mdłości ściskają jej żołądek.

– Nie.

– Ale widziałyście ich ubrania?

Przytakuje, tylko raz, jej oczy patrzą przez okno, nie widząc.

Czarne. Obie kobiety nosiły żałobę. Jak wdowy.

I oficjalnie będą wdowami, gdy kilka tygodni później zwłoki ich mężów zostaną znalezione w jaskini tuż za miastem służącej jako magazyn.

Zabito ich kilka dni po napadzie. Nigdy nie opuścili Palermo.

Sprawa dotrze do uszu naczelnika policji, który rok później przybędzie z Północy. To człowiek nieugięty, przyzwyczajony do miażdżenia swoich wrogów. Kilka lat wcześniej zasłynął tym, że wsadził do więzienia dwustu członków Bractwa Favary, przestępczego związku odpowiedzialnego za długą listę morderstw.

Jego zadaniem, powierzonym mu przez rząd, jest rozgromienie mafii, organizacji, o której wszyscy mówią, ale która zdaje się wymykać wszelkim prawom. Mało tego, naczelnik musi zanurzyć ręce w kałuży pełnej błota, gdzie mieszają się władza polityczna i działalność przestępcza, zanim cały system zostanie zniszczony. System, gdzie bandyci są na usługach senatorów, arystokracji i notabli, „którzy ich chronią i bronią, aby z kolei być przez nich chronionymi i bronionymi”, jak napisał naczelnik w swoim niezmiernie długim raporcie. Dowie się wtedy, że Floriowie zostali okradzeni. Próbował przesłuchać donnę Giovannę, ale bez powodzenia; próbował porozmawiać z Whitakerami, by dowiedzieć się czegoś o porwaniu i wymuszeniu okupu za Audrey, ale uzyskał tylko milczenie.

Ten mężczyzna z kwadratową szczęką i blond brodą, który nazywa się Ermanno Sangiorgi, zrozumie wiele rzeczy na temat mafii. Na przykład pozna jej organizację: system rodzin, przywódcy zwani *capi*, szeregowi członkowie zwani *picciotti*, przysięga wierności. Struktura, którą odnajdziemy niemal zupełnie niezmienną prawie sto lat później w deklaracjach „bossa dwóch światów”, Tommasa Buscetty, złożonych najpierw przed sędzią śledczym Giovannim Falcone podczas trwającego miesiącami tajnego przesłuchania, a następnie podczas pierwszego prawdziwego procesu mafii, trwającego w sumie sześć lat, od 1986 do 1992 roku. Organizacja odpowiedzialna za zamachy bombowe, które odebrały życie Falconemu i Paolowi Borsellino, odpowiednio cztery i sześć miesięcy po zakończeniu procesu.

Tak, wiele rzeczy o mafii zrozumie nasz Ermanno Sangiorgi.

Ale tylko nieliczne uda mu się udowodnić.

\*\*\*

Marzec 1898 roku jest niepewny, porusza się chwiejnymi krokami małego dziecka. Nawet w słoneczne dni często zrywa się lodowaty wiatr, który wstrząsa ogrodem Olivuzzy i porusza koronami drzew.

Z okna małego salonu obok swej sypialni Franca obserwuje cienie rysujące się pod palmami i słucha szumu liści. Pamięta szmer morskich fal głaszczących kadłub „Aegusy” i rejs, który Ignazio zorganizował minionego lata we wschodniej części Morza Śródziemnego. Pamięta surowe piękno wysp na Morzu Egejskim, przejrzyste wody tureckiego wybrzeża, urok Konstantynopola, subtelny niczym trucizna, wąskie uliczki Korfu, które radośnie przemierzała wraz z Giulią, podczas gdy Giovannuzza biegła za nimi z nianią; pamięta wiatr, który pachniał oregano i rozmarynem.

Wzdycha, jej serce jest ciężkie od nostalgii. Chciałaby znów zobaczyć zachody słońca nad Morzem Egejskim, wypić jeszcze jeden kieliszek nykteri, „wina nocy”, z winogron, które zbiera się przed świtem, poczuć ramiona Ignazia. Obejmujące ją i tylko ją.

Ale nie może, nie w swoim stanie.

Głaszcząc się po brzuchu. Do porodu nie pozostało wiele czasu.

„Święta Anno, patronko matek, niech to będzie chłopiec”. To modlitwa, która towarzyszy jej od momentu, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. „Chłopiec dla Domu Florio, dla mnie. Dla Ignazia, który może przestanie szukać gdzie indziej tego, co ja mogę mu dać”.

Bo to się nie zmieniło. Ignazio nie przestaje kolekcjonować kobiet; byle były młode i piękne, nie ma znaczenia, czy są to arystokratki, czy panny wątpliwej kondyty. To cud, że nie złapał żadnej choroby. W tej kwestii jest bez wątpienia ostrożny.

Z drugiej strony po co się z tym kryć, skoro w Palermo, wśród ich znajomych, nie ma ani jednej pary, o której można powiedzieć, że jest sobie wierna? Z mieszaniną gniewu i smutku Franca wraca myślami do tego, co kilka tygodni wcześniej wyjawiała jej Giulia, żona Romualda Trigony. Że jej mąż ma stałą kochankę, a ona postanowiła, że nie będzie dłużej stać z boku i patrzeć. Nie obchodzi jej, co myślą inni: chce być wolna, żyć swoim życiem, kochać i być szczęśliwa.

A jednak ludzie wciąż i zawsze znajdują sposoby, by ranić.

Ostatni raz miał miejsce zaledwie kilka dni wcześniej. I całe szczęście, że przyszła wtedy Maruzza...

Od pewnego czasu Franca ma damę do towarzystwa, hrabinę Maruzzę Bardesono, kobietę w średnim wieku, o surowych rysach



i poważnym usposobieniu. Wychowana w zamożnej rodzinie, po śmierci brata została sama i bez środków do życia. Ktoś powiedział France, że szuka zatrudnienia, a ona wyszła jej naprzeciw, bardziej z poczucia obowiązku niż z przekonania. Jednak zrobiło na niej wrażenie arystokratyczne zachowanie tej kobiety, jej kultura i aura bezpieczeństwa, jaką roztaczała, i natychmiast zaproponowała jej pracę. Nigdy tego nie żałowała.

Tamtego dnia Maruzza poszła do sypialni Franki, by zwrócić jej egzemplarz *Amuletu*, najnowszej powieści Neery, pisarki, którą obie bardzo ceniły. Zastała ją zapłakaną, z głową opartą o toaletkę i kartką zaciśniętą w pięści. Na podłodze szczotki, grzebienie, buteleczki, kremy i perfumy, zrzucone w przypływie wściekłości.

– Co się stało, donna Franca? Żle się czujecie? – zapytała Maruzza, kładąc książkę na łóżku.

Nie przestając szlochać, Franca podała jej kartkę.

Kobieta przejrzała list i jej twarz spurpurowiała.

– Co za bagno! – wykrzyknęła. – Anonimowe listy to narzędzie tchórzy. Na dodatek wysyłane ciężarnej kobiecie! Hańba!

– Nie wiem, kim są te kobiety, z którymi on się prowadzi, i nawet nie chcę wiedzieć – szepnęła Franca. – Znosiłam to, bo wiem, że mnie kocha i wraca do mnie. – Wstała i spojrzała w oczy swojej damie do towarzystwa. – Ale od pewnego czasu coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam wyjechać. Tylko z córką.

Maruzza wzięła ją za rękę.

– Donna Franca, znam już was trochę. Czy mogę z wami szczerze porozmawiać?

Franca kiwnęła głową.

– Macie wszystko, czego może pragnąć kobieta. Zdrowie, urodę, córkę, która jest kochającym i mądrym aniołem. I... i to wszystko. – Szerokim gestem wskazała na sypialnię. – Niedługo znów zostaniecie matką, czy może o tym zapomnieliście?

– Ale...

– Wszyscy jesteśmy samotni, donna Franca, mężczyźni i kobiety. Pieniądze, tytuły czy pozycja społeczna nie mają na to wpływu. Wszyscy szukamy czegoś, czego nie mamy, czego nam brakuje. Ale mężczyzna otrzymuje broń, by toczyć swoje bitwy. Kobieta

natomiast musi sobie na tę broń zapracować, a jeśli już ją dostanie, to drogo za nią płaci. Wy macie szczęście, bo posiadacie dużo broni, a na dodatek nauczyliście się jej używać. Wiele kobiet po prostu tego nie ma. Tak jak ta, która napisała ten list...

Marszcząc czoło, Franca opuściła wzrok na papier, jakby szukając potwierdzenia słów Maruzzy.

– To oczywiste, że to była kobieta – kontynuowała hrabina. – Widzicie, niektóre z nich nawet nie szukają broni. Bo żeby ją znaleźć, musiałyby zmienić zbyt wiele rzeczy, zaczynając od własnej głowy. Musiałyby przestać opowiadać sobie bajki. Tak jak pisze Neera... – Podniosła książkę, przekartkowała ją i znalazła właściwą stronę. – „Nie mając czasu na szukanie tego, co może być ich prawdziwą korzyścią, trzymają się najbliższej i najwygodniejszej lekcji” – przeczytała. – Boją się żyć, więc zaczynają się lękać wszystkiego i czują się silne tylko wtedy, gdy oceniają innych. Ale ich gorycz zamienia się w żółć, więc muszą ją jakoś z siebie wyrzucić, choćby nawet przez takie listy jak ten. To nieszczęśliwe kobiety, donna Franca. Oczywiście, zazdroszczą wam pieniędzy, strojów, biżuterii... Ale, uwierzcie mi, atakują was przede wszystkim dlatego, że widzą, jaką jesteście kobietą. Że macie odwagę. Wiecie, co robi wasz mąż, ale idziecie z podniesioną głową, nie chowacie się, nie odpłacacie tym samym, nie pozwalacie nikomu podważać waszej godności. Zawsze jesteście świadoma nazwiska, które nosicie.

Franca usiadła.

– Więc uważacie, że powinnam współczuć osobie, która napisała ten list?

– Tak. Poza tym są jeszcze inne kobiety...

– Inne?

– Te rozpustnice, które wasz mąż obsypuje klejnotami. Mają oczywiście mało broni, ale używają jej aż za dobrze! – Maruzza roześmiała się, ale bez wesołości. – Pomyślcie, że im też należy współczuć. Myślą, że są ważne, ale nie zdają sobie sprawy, że mężczyźni używają ich do zabawy i to wszystko. Kochanki na kilka tygodni, które kończą porzucone bez najmniejszego żalu, odtrącone jak stare lalki.

Franca nie potrafiła ukryć zaskoczenia, jakie wzbudziły w niej te nieprzyjemne, aczkolwiek prawdziwe słowa. W jej umyśle obraz Maruzzy nałożył się na obraz jej szwagierki Giulii. Dwie tak bardzo różne kobiety, a jednak powiedziały jej to samo: że jest rośliną o mocnych korzeniach i nie powinna bać się rozkwitać, sięgać gałęziami do nieba. Jej przeznaczeniem było rosnąć, stawać się coraz silniejszą.

A jednak.

– Dlaczego po tak długim czasie to wciąż tak bardzo boli? – zapytała, bardziej siebie samą niż Maruzzę.

Hrabina westchnęła. Potem z gorzkim uśmiechem odparła:

– Miłość, donna Franca, to niewdzięczna bestia: gryzie rękę, która ją karmi, i liże tę, która ją bije. Kochać na zawsze, kochać naprawdę to nie mieć pamięci.

\*\*\*

Bolesny ucisk w dole brzucha. Gwałtowny, przesywający na wskroś. Franca z trudem łapie oddech. „Czy to już?“, myśli. Sięga po dzwonek, wzywa służącą, która natychmiast pojawia się na progu.

– Donna Franca?

– Wezwij hrabinę Bardesono, proszę. Powiedz, żeby przyszła natychmiast.

Kolejny skurcz. Od czasu ich rozmowy o anonimowym liście miesiąc wcześniej więź z Maruzzą stała się głębsza, bardziej intymna. France od razu przyszło na myśl, żeby wezwać właśnie ją, a nie teściową.

Szybkie kroki rozbrzmiewają na korytarzu. Otwierają się drzwi. Franca podnosi głowę, widzi życzliwe spojrzenie Maruzzy. Ale zaraz potem musi pochylić się do przodu i z trudem powstrzymuje jęk; blednie, ciężko oddycha.

Kobieta kładzie jej dłoń na czole.

– Zaczęły się bóle? Mam zadzwonić do lekarza? Po waszą matkę? Matkę, nie donnę Giovannę. Tak, Maruzza ją zna.

– Położną i lekarza... i moją matkę, tak. Może tu zostać przez kil...

Kolejny skurcz. Palce Franki owijają się wokół nadgarstka kobiety.

– Są zbyt częste – mówi z wysiłkiem i paniką w oczach. – Zaczęły się tak nagle...

Maruzza macha ręką.

– Drugie dziecko zawsze przychodzi szybciej niż pierwsze. Chcecie, żebym wezwała waszego męża?

Ignazio. Franca chciałaby go mieć u swego boku. Świadomość, że czeka w domu, dodałaby jej sił, to oczywiste. Ale gdzie on może być? W biurze NGI czy gdzieś krąży? Wyszedł, nie mówiąc jej ani słowa. Jak zwykle nienagannie ubrany, ze zwyczajowym goździkiem w butonierce, pożegnał ją pospiesznym pocałunkiem w usta i już go nie było.

– Zapytajcie Sara, gdzie jest – mówi.

Z jedną dłonią na nerkach, a drugą opartą na ramieniu Maruzzy Franca wstaje i przesuwa się kilka kroków. Łóżko jest zasłane, ubrania odłożone do szafy. Przez okno wpada łagodne światło i wszystko ucichło w oczekiwaniu. Na komodzie stoją białe kwiaty, ich zapach przyprawia ją o mdłości.

– Każcie je zabrać – mówi do Maruzzy, wskazując na bukiet. Kolejny skurcz promieniuje od podbrzusza. Nie ma wątpliwości: drugie dziecko ma przyjść na świat.

\*\*\*

Skoncentrować się. Jeden oddech po drugim. Poczuć, jak krew płynie w żyłach, gdy nachodzą fale bólu, które cofają się tylko po to, by uderzyć ponownie, z większą dzikością. Ciało się buntuje, otwiera. Umysł nie pracuje, bo nie może znieść tych pchnięć, tego uczucia, że brzuch zaraz zostanie rozerwany.

Potem, razem z ostatnimi skurczami przychodzi spokój. Rodzaj ponurej rezygnacji. „Tak, umrę”, myśli Franca, oblana potem, krwią i płynem owodniowym, i prawie życzy sobie, żeby tak było, bo jest

wyczerpana i nie może dłużej znieść cierpienia. Potrząsa głową, uwalnia z siebie szloch.

– Nie dam rady – jęczy do matki, która trzyma ją za rękę. – Nie potrafię.

Costanza ściska jej dłoń, przeciera czoło.

– Ależ tak, możesz – dodaje jej odwagi. – Już to przechodziłaś z Giovanną! A z nią to dopiero było ciężko, pamiętasz?

Przed nią, pochyłona między jej nogami, odzywa się położna.

– Signorina Giovanna była źle ułożona. Musiałam ją obrócić. A to dziecko jest ułożone jak trzeba, za to bardzo duże. Przyjcie i niech Święta Anna nam pomoże.

Franca nie odpowiada. Czuje nacisk kolejnego skurczu, pochyła się do przodu, powstrzymuje odruch wymiotny. Teraz musi się uwolnić, pozwolić temu stworzeniu przyjść na świat. Prze.

– Dość, przestańcie... – Położna kładzie jej rękę na brzuchu, prostuje plecy. Głaszcze ją po dłoni. – Teraz wyjdzie. Kiedy wam powiem, przyjcie, a potem przestańcie. Teraz!

Franca krzyczy. Czuje, że coś się od niej odrywa, jakby usuwano z niej jakiś istotny organ. Wyciąga rękę, ale jest wyczerpana, nie ma siły pytać, wiedzieć. Opada na poduszki, oczy ma zamknięte.

To już koniec. Cokolwiek to było, już się skończyło.

Mijają długie chwile.

Potem płacz.

Otwiera oczy, widzi matkę. Jest szczęśliwa, śmieje się i płacze jednocześnie, trzymając dłonie przy ustach, kiwa głową.

– *Masculu è!*

Jeszcze jest z nią złączony pępowina, zakrwawiony, pokryty białawym czepkiem worka owodniowego. Ale to chłopiec, jest zdrowy, żyje, ma duże oczy i usta otwarte w krzyku, który mówi o bólu pierwszego oddechu.

Chłopiec. Mężczyzna. Dziedzic.

\*\*\*

– *Masculu è!*

Ten okrzyk rozbrzmiewa w całym domu. Giovanna przekazała wiadomość Ignaziowi, który teraz czeka w salonie na parterze w towarzystwie Romualda Trigony, Giulii i swego szwagra Pietra. Od lat, może nawet od czasów dzieciństwa, Ignazio nie widział na twarzy matki tak promiennego uśmiechu jak wtedy, gdy mówiła: „To chłopiec, mój synu! Nareszcie!”.

Ignazio natychmiast posyła po szampana, chce, aby wszyscy służący wypili po kieliszku, następnie wznosi toasty z przyjaciółmi i krewnymi, ściska ich, gestykułuje, uszczęśliwiony. Niania przyprowadza Giovannuzę do ojca, aby i ona świętowała, a on bierze córkę na ręce, obraca ją w powietrzu i wyciska pocałunek na jej czole, a następnie całuje swoją siostrę Giulie.

Jest szczęśliwy. Po pięciu latach wreszcie pojawił się dziedzic! Problemy ekonomiczne? Kryzys w żegludze? Pieniądze, których nigdy nie dość? Wszystko to teraz jest odległe. Roszczenia pracowników odlewni? To nie ma większego znaczenia. Teraz jest nowy Ignazio, bo tak będzie miał na imię. Jak jego ojciec. Będzie nosił nazwisko rodziny i kontynuował jej historię.

Po kolejnym kieliszku szampana wzywa Sara.

Lokaj zatrzymuje się w progu, kłania się.

– Serdeczne gratulacje, don Ignazio.

Florio podchodzi do niego, promieniejąc. Chwyta go za ramiona i mówi:

– Potrzebuję marsali. Ale nie byle jakiej: chcę butelek mojego dziadka, tych przechowywanych w głębi piwniczki. Wyślij po nie kogoś i przynieś je na górę, szybko.

Sara szeroko otwiera oczy i odchodzi, zdumiony. Ignazio rozgląda się dookoła, po czym podnosi srebrną wazę ze środka stołu, odwraca ją do góry dnem, by pozbyć się ułożonych w niej suszonych kwiatów, i bijąc w nią jak w bęben, idzie przez pałac do czerwonych schodów prowadzących do pokoi jego i Franki. Uśmiechnięty Romualdo podąża za nim. Pietro natomiast jest wyraźnie zdezorientowany i nim zdąży postawić stopę na pierwszym stopniu, zatrzymują go Giovanna z Giulią, która wzięła Giovannuzę na ręce.

– Co mój brat wyprawia? – pyta zdezorientowana Giulia.

Pietro wzrusza ramionami.

– A co ja mogę wiedzieć? Posłał Sara po marsalę.

Giovanna kręci głową, wymownie przewraca oczami.

– Co on ma w głowie...

Giulia powierza Giovannuzę guwernantce, po czym unosi spódnice i zaczyna najszybciej, jak umie, pokonywać schody, a za nią podąża matka. „Tylko tego brakuje, żeby Franca zemdląła od jednego z jego żartów”, myśli. Wie, co znaczy przejść przez poród, wie też, że mężczyźni nie potrafią sobie tego nawet wyobrazić. Obie kobiety idą korytarzem, po chwili zatrzymują się pośród roślin w ogrodzie zimowym. Nagle słyszą za sobą ciężki oddech i brzęk szkła. To Saro, obładowany zakurzonymi butelkami.

– Co ty robisz? – Giovanna jest zgorzozona.

– Don Ignazio powiedział... – Saro zatrzymuje się, z trudem łapie oddech.

– Saro! – Głos Ignazia odbija się echem. – Saro, gdzie jesteś? – Wychodzi z pokoju Franki, jego oczy błyszczą z ekscytacji, macha do nich, żeby do niego dołączyły i znika w środku.

Niecodzienny orszak rusza ponownie i dociera przed oblicze Franki. Położnica siedzi w łóżku, blada i wyczerpana, ale promiennie uśmiechnięta. Trzyma noworodka w ramionach, czekając, aż pielęgniarka skończy przygotowywać pieluchy, by go owinąć.

Ignazio stawia wazę na toaletce, chwytając butelki z marsalą i wylewa ich zawartość do środka. Pokój wypełnia ostra woń alkoholu, która miesza się ze słonym zapachem potu i rzadszą, bardziej żelazistą wonią krwi. Ignazio zwraca się do teściowej i wyciąga rękę. Costanza nie wie, co zrobić, i patrzy na córkę, ale Franca się śmieje, kiwa głową, bo rozumie i jest szczęśliwa. Giulia również rozumie i chwytając brata za rękę.

– Czekaj! – woła ze śmiechem. Bierze dzbanek z wodą przygotowaną do kąpieli i ku zdumieniu zebranych wlewa ją do wazy z marsalą. – Trzeba rozcieńczyć marsalę, bo może mu zaszkodzić! Dopiero się urodził!

Ignazio bierze nagie niemowlę w ramiona, a ono otwiera oczy. Jego ojciec na chwilę nieruchomieje, patrzy na istotkę

o pomarszczonej twarzy i zarumienionej skórze. To jego syn. Jego i jego ukochanej Franki.

Następnie, trzymając go na przedramieniu, opuszcza go nad wazą, nabiera w jedną rękę nieco płynu i obmywa mu głowę. Następnie zanurza go całkowicie.

Za plecami słycać okrzyki oburzenia.

– Co to jest? Ty go chrzczisz?! – woła zgorszona Giovanna. Taki chrzest to dla niej świętokradztwo.

Giulia przykłada dłoń ust, niepewna, czy śmiać się, czy protestować. Giovannuzza zza pleców ciotki obserwuje scenę szeroko otwartymi oczami.

Ale Ignazio nie widzi ani nie słyszy nikogo. Szuka spojrzeniem Franki. Ta śmieje się i klaszcze w dłonie. Na jej twarzy widzi słodycz, którą on zatrzyma w pamięci i zachowa do końca życia.

Życie, tak. To, którego zawsze szukał, a przez tak długi czas zdawało się mu wymykać. Śmierć prześladowuje go od czasu, gdy jego dziadek zmarł niemal tego samego dnia, w którym on się rodził. Potem zabrała jego brata Vincenza. A potem jego ojca. Starał się zapomnieć o tym cierpieniu przy France, ale nie tylko przy niej. Także przy wielu, zbyt wielu kobietach. Za pomocą kaprysów i szaleństw, na które pozwalało mu jego ogromne bogactwo. Dopiero teraz wie, że może znaleźć spokój. Bo w jego ramionach jest życie. Jest przyszłość jego i Domu Florio.

Dziecko szerzej otwiera oczy, wybucha płaczem, ale Ignazio zwilża mu usta zanurzonym w winie palcem.

– Ten smak musisz zapamiętać. Ten pierwszy smak, wcześniejszy od smaku mleka. – Opiera je na piersi, nie zważając na to, że ubranie nasiąknie mu trunkiem. – Bo to wino uczyniło nas tym, czym jesteśmy, a jesteśmy Floriami.

\*\*\*

– Don Ignazio, przyszli robotnicy.

Saro wszedł do gabinetu i teraz zerka na plac przez zasłony w oknie. Siedzący przy biurku Ignazio wymienia zdziwione



spojrzenie z Erasmem Piaggio w fotelu naprzeciwko, po czym obaj wstają i patrzą ponad ramieniem lokaja. Rzeczywiście, przed wejściem czeka kilkunastu robotników. Rozmawiają z Pietrem Noto, odźwiernym.

– Po co przyszli? – mruczy Ignazio.

– Może po to, by pytać, skąd opóźnienia w zleceniach i przestoje? – spekuluje Piaggio.

Ignazio wraca do biurka.

– Idź i wyjaśnij im, że odkąd Codronchi złożył urząd w lipcu ubiegłego roku, sprawy bardzo się skomplikowały. I należy mieć tylko nadzieję, że towarzystwo, które postanowiliśmy powołać – stukając palcem wskazującym w leżące na biurku dokumenty założycielskie Towarzystwa Sycylijskich Stoczni, Doków i Zakładów Mechanicznych – sprawi, że prace znów nabiorą tempa. Mam szczerą nadzieję, że nie przyszli prosić o kolejną podwyżkę! Jak oni śmia! Po tym, co się stało w styczniu? Powinniśmy znów porozmawiać z Garibaldim Bosco, tylko on może ich przekonać, żeby się uspokoili. Co za męka te ciągłe protesty!

– Przyszli pogratulować ci narodzin syna – mówi Giovanna, stając w progu. Pojawiła się cicho i teraz patrzy na Ignazia z wyrzutem. – Zaprosiłam ich do środka – wyjaśnia i zwraca się do Sara: – Każ przynieść więcej krzesel, a następnie wystaw na stół ciastka i wino. To nasi pracownicy i musimy ich grzecznie przyjąć – dodaje, sprzedając sprzeciw syna. – Twój ojciec by tak zrobił.

Wychodząc, myśli z goryczą, że jej Ignazio pojechał osobiście do robotników w Oretei, by ogłosić narodziny dziedzica, gdy urodził się Vincenzino.

Niedługo potem ciężkie kroki robotników odbijają się echem po korytarzach Olivuzzy, zostawiając ślady na dywanach i parkiecie. Ubrani w odświętne stroje, mężczyźni rozglądają się dookoła, onieśmieleni ogromnymi obrazami, misternie ułożonymi kwiatami, złotem i stiukami, ale przede wszystkim domem, który wydaje się nie mieć końca. Nie spodziewali się, że zostaną zaproszeni do środka; portier powiedział im, że przekaże wiadomość don Ignaziowi i będą mogli wrócić do domu. Potem przyszła donna Giovanna, wdowa po *u' principale* – niech odpoczywa w pokoju, to

był wielki pan – powiedziała po prostu: „Witajcie. Wejdźcie”, i poszła do gabinetu, który należał wcześniej do jej męża, a teraz należy do syna.

Przechodzą obok zielonego salonu i widzą donnę Ciccę, która drzemie w fotelu z otwartymi ustami. Ktoś się śmieje, ale to tylko chwila: zaraz potem widzą portret Ignazia w srebrnej ramie. Wtedy przystają i robią znak krzyża.

Giovanna patrzy na nich i czuje, że jej oczy wilgotnieją. Starszy robotnik z siwym wąsem zwraca się wprost do niej:

– Był dla nas wszystkich prawdziwym ojcem. Zbyt wcześnie Pan powołał go do siebie.

Ona szybko kiwa głową, po czym odwraca się i prowadzi ich do gabinetu. Ignazio czeka w drzwiach razem z Piaggiem. Na biurku, oczyszczonym z papierów, stoją butelki z winem i tace z ciastkami. Obok nich lniane serwetki z wyhaftowanymi inicjałami Ignazia i Franki.

Robotnicy ustawiają się wzdłuż ścian i mężczyzna z siwymi wąsami podchodzi do Ignazia.

– *Voscenza*, jesteśmy tu, aby złożyć nasze... nasze...

– Gratulacje – podpowiada młody człowiek z tyłu sali. Ma inteligentne spojrzenie i nosi nieco lepsze ubranie.

– Tak, gratulacje. Narodziny *picciriddu* to dobra rzecz nie tylko dla was, ale dla całego Domu Florio, i jesteśmy bardzo szczęśliwi, że nazwaliście go po *u' principale*, waszym ojcu, święć, Panie, nad jego duszą.

– Amen – szepce Giovanna z tyłu gabinetu.

– Dziękuję. To naprawdę miłe, że pokonaliście aż taki kawał drogi. – Ignazio się uśmiecha, wbijając kciuki w kieszenie kamizelki.

– Czy mogę zaproponować wam niewielki poczęstunek? Domyślam się, że przyszliście pieszo.

– Pieszko i z eskortą.

To młody człowiek odezwał się ponownie i wszyscy usłyszeli nutę sarkazmu w jego głosie. Piaggio podnosi brwi, podchodzi do okna i w rogu placu zauważa niewielki oddział karabinierów. Następnie, gdy mężczyźni podchodzą do biurka po kieliszek wina lub ciastko, zwraca się do młodego człowieka:

– A wy to...? – pyta.

– Nicola Amodeo. Tokarz z Oretei.

– Cóż, signor Amodeo, eskorta wydaje się koniecznym środkiem ostrożności, biorąc pod uwagę protesty przed siedzibą Navigazione w styczniu. – Piaggio potrzebował tylko chwili, by zorientować się, że ten mężczyzna nie jest zwykłym robotnikiem. Trzyma głowę wysoko i podkreśla zajmowane stanowisko. Jest związkowcem albo i gorzej. – Dla nas to też były bolesne decyzje. Zwolnienia nigdy nie są przyjemnością, ale dopóki nie rozpocznie się praca w stoczni, odlewnia nie może sobie pozwolić na zatrudnienie większej liczby osób niż tyle, ile to bezwzględnie konieczne.

Ignazio podchodzi do obu, przytakując.

– Nie zdajecie sobie sprawy, jak niepomysłny był ten miesiąc dla biednych mieszkańców Palermo. – Amodeo potrząsa głową. – Zwolnienia czeladników były ciężkim ciosem. Prosilili tylko o podwyżkę, bo wszystko podrożało, począwszy od chleba, a tymczasem zostali wyrzuceni za drzwi i zgłoszeni na policję. A teraz nikt ich nie chce zatrudnić, bo mają opinię anarchistów.

– Dajcie spokój, co za przesada! – rzuca Piaggio. – To byli tylko czeladnicy, gorące głowy, niewdzięczni ludzie, i pikietowali bez powodu. A potem, sami to powiedzieliście, wszędzie ceny rosną. A najbardziej podatki! – Daje znak lokajowi, by podszedł z tacą, na której znajduje się kilka małych kieliszków z marsalą. – Gdybyście byli na naszym miejscu, zrobilibyście to samo. Karanie niektórych służy przypomnieniu wszystkim, kto rządzi.

Amodeo odmawia przyjęcia wina.

– Zwolniliście ich, nie dając im szansy, by się wytłumaczyli – komentuje sucho.

– A co mieliśmy zrobić po protestach, które zorganizowali? Zatrudnić ich ponownie? – wtrąca Ignazio. – Awanturnicy są jak szczury w stodole: w jednej chwili zjadają wszystko.

Amodeo opuszcza głowę.

– Don Ignazio, nie rozumiecie, że tu jest głód, wielki głód. A głód jest niebezpieczny. Na styczniowych protestach byliśmy nie tylko my z odlewni czy pochylni: byli też stolarze, murarze, kamieniarze... Byli ludzie z dzielnicy Tribunali, z Monte di Pieta,

z Castellammare, nawet z Zisy i Acqua dei Corsari. Palermo potrzebuje pracy.

– Myślicie, że nie wiem? – Ignazio podnosi głos, a na jego ustach pojawia się grymas. – Dopóki był tu Codronchi, sprawa budowy stoczni szła naprzód... Wydawało się, że praca ruszy w jednej chwili. Pojechałem nawet do Rzymu, żeby prosić, monitować i poganiać. Teraz w ministerstwie wszystko stanęło w martwym punkcie, nie ma mowy o *picciuli* i nikt nie chce nic dla nas zrobić. Nie mówiąc już o tym, że w całych Włoszech trwają protesty i rząd ma wiele innych spraw na głowie. To nie zależy od nas!

Robotnik znów potrząsa głową, uśmiecha się smutno.

– Don Ignazio, to zależy również od was.

– Ja...

Giovanna mu przerywa. Kładzie rękę na ramieniu syna, każe się odwrócić.

– Jest Franca z *picciriddu*. Chodź – mówi mu.

Ignazio podnosi głowę. W progu pojawia się jego żona, podtrzymywana przez Maruzzę. Za nimi niania ściska zawiniątko z koronki opatulające dziecko.

Robotnicy witają ich, klaszcząc w dłonie, szepcząc błogosławieństwo: „Niech Pan na was patrzy i we wszystkim wspiera”, i wypowiadając kilka komplementów pod adresem niemowlęcia i jego matki.

Franca jest jeszcze blada, myśli Ignazio; minęło kilka dni od porodu i z trudem dochodzi do siebie. Fala czułości przepływa przez jego pierś. Latem zorganizuje dla niej i całej rodziny wycieczkę, być może pociągiem, żeby nie musieli się przemęczać i mieli wszystkie wygody we własnym wagonie. Tak, pojedą znów do Paryża, a może nawet do Niemiec, mówi sobie, a ta myśl wywołuje na jego twarzy pierwszy uśmiech tego dnia.

Najważniejsze, żeby uciec od Palermo i całej tej nędzy.

\*\*\*

Ignazio chodzi nerwowo w tę i we w tę, próbując dać upust złemu nastrojowi.

Jadalnia na pierwszym piętrze Olivuzzy nigdy nie należała do jego ulubionych pomieszczeń – mahoniowe meble były zbyt ciężkie i ponure, srebrne kandelabry zbyt masywne i staroświeckie. Nienawidzi dwóch zabytkowych pawów z koralu i miedzi stojących na gzymsie kominka, a także monstrualnego parawanu przed paleniskiem. Ale minął rok od narodzin Ignazia – którego wszyscy nazywają Baby Boy – i nadszedł czas, aby on i Franca wrócili do towarzyskiego życia Palermo. Nawet jeśli oznacza to przyjmowanie ze wszystkimi honorami pewnych osób, które są dla niego szczególnie odrażające. Jak tego wieczoru.

Zatrzymuje się przy stole.

– Jajka alla Montebello? Na kolację po teatrze? – prycha, spoglądając na menu.

W tej samej chwili wchodzi Franca w czarnej koronkowej sukni i jedwabnym szalu w kolorze kości słoniowej. Nie ma żadnego naszyjnika, jedynie dwie bransolety i kolczyki z perłami Cartiera, które Ignazio podarował jej podczas miesiąca miodowego. Jej figura wróciła do kształtów sprzed ciąży. Pomogły najdroższe kremy – Veloutine Charlesa Faya i *cold-cream* z perfumiarń Pinaud et Meyer – zimne kąpiele wspomagające sprężystość skóry i regularne masaż. Myśli, czy nie poddać się w Paryżu zabiegowi wygładzania twarzy specjalnym specyfikiem. Powiedziano jej jednak, że jest to bardzo bolesne i że ona jeszcze tego nie potrzebuje, skoro ma zaledwie dwadzieścia sześć lat.

– Musisz wiedzieć, mój drogi, że d'Annunzio uwielbia jajka – mówi śpiewnym głosem. – Jednak, jak widzisz, jest też homar w sosie tatarskim, szparagi w sosie pianistym, a na zakończenie „triumf Łakomstwa”<sup>49</sup>. – Odwraca się z westchnieniem. – Cóż za fascynujący i osobliwy człowiek... Wiesz, rozmawialiśmy długo w przerwie między trzecim a czwartym aktem.

– Ach, kiedy zaczęli gwizdać, przyszedł do ciebie.

– O czym ty mówisz? To był triumf! Osiem wezwań już po pierwszym akcie. Raban robili ci niemądry studenci na galerii.

Mówiono mi, że nawet wybili szybę w rozecie teatru. Poza tym dzieła Gabrielelego są zawsze odważne, wywołują dyskusje. I ta wspaniała *Gioconda* nie jest wyjątkiem. Oczywiście również dzięki Duse i Zacconiemu, którzy są niezwykli.

– I jeszcze mówisz o nim po imieniu – przerywa jej chłodno Ignazio. – To kobieciarz i nie boi się bałamucić.

Franca skupia uwagę na gorsecie swej sukni, zdmuchuje niewidzialny pyłek.

– Swój swego zawsze pozna, czyż nie?

Kiwa na służącego i wręcza mu szal, prosząc, by zaniósł go Diodacie.

Ignazio otwiera szeroko oczy.

– Jesteś zbyt wydekoltowana!

Franca rzuca mu spojrzenie łączące chłód i niedowierzanie.

– Chyba po raz pierwszy powiedziałeś coś takiego do kobiety. Czy może sugerujesz to również swoim, hmm, przyjaciółkom?

– Co to ma do rzeczy? Wszyscy wiedzą, że d’Annunzio jest człowiekiem bardzo wrażliwym na kobiecą urodę. – Vincenzo podnosi głos, podchodząc do żony. – Ty jesteś piękna, a on marzy, by mieć cię wśród swoich podbojów. Och, nie zaprzeczaj! Widziałem, jak patrzył na ciebie dziś wieczorem, jak do ciebie mówił.

– Jak sądzę, rozpoznajesz pewne zachowania łowcy.

Ignazio odwraca się z ponurą miną.

– Nie żartuj, Franco.

Ona macha ręką, zirytowana.

– Poprosił mnie o „talizman” do swojej nowej sztuki, a ja mu go obiecałam. Myślałam o koralu. A poza tym, gdybyś naprawdę zwracał uwagę, zobaczyłbyś, że rozmawiamy z Jules’em Claretiem.

– Ale on jest dyrektorem Comédie Française i założę się, że jest pederastą, jak wielu ludzi teatru. Franco, ja nie żartuję: trzymaj się z dala od d’Annunzia. – Ignazio łapie ją za nadgarstek.

Franca patrzy mu prosto w oczy.

– Wiem o tobie wszystko. Wszystko. Wiem, ile wydajesz na swoje kochanki, gdzie chodzisz, nawet jakich perfum używają, bo czuję je na tobie. Plotki o tobie są tak przewidywalne, że już ich nawet nie

ślucham. I teraz ty robisz mi scenę zazdrości tylko dlatego, że rozmawiałam z mężczyzną na oczach całego teatru? Jesteś żałosny!

– Nie zamierzam uchodzić za rogakza przed całym Palermo.

Franca odrzuca głowę do tyłu, śmieje się głośno.

– A to dobre! Jakie to uczucie być choć raz po drugiej stronie? Widzieć, że inni chcą tego, co ty masz i o co nie dbasz jak należy? – Głaszcząc swoją szyję, potem jej palce przesuwają się po dekolcie. Jest świadomie prowokująca. – Jak sądzisz, co myślą inni mężczyźni, kiedy widzą, jak skandalicznie zachowujesz się wobec ich żon?

– Jak śmiesz... – Ignazio jest purpurowy.

– Jestem twoją żoną i jak najbardziej śmiem. Ale teraz basta. Chyba że chcesz zrobić z siebie głupka na oczach wszystkich!

Przerywa im kasznięcie, dyskretne, ostrzegawcze. W progu stoi Nino.

– Hrabstwo Trigona i monsieur Claretie przybyli. Czy mam ich wprowadzić?

Franca unosi spódnicę.

– Pójdę ich powitać – oświadcza. Rzucając Ignaziowi ostatnie lodowate spojrzenie, mija go lekkim krokiem i wychodzi z pokoju.

\*\*\*

– Twoja żona dzisiaj jest wspaniała, *curò*. Wszyscy to zauważyli, począwszy od naszego poety. Patrzył bardziej na nią niż na spektakl – szepce Romualdo, wskazując ruchem głowy na Francę, która z ożywieniem dyskutuje po francusku z Giulią i Jules'em Claretie.

Giuseppe Monroy śmieje się pod swoimi cienkimi węsami.

– Nie mów tak do naszego Ignazziddu. Czy nie widzisz, że już jest nerwowy?

– Kapuściane głowy jesteście i nic więcej – syczy Ignazio.

– Mówią, że Duse wie, jak go trzymać na wodzy. – Giuseppe chwyta butelkę szampana i sam nalewa sobie do kieliszka, ignorując zdumione spojrzenie kelnera. – To dopiero jest kobieta! Co za oczy, jakby rzucała płomienie! A jakie ruchy, jaki biust!

Na korytarzu właśnie rozbrzmiewają kroki, słysząc kilka męskich głosów i głęboki, gardłowy kobiecy śmiech. Franca i Giulia wymieniają spojrzenia, podchodzą do drzwi. Jako pierwszy wchodzi Gabriele d'Annunzio – robi to po swojemu, z szeroko rozłożonymi ramionami i dłońmi skierowanymi do góry. Kieruje spojrzenie na Francę, chwyta jej dłonie, podnosi je najpierw do ust, a potem do serca.

– Donna Franca, ten dom jest godną oprawą waszego splendoru.

– Dziękuję, maestro – odpowiada ona z uśmiechem. Następnie wskazuje na swoją towarzyszkę. – Czy mogę przedstawić hrabinę Giulie Trigone, moją drogą przyjaciółkę?

Giulia w ognistoczerwonej sukni żartobliwie składa dworski ukłon.

D'Annunzio odwzajemnia jej uśmiech, kłania się.

– *Enchante, madame*. Palermo można nazwać bardzo szczęśliwym miastem, bo uroda jego córek rywalizuje z urodą zmysłowej Aktei, nimfy wybrzeża. Jesteście pełne gracji jak etezje, południowy oddech wielkiego Śródziemnomorza.

– Ach, przestańcie nam schlebiać – wykrzykuje Franca. – Jeszcze nasi niezwykle zazdrośni mężowie poczują się zmuszeni do wyzwania was na pojedynek.

– Nie byliby pierwsi! – grzmi D'Annunzio. – Już wcześniej huk śmierci słyszałem...

Od progu jadalni, otulona jasnoszarą satynową peleryną wyszywaną szklanymi pręcikami w odcieniach od bieli do srebra, piękna kobieta obserwuje tę scenę z ironiczno-gorzkim uśmiechem. Podchodzi do Franki.

– To silniejsze od niego. W obecności urodziwej damy musi się wykazać. – Wyciąga do niej rękę. – Jestem Eleonora Duse. Miło mi was poznać, donna Franca.

Z bliska, bez teatralnego makijażu, z długimi czarnymi włosami rozpuszczonymi na ramiona, Duse nie jest po prostu piękna czy zmysłowa. Jest magnetyczna. Pełne wdzięku ruchy w połączeniu z ciałem o harmonijnej budowie składają się na urodę tak doskonałą, że wydaje się nierealna.



– To dla mnie zaszczyt i przyjemność – odpowiada Franca. – Niezwykłym przywilejem było widzieć wasz dzisiejszy występ. Oddaliście głos wewnętrznej męce Silvii, ale udało się wam przekazać coś znacznie trudniejszego: jej fizyczne cierpienie. I to prostym mrugnięciem powiek.

– Tylko wrażliwa kobieta wie, jak ścisły jest związek między miłością a cierpieniem – odpowiada Duse.

Franca uśmiecha się i daje jej znak, by się rozgościła. W tej samej chwili w drzwiach pojawia się zdyszany mężczyzna. Jego rysy są jednocześnie miękkie i stanowcze, a spojrzenie żywe.

– O, i jest mój rzeźbiarz! – wykrzykuje d’Annunzio.

Ermete Zacconi, który w *Giocondzie* gra rzeźbiarza Lucia Settale, męża Silvii, kłania się France i podaje jej rękę.

– Donna Franca, to zaszczyt – mówi. – Wybaczcie spóźnienie, ale po spektaklu zawsze potrzebuję chwili spokoju.

– Mogę sobie wyobrazić, signor Zacconi. Wasz bohater jest... tak intensywny, że wycisnął więcej niż jedną łzę z mojego oka.

– Mam nadzieję, że nie były to łzy przerażenia! – D’Annunzio podbiega do niej, ujmuje jej dłoń, posyła spojrzenie udawanej pokory.

– Łzy czystych i szczerych emocji, zapewniam was, maestro.

On całuje jej rękę i obdarza ją uśmiechem.

Ignazio szuka wzroku Franki, by rzucić jej niemą reprimendę, ale ona odwraca się do niego plecami i gestem zaprasza wszystkich do stołu.

\*\*\*

Gdy tylko Franca i Ignazio usiądą przy przeciwległych krańcach stołu, z poetą po prawej ręce Franki i Duse po prawej ręce Ignazia, służba podaje dania przykryte srebrnymi kloszami. Zapach jaj i świeżo upieczonego chleba wypełnia pomieszczenie.

– Jajka alla Montebello? Ależ mnie psujecie! – woła d’Annunzio, delektując się pierwszym kęsem i nie odrywając oczu od Franki.

Ignazio się trzęsie. Giuseppe wymienia spojrzenia z Romualdem, który ukradkiem chichocze.

W przerwie między homarem a szparagami poeta podpiera brodę ręką i patrzy na Francę.

– Macie łabędzią szyję, moja pani. Kolczyki, które nosicie, skracają ją i odwracają uwagę od waszej cudownej urody. – Macha ręką w kierunku wisiorków Cartiera. – Zdejmijcie je.

– Naprawdę?

– Tak.

Franca posłusznie wyjmuje z ucha jeden kolczyk, po czym przegląda się w powierzchni stojącego przed nią srebrnego dzbanka. Mężczyzna przysuwa się do niej bliżej, niemal muskając jej policzek.

– Widzicie? Powinniście, signora, nosić tylko takie naszyjniki i stroje, które podkreślają kształt szyi.

Franca kiwa głową. Zdejmuje też drugi kolczyk i znów się przegląda.

– Macie rację – potwierdza, podziwiając swoje odbicie.

Po drugiej stronie stołu wściekły Ignazio myśli tylko o tym, kiedy zostanie sam z żoną. Nie, nie może znieść tej poufałości. I jest przekonany, że Franca wykorzystuje atencję d'Annunzia, by się na nim odegrać. „Już ona zobaczy! Myśli, że tylko ona ma prawo robić sceny?”.

Opamiętuje się, dopiero gdy widzi spojrzenie Romualda, który próbuje mu uświadomić, że jego zły nastrój jest oczywisty dla wszystkich. Wówczas wydaje polecenie, by nalać białego wina, i wstaje.

– Chciałbym wznieść toast za naszych gości i ich sukces – oznajmia. – Ale w szczególności za madame Duse, której talent przewyższa nawet jej niezwykłą urodę.

Aktorka obdarza go wdzięcznym uśmiechem, po czym spogląda na gospodynię.

– Dla kobiety uznanie jej inteligencji jest równie ważne jak komplementowanie urody. Czy wy też tak uważacie, donna Franca?

Zapytana przytakuje.

– Mężczyźni często myślą, że nasza wrażliwość jest bardziej ograniczeniem niż atutem i że stawia nas w gorszej pozycji.

Widzimy i rozumiemy wszystko, ale często wybieramy milczenie, oni jednak zdają się tego nie zauważać.

Giulia Trigona przechyla głowę, wpatruje się w haft na lnianym obrusie.

– Albo, co gorsza, uważają, że status mężów i ojców stawia ich ponad wszelkimi prawami, co pozwala im upokarzać i umartwiać żony na oczach wszystkich – mówi cicho, ale wyraźnie.

Romualdo Trigona błędnie i pochyla głowę nad talerzem.

– Mojej muzy nie zdławią gęste mgły powszedniości. – D’Annunzio spogląda na Duse i podnosi w jej kierunku swój kieliszek. – Dlatego odrzuciłem niezliczone mizerie codzienności i wybrałem życie poza nimi, wolne od sieci i więzów, którymi nasze mierne społeczeństwo pęta jednostki. Dla mnie wolność jest święta i dotyczy zarówno mężczyzny, jak i kobiety.

Duse kręci głową, odkłada widelec.

– Oznacza to również uchylanie się od wszelkich zobowiązań wynikających ze związku. Innymi słowy, odmowę wzięcia moralnej odpowiedzialności za swoje wybory.

– Wręcz przeciwnie: oznacza to uhonorowanie indywidualnej wolności jako jedynej bogini i przyjęcie wszystkich obowiązków, jakie wiążą się z tym wyborem. – Poeta wskazuje na dyrektora Comédie Française. – Monsieur Claretie może z pewnością potwierdzić, że we Francji dzięki rozwodom więź małżeńska przestała już być wieczną udreką. To w istocie znak godnej podziwu niezależności myśli.

Claretie przytakuje, po czym wyciera usta.

– Daleki jestem od tego, by dezawuować małżeństwo – mówi łagodnie. – Uważam jednak, że artyści powinni stronić od tych więzów. Sztuka wymaga wolności, także dlatego, że często rodzi wewnętrzne przemiany, które mogą powodować cierpienie innych.

– Paradoksalnie teatr ze swoimi maskami ujawnia hipokryzję ludzkich relacji – wtrąca Zacconi. – Możesz sobie pozwolić, by słowami poety powiedzieć wszystko.

– Dajcie spokój, trzeba zachować miarę! Małżeństwo jest podstawą cnotliwego społeczeństwa. Określa role, wychowuje dzieci, wyznacza granicę między tym, co legalne, a tym, co

nielegalne. Zaprzeczanie jego znaczeniu jest czystym szaleństwem – wtrąca Ignazio nieco głośniejszym tonem i kieruje wzrok na Francę.

Ona unosi brew.

– Doprawdy? – Odstawia kieliszek z winem, gładzi jego podstawę.

– Moim zdaniem to nasze zachowanie za nas przemawia, nasze czyny, a nie słowa czy proklamacje. To kwestia godności, szacunku do siebie i przyzwoitości, bo forma i treść często się pokrywają. Wy, signor Zacconi, nazywacie to hipokryzją, ale ja wolę wierzyć, że jest to prawdziwy szacunek dla innych, poczynając od własnej rodziny i nazwiska, które się nosi.

Eleonora Duse patrzy na nią uważnie. Potem, powoli, jej usta układają się w uśmiech. Podnosi kieliszek w jej stronę.

– Jakże wam zaprzeczyć, donna Franca?

Franca przypomni sobie ten wieczór i te słowa wiele lat później, w ciemności sali kinowej, gdy będzie patrzeć na starszą, kruchą, pełną wewnętrznego napięcia kobietę w roli matki odnajdującej syna, którego porzuciła w dzieciństwie. W twarzy naznaczonej głębokimi zmarszczkami i zupełnie siwych włosach na próżno będzie próbowała odnaleźć tę Duse, którą znała i podziwiała. I nie będzie mogła nie zadać sobie pytania, czy także jej duch, podobnie jak ciało, nie przeobraził się w końcu w to, co zapowiadał tytuł filmu: *Popiół*.

Bo taki jest los, przed którym nie mogą uciec nawet najbardziej wojownicze i inteligentne kobiety. I Franca dobrze to wiedziała.

\*\*\*

Wejściu Palermo w nowe stulecie towarzyszy łagodna zima. A miasto, które dziennik „Corriere della Sera” nazwał najpiękniejszym we Włoszech, świętuje ten czas, wystawiając się na pokaz, odsłaniając wszystkim swoją wyrafinowaną duszę. Otoczone wypielegnowanymi ogrodami wille i pałace o wdzięcznych ogrodzeniach z kutego żelaza wznoszą się na obszarze zajmowanym w 1891 roku przez wystawę krajową, ciche uliczki odbiegają od via della Libertà, nowej głównej arterii miasta, przypominającej paryski

bulwar. Bo to właśnie na stolicę Francji patrzy Palermo: widać to w sklepach z malowanymi szklanymi szyldami, w kantorach jubilerów wystawiających brosze i pierścionki inspirowane wyrobami Cartiera, w pracowniach mody odtwarzających kreacje z „Mode Illustrée” lub „Mode Parisienne” i oczywiście w kawiarniach, coraz liczniejszych, pełnych lamp i luster, z dużymi cynkowymi ladami i tapicerowanymi fotelami przy stolikach. Obok historycznej cukierni Gulì, cukierni Cavalier Bruno czy Caffè di Sicilia, gdzie mężczyźni dyskutują o polityce i interesach, otwarto herbaciarnie zarezerwowane dla kobiet: pomieszczenia ozdobione obrazami przedstawiającymi kwiaty i umeblowane w stylu orientalnym lub arabskim, gdzie panie mogły pić herbatę lub delektować się sorbetami bez obawy, że będą zaczepiane przez bawidamków. Ostatecznie ukończony Teatro Massimo jest aktualnie zamknięty, ale jego rekord jako trzeciego największego teatru w Europie, po operze paryskiej i wiedeńskiej Staatsoper, nie został jeszcze pobity.

Dokładnie w połowie drogi między Palermo a Arenellą, gdzie stoi willa Quattro Pizzi – którą Florio rzadko już odwiedzają – znajdowała się willa rodziny Domville, obszerna rezydencja w stylu neogotyckim, którą Ignazio kupił, a następnie radykalnie przekształcił. Zmienił jej nazwę na Villa Igiea i ma zamiar uczynić z niej najmodniejsze sanatorium w Europie. To struktura pełna otwartych przestrzeni, przewiewna, rozświetlona, o dwustu pokojach z widokiem na ogród i morze. Za kompleksem znajduje się monte Pellegrino, emanująca zapachem ziemi, ruty i oregano. Niezwykły kontrast kolorów i zapachów jest wręcz ożywczy.

– *And this is the terrace three thousand square meters, almost thirty-two thousand square feet.*

Jest zima, a jednak na świeżym powietrzu temperatura jest tutaj bardzo przyjemna, zaś balsamiczne powietrze bardzo pomaga w leczeniu dolegliwości oskrzeli i płuc.

Ignazio obserwuje reakcje swoich gości na widok rozległego tarasu i wspaniałości Zatoki Palermitańskiej, oświetlonej styczniowym słońcem. Mężczyźni kiwają głowami, wymieniają ciche komentarze, ale wydają się nie spieszyć z jednoznacznymi

deklaracjami. Mimo to Florio jest dumny z tego miejsca i wydał sporo pieniędzy, aby sprowadzić jedenastu angielskich lekarzy na inaugurację willi. Jak to możliwe, że nie są podekscytowani jej potencjałem?

– Być może zauważyliście, że podłogi są pokryte linoleum. Cały budynek jest ognioodporny i ogrzewany piecami kaflowymi i kominkami.

– Jeśli don Ignazio pozwoli, chciałbym dodać, że pomieszczenia dezynfekcji i pralni, a także laboratoria znajdują się w pewnej odległości od głównego kompleksu, aby nie przeszkadzać pacjentom i zapewnić im lepsze warunki zdrowotne.

Mówi to szczupły mężczyzna o przenikliwych czarnych oczach i siwych wąsach, Vincenzo Cervello, profesor medycyny i farmakologii na Uniwersytecie w Palermo. To on będzie dyrektorem medycznym Villi Igiea, gdzie chce stosować opracowaną przez siebie metodę leczenia chorób płuc: poddawanie pacjentów przez dwie do trzech godzin dziennie działaniu higazolu, czyli oparów formaldehydu z chloralem i jodoformem. Zabieg tyleż nowatorski, ile kontrowersyjny. Grupa słuchała jego wyjaśnień z wyraźnym zakłopotaniem i kilkakrotnie padały niewygodne pytania, ale Cervello energicznie bronił skuteczności swojej metody.

– Salon, jak już widzieliście, zaprojektowaliśmy z dbałością o każdy szczegół, aby zapewnić komfort i dyskrecję – uzupełnia Ignazio. – A teraz, panowie, zostawiam was na kilka godzin. Do waszej dyspozycji są powozy, w których możecie zwiedzać miasto. Przypominam, że dziś wieczorem organizujemy uroczystą kolację i będzie mi niezmiernie miło was gościć.

W końcu na twarzach części mężczyzn pojawiają się uśmiechy. Niektórzy goście rozglądają się dookoła, zerkając przez żywopłoty i drzewa ogrodu. Chwila wahania. Wreszcie najmłodszy z grupy pyta nieśmiało:

– *And your wife... She will be there, won't she?*

Ignazio uśmiecha się z zaciśniętymi zębami.

– *Of course.* Moja żona nie może się doczekać spotkania z panami.

Przez grupkę przebiega szmer zadowolenia, po czym mężczyźni się oddalają.

Ignazio z westchnieniem opiera się o balustradę i patrzy na morze.

– Dzięki Bogu, to już koniec. Czy na pewno nie trafili do pokoi na pierwszym piętrze? – szepce do profesora Cervello.

– Na pewno. A w kuchni widzieli tylko główne pomieszczenie. Poza tym odwiedzili jedynie laboratorium i jedną z sal terapeutycznych.

Ignazio kiwa głową. Prace są dalekie od zakończenia, miną tygodnie, zanim sanatorium będzie mogło przyjąć pacjentów. Zwycię opóźnienia spowodowane lenistwem robotników, nieterminowymi dostawami materiałów i powolnością biurokracji w wydawaniu pozwoleń. Do tego dochodzą koszty utrzymania, które już teraz są bardzo wysokie, jak to słusznie zauważył jeden z gości przy kieliszku brandy kilka wieczorów wcześniej. Ignazio uśmiechnął się wtedy dyplomatycznie, unikając odpowiedzi.

Ale nieważne. Dla tych luminarzy wszystko musi wyglądać na idealne, a Villa Igiea – być gotowa do otwarcia. Będą polecać swoim zamożnym pacjentom to eleganckie miejsce, pieszczone słońcem i szumem morza, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. A gdy pacjenci już tam przyjadą, skuteczność zabiegów profesora Cervello załatwi resztę.

W chwili gdy obaj mężczyźni wchodzą do budynku, na końcu korytarza pojawia się służący, nieledwie jeszcze chłopiec, i biegnie w stronę Ignazia.

– Powoli, do diaska! – beszta go Florio surowo. – Tu musi panować cisza i spokój!

– Wybaczcie, don Ignazio. Ale nadszedł telegram i...

Ignazio wyrywa mu depezę z ręki i odprawia go gestem. Chłopiec odchodzi prawie na palcach. Florio czyta szybko, po czym chwyta za ramię profesora Cervello.

– O Panie, dzięki ci! Nie przyjedzie! Minister Baccelli nie może być obecny na inauguracji Villi Igiea! Musimy to przełożyć!

Profesor Cervello uśmiecha się z niedowierzaniem, zasłaniając usta ręką.

– Mamy czas na dokończenie dzieła! I otworzymy na wiosnę. Mężczyźni ściskają sobie nawzajem ręce.

– Co za szczęście! Ogłoszę to dzisiaj podczas uroczystej kolacji. Och, będę wyglądał na strapionego, będę ogromnie przepraszał...

– Bardzo niewiele będzie was słuchać. Myślę, że tym Anglikom najbardziej zależy na tym, żeby poznać waszą żonę – komentuje profesor Cervello, ośmielony otrzymaną wiadomością.

Ignazio składa telegram i wsuwa go do kieszeni.

– A niech patrzą. Jedno od razu zauważą.

– Mianowicie? – pyta zaintrygowany profesor.

Ignazio się uśmiecha.

– Moja żona jest w ciąży.

\*\*\*

– Drogi Ettore! – woła Franca.

Ettore De Maria Bergler trzyma cygaro w zębach i uważnie miesza różne odcienie zieleni. Na dźwięk jej głosu natychmiast podnosi głowę i odwraca się z uśmiechem. Wraca do niego wspomnienie wiosny sprzed lat i tamten szkic węglem, kiedy Franca była naiwną młodą kobietą, przekonaną, że Ignazio nawet nie spojrzy na inną. Wyciąga do niej poplamioną farbą dłoń, całuje jej palce.

– Donna Franca, jaka przyjemność! Przyszliście zobaczyć, jak postępują prace?

Ona potwierdza ruchem głowy i kładzie ręce na brzuchu.

Za kilka miesięcy ma się pojawić jej trzecie dziecko: po ukochanej Giovannuzzy i Baby Boyu marzy o kolejnym chłopcu. Do tego czasu ta sala będzie musiała być gotowa, bo w niej będą przyjmowani goście na chrzciny dziecka.

– No cóż, jesteśmy zaawansowani. Michele Cortegiani i Luigi Di Giovanni prawie mnie wyprzedzają.

Franca spogląda w górę na dwóch mężczyzn na rusztowaniu, którzy dopracowują fresk przedstawiający wieniec z róż.

– Pozdrawiam, signor Cortegiani! Pozdrawiam, signor Di Giovanni!

– Moje uszanowanie, donna Franca – odpowiadają obaj.



Nad nią tańczą nimfy w zwiewnych szatach.

– Wspaniałe – szepce, odwracając się, by spojrzeć na ozywające freski. – Jest coś magicznego w tych istotach.

– Sztuka to magia, której należy doświadczać bez uprzedzeń. Czyż nie?

Ona wzdycha, przytakuje. Przyjaźni się z pisarzami i malarzami i wie, jak ważne jest dla nich, by każde dzieło było owiane aurą tajemnicy. Ale nauczyła się także rozpoznawać ich drobne i wielkie obsesje, małostkowość, a przede wszystkim lęki, widoczne nawet w listach, które piszą do niej Puccini i d'Annunzio.

– O tak. Wy, artyści, jesteście istotami równie potężnymi, co kruchymi.

Malarz unosi brwi, po czym wyciąga z kieszeni chusteczkę i ociera z czoła strużkę potu.

– Problemem dzisiaj jest brak pokory. Niektórzy zobaczą jeden obraz lub wysłuchają jednej opery i już czują się uprawnieni do ostrej krytyki. – Przekazuje miseczkę pomocnikowi i każe mu dalej mieszać kolor, po czym wyciera dłonie ścierką. – Chodźmy do ogrodu – mówi w końcu z uśmiechem. – Kwiecień jest łaskawy, a świeże powietrze dobrze wam zrobi.

Idą korytarzem, schodzą po krętych schodach i docierają na duży taras z widokiem na morze, gdzie ustawiono meble z kutego żelaza. Franca siada z westchnieniem ulgi. Brzemień ciąży daje o sobie znać. Jednak De Maria Bergler zdaje się tego nie zauważać.

– Wyglądacie tak promiennie – woła. – Ach, jakże chciałbym namalować was teraz, w tym wiosennym świetle!

– Jesteście dla mnie zawsze bardzo łaskawi – odpowiada Franca. Wie jednak, że malarz ma rację: w ostatnich miesiącach Ignazio znów zaczął ją namiętnie kochać, a plotki o jego „rozrywkach” nieco ucichły. Jakby na nowo odnalazł spokój. O innych kobietach już prawie nie myśli. Może okazywać im zainteresowanie, ale to ona jest matką jego dzieci. Tamte dostają okruchy, ona ma cały bankiet. I jest z siebie dumna: na jej zewnętrznym wizerunku nie ma najmniejszej rysy.

– A zatem? Jak się macie?

– Kopie niczym mały demon – mówi Franca, głaszcząc się po brzuchu.

– Do czasu jego narodzin zakończymy prace. Czujecie ten zapach impregnatu, oleju i kleju, ale przede wszystkim drewna? To meble zaprojektowane przez waszego przyjaciela Ernesta Basilego; tragarze z fabryki Vittoria Ducrota właśnie je dostarczyli, są jeszcze spakowane. Jeśli chcecie, pokażę wam je później. Zobaczycie, gdy skończymy, będzie tam panowała taka atmosfera, jak w ogrodzie na wiosnę.

– Albo we śnie, poza czasem – mówi Franca, uśmiechając się. Bo właśnie coś takiego ma na myśli. Ekskluzywny hotel, zarezerwowany dla światowej arystokracji, z widokiem na to, co Goethe nazwał *des schönsten aller Vorgebirge der Welt*, najpiękniejszym cyplem świata. Ostoja, w której regenerują się umysł i ciało.

To był jej pomysł.

Kiedy Ignazio zdał sobie sprawę, że Villa Igiea nigdy nie stanie się luksusowym sanatorium, jakie sobie wyobrażał – zbyt wiele było biurokratycznych przeszkód, kosztowało to krocie, a przede wszystkim wysuwano liczne wątpliwości co do metod leczenia profesora Cervello – zamknął się na wiele dni w gniewnym milczeniu, z którego wychodził tylko po to, by pomstować na pech i ogłaszać się ofiarą klątwy skazującej go na życie na tak zacofanej wyspie.

Franca pozwoliła, by jej mąż dał upust złości. Potem, pewnego wieczoru, wspomniała w nostalgicznym tonie ich pobyty w Sankt Moritz, Nicei i Cannes i z westchnieniem dodała, że tak miło byłoby posiadać luksusowy hotel także w Palermo, taki jak te, w których się zatrzymywali.

Ignazio spojrział na nią szeroko otwartymi oczami, po czym wykrzyknął:

– Oczywiście! Franco, oczywiście! Do diabła z sanatorium! Nasza Villa Igiea może się stać najpiękniejszym luksusowym hotelem w Europie!

Potem chwycił jej rękę i ucałował.

Wraz z Ernestem Basilem spędzali całe popołudnia na rozmowach o tym, jak wyobrażają sobie to miejsce: od wyposażenia pokoi i salonów po korty do tenisa – sportu, który Ignazio uprawiał z entuzjazmem – od ogrodu z panoramicznym widokiem pełnego malowniczych mostków i schodów po stację telegraficzną, od kilku łodzi, a może nawet jednego jachtu do dyspozycji gości, po doskonałość kuchni, która – Franca była nieugięta – miała być prowadzona przez francuskiego szefa i francuski zespół, włącznie z sommelierem. Dzięki łagodnemu sycylijskiemu klimatowi hotel byłby otwarty przez cały rok, nawet zimą. Ignazio opowiadał, jak jeden z angielskich lekarzy powiedział w pewnym momencie: „Tu, na Sycylii, styczeń jest jak upalny czerwiec w Anglii!”, po czym poszedł popływać w morzu, a jego koledzy wzięli z niego przykład.

Dużo się razem śmiali, ona i Ignazio. Byli jak nigdy dotąd razem. Franca sugerowała i wyjaśniała, a on jej słuchał. Czuła się – i nadal czuje – częścią tego projektu. Poza tym pokochała to miejsce położone na uboczu, pokochała zapachy jego kwiatów i nadmorskich wodorostów oraz sposób, w jaki słońce odbija się od morza i wzdłuż linii brzegowej, obsypując je złotem i miedzią. Pokochała tę rezydencję tak bardzo, że postanowiła zarezerwować całe piętro Villi Igiea dla rodziny: dla siebie, dla Ignazia i dla ich dzieci.

Jej palce biegną do naszyjnika ze złota i koralu wykonanego w pracowni Sciacca.

– Wiecie, chciałabym się tu jak najszybciej przeprowadzić – mówi Franca do Berglera. – Olivuzza jest jak port morski. Zawsze panuje w niej zgiełk, krząta się obsługa, goście przychodzą i wychodzą! Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałabym ciszy i spokoju.

– Oczywiście! W końcu czy jest lepsze miejsce od tego, które nosi imię bogini zdrowia?

Franca się śmieje.

– Ach, gdybyście wiedzieli... Na początku, kiedy mój mąż myślał jeszcze o przekształceniu tego miejsca w sanatorium, męczył się tygodniami, niepewny, czy „Igiea” powinna być pisana z „i” czy bez. W końcu to drogi d’Annunzio potwierdził, że imię bogini zdrowia to rzeczywiście Igiea. – Wyraz jej twarzy mięknie. – Jeśli to będzie

dziewczynka, mój mąż chciałby nadać jej takie imię. Ale ja pragnę, żeby to był chłopiec.

– Będzie tak, jak zechce los. Najważniejsze, by dziecko było zdrowe. A wasza teściowa, donna Giovanna? Jak się ma?

– Dobrze, dziękuję. Postanowiła zostać w Olivuzzy – dodaje, choć malarz o to nie pytał.

Ulga z powodu decyzji teściowej o pozostaniu w willi z najmłodszym synem jest tak wielka, że Franca nie potrafi jej ukryć i przebija ona zarówno z jej głosu, jak i rysów. Odkąd siedem lat wcześniej Franca przybyła do Olivuzzy, Giovanna nigdy nie zmieniła swojego sposobu życia, złożonego z modlitwy, haftu, melancholii i żalu. Zasłona bólu i smutku w jej mieszkaniu zaciągnięta jest na stałe i nie przebija jej żadne światło.

Nie, znacznie lepsze jest słońce, życie i ciepło, którym tchnie to miejsce.

– Kilka dni temu słyszałem, jak wasz mąż rozmawiał z Ernestem o możliwości wybudowania małego domku w parku Olivuzzy dla waszego szwagra – odzywa się malarz.

– Ach tak. To projekt, o którym mówił już od jakiegoś czasu. Przyznam, że nie jestem jego entuzjastką, bo oznaczałoby to przeprojektowanie ogrodu i zniszczenie naszej małej greckiej świątyni, ale niech tak będzie. Zresztą Vincenzo nie słucha ani mnie, ani swojej matki. Ma teraz siedemnaście lat i poprosił o więcej przestrzeni i wolności.

Malarz powstrzymuje się od kąśliwego komentarza z dyplomatycznym uśmiechem. W rzeczywistości młody Florio ma tyle przestrzeni i swobody, ile tylko zapragnie: z jednej strony rozwija swą pasję automobilową – chwali się, że zna w autach każdą śrubkę i każdy pasek – z drugiej pyszni się kolekcją kobiecych podbojów, nie różniąc się w tym od brata. „Jak to możliwe, że tak powściągliwa i surowa para jak Ignazio i Giovanna Floriowie spłodziła dwóch takich łobuzów?”, myśli De Maria Bergler, ale pilnuje się, żeby nie wypowiedzieć tej uwagi na głos.

Wstaje.

– Wybaczcie, ale muszę wracać do pracy, donna Franca. Ale czy wolno mi jeszcze coś powiedzieć? Niezależnie od mojego wkładu

jestem pewien, że Villa Igiea stanie się niezwykłym miejscem, którego wszyscy będą wam zazdrościć. Nie sądzę, by tak samo było w przypadku sanatorium. Na szczęście wasz mąż zmienił zdanie.

– Tylko ludzie bez wyobraźni nie zmieniają zdania. I głupi – odpowiada z uśmiechem Franca. – I tak, zgadzam się z wami. Być może mój optymizm wynika z radości z powodu dziecka, które noszę, ale ja również jestem przekonana, że Villa Igiea odkryje przed światem niezwykle piękno Palermo.

\*\*\*

W tę kwietniową niedzielę słońce świeci jasno i przegania cienie na piazza Marina, a południowo-zachodni wiatr wzbija tumany kurzu na bruku Cassaro. Wczesnym rankiem Ignazio musiał udać się do Villi Igiea, aby omówić z głównym majstrem wykończenie okien z widokiem na morze. I chętnie pospacerowałby po ogrodzie, ale miał ważne spotkanie.

Jest w siedzibie Navigazione Generale Italiana i czyta list. To szkic pisma, które prawie rok wcześniej wysłał do „Giornale di Sicilia” – długa, drobiazgowa lista wszystkiego, co należało zrobić, by uwolnić wyspę z wiecznie ją pętających trudności. „Projekt Sycylia”, jak nazwał pismo, proponował przekształcenie upraw ekstensywnych w intensywne, budowę olejarni, wznowienie wydobywania siarki, eksperymentalną uprawę sorga i buraków, ponowne zasadzenie winorośli zniszczonych przez filokserę, kampanię informacyjną wśród rolników wyjaśniającą konieczność wprowadzenia nowych upraw oraz reformy legislacyjne. Taki był plan działania Sycylijskiego Konsorcjum Agrarnego, którego bardzo pragnął i dla utworzenia którego zgromadził wokół siebie osiemnaście tysięcy arystokratów, intelektualistów i polityków zjednoczonych ideą, że nadszedł czas, by zmodernizować gospodarkę wyspy.

Ale rząd, hojny w słowach, nie był już tak hojny, gdy przyszło otworzyć sakiewkę. Projekt upadł. Z popiołów rozczarowania

narodziła się jednak nowa idea, która natychmiast rozpała Ignazia do czerwoności: założenie gazety.

Przemyślał to sobie. Posiadanie dziennika otwierało przed Domem Florio nowe możliwości. Prasa stała się już niezbędnym instrumentem nacisku na opinię publiczną. Mogła na przykład krytykować decyzje rządu, który nie podobał się nikomu, bo nakładał podatki i nie udzielał pomocy. Kiedy politycy zdają sobie sprawę, że zwykli ludzie już za nimi nie podążają, ale są im wręcz niechętni, nie mają innego wyjścia, jak tylko zmienić kurs. Poza tym gazeta jest najlepszym sposobem, aby pokazać wszystkim, jaka może być przyszłość.

Gazeta dałaby głos niezadowoleniu i nadziei.

Dałaby głos jemu.

To nie były już czasy jego ojca, kiedy jeden człowiek mógł zmienić losy całego miasta. Poza tym ojca przez lata wspierał Crispi. Teraz nie ma już Crispiego, minęły czasy, gdy rządził di Rudinì, na czele rządu stoi Luigi Pelloux, który nie ma pojęcia o Sycylii i myśli, że wszystko rozwiąże z pomocą karabinów i karabinierów. Ignazio czuje ukłucie irytacji. Kilka dni wcześniej, 8 kwietnia, Pelloux kazał zawiesić dotacje na budowę statków, przez co ukończenie stoczni w Palermo stanęło pod znakiem zapytania. „Z politykami z Północy nie da się już rozmawiać. Nie rozumieją pewnych rzeczy, więc trzeba stworzyć własną armię, skonfrontować ich z nią i sprawić, by się bali. Trzeba zaangażować ludzi”, myśli Ignazio ze złością.

Odrywa spojrzenie od kartki, rozgląda się. W budynku panuje cisza. Nie słyhać żadnych pisków, żadnych skrzypień. Nawet odgłosy pęknięcia zniknęły.

Ktoś puka do drzwi. W progu staje okazałej postury mężczyzna.

– Wejdźcie, drogi di Rudinì, zapraszam!

Carlo Starabba di Rudinì, pierworodny syn byłego premiera, to elegancko ubrany masywny mężczyzna o dużych ciemnych faworytach.

– Zatem jesteście gotowi? – pyta Ignazio.

– Przede wszystkim jestem zaszczycony. Posiadanie nowej gazety to nie byle co. Redaktor naczelny oczekuje nas w siedzibie, czyż nie?

– Tak, Morello powinien już przybyć. – Ignazio kieruje uwagę na wiszący na ścianie portolan przedstawiający wybrzeże Kalabрії i Cieśninę Mesyńską. – Wiecie, on pochodzi z Bagnara Calabria, jak mój pradziadek. Co za dziwny zbieg okoliczności.

– Myślałem, że jest z Rzymu. Kiedyś pisał dla „La Tribuna”, prawda?

– Tak, w istocie. No cóż, czas na nas.

Ciemność wewnątrz powozu jest świeża i uspokajająca. Ignazio bawi się brylantowymi spinkami do mankietów – dwa duże kamienie rzucają błyski na jego nadgarstki – i powstrzymuje westchnienie, po czym krzyżuje palce, by ukryć napięcie.

– A wasz ojciec? Jak się ma?

– Dobrze, dziękuję. Wciąż jest zły na Pelloux – odpowiada di Rudinì ze wzruszeniem ramion.

– Rozumiem go, ma ku temu wszelkie powody. Wiecie, że wspierałem go z przekonaniem i zawsze miał we mnie wiernego sojusznika – odpowiada Ignazio. – I rozumiem, dlaczego jest skłócony z obecnym rządem, którego zapał do tego, co nazywają normalizacją, z pewnością nie pomaga ani Sycylii, ani Południu. Jakby Sycylia była tym samym co Piemont czy Toskania! Przetrwaliśmy Burbonów, ale nie możemy uwolnić się od ograniczeń i drakońskich ceł nakładanych na nas przez Rzym, kiedy firmy na Północy mają wolną rękę!

Carlo di Rudinì krzywi usta w grymasie goryczy.

– Kiedy ojciec był w rządzie, zawsze dbał o interesy Południa, a zwłaszcza Sycylii. Jesteśmy jeszcze zbyt młodym narodem, wywodzimy się z różnych systemów administracyjnych. Cała unifikacja została przeprowadzona zbyt szybko. Włochy, drogi don Ignazio, urodziły się już podzielone – komentuje tonem pełnym rozczarowania. – Ci, którzy je tworzyli czterdzieści lat temu, nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo różni się Południe od Północy, a teraz oplakujemy tego konsekwencje.

– Tak to już jest – potwierdza Ignazio. – Po zjednoczeniu Sycylia i Sycylijczycy zostali odstawieni na bok jak wysłużone buty. Nie ma projektu, nie ma inwestycji, są tylko oskarżenia, że jesteśmy niegospodarnymi nieudacznikami i... chamami. – Niemal wypluwa

to ostatnie słowo. – To jeden z powodów, dla których założyłem Konsorcjum Agrarne, ponieważ wierzyłem, że można zrobić coś konkretnego, nowoczesnego. I oczywiście gdzie indziej ziemianie są siłą polityczną, której się słucha i pomaga, ale u nas są postrzegani jako biedni idioci.

Teraz di Rudinì patrzy na niego sceptycznie. Dom Florio otrzymał wiele dotacji, a i pomocy politycznej nigdy mu nie skąpono, począwszy od umów na przeprawy morskie. Ignazziddu Florio nie ma jednak ani autorytetu dziadka, ani temperamentu ojca. Ma oczywiście dobrą wolę i genialne pomysły, ale jest niestały. Jak chorągiewka na wietrze. A co do działalności produkcyjnej, też nie olśniewa nowatorstwem. Powinien wydawać więcej i lepiej na swoje firmy, które borykają się z problemami, jak Oretea, i nie mogą nadażyć za przedsiębiorstwami z Północy. Jednak di Rudinì docenia w nim osobliwą wrażliwość na sprawy społeczne i wie, że to człowiek potężny, zamożny, z rozbudowaną siecią znajomości. Dlatego zaangażował się w założenie gazety.

Ignazio chyba czyta w jego myślach, bo pochyla się do przodu i ściska go za ramię.

– Jestem przekonany, że dzięki tej inicjatywie uda nam się wybić. Wolna informacja będzie sztandarem tej gazety! Wykorzystam moje kontakty zagraniczne, aby zdobywać wiadomości z całego świata, będą tam pisać ważne nazwiska: Colajanni, Capuana... nawet wielki d'Annunzio zapewnił mnie, że będzie z nami współpracował. „Giornale di Sicilia” zrobiło wiele, ale już czas, by ktoś naprawdę zaczął bronić sycylijskich interesów. Co do tego wszyscy się zgadzają. Nawet Filippo Lo Vetere, socjalista, a nie żaden zasiedziały na tronie arystokrata, zgadza się z nami. Nic nie da wojna między właścicielami ziemskimi a chłopami, mówi. Nikt nam nie pomoże, sami musimy sobie pomóc.

Ignazio chciałby dodać, że myślał też o sposobach przyciągnięcia czytelników, oferując prenumeratorom nagrody – wazony lub zastawę stołową ze swojej fabryki ceramiki – ale nie ma na to czasu. Powóz dotarł na via dei Cintorinai, do siedziby dziennika, którego pierwszy numer ukaze się właśnie tego dnia.



Tytuł ten przejdzie długą drogę. Przez wiele dekad będzie opowiadać o gorzkim życiu Palermo ze szczerością i odwagą; w jego redakcjach będą się formować najważniejsze nazwiska sycylijskiego i włoskiego dziennikarstwa. I zanim zostanie zamknięty, niektórzy z jego dziennikarzy zginą z rąk mafii.

„L’Ora”. Czyli „Godzina”. Codzienny kurier polityczny Sycylii.

\*\*\*

Costanza Igiea Florio przychodzi na świat 4 czerwca 1900 roku. Będzie nazywana po prostu Igieą, a rodzina wita ją jako obietnicę szczęścia w nowym stuleciu.

Tym razem jednak radości nie dzielają pracownicy Domu Florio. Żaden z nich nie przyjeżdża do Olivuzzy, by świętować narodziny dziewczynki. Jak tu świętować, skoro nie ma pracy? W okresie od czerwca do listopada dotacje na budowę nowych statków zostają cofnięte. Ta decyzja szkodzi stoczniom na Północy – tyle że one mają już zamówienia – i dosłownie rujnuje zakłady na Południu, przede wszystkim stocznię w Palermo, która wciąż nie jest ukończona. Navigazione Generale Italiana musi przerwać pracę. A Ignazio musi zwolnić setki pracowników. W sytuacji jeszcze bardziej utrudnionej przez zamach, w którym stracił życie król Humbert I, bezcelowe wydaje się apelowanie do Rzymu, skąd płyną jedynie puste zapewnienia lub sygnały lęku przed ewentualnym powstaniem, a zaraz po nich nakaz inwigilacji ewentualnych prowokatorów i, w razie potrzeby, ich natychmiastowego aresztowania. Palermo poskąpiono nawet jałmużny: prefekt miasta poprosił o dotację dla rodzin w trudnej sytuacji, ale rząd i temu odmówił; ostatecznie prefekt wycofał prośbę w obawie, że stworzy niebezpieczny precedens.

Rośnie liczba bezrobotnych rodzin. Na początku 1901 roku jest ich prawie dwa tysiące. Rosną też podatki gminne, podniesione w nieudolnej próbie naprawy budżetu, który cierpi na chroniczny deficyt. Na niekończącej się fali głodu, rozpacz, niepewności unosi się jedno zdanie, szeptane przez wszystkich – przez robotników

w Oretei, drobnych urzędników, rzemieślników, tragarzy i marynarzy stoczni. Zdanie będące bezlitosnym oskarżeniem. „Ignazio Florio jest kłamcą”.

Ta budowa przyniesie miastu dobrobyt, mówił. Gospodarka zostanie ożywiona, zapewniał. Będzie chleb i praca dla wszystkich, obiecywał. Tymczasem Palermo zostało obezwładnione i może tylko patrzeć z daleka na ten ogromny niedokończony plac budowy, który już staje się przestarzały, choć nawet nie zaczął działać.

A winę za to wszystko ponosi Ignazio Florio.

\*\*\*

Świt 27 lutego 1901 roku jest chłodny. Góry przysypane są śniegiem, niebo jest ołowiane, kobiety otulają ramiona chustami. W lutym na Sycylii robi się naprawdę zimno.

Chłód dociera do Olivuzzy, przedziera się przez ściany i okna uszczelnione wełną, by powstrzymać przeciągi, tłumi ciepło kominków i atakuje Ignazia okrytego kilkoma kocami.

Florio już nie śpi, co dla niego nietypowe. Właściwie to prawie w ogóle nie spał. Ma trzydzieści lat, ale tego ranka czuje się dwa razy starszy. Drżąc, wstaje z łóżka, wkłada szlafrok i idzie do gabinetu. Prosi o kawę i koniak, po czym każe sobie nie przeszkadzać.

Patrzy na stos dokumentów na biurku: nie chce nawet dotknąć tych papierów. A jednak leżą tam i domagają się uwagi. Długi wobec banków, przede wszystkim Banca Commerciale Italiana, który zapewnił NGI płynność finansową, gdy zaczął się ten bałagan z Credito Mobiliare. Ignazio popadł wtedy w długi i musiał oddać jako zabezpieczenie część akcji Navigazione. A teraz się dowiedział, że zamówienia na okręty wojskowe, na które liczył po tym, jak rząd anulował fundusze na budowę cywilnych parowców, otrzymały stocznie w Neapolu i Genui. Palermo i Dom Florio zostały wykluczone. Nie zostało im nic, nawet okruchy. Teraz te akcje są warte niewiele, bardzo niewiele, a banki chcą innych gwarancji, innych zabezpieczeń.

Podnosi dzwonek.

– Wezwij Morella z gazety, natychmiast! – nakazuje służącemu, który pojawia się w drzwiach.

Siada przy biurku. Ma wrażenie, jakby ziemia osuwała mu się spod stóp i nie miał się czego chwycić, żeby nie upaść. Znów słyszy niewyraźny odgłos, przypominający tłumiony jęk. Ponownie to przekłete skrzypienie, które zapowiada upadek.

Ignazio uderza pięścią w biurko. Gdyby tylko zbadał solidność Credito Mobiliare dokładniej, wiele lat temu, zamiast zasilać go kapitałem. Gdyby tylko posłuchał tych, którzy radzili mu zdystansować się od tego banku, gdy rozszalała się afera Banca Romana. Gdyby tylko nie pokrył strat klientów, wykładając pieniądze z własnej kieszeni...

Od prawie ośmiu lat Dom Florio ponosi konsekwencje tych decyzji.

Pomoc z Rzymu okazała się bardzo mała i – teraz Ignazio już to wie – będzie coraz mniejsza. Polityka przypomina zakłady na wyścigach, a sojusze są wielce niepewne. Rząd nieustannie zmienia oblicze – Luigiego Pelloux zastąpił sędziwy Giuseppe Saracco, a teraz, od kilku dni, premierem jest Giuseppe Zanardelli, kolejny polityk z Północy – i wręcz niemożliwe wydaje się nawiązanie stałych i owocnych relacji z ministrem lub podsekretarzem, którzy nie wiedzą, jak długo zostaną na urzędzie, więc ograniczają się do brania wszystkiego, co się da, chronienia własnych interesów oraz interesów osób wyświadczających im przysługi.

Obecnie największy wpływ na władzę polityczną zyskali przemysłowcy z Północy. Mają fabryki, stocznie i najnowocześniejszy przemysł stalowy. Mają możliwość transportowania swoich produktów pociągami i docierania z nimi wszędzie w mgnieniu oka. Trudności związane z transportem morskim ich nie obchodzą.

Przez chwilę powietrze ciąży mu w płucach. Potem Ignazio wyrzuca je z siebie wraz z zachrypniętym dźwiękiem, czymś pomiędzy zduszonym krzykiem a szlochem.

„Jak się tu znaleźliśmy? Jak ja się tu znalazłem?”, pyta sam siebie, wpatrując się w obraz swojej „Valkyrie”, płótno, które

zamówił na krótko przed sprzedażą jachtu, przywołujące wspomnienia szczęśliwych czasów. Pamięta, kiedy miał czas i jasny umysł, by oddawać się regatom, turniejom i tenisowi. Zostało mu teraz bardzo niewiele: przyjęcia, oczywiście, i te małe, hmm, rozrywki, na które czasem sobie pozwala.

Zawsze kochał życie, sport, przygodę, tymczasem tkwi za biurkiem – tak jak jego ojciec – i musi znaleźć wyjście z tego impasu, a nikt, naprawdę nikt nie wydaje się skłonny mu pomóc. Nie chce go słuchać nawet Alessandro Tasca di Cutò, który stał się wpływowym socjalistą. Kiedy ostatni raz rozmawiali, powiedział mu, że los stoczni został przypieczętowany przez jego sny o potędze i że to robotnicy poniosą konsekwencje jego nieodpowiedzialności. Wtedy, stojąc już w drzwiach, upomniał go: „Ludzie boją się stracić wszystko, Ignazio. A ze strachu bierze się chaos. Pamiętaj o tym”. I odszedł bez pożegnania.

„Ludzie? To ja się boję, że stracę wszystko”.

Bo stoczni w Palermo grozi, że nigdy nie zostanie ukończona. Jemu zaś grozi porażka. Jemu!

– Nie – mówi półgłosem i uderza otwartymi dłońmi w blat. – Tak być nie może – powtarza.

Musi zareagować. Ale jak? Do kogo zwrócić się o pomoc?

„Jak mogli wyrządzić taką zniewagę mnie? Domowi Florio!”.

\*\*\*

Opublikowany 28 lutego 1901 roku artykuł wstępny w „L’Ora”, podpisany pseudonimem „Rastignac” – używa go Vincenzo Morell – nosi bardzo wyrazisty tytuł: *Zapomniana*.

*A zatem Sycylia została zapomniana! Palermo doczekało się specjalnego traktowania: odcięto je od wszystkiego, z czego korzystają lub będą korzystać inne regiony... W ustawach i rozporządzeniach Sycylia jest zawsze pomijana, choć kryzys na wyspie jest potężniejszy niż gdzie indziej, a prace w fabrykach Palermo już dawno temu zostały wstrzymane.*

To benzyna na tłące się lęki miasta, któremu odmówiono wszystkiego: chwalebnej przeszłości, możliwości liczenia się w terażniejszości zjednoczonych Włoch, przyszłości pełnej nadziei i postępu. Palermo podnosi głowę. Robi to z wściekłością i z furią, która wynika, owszem, ze strachu, ale przede wszystkim z poczucia zdeptanej godności.

Konkretnym efektem jest pierwszy prawdziwy strajk miejski. Nie demonstracja pracowników odlewni Oretea czy stoczniovców, nie. Strajk rozpoczyna komitet związków zawodowych w dzielnicy Molo, gdzie znajduje się stocznia, ale biorą w nim udział robotnicy, woźnice, krawcy, rybacy, fryzjerzy, ogrodnicy, zielarze, murarze, piekarze, stolarze... Bo wszyscy wiedzą, że jeśli stocznia nie zacznie pracować, to wszystko się zawali, a rządu nie obchodzi, że w Palermo nie ma chleba ani pracy, on tylko pilnuje swoich interesów. Zawsze tak było.

Cassaro wypełnia się ludźmi: kobiety i dzieci idą w pochodzie razem z robotnikami. Przechodzą przed biurami Navigazione Generale Italiana i docierają aż do pałacu królewskiego; na każdej ulicy, na każdym skrzyżowaniu potok niezadowolenia zasilają nowe dopływy, aż staje się wezbraną rzeką. Karabinierzy patrolują ulice, wypatrują przywódców rewolty. Policja robi naloty na robotników, którzy wstępują do związków zawodowych. Mieszkańców Palermo jednak już to nie zniechęca; krzyczą, reagują i od plucia przechodzą do ciosów, od kopnięć do uderzeń metalowymi prętami – i strajk zamienia się w powstanie. Policja ściga demonstrantów, a ci szturmują koszary i sklepy; dewastują i grabią, bo tak się dzieje, gdy głód to głód, a strach to strach.

*Semu fangu d'in terra*, myślą mieszkańcy Palermo: jesteśmy błotem, niczym. Ludem, który można okładać batem, wtrącać do więzień jak przestępców, rozstrzeliwać. I starcie się zaostrza, przemoc eskaluje: atak z bagnietami ze strony królewskich bersalierów spotyka się z odpowiedzią w postaci gradu kamieni, piętczą się podpalone słupy ogłoszeniowe, pojawiają się sztylety, szable i pistolety.

Związki zawodowe, które zapoczątkowały protesty, obawiają się, że nie będą w stanie dłużej powstrzymać ludzkiej wściekłości.

I rzeczywiście, po ostatniej wypowiedzi premiera Zanardello, pełnej niejasnych zapewnień i nieprawdopodobnych obietnic, wpadają w panikę, kapitulują i ogłaszają zakończenie strajku.

Nic to nie zmienia.

\*\*\*

Jest 3 marca 1901 roku. Spięty i wyczerpany Ignazio wygląda przez okno siedziby „L’Ora”. Przez dwa dni miał wrażenie, że miasto drży, jakby miało zaraz wybuchnąć. Czuł rosnącą na ulicach wrogość, złość karmiącą jego rozpacz. Był świadkiem starć, przeklinał po równo socjalistów i polityków w Rzymie wraz z ich oficjalnymi telegramami: od Crispiego (depesza tak samo bezużyteczna i retoryczna jak jej nadawca), od Giovanniego Giolittiego, ministra spraw wewnętrznych, i od samego Zanardello. Szef rządu posunął się nawet do tego, że wysłał mu osobisty telegram, w którym prosił, by Ignazio użył swoich wpływów do uspokojenia nastrojów.

„Dopiero teraz ze mną rozmawia. Teraz, kiedy się boi”, myśli Florio.

Morello wprowadza ostatnie poprawki do swojego wstępniaka, po czym dołącza do Ignazia przy oknie.

– Już teraz aresztują ludzi dziesiątkami. Jeśli w Rzymie uparcie nie chcą zrozumieć, co tu się naprawdę stało, i kontynuują represje, to są zwykłymi przestępcami. Giolitti i Zanardelli będą mieli na sumieniu niejedno ludzkie życie – mówi. Następnie sięga do kieszeni marynarki po cygarnicę.

Ignazio zapala mu cygaro, odmawia przyjęcia jednego dla siebie i zagryza wargę.

– Ach, i jeszcze coś – mówi Morello. – Przyjaciel przesłał mi treść telegramu, który dwaj deputowani z Palermo, Pietro Bonanno i Vittorio Emanuele Orlando, wysłali do Zanardello: oskarżają was o podżeganie do strajku, ponieważ macie kłopoty i chcecie wykorzystać niepokoje jako szantaż. A mnie wskazują jako waszego współnika. Wiele widziałem, don Ignazio, od czasów „Trybuny” i o wielu sprawach pisałem wprost, nie bojąc się o siebie. – Kręci

głową, wydmuchuje kłęb dymu, odsuwa się od okna, by usiąść w skórzanym fotelu za biurkiem. – Zarzucano mi różne rzeczy: że jestem sługą władzy i że sprzeciwiam się ustalonemu porządkowi. – W jego głosie brzmi nuta rozbawienia. – Banialuki. Myśl o byciu inicjatorem strajku napełnia mnie dumą, a nie wstydem czy strachem, jak chcieliby ci dwaj.

– Pomimo oszczerstw rzucanych przez Bonanna i Orlanda za strajkiem opowiedzieli się palermiańscy parlamentarzyści: baron Chiaramonte Bordonaro, księżę Camporeale i oczywiście mój szwagier Pietro. Biedni i bogaci razem. Nigdy wcześniej miasto nie było tak zjednoczone – mówi Ignazio i siada naprzeciwko Morella. Wdycha ciepły aromat jego cygara.

– Nawet prefekt de Seta próbował interweniować w interesie strajkujących.

– A kwestor postanowił się temu sprzeciwić. Państwo przeciwko samemu sobie, na tym właśnie stoimy. Ale to mnie zarzucają, że spekuluję publicznymi pieniędzmi, że mam manię wielkości, jak mówi Tasca di Cutò. – Z irytacji zaczyna stukać stopą o podłogę. Z ulicy dochodzi wrzawa gniewnych okrzyków, które natychmiast zostają stłumione. – Nawet gdyby to była prawda, problemem nie jestem ja ani moje straty, tylko pracownicy, których musimy zwolnić, ponieważ nie mamy już podstaw, by ich utrzymywać, skoro nie ma pracy. To właśnie mnie irytuje: ludzie patrzą na Dom Florio, jakbyśmy byli przyczyną wszelkiego zła, po tym wszystkim, co zrobiliśmy, co ja zrobiłem dla tego miasta. I jestem pewien, że ci *cornuti* z „Giornale di Sicilia” podejmą te bzdury i jeszcze dadzą im rozgłos!

– Oni wykonują swoją pracę, don Ignazio, tak jak ja wykonuję swoją. – Zmarszczka między brwiami Morella jest więcej niż wymowna. – Pomyślcie raczej, jak wykorzystać ten moment. Macie nazwisko i poparcie większości polityków z Palermo. Oczywiście nie wszystkich, bo socjaliści i dwaj wyżej wspomniani budują własną historię, ale ostatecznie to nie ma znaczenia. Wywierajcie presję, ruszcie teraz. Ci w Rzymie będą zmuszeni z czegoś zrezygnować, jeśli nie chcą, by wybuchła wojna domowa. Ludzie znów wam

zaufają, zawistni będą musieli połknąć własne oszczerstwa, a robotnicy zobaczą, że *'u principale* wie, jak wzbudzać szacunek.

Ignazio przytakuje, jednak w jego sercu górę bierze strach. Czy jego nazwisko ma w Rzymie jeszcze jakąś siłę? Niegdyś pismacy nie śmieli nawet pomyśleć krytycznych uwag pod adresem kogokolwiek z rodu Floriów, a co dopiero napisać ich w gazecie.

„Po waszym ojcu macie tylko nazwisko. Wkrótce zresztą nie będzie ono już miało żadnej mocy. I to będzie wasza i tylko wasza wina”. To właśnie przepowiedział mu Laganà kilka lat wcześniej.

Ignazio z trudem przełyka ślinę. Ten dzień – choć Florio nie ma odwagi sobie tego powiedzieć – właśnie nadszedł.

\*\*\*

– To?

– Cóż, ciemnozielony aksamit przyciąga wzrok, Franco, ale suknia wydaje mi się, hmm, niezbyt odpowiednia.

Francesca, kuzynka Franki, stała się uroczą i swobodną kobietą. Przewyciężyła ból po śmierci Ameriga, kilka lat temu ponownie wyszła za mąż i teraz dzieli swój czas między Palermo, Florencję i Paryż u boku męża, Maximiliena Grimaud, hrabiego d'Orsay.

– Poczekaj – włącza się Stefanina Spadafora. Niedawno wyszła za mąż za Giulia Cesarego Pajno i przerwała przygotowania do miesiąca miodowego, by pomóc France w tym trudnym wyborze. Wciążą dym z papierosa w hebanowym ustniku i przygląda się przyjaciółce. – Nie, Francesca ma rację: to nie to – mówi w końcu.

– Będiesz pozować jednemu z najslawniejszych malarzy we Włoszech, jeśli nie w Europie, moja droga. Nie możesz wyglądać jak pensjonarka. – Giulia Trigona póleży na łóżku, ręką podpira głowę i nie kryje lekkiego znudzenia. Spódnica podjechała w górę i odsłania długie, zgrabne nogi.

W samym peniuarze i halce Franca odsuwa od siebie suknię, wskazuje na dekolt i rzuca wymowne spojrzenie przyjaciółkom. Stefanina macha ręką, jakby chciała powiedzieć, że nie, nie ma sensu się upierać, to nic nie da. Potem wstaje, przechodzi przez



pokój, deptając płatki róż na posadzce, szpera wśród perfum na toaletce, wybiera flakonik.

– Cóż za symfonia pikantnych nut! Co to za woda?

Franca się nie odwraca, ale wie, o co pyta Stefanina. Zapach nazywa się La Marescialla, został stworzony przez założoną jeszcze w średniowieczu perfumerię z Florencji, Officina Farmaceutica di Santa Maria Novella, i jest prezentem od matki, wychodząc w zamyśleniu po pokoju pod radosnym spojrzeniem amorków na suficie.

– Suknia w czerwieni granatu? – sugeruje Francesca, zsuwając buty i siadając na krześle zwolnionym przez Stefaninę. – Możesz sobie na to pozwolić. Nawet po trzech ciążyach wciąż masz ciało godne pozazdroszczenia.

– Nie, to byłby zbyt oczywisty wybór – odpowiada Franca. – Trzeba czegoś... – Przerywa i dotyka ust opuszkami palców.

Idzie do dużej szafy, otwiera ją i z rękami na biodrach ogląda zawartość. „Tak, potrzeba czegoś, co oszołomi”. Co przypomni wszystkim, że jest tą Jedyńą, jak nazwał ją d’Annunzio, i że żadna kobieta nie może się z nią równać, nawet ta cała Lina Cavalieri, którą jej mąż postanowił sprowadzić do Palermo mimo wszystko, nie bacząc na strajki i demonstracje wywracające miasto do góry nogami.

Na litość, Ignazio jest przejęty. I właśnie przebywa w Rzymie, gdzie rozmawia z sycylijskimi ministrami i politykami, aby załatwić wciąż przeciągającą się sprawę stoczni. Ale po powrocie – Franca odczuwa ukłucie goryczy – uda się prosto do Teatro Massimo na próby *Cyganerii*, a nie do swojej rodziny czy robotników z Oretei. Miał nawet czelność usprawiedliwiać się przed wyjazdem: „Jestem przedsiębiorcą i muszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku”.

Głupiec.

Franca bębni palcami w drzwi szafy. Czy on naprawdę myśli, że ona nie wie? Kiedyś nawet mu powiedziała: „Ja zawsze wszystko wiem, Ignazio”. Powinien już zrozumieć, że im więcej rzeczy robi się w tajemnicy, tym bardziej stają się one jawne, zwłaszcza jeśli robi je taki paw jak on. Wystarczy jej jeden szczegół – nowy angielski garnitur, nagła sprawa do załatwienia późno wieczorem,

szczególne dbałość o wąsy – by zdała sobie sprawę, że na horyzoncie pojawia się nowa zdobycz, nowy romans.

Co do ludzi – którzy wciąż szepczą, chichoczą, robią aluzje – Franca wie, że plotka to głodne zwierzę i jeśli nie znajdzie nowej padliny, przeżuwa to, co już ma. Oferuje im więc ironiczną odpowiedź i patrzy, jak ją rozrywają na strzępy, albo pokazuje nową biżuterię, wiedząc doskonale, że plotkarze będą próbowali dociec, kim jest aktualna kochanka jej męża.

Tak, bo nawet w tym Ignazio jest równie bezczelny, jak przewidywalny: po każdej przygodzie wręcza jej w ramach rekompensaty prezent – pierścionek z szafirem, platynową bransoletkę, naszyjnik z brylantami. I często jest to rzecz bardzo podobna do tej, którą dostała jego ulubienica.

Biżuterii wciąż przybywa: czasem w trakcie romansu, innym razem zaraz po jego zakończeniu. Franca już wie, że im bardziej zaangażowany w kolejny romans jest Ignazio, tym bardziej wartościowy jest przedmiot, który jej daje. A jego skrucha, żona jest tego pewna, ma konsystencję popiołu.

Z Liną Cavalieri jest jednak inaczej.

Lina, córka krawcowej, sprzedawczyni fiołków, składaczka gazet, która podbiła najpierw Rzym i Neapol, a potem Folies Bergère w Paryżu i Empire w Londynie. Tak, głos ma srebrzysty, ale przede wszystkim jest piękna, ma twarz Madonny, bardzo ciemne oczy, ciało grzesznicy i bezwstydną zmysłowość w ruchach. Mężczyźni za nią szaleją; Franca słyszała, że kiedyś trzeba było aż ośmiu powozów, żeby zabrać kwiaty, którymi zarzucili scenę. A Lina wie, jak wykorzystać ich szaleństwo: ten niewinny wygląd – zawsze pokazuje się bez makijażu i biżuterii – kryje żelazną duszę. Rok wcześniej postanowiła zostać śpiewaczką operową: zadebiutowała w Lizbonie, w *Pajacach* Leoncavalla, i było to takie fiasko, że każdy inny wycofałby się bez słowa, przygnieciony wstydem. Ale nie ona. Odważnie kontynuowała występy i teraz – po wypełnieniu do ostatniego miejsca teatrów Warszawy i Neapolu – przybyła do Palermo, podziwiana, oczekiwana, pożądana.

Po raz pierwszy Ignazio chwali się swoją kochanką przed całym miastem, stawiając ją w bezpośrednim porównaniu z Francą. Był już

blisko tego kilka lat wcześniej, gdy sypiał z Agustina Caroliną del Carmen Otero Iglesias, znaną wszystkim jako Piękna Otero, inną śpiewaczką i tancerką niejasnego pochodzenia, kobietą, która wiedziała, jak używać swego ciała ze swobodą i sporą dawką cynizmu. Ignazio nie potrafił się powstrzymać i chełpił się swoim podbojem (tudzież hojnością wybranki) wobec przyjaciół w klubie, zdradzając nawet pikantne szczegóły, które dotarły do uszu Franki, wywołując u niej drżenie gniewu.

Ale tamto było kwestią zwykłej męskiej próżności.

Tymczasem to jest zniewaga.

Przed laty Franca cierpiałaby we łzach, łkając z upokorzenia. Ale od tamtej pory zmieniła się i nauczyła przekuwać ból w gniew. Odkryła destrukcyjną moc gorzkości, siłę, która wypływa ze świadomości własnej wartości. Już się nie wstydzi, nie zastanawia, czy to ona zrobiła coś złego. Nauczyła się myśleć o sobie i chronić się przed bólem, który mąż jej zadaje. Dziwne jest uczucie – mieszanka zazdrości i czułości, upokorzenia i żalu – które teraz żywi do Ignazia. Żal za tym, czym kiedyś byli i czym już nie są.

„Nie, Ignazio nie jest głupcem. Jest tylko egoistą, niezdolnym do prawdziwej miłości”. To właśnie ta myśl sprawiła, że Franca pozbyła się ostatnich skrupułów i zgodziła się pozować Giovanniemu Boldiniemu, najbardziej uznanemu malarzowi portretowemu tamtych czasów. Boldini jest ich gościem: Ignazio zaprosił go do Olivuzzy, ponieważ zamówił u niego portret żony, tak jak robią to arystokraci z najlepszych europejskich rodów. I z typową dla siebie arogancją poprosił malarza, by portret Franki wystawiono w Wenecji, na organizowanej przez niego latem wystawie.

Franca kręci głową, zastanawia się nad niezdolnością Ignazia do przewidywania konsekwencji, do spojrzenia pod powierzchnię rzeczy: on myślał tylko o prestiżu i o zazdrości, którą wzbudzi jego urocza żona. Nie zdawał sobie sprawy, że Boldini maluje tak, że obnaża duszę, a kobiety przedstawia jako istoty cielesne i zmysłowe. Jakby przed chwilą uprawiały fizyczną miłość i teraz z zadowoleniem to rozpamiętywały.

Ona nie chciała by się pokazać w ten sposób – odsłonięta, obnażona. A jednocześnie kusi ją, by pozbyć się skrupułów

i ujawnić, jaka może być. Zmysłowa. Namiętna.

Kusi ją, by pokazać światu i mężowi, kim jest naprawdę.

Chwyta kremową suknię, przygląda się jej przez kilka chwil, odkłada na bok.

Ktoś puka do drzwi. To Giovannuzza, a za nią guwernantka i para piesków, które zamiast biec, zdają się toczyć po podłodze.

– *Maman*, czy malarz już przyjechał? Mogę też popatrzeć? – pyta dziewczynka ze wzrokiem utkwionym w sukniach. Zafascynowana, wyciąga rączkę i dotyka tkanin. – Piękne... – szepce.

Franca nie odpowiada. Patrzy na toaletę wiszącą w dalekiej części szafy, suknię, której jeszcze dotąd nie włożyła, bo Ignazio uważa ją za zbyt wyzywającą.

On – zazdrosny! Byłoby to śmieszne, gdyby ta myśl nie przyprawiała o furję.

– *Maman?* – dziewczynka nalega błagalnym tonem.

Guwernantka próbuje wyprowadzić pieski, które zaczęły lizać buty gości, wywołując rozbawione protesty.

– Nie, kochana. To nie jest coś dla małych dziewczynek. – Z uśmiechem zadowolenia Franca odwraca się i gładzi córkę po policzku. – Każę zrobić ci portret, kiedy będziesz starsza. Ale teraz *geh und spiel im anderen Zimmer*<sup>50</sup>, szybko.

Giovannuzza prycha, a potem robi obrażoną minę.

– Ale one mogą... – protestuje, wskazując na przyjaciółki Franki.

– One są dorosłe, Giovannuzzo. I do dorosłych nie należy się tak odnosić.

Z pochyloną głową i zaciśniętymi ustami dziewczynka wychodzi. Nie żegna się z nikim, nawet z Francescą, która zawsze ją rozpieszczała. I to ona mówi w jej obronie:

– Mogła zostać.

– Nie – odpowiada Franca, poruszając się powoli po pokoju.

Z popielniczki bierze ustnik z papierosem, zaciąga się. To nawyk, który przywiozła z ostatniej podróży do Francji. Dym jest bardzo relaksujący.

Przyjaciółki patrzą na nią i czekają.

Giulia Trigona wyczytuje na jej twarzy coś, czego nie widzą inni. Ona, która podobnie jak Franca cierpi z powodu nieumiarkowanie niewiernego i (jak mówi plotka) również brutalnego męża.

– Co ci chodzi po głowie, Franco?

Ta nie odpowiada. Zdejmuje peniuar, zostaje w bieliźnie, patrzy na siebie w lustrze. Potem idzie do szafy, chwytą wypatrzoną suknię, wyciąga ją z pomocą Diodaty.

Przyjaciółki są zdumione. Czarna suknia z aksamitu, podkreślająca smukłą talię i uszyta tak, by Franca wydawała się jeszcze wyższa, przydaje jej królewskiej aury. Koronkowy gors zasłania dekolt i podkreśla długą szyję, nadając sukni powściągliwy charakter.

Franca odpina gors, wpatruje się w niego, po czym rzuca go na łóżko. Nie.

Nie chce być wytworną damą z towarzystwa. Chce, by na nią patrzono.

Studiuje swoje odbicie w lustrze. Potrząsa głową, a jej długie, rozpuszczone czarne włosy opadają na ramiona. Coś jeszcze jej nie pasuje... Opuszcza suknię, obnażając ramiona. A potem rozpina gorset i uwalnia piersi. Biust – biały i pełny – mógłby należeć do dziewczyny, a nie do kobiety, która urodziła troje dzieci.

Stefanina pochyła się do przodu, wybucha śmiechem.

– Tak? – pyta, szeroko otwierając oczy, gdy Francesca zbliża rękę do ust, mrużąc „*Mon Dieu!*”.

Giulia chichocze.

– Ignazziddu dostanie udaru, kiedy wróci do Palermo – mówi. Na co zasługuje, zdaje się sugerować.

Franca ignoruje ich reakcje, podciąga gorset i prosi Diodatę o zapięcie guzików. Niemal brak jej tchu. Ale tego właśnie chce. To jej sposób na walkę ze ślepą głupotą Ignazia. I zazdrością palermian.

To nie jest ubranie. To jest zbroja.

Siedząca na łóżku Giulia obserwuje ją z niewyraźnym uśmiechem.

– Oczywiście, jeśli chcesz, żeby mąż przeżył kwadrans zażenowania, to jest właściwa suknia. Wiesz, co powiedzą, prawda?

Gdy Diodata zaczyna układać jej włosy, Franca wzrusza ramionami.

– Poprosił Boldiniego o namalowanie mojego portretu. Będzie musiał zaakceptować mój wybór stroju – odpowiada, przejeżdżając szminką po ustach. Wskazuje przyjaciółce drzwiczki komody. – Czy mogłabyś mi podać torbę z biżuterią, proszę?

Giulia wyciąga ciężką torbę, kładzie ją na pościeli, pośród jedwabi sukien, i otwiera.

Na twarzach przyjaciółek maluje się zazdrość w najczystszej postaci. Żadna nie może pochwalić się taką kolekcją pierścionków, naszyjników i bransoletek, o takiej wartości i tak eleganckich.

Franca przymyka powieki, oddzielając w głowie dary Ignazia – te klejnoty, które mają imiona innych kobiet – od swoich własnych. Tych, które wybrała starannie, niemal z miłością. Tak, bo zaraz po dzieciach nie ma dla niej nic bardziej cennego. Te klejnoty są znakiem tego, czym Franca Florio jest w oczach świata: kobietą piękną, bogatą i potężną.

Wstaje, szpera wśród futerałów i aksamitnych woreczków. Oto i one, jej perły. Przesuwa je między palcami, obdarza pieśczołą. Następnie łączy jeden sznur z drugim, a na koniec dodaje klejnot z bliźniaczymi perłami wielkimi jak wiśnie. Wreszcie je zakłada: niczym kaskada światła spływają po jej czarnej sukni.

Franca odwraca się, by po raz ostatni spojrzeć w lustro. Stara się uspokoić oddech.

– Chodźmy.

\*\*\*

Giovanni Boldini – mężczyzna niski, krępy i o nieprzyjemnym głosie – wybrał niewielki, zaciszny salon o jasnych ścianach, w którym skośne światło rozświetla bursztynową skórę jego gospodyni. Świetlistość pełna zieleni i wiosny, tak ciepła jak marcowe powietrze wpadające przez uchyloną okiennicę. Wokół nich ciemne fotele obite adamaszkiem; na podłodze ogromny perski dywan.

Przyjaciółki podążają za Franca, rozmawiają i wybierają miejsca do siedzenia, podczas gdy ona wydaje służbie polecenie, by im nie przeszkadzano. Drzwi się zamykają. Malarz stoi przed gotowym do

pracy płótnem i patrzy na nią przez kilka chwil z rękami zaciśniętymi na piersi.

– Przysięgam, donna Franca, jesteście zjawiskiem. – W jego głosie pobrzmiewa lekki francuski akcent, gdyż od trzydziestu lat artysta mieszka w Paryżu.

Franca uśmiecha się, ale tylko oczami.

– Nie konsultowałam z wami wyboru sukni. Aprobujecie go?

Wyciąga ramiona na boki, by malarz mógł ją podziwiać, ale on ją powstrzymuje.

– Niemal. – Łapie Francę za nadgarstek, zdaje się podpowiadać taneczny krok. – Potrzebujemy nieco więcej światła. – Cofa się, podpira się pod boki. Franca próbuje sobie wyobrazić, jak ten mężczyzna ją widzi, i opada ją skrępowanie.

Stefanina podchodzi do niej.

– Jeszcze jeden klejnot? – sugeruje.

– Tak, coś, co doda światła dekoltowi, broszka lub wisior – żywo przytakuje Boldini.

Franca kładzie rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Pamiętasz te złote bransoletki, które kupiłam w Stambule? Proszę, przynieś je. A także broszkę z diamentów i platyny w kształcie orchidei, tę, którą Ignazio podarował mi na pierwszą rocznicę ślubu.

Stefanina znika za drzwiami, a pozostałe kobiety zajmują miejsca. Boldini zastanawia się, oprowadza Francę po pokoju, szukając najlepszego światła, zbliża perły do jej twarzy, a potem pozwala im opaść, nawija je na palce i puszcza, mrucząc coś w mieszaninie dialektu z Ferrary i francuskiego. To niemal zabawne, gdy widzi się tego niskiego mężczyznę obok kogoś tak pięknego i smukłego jak ona.

– Hmm... Naprawdę trudno dla was znaleźć odpowiednie światło. Jesteście... – Wykonuje gest, który mógłby być wulgarny, ale jemu udaje się wyrazić nim podziw.

Tymczasem pojawia się Stefanina z biżuterią i Franca ją zakłada. Bransoletki nie są odpowiednie: rękaw sukni je zasłania. Lepsza jest brosza, która dodaje światła ciemnej tkaninie.

Boldini podchodzi do płótna. Portret ma oddać właściwe proporcje sylwetki, a Franca będzie na nim przedstawiona w całej okazałości. Malarz przesuwając okulary na czubek nosa, zaczyna szkicować kontury postaci, ale dotarłszy do linii ramion, zatrzymuje się. Patrzy na Francescę.

– Wybaczcie mi, signora. Czy moglibyście użyczyć donnie France swego szala?

– Mojego... Och, oczywiście, proszę bardzo!

Francesca podaje ze śmiechem szal, a Franca nie bardzo wie, co z nim zrobić, i również się śmieje.

Z całą powagą Boldini prosi ją, by przesunęła nim po swoim ciele tak, aby biała tkanina rozświetliła nagie ramiona. Jej czarne włosy lśnią w wiosennym świetle, a Franca bawi się szalem, drapuje go, jakby chciała się nim owinać. Potem porusza głową, bo Giulia coś powiedziała, a ona nie rozumiała. I właśnie wtedy malarz ją zatrzymuje.

– Tak! Nie ruszajcie się teraz! – poleca, szeroko otwierając oczy. Wspina się na platformę, której używa do malowania, i robi energiczne, długie pociągnięcia pędzlem, próbując uchwycić światło.

Franca posłusznie stoi bez ruchu. Zaskoczona, z półotwartymi ustami, skupionym spojrzeniem, biodrem wysuniętym w zmysłowym ruchu, który zaczyna się od ramienia, podobnym do fali.

Nie wie, że w tym momencie rodzi się obraz, który uczyni z niej legendę.



## Porcelana (kwiecień 1901 – lipiec 1904)

*Li malanni trasino du sfilazzu di la porta*  
„Nieszczęścia wchodzą przez szpary w drzwiach”  
przysłowie sycylijskie

Upadek drugiego rządu Luigiego Pelloux (24 czerwca 1900) oznaczał również koniec epoki zdominowanej przez „reakcyjnych” polityków, takich jak Crispi (który zmarł 11 sierpnia 1901) i di Rudinì. Nowy król powołał na urząd premiera przedstawiciela liberalnej lewicy, Giuseppego Zanardello, tego samego, który jako minister sprawiedliwości w pierwszym rządzie Crispiego opracował nowy kodeks karny (1889), znoszący karę śmierci i potwierdzający prawo do strajku (do tego czasu uważanego za przestępstwo). Zanardelli wybrał na ministra spraw wewnętrznych Giovanniego Giolittiego, który postanowił nie odpowiadać represjami na falę strajków w 1901 roku (wybuchło ich wówczas ponad tysiąc pięćset, zarówno w przemyśle, jak i rolnictwie), w 1902 roku (tysiąc), a nawet podczas pierwszego włoskiego strajku generalnego (15–20 września 1904), przekonany, że „rosnący ruch klas ludowych [...] jest niezwyciężony, ponieważ jest wspólny wszystkim krajom cywilizowanym i opiera się na zasadzie równości wszystkich ludzi” (przemówienie do izby deputowanych 4 lutego 1901). 1 grudnia 1903 roku Giolitti stanął na czele rządu (Zanardelli podał się do dymisji 3 listopada i zmarł mniej więcej miesiąc później) i przedstawił swój gabinet w parlamencie, argumentując, że „konieczne jest rozpoczęcie reform społecznych, gospodarczych i finansowych”, ponieważ „poprawa warunków mniej zamożnych klas społecznych zależy przede wszystkim od wzrostu dobrobytu gospodarczego kraju”. W ten sposób rozpoczęła się „era Giolittiego”, charakteryzująca się działalnością rządu jako mediatora w dziedzinie społecznej i politycznej, mającego na celu wzmocnienie państwa liberalnego dzięki wkładowi zarówno katolików, jak i socjalistów. Wobec tych pierwszych Giolitti działał z cierpliwością

i determinacją, aby pokonać w praktyce, jeśli jeszcze nie oficjalnie, blokadę encykliki *Non expedit*, w której Pius IX zabraniał katolikom biernego i czynnego udziału w życiu politycznym młodego państwa włoskiego, a jego następcy na papieskim tronie mniej lub bardziej ściśle ten zakaz podtrzymywali. Z drugimi szukał dialogu i rzeczywiście długo negocjował z Filippem Turatim, jednak rząd koalicyjny z socjalistami nigdy nie ujrzał światła dziennego.

Giolitti mógł też liczyć na korzystną sytuację gospodarczą, która od 1896 roku była następstwem międzynarodowego ożywienia gospodarczego, wzmocnionego we Włoszech zamówieniami państwowymi, kontynuacją polityki protekcjonistycznej (zwłaszcza w przemyśle ciężkim i tekstylnym), większą liczebnością siły roboczej (w związku z przyrostem demograficznym) oraz inwestycjami zagranicznymi w sektorze bankowym (w 1894 roku powołano do istnienia *Banca Commerciale Italiana* z kapitałem niemieckim, szwajcarskim i austriackim), który zacieśniał coraz bardziej stosunki ze światem przemysłu i handlu. Rozwój ten koncentrował się jednak w „trójkącie przemysłowym” (Turyn – Mediolan – Genua), nie dotyczył rolnictwa i właściwie wykluczał włoskie Południe, którego problemy nigdy nie były rozwiązywane w sposób organiczny, a jedynie za pomocą „specjalnych ustaw”, jak się szybko okazało – niewystarczających. Jedną z konsekwencji tego był wzrost ruchu migracyjnego (rozpoczętego tuż po zjednoczeniu): z trzystu tysięcy emigrantów w latach 1896–1900 doszło do pół miliona w latach 1901–1904 (sześćdziesiąt procent z nich kierowało się na kontynent północnoamerykański).

Co do polityki zagranicznej, jeszcze za rządów Zanardellogo Włochy, Niemcy i Austria podpisały 28 czerwca 1902 roku czwarty traktat trójprzymierza (odnawiany już wcześniej w 1887 i 1891 roku), do którego dodano deklarację Austrii, potwierdzającej, że nie ma żadnego interesu w utrudnianiu ewentualnych działań Włoch w Trypolitanii (dzisiejsza zachodnia Libia). Zapomniawszy już o nieudanym przedsięwzięciu kolonialnym Crispiego, Włochy dążyły do zajęcia terytorium, z którym prowadziły ważną wymianę handlową. Rozluźniły się również napięte dotąd stosunki z Francją; po porozumieniu, które w 1898 roku zakończyło wojnę celną między obu krajami, włoski minister spraw zagranicznych Giulio Prinetti i francuski ambasador

*Camille Barrere zawarli umowę, na mocy której Włochy gwarantowały Francji wsparcie dyplomatyczne w Maroku, a Francja deklarowała, że nie sprzeciwia się włoskiej interwencji w Trypolitanii.*

*20 lipca 1903 roku, w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, zmarł papież Leon XIII. Jego następcą został patriarcha Wenecji, kardynał Giuseppe Sarto, który przyjął imię Piusa X (4 sierpnia 1903). W ogłoszonej 11 czerwca 1905 roku encyklice Il fermo proposito Pius X przyznał katolikom – w wypadkach ścisłej potrzeby „dla dobra dusz” – możliwość zwolnienia z non expedit, ponieważ mają oni „obowiązek przygotowania się ostrożnego i poważnego do życia politycznego, na chwilę, gdy będą doń powołani”.*

\*

Ma nieco ponad dziesięć centymetrów wysokości, jest biała, zdobiona roślinnym ornamentem. Waza, którą Marco Polo przywiózł z Chin w 1295 roku, a obecnie przechowywana jest w bazylice Świętego Marka w Wenecji.

To przede wszystkim namacalny dowód obsesji, która rozpoczęła się na Wschodzie już w epoce neolitu i miała się rozprzestrzenić na cały świat: obsesji na punkcie porcelany. Przez długie wieki ten delikatny i odporny materiał, niekiedy tak cienki, że można przez niego zobaczyć „błysk wody”, jak pisał Abu Zaid al-Sirafi już w 851 roku, pozostawał dla Zachodu tajemnicą. Marco Polo na przykład twierdził, że ci, którzy robią kubki i talerze, „zbierają jakby pewien rodzaj rudy, muł oraz ziemię spróchniałą, robią z niej kopce wielkie; i tak zostawiają je na słońcu i na deszczu przez trzydzieści lub czterdzieści lat. I przez ten cały czas nie ruszają jej wcale”<sup>51</sup>. W 1557 roku erudyta Giulio Cesare Scaligero utrzymywał, że porcelanę wytwarza się w następujący sposób: „skorupki jaj i muszle morskich ślimaków [...] rozciera się na drobniutki proszek, który miesza się z wodą i formuje z niego wazy. Te są następnie przykrywane ziemią. Po stu latach ludzie wydobywają je jako gotowe i mają wyrób na sprzedaż”<sup>52</sup>. I właśnie w tym okresie, pod egidą Franciszka I Medyceusza, powstała we Florencji „miękką

porcelana”, która jednak nie jest mieszaniną kaolinu i skalenia, lecz zawiera od piętnastu do dwudziestu pięciu procent białej gliny i kwarcu. Wykonane w ten sposób przedmioty, choć z wyglądu podobne do porcelany, były znacznie bardziej kruche (zachowały się jedynie sześćdziesiąt cztery artefakty) i obarczone różnymi niedoskonałościami. Wkrótce jednak najpierw Portugalczycy, a potem Holendrzy zaczęli sprowadzać do Europy oryginalną porcelanę, która natychmiast stała się obiektem pożądania i uzyskała taką cenę, że zaczęto ją nazywać białym złotem.

Tajemnej formuły poszukiwał również hrabia Ehrenfried Walther von Tschirnhausen, który na początku XVIII wieku badał temperaturę topnienia pewnych substancji, w tym kaolinu. Nie osiągnął jednak pożądanego rezultatu, przeto król August II Mocny zmusił alchemika Johanna Friedricha Böttgera, by się do niego przyłączył. W 1708 roku eksperymenty obu badaczy zakończyły się sukcesem: Zachód mógł odtąd produkować swoją porcelanę. Von Tschirnhausen zmarł wkrótce potem, a król przeniósł warsztat Böttgera do zamku Albrechtsburg koło Miśni i w 1710 roku tamtejsza fabryka działała już pełną parą. Dzięki rzeźbiarzowi i głównemu modelarzowi Johannowi Joachimowi Kändlerowi osiągnęła wyżyny sztuki (jednym z prezentów ślubnych dla Elżbiety II był serwis z miśnieńskiej porcelany).

Metoda wytwarzania porcelany nie jest już tajemnicą, a ujawnienie jej może być bardzo opłacalne. I tak w ciągu kilku lat powstały fabryki w Höchst (znane z figurek projektu Johanna Petera Melchiora), Wiedniu (z wzorami w stylu barokowym), Sèvres (gdzie powstała „róża Pompadour” na cześć kochanki Ludwika XV i patronki fabryki), pod Limoges (czemu sprzyjało odkrycie w pobliżu złoża kaolinu) oraz wiele innych, między innymi w Danii, gdzie produkcja charakteryzuje się osobliwym użyciem błękitu kobaltowego. I oczywiście w Anglii, gdzie Josiah Spode stworzył porcelanę kostną. Dzięki dodaniu do mieszanki sproszkowanych kości zwierzęcych porcelana staje się niewiarygodnie lekka i przezroczysta.

We Włoszech w roku 1735 markiz Carlo Ginori otworzył fabrykę w Doccii (pozostającą w posiadaniu rodziny do roku 1896

i specjalizującą się w produkcji naczyń i przedmiotów codziennego użytku), a w roku 1743 Karol III Burbon wraz z żoną, dzięki odkryciu złóż kaolinu w Kalabrii, założył Królewską Fabrykę Capodimonte. Jej produkcja przewyższała pod względem smaku artystycznego i wyrafinowania zarówno porcelanę niemiecką, jak i francuską. W Capodimonte produkowano głównie małe grupy rzeźbiarskie, w których ujawniały się umiejętności modelarzy i uwydatniał się szczególny mleczny odcień porcelany.

Wraz z wybuchem rewolucji francuskiej i następującymi po niej wstrząsami ten wczesny, wspaniały okres porcelany w Europie dobiegł końca. Gdy znikły dwory, które wspierały – finansowo, ale nie tylko – działalność manufaktur, narzucono prawo zysku, które zepchnęło sztukę na dalszy plan i kładło nacisk na walory użytkowe. Brzmi to jak smutne zakończenie pięknej historii, ale tak nie jest – ponieważ to, że porcelana jest obecnie przedmiotem codziennego użytku, czyni być może jeszcze bardziej fascynującą jej prawdziwą tajemnicę, tę, którą Edmund de Waal wyraził w swojej *Białej drodze*: „Porcelana jest biała i twarda, ale przepuszcza światło. Jak to jest możliwe?”<sup>53</sup>.

\*\*\*

Tego wieczoru Palermo jest kurtyzaną poszukującą kochanków, zmysłową i zazdrosną kobietą mrużącą oczy, ukrywającą truciznę, kobietą, która chce patrzeć i chce, by na nią patrzono. Dlatego bez oporów wystawia się na pokaz: suknie w kształcie kielicha lub o miękkich liniach, noszone bez usztywnień i gorsetu, jak nakazuje nowa francuska moda, wachlarze z piór, koronkowe rękawiczki, lornetki z masy perłowej, lśniąca biżuteria, uśmiechy, pocałunki posyłane opuszkami palców, komplementy. A Teatro Massimo jest – dosłownie – jego sceną, gdzie wszystko ukazuje się w pełnym świetle, choć pod zasłoną eleganckiej hipokryzji.

Spośród wszystkich spektakli odgrywanych na parterze i w lożach – ukradkowych gestów kochanków, matek eksponujących wdzięki córek na wydaniu, szeptów o najnowszym skandalu, surowych

spojrzeń przypominających o niespłaconych długach – tego dnia, 15 kwietnia 1901 roku, jest jeden, który jeszcze się nie rozpoczął, ale wszyscy czekają na niego z niecierpliwością. Spektakl, który może stać się dramatem. Albo farsą.

„Cóż to będzie się działo”, myśli architekt Ernesto Basile, poprawiając pince-nez na orlim nosie. Siedzi na parterze obok swojej żony i jak zawsze przed każdym spektaklem zachwyca się formalnym pięknem zaprojektowanej przez siebie sali. Gdy patrzy na scenę, dostrzega przez jedną krótką chwilę Ignazia wyglądającego zza kurtyny w rogu proscenium. Przenosi spojrzenie na łożę rodziny Florio. Jest jeszcze pusta.

Kochanka Ignazia ma wkrótce zadebiutować na deskach palermiańskiej opery w *Cyganerii*, oczywiście w roli Mimì. A Franca Florio nigdy nie opuszcza premier.

Światła przygasają. Z szelestem wieczorowych strojów widzowie docierają na swoje miejsca, podczas gdy orkiestra otwiera partytury i pierwsze skrzypce podają nutę do strojenia.

Pomruk. W łoży Floriów pojawia się Vincenzo. Ma już osiemnaście lat, jest zmysłowy, filuterny i bezceremonialny, co doprowadza kobiety do szaleństwa. Rzadko można go zobaczyć w teatrze, bo zdecydowanie bardziej ceni sobie aktywność sportową. Jego dwunastokonny automobil z fabryki Fiat, którym jeździ po mieście, wzbijając tumany kurzu i wywołując głośne protesty przechodniów, stoi zaparkowany przed Teatro Massimo.

Kiedy chłopak rozgląda się z ciekawością, do łoży wchodzi Giovanna ubrana w czarny jedwab. Jej czoło jest lekko zmarszczone, usta zaciśnięte. Vincenzo całuje matkę w policzek, pomaga jej usiąść przy samej balustradzie, po czym też zajmuje miejsce. Szmer na parterze się wzmacnia. Część widzów udaje, że rozmawia z sąsiadami, ale zerka w stronę łoży. Inni bez żadnego skrupowania gapią się w górę.

Wielka kurtyna, na której Giuseppe Sciuti przedstawił procesję koronacyjną Rogera II, kołysze się powoli, jakby oddychała.

I wtedy nieoczekiwanie pojawia się Franca, odziana we wspaniałą suknię o barwie koralu. Przez kilka chwil pozostaje w bezruchu, przebiegając wzrokiem po zgromadzonych na parterze, przyjmując

ich spojrzenia, obojętna na ich zaciekawienie. Potem uśmiecha się do Vincenza, który przysuwa jej krzesło, i siada obok teściowej. Jej twarz jest opanowana, pogodna, prawie bez wyrazu. Jej oczy wpatrują się w scenę. Jakby tego wieczoru *Cyganeria* była tylko dla niej.

Palermo milknie.

Nawet dyrygent, który zdążył już wejść na podium, zdaje się czekać na jej skinienie. Dobiegające zza kulis klaskanie daje impuls do nieśmiałego aplauzu. Dyrygent kłania się publiczności. Kurtyna idzie w górę.

\*\*\*

Ignazio widzi ją ze swojego miejsca za kulisami.

Robi się niespokojny. Miał nadzieję, że Franca znajdzie pretekst, by nie pojawić się tego wieczoru, a jednak przyszła. To wyzwanie, jest tego pewien.

Więcej – to zemsta.

Pokłócili się gwałtownie, gdy wrócił z Rzymu. To wszystko wina tego szalonego malarza i jego wulgarnego portretu, który przedstawił ją jak tancerkę z kabaretu. Ten przeklęty Boldini zobaczył w żonie Floria rzeczy, na które tylko on, Ignazio, miał prawo patrzeć, nawet jej długie nogi, i utrwalił je na płótnie, a to wszystko widziały te plotkary Stefanina Pajno, Francesca Grimaud d'Orsay i Giulia Trigona. Ale najgorsze było to, że Franca z absolutnym spokojem powiedziała mu, iż jej zdaniem ten portret to *tableau fascinant*<sup>54</sup>. Bezwstydna!

Ignazio uderza otwartą dłoń w ścianę, a potem nerwowo chodzi tam i z powrotem, omijając krzątających się rekwizytorów i kostiumografa.

– Co się dzieje, Ignazio? Powinieneś teraz dodawać mi pokrzepienia. A ty... – Lina Cavalieri kładzie mu rękę na ramieniu.

Ignazio oddycha głęboko.

– Będziesz wspaniała! Oczarujesz ich wszystkich, tak samo jak oczarowałeś mnie.

Bo rzeczywiście, ta kobieta nie tylko przyspieszyła mu tętno krwi, ona naprawdę rozpałała jego duszę. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, zapragnął ją mieć i udało mu się. Nie ma znaczenia, że zachcianki Liny są kosztowne i że kochanka zmusza go, by jeździł za nią po całych Włoszech. Jest warta tego wszystkiego, jest warta tych pieniędzy.

– Och, wiem – odpowiada Lina, drapując szal swojego scenicznego kostiumu na ramionach. Rozpina guzik koszuli, odsłaniając skrawek mlecznobiałej skóry, po czym wpatruje się w Ignazia z mieszaniną niewinności i zmysłowości. Następnie spleta swoje palce z jego i pozwala mu się pocałować w dłoń. Wreszcie podnosi głowę, patrzy na łożo.

– Jest tu twoja żona?

Ignazio przytakuje.

– Nigdy nie opuszcza premier.

– Wie, prawda?

Ignazio waha się, zanim odpowie.

– To kobieta, która rozumie, jak się żyje w wielkim świecie.

Ton jest lekki, dobrze skrywa gniew.

– Mam nadzieję – odpowiada Lina, ale niepokój chmurzy jej ciemne oczy.

Ignazio gładzi ją po twarzy.

– To nieważne. Pomyśl raczej o tym: jesteś w jednym z najpiękniejszych teatrów w Europie, pełnym ludzi, którzy chcą tylko usłyszeć, jak śpiewasz.

Lina chciałaby odpowiedzieć, że ci ludzie przyszli głównie po to, by ją zobaczyć, a jej umiejętności wokalne są drugorzędne, ale nie ma czasu: inspicjent daje znak, by podeszła bliżej. Ignazio delikatnie odsuwa ją od siebie i patrzy, jak wchodzi na scenę. Bardziej niż na nieśmiałą i naiwną krawcową, Lina wygląda na upadłą szlachciankę. Ale jej niezwykle wyrazista prezencja sceniczna przyćmiewa nawet tak wspaniałego tenora jak Alessandro Bonci, uwielbianego przez publiczność. Śpiewa z rodzajem zmysłowej rezygnacji, z fizycznością, która rekompensuje delikatność jej głosu. Porusza się z elegancją, uśmiecha do Rodolfa, jakby był jedynym mężczyzną na świecie, nawet się rumieni.



*Altro di me non le saprei narrare.  
Sono la sua vicina  
che la vien fuori d'ora a importunare...* [55](#)

Dopiero pod koniec arii Mimì zaczynają się gwizdy.

Jeden, dwa, dziesięć, sto.

Orkiestra nieruchomieje. Przez parter przebiega dreszcz, widzowie wymieniają oszołomione spojrzenia. Niektórzy wstają, by bić brawo, ale z galerii padają okrzyki i obelgi, do których dołączają się protesty z łóż. Przy wtórze krzyków i wrzasków portierzy gorączkowo próbują przywrócić spokój wśród widzów, a najgorętszym grożą nawet wyrzuceniem z sali. Ale na próżno.

W ogólnym zamieszaniu Lina odwraca się w stronę Ignazia i marszczy brwi, trzyma za rękę Bonciego, który skamieniał z przerażenia, a na twarzy maluje mu się bezradne zdumienie.

Ignazio próbuje uspokoić ją gestami, ale jego umysł przecina ostra jak brzytwa myśl. Po raz kolejny Palermo mu odmawia. Jeszcze żaden artysta – nigdy! – nie został przyjęty tak wrogo. Jak to możliwe, że miasto nie rozumie, jakiego zaszczytu dostąpiło? Lina Cavalieri jest zapraszana przez teatry i dwory całej Europy, poszukiwana przez impresariów, zaszczycana względami książąt i magnatów, a oni, mieszkańcy Palermo, co robią?

Gwizdzą.

Wyczuwa w powietrzu wrogość. Atmosfera ma suchy zapach porytu i eksploduje niczym proch strzelniczy, rodząc chaos. A przecież przeszedł sam siebie, aby Lina otrzymała godny aplauz. Przekazał znaczące sumy urzędnikom teatru, szczerze opłacił klakę.

Jak widać, nie tylko on miał taki pomysł.

Ta myśl jest równie nagła, co zaskakująca.

Robi krok do przodu, szukając wzrokiem swojej rodziny. Vincenzo skrywa śmiech za otwartą dłoń. Jego matka z zakłopotaniem spuszcza oczy. Tylko Franca wpatruje się w scenę z nieprzeniknionym spokojem i ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach.

Ignazio podąża za jej spojrzeniem, jakby było nicią. Na drugim końcu znajduje się spojrzenie Liny. Z dreszczem uświadamia sobie, że jest świadkiem walki między lwicami o dominację, cichej wojny między dwoma dzikimi stworzeniami, które oceniają wzajemnie swoje siły, obojętne na otoczenie.

Franca.

To ona stoi za tą lawiną gwizdów. O, nie bezpośrednio, to nie było konieczne. Ma tylu przyjaciół i wielbicieli chcących się jej przypodobać, że wystarczyło jedno słowo, by wywołać pandemonium. I żeby wszyscy zrozumieli, kto tu tak naprawdę jest górą.

Podczas gdy orkiestra wreszcie wznawia grę, Ignazio pozostaje nieruchomy. Wkrótce skończy się pierwszy akt i będzie musiał pocieszać Linę. Nie będzie to trudne: płacz i żale nie są do niej podobne. Jest odważną kobietą, która utorowała sobie drogę we wrogim świecie, nieraz dostając od życia w twarz i odpłacając mu tą samą monetą. To także tę odwagę, tę dumę Ignazio w niej podziwia.

Aż do tego wieczoru jednak nie zdawał sobie sprawy, jaką drogę przeszła jego żona. Oczywiście jest godną szacunku, wierną kobietą i matką, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że w ich małżeństwie stroną słabszą jest *on*.

I zawsze będzie.

\*\*\*

Największa sala sądu przysięgłych w Bolonii jest wypełniona po brzegi i spowita mgiełką dymu papierosowego.

Ignazio, z kapeluszem i laską w jednej ręce, wchodzi i rozgląda się dookoła. Przed nim długie ławy dla dziennikarzy i prawników, galerię nad ławami sędziów przysięgłych zajmuje publiczność. Wielu go rozpoznało: zdradzają to ciekawskie spojrzenia i szmer, który przeszedł przez salę.

– Signor Florio, tędy, proszę. – Woźny sądowy wskazuje mu drogę, a Ignazio przesuwa się naprzód, niepewny, starając się patrzeć na sędziów, a nie na klatkę, gdzie między dwoma

karabinierami na drewnianej ławce siedzi Raffaele Palizzolo. Jednak przez chwilę oczy obu mężczyzn się spotykają i Ignazia przechodzi dreszcz. Palizzolo ma zapadniętą twarz i wychudł do tego stopnia, że jego ubranie, choć uszyte u dobrego krawca, wisi na nim jak na wieszaku. Ale jego plecy są proste, a spojrzenie spokojne. Nieco opuszcza głowę, pozdrawiając Ignazia, i nawet lekko się uśmiecha.

Minęło osiem lat, odkąd został zamordowany Emanuele Notarbartolo; osiem lat, w czasie których wymiar sprawiedliwości błądził, zwodzony fałszywymi tropami i niechęcią do zeznań. Dwa lata wcześniej w Mediolanie odbył się dziwny, graniczący z farsą proces. Oskarżonymi byli dwaj kolejarze z pociągu, w którym zginął Notarbartolo; byli jakoby współnikami morderców. Ale to właśnie podczas tego procesu syn ofiary, Leopoldo, stanął przed sądem i z niezwykłą odwagą nakreślił ponury obraz Palermo, spętanego układami, gdzie żyją ludzie gotowi zrobić wszystko – nawet zabić – aby utrzymać swoje przywileje, i wskazał na Palizzola jako zleceniodawcę mordu. Wybuchł skandal, izba deputowanych wydała zgodę na uchylenie immunitetu i 8 grudnia 1899 roku naczelnik policji Ermanno Sangiorgi kazał aresztować Palizzola. Kilka dni później proces w Mediolanie został zawieszony. Wznowiono go po dwóch miesiącach, 9 września 1901 roku w Bolonii.

I tak oto Ignazio siada na miejscu dla świadka, zakłada nogę na nogę i opiera ręce na kolanach. Czuje dyskomfort, trudno mu się z niego otrząsnąć. Do tej pory udawało mu się kontrolować zakłopotanie, które wywoływała w nim ta sytuacja, ale tu, na sali sądowej, nie jest to łatwe. Nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, a przede wszystkim nie może się pogodzić z tym, że jego nazwisko – wraz z nazwiskami wielu innych członków palermiańskiej socjety – jest kojarzone z tą aferą. Jest tak zdenerwowany, że dzień wcześniej pokłócił się nawet z Liną, która zaproponowała, że pojedzie z nim do Bolonii, choć oczywiście będzie się trzymać z dala od sali sądowej.

Przewodniczący składu sędziowskiego, Giovanni Battista Frigotto, rozpoczyna przesłuchanie.

– Jesteście Florio Ignazio, syn zmarłego Ignazia?

– Tak jest.

– A wasz zawód to...

Ignazio chrząka, by oczyścić gardło.

– Jestem przemysłowcem.

– Czy nie jesteście również właścicielem sklepu?

– Tak, to stary rodzinny interes. Zajmuję się także produkcją marsali, zarządzam Navigazione Generale Italiana i...

– Nie wezwaliśmy was aż z Palermo, żeby poznać wasze bogactwa

– komentuje sucho Frigotto. Przygląda się Ignaziowi, jakby ten był nowobogackim chamem, który nie wie, jak zachować się przed sądem.

– To wy pytaliście mnie o moją działalność, która i tak jest powszechnie znana – odpowiada zdenerwowany Ignazio.

– Może w waszych okolicach, signor Florio. Jesteśmy w Bolonii i nie każdy ma obowiązek wiedzieć szczegółowo, kim jesteście lub co robicie w życiu.

Publiczność szemrze. Słysząc nawet szyderczy śmiech. Ignazio dostrzega w tłumie dziennikarza z Katanii, którego zna z widzenia. Mężczyzna gawędzi z kolegą i ma na ustach ironiczny uśmiech. Kiedy jednak zdaje sobie sprawę, że Ignazio na niego patrzy, gwałtownie spuszcza głowę i zaczyna coś pisać w notesie.

– Zatem, signor Florio... Zostaliście wezwani jako świadek obrony. Czy zna pan oskarżonego Raffaelego Palizzola?

Ignazio kiwa głową.

– Mówcie głośno, signore.

Kaszel.

– Tak.

Odwraca się, patrzy na Palizzola. Ten łagodnie się uśmiecha, jakby chciał przeprosić za niedogodności, które mu sprawił. Ale w jego spojrzeniu jest ostrzeżenie czytelne tylko dla innego Sycylijczyka – i Ignazio czuje dreszcz przebiegający mu po plecach. Przenosi wzrok na sędziego przewodniczącego, który ma surowy wyraz twarzy, być może po to, by go zastraszyć.

– Signor Florio, czy słyszeliście kiedyś o mafii?

Na to pytanie Ignazio niemal podskakuje.

– Nie.

– Powtarzam pytanie: czy słyszeliście kiedyś o stowarzyszeniu przestępczym zwanym mafią?

– A ja powtarzam, że nie.

Frigotto się krzywi.

– Dziwne. Czytamy w depeszach organów bezpieczeństwa publicznego z Palermo, że wy, *signore*, podobnie jak wielu innych, wykorzystujecie pewne osoby, aby zagwarantować bezpieczeństwo swoich nieruchomości. I że osoby te należą do związku przestępczego, do którego miał należeć również oskarżony. A ten związek nazywa się mafia.

Ignazio porusza się na krześle.

– To są pracownicy pochodzący z miejscowości, w której mieszkam. To uczciwi, honorowi ludzie. A deputowany Palizzolo...

– *Signor* Palizzolo – poprawia Frigotto.

– ...jest bardzo ważną osobą w Palermo i zawsze pomaga tym, którzy przychodzą do niego w potrzebie.

– Czy muszę wam przypominać, że zeznajecie pod przysięgą, *signor* Florio?

Ignazio krzyżuje ręce na piersi.

– Wiem to doskonale. Moja rodzina zna od dawna Raffaelego Palizzolo, który jest spokrewniony także z moją żoną i...

– ...i przekupywał oraz manipulował, aby uzyskać dla was względy w parlamencie. Dajcie spokój, nie róbcie tej obrażonej miny; wszyscy wiedzą, że wy, Sycylijczycy, zawsze pomagacie sobie nawzajem i z pewnością nie patrzycie na to, czy swoje prośby kierujecie do uczciwych ludzi czy do ludzi o złej reputacji.

Na sali podnosi się szmer. Tym razem to reporterzy z Południa protestują. Nawet jeden z prawników powoda, Giuseppe Marchesano, głośno wyraża swoje oburzenie.

Zachęcony tym, Ignazio pochyła się do przodu.

– Widzicie, panie przewodniczący, taki *sklepikarz* jak ja musi myśleć o przyszłości swoich przedsiębiorstw i wie, że trzeba mieć silny głos, aby pewne postulaty trafiły do instytucji. Deputowany Palizzolo zawsze miał na uwadze interesy Sycylii...

– I Floriów! – krzyczy ktoś z widowni.

Ignazio odwraca się i rozpoznaje dziennikarza: to palermiańczyk piszący do „La Battaglia”, socjalistycznej gazety, której patronuje Alessandro Tasca di Cutò.

Mecenas Marchesano wstaje z miejsca.

– Signor Florio, wezwaliśmy was tutaj, aby wyjaśnić jedną sprawę. Czy prawdą jest, że Raffaele Palizzolo zaproponował wam zakup nieruchomości o nazwie Villa Gentile, abyście wybudowali tam domy dla waszych pracowników?

Ignazio marszczy brwi.

– Tak, ale nie przyjąłem tej propozycji.

– Dlaczego?

– No cóż, nie pamiętam.

– Gdyby Palizzolo poprosił was o pożyczanie mu znacznej sumy, czy dalibyście mu ją?

– Gdybym miał taką sumę do dyspozycji, tak, oczywiście. Jak już mówiłem, jest to osoba, którą znam, nie mówiąc już o tym, że należy poniekąd do rodziny...

– Czy uważacie, że Palizzolo jest zdolny do popełnienia morderstwa lub bycia jego zleceniodawcą?

Ignazio mruga.

– Nie, absolutnie nie! – prawie krzyczy. – Poza tym w tej brzydkiej aferze jego nazwisko pojawiło się dopiero po tym dziwnym procesie w Mediolanie i...

– Dziękuję – przerywa mu Marchesano. – Panie przewodniczący, nie mam więcej pytań.

– Możecie iść, signor Florio – mówi Frigotto, nawet na niego nie patrząc.

\*\*\*

Ignazio jest tak zirytowany, że ledwo zauważa gęstą mgłę, która wita go przy wyjściu z sądu. Przechadza się po placu, stukając laską. „Jak ten sędzia śmiał mnie tak potraktować? I co on wie o Sycylii? – myśli ze złością. – Trzeba na niej mieszkać, żeby zrozumieć. Trzeba jeść jej sól i pył, trzeba połykać, jeśli samemu nie chce się być

połkniętym i przeżutym, zrobić z siebie psa, jeśli nie chce się skończyć jak obgryzana kość”. Przystaje, oddychając głęboko zimnym powietrzem. Ta mgła, która skrywa przed nim miasto i zamienia budynki, przechodniów i powozy w widziadła, wywołuje u niego rozpaczliwe westchnienie. „Wy z Północy nic nie wiecie. Uważacie się za świętych i nie zrozumieliście, że do nieba dostaniecie się tylko wtedy, gdy będziecie wiedzieć, czym jest grzech. A na Sycylii grzechem, od którego nikt nie jest wolny, jest to, że się wie, ale nie można mówić”.

\*\*\*

– Donna Franca... – Służąca stoi w progu, z ręką opartą o futrynę, bez ruchu. – Wybaczcie, że przeszkadzam, ale wasza córka nie czuje się dobrze. Ma gorączkę.

Franca siedzi przy toaletce swojej sypialni w Villi Igiea. Spogląda w górę znad złotej siatki, do której właśnie chowa biżuterię noszoną poprzedniego wieczoru na kolacji u hrabiostwa Lanza di Mazzarino. W kwestii klejnotów nie ufa służbie, nawet Diodacie; woli zajmować się nimi sama.

Pokój jest zagracony walizkami i kuframi, a garderobiana porządkuje i układa strojeienne i wieczorowe, peniuary i obuwie. Następnego dnia Franca, jej matka, Giovanna i dzieci wyjeżdżają do Bawarii. Właśnie spędziły razem lipiec w Tunisie. A wcześniej, w maju, byli na Favignanie, aby oglądać rzeź tuńczyka, razem z rodziną Trigona, diukiem Palmy Giuliem i jego żoną Bice, bratem diuka Ciccim Lampedusą, Carlem di Rudinì, Francescą Grimaud d’Orsay oraz wieloma krewnymi i przyjaciółmi, kuzynami d’Ondes i Ettorem De Maria Berglerem. Były to bardzo przyjemne dni, wypełnione spacerami po wyspie, wycieczkami łodzią, długimi leniwymi rozmowami i nieformalnymi kolacjami.

Przynajmniej do czasu przybycia cesarzowej Eugonii, wdowy po Napoleonie III. Melancholijna i życzliwa staruszka zdobyła sympatię wszystkich i z wielkim zainteresowaniem obserwowowała mattanę, wydając nawet okrzyki zdumienia. Franca oczywiście zadbała

o każdy szczegół jej pobytu, zorganizowała też wspaniałą kolację, a w zamian otrzymała niemałą ilość pochwał. Cesarzowa pogratulowała jej szczególnie tego, że zaledwie kilka tygodni wcześniej Franca została mianowana damą dworu królowej Heleny.

Ignazio jednak, nie mając za sobą pokoleń arystokratycznego pochodzenia, nie został uczyniony królewskim kawalerem i bardzo go to irytowało. Tę irytację wzmogły jeszcze proces Palizzola, który zakończył się wyrokiem trzydziestu lat więzienia, oraz opóźnienie wyjazdu na Favignanę, gdyż Ignazio musiał wziąć udział w ceremoniach upamiętniających śmierć Francesca Crispiego, która nastąpiła dokładnie rok wcześniej, 11 sierpnia 1901 roku. Chcąc nie chcąc, dołączył do procesji przedstawicieli izby deputowanych i senatu, a dotarwszy na cmentarz Kapucynów, musiał nie tylko wysłuchać niekończących się mów, ale też uczestniczyć w ekspozycji ciała, które niedawno zostało zabalsamowane. „Mumią się stałeś i mumią zostaniesz”, pomyślał wtedy Ignazio, rzucając ku zmarłemu ostatnie spojrzenie i ocierając pot z czoła.

Dlatego też przybył na Favignanę w złym humorze i rozładował go, kręcąc się wokół Bice na oczach jej męża i Franki. A Bice bynajmniej go nie odtrącała.

Franca jak zwykle odwróciła wzrok. Tytuł damy dworu dał jej nowy powód do dumy, połączony z silnym poczuciem kolejnej wygranej w rywalizacji z mężem. Nie była już tylko piękną żoną i matką dziedzica jednego z najbogatszych rodów Europy: teraz mogła też gościć w swojej rezydencji władców i cieszyła się ich szacunkiem. Jeden romans Ignazia mniej lub więcej – jakie to miało znaczenie?

Przed wyjazdem cesarzowa chciała pożegnać się także z dziećmi. Z uśmiechem czułości Franca wspomina zaspane buzie Giovannuzzy, Baby Boya i małego Giuseppego Tomasiego, syna Bice, jak ubrani z niezwykłą starannością, czekali o siódmej rano na jej cesarską wysokość, zanim wsiadła na swój jacht. Tylko Igiea spała spokojnie w kołysce.

Franca otrząsa się z tych myśli.

– Która? Igiea czy Giovannuzza? – pyta z nutą irytacji w głosie.



Jeśli któraś z jej córek zachoruje, będą musieli odłożyć wyjazd, przynajmniej na kilka dni, a ona bardzo chce uciec od palermiańskiego upału. I od Ignazia, którego obecność w tym czasie znosi z trudem. Potrzebuje świeżego powietrza, ludzi, pogody ducha.

– Signorina Giovannuzza. – Służąca nerwowo splata palce. Jest widocznie zdenerwowana.

– Idę.

Franca przemierza pokoje w peniuarze, jedwab wiruje wokół jej kostek, jej kroki tłumi gruby dywan. Wchodzi do pokoju Giovannuzzy. Dziecko leży w łóżku, policzki ma czerwone od gorączki, oczy spuchnięte i półprzymknięte. Franca nie po raz pierwszy myśli, że jej córka wygląda na więcej niż swoje osiem lat, może z powodu melancholii, która zawsze ją cechowała, a może dlatego, że jest smukła i szczupła, tak jak ona.

– *Maman...* – mówi Giovannuzza zachrypniętym głosem i wyciąga rękę.

– Jak się czujesz, kochanie?

– Tak bardzo boli mnie głowa i... *ich habe Durst*<sup>56</sup>...

Franca zerka na szafkę nocną, szukając karafki z wodą. Guwernantka natychmiast idzie do stołu na środku pokoju, nalewa trochę wody do szklanki i podaje dziewczynce. Następnie cofa się na swoje miejsce.

Franca pomaga Giovannuzzy usiąść. Mała upija łyk, ale zaraz potem gwałtownie kaszle i wypluwa płyn na pościel.

– Wszystko mnie boli, mammo – mamroce i wybucha żalnym płaczem.

Franca osusza jej twarz chusteczką, tuli córkę do siebie. Czuje, że dziewczynka jest rozpalona. Coś w niej drży. Zdrowie Giovannuzzy zawsze budziło niepokój, ale to nie wygląda na jedną z jej zwykłych gorączek.

– Wezwijcie lekarza. Nie naszego, jest za daleko. Hotelowego – poleca guwernantce. Potem całuje córeczkę, bierze ją w objęcia. – Jestem tu – mruczy, kołysząc ją w ramionach. – *Hab keine Angst, mein Schatz...* – Nie bój się, moja kochana...

\*\*\*

Lekarz pojawia się bardzo szybko. To szczupły, poważny mężczyzna o twarzy naznaczonej latami i doświadczeniem. Franca przebrała się i obserwuje badanie z coraz większym niepokojem. Doktor uśmiecha się do Giovannuzzy, traktuje ją z wielką delikatnością, ale widać, że jest zaniepokojony.

Po badaniu lekarz i Franca wychodzą z pokoju i zatrzymują się za drzwiami. W tej samej chwili pojawia się Maruzza.

– No i? – pyta Franca, mnąc w palcach chusteczkę.

– Obawiam się, że to dur brzuszny – odpowiada lekarz. – Ma spuchnięte oczy, wysoką gorączkę, spowolnione odruchy... Wszystkie objawy infekcji.

Franca zbliża dłonie do ust i wpatruje się w zamknięte drzwi.

– Ale jak się mogła zarazić?

Mężczyzna rozkłada ręce.

– Mogła wypić zakażoną wodę lub zjeść coś zainfekowanego. Kto wie? Ale teraz nie ma co się nad tym zastanawiać, nic to nie da. Pomyślcie raczej o odizolowaniu jej od innych i o stałym utrzymywaniu jej w czystości. Każcie służbie wygotować jej pościel.

Maruzza ściska ramię Franki, która nadal wpatruje się w mężczyznę otępiałym wzrokiem.

– Zajmę się tym – mówi.

– Mogę jej upuścić nieco krwi, aby złagodzić ból głowy, i podam dwadzieścia pięć kropli nalewki jodowej w szklance mleka, ponieważ wydaje się, że...

Franca go nie słucha. Mimo upału ma wrażenie, że przygniata ją warstwa lodu.

– Moja mała dziewczynka... – mamroce. – Giovannuzza *mia*... – I dotyka drzwi, jakby jej pieszczota mogła dosięgnąć córki.

Lekarz opuszcza głowę.

– Musicie to wiedzieć od razu, donna Franca: to niebezpieczna choroba. Moja rada to zabrać dziecko w mniej upalne miejsce, gdzie będzie mogło lepiej oddychać, z dala od wilgoci morza.

Franca otrząsa się, oczyszcza gardło.

– Nie może podróżować, prawda?

Lekarz potrząsnął głową.

– Ale... gdybyśmy zabrali ją do naszej willi poza Palermo, na wzgórzach?

– Byłoby zdecydowanie lepiej. – Lekarz ściska jej dłoń, uśmiecha się. – Dajcie mi znać.

\*\*\*

Giovannuzza zostaje przewieziona z Villi Igiea do Villi ai Colli automobilem. Prowadzi go Vincenzo, który żartuje z bratanicą i próbuje ją rozśmieszyć. Ta mała dziewczynka o dużych ciemnych oczach ma specjalne miejsce w jego sercu i zawsze odwzajemniała uczucia życzliwego stryja. Teraz jednak, zawinięta w koce i prześcieradła, Giovannuzza jedynie słabo się uśmiecha. Przez większą część podróży pogrążona jest w odrętwieniu, od czasu do czasu jęczy i ściska swoją ukochaną lalkę Fanny w różowej sukience. W połowie drogi zasypia. Franca poprawia jej koc i zabiera zabawkę.

„Co ci jest? Co się z tobą stało, moja maleńka?“, myśli i czuje, jak serce ściska jej imadło niepokoju.

Wzbijając chmurę kurzu, auto zatrzymuje się przed wejściem do willi.

– Tutaj będzie ci lepiej – mówi Vincenzo do Giovannuzzy, biorąc ją na rękę, aby zanieść dziewczynkę do domu. – Jak tylko wyzdrowiejesz, zabiorę cię na przejażdżkę. Pojedziemy tak szybko, że aż ci czapka z głowy sfrunie. Aż do przylądka Gallo, żeby zobaczyć rybaków wracających z morza.

– Dziękuję, stryjku – mówi Giovannuzza.

Potem ciągnie go za wąsy – to gra, w którą się bawią, odkąd po raz pierwszy udało jej się wdrapać na jego kolana. Po chwili jednak zaczyna szukać wzrokiem matki. Franca podchodzi do niej.

– Co tam, kochanie?

– Fanny...

Franca odwraca się do Maruzzy, trzymającej drugi koc i koszyk z zabawkami, z którego wygląda porcelanowa lalka. Podaje ją Giovannuzzy, a ta mocno ściska Fanny.

– Jej też jest bardzo, bardzo zimno... – mamroce.

Służące nie czekają nawet na polecenie Franki i biegną ogrzać łóżko dziecka.

\*\*\*

Tego wieczoru Ignazio otwiera drzwi do pokoju, w którym umieszczono Giovannuzę. Powietrze ciężkie od balsamicznych aromatów, które mają pomóc jego córce lepiej oddychać, uderza go jak policzek.

Twarz dziewczynki jest czerwoną plamą na poduszce. Twarz Franki jest marmurowa.

Ignazio podchodzi do córki, pochyla się, całuje ją, a ona ledwo otwiera oczy.

– *Oh, daddy* – mówi. – Tak źle się czuję...

– Wiem, serce moje – odpowiada, kładąc dłoń na jej policzku, ale natychmiast ją cofa, tak gorąca jest jej skóra. Podnosi głowę, szukając wzroku Franki.

Ona siedzi po drugiej stronie łóżka, patrzy na niego oczami pełnymi udreki. Po raz pierwszy od dłuższego czasu prosi go o pomoc w zamknięciu ran, które otwierają się w jej sercu. Ignazio nie ma wątpliwości, że żona wolałaby być na miejscu swojej córki, byle nie patrzeć na jej cierpienie. Pytanie, które odczytuje w jej oczach, przeraża także jego. Przez kilka chwil pozostają bez ruchu, patrzą na siebie. Potem on pokazuje jej gestem, by wyszli z pokoju, i Franca idzie za nim. Gdy tylko zamykają się za nimi drzwi, wybucha płaczem.

– Ona jest bardzo chora, Ignazio, nie wiem, co robić. Boże, pomóż nam...

Ignazio nie odpowiada. Trzyma żonę blisko siebie, gładzi jej włosy tak, jak tego nie robił od dawna, ruchem niegdyś będącym wyrazem miłości, a teraz – pocieszenia, co przynajmniej na chwilę

uspokaja ich oboje. Franca przyjmuje pieśczoę z westchnieniem i opiera się o jego pierś.

– Boję się – mówi niemal bezgłownie.

„Ja też się boję”, myśli on, ale nie może nic powiedzieć. Bo zapach, który poczuł u córki, przywołał wspomnienie pokoju, w którym zmarł jego brat Vincenzo. A jeszcze wcześniej tego, w którym zmarł jego ojciec. Ten kwaśny odór ciała próbującego uchronić się przed chorobą, uwięzionego w bezruchu tak bardzo – za bardzo – przypominającym śmierć, ściska mu żołądek i odbiera słowa.

Tego, że jego córka może umrzeć, że jej los może być podobny do losu jego brata, Ignazio nie potrafi sobie nawet wyobrazić.

Tak więc następnego dnia, gdy Giovannuzza zapada w głęboki letarg, a chwilami w delirium, Ignazio używa broni, którą posiada: władzy i pieniędzy. Posyła po Augusta Murriego, profesora medycyny klinicznej na Uniwersytecie w Bolonii. Medycznego geniusza, autora fundamentalnych traktatów o gorączce i urazach mózgu, podziwianego we Włoszech i za granicą. Wedle wszystkich relacji – przyjaciół, znajomych, innych lekarzy – jest najlepszy. On jeden może ją uratować.

Kiedy więc cała rodzina zbiera się w Villi ai Colli, Ignazio wzywa go do Palermo. Zapewnia mu specjalny pociąg do Neapolu, a stamtąd parowiec na Sycylię; wreszcie samochód, który przywiezie go do willi.

Tymczasem za bramą czeka Palermo. Chora jest mała dziewczynka, niewinna dusza. Na bok odchodzą spory, zawiści, oszczerstwa: przybywa służba z innych domów, pytając o wiadomości dla swoich państwa, przynosząc bileciki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia lub informując, że za Giovannuzę odmawiane są różańce. Wieści są coraz gorsze. Dziewczynka często zapada w delirium, nie je, nie rozpoznaje prawie nikogo poza matką i babką, której imię nosi.

Kiedy przyjeżdża doktor Murri, od kilku godzin jest nieprzytomna. Franca siedzi przy jej łóżku. Jest blada, wyczerpana, włosy opadają jej na twarz, ma spuchnięte od łez oczy, a w rękach mokrą chusteczkę. Kilka razy próbowała obudzić córkę, dać jej kilka

łyków mleka, zwilżyć zimną wodą spierzchnięte usta, ale dziecko już nie reaguje.

Augusto Murri to sześćdziesięcioletni mężczyzna. Gdy chodzi, lekko pochyla się do przodu. Emanuje spokojną pewnością siebie. Łysieje i nosi siwe sumiaste wąsy. Gestem prosi Francę, żeby wyszła, ale ona tylko bez słowa prostuje się w fotelu. Ignazio staje obok niej. Nie ruszą się stamtąd.

Murri osłuchuje klatkę piersiową dziewczynki, sprawdza jej odruchy, próbuje je pobudzać. Ścisną go w gardle na widok spojrzeń tych dwojga, o których nawet on czytał w kronikach towarzyskich. Ale podróże, klejnoty, bajeczne przyjęcia teraz nie mają żadnego znaczenia. Teraz Floriowie są tylko ojcem i matką, połączonymi przez pożerający ich strach.

Wreszcie, gdy pokojówki poprawiają łóżko, lekarz prosi oboje, by wyszli za nim na zewnątrz. Na korytarzu stoją Giovanna i Costanza, dwie babki ściskające w palcach paciorki różańca. Obok nich Maruzza.

Mężczyzna chrząka. Mówi powoli, ze spuszczonej oczami.

– Przykro mi bardzo. Moim zdaniem to nie jest tyfus. – Robi pauzę, długą, ciężką. – To zapalenie opon mózgowych.

– Nie! – Franca się zatacza. Zanim Ignazio zdąży ją podtrzymać, Costanza obejmuje ją ramieniem, by nie upadła. Z drugiej strony podpira ją Maruzza. Kobiety przylegają do siebie, głowa przy głowie, niezdolne wypowiedzieć słowa. Ciche łzy płyną po twarzy Franki, jej oczy są wielkie i ciemne.

Te słowa spadają jak kamień w głąb jej świadomości. Zapalenie opon mózgowych... Franca zaczyna drżeć, a matka, szlochając, obejmuje ją jeszcze mocniej.

Ignazio stoi bez ruchu. Czuje się tak, jakby porywał go wściekły prąd wsysający powietrze, ludzi, rzeczy, a nawet światło.

– Ale... – zaczyna i nie ma sił kontynuować.

Patrzy przez okno wychodzące na ogród i przez chwilę zdaje mu się, że widzi ojca spacerującego wraz z Vincenzinem w pomarańczowym gaju, który tak bardzo kochał.

Głos lekarza wyrywa go ze stuporu.

– Zastosujemy niezbędne leczenie – mówi Murri stanowczym głosem. – Jest jeszcze przestrzeń na interwencję i zrobimy wszystko, aby udzielić jej pomocy i ulżyć w cierpieniu. Nie ma dwóch takich samych pacjentów i małą Giovannę trzeba otoczyć niezwykłą troską i uwagą. Muszę jednak być szczery: szanse na odzyskanie zdrowia są bardzo małe. Nawet jeśli dziewczynka wyzdrowieje, może być poważnie upośledzona w mowie lub ruchach. – Patrzy na Francę, która jest na granicy omdlenia. – Musicie być silna, signora. Czekają was trudne dni.

Franca wyciąga rękę, szuka dłoni Ignazia, ścisną ją.

Potrzebuje bliskości ojca swojej córki. Mimo wszystkiego, co wydarzyło się między nimi przez te lata, chce mieć pewność, że nadal mogą być razem. Że mogą wspólnie pokonać kolejny odcinek drogi. Że ta miłość nie zużyła się całkowicie. Że zmierną się z tym bólem ramię w ramię. Że on nie zostawi jej samej w tych najciemniejszych chwilach. Że nie pochłonie ich pustka, która otwiera się pod ich stopami.

Pozostaje nic nadziei i Franca się jej trzyma. Jeśli choroba będzie miała swoje konsekwencje, zmierną się z nimi, bez względu na wszystko. Franca zostanie z Giovannuzzą, pomoże jej stać się taką kobietą, jaką zawsze sobie wyobrażała. Nie chce i nie potrafi zrozumieć, że granica między iluzją a nadzieją się zaciera, a miłość w połączeniu z rozpaczą jest w stanie zrodzić najboleśniejże z kłamstw.

\*\*\*

Nadchodzi świt 14 sierpnia 1902 roku, kiedy Franca budzi się obok Giovannuzzy. Zasnęła tylko na chwilę. Z ogrodu dobiega świergot ptaków witających dzień, a światło bardzo delikatnie rozjaśnia białe zasłony. W pokoju jest rześko; delikatna woń trawy przegoniła duszące zapachy choroby i lekarstw.

Dziewczynka leży nieruchomo na boku, odwrócona do matki plecami, jej czarne włosy rozsypały się na poduszce. Franca pochyła się, by na nią spojrzeć, dotyka jej: wydaje się świeższa i nawet

rumieniec nieco ustąpił. Guwernantka zasnęła w fotelu, reszta domu śpi w ciszy.

Przez chwilę Franca myśli, że może kuracja przyniosła efekt. Że gorączka ustąpiła i Giovannuzza się obudzi. Jakie to ma znaczenie, czy będzie utykała lub dziwnie mówiła? Będą szukać najlepszych lekarzy, zabiorą ją do Francji lub Anglii. Będą długo zostawać na Favignanie, gdzie można oddychać morskim powietrzem i być sobą z dala od wścibskich oczu. Ważne, że żyje. Żyje.

Ponownie wyciąga rękę, kładzie ją na policzku córki.

I wtedy uświadamia sobie, że dziecko jest zimne. I nie blade, lecz popielate. Że wszystkie marzenia, pragnienia, aspiracje, jakie z nią wiązała, rozpadły się na drobne kawałki. Że Giovannuzza nigdy nie dorośnie, że Franca nie zobaczy jej w sukni panny młodej, że nie będzie u jej boku, gdy zostanie matką.

Porcelanowa lalka Fanny leży na skraju łóżka. Franca podnosi ją, a następnie kładzie w ramionach dziecka. Znowu ją pieści, szepce „Kocham cię”, choć wie, że nie usłyszy odpowiedzi, bo jej córeczka już nigdy nie rzuci się w jej ramiona, wołając: „Ja ciebie też, mamusiu!”.

Rysa na duszy pęka i wylewa się z niej fontanna bólu, zalewa Francę, dusi.

Giovanna Florio, jej córka, nie żyje.

Franca zaczyna krzyczeć.

\*\*\*

W straszliwych dniach po pogrzebie Giovannuzzy Ignazio stara się pomóc France w jedyny sposób, w jaki umie: próbuje zabrać ją z Palermo, trzymać z dala od miejsc przypominających jej o córce. Ale gdy ją zapytał, gdzie chce jechać – do Londynu? do Paryża? do Bawarii? może do Egiptu? – Franca przez dłuższą chwilę patrzyła na niego pustym wzrokiem. W końcu powiedziała tylko jedno słowo:

– Favignana.

Wsiadają więc na „Virginie”, szybki parowiec, którym docierają na wyspę, i zostają we dwoje w pałacu przy porcie, niedaleko



tonnary. Franca wychodzi wcześniej rano i nie wraca do domu aż do późnego popołudnia; mówi, że idzie na spacer, a wieczorem jest tak zmęczona, że często kładzie się spać bez kolacji. Ignazio stara się wypełnić swoje dni korespondencją przychodzącą z Palermo dotyczącą odlewni. Ale się martwi.

Pewnego ranka postanawia podążyć za nią w jej wędrówce.

Postać żony, jeszcze bardziej wysmuklona przez czarną suknię, porusza się niczym upiór po ścieżkach prowadzących w stronę wzniesień za tonnara. Kobieta chodzi, gestykuluje, czasem się śmieje. Co jakiś czas zatrzymuje się, patrzy na morze, zawraca. I tak raz po raz.

Dopiero zbliżywszy się do niej, Ignazio rozumie.

Franca rozmawia z Giovannuzzą: mówi jej, że ją kocha, że jej lalki na nią czekają, że następnego lata wszyscy razem pójdą popływać, że na urodziny da jej jedwabną sukienkę. Woła ją półgłosem, jak to miała w zwyczaju, gdy dziewczynka bawiła się w chowanego z dziećmi ich gości.

Chciała przyjechać do Favignany, bo tam była szczęśliwa z Giovannuzzą.

Jest to sposób – rozpaczliwy, łamiący serce – na pozostanie blisko córki.

Ignazio cofa się z ciężkim sercem i łzami palącymi powieki. Śmierć nie tylko zabrała mu córkę, lecz także okradła go ze spokoju i piękna żony, a on nie może na to pozwolić, nie może. Zbyt wiele już mu skradziono i nawet nie chce myśleć, co by się stało, gdyby Franca oszalała. Lepiej, tysiąc razy lepiej, wrócić do miasta.

Jednak po powrocie do Palermo Franca zamyka się na długie godziny w pokoju dziewczynki w Olivuzzy. Wydała polecenie, by nikt tam niczego nie dotykał; nie chce nawet, aby opróżniono szafy z ubrań. Jest tam jeszcze jej zapach, mieszanka talku i fiołków, a na toaletce leżą jej szczotki do włosów. Jeśli zamknie oczy, słyszy, jak dziecko chodzi po pokoju swoim lekkim krokiem. Siedzi na łóżku, jedną rękę kładzie na poduszce, drugą ściska porcelanową lalkę. Nie Fanny. Fanny leży w trumnie z Giovannuzzą.

W tym stanie pewnego październikowego popołudnia znalazła ją teściowa. Giovanna kazała dzieciom modlić się za ich małą siostrę,

„która poszła do nieba z aniołkami”, a potem trochę się z nimi bawiła: zarówno Baby Boy, który ma cztery i pół roku, jak i Igiea, która ma dwa i pół, bardzo cierpią z powodu nieobecności matki, są kapryśne i niespokojne.

Giovanna siada bez słowa obok Franki. Obie ubrane są na czarno, jedna sztywna w swoim nowym bólu wgrzyzającym się w jej ciało, druga zgarbiona, obciążona brzemieniem lat. Franca spuszcza oczy, mocniej ściska lalkę. Nie chce, żeby jej mówiono, jak ma postępować, że musi być silna, bo ma dwójkę dzieci i powinna o nich myśleć, i że wciąż jeszcze może urodzić więcej. Zbyt wiele razy już to słyszała, zbyt wiele kobiet jej to mówiło, począwszy od Giulii i Maruzzy. Jedyną reakcją na te słowa była jeszcze bardziej zapiekła złość.

Bo ośmioletnie dziecko nie powinno umierać. I nie rodzi się dziecka, żeby zastąpić nim inne.

Giovanna trzyma w jednej ręce swój koralowo-srebrny różaniec, a w drugiej przyciśniętą do piersi fotografię. Pokazuje ją synowej.

– Być może nigdy nie widziałas tego zdjęcia mojego Vincenzina. Miał dwanaście lat.

W palcach Giovanny fotografia dziecka w przebraniu karnawałowym. Mały muszkieter o łagodnym i nieśmiałym spojrzeniu.

– Był pięknym *picciriddu*. I takim słodkim. Dorastał do roli głowy tej rodziny, a mój mąż, niech odpoczywa w pokoju, kazał mu się uczyć, zawsze go zachęcał. Ale Vincenzino był delikatny, zbyt delikatny. – Głos Giovanny się łamie.

Franca otwiera oczy, odwraca się.

Patrzenie na Giovannę jest jak przegłądanie się w lustrze.

I Franca jej słucha, choć robi to wbrew sobie. Jej własny ból, jak sądzi, jest wyjątkowy i należy tylko do niej. Kładzie lalkę na łóżku, pyta:

– A potem? Jak się czuliście?

– Jak ktoś żywcem odarty ze skóry. – Giovanna przesuwając ręką po łóżku, gładzi twarz lalki, jakby to była twarz jej wnuczki. – To mnie powinien Pan zabrać, nie ją – mówi. – Jestem stara i moje życie się skończyło. Ale ona... ona była jak kwiat. – Podnosi głowę.

Z twarzy tej starej kobiety o poszarzałej skórze i pomarszczonych policzkach synowa odczytuje gorycz życia pozbawionego miłości i czułości połączoną z rezygnacją, która jest może nawet bardziej bolesna niż cierpienie. I uświadamia sobie, że nigdy nie widziała teściowej naprawdę uśmiechniętej, z wyjątkiem tych chwil, gdy przebywała z wnukami. Zwłaszcza z Giovannuzzą.

– Zawsze będziesz o tym myśleć. O wszystkim, co mogła zrobić i czego nigdy nie zrobi, o tym, że nigdy nie zobaczysz, jak dorasta, że nigdy nie dowiesz się, kim by się stała. Będziesz o niej cały czas myślała, a dopiero później będziesz sobie uświadamiać, że umarła. Będziesz widziała ubrania, zabawki... rzeczy, które będziesz chciała jej kupić, i dopiero potem przypominasz sobie, że nie możesz. Tak będzie co dzień i to się nie skończy, bo dla ciebie ona zawsze będzie żyła.

– A więc to się nigdy nie skończy? – pyta Franca niemal bezdźwięcznie.

– Nigdy. Mój mąż też umarł i tylko Bóg wie, jak go kochałam... Ale śmierć dziecka to coś, czego nie można zrozumieć. – Podnosi rękę przed siebie, zaciska ją w pięść. – *Comu si t'ascippassero u cori.*

Jakby ci serce wyrwali. Tak, to właśnie takie uczucie. Przez chwilę Franca przeżywa moment narodzin swojego dziecka, kiedy czuła, jak ono się z niej wykluwa. Być może już wtedy zaczęła ją tracić.

Teściowa gładzi ją po ramieniu, wstaje. Czekają na nią z kolacją, mówi miękko. Może nie przyjmować wizyt kondolencyjnych, ale musi się odżywiać ze względu na tych, którzy pozostali.

Franca daje znak głową, że tak, przyjdzie na posiłek. Ale kiedy zostaje sama, powoli opada na łóżko i kuli się na środku. Lampa, którą zostawiła teściowa, oświetla jej ostry profil. Kobieta przesuwając dłoń po oczach. Chciałaby już więcej nic nie widzieć, nie słyszeć, nie dbać o nic i o nikogo. Chciałaby być stara jak Giovanna, stara i zrezygnowana, nie czuć nic więcej poza bólem ciała niezdolnego do buntu przeciwko upływowi czasu. Ma jednak dwadzieścia dziewięć lat, istota, która dała jej najwięcej miłości w całym życiu, została jej odebrana, a ona musi iść dalej.

\*\*\*

– Przepraszam, don Ignazio. – W drzwiach zielonego salonu stoi służący. – Księżę Cutò przybył. Czy mogę go wprowadzić?

Ignazio podnosi głowę znad papierów. Zupełnie o tym zapomniał. Przesuwa dłonią po zmęczonej twarzy.

– Oczywiście.

Po chwili pojawia się Alessandro Tasca di Cutò. Zatrzymuje się w drzwiach, czeka, obracając w rękę kapelusz, i patrzy na Baby Boya siedzącego na dywanie i bawiącego się blaszanym pociągiem.

– Wejdz. Dziękuję, że przyszedłeś – mówi Ignazio, wstając z sofy.

– Przyszedłem złożyć kondolencje. Rozmawiałem już z twoją teściową i chciałbym zobaczyć się też z twoją żoną.

– Franca jest wciąż w bardzo złym stanie i nikogo nie przyjmuje – odpowiada Ignazio. Gładzi blond loki syna, który natychmiast podnosi głowę i wyciąga małe rączki. Jest bardziej niespokojny niż zwykle i usilnie próbuje zwrócić na siebie uwagę ojca, od którego trudno mu się oderwać.

– Wiem – odpowiada szybko Alessandro. – Powiedziała mi moja siostra Giulia. I dlatego pozwoliłem, by upłynęło tyle czasu, za co przepraszam.

Ignazio odwraca się do stolika, na którym położył dokumenty, zamyka teczkę z napisem CAPRERA, po czym mówi:

– Chodźmy do ogrodu, dam trochę pobiegać małemu. I myślę, że ty też wolałbyś przebywać w... hmm, otwartej przestrzeni.

Alessandro krzywi się, ale nie ripostuje. Jest już przyzwyczajony do podobnych złośliwostek. Właśnie spędził pięć miesięcy w więzieniu Ucciardone, skazany za zniesławienie byłego burmistrza Palermo, Emanuela Paternò, którego oskarżał o złe zarządzanie administracją miejską. Wyrok wywołał liczne wyrazy solidarności z człowiekiem, którego wszyscy nazywali teraz „czerwonym księciem” z powodu jego socjalistycznych poglądów.

– *Come on, Baby Boy.* Idziemy na dwór, chodź – mówi Ignazio do malca, który natychmiast łapie go za rękę i ciągnie w stronę wyjścia.

Ledwie znaleźli się w ogrodzie, Baby Boy biegnie, krzycząc, że chce wsiąść na welocyped, podarowany mu przez wujka Vincenza. Ignazio skinieniem głowy prosi służącego, by zaopiekował się jego synem. Mężczyźni idą przez chwilę w milczeniu, pod niebem zabrudzonym szarymi chmurami. Pierwszy odzywa się Alessandro.

– Cieszę się, że przynajmniej ty pracujesz – mówi.

– Staram się. – Ignazio odwraca wzrok od kamiennej ławki przed wolierą, gdzie Giovannuzza często przesiadywała z matką. – Jest wiele do zrobienia. A Dom Florio się nie zatrzymuje.

– Ach, jasne, interesy nie mają względu na nikogo, niestety. Widzę, że pracujesz nad nowym parowcem, nad „Caprerą”. Kiedy planujecie go zwodować?

Czerwony książę ma dobry wzrok, myśli Ignazio z niejakim rozdrażnieniem. Ale nie chce mówić za wiele. A już na pewno nie chce upubliczniać napięcia, jakie powstało między nim a Erasmem Piaggiem, ani tego, że zaufanie do genueńskiego administratora zostało nadszarpnięte przez jego liczne – zbyt liczne? – interesy na Północy... Navigazione Generale Italiana ma swoje serce w Palermo i w Palermo ma pozostać.

– Mam nadzieję, że w przyszłym roku – odpowiada w końcu. – Ale najpierw będę musiał rozwiązać pewne kwestie.

– A jak sobie radzi konsorcjum agrarne? Wiem, że zawarliście dobre umowy sprzedaży.

– Nie aż takie, by pokryć koszty. Ale to sprawa drugorzędna, przynajmniej dla mnie. Najbardziej interesuje mnie to, żeby stocznia była wreszcie ukończona: budowa „Caprery” będzie dowodem na to, że możemy konkurować ze stoczniami toskańskimi i liguryjskimi. Ale trudno przekonać tych, którzy nie chcą słuchać. Z Rzymem na czele, jak się domyślasz.

– Wśród robotników panuje ostrożny optymizm. Po zeszłorocznych zwolnieniach...

– Znowu ta historia?! – wykrzykuje Ignazio. – Czy nie macie już dość opowiadania jej? A może nie wiecie, jak spędzać wieczory w tej Izbie Pracy, której wy, socjaliści, tak bardzo chcieliście?

Alessandro sztywnieje.

– Wiesz dobrze, że Izby Pracy *chciał*, jak to mówisz, głównie Garibaldi Bosco. Który z pewnością nie jest wrogo nastawiony ani do ciebie osobiście, ani do Domu Florio. Wręcz przeciwnie...

– Tak, ty natomiast jesteś przekonany, że tacy przedsiębiorcy jak ja, pełni błędnych poglądów, są winni wszelkiemu złu na Sycylii i że wystarczy wezwać zwykłych ludzi do jedności, by coś zmienić. Napisałeś to i powtarzałeś do znudzenia na łamach „Battaglii”.

– Nie możesz znieść, że jakaś gazeta przynajmniej raz w tygodniu odkłamuje to, co pisze „L’Ora”? Często się zastanawiałem, co takiego zrobiłeś, że Morelli od ciebie odszedł i wrócił do „Trybuny”, a ty postanowiłeś, że gazetą będzie kierować ten Sardyńczyk, Medardo Riccio.

Metaliczny dźwięk przerywa spokój ogrodu. Papugi w wolierze się niepokoją, a z palm podnosi się stadko gołębi. Czarny samochód, wzbijając chmurę kamyków i pyłu, zatrzymuje się przed nimi na podjeździe.

Vincenzo, w płócienniej czapce i goglach, wysiada z samochodu i podaje rękę Alessandrowi. Jeśli nawet wyczuwa napięcie między gościem a bratem, nie daje tego po sobie poznać.

– Wróciłem ze stacji. Wszystko jest gotowe do wyjazdu. W końcu. Ignazio marszczy brwi.

– Gdzie jedziesz?

– Na Lazurowe Wybrzeże. Palermo mnie nudzi. A po tym, co się stało z maleńką, Olivuzza zrobiła się zbyt ponura.

Uśmiech Alessandra błądzi między ironią a smutkiem. Nawet poważna żałoba nie jest w stanie zmienić radosnych nawyków młodszego Floria.

Ignazio wskazuje na coś za plecami brata.

– A tym kto się zajmie? – pyta zirytowanym tonem.

Poprawiając dłonią włosy, Vincenzo odwraca się i patrzy na budynek wznoszący się pośrodku chaosu desek, kamieni, cegieł i wiader z wapnem. Bardziej przypomina bajkowy pałac niż willę. Ma dwie spiralne klatki schodowe oraz żeliwną koronkę zdobiącą balkony i dach, nad którym wznosi się wieżyczka.

– Ach tak, willa! – wykrzykuje. – Basile przeszedł samego siebie, nie sądzisz? – zwraca się do Alessandra. – I na pewno nie

ułatwiałem mu życia... – Śmieje się lekko. – Chciałem czegoś przypominającego zamek, z elementami barokowymi, ale i romańskimi, typowymi dla Południa, ale też i nordyckimi. Nie mówiąc już o wnętrzu: zapytałem go, czy mogę dostać się na wyższe piętro bezpośrednio z garażu, bez wychodzenia na zewnątrz, a on tak zrobił! Udało mu się stworzyć coś naprawdę oryginalnego, takiego jak chciałem. Z dumą patrzy na budowlę. – Ale teraz willa jest już prawie skończona i nie sądzę, żeby ci panowie na rusztowaniu mnie potrzebowali.

– Kosztem takiego budynku można by żywić kilkadziesiąt biednych rodzin przez rok – burczy Alessandro.

– Bardzo prawdopodobne. Ale szczerze mówiąc, niewiele mnie one obchodzą – odpowiada Vincenzo i uśmiecha się, widząc oburzoną twarz księcia.

– Niestety, on wciąż pozostaje *picciriddu* – wzdycha Ignazio.

– Na tym właśnie polega życie: na natychmiastowej pogoni za nową przyjemnością, gdy poprzednia cię znudziła. – Vincenzo zwraca się do brata: – A ja nie chcę przegapić ani jednej.

\*\*\*

Alessandro Tasca di Cutò się pożegnał, a Ignazio wrócił do domu, rozmyślając nad ostatnim zdaniem brata. Tak, ten lekkoduch ma rację. Może właśnie trochę rozrywki powinien zapewnić France. Odrobinę uśmiechu, okazji do wesołości. Umacnia się w tej myśli, gdy wchodzi do jej pokoju i widzi, że jest pogrążony w mroku boleśnie podobnym do tego, który zalega w pokojach jego matki. Jakby same ściany emanowały smutkiem, wydychały chory oddech.

Życie w tym domu stało się ciężarem.

Lazurowe Wybrzeże, słońce, morze, ciepło, przyjaciele... Jest pewien, że na początku Franca będzie się opierać. Wtedy napisze do Rothschildów, którzy mają w zwyczaju spędzać zimę na Riwierze, i poprosi ich, by pomogli mu ją przekonać. Tak, zajmie to trochę czasu, ale w końcu się uda: wsiądą do pociągu, pojedą do hotelu

w Beaulieu-sur-Mer, który Franca tak lubi, Hôtel Métropole, i tam spędzą święta.

On też chciałby wrócić do życia.

\*\*\*

Ukołysana przez ruch pociągu, Franca zasnęła na niebieskiej aksamitnej sofie, trzymając głowę na ramieniu Ignazia. Od kilku dni starała się być blisko niego, jakby jedyną rzeczą, która mogła jej dać ukojenie, był kontakt z mężem. Nawet w łóżku nie może zasnąć, jeśli on jej nie przytuli. Ignazio jest zdezorientowany. Nigdy nie był mistrzem w odczytywaniu uczuć kobiet. Rozumie ich pragnienia, potrafi wyczuć zachcianki, wychwytuje zmysłowe komunikaty, przewiduje humory, ale nie ma pojęcia o ich uczuciowych potrzebach; wyrażają się one w języku, który jest mu całkowicie obcy.

Czuje jednak, że śmierć Giovannuzzy – pierworodnej, tej, która uczyniła z nich rodzinę – grozi otwarciem przepaści między nimi. Nie może znieść tej myśli; to byłaby kolejna demonstracja słabości, kolejna porażka. Oczywiście prywatna, a nie publiczna, ale on rozpaczliwie potrzebuje tych nielicznych pewnych punktów oparcia, które jeszcze mu zostały. A Franca, na dobre i na złe, jest takim punktem. Odpowiada więc na jej prośby o czułość. Poświęca jej czas, uwagę, troskę. „D’Annunzio ma rację: moja żona jest wyjątkowa”, myśli. Cały ten ból nie odebrał jej ani urody, ani wdzięku. Ignazio kocha ją, mimo wszystko. Na swój sposób, ale kocha.

Tak więc pewnego wieczoru, wkrótce po ich przybyciu do Hôtel Métropole, sam łapie się na tym, że patrzy na nią tak, jak nie robił tego od dawna. Franca siedzi przy toaletce; odesłała Diodatę i wyjmuje szpilki z włosów. Kołnierz peniuaru ledwie zakrywa jej kark. Twarz ma poważną, ale spojrzenie spokojne, skupione na tym, co robi. Posiłek spożyli w pokoju, sami, Franca zjadła nawet cały talerz zupy rybnej, co się jej od dawna nie zdarzyło. Ignazio staje za nią, kładzie jej ręce na karku i pieści go, potem ramiona, zsuwa jej



peniuar do łokci. Tam, gdzie przechodzą jego palce, przez jej skórę przebiega dreszcz. Franca zamyka usta, nieruchomieje, ściska w dłoniach grzebień.

Ignazio waha się, po czym zbliża usta do jej szyi.

Pragnie jej tak, jak dawno nie pragnął.

Franca drży. Boi się? Ignazio nie potrafi tego odczytać. On, wytrawny uwodziciel, nie wie już, jak zachować się wobec kruchej istoty, którą stała się jego żona. Podnosi rękę, dotyka jej twarzy, a ona z zamkniętymi oczami poddaje się tej pieszczocie. Wydaje się niepewna, jakby bała się namiętności. Ale potem odwraca się, szuka jego ust, jego pomocy, by miłością odpędzić ból śmierci. I przywrócić odrobinę życia.

\*\*\*

Po tamtym wieczorze Franca jest nieco pogodniejsza. Wybrali się na kilka wycieczek z Vincenzem, który jednak zbyt szybko jeździ swoim ukochanym automobilem. Spędzili sylwestra razem z dziećmi; Baby Boy chciał zamoczyć usta w szampanie, a potem skrzywił się z obrzydzeniem, czym rozbawił wszystkich; Igiea, trzymając się matki, patrzyła szerokimi oczami na fajerwerki, a po kilku okrzykach przerażenia roześmiała się i klasnęła w dłonie.

Są teraz w hotelowym ogrodzie, ogromnym parku pełnym palm i drzew cytrusowych, który sięga niemal do morza. Franca czyta, wyciągnięta na leżaku w promieniach styczniowego słońca, w czarnej sukni obszytej koronką skromnie zasłaniającej nogi; Baby Boy ściga gołębie, a Ignazio przechadza się z aparatem fotograficznym marki Verascope w ręku. To prezent od Vincenza, który od kilku miesięcy zajmuje się fotografią; Ignazio ma nadzieję, że pomoże mu to wywołać uśmiech żony.

Franca od czasu do czasu podnosi wzrok znad książki i zerka na męża, który coraz bardziej marszczy brwi i wciąż nie może się zdecydować na żadne ujęcie. Nagle Baby Boy chwyta go za nogę i zaczyna krzyczeć, że też chce aparat. Od śmierci Giovannuzzy chłopiec często wpada w złość i wiecznie grymasi. Ignazio pozwala

mu przez chwilę na takie zachowanie, ale kiedy syn rzuca się na ziemię i zaczyna uderzać w nią pięściami, bezta go. Franca natychmiast wkracza do akcji, ale i jej nie udaje się uspokoić chłopca. W końcu Ignazio prychnął ze zniecierpliwieniem i kazał niani go zabrać, by nie przeszkadzał innym gościom. Dziewczyna natychmiast spełnia polecenie.

– *Occupez-vous de lui, s'il vous plait. Peut-etre qu'il a faim...* – mówi Franca.

Niania potrząsa głową.

– *Il vient de manger, Madame Florio. Mais il n'a pas beaucoup dormi.*

– Pochyliła się i bierze Baby Boya w ramiona. – *Que se passe-t-il, mon ange? Allons faire une petite sieste, hein?*<sup>57</sup> – Następnie odchodzi razem z Baby Boyem, który próbuje się jej wyrwać i piszczy.

Franca wraca na leżak, a Ignazio siada obok niej i bierze ją za rękę. Jej duże zielone oczy nadal nie są całkiem pogodne, ale rozpacz chyba zniknęła.

„Może przepaść między nami się zmniejsza – myśli Ignazio. – Może jeszcze jest nadzieja”. Powtarza to sobie często, starając się jednocześnie nie oglądać za pięknymi rezydentkami hotelu.

– Dostaliśmy zaproszenie od Rothschildów na dzisiejszy wieczór – mówi Franca. – Kolacja i karty w wąskim gronie przyjaciół.

– Chciałabyś iść? Czujesz się na siłach?

– Tylko jeśli ty też tego chcesz.

On dotyka ustami jej czoła i kiwa głową.

Po pierwszych pogodnych latach ich małżeństwa Franca stopniowo przestała na nim polegać. Czasami robiła dokładnie na odwrót, niż on sobie życzył, tak jak w sprawie z portretem Boldiniego. Czuł, że się oddala, i nie zrobił nic, by ją zatrzymać; wręcz przeciwnie, zastąpił ją innymi kobietami, które wydawały się bardziej namiętne, swobodne, bardziej... świeże. Podobnie jak jego brat, wciąż szukał nowości, silnych emocji, uwolnienia od wszelkich więzów. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że oprócz miłości Franca zawsze obdarzała go czymś jeszcze: szacunkiem. Szacunkiem, którego świat uparcie mu odmawia, a raczej który rezerwuje tylko dla jego nazwiska i pieniędzy. Cokolwiek zrobił lub powiedział,

Franca wciąż pozostawała ponad małostkowością. W przeciwieństwie do innych i mimo wszystko: ufała mu i nadal ufa. Chociaż był wobec niej tak bezlitosny i tak niewdzięczny.

I z tą świadomością Ignazio wstaje, by napisać bilecik do Rothschildów i przyjąć ich zaproszenie. Zanim odejdzie, instynktownie się odwraca. I znajduje w jej spojrzeniu odrobinę tej miłości, której nie spodziewał się już od niej dostać.

\*\*\*

Na ten wieczór Franca wkłada prostą czarną suknię i długi sznur pereł. Gdy Diodata poprawia jej włosy, ona wychwytuje w lustrze spojrzenie Ignazia i widzi w nim podziw, który rozgrzewa jej serce.

Przed wyjściem przechodzą obok pokoju zajmowanego przez dzieci. Igiea siedzi na dywanie z lalką i widać, że jest śpiąca, za to Baby Boy ciągle grymasi. Rzuca zabawki na podłogę, odmawia włożenia koszuli nocnej, krzyczy, że chce iść na plażę, wykręca się z objęć niani, przytula się do nóg matki. Franca pochyła się nad nim, pieści go, próbuje uspokoić, ale on nie słucha.

– Wystarczy, Ignazino! – interweniuje w końcu ojciec.

Chłopiec wybuchł łzami. Czerwona na twarzy niania podnosi go, mówi do dziecka łagodnie. Następnie zwraca się do Franki:

– Nawet jeść nie chciał.

Franca kręci głową.

– Spróbujcie opowiedzieć mu jakąś historię. To go zwykle uspokoja. – Pochyła się nad Igieą, całuje ją w czoło. – Musimy iść. Robi się późno.

Ignazio otwiera jej drzwi, podaje ramię i w milczeniu przemierzają korytarze luksusowego hotelu, a następnie schodzą po schodach, odprowadzani pełnymi podziwu spojrzeniami gości. Ignazio sztywnieje, ale Franca zdaje się przyjmować to obojętnie. W samochodzie jednak on chwyta jej dłoń i czuje, że jest zimna. Wtedy uświadamia sobie, że ona jest równie zdenerwowana jak on.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Ona kiwa głową, po czym splata palce z jego palcami.

Czułość, słodczy ogrzewająca jego pierś, płomień, który wciąż nie zgaś. Nadal tam jest, nie zginęła. Odnajdują się na nowo. Silniejsi niż dotąd.

\*\*\*

Wieczór mija spokojnie, na niezobowiązujących rozmowach i plotkach o najnowszym skandalu: księżna Luiza Habsburg, żona księcia koronnego Saksonii, matka sześciorga dzieci i spodziewająca się siódmego, uciekła z André Gironem, czarującym wychowawcą jej najstarszego syna, wywołując głębokie poruszenie na wszystkich dworach Europy. Po kolacji Franca i kobiety grają w faraona, a Ignazio idzie z mężczyznami do palarni. Tam głównym tematem jest pojedynek, który odbył się dwa tygodnie wcześniej w Nicei, w ogrodzie willi hrabiego Rohozińskiego: dwaj francuscy mistrzowie szermierki ogłosili wyższość swojej szkoły, a urażeni do głębi dwaj włoscy mistrzowie rzucili im wyzwanie. Obecni zasypują Ignazia pytaniami, bo wszyscy wiedzą, że jego brat Vincenzo użył pojedynekowiczom i ich sekundantom automobili, które umożliwiły im wymknięcie się policji próbującej zapobiec pojedynkowi. On jednak nie zna kulis sprawy i bagatelizuje ją, twierdząc, że jedyne pojedynki, które go interesują, to regaty morskie.

Jest już prawie północ, kiedy pojawia się boy z Hôtel Métropole. Zdyszany, staje w drzwiach, ręce mu się trzęsą. Pyta o Floriów, mówi, że muszą natychmiast wrócić do hotelu. Ignazio wychodzi do niego, marszcząc czoło.

– Co się dzieje?

– *Retournez à l'hotel, je vous en prie, monsieur Florio. Vite, vite!*<sup>58</sup> – niemal krzyczy boy, po czym wybiega.

Franca, która tymczasem pojawiła się obok Ignazia, patrzy na niego zdziwiona.

– Co się stało?

– Nie wiem.

Dołączają do nich zaniepokojeni goście, gospodarze wzywają automobil, by zabrał Floriów do hotelu.

W pojeździe żadne z nich się nie odzywa. W umyśle Ignazia piętrzą się domysły: wypadek samochodowy z udziałem Vincenza? Kradzież lub pożar w Olivuzzy? A gdyby coś się stało jego matce, starej i zmęczonej życiem? Och, złamałoby mu to serce; jest taka samotna i tak daleko. Może chodzi o któreś z jego przedsiębiorstw? Ale nie, przecież jest środek nocy.

W miarę jak zbliżają się do hotelu, czuje narastającą udrękę. Obraca na palcu obrączkę ojca, otwiera i zaciska dłonie. Franca jest blada, kręci się na siedzeniu, kurczowo ściska rękawiczki.

Kiedy wysiadają z samochodu, dyrektor hotelu wybiega im na spotkanie. Chwyta Ignazia za rękę, coś mówi.

Większości tych słów Ignazio nie będzie w stanie sobie później przypomnieć. Pewne wspomnienia są tak bolesne, że osiadają głęboko w duszy, spowite miłosierną zasłoną ciemności, niedostępną nawet dla tych, którzy je posiadają.

Nieszczęście.

– Jakie nieszczęście? – pyta i czuje, że Franca zaczyna drżeć.

– Straszne nieszczęście, monsieur Florio! Jest lekarz, przyjechał natychmiast, próbowaliśmy reanimować, ale...

– Kogo? – krzyczy Ignazio i ma wrażenie, jakby ktoś inny zadawał to pytanie, bo na jego oczy zstępuje czarna mgła, a w gardle nie ma już głosu.

Franca osuwa się na podłogę, ale Ignazio nie ma siły, by jej pomóc.

Brak mu tchu, jednak udaje mu się powtórzyć pytanie, gdy mija dyrektora. Zderza się z nim opiekunka Baby Boya, zanosząc się płaczem. On ledwo ją rozpoznaje. Odpycha ją na bok tak gwałtownie, że dziewczyna upada na ziemię.

Baby Boy.

Ignazino.

Zaczyna biec, wyprzedza służbę, pokonuje schody, serce łomocze mu w piersi z taką siłą, jakby chciało rozerwać barierę żeber. Długi korytarz, czerwony dywan, migoczące światła, szeroko otwarte drzwi, jakiś mężczyzna i policjant obok łóżka.

Jego syn.

Nieruchomy.

Ignazio się zatacza.

Dobiega do łóżka, pada na kolana, wyciąga rękę. Dziecko ma otwarte oczy i strużkę śliny w kąciku ust. Jest w koszuli nocnej, blond włosy spoczywają na poduszce.

Ignazio potrząsa chłopcem.

– Baby Boy – woła głosem, który wydaje się pochodzić z daleka. – Baby Boy... Ignazio...

Jakaś dłoń spoczywa mu na ramieniu. Nawet jej nie czuje.

To już koniec.

Umarł nie tylko jego syn. Wraz z nim umarła przyszłość Domu Florio.

\*\*\*

Wracają do Palermo w towarzystwie białej trumny. Baby Boy spocznie obok swojej starszej siostry, nieżyjącej od zaledwie sześciu miesięcy, pod osłoną cyprysów na cmentarzu Santa Maria di Gesù. Niesie ze sobą tajemnicę, której nigdy nie uda się rozwikłać. Raport medyczny mówi tylko, że jego serce się zatrzymało. Ale skąd ta piana na ustach?

Ignazio nie zgodził się, by przeprowadzono sekcję zwłok.

– Oszczędźmy sobie tej hańby – wymamrotał, gdy koroner zapytał o pozwolenie.

Upadek? Zbyt duża dawka środka nasennego, który podała mu niania, by mieć spokój i móc się wymknąć na randkę? Te myśli są jak drut kolczasty, samo ich dotknięcie sprawia ból. I zostają odtrącone.

To i tak nic nie zmieni.

Jego syn nie żyje.

A on nie jest w stanie sobie pomóc.

„Jedno serce się zatrzymało. Nie, dwa serca: jego i moje”, myśli Ignazio, gdy późnym wieczorem otwiera w swoim gabinecie butelkę koniaku, jedną z ostatnich. Musiał zaprzestać produkcji zarówno koniaku, jak i win stołowych. Do rosnących kosztów dołączyła epidemia filoksery w winnicach zachodniej Sycylii i poważnie

zagroziła zakładowi w Marsali. Ten sam problem ma winiarnia Whitakera.

Pęknięcia się poszerzają. Skrzywienie stało się głośniejsze. Ignazio słyszy je w swojej głowie.

Uderza dłonią w papiery leżące przed nim, po czym osuwa się na blat biurka. Opiera głowę na ramionach, zamyka oczy, czuje pulsowanie w skroniach. Chciałby się rozplakać, ale nie może.

„Jaki to wszystko ma sens?“, pyta. Po co walczyć, jeśli nie ma nikogo, kto mógłby kontynuować jego zmagania? Co pozostanie, jeśli to, co zostawili mu dziadek i ojciec, ma się skończyć wraz z nim? Czego ma się teraz trzymać jego rodzina? Syn to gałąź wyciągająca się ku niebu. Ale jeśli się złamie, nie wyrośnie z niej już żaden liść.

I tak właśnie czuje się Ignazio. Suchy. Złamany.

W dniach po śmierci Baby Boya, w nieruchomym, milczącym domu, Ignazio również pomyślał, że może najlepiej będzie się poddać. Mieć to już za sobą.

Owinął się gniewem jak płaszczem. Cierpienie i wyrzuty sumienia pozbawiają go snu; po raz pierwszy się lęka, że nie uda mu się uciec z tego domu, w którym liczba zmarłych dusz przewyższa już liczbę żyjących.

Pustka, ciemność, cisza. Zapomnienie kusi, jest mniej okrutne niż to, czym teraz stała się Olivuzza. Prawie upił się tym uczuciem, możliwością zniknięcia bez słowa, bez tłumaczenia. Ale potem pomyślał, że wszyscy – może nawet Franca – uznaliby go za tchórza, marnego człowieka niezdolnego do walki o to, co mu jeszcze zostało. Słabeusza, w przeciwieństwie do jego dziadka i ojca.

Więc żyje dalej. A raczej pozwala, by życie go niosło.

\*\*\*

Mija kilka tygodni. Pustych, niemych, bezużytecznych.

Ale potem może ktoś w niebie widzi Francę i Ignazia i postanawia, że już wystarczająco się nacierpieli.

Tak, tak właśnie musiało być. Bo zdarza się cud.

Franca odkrywa, że jest w ciąży. Po chwili niedowierzania przychodzi radość: wielka, niespodziewana i dlatego absolutna. Obejmują się, mieszają łzy ze śmiechem, tulą do siebie swoje jedyne pozostałe dziecko, małą Igieę.

„Może jeszcze uda nam się być szczęśliwą rodziną – myśli Ignazio.  
– Może los daje nam kolejną szansę”.

\*\*\*

– Wycieczka do Wenecji?

– Bardziej pobyt niż wycieczka, prawdę mówiąc.

– Donna Franca, jesteście bardzo słaba. Odradzam jakiegokolwiek podróże, zwłaszcza w waszym stanie. To dopiero cztery miesiące i...

– Będę uważać. Zostanę w hotelu, ile się da, odpocznę. Moja matka i Maruzza zawsze będą ze mną. Obiecuję, że będę posłuszna, doktorze. Proszę...

Lekarz kręci głową. W końcu jego surowe wargi wyginają się w pobłażliwym uśmiechu.

– Niech tak będzie. Ale bardzo proszę, uważajcie na siebie...

Na pomysł pobytu w Wenecji wpadł Ignazio, który jak zawsze jest przekonany, że ucieczka od tego, co powoduje cierpienie, służy jego wymazaniu. Prawda jest taka, że zdecydowanie za długo znosił żalobną atmosferę Olivuzzy, a poza tym chce mieć wymówkę, żeby nie zajmować się interesami.

Wenecja zatem. Hotel Danieli, mała grupa przyjaciół, aby Franca czuła się dobrze i aby również on zaznał nieco ulgi. Dołączają do nich Stefanina Pajno, siostry Villarosa i ich mężowie, Giulia Trigona i druga Giulia, siostra Ignazia, no i oczywiście Costanza, matka Franki, oraz Maruzza.

To spokojne miesiące. Franca chodzi na krótkie spacerunki w towarzystwie przyjaciółek lub matki, pływa gondolą, podziwia Wenecję odbijającą się w wodzie, wpatruje się z zachwytem w ochrę tynku, biały wapień z płaskowyzu Kras i marmur okien. Czasem szuka dłoni Ignazia, obdarza go cieniem zmęczonego uśmiechu, gdy ich odbicie pojawia się w ciemnej wodzie kanałów. Wieczorami



w apartamencie gra w karty. Często ze swoich pałaców przypływają też bliźniaczki Vera i Maddalena, córki senatora Niccolò Papadopolego, zamożnego bankiera greckiego pochodzenia, zapalonego numizmatyka.

Costanza patrzy na te kobiety z podejrzliwością: zbyt piękne, zbyt pewne siebie, zbyt swobodne. Wyraźne kości policzkowe, dumne spojrzenia. Ona wie i rozumie, widziała to przez całe lata, lecz milczała, bo nigdy nie wtrącała się do małżeństwa córki. Wie, że jej zięć zbyt łatwo traci głowę dla takich kobiet. „Nie lubię ich”, powtarza sobie za każdym razem, gdy widzi, jak wchodzą po schodach hotelu Danieli, roztaczając wokół siebie królewską aurę.

Ale Franca śmieje się z ich plotek, docenia błyskotliwość i dowcip. Obie są dla niej miłe: przynoszą jej kwiaty, aromatyczne *zaleti* do maczania w winie likierowym lub kosze *bussolai*<sup>59</sup> dopiero co wyjętych z pieca przez ich kucharza.

W pogodne popołudnie pod koniec września Costanza przygotowuje się do wyjścia, co robi, gdy tylko czuje się na siłach, ponieważ ten wymuszony odpoczynek przyprawił ją o dokuczliwe bóle pleców i nóg, nasilone przez wenecką wilgoć. Franca śpi, jedna jej ręka spoczywa na brzuchu, druga na poduszce. Matka opatula ją dokładnie jak za czasów dzieciństwa, po czym poleca Diodacie, by pilnowała odpoczynku swojej pani.

Lekko utykając, Costanza pokonuje drogę do księgarni pod portykami Procuratie Vecchie. Franca zamówiła w niej powieść *Elias Portolu* autorstwa Grazii Deleddy, o której wszyscy mówią, że jest wspaniała, i Costanza chce, by już na nią czekała, kiedy córka się obudzi.

Dostrzega go tam, gdzie zaczynają się Mercerie, handlowa arteria Wenecji, tuż pod Wieżą Zegarową przy placu Świętego Marka. Siedzi przy kawiarnianym stoliku z kobietą tak piękną i elegancką, jakby była stworzona tylko po to, by ją podziwiać: kasztanowe włosy, cera jak kość słoniowa, głębokie spojrzenie, pełne usta. Ignazio ją podziwia i nie tylko podziwia. Pochyla się w jej stronę, łaskocze ją w ucho, w którym połyskuje złoty kolczyk z koralem, po czym schyla się, by pocałować ją w rękę. Kobieta się śmieje: ma

wysoki głos, radosny i zmysłowy; następnie dłonią w rękawiczce muska włosy Ignazia, szybko gładzi go po policzku, spuszcza wzrok i ukrywa uśmiech.

Costanza stoi jak skamieniała. Ludzie przechodzą obok niej, wpadają na nią, ale ona nie może się ruszyć. Opiera się o filar, szuka wsparcia w solidności kamienia. Jest tak wzburzona, że dostaje mdłości.

Bezwstydnosc Ignazia przekroczyła wszelkie granice. Jego żona jest kilka kroków dalej, brzemienna i wciąż oplakująca stratę dwójki dzieci, a on flirtuje z inną. Na oczach wszystkich.

Ignazio podnosi spojrzenie i dostrzega teściową. Blednie, spuszcza głowę, puszcza rękę kobiety. Tymczasem Costanza Jacona Notarbartolo di Villarosa, baronowa San Giuliano, robi coś, czego nigdy, przez niemal sześćdziesiąt lat swego życia, nie robiła. Patrzy Ignaziowi prosto w oczy, po czym lekko odwraca głowę w bok i spluwa na ziemię.

\*\*\*

Nie trzeba było wiele zachodu, by Costanza odkryła, że kobieta to Anna Morosini, powszechnie znana jako *dogarressa*, „żona doży”, także dlatego, że odkąd jej mąż – potomek starej weneckiej rodziny, która dała Najjaśniejszej wielu dożów – wyjechał, by zamieszkać w Paryżu, wprowadziła się do palazzo Da Mula i kazała umieścić na klatce schodowej herb Morosinich z mitrą dożów w koronie. Jest niekwestionowaną królową weneckiego życia towarzyskiego: na jej balach chcą być wszyscy, jej przyjęcia są legendarne, a w salonach jej pałacu spotykają się politycy i intelektualiści, od kaisera po wszechobecnego d’Annunzia. Anna w wielu rzeczach przypomina Francję, począwszy od magnetycznych zielonych oczu i posągowego ciała. Jest także damą dworu królowej. Ale jednocześnie nie mogłaby być bardziej odmienna: jest wolna, żywiołowa, radosna, zuchwała.

A Ignazia ogromnie to pociąga.

Nie ma znaczenia, jak to się stało. Może to żart bliźniaczek Papadopoli, może zdanie podsłuchane podczas spaceru, może niedbałość Ignazia, który co rano śpiewa przed lustrem i szczególnie dba o wygląd. Istotne, że pod koniec października Franca odkrywa nowy romans męża.

Wróciwszy z jednego ze spacerów, Costanza znajduje ją siedzącą w fotelu, w peniuarze, masującą twarzą, spuchnięty brzuch.

– Nawet dziecko go nie powstrzymuje – mruczy Franca, ledwo tłumiąc łzy. – Właśnie wyszedł i wiesz, co mi powiedział? „Idę popływać łodzią z przyjaciółmi”. Przyjaciółmi! Krzyknęłam mu, żeby oszczędził sobie kłamstw, wiedziałam, że idzie do Morosini, która nawet nie ma tyle godności, by się ukrywać. Nie odpowiedział mi. Wybiegł, trzaskając drzwiami. Jedyne, co umie, to uciekać.

Costanza obejmuje córkę.

– Odwagi – mówi jej cicho do ucha, tuląc ją do piersi. – To tylko *masculu*, ale ty jesteś *fimmina*. Wiesz, że tak jest, wiesz, że musisz działać odpowiednio, i to nie dla niego, ale dla *picciriddu*. Znasz go. Nie ma po co toczyć zółci. Niech idzie. – Ujmuje jej twarz w dłonie, zmusza córkę, by na nią spojrzała. – Kobiety są silniejsze, serce moje. Silniejsze od wszystkiego, bo wiedzą, czym jest życie i śmierć, i nie boją się z nimi mierzyć.

Jednak Franca czuje się teraz jak kryształ tuż przed rozbiciem. Odwzajemnia uścisk matki, ale ma w sobie gorączkę emocji, mieszaną gniewu, bólu i rozczarowania. Ignazio po raz kolejny zdradził jej zaufanie i uciekł, zostawiając ją samą ze wspomnieniami i ciężarem śmierci dwojga dzieci. Uciekł z tego pokoju, od niej, od ich małżeństwa. A tego Franca już nie może znieść – nie po tym wszystkim, co się stało, nie po jego obietnicach, że zostanie przy niej, że jej pomoże. Zawsze powtarzała sobie, że Ignazio kocha ją na swój sposób, ale teraz *ten sposób* już jej nie wystarcza.

Zmuszona do pozostania w łóżku przez bóle brzucha i pleców, Franca patrzy przez okno na kościół Santa Maria della Salute i modli się, błaga, żeby to był chłopiec. Żeby urodził się zdrowy. Żeby Ignazio się opamiętał. Żeby jego życie przestało się zsuwać po równi pochyłej, bo ona nie może już sobie poradzić. Bo jedyne, co chciałaby mieć, to trochę miłości i trochę spokoju.

Wysłała więc wiadomość do męża. Przetyka gorycz i upokorzenie, gdy ją pisze i adresuje do palazzo Da Mula. Prosi, żeby do niej dołączył, by mogli spędzić razem popołudnie, bo nie chce być sama, a matka i Maruzza już jej nie wystarczają. Jest jej mężem, ma wobec niej obowiązki.

Kiedy posłaniec wraca, ze spuszczonej oczami wręcza jej nietkniętą kopertę.

– Powiedzieli mi, że signor Florio wyszedł... z hrabiną... na przejażdżkę łodzią.

Franca bierze kopertę, zwalnia chłopca skinieniem głowy. Gdy zostaje sama, wrzuca list do płonącego kominka.

Popołudnie skłania się ku zachodowi. Złote październikowe światło ogrzewa kamień i terakotę Wenecji, zanim pochłonie je mgła podnosząca się z kanałów. Franca przechadza się po pokoju pod czujnym okiem matki i Maruzzy, które wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Aby odwrócić jej uwagę, rozmawiają o kontrowersjach wokół jej portretu: Boldini wystawił go na Biennale w Wenecji, ale obraz nie został tak dobrze przyjęty, jak się spodziewano, krytyka była ostra. Franca wzrusza ramionami. Mówi, że wciąż lubi ten obraz. Ale nie dodaje, że lubi przede wszystkim obraz siebie, który ten portret utrwalił na zawsze: pięknej, zmysłowej, dumnej kobiety. Od jak dawna nie czuje się w ten sposób?

W końcu zegna obie kobiety. Nic jej nie będzie, uspokaja. Oczywiście pójdzie do łóżka, żeby odpocząć.

Tylko że...

Sufit apartamentu – błękitne niebo, z którego spoglądają amorki – działa na nią drażniąco. Światło wpadające przez okna zmienia te postacie w małe demony szydzące z jej naiwności, z jej słabości. Bo taka się stała i tak się czuje. Krucha. Tylko nocą myśli objawiają się w całej swej wyrazistości, tylko nocą Franca umie spojrzeć im w twarz i przyznać, że w swoim życiu wiele, zbyt wiele rzeczy zrobiła źle. Małżeństwo z niepewnym mężczyzną, chłopcem, który nigdy nie chciał dorosnąć i nad którym nie mogła zapanować. Uporczywe skupienie na przyziemnych sprawach – strojach, biżuterii, plotkach, podróżach – które wypełniały jej dni, sprawiając, że zapominała o tym, co naprawdę ważne. Czas skradziony jej

dzieciom przez imprezy i przyjęcia, kiedy wydawało jej się, że ma cały czas świata, by z nimi być. Tymczasem czas minął, a dzieci już nie ma. Przygniata ją poczucie winy.

Miała nadzieję, że jej miłość będzie miała dość siły, by wejść do serca Ignazia i zająć je całkowicie. Wierzyła, że jej dzieci są w dobrych rękach, że nie potrzebują jej aż tak bardzo. A potem, wielkie nieba, miała do wypełnienia jeszcze obowiązki społeczne – na tym głównie polegała rola donny Franki Florio! Ale to nie wystarczy do rozgrzeszenia, którego pragnie jej dusza. „Ileż kłamstw człowiek wmawia sobie, by zdjąć ciężar z serca – myśli, gdy wyrzuty sumienia ściskają jej gardło. – Gdyby nie one, zostałyby zmiażdżony, już by nie żył”.

Obejmuje ramionami brzuch, a łzy cisną się pod powieki, by wypłynąć. „Nie popełnię z tobą tych samych błędów – obiecuje dziecku, które się w niej porusza. – Zawsze będę blisko ciebie”, szeptem bezgłośnie.

Zamyślona, skulona na łóżku, czeka. Aż ze snu wyrywa ją dźwięk klucza w zamku. Zerka na zegar na szafce nocnej; wskazuje trzecią.

Ignazio ostrożnie błądzi po pokoju, zostawiając za sobą zapach irysów.

Franca włącza światło.

– Dobrze bawiłeś się na łodzi? – Jej półotwarte oczy błyszczą jak sztylety. – Pewnie tak. Z hrabiną Morosini trudno się nudzić. Wszyscy tak mówią.

Ignazia, wyjmującego właśnie złote spinki z mankietów, przechodzi dreszcz. Jeden z klejnotów spada na ziemię, więc on się schyla, by go podnieść, i w myśli przeklina plotkary, które nie mogą zmilczeć. Miał nadzieję odłożyć nieuniknioną konfrontację do następnego ranka. Widział już w witrynie sklepu Missiaglia piękny wisiołek ze szmaragdem.

– Ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie, Franco. Już dzisiaj chciałem ci powiedzieć, ale to byłoby bez sensu, byłaś tak wzburzona... Tak, hrabina Morosini jest bardzo piękna, to prawda, i zna wszystkich w Wenecji. Nie sposób obejść się bez spotkania z nią. A dziś zaproponowała nam swoją łódź na wycieczkę po lagunie. – Podwija rękawy, podchodzi do żony, gładzi ją po twarzy.

– Przywiozłem cię tutaj, abyś była bardziej pogodna. Naprawdę myślisz, że mógłbym być tak nieczuły, żeby ci to zrobić?

Franca odwraca twarz z grymasem irytacji.

– Idź i odśwież się, proszę – mówi. – Masz na sobie jej zapach.

Odpycha go od siebie.

Ignazio nie może znieść tego, że znalazł się w pułapce. Łapie ją za nadgarstek, zmusza, by na niego spojrzała.

– Uspokój się! Cóż to, nie wolno mi nawet trochę pospacerować? Czy mam widywać tylko mężczyzn?

Franca nie potrafi już dłużej powstrzymać łez.

– Ty! – woła i mocno uderza go w pierś. – Nic cię nie obchodzi, w jakim stanie jestem – krzyczy. – Straciliśmy dwoje dzieci, ja jestem w ciąży, a ty... wszystko, co robisz, to...

Ignazio chwytą ją za ramiona, potrząsa nią.

– O czym ty mówisz? Kochana, proszę...

– Ty się nigdy nie zmienisz, prawda? To dla ciebie niemożliwe! Zawsze musisz od wszystkiego uciekać. Od odpowiedzialności, od strachu, nawet ode mnie, bo nie możesz znieść wielkiego bólu, co? Jesteś tchórzem!

– Jak śmiesz?!

Ignazio jest roztrzęsiony. Ponieważ Franca ma rację – jej słowa trafiły tam, gdzie najbardziej boli, w ten szary obszar duszy, którego on sam nie ma odwagi dotknąć. I nakłada się na nie poczucie winy, bo, u diabła, wszystko to prawda.

– Tak, tym właśnie jesteś. Tchórzem – powtarza Franca półgłosem. To stwierdzenie, na które nie ma odpowiedzi.

Ignazio zrywa się, cofa. Czuje, że jego żołądek płonie, może od nadmiaru szampana, a może od tych słów, które rozrywają go na pół i odkrywają przed nim tę część jego świadomości, do której woli nie zaglądać. A raczej którą dobrze przed sobą ukrywa, i jeśli już zdarzy mu się o tym pomyśleć, powtarza tę samą śpiewkę co zawsze: że jest mężczyzną, że pewne potrzeby są naturalne, że jego żonie nigdy niczego nie brakowało, że zawsze jest ostrożny... no, prawie zawsze. Poza tym wszyscy to robią, dlaczego on ma być inny? „Niech ich szlag trafi! Dlaczego oni się mnie czepiają? Czy nie zdają sobie sprawy, że mogą skrzywdzić dziecko? Bezmyślni!”

Franca wstrząsa gwałtowny szloch.

– Czy wiesz, jak ja się czuję? Upokorzona! Odsunięta na bok, bo jestem w ciąży z twoim dzieckiem! – Płacze, kurczowo trzymając się pościeli. Z trudem podnosi się z łóżka, staje przed nim, a on, z szeroko rozłożonymi rękami, próbuje ją udobruchać. – Ty tę kobietę masz zostawić w spokoju – mówi Franca, wskazując na niego palcem, z oczami pełnymi gniewu. – Zostaw w spokoju ją i inne, jeśli są, i przestań robić z siebie widowisko. Nie chcę słyszeć o niej ani słowa więcej. Jesteś mi to winien, Ignazio. Jesteś to winien mnie i swojemu dziecku.

Nagle Ignazio zaczyna się bać: nigdy nie widział Franki tak poruszonej podczas kłótni i lęka się o jej zdrowie. Chwyta jej drżące dłonie i kiwa głową.

– Obiecuję ci. Ale teraz uspokój się, proszę. – Całuje jej powieki. – Chodź, połóż się. – Potem całuje jej dłonie, przytula ją delikatnie. – Jesteś zmęczona, serce moje. Lekarz powiedział, że masz odpoczywać, że nie możesz się smucić.

Odpowiedzią jest tylko szloch.

Kładą się do łóżka, on na wpół ubrany, ona w peniuarze. Zасыpiją.

Następnego ranka Franca budzi się z silnymi bólami brzucha. Rozpoznaje je natychmiast: to skurcze. Ale jest wcześnie, za wcześnie.

Giacobina Florio rodzi się 14 października 1903 roku, prawie dwa miesiące przed czasem.

Poród był trudny. Dziewczynka jest chuda i sina.

Umiera tego samego wieczoru, po kilku godzinach agonii.

\*\*\*

Cisza.

Franca podnosi głowę, mruży oczy. Światło jest agresywne, pościel zbyt szorstka. Przez chwilę zastanawia się, gdzie jest. Dlaczego czuje ten ucisk w klatce piersiowej. Dlaczego jest sama.

Ale to tylko chwila. Wszystko się jej przypomina i ściska ją za gardło.

Przez uchylone okno dobiega słaby szum fal w porcie. Pokój – prosty, niemal klasztorny w porównaniu z apartamentami Olivuzzy czy Villi Igiea – znajduje się w pałacu na Favignanie.

Diodata, Maruzza i guwernantka krzątają się po pokojach, bardzo uważając, by jej nie przeszkadzać, ale nie odstępują jej na krok, jak im polecił don Ignazio.

– Trzymajcie się blisko niej – powiedział Maruzzy, gdy odpływał „Virginia”, zostawiając je na wyspie. – Moja żona jest roztrzęsiona. Uważajcie, żeby nie zrobiła czegoś szalonego.

Rozmawiali cicho, ale ona wszystko słyszała.

„To nie jest taki dziwny pomysł”, pomyślała wtedy z obojętnością. Wręcz przeciwnie. To przyniosłoby jej ulgę. Spokój.

Chwyta peniuar, wkłada go, potrząsa głową, a włosy opadają na ramiona. Błądzi po pokoju. Na toaletce, wśród szczotek i biżuterii, stoi butelka środka uspokajającego na bazie laudanum. Jej złotawy cień rozciąga się na marmurowym blacie, nakłada na cień szklanki do połowy wypełnionej wodą. W pobliżu fiolka z kości słoniowej z kokainą, którą lekarz przepisał jej na astenię i depresję.

Franca śmieje się gorzko. Jakby odrobina proszku i kropel mogła ukoić to, co się nosi w środku.

Śmierć trojga dzieci w ciągu niewiele ponad roku.

Szuka wśród przedmiotów, znajduje ustnik i papierosa. Pali niespiesznie, w jej zielonych oczach odbija się turkus morza otulającego Favignanę. Jest niezwykle pogodny dzień jak na luty. Jasny i chłodny. Tylko że ona nie czuje chłodu na zewnątrz. Wystarczy jej ten chłód, który ma w sobie i który zdaje się wszystko pożerać. Siłę. Światło. Głód. Pragnienie.

Może ona nie żyje i tylko o tym nie wie? Przecież nie potrafi już płakać, nie wie, jak się to robi. Łzy zatrzymują się na jej rzęsach, nie spadają, jakby skamieniały. Ale nie, to nie to, mówi do siebie, gasząc papierosa w popielniczce pełnej niedopałków. Gdyby była martwa, nie czułaby takiego bólu.

A może jednak nie żyje i to jest jej piekło?

Dzwoni po Diodatę.



Wypija trochę kawy, ale nie rusza ciastek. W ciągu ostatnich kilku tygodni sporo schudła i nawet nie potrzebuje pomocy przy dopinaniu gorsetu. Ignazio pisze do niej, wysyła telegramy, by dowiedzieć się, co u niej słychać, ale nie jest już w stanie być blisko niej, a może i ona nie chce go przy sobie. Wraz z Baby Boyem stracili swoją radość i przyszłość. Bo nawet jeśli ktoś potrafi żyć bez radości, to nie potrafi nic zrobić bez przyszłości. A wraz z odejściem Giacobiny umarła nadzieja.

Coś pękło.

Franca bierze swój szal i kapelusz. Czarne. Na szyi ma medalion z portretami dzieci.

Wyspę owiewa delikatny, ale zimny wiatr. Kilku wyspiarzy przygląda się jej, kilka kobiet się jej kłania. Franca nie patrzy na nikogo. Stąpa wąską uliczką obok willi, dociera przed ratusz, a potem skręca w stronę morza. Ta sama droga każdego dnia, te same powolne kroki. Idzie, a brzeg jej sukni pokrywa się złotawą bielą tufu. W pobliżu tonnary kilku mężczyzn zdejmuje czapki, pozdrawia ją. Ona obdarza ich spojrzeniem i skinieniem głowy. Czuje na sobie ich wzrok pełen współczucia, czuje ich litość, ale nie obchodzi jej to. Opuściły ją nawet złość czy pretensje. W jej duszy zastygła czarna lawa, nie ma tam śladu życia ani możliwości odrodzenia.

Franca spaceruje po tonnarze, z której dochodzą dźwięki i zapachy pracy: brzęk młotów, szelest naprawianych sieci, cierpki dym spod kociołków, w których gotuje się smoła do uszczelniania kadłubów. Do połowów jeszcze wiele miesięcy, ale już teraz mężczyźni przygotowują się do majowych dni, które nastąpią po Świącie Krzyża. Odkąd ona i Ignazio się pobrali, nigdy nie pominęli tej niezwykle uczyt śmierci i życia, kiedy woń morza miesza się z zapachem krwi tuńczyka.

Skręca za róg. Znajduje się przed małą zatoczką ze skalnym językiem biegnącym w kierunku portu. Woda jest czysta i od razu głęboka. Po prawej stronie znajduje się kotwiczowisko dla łodzi, wciąż jeszcze zamkniętych w hangarach.

Woda.

Jest tak niebieska, tak przejrzysta.

Musi być bardzo zimna, myśli Franca, gdy schyla się między skałami, by jej dotknąć. Ma jednak spokojną powierzchnię, a jej chlupotanie odrobinę łagodzi ból.

Jak dobrze by było przestać odczuwać ten ciężar w piersi, który nigdy jej nie opuszcza. Zdystansować się od życia, uodpornić się na złość, zawiść, zazdrość, udrękę. Oznaczałoby to również brak radości, ale kto by się tym przejmował? Czym jest życie bez miłości? Bez radości dzieci? Bez męskiego ciepła? Poza tym jaką korzyść ma z odczuwania? Życie nie daje nic za darmo: fortuna uśmiechnęła się do niej, dając urodę i bogactwo, by potem odwrócić się plecami. Franca doświadczyła wielkiej miłości, a w zamian otrzymała jedynie zdradę. Miała bogactwo, ale wyrwano jej najpiękniejsze klejnoty – dzieci. Miała podziw i zazdrość, a teraz wzbudza tylko litość i żal.

„Szczęście jest błędnym ognikiem, widziadłem, które ma jedynie pozór prawdy. A życie jest zwodnicze. Obiecuje, daje ci smak radości, a potem odbiera ją w najbardziej bolesny z możliwych sposobów”.

Ona już w życie nie wierzy.

Patrzy na swe nagie dłonie, pozbawione biżuterii. Nosi tylko obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Czasami, w chwilach największej męki, myśli o tych białych sarkofagach, o zdobiących je wieńcach jedwabnych konwalii. Pamięta muślin, w który były zawinięte. Znowu widzi szczegóły strojów dzieci, pamięta zimne, sztywne małe dłonie. Umarły i zabrały ze sobą wszystko.

Spogląda na morze. „To niesprawiedliwe”, mówi sobie. Jeśli los musiał ją ukarać, dlaczego nie uderzył bezpośrednio w nią, zamiast zabierać jej dzieci, trzy niewinne istoty? Jakby poczuła na sobie ciężar *magaria*, prastarej klątwy, niesprawiedliwości, której nie zadośćuczyniono i która teraz znajduje zaspokojenie w zemście. Franca nie chce jednak dać losowi tej satysfakcji. Jeśli życie zamierza się obrócić przeciwko niej, to ona mu to uniemożliwi. Wycofa się z gry.

Podchodzi tuż nad sam skalisty brzeg. Wyobraza sobie, jasno i wyraźnie, co może się stać. Już sama myśl jest pocieszająca i rozgrzewa jej pierś, dając ulgę.

Na początku woda będzie tak lodowato zimna, że straci dech w piersiach. Sól ją osłepi i podrażni jej gardło. Nasiąknięta suknią pociągnie ją w dół. Rozboli ją klatka piersiowa i zaleje fala przerażenia, ale wtedy chłód zamknie ją w uścisku podobnym do tego, jakim matka ogarnia swoje dziecko, gdy tuli je do snu.

Tak. Śmierć może być matką.

Mówiono jej, że ci, którzy się topią, pod sam koniec odczuwają jakiś niezwykle głęboki spokój. I być może to właśnie czuł osiem lat wcześniej jej ojciec, kiedy utonął u wybrzeży Livorno. Ale nie Giovannuzza, którą do śmierci doprowadziła gorączka. Nie Ignazino, którego małe serce się poddało. Nie Giacobina, której nie było nawet dane otworzyć oczu. Kiedy myśli o trojgu swoich dzieci, pierwszym wspomnieniem, jakie przychodzi jej do głowy, jest przyciśnięte do niej małe ciało, coraz zimniejsze mimo wszystkich jej prób dania mu ciepła.

Chłód. Jest tak dotkliwy. I nigdy jej nie opuszcza.

„Może to naprawdę ostatnia rzecz, która mi pozostała”, zastanawia się Franca, robiąc kolejny krok w stronę wody. Zdejmuje kapelusz i szal. Nie będzie ich potrzebować. Odrzuca refleksję, że to, o czym myśli, że to, co zamierza, jest grzechem śmiertelnym albo że będzie skandal.

Już nic jej nie obchodzi. Nawet oddychanie to dla niej wysiłek. Chce po prostu przestać cierpieć. Zniknąć.

– *Me figghiu*<sup>60</sup> zmarł, gdy miał trzy lata. Zginął razem z ojcem, wypłynęli na ryby i już nie wrócili. – Ten głos dociera do Franki, gdy morze już moczy jej buty.

Odwraca się. Wyżej za nią stoi stara kobieta ubrana na czarno, otulona wełnianym szalem. Mówi, nie patrząc na nią. Jest drobna jak dziecko, ale głos ma donośny i wyraźny.

– Wasz syn...?

– Był moim życiem, jedynym chłopcem, jakiego miałam. Mąż zostawił mi dwie córki, a ja zatroszczyłam się o nie. Tylko one mi zostały. – Kobieta z trudem idzie po kamieniach. – *U' Signuri duna, u' Signuri pigghia.*

Pan daje, Pan zabiera. Franca nie panuje nad grymasem. Potrząsa głową, zirytowana. Jak ta obca kobieta śmie do niej mówić w ten sposób? Jej dzieci to nie było potomstwo rybaka! Chce jej odpowiedzieć, że nie rozumie, że całe jej życie i rodzina się rozpadają, ale słowa nie mogą przejść przez ściśnięte gardło.

Staruszka patrzy na nią uważnie.

– Wszystkich nas to czeka – mówi zachrypniętym głosem. – I nie możemy od tego uciec.

Franca czuje się naga. Patrzy w dal, a łzy płyną jej po policzkach. Jakby ta nieznajoma zrozumiała jej intencję i konfrontowała ją z prawdą, że nie można uciec, gdy pozostaje odpowiedzialność, z którą trzeba się zmierzyć.

– Moja dziewczynka – szepce.

Igiea została w Palermo z guwernantką i teściową. Franca wyobraża ją sobie w tych pustych teraz pomieszczeniach. Zakrywa usta dłonią, ale nie jest w stanie powstrzymać szlochu. I płacze. Długo, aż zmoczy łzami kołnierz sukni, płacze całym nagromadzonym wewnątrz bólem, który jeszcze nie znalazł drogi wyjścia. Płacze nad sobą, nad utraconą miłością swoich dzieci, nad dojmującym bólem tego, czego nie było i czego już nigdy nie będzie, nad tym małżeństwem, w które wierzyła, a które zostało puste jak skorupa. Płacze, bo czuje się jak nazwisko, jak przedmiot, a nie jak osoba.

I oddala się od morza. Ale nigdy nie przestanie słyszeć jego wołania.

\*\*\*

Kiedy kilka tygodni później Franca wraca do Olivuzzy, Palermo przygląda jej się z mieszaniną podejrzliwości i współczucia. Obserwuje ją, próbuje odczytać ślady bólu na jej twarzy. Miasto chce zobaczyć, miasto chce wiedzieć.

A ona wydaje mu się na żer. Z okazji kolejnej wizyty kaisera i jego żony pokazuje się publicznie i jest zachwycająca: nosi swoje legendarne perły, oprowadza cesarską parę po wykończonej już willi

szwagra i daje sobie zrobić zdjęcie u stóp schodów tego małego arcydzieła zaprojektowanego przez Ernesta Basilego. W Villi Igiea wita księcia Filipa Saxen-Coburga, na którego cześć wydaje niezapomniane przyjęcie, i rodzinę Vanderbiltów, amerykańskich przemysłowców, którzy przybyli do Palermo na jachcie „Varion”. Bierze udział w odsłonięciu pomnika Ignazia Florio seniora dłuta Benedetta Civilettiego, wraz z Giovanną, która nie może powstrzymać łez, i robotnikami, którzy przybyli specjalnie z Marsali. Jest obecna przy wodowaniu „Caprery”, pierwszego parowca, który opuszcza palermiańską stocznię. Wraz z całym miastem świętuje powrót do domu Raffaelego Palizzola, z braku dowodów uniewinnionego przed sądem kasacyjnym od zarzutu sprawstwa kierowniczego w zabójstwie Emanuelego Notarbartola. Z okazji uroczystości Świętej Rozalii przekształca jeden z parowców w pływający ogród, a zebrani na nim goście mogą podziwiać fajerwerki.

Nigdy nie padło z jej ust niewłaściwe słowo, nigdy nie pokazała śladu bólu palącego ją wewnątrz. Ale uśmiech zniknął z jej oczu, zastąpiło go nieobecne spojrzenie. Jakby nic już nie mogło jej dotknąć.

Jakby naprawdę była martwa.

## Konwalie (maj 1906 – czerwiec 1911)

*Cu prima nun pensa, all'ultimu suspira*  
„Kto z początku nie myśli, ten na końcu wzdycha”  
przysłowie sycylijskie

Trzeci gabinet Giolittiego rozpoczął rządy 29 maja 1906 roku i sprawował je do 11 grudnia 1909 roku. „Długie urzędowanie”, jak je później nazwano, przyniosło przede wszystkim kolejne reformy społeczne. W 1902 roku uchwalono „legge Carcano”, ustawę zakazującą zatrudniania dzieci poniżej dwunastego roku życia, ustalającą dwunastogodzinny limit pracy kobiet w ciągu doby i wprowadzającą instytucję urlopu macierzyńskiego. W roku 1904 wprowadzono obowiązek ubezpieczenia pracowników od następstw nieszczęśliwych wypadków, w 1907 zakazano pracy nocnej kobiet, ustalono, że robotnicy mają prawo do „odpoczynku nie krótszego niż dwadzieścia cztery kolejne godziny w tygodniu”, natomiast w 1910 roku utworzono „fundusz macierzyński”. Ponadto 29 września 1906 roku powstała oddolnie Powszechna Konfederacja Pracy, organizacja związków zawodowych licząca dwieście pięćdziesiąt tysięcy członków, a 5 maja 1910 roku powołano organizację pracodawców – Powszechną Konfederację Przemysłu.

W sferze gospodarczej Giolitti znacjonalizował koleje (15 czerwca 1905) i częściowo usługi telefoniczne (1907), ale najistotniejsze rezultaty przyniosła reforma obligacji państwowych (1906), za którą stali przede wszystkim minister finansów Luigi Luzzatti, konsorcjum banków zagranicznych i włoski bank centralny, Banca d'Italia (zarządzany silną ręką dyrektora Bonalda Stringhera). Zysk netto z publicznych papierów dłużnych w wysokości czterech procent (co dawało około ośmiu miliardów ówczesnych lirów, czyli ponad trzydzieści dwa miliardy euro) został obniżony do 3,75 procent (1 lipca 1907), a następnie na 3,5 procent (1 lipca 1912). Oszczędności w spłacie

odsetek wyniosły w 1907 roku około dwudziestu milionów lirów. Budżet państwa zamknął się nadwyżką, międzynarodowa reputacja Włoch została umocniona, a lir był notowany nawet powyżej kursu złota.

Po międzynarodowym kryzysie gospodarczym 1907 roku spowodowanym lekkomyślną działalnością spekulacyjną z lat poprzednich, a we Włoszech przewyciężonym dzięki zgodnej akcji rządu i banku centralnego, Giolitti musiał zmierzyć się z jedną z największych tragedii w historii Włoch: 28 grudnia 1908 roku o godzinie 5.20 trzęsienie ziemi o sile ponad siedmiu stopni zniszczyło całkowicie Mesynę i Reggio Calabria i zdewastowało obszar około sześciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Życie straciło od osiemdziesięciu do stu tysięcy ofiar. Podczas gdy rządowi zarzucano zbytnią opieszałość w udzielaniu pomocy, król i królowa przybyli do Reggio Calabria 30 grudnia i zobowiązali się do konkretnej pomocy. 8 stycznia 1909 roku zatwierdzono przydział trzydziestu milionów lirów na odbudowę terenów dotkniętych trzęsieniem ziemi.

Wygrawszy kolejne wybory 7 marca 1909 roku (po raz pierwszy do parlamentu weszli wówczas katolicy), Giolitti podał się do dymisji 2 grudnia tego samego roku, być może na skutek oskarżeń, które socjalista i południowiec Gaetano Salvemini wyraził najpierw w artykule na łamach „Avanti!” (14 marca 1909), a następnie w eseju *Il ministro della mala vita* (1910); według Salveminiego zacołowanie południowych Włoch było wynikiem świadomej decyzji Giolittiego, który dzięki temu mógł liczyć na oszustwa wyborcze i przemoc w celu utrzymania władzy.

30 marca 1911 roku Giolitti utworzył swój czwarty rząd, który trwał do 21 marca 1914 roku. 29 września 1911 roku Włochy wypowiedziały wojnę imperium osmańskiemu, dążąc do przejęcia kontroli nad Trypolitanią i Cyrenajką (wschodnia Libia). Tym razem afrykańskie przedsięwzięcie kolonialne – wspierane w kraju przez liberałów, katolików i nacjonalistów i przedstawiane jako swoisty podbój Eldorado – zakończyło się sukcesem: 11 października w ręce włoskie dostał się Trypolis, a 18 października przysłała kolej na Bengazi. Na mocy traktatu z Lozanny (18 października 1912) Włochy uzyskały suwerenną zwierzchność nad Libią, czyli – jak ją określił Gaetano Salvemini – „piaskownicą”. Nazwa ta przejdzie do historii.

\*

Konwalia to delikatna roślina. Niewielka, o białych dzwonkowatych kwiatach i zapachu tak charakterystycznym, że dał nazwę samej roślinie, gdyż „konwalia”, po włosku *mughetto*, pochodzi od francuskiego *muguet*, które to słowo z kolei wywodzi się od *muscade*, „zapach piżma”. D’Annunzio z pewnością o tym pamiętał, gdy w swoim dramacie *Il ferro* (*Żelazo*) każe powiedzieć Mortelli: „Jakże jesteś świeża! Pachniesz ulewą, muszlą i konwaliami”.

To roślina zrodzona ze smutku, przynajmniej tak chcą legendy: z łez Ewy wygnanej z rajskiego ogrodu lub łez Matki Boskiej pod krzyżem. Albo z łez wylanych przez Freję, norweską boginię płodności i siły, gdy uwięziona w Asgardzie, nostalgicznie wspominała wiosnę w swojej ojczyźnie.

Konwalia przynosi szczęście, przynajmniej we Francji. 1 maja 1561 roku Karolowi IX ofiarowano łodygę konwalii jako prezent na szczęście i król postanowił, że co roku tego dnia będzie obdarowywał konwaliami damy dworu. Zagubiona w odmętach historii, tradycja ta powróciła 1 maja 1900 roku: wielkie paryskie domy mody zorganizowały tego dnia święto i wręczyły konwalia jako prezent zarówno pracownikom, jak i klientkom. Kiedy 24 kwietnia 1941 roku marszałek Pétain ustanawiał w swoim kadłubowym państwie Święto Pracy i Zgody Społecznej, zastąpił konwalia dziką różą, która od 1891 roku była symbolem Międzynarodowego Dnia Solidarności Ludzi Pracy. Do dziś, zwłaszcza w regionie paryskim, na 1 maja wręczane są konwalia. A Christian Dior przyjął konwalia jako kwiat symbol i poświęcił jej nawet swoją kolekcję wiosna–lato 1954.

Jeszcze inni łączą tę roślinę z ideą czystej, dziewiczej miłości, dlatego jest wykorzystywana w bukietach panien młodych. Dopiero niedawno zdano sobie sprawę, że tradycja ta ma podstawy naukowe: zapach konwalii pochodzi od aromatycznego aldehydu zwanego *bourgeonal*, który nie tylko podwaja prędkość plemników u ssaków, ale też przyciąga je do siebie jak magnes. Co więcej, to



jedyny zapach na świecie, na który mężczyźni są bardziej wrażliwi niż kobiety.

Pożyteczna roślina. Już w połowie XVI wieku sieneński uczyony Pietro Andrea Mattioli w swoich przypisach do dzieł Dioskurydesa twierdził, że konwalia służy wzmocnieniu serca, zwłaszcza gdy ktoś cierpi na jego kołatanie. Pod koniec XIX wieku francuski lekarz Germain See potwierdził jej korzystne działanie na serce oraz właściwości moczopędne.

Ale i zdradliwa roślina. Przypadkowe spożycie może powodować dezorientację, zmiany w pracy serca i silny ból brzucha, utrzymujący się nawet przez kilka dni.

Roślina łagodna i delikatna, a jednak niebezpieczna. Tak jak miłość.

\*\*\*

Ostra kreska gór Madonii odcina się od czystego porannego nieba. Słońce wspina się na szczyty, przepędza z nich ciemność, barwi je blaskiem, a świeży wiatr wieje od morza i niesie ze sobą zapach soli i trawy. Aromat ten nie może jednak zatrzeć innych, mocniejszych zapachów, nowych dla tych ziem rozpościerających się między morzem a uprawnymi polami.

Olej silnikowy. Paliwo. Spaliny.

Wiatr niesie zdania, zachęty, przekleństwa wykrzykiwane po angielsku, francusku, niemiecku. I po włosku, z silnym północnym akcentem. Nad wszystkim unosi się jednak kakofoniczny koncert silników, które pomrukują, kaszlą, dudnią.

Mechanicy. Kierowcy. Samochody.

Jest dopiero piąta rano, ale równina Campofelice u stóp gór Madonii jest już pełna ludzi. Specjalne pociągi przyjechały z Palermo, Katanii i Mesyny, a niektórzy nawet spędzili noc w chłodzie, byle tylko tam być. Teraz oczekujące tłumy napierają na ogrodzenie, które jednak nie ochroni ich ani przed tumanami kurzu, ani kamieniami wyrzucanymi spod kół samochodów jadących z prędkością niemal pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przy pokrytym bitumiczną nawierzchnią odcinku drogi wznosi się stacja telegraficzna oraz stoi drewniana trybuna dla komisarzy i prasy. Naprzeciwko znajduje się druga, ozdobiona festonami i proporczykami, przeznaczona dla najważniejszych gości. Ekscytację wyczuwa się także wśród tych, których wyścig niewiele obchodzi: kobiety chcą przede wszystkim być widziane i oglądane. Niektórzy mężczyźni podejrzliwie patrzą na grzechoczące, niebezpieczne maszyny. Każdy wie, że nie może przegapić wydarzenia, o którym mówi się wszędzie, we Włoszech i za granicą.

Wydarzenie. Bo tym jest – i zawsze był – w zamyśle Vincenza Florio ten wyścig. Cenna szansa na bycie dostrzeżonym, podziwianym, nowoczesnym. Dla siebie, dla jego rodziny, dla całej Sycylii. Ponieważ przyszłość zbyt wolno docierała na jego wyspę, postanowił ją tam sprowadzić. To nie pierwsza taka sytuacja dla ludzi z rodu Florio. Dziadek, którego imię Vincenzo nosi, zrobił coś bardzo podobnego. Dlatego i on walczył, nie zatrzymując się przed żadną przeszkodą. Kazał na własny koszt wyrównać teren i naprawić ścieżki i dróżki dla mułów, posypać bitumem cały tor, aby pył nie ograniczał widoczności kierowców. Opłacił pasterzy, aby trzymali swoje owce z dala od trasy, i pewnych „dzentelmenów” do pilnowania, by nie wyrządzono szkód pojazdom i załogom. Zadbął o to, aby na trasie dyżurowali karabinierzy, policjanci, a nawet kompania rowerowa bersalierów. Powierzył mierzenie czasu sędziom z Mediolańskiego Automobilklubu, wezwał kamerzystę, aby sfilmował start i metę, ustawił kiosk do obstawiania zakładów, zapewnił luksusowy parowiec „Umberto I”, aby kierowcy i mechanicy mogli szybko dotrzeć po wyścigu najpierw do Genui, a następnie do Mediolanu, gdzie odbędzie się wyścig o złoty puchar, inny ważny konkurs. A teraz jest gotowy, aby uczcić swój triumf medalami, pucharami i trofeami wykonanymi przez wielkiego złotnika Lalique’a, który zaprojektował również główną nagrodę – złotą plakietę dla zwycięzcy wyścigu, który od niej właśnie zyska swoją nazwę: Targa Florio.

Zaangażował całą rodzinę; nawet Franca dała się namówić i przejechała część toru wraz z innymi paniami, aby pokazać im całe surowe piękno okolicznych gór. Ale Vincenzo chciał przede

wszystkim wykorzystać jej niezwykłą umiejętność radzenia sobie w sytuacjach towarzyskich i w ten sposób pokonał jej nieufność. Przyjęcia, kolacje, bufety, wycieczki: wszystko zostało zorganizowane przez Francę z charakterystyczną dla niej elegancją. Trudniej było zaangażować leniwego i uganiającego się za spódniczkami Ignazia. Ale ponieważ on z kolei zawsze chciał mieć to, co najlepsze, Vincenzo wykorzystał jego stałe pragnienie bycia na widoku i właśnie dlatego, choć nie bez utyskiwań, brat dał mu pieniądze potrzebne na to przedsięwzięcie. Vincenzowi udało się nawet – to akurat bez wysiłku, bo bratanica go uwielbia – wciągnąć do tego szaleństwa małą Igieę, która zapowiedziała mu, że jak dorośnie, to będzie „pilotką”. Vincenzo jest manipulatorem. Sam o tym wie, podobnie jak członkowie jego rodziny, którzy akceptują tę jego cechę z pobłażliwym uśmiechem.

Teraz, w sportowym stroju i angielskich butach, przechadza się z zadowoleniem wśród kierowców i mechaników. Jest przystojnym mężczyzną: rysy twarzy ma delikatne, wąsy podkreślają dobrze zarysowany nos, a usta, często wygięte w uśmiechu, są miękkie, niemal kobiece. W coraz jaśniejszym świetle dnia obserwuje, jak samochody nabierają kształtów. Różnią się od automobili, których już wiele krąży po Palermo: tamte przypominają raczej powozy, z siedzeniami jak kanapa i kierownicą jak ster statku. Te tutaj z kolei są wąskie, stożkowe. Nawet zaparkowane, dają przedsmak emocji związanych z pędem i ryzykiem.

Młody Florio kiwa głową Vincenzowi Lancii, który siedzi już za kierownicą swojego fiata, po czym podchodzi do mężczyzny z gęstym wąsem, ubranego w kombinezon i skórzaną czapkę, który dyskutuje gorąco po francusku z mechanikiem, wskazując na pedały.

Vincenzo uśmiecha się do niego.

– Ma pan jeszcze jakieś problemy, monsieur Bablot?

Paul Bablot odwraca się, wyciera rękę umazaną olejem i smarem o kombinezon, po czym podaje ją Vincenzowi, a ten nią energicznie potrzasa.

– Cóż, podróż nie była spacerkiem po parku. Wilgoć zaszkodziła silnikowi i teraz robimy kolejny tuning. Naprawdę, ten wasz wyścig,

monsieur Florio... Trasa jest co najmniej... jak by to powiedzieć, nietypowa.

– Hrabia Isnello i ja wytyczyliśmy ją, inspirując się Pucharem Gordona Bennetta. Zależało nam na trasie, która pokaże nie tylko jakość pojazdów, lecz także umiejętności kierowców. I musiała być kolista, aby widzowie mogli być świadkami więcej niż jednego przejazdu. Nigdy nie widzieli tylu samochodów naraz. Jestem pewien, że niektórzy rolnicy w ogóle ich nie widzieli. Och, to będzie dla was niezapomniane doświadczenie. A zresztą wam przynajmniej udało się tutaj dotrzeć. Pomyślcie o tych, którzy nie mogli nawet wyruszyć.

Vincenzo uśmiecha się z lekką irytacją i rzuca spojrzenie na grupę mężczyzn w sportowych strojach, krytycznie przyglądających się samochodom. Niektórzy mówią głośno po francusku i nie robią nic, by ukryć swoją złość. „I jak im się dziwić”, myśli. Strajk przewoźników morskich w Genui zablokował ich samochody, przez co nie dotarli na czas na regulaminowe badania. Z bohaterów wyścigu stali się zwykłymi widzami.

– Zainwestowaliśmy tak wiele w ten wyścig, a ostatecznie zawisnęliśmy na łasce czterech nieudolnych przewoźników – syczy, coraz bardziej poirytowany. – We Włoszech nie ma szacunku do niczego. To jest wydarzenie, które mogłoby zmodernizować Sycylię, wprowadzić ją w nowoczesny świat, ale oni mają to gdzieś!

Bablot wzrusza ramionami.

– Rozumiem wasze rozczarowanie, ale dla mnie im mniej zawodników, tym lepiej – woła, wsiadając do pojazdu. – Chociaż, szczerze mówiąc, nie mam większych obaw: mój berliet jest nadzwyczajny!

Sygnalizuje mechanikowi, żeby odsunął ręce od cylindrów, dodaje gazu, a silnik odpowiada rykiem.

Vincenzo przytakuje, zegna go lekkim ukłonem i odwraca się, by spojrzeć na inny samochód, trzydziestopięciokonnego hotchkissa, który na chłodnicy ma wymalowany numer 2. Przy pedałach majstruje kobieta z czarnymi włosami zebranymi w kok. Po chwili zwinnie wysiada z pojazdu i zaczyna sprawdzać chłodnicę, wytarłszy dłonie o fartuch założony na sięgającą kostek spódnicę.

Dopiero przy drugim spojrzeniu Vincenzo orientuje się, że to nie spódnica, tylko bardzo szerokie spodnie. Wszyscy w kręgach wyścigowych znają i szanują madame Motan Le Blon i są przyzwyczajeni, że zawsze towarzyszy swojemu mężowi Hubertowi. To wyjątkowa para, połączona wspólną pasją do samochodów. Jednak na Sycylii kobieta mechanik nie może pozostać niezauważona.

I rzeczywiście, kiedy Vincenzo jest już prawie obok niej, do jego ucha dociera komentarz: „Patrz, kobieta, co pracuje jak mężczyzna!”, i ironiczny śmiech. Florio odwraca się, marszcząc brwi, ale nie sposób stwierdzić, kto wypowiedział to zdanie. Kiedy spogląda na madame Le Blon, widzi, że kobieta się uśmiecha.

– Słyszę te komentarze, nawet jeśli nie rozumiem języka – mówi ona, wzruszając ramionami. – Niektóre spojrzenia nie potrzebują wyjaśnień. Zastanawiają się, dlaczego kobieta majstruje przy gaźniku, zamiast zostać w domu i zajmować się dziećmi. – Zdejmuje fartuch, odkłada go na bok, a następnie zarzuca na głowę szal i wiąże go pod brodą. – Gdyby ta gadanina mi przeszkadzała, już dawno bym zrezygnowała. Ale udział w wyścigach z mężem to jedna z rzeczy, która sprawia, że jestem szczęśliwa, i nikt mnie przed tym nie powstrzyma. W zasadzie powiem wam coś w tajemnicy... – Zniża głos jeszcze bardziej, podchodząc bliżej. Emanuje od niej woń potu, oleju i lawendowego mydła. – Potrafię prowadzić tak samo dobrze jak on, a może i lepiej. Jeździłam już parowym serpolletem w Nicei. Wspaniałe doświadczenie.

– Moja żona nie boi się prędkości, a jej panowanie nad automobilem jest naprawdę niezwykle. Mogłaby zostawić daleko za sobą niejednego ze znanych mi kierowców. – Hubert Le Blon podchodzi do żony, kładzie jej dłoń na ramieniu i czule całuje w policzek.

Vincenzo wita się z mężczyzną, całuje rękę madame Le Blon i myśli, że wcale nie miałyby nic przeciwko rywalizacji z tą kobietą.

– Signor Florio, już prawie zrobione!

Mówi to młody człowiek o krzaczastych brwiach i pokaźnych wąsach oraz ciemnych świdrujących oczach. Alessandro Cagno. Kiedyś Vincenzo zapytał go żartem, czy mamka nie karmiła go

przypadkiem olejem silnikowym, taka wielka jest jego pasja do automobili. Ma dwadzieścia trzy lata – tyle samo co Vincenzo – i ściga się już od pięciu. Doskonalił swoje umiejętności mechanika w warsztacie Luigiego Storero w Turynie, a następnie w zakładach Fiat Giovanniego Agnellego, u którego pracuje jako kierowca. W 1903 roku wziął udział jako mechanik w wyścigu Paryż–Madryt, tak zwanym wyścigu śmierci, który ostatecznie zatrzymano w Bordeaux z powodu zbyt wielu poważnych wypadków – zginął tam między innymi Marcel Renault. W 1904 i 1905 roku wyróżnił się w Pucharze Gordona Bennetta, a niedawno wygrał prestiżowy wyścig na Mont Ventoux.

– Signor Cagno, dzień dobry! Czy to prawda, że w Turynie napisali o was piosenkę?

Cagno wygląda na zakłopotanego.

– Właściwie to mówi też o lancii Felicego Nazzaro...

– A nie o waszej itali?

– Itala dzisiaj sama zaśpiewa. Usłyszycie ją na pewno, już ja o to zadbam – odpowiada Cagno, wkładając czapkę.

Vincenzo wybuchą śmiechem i macha ręką na pożegnanie. Potem odwraca się w stronę trybun, szukając wzrokiem brata i Franki, którzy mają przybyć wraz z Trabiami i Trigonami z Grand Hotel delle Terme w Termini Imerese, eleganckiego budynku zaprojektowanego przez Damianiego Almeydę, goszczącego kierowców i palermiańską socjetę. Nie dostrzega ich i prycha, kręcąc głową. Jeszcze nie dotarli. Chciałby chociaż przywitać się z Ignaziem, przeżyć wspólnie z nim tę chwilę.

Nagle dostrzega różowy punkt poruszający się wśród samochodów, pojawiający się i znikający wśród tłumu kierowców i mechaników. Zaskoczony, śledzi go wzrokiem. Dopiero gdy punkt zatrzymuje się obok berlieta monsieur Bablota, rozpoznaje, kto to jest.

– Annina! – woła.

Anna Alliata di Montereale – Annina, jak wszyscy ją nazywają – jest młodszą siostrą jednej z najbliższych przyjaciółek jego szwagierki Franki, Marii Concetty Vannucci, księżnej Petrulli. Jest kilka lat młodsza od Vincenza i znają się od dziecka.

Młoda kobieta odwraca się, rozpoznaje go i podchodzi do niego, trzymając w jednej ręce kapelusz. Jej oczy płoną entuzjazmem, policzki się rumienia.

– Annina, co ty tu robisz? Pobrudzisz się!

– Och, wielka mi rzecz! To tak wspaniale być przy samochodach, tyle radości! Chciałabym sobie taki kupić, wiesz? – Spuszcza wzrok na koronkowe obszycie sukni zachłapanie błotem i na buty ubrudzone więcej niż jedną plamą oleju. Kręci głową. – *Maman* mówi, że to nie są rzeczy dla kobiet – prycha. – Co za bzdury!

Vincenzo nie bardzo wie, jak zareagować. Wielokrotnie ze sobą rozmawiali, spotykali się na tańcach czy kolacjach, czyli wyłącznie przy formalnych okazjach. Zawsze uważał ją za żywą i inteligentną młodą kobietę, ale pasja, która w tym momencie rozświetla jej twarz, jest dla niego nowym odkryciem.

– Twoja matka jest roztropna – mówi z zakłopotaniem. – Gdy owdowiała, musiała zająć się całą rodziną...

– Ależ nie, wcale nie o to chodzi. Ona po prostu ma takie staroświeckie poglądy. – W spojrzeniu Anniny widać irytację. – Powinna zrozumieć, że to już nie są czasy poczwórnych zaprzęgów i spacerowych powozów. Że przyszłość jest tutaj.

– Niełatwo przejść z jednej epoki do drugiej – zauważa Vincenzo, myśląc o swojej matce.

Giovanna została w Olivuzzy, twierdząc, że musi dotrzymać towarzystwa donnie Ciccii, która już prawie się nie rusza, ale on wie, że nigdy, przenigdy nie przysłaby na tor.

Właśnie dostrzega kilku pracowników zatrudnionych przy organizacji wyścigów. Może go szukają. Odwraca się do nich plecami. „Nie teraz – myśli. – Tylko nie teraz”.

– Wiesz, z początku moja matka mówiła, że kiedy jeżdżę alejami Olivuzzy, niszcę jej ogród i sprawiam, że ptaki w wolierze giną na atak serca. Ale jest starą kobietą, trzeba ją zrozumieć. Z kolei Ignazio, który z pewnością nie jest stary, nieraz nazwał mnie lekkomyślnym. Z niego to dopiero jest *scantulino*, urodzony strachajło. Wyobraź sobie, że on nawet konno nie chce jeździć, bo przeraża go prędkość.

Annina śmieje się, zerkając na Vincenza.

– Ale trochę lekkomyślny jednak jesteś, prawda?

On się uśmiecha.

– Trochę – odpowiada z niezwykłą bezpośredniością.

Nie zdradza jednak, że za sprawą prędkości krew śpiewa mu w żyłach, a on czuje, że żyje, i przechodzą go dreszcze. I że taki sam wpływ ma na niego jej śmiech.

– Don Vincenzo! – Jeden z mechaników idzie w jego stronę. – Szukaliśmy was, signore.

Vincenzo zapewnia, że zaraz do nich dołączy. Potem raz jeszcze patrzy na Anninę.

– Idź na trybunę – mówi. – Jestem pewien, że twoja matka się martwi...

– Dobrze. Ale musisz obiecać, że zabierzesz mnie na przejażdżkę jednym ze swoich samochodów.

Uśmiecha się.

– Obiecuję. Wkrótce.

Annina odwraca się, robi krok, po czym się cofa i opiera dłoń w rękawicze na dłoni Vincenza. Jej głos jest szeptem, który ryk silników powinien zagłuszyć, a tymczasem rozbrzmiewa wyraźnie.

– Dziś, tutaj, nabrałam pewności, że nie ma sensu czekać na spełnienie marzeń. Trzeba samemu zrobić pierwszy krok. Trzeba mieć wielkie plany. Pokazałeś mi, że można realizować swoje pragnienia. Dziękuję.

\*\*\*

Ignazio śledzi przygotowania do wyścigu z trybuny, owinięty w angielskie palto kupione rok wcześniej. W tym roku nie odnowił swojej garderoby. Nie ma czasu, a przede wszystkim nie chce mieć do zapłacenia kolejnych rachunków oprócz tych, które już leżą na biurku. Rachunków matki, Franki, a nawet Igiei – sześćioletniej dziewczynki, do diaska! Kobiety zdają się nie robić nic poza kupowaniem kapeluszy, sukien, rękawiczek, butów i torebek w całej Europie. Kilkakrotnie prosił Francję, by nie szastała pieniędzmi, ale ona zawsze słuchała go z obojętną miną, niemal nie zaszczycając go



spojrzeniem. Tylko raz odparła: „Chyba nie prosisz innych kobiet o oszczędzanie na biżuterii czy hotelach?”. Powiedziała to spokojnie, bez złości, a słowom towarzyszyło spojrzenie tak lodowate, że wprowadziło go w zakłopotanie. Wymamrotał w odpowiedzi jedynie zażenowane „Co ty mówisz?”, czego do dziś się wstydzi.

Chłód w relacjach z Francą sprawił tylko, że ciężar spraw, które go trapiły, stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Począwszy od tej przeklętej stoczni, w której pokładał taką nadzieję. Owszem, została ukończona, ale brak zamówień, redukcja wynagrodzeń i strajki podkopały przedsięwzięcie. W końcu Florio musiał sprzedać swoje udziały Attiliowi Odero, genueńskiemu właścicielowi stoczni w Sestri Ponente i Foce. Ale nawet wtedy nie udało mu się spłacić długów – zwłaszcza tych dwóch milionów kredytu zaciągniętego w Banca Commerciale Italiana na budowę stoczni – i był zmuszony zwolnić robotników, zarówno w stoczni, jak i w Oretei. Musiał zacząć przypominać się wierzycielom, by spłacili swoje zobowiązania wobec niego. On, który zwykle nie przejmował się takimi drobiazgami.

Na froncie politycznym sytuacja stała się jeszcze gorsza: Giolitti był potężny, zdecydowanie zbyt potężny. I bronił interesów sprzecznych z interesami Południa, co w szczególności odbijało się na transporcie morskim. Wkrótce trzeba będzie omówić odnowienie koncesji na ten transport, a to droga pod górę, usiana przeciwnikami, począwszy od tego całego Erasma Piaggio, w którym Ignazio pokładał zaufanie i nadzieję, a który okazał się drobnym spekulantem, jak wszyscy inni. Zmuszony do rezygnacji, wyszedł, trzaskając drzwiami, przysięgłszy, że Ignazio mu za to zapłaci. Scena aż nazbyt podobna do tej, którą urządził Laganà.

A potem winiarnia.

Na tę myśl jego plecy sztywnieją, suchość w ustach staje się nieznośna. Siedzący obok Romualdo odwraca się do niego. Zna Ignazia zbyt dobrze, by nie zauważyć fatalnego humoru przyjaciela.

– Co się stało? – pyta.

Ignazio wzrusza ramionami.

– *Camurrie*.

Ale Romualda nie zadowala zdawkowa odpowiedź „kłopoty”, zwłaszcza powiedziana takim tonem. Chwyta Ignazia za ramię i prowadzi go w cichy kąt trybun. Znają się całe życie, nie potrzebują ceremonii.

– Co jest?

Westchnienie.

– Winiarnia.

Ignazio rzuca przyjacielowi spojrzenie, w którym mieszają się żal, ubolewanie i wstyd. Myśl o niej upokarza go od kilku dni, a dokładnie od połowy kwietnia, kiedy musiał podpisać umowę sprzedaży marki z lwem.

Winiarnia była jednym z pierwszych przedsięwzięć jego rodziny, stworzonym przez dziadka, który zmarł tuż po przyjściu Ignazia na świat. Jego ojciec nigdy by nie pozwolił, żeby to wszystko poszło na marne. Choć nie żyje już od piętnastu lat, Florio wyraźnie słyszy słowa rozczarowania, które by wypowiedział, pełne wyrzutu spojrzenie, którym by go obdarzył. Jego ojcu nigdy nie zabrakłoby pieniędzy i poważania. Jego ojca nikt nigdy nie poprosiłby o „lepsze gwarancje”.

– Winiarnia? Czyli? – pyta Romualdo.

– Jakiś czas temu podpisałem umowę o sprzedaży majątku winiarni i nieruchomości w Marsali i stworzyłem z kilkoma partnerami spółkę, aby uzyskać płynność finansową, rozłożyć koszty i mieć trochę przestrzeni. Wiedziałaś o tym, prawda? No i tak: w zeszłym miesiącu sprzedałem zakłady w Alcamo, Balestrate i Castellammare, nawet ten, gdzie produkowałem koniak, którego zresztą nie możemy już nazywać koniakiem. – Robi pauzę, zwilża usta. – Nie jesteśmy już właścicielami nawet cegły, mamy tylko akcje. A odsetki za pożyczki i tak zżerają mnie żywcem. Żywcem!

Nagle Romualdo dostrzega głębokie zmarszczki na twarzy przyjaciela i uświadamia sobie, że nigdy wcześniej ich nie widział.

– Myślałem, że pozostałeś właścicielem winiarni...

– Nie. Zostawiłem im wszystko oprócz zakładu w Marsali, a oni płacili mi czynsz. Teraz także to oddałem. Zachowałem tylko budynek i marsalę gotową do sprzedaży. – Wzdycha. – Potrzebuję *picciuli*. *Picciuli* i czasu. Wiesz, co się stało wczoraj? Fecarotta

przysłał mi list z żądaniem zapłaty. I to się dzieje już drugi raz. Nie mogłem uwierzyć.

– Fecarotta? Co u niego zamówiłeś? Klejnot dla niej? – zapytał Romualdo, wskazując głową na Francę.

Ignazio potrząsa głową.

– Nie. Dla Bice – mruczy i odwraca wzrok. – Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa.

Bice. Beatrice Tasca di Cutò.

Romualdo przeżuwa niecenzuralne słowo.

– One są niebezpieczne, te Tasca di Cutò. Możesz mi wierzyć, w końcu ożeniłem się z jedną – mówi. – Nie mogłeś postąpić inaczej, skoro wszyscy z ciebie żyją. Spółka pozwoliła ci złapać oddech i to oczywiste, że musiałeś pójść na kompromisy. Ale to nie twoja wina, że rynek winiarski jest w kryzysie. – Kładzie mu rękę na ramieniu. – Najpierw filoksera, potem kryzys, potem państwowe podatki od alkoholu...

– To był cios. W Rzymie starali się przez całe lata opodatkować wina likierowe i w końcu im się udało. – Ignazio uderza dłonią w balustradę. – Próbowałem nowych sposobów... lata temu z koniakami, potem z winami stołowymi i nic. A teraz wygląda na to, że marsala nie jest już dobra, że jest zbyt wysokoprocentowa! I pomyśleć, że lekarze zalecają ją jako tonik...

Kręci głową, podnosi dłoń do skroni, płytko oddycha. Teraz ogarnia go gniew, łatwe uczucie, które chce tylko znaleźć ujście i doznać ulgi. Nie karmi się ideami ani myślą. I jak zawsze Ignazio przyjmuje to uczucie, obejmuje, czyni je swoim.

– Nie ma już nawet spółki siarkowej – ciągnie. – Nie zarabiałem na niej dużo, ale chodzi o sam pomysł, rozumiesz? Amerykanie wymyślili nową technologię do eksploatacji ich złóż siarki, a dla nas oznacza to koniec eksportu do Stanów. I założę się, że wkrótce zaczną sprzedawać swoją produkcję w Europie, więc pożegnamy się też z eksportem do Francji. Nic nie idzie tak, jak powinno! Dasz wiarę?

– Wiem – potwierdza Romualdo.

Stoją obok siebie w milczeniu. W końcu przerywa je Ignazio, ale robi to powoli, jakby miał trudności z doborem słów.

– Siarka zawsze miała dla mnie niewielkie znaczenie. Ale winiarnia... Vincenzo też podpisał akt sprzedaży, choć nie wiem, co z niego zrozumiał. On tylko potrafi się bawić – prycha. – A wraz z zakładami zniknął też znak lwa. Wszystko, wszystko jest teraz takie... Zostały nam tylko... – Wykonuje wymowny gest.

Okruchy.

Romualdo patrzy na Ignazia oczami szeroko otwartymi z niedowierzania. Nie wie, co powiedzieć. Oczywiście, że wszystko zawsze spoczywało na barkach przyjaciela, od kiedy miał dwadzieścia lat; Ignazio pracował niestrudzenie, nawet jeśli czasami rzucał się w niepewne przedsięwzięcia. Co do Vincenza, to jest on tylko *picciriddu*, który bawi się samochodami. Co on wie o odpowiedzialności i decyzjach, które należy podjąć? Ale Dom Florio bez winiarni? Bez marsali? To się wydaje zupełnie niemożliwe.

– Nie mówiłeś mi o tym. To znaczy o tej pierwszej umowie wszyscy wiedzieli, ale nie o tym, że trzeba...

Ignazio spuszcza oczy.

– Przynajmniej w ten sposób coś wyciągnęliśmy – odpowiada. Jest tyle niedopowiedzeń w tym niepewnym spojrzeniu, w tych niejasnych słowach. Bezsilność, ból, upokorzenie. – Próbowałem, Romualdo. Starłem się ze wszystkich sił, ale długi były po prostu zbyt duże. Banki wysysają wszystko... No i podatki! Podatki, które musimy płacić!

Romualdo wpatruje się w przyjaciela. Na bardzo długą chwilę wszystko wokół niego się zatrzymuje. Tłum, samochody, gadanina i hałas znikają, pochłonięte przez oślepiającą biel. Tylko oni dwaj pozostają, zanurzeni w uczuciu, którego żaden z nich nie potrafi w pełni wyjaśnić. Przypomina ono jednak świadomość, że właśnie nadszedł pierwszy wstrząs trzęsienia ziemi.

\*\*\*

Z oddali Franca przygląda się rozmowie Ignazia i Romualda. Zaciska wargi. Dwóch mężczyzn, którzy uparcie nie chcą dorosnąć, mimo że

mają już białe nitki we włosach i ciężkie powieki. Z ich rozmów nigdy nie wynikło nic dobrego. Tym razem też nie będzie inaczej.

Poprawia obszyty futrem płaszcz, po czym ściska za nadgarstek siedzącą obok niej Giulie Trigone i wskazuje ich ruchem głowy.

Giulia rzuca im zirytowane spojrzenie.

– Pewnie plotkują o jakiejś kobiecie – mruczy. – Poślubiłyśmy mężczyzn, którzy są po prostu nudni.

Franca obdarza przyjaciółkę gorzkim uśmiechem i już ma odpowiedzieć, gdy obok nich siada Annina Aliata di Montereale. Rumieniec na twarzy i błysk w oku zdradzają, jak bardzo jest podekscytowana. Wygładza spódnicę, pochyla się do przodu, by mieć lepszy widok na linię startu, poprawia kapelusz.

Jej siostra, Maria Concetta, z westchnieniem zajmuje miejsce obok niej.

– Annina, proszę cię, bądź odrobinę bardziej powściągliwa. Najpierw znikasz na godzinę, potem przychodzisz ubłocona i rozemocjonowana. Dama nie powinna być tak... kolorowa. Franco, Giulio, powiedzcie jej, że nie należy się tak zachowywać.

Dziewczyna przewraca oczami. Ignorując siostrę, zwraca się do Franki.

– Czy nie uważacie, że to piękny widok? Jaka szkoda, że ten strajk zatrzymał francuskie załogi...

Franca uśmiecha się niejednoznacznie. Entuzjazm Anniny trochę ją cieszy, a trochę smuci.

– Tak, szkoda. Nie mówiąc już o strasznym wypadku, jaki miał Jules Mottard.

– Miał wypadek? Naprawdę?! – woła Annina.

– Samochód podniósł się na zakręcie jak koń na tylnych nogach, po czym opadł, tracąc przy tym koła. Kierowca zranił się w lewy bark i...

– Sama widzisz, Annina, że mam rację, kiedy mówię ci, że jazda automobilem jest bardzo niebezpieczna – burczy Maria Concetta. – A ty się upierasz, żeby go mieć.

– Jeśli umiesz jeździć i jesteś ostrożna, pewne rzeczy się nie zdarzają – oświadcza zirytowana dziewczyna. – Jestem przekonana,

że jazda automobilem nie jest bardziej niebezpieczna niż jazda konna.

Giulia Trigona również jest sceptyczna.

– Może dla mężczyzny. Ale kobieta? Ryzykowałyby zbyt wiele. To może zagrozić możliwości posiadania dzieci.

Annina podnosi brwi.

– To już tylko kwestia czasu. Kiedyś czymś normalnym będzie widok kobiety jeżdżącej szybkim autem, a nawet, czemu nie, konkurującej z mężczyznami – zapewnia.

Franca śmieje się pobłaźliwie.

– Mam wrażenie, jakbym słyszała mojego szwagra – mówi.

Potem patrzy na drogę, na której nie ma już mechaników i gapiów. Sędziowie wyścigu zaraz dadzą sygnał do startu. Silniki zostają uruchomione, powietrze wypełnia się hukami i okrzykami. Na trybunach wszyscy wstają, grają fanfary, po czym rozlega się wystrzał z armaty.

W tym roku pierwsza na mecie – pokonawszy czterysta pięćdziesiąt kilometrów trasy w dziewięć i pół godziny – jest itala Alessandra Cagno, który również osiągnął największą prędkość: czterdzieści siedem kilometrów na godzinę. Druga w klasyfikacji również jest itala, która przekroczyła linię mety po dziesięciu godzinach. Paul Bablot jest trzeci, natomiast madame i monsieur Le Blon nie mają szczęścia, kilkakrotnie łapią gumę i docierają na metę, przekraczając maksymalny czas ustalony na dwanaście godzin. I tak jednak wypadli lepiej niż pozostali zawodnicy. Vincenzo Lancia w aucie swojej produkcji czy Amerykanin George Pope w itali nie zdołali nawet ukończyć trasy.

Przepowiednia Anniny spełni się w 1920 roku, przy okazji jedenastej edycji Targa Florio, kiedy to udział w wyścigu weźmie baronowa Maria Antonietta Avanzo, jadąc buickiem; niestety złamie podwozie podczas drugiego okrążenia. Ale będzie też Eliska Junkova, „Miss Bugatti”, która w edycji z 1928 roku zajmie piąte miejsce (a wiecznie szarmancki Vincenzo Florio, prosząc o wybaczenie zwycięzcę, Alberta Divo, powie, że Eliska jest moralną zwyciężczynią konkursu). W latach pięćdziesiątych i później będą

Anna Maria Peduzzi i Ada Pace, które pięciokrotnie wezmą udział w wyścigu, a także Giuseppina Gagliano i Anna Cambiagli.

Przez siedemdziesiąt lat swego istnienia ten wyścig stanie się sceną zmagania najlepszych kierowców. Ścigać się na jego trasie będą najsłynniejsi: Felice Nazzaro, Juan Manuel Fangio, Tazio Nuvolari, Arturo Merzario, Achille Varzi, Nino Vaccarelli. Bardzo młody Enzo Ferrari weźmie w nim udział pięć razy z rzędu, od 1919 do 1923 roku; w 1920 roku, jadąc alfą romeo, zajmie drugie miejsce. Będą też ciemne lata, z niewielką liczbą uczestników, poważnymi wypadkami lub tragediami, takimi jak śmierć hrabiego Giulia Masettiego, „Lwa Madonii”, który zginie w 1926 roku w swoim delage’u oznaczonym numerem 13, który to numer od tamtej pory nie zostanie przyznany żadnemu samochodowi wyścigowemu. 15 maja 1977 roku Gabriele Ciuti straci kontrolę nad swoją osellą i wjedzie w widzów, zabijając dwóch. Wyścig zostanie zawieszony na czwartym okrążeniu. „Targa jest martwa”, krzyczą gazety i choć raz nie przesadzają. „Małe okrążenie Madonii” zostanie odwołane na zawsze.

Ale nic z tego jeszcze się nie stało w tamten wilgotny poranek 6 maja 1906 roku. Nikt nie może wiedzieć, jaki ślad – głęboki, porywający, niezatarty – Targa Florio pozostawi w historii nie tylko włoskich, ale i światowych wyścigów samochodowych.

Natomiast jeden zakład został już wygrany. Tego dnia wszyscy – Włosi i obcokrajowcy, kierowcy i widzowie – zakochali się. W Madonii, samochodach, nowym sposobie ścigania się, w żywym, pełnym emocji doświadczeniu.

Vincenzo Florio przyniósł przyszłość na Sycylię. Sycylia nigdy go nie zapomni.

\*\*\*

– O, masz Poudre Azurea di Piver, mój ulubiony puder! Mogę go użyć? – pyta Giulia, siadając obok Franki.

– Oczywiście. Śmiało.

W pokoju Franki w Villi Igiea promienie słońca przepędzają resztki półmroku tego późnokwietniowego poranka. Igiea stoi przy toalecie i obserwuje obie kobiety z trudną do rozszyfrowania miną – trochę w niej ciekawości, a trochę melancholii.

Giulia odwraca się, łaskocze ją w nos pędzelkiem do pudru i udaje jej się wywołać uśmiech na twarzy dziewczynki. Potem znów spogląda w lustro. Ma trzydzieści sześć lat, Franca trzydzieści trzy: obie są piękne i eleganckie, a jednak ich twarze przesłania woal doznanego w życiu bólu i goryczy, która zakorzeniła się w ich sercach niczym niemożliwy do wyplenienia chwast.

W zielonych oczach Franki pojawia się łza, szybko otarta grzbietem dłoni.

– Wszystko w porządku? – pyta Giulia.

Franca wzrusza ramionami.

– Baby Boy uwielbiałby ten wyścig – szepce. Otrząsa się, zwija na palcu i mocuje szpilką pukiel włosów, niesforny mimo starań Carmeli, nowej służącej, która kilka miesięcy wcześniej zajęła miejsce Diodaty, po tym jak wieloletnia pokojówka Franki wyszła za mąż. Następnie skinieniem głowy przywołuje guwernantkę i prosi ją o zabranie córki oraz przygotowanie jej walizek. Z okna swojego pokoju Igiea popatrzy na zmagania łodzi motorowych, a potem, jak to się coraz częściej zdarza, pojedzie spędzić jakiś czas z babką w Olivuzzy.

Po wyjściu dziewczynki Franca kontynuuje rozmowę.

– Wiesz, Vincenzo miał naprawdę dobry pomysł, że zorganizował to nowe wydarzenie tydzień po Targa Florio. Wiele osób zostało, a jeszcze inni przyjechali z całej Europy, jest dużo radości i nawet Ignazio jest trochę mniej ponury.

Giulia przytakuje.

– Tyle razy próbowałam z nim porozmawiać, zapytać: co z winiarnią? A siarka? A zakłady? Ale on nic, nabrał wody w usta. Raz mi powiedział, że mam pilnować spraw domu Trabii, a nie jego. Jakbyśmy byli obcymi ludźmi.

Franca milczy, a Giulia rzuca jej spojrzenie z ukosa.

– Wyobrażam sobie, że ani tobie, ani mojej matce też nic nie mówi.



– Och, wiesz, jestem wystarczająco zaabsorbowana zarządzaniem Villą Igiea i nie mam nawet ochoty nadać za jego klęskami w interesach. A co do twojej matki, to ostatnio nie chce się z nikim spotykać. Ledwie ją uprosiłam, by wzięła do siebie na kilka tygodni Igieę.

– Z powodu donny Ciccii?

Franca potwierdza milczącym skinieniem głowy.

– Biedna kobieta. To prawda, że była już stara i z trudnością się poruszała, ale żeby tak nagle umrzeć na zapalenie płuc? Pamiętam, że kiedyś, dawno temu, gdy próbowała nauczyć mnie haftować, jak wiesz, na próżno – Giulia się uśmiecha – powiedziała: „Bo to trzeba umieć, żeby być dobrą mężatką”. Jakże czasy się zmieniły!

– Dla nas może tak – zauważa Franca. – Ale dla twojej matki nie zmieniły się wcale. I przeżywa śmierć donny Ciccii tak, jakby to była rodzinna żałoba. Jakbyśmy nie mieli dość własnej.

Giulia wzdycha. Bierze z toaletki flakon wody toaletowej La Marescialla, wylewa kilka kropel na nadgarstki, podaje go szwagierce, po czym wstaje i idzie do okna.

– Niebo się chmurzy, ale dwie chmurki nie powstrzymają Vincenza i jego wyścigu! – Próbuje zmienić nastrój. – Wiesz, wczoraj wieczorem Pietro i ja rozmawialiśmy o nim długo z Ludovikiem Potenzianim, a jego żona Madda rozmawiała z Ignaziem o Targa Florio. Wygląda na to, że oboje są entuzjastami sportowych wyzwań.

– Wszyscy orzekli, że druga edycja była jeszcze lepsza niż pierwsza. I tak, Madda zwierzyła mi się, że jest bardzo podekscytowana i że na pewno wróci na kolejne wyścigi. Wiesz, że zaprosili nas do swojej willi na stoku wzgórza San Mauro w Rieti?

Franca wstaje. Na palcu ma pierścionek z dużym szmaragdem idealnie pasujący do jej zielonej sukni. Obie wychodzą z pokoju.

– Przyznaję, że z bliźniaczek Papadopoli wolę Verę od Maddy. Uważam, że jest bardziej opanowana. To inteligentne kobiety, które wyszły za niezbyt bystrych mężczyzn i to było ich szczęście. – Giulia wypowiada tę suchą i ostrą jak brzytwa opinię najzwyczajszym tonem. – Wiem, że są twoimi przyjaciółkami i były blisko ciebie

w Wenecji, ale nie cieszą się moją sympatią. Uważam, że są trochę zbyt swobodne.

Franca odrzuca pamięć o Wenecji i o Giacobinie, córce, która urodziła się tylko po to, by umrzeć, zabierając ze sobą wszystkie jej nadzieje. Nie chce, aby ból znów ją przygwoździł do ziemi, uniemożliwiając korzystanie z przyjemności życia. Zrozumiała, że jeśli chce być pogodna, musi zapomnieć, ignorować, nie widzieć. Że świadomość własnego nieszczęścia jest często najgorszą z kar.

– Jakbym słyszała moją matkę – mruczy do szwagierki.

Giulia przewraca oczami.

– Donna Costanza jest bardzo dobrą obserwatorką – mówi, podnosząc brzeg spódnicy na schodach. – Bo bliźniaczki przypominają z wyglądu dwie święte z obrazka na ścianie.

Franca się uśmiecha.

– Mają anielskie twarze, bez wątpienia, ale myślę, że dobrze wiedzą, co można dostać od mężczyzny.

Giulia cicho się śmieje.

– Cóż, ty też masz swoją grupę wielbicieli, jak sądzę. D’Annunzio szaleje na twoim punkcie i jest jeszcze ten markiz z Rzymu, który codziennie przysyła ci bukiet kwiatów, kiedy tam jesteś.

– Pozwalam im marzyć – komentuje Franca.

Na parterze wita ich szmer, narastający w miarę pokonywania kolejnych salonów. Wielu gości przyszło oglądać wyścig łodzi motorowych, który Vincenzo Florio zorganizował na wzór regat w Montecarlo i Nicei. Ale Perła Morza Śródziemnego – tak nazywa się konkurs zorganizowany przez młodszego z braci Florio – to znacznie poważniejsze i lepiej zorganizowane regaty niż ich francuskie odpowiedniki, które przecież są obecnie obowiązkowym punktem w kalendarzu miłośników sportów motorowodnych.

Ignazio jest w ogrodzie, wokół niego stoją małżonkowie Potenziani i najstarszy syn Giulii, Giuseppe, który niedługo skończy osiemnaście lat. Jest przystojnym chłopcem, z zawadiacką miną przypominającą nieco jego wuja Vincenza. Księżę Ludovico Potenziani, mężczyzna o pociągłej twarzy, nosi kapelusz dla ochrony przed słońcem.

– Jak na dwudziesty ósmy kwietnia, to jest rzeczywiście bardzo gorąco – mówi.

Madda wykrzywia usta w śmiechu. Ma łagodną twarz i lśniąco jasne włosy, kontrastujące z ciemnymi włosami Franki i Giulii.

– Daj spokój, nie narzekaj cały czas. Jesteśmy na Sycylii, w krainie słońca, jest prawie druga po południu! A czujesz zapach morza? Wszystko jest tu tak cudownie żywe – mówi i pochyla się, by wziąć tartinkę, którą oferuje kelner. Dekolt jej sukienki odsłania idealne mimo dwóch cięż piersi. Spojrzenia zarówno Giuseppego, jak i Ignazia zatrzymują się tam chwilę dłużej, niż powinny.

Giulia odwraca się od nich plecami i syczy do Franki:

– A nie mówiłam?

Wszyscy wstają i kierują się do małej greckiej świątyni wznoszącej się nad samym morzem, obok której, pod płóciennym zadaszeniem chroniącym przed słońcem, ustawiono fotele dla gości. Franca, Giulia i Madda siadają w pierwszym rzędzie. Ignazio wzywa służącego, aby podał paniom lemoniadę, a panom białe wino. Ludovico Potenziani rozsiada się na leżaku w cieniu. Giuseppe Lanza di Trabia zajmuje miejsce za wszystkimi.

– A gdzie Vera? – pyta Maddę Franca. – Od tygodni nie dostałam od niej żadnego listu.

– W Wenecji z Gibertem, jak sądzę. To jeden z tych mężów, którzy bardzo dbają o jedność rodziny. – Madda rozgląda się, kładzie dłoń na ramieniu Franki. – Jakim pięknym miejscem jest Villa Igiea. – Uśmiecha się, wystawiając twarz do słońca. – Tutaj można być tylko szczęśliwym. Ty i Ignazio macie wielkie szczęście. I gościliście niedawno samego Edwarda VII!

– Z żoną Alexandrą i córką Victorią, tak. Niezwykle im się podobała zarówno Villa Igiea, jak i Olivuzza, a już najbardziej byli zafascynowani małą willą Vincenza. Ignazio oddał im do dyspozycji naszego mercedesa i isottę fraschini, którą niedawno kupił, a oni skorzystali z okazji, by w komfortowych warunkach zwiedzić Palermo. Szkoda, że nie mogli zostać, by obejrzeć wyścig.

– Ludovico jest taki nudny. – Madda ścisza głos, zerkając na męża. – On nigdy nie ma ochoty na nic. Narzeka na wszystko, nienawidzi nowości. Nie jest taki jak twój Ignazio, który ma w sobie

tyle entuzjazmu i zawsze stara się być w towarzystwie. Jest taki zabawny!

– To dość typowa cecha sycylijskich mężczyzn, a w szczególności Floriów – wtrąca Giulia. – Zawsze znajdują sposób, by coś zrobić, niezależnie od konsekwencji, i umieją czarować, ale dobrze wiedzą, kiedy pora wrócić do owczarni. – I piorunuje Maddę wzrokiem.

W tym momencie z molo dobiega wzmocniony przez mosiężny megafon głos Vincenza, który wita gości i wśród oklasków ogłasza nazwy jednostek. Najpierw, w kategorii regatowej, startują „Flying Fish” należąca do Lionela de Rothschilda, „Gallinari II” z silnikiem Delahayego i „New-Trefle III” Emile’a Thubrona, a następnie, w kategorii *cruisers*, „C.P. II” zbudowany w Neapolu, „Adele” Zanellego i „All’Erta” z kadłubem Gallinariego i silnikiem fiata.

Wystrzał z armaty rozpoczyna wyścig, który od razu staje się ekscytującym pojedynkiem pomiędzy „All’Erta” a „Flying Fish”, podczas gdy „Adele” pozostaje w tyle. Ostatecznie triumfuje „Flying Fish”, przekraczając linię mety po dziesięciu okrążeniach – w sumie sto kilometrów – przebytych w dwie godziny i osiemnaście minut.

Franca i Giulia z uwagą i entuzjazmem śledzą cały wyścig, nieustannie zadając Ignaziowi i Ludovicowi pytania dotyczące sterników, kadłubów i prędkości łodzi. Madda natomiast po kilku pierwszych okrążeniach oznajmia z westchnieniem, że cały ten hałas przyprawił ją o ból głowy i że idzie na spacer. A kiedy Giulia odwraca się, żeby poszukać Giuseppego, widzi, że miejsce syna jest puste.

I nie może powstrzymać grymasu rozczarowania.

\*\*\*

Zima w willi Olivuzza jest jak zjawa. Stapa bezdźwięcznie, nosi welon ze złotego pyłu podobny do tiulu, którym niekiedy okrywa się zmarłych. Kryje się w cieniach pomieszczeń, kołysze aksamitnymi zasłonami, ślizga się po podłogach w czarno-białą szachownicę i niesie ze sobą echo dni, kiedy ten dom pełen był dziecięcych głosów i śmiechu. To smutna zjawa, ale Giovanna już się z nią

oswoiła. I dotrzymuje jej towarzystwa w tych tak dobrze sobie znanych pomieszczeniach.

Do czasu, gdy 8 lutego 1908 roku los odwraca bieg wydarzeń.

Późną nocą Giovannę budzą krzyki służby, stukot kroków i gwałtowny hałas zatrzaskiwanych drzwi. Jest zdezorientowana, przez chwilę zastanawia się, skąd pochodzi ten gryzący zapach, który wdziera się do jej nozdrzy i wywołuje kaszel. Wreszcie rozumie. Bardziej niż widzi, wyczuwa ogień. Pożar.

„Jest blisko”, myśli, pospiesznie wstając z łóżka. Dociera do drzwi, otwiera: korytarz spowija chmura czarnego dymu, który wspina się po obiciu ścian i złoconym drewnie drzwi. Giovanna chwyta chustę i w pośpiechu wychodzi z sypialni, kierując się na wyższe piętro, gdzie śpi Igiea. Ale już na schodach znajduje pielęgniarkę, która trzyma dziewczynkę w ramionach i biegnie z nią ku wyjściu, a za nią dwie bose pokojówki w koszulach nocnych.

W pośpiechu opuszczają dom, służące biegną im naprzeciw, otulają Igieę kocem, krzyczą, odmawiają modlitwy. Gdy podają Giovannie wodę, aby zwilżyła gardło i uśmierzyła kaszel, wyjaśniają, że kilku mężczyzn pozostało w środku i próbuje zapobiec rozprzestrzenieniu się płomieni na resztę Olivuzzy.

Dopiero w momencie przyjazdu wozu strażackiego Giovanna się odwraca, by spojrzeć na budynek. Ciepło ognia zdaje się pieścić jej skórę, zabiera chłód zimowej nocy i przerażenia. Obojętna na krzyki służby i płacz Igiei, patrzy na płomienie ogarniające jej dom, słucha trzasku pękających belek i brzęku pękających okien. Potrafi myśleć tylko o tym, że kiedy to czerwone światło zgaśnie, kiedy ten piekielny żar zniknie, będzie mogła wreszcie wrócić do swojego pokoju, do swojego łóżka i zasnąć. Wrócić do swojego życia, otoczona wspomnieniami, chroniona przez to, co dla niej najdroższe, pilnowana przez swoje duchy. „Wszystko będzie jak dawniej”, powtarza sobie w myślach.

Trwa nieruchomo, z rękami zaciśniętymi na brzuchu, aż do przyjazdu Franki i Ignazia: ona była na przyjęciu u książąt Trabii i zasłabła, gdy dotarła do niej wiadomość, on natomiast razem z Vincenzem oglądał pojedynek zapaśniczy w Teatro Politeama i zaalarmowali go karabinierzy. Franca otula Igieę futrem z lisa, po

czym podchodzi do teściowej i chwyta ją za rękę. Giovanna jednak nie reaguje i pozostaje nieruchoma nawet wtedy, gdy Ignazio narzuca jej na ramiona swoje palto.

To on podejmuje decyzję. Wzywa kierowcę, poleca, by zabrał wszystkie kobiety do Villi Igiea. Muszą odpocząć, a na miejscu i tak nic nie mogą zrobić. Najpierw trzeba ugasić płomień.

Siedząc między Francą a nianią, Giovanna ściska dłoń syna. Potem, gdy samochód rusza, zamyka oczy i zakrywa twarz rękami.

\*\*\*

Następnego dnia jako pierwszy do zdewastowanych pomieszczeń wchodzi Ignazio. To było przypadkowe zaproszenie ognia, powiedzieli strażacy; może niewygaszony kominek, może iskra, która spadła na firanę lub dywan. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Z ciężkim sercem Ignazio kręci się wśród poczerńniętych ścian, przebiega palcami po strzępach spękanej i osmalonej tapicerki, po zwęglonych meblach, poczerńniętych fragmentach cennej porcelany i oszpeconych obrazach. W końcu dociera do sypialni matki.

Z tego pomieszczenia, z kilku salonów obok, a przede wszystkim ze wspaniałej sali balowej pozostały tylko ściany. Pomieszczenia na parterze – w tym jego gabinet – są cudownie nienaruszone. I na szczęście ogień nie rozprzestrzenił się na nowszą część Olivuzzy; sypialnia jego i Franki, jadalnia, ogród zimowy i zielony salon zostały uratowane.

Siedząc w fotelu w ogrodzie Villi Igiea, otulona ciepłym szalem, Giovanna słucha relacji syna; choć zasmucony, Ignazio wie, że ukrywanie przed nią prawdy nie miałoby sensu. Mówi powoli, starając się nie pozwolić na ujście goryczy, ale Giovanna ją czuje, jakby była echem gorąca poprzedniego wieczoru.

Potem syn wyciąga coś z kieszeni marynarki.

– Proszę, znalazłem to na podłodze waszego pokoju – mówi, podając jej diamentowy naszyjnik uczerniony sadzą. – Przykro mi. Obawiam się, że perły i kamee są zniszczone. Ale spróbujemy ich poszukać – mówi cicho.

Giovanna bierze naszyjnik. Złoto odkształciło się pod wpływem ciepła, a kamienie zmatowiały. Obraca go w rękach i prawie nie rozpoznaje, bo nie, to nie może być jeden z prezentów od jej męża. Wtedy przypomina sobie dużą inkrustowaną szkatułkę z kości słoniowej na toalecie, która zawierała jej biżuterię.

I nagle rozumie.

Nie zobaczy już haftowanych płóciennych bucików Giovannuzzy. Batystowej koszuli Vincenzina z haftem donny Ciccii. Ostatniego flakonika perfum Ignazia. Jego okularów. Swojego różańca z koralami i srebra. Fotografii męża, syna w marynarskim wdzianku i zmarłych wnuków, ustawionych na komodzie tak, że były pierwszą rzeczą, którą widziała rano, i ostatnią, na której spoczywał jej wzrok wieczorem. Ubrań w jej szafie. Koszuli, którą miała na sobie podczas nocy poślubnej. Medalionu z puklem włosów Ignazia. Modlitewnika, w którym przechowywała portret maleńkiego Blasca. Zeszytów z ćwiczeniami z języka niemieckiego Vincenzina. Jego skrzypiec. Zasłon z adamaszku. Różańca donny Ciccii. Dużego portretu Ignazia, namalowanego, gdy był jeszcze młody i w pełni sił.

Jej życie stało się prochem.

Nie zobaczy jeszcze czegoś.

Nigdy nie miała serca pozbyć się drewnianego pudełka, w którym Ignazio przechowywał listy od ukochanej kobiety. Po śmierci męża zazdrość niejednokrotnie jej podpowiadała, by wziąć je wszystkie i spalić w kominku, ale ona nigdy tego nie zrobiła. Nostalgia wzięła górę nad niechęcią. Nawet to, czego najbardziej nienawidziła, stało się dla niej drogim. Był tam ślad Ignazia i jego miłości; ślad bolesny, bo ta miłość nie była przeznaczona dla niej, ale nawet te listy sprawiały, że czuła się blisko niego.

A teraz poszły z dymem. Teraz są tam tylko popioły, węgiel i sadza.

Giovanna nie wie, jak będzie w stanie iść dalej, skoro zniknął także ostatni z jej duchów.

\*\*\*

Annina Alliata di Montereale lubi samochody i prędkość. I jest odważna, stanowcza. Bez obaw patrzy w przyszłość.

Vincenzo od razu to wyczuł. A potwierdzenie dostał przed dwoma miesiącami, w lipcu, gdy... zaproponowała mu małżeństwo. Tak, ona jemu. Annina również w tym była niezwykła.

Jechali nad morze, a on powiedział, by zajęła miejsce za kierownicą zamiast niego. Siedząca w pierwszym pojeździe Franca uśmiechnęła się pobłaźliwie, Maria Concetta zrobiła znak krzyża, a ich szofer postanowił jechać znacznie wolniej. Wówczas Annina dodała gazu i wyprzedziła ich samochód, rzucając kapelusz na tylne siedzenie i podnosząc twarz do słońca. Potem zatrąbiła, a robiąc to, otarła się o ramię Vincenza. Zarumienił się jak uczeń.

Zatrzymali się w pobliżu kąpieliska Romagnolo. Przed nimi rozciągało się wybrzeże Aspry i Porticello, a morze było tak intensywnie turkusowe, że aż bolały oczy. Energicznie wysiadła z samochodu, obciągając rękawy sukienki w kolorze brzoskwiniowym, a usta zacisnęła w lekkim uśmiechu. Vincenzo chwycił swoją marynarkę, dołączył do niej i ruszyli obok siebie.

– Nie besztaj mnie za brawurę, dobrze? Wiedziałaś, że będę tak prowadzić.

– Za nic bym tego nie zrobił. Wiesz, że uwielbiam szybkość.

Przytaknęła, po czym oburącz chwyciła jego dłoń.

– Wiem. Pasujemy do siebie. – Spoważniała. – Ożeń się ze mną.

Wpatrywał się w nią, oszołomiony. Kobieta proponująca małżeństwo?

A poza tym... Żenić się? On? Zrezygnować ze wszystkiego, z przyjaciół, z życia, z rozrywek, z podróży, z jazdy samochodem?

– Tak.

Odpowiedź przyszła z głębi duszy. Bo przy niej nie musiałyby z niczego zrezygnować, bo dzielili te same pasje, bo oboje byli głodni doznań. Odkąd Annina wkroczyła w jego życie, nie patrzył już nawet na inne kobiety. Jasne, od czasu do czasu odwiedzał Dom Róż, ale tak zwykli robić mężczyźni, prawda?

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i długo milczał.

– To ja powinienem był cię zapytać, wiesz o tym?

Wzruszyła ramionami.



– Oświadczysz mi się publicznie, w komplecie z pierścionkiem. Żeby zająć rodzinę i znajomych, którzy i tak już się tego spodziewają i umierają z tęsknoty za czymś, o czym można porozmawiać, a nawet poplotkować. Natomiast ja chcę wiedzieć, czy pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

Nie odpowiedział. Pocałował ją, unosząc lekko na ścieżce prowadzącej ku morzu.

– O mój Boże! Coś takiego! Coś takiego! – szemrała Maria Concetta, która właśnie się do nich zbliżała.

Franca się nie uśmiechnęła. Westchnęła, odwracając wzrok.

Annina nie jest zwykłą dziewczyną. Bizuteria i stroje interesują ją tylko do pewnych granic. Jest pragmatyczna, pogodna, witalna; a przede wszystkim zdecydowana żyć bez kompromisów. Domaga się szacunku. Nie jest jak Franca, która po latach kłótni postanowiła ignorować związku męża.

Vincenzo o tym wie. Przy niej będzie musiał zmienić styl życia. Myśli o tym, otwierając drzwi swojej willi w parku. Wita go zapach drewna i łagodniejsza woń cytrusowego potpourri na dużym stole pośrodku holu. Rozgląda się: w tym pomieszczeniu, które służy również jako salon, drewniane wsporniki wyrastają ze ścian, by spleść się w sinusoidalne linie na suficie. Po lewej stronie kominek w obudowie z majoliki i drewna, naprzeciwko duże okno wychodzące na taras umeblowany sprzętami z kutego żelaza. Meble Ducrota – sofy obite zieloną tkaniną, duża konsola o roślinnych ornamentach – wypełniają te przestrzenie, w których światło i drewno zdają się płynnie ze sobą łączyć.

Idzie do sutereny, gdzie znajdują się garaże, a także pokój bilardowy, służący również jako palarnia i sala gier. Czeka na kuzyna Ciccio d'Ondes, który ma dołączyć do niego na partyjkę bilarda, układa kije w stojakach, smaruje kredą ich końcówki. Ogromny pokój o ścianach wybitych zieloną tkaniną jest cichy i chłodny: idealne miejsce do spędzenia tego letniego popołudnia. Vincenzo nierzadko przyprowadzał tam kobiety, z którymi spędzał całe godziny, grając w karty – nie na pieniądze, ale na sztuki garderoby, własne i partnerki.

Ta myśl zarówno sprawia mu przyjemność, jak i irytuje. Kiedy w lutym wybuchł pożar w Olivuzzy, Vincenzo przez chwilę obawiał się, że ogień zniszczył również jego willę. Dobrze pamięta, jak ta myśl wpędziła go w najczarniejszą rozpacz: ten dom był częścią jego samego, odzwierciedlał jego pragnienie wolności, niezależności, bycia zawsze na tropie zaskakujących rzeczy.

„To jest dom kawalera”, wzdycha w myślach. Będzie musiał coś zmienić albo znaleźć inne miejsce do zamieszkania z Anniną. Coś, co zbudują razem.

Zawsze myślał tylko o sobie, a teraz nie może się powstrzymać od myślenia o sobie przy jej boku. I po raz pierwszy w życiu czuje się zagubiony. Jest zbyt młody, by pamiętać poświęcenie swojej matki dla męża, ani nie zdaje sobie sprawy, jak wielką miłością jego babka Giulia darzyła dziadka, którego imię on nosi. Sam zdążył już widzieć zbyt wiele małżeństw spajanych tylko wygodą, konwencją społeczną czy układem finansowym. Myśl o klatce kłamstw, urazy i cierpienia, jaką zbudowały sobie niektóre pary, przyprawia go o dreszcze.

Jednego jest pewien: chce, by Annina była obecna w jego życiu. Będzie się starał nie tylko jej nie skrzywdzić, ale też dać jej wszystko, na co ona zasługuje. Miłość i szacunek. To dla niego nowe słowa, to początek podróży do fascynującej i nieznannej krainy.

Czuje, że z Anniną u boku może jechać nawet na koniec świata.

\*\*\*

Tego popołudnia pod koniec października 1908 roku, w gabinecie w Olivuzzy, Ignazio przeciera oczy i podnosi arkusz papieru. Jeszcze jeden rachunek.

*WORTH*

*Suknie, płaszcze, bielizna, futra*

Lista przyprawia go o zawrót głowy:

*1 suknia wieczorowa w kolorze szarobrązowym z tiulowymi klinami w tym samym kolorze, wyszywana matowymi oraz błyszczącymi*

*cekinami, lamowana futrem skunksa*

*1 gorset tiulowy ze zdobieniami w kłosy pszenicy*

*1 kostium z piki z gorsetem*

*1 płaszcz wieczorowy z wiśniowego aksamitu obszyty futrem szynszyli; rękawy haftowane w złote gwiazdki*

*1 suknia z błękitnej satyny ze srebrną koronką*

„Wysłanie Franki z dzieckiem i moją matką do Paryża, aby uzupełniły garderobę po pożarze, to nie był dobry pomysł”, myśli, wpatrując się z przerażeniem w cyfrę na końcu listy. W innym czasie ta suma nie zrobiłaby na nim wrażenia, jednak teraz pali go niczym żywy ogień. Podobnie jak rachunki od Lanvina i Cartiera, gdzie żona zabrała teściową, by uzupełnić część biżuterii utraconej w pożarze.

Inna rzecz, że jego matka po tym wypadku stała się jeszcze bardziej ponura, Igiea bardzo się przestraszyła, a Franca... Cóż, wysyłając ją tam, uniknął scen i kwaśnych komentarzy po tym, jak dowiedziała się o jego romansie z Verą Arrivabene.

Matka Franki i Giulia miały rację: bliźniaczkom Papadopoli nie można było ufać. Madda już nawet nie ukrywała swojego zainteresowania dziewiętnastoletnim Giuseppem Lanżą di Trabia. Jeśli chodzi o Verę, jej mąż, starszy od niej o ponad dziesięć lat, był sztywnym oficerem marynarki. Był też przyjacielem Floriów, ale to nie wystarczyło, by powstrzymać Ignazia.

Vera jest piękna, pełna życia i radosna, wprawia go w dobry nastrój i rozjaśnia jego serce, a tego właśnie Ignazio rozpaczliwie potrzebuje. W tych murach czuje się uciemiężony.

Odsuwa rachunki od Wortha, Lanvina i Cartiera i przegląda te dotyczące prac w Olivuzzy. Musieli przerobić aż osiem pomieszczeń – w tym salę balową – nie licząc prac porządkowych i malarskich, by usunąć sadzę ze ścian w innych miejscach. Skorzystali z Franca z okazji, aby zbudować przed salą balową dodatkowe owalne pomieszczenie, obecnie modne miejsce do rozmów i relaksu.

– Relaksu, czemu by nie? – mruczy pod nosem Ignazio.

Słyszy lekkie pukanie do drzwi.

– Mecenias Marchesano, don Ignazio – anonsuje służący.

– Proś.

Giuseppe Marchesano ciężkim krokiem wchodzi do środka. Od pewnego czasu jest prawnikiem rodziny, wcześniej był posłem i oskarżycielem posiłkowym w procesie o morderstwo Notarbartola. Ale tamto krótkie i przykre dla Ignazia przesłuchanie to sprawa sprzed siedmiu lat; od tego czasu wiatr wielokrotnie zmieniał kierunek i Marchesano się do niego dostosował. Co więcej, z pewnością nie był jedynym Sycylijczykiem, którego przeszłość radykalnie różniła się od terażniejszości.

Ignazio nawet nie wstaje. Zniechęcony, spogląda na masywny segregator, który Marchesano położył na biurku, po czym wpatruje się w prawnika z mieszanką zniecierpliwienia i niepokoju.

– Dajcie mi jakąś dobrą wiadomość – mówi mu, gdy tylko drzwi się zamykają. – Potrzebuję tego.

Wąsy prawnika, równie czarne i gęste jak jego włosy, drżą.

– Obawiam się, że was nie usatysfakcjonuję. – Siada, wskazuje na segregator. – Napisali do mnie z Banca Commerciale. – Robi pauzę. – Z Mediolanu, z centrali – dodaje.

Z zamkniętymi oczami Ignazio masuje nasadę nosa.

– Mówcie dalej – mruczy.

– Na spotkaniu dziesiątego listopada oficjalnie poproszą was o przekazanie spółkom La Veloce i Italia udziałów w Navigazione Generale Italiana, które podaliście jako zabezpieczenie wiarytelności. Wskazali te dwie spółki, ponieważ są one powiązane z Navigazione, więc akcje pozostaną w grupie. – Mówi spokojnie i dobitnie. Wie, że Ignazio Florio nie jest głupcem, ale teraz musi pomóc mu zrozumieć z całą jasnością, że Banca Commerciale Italiana, główny wierzyciel Domu Florio, już mu nie ufa. I że próbuje go usunąć z jego własnej kompanii parowców.

Ignazio zasłania twarz dłonią.

– Boją się – mruczy. – Obawiają się, że możemy odsprzedać akcje Navigazione jakiejś zagranicznej firmie, by zarobić gotówkę, a tym samym wpuścić na rynek żeglugowy groźnych konkurentów.

– To oczywiste. Obserwują was, odkąd sprzedaliście akcje Attiliowi Odero. W zasadzie przekazaliście mu stocznię. Jak to się mówi? Wpuściliście sobie wodę do domu.

Tak, minęły już prawie trzy lata, odkąd Ignazio sprzedał swoje udziały w spółce budującej stocznię, aby zyskać trochę pieniędzy, ale w konsekwencji został pozbawiony wpływu na przedsiębiorstwo. Strata, która wciąż go boli. I nie posłużyła niczemu.

– Piaggio, ten *cornuto*, to on za tym stoi. Odkąd go zwolniłem, robi wszystko, by jego Lloyd Italiano pożarło Navigazione. I idę o zakład, że Giolitti się na to zgadza i nie może się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie! On i wszyscy jego przyjaciele!

Marchesano unosi brew, ale nie komentuje. Rozplątuje sznurki segregatora, podnosi kartkę, patrzy na nią, mruży oczy. Następnie wyciąga z kieszonki pince-nez i mocuje na nosie.

– Z biegiem lat dawaliście Banca Commerciale coraz więcej udziałów w Navigazione, nie mówiąc już o tym, że obecnie kasa nie ma płynności – stwierdza. – Oddaliście temu bankowi nawet ostatnie akcje spółki winiarskiej jako zabezpieczenie pożyczki i kto wie, czy będziecie w stanie je odkupić. Poza tym niedługo nastąpi odnowienie dotacji państwowych na przewóz morski, a wasi konkurenci również składają oferty.

– Więc czego chce Banca Commerciale? – pyta Ignazio ledwie słyszalnym głosem. – Bo muszą mi dać coś w zamian. Nie mogą oczekiwać, że tak wszystko oddam za nic.

– Bank zatrzyma papiery wartościowe i zaoferuje wam prawo wykupu w maju lub listopadzie przyszłego roku, oczywiście po nowej cenie. – Marchesano zdejmuje pince-nez. – Z całą szczerością, don Ignazio, macie rację: to są brutalne warunki. Ale gdyby udziały nie zostały wykupione, zostalibyście całkiem pozbawieni Navigazione Generale Italiana i wszystkiego, co jest z nią związane, zwłaszcza odlewni i pochylni. Biorąc pod uwagę sytuację domu handlowego, nie widzę innego rozwiązania.

Bierze kolejną kartkę papieru, podaje Ignaziowi.

Florio patrzy na cyfry. W swojej czystości liczby są bezlitosne. I streszczają dramatyczną sytuację. Trzęsą mu się ręce, czuje ściskanie w żołądku. Pochyla się i chwytą z biurka dzwonek. Chce, żeby Vincenzo też przy tym był. Do tej pory chronił go przed wszystkim, nigdy nie wyjaśnił mu szczegółowo, co się dzieje. Nie chciał, aby brat przeżywał młodość obciążoną ciężarami

i obowiązkami, tak jak to było w jego przypadku. Pozwalał mu na wszystko, rozpieszczając go jak syna, tego syna, którego już nie ma. Straszliwa myśl przechodzi przez niego i biegnie do ziemi jak prąd po piorunochronie. „Czy będzie jeszcze o co walczyć?”

Niedługo potem pojawia się jego brat. Przez te minuty, kiedy Ignazio i Marchesano czekali na niego w milczeniu, cienie rozciągnęły się po pokoju, biorąc w posiadanie półki i owijając się wokół nóg biurka, a potem wzniosły się ku blatowi, do dokumentów. Wydawało się niemal, że drewno oddycha, skrzypi, płacze.

Jeden bardzo długi lament.

Vincenzo zjawia się w pośpiechu, ubrany w sportowy strój, z podkasanymi rękawami koszuli. Ma plamy oleju na rękach i jasnych spodniach, jest w dobrym nastroju.

– Co takiego, Ignazio? Przerabiałem coś w samochodzie razem z mechanikami i... O, mecenas Marchesano, wy też tutaj?

– Wejdz.

Grobowy ton brata gasi uśmiech młodego Florio. Vincenzo zamyka drzwi, siada obok Marchesana. Ignazio wręcza mu arkusz z danymi, każe czytać.

Vincenzo patrzy, marszczy czoło, kilka razy potrząsa głową.

– Nie rozumiem – mówi. – Tyle pieniędzy? Jak to możliwe? – Blednie i przesuwając palcem wzdłuż kolumny, jakby liczby mogły się przez to zmienić. – Kiedy to się stało? Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Bo to wszystko zaczęło się prawie piętnaście lat temu i byłeś wtedy zbyt młody. Pamiętasz upadłość Credito Mobiliare? Jego oddziały zostały otwarte w naszym banku i ludzie mu zaufali, deponowali w nim pieniądze właśnie z naszego powodu, a potem... Potem spłaciłem długi tego oddziału Credito, który miał swoje biura u nas, wydałem na to pieniądze Domu Florio. Wtedy się wszystko zaczęło. Dałem sobie wyjąć gotówkę z ręki, a w tym czasie... – Milknie i wskazuje stos papierów na stole.

Lista prób, góra porażek. Konsorcjum agrarne. Winiarnia produkująca marsalę. Spółka stoczniowa. Kompania siarkowa. A nawet Villa Igiea, której akcje są obecnie prawie w całości

zastawione na rzecz Societ  franaise de Banque et Depots. Musia  jechać a  do Francji,  eby zdobyć jakieś pieni dze.

– Utrata p ynności kaza  mi prosić o po yczki w innych bankach. I pojawiły si  odsetki...

– Tylko tonnary s  na czysto. – Mecenase Marchesano potwierdza my l Vincenza, kt rego palec zatrzyma  si  na pozycji „Egady”.

Oparty bezw adnie o por cz krzes a, Ignazio patrzy na prawnika. Sprawia niemal wra enie, jakby jak s cz ścią siebie by  przekonany,  e ten pulchny m czyzna mo e podsun c mu rozwi zanie. Ale druga cz ść, ta racjonalna i rzeczowa, krzyczy do niego,  e Dom Florio jest wi źniem d ug w.

Wszyscy ju  to wiedz , nie tylko w Palermo, ale i w Europie. Nie chodzi wy lacznie o rachunki krawc w, jubiler w, meblarzy. Ani o to,  e hotele na Lazurowym Wybrze u lub w Alpach Szwajcarskich  adaj  obecnie zap aty rachunku, gdy tylko Floriowie si  wyprowadzaj , podczas gdy wcze niej wystarcza  u cisk d oni i pewno c,  e saldo zostanie uregulowane wkr tce. Na sp at  czekaj  coraz liczniejsze weksle. A tak e kredyty hipoteczne, kt re z czasem zosta y zaci gni te na domy i fabryki.

– Tak, Egady to jedyne aktywa, kt re wci    przynosz  zyski – powtarza Marchesano.

Wstaje, patrzy na obu braci. Obok niego siedzi m ody cz owiek, kt ry do tej pory my la  tylko o tym,  eby cieszyć si   yciem, a teraz unicestwiaj  go te liczby, choć ich prawdziwego znaczenia mo e nie jest w stanie w pe ni po ać, bo dla niego pieni dze zawsze by  czym , czym nie trzeba si  przejmować. Naprzeciwko niego Ignazio. Ten elegancki czterdziestolatek wygl da na zm czonego starca. Jakby spad  na niego ci   ar k atwy. Cz owiek bez celu w  yciu. Bez syna, kt remu m g by wszystko zostawić.

Marchesano czuje lito c.

„Nie, nie mog   adać rzeczy niemo liwych ani oskar ać, kogo si  da”, my li. Sygna w z pewno ci  nie brakowa o, a ostatni komunikat z Banca Commerciale by  jedynie rezultatem wielu lat ryzykownych dzia a , ignorowania rad i lekkomy lnego  ycia.

Ignazio mruga, jakby si  budzi  z d ugiego snu.

– Z takimi kartami w ręku nigdy nie uda nam się odzyskać naszych udziałów – stwierdza z goryczą.

Prawnik rozkłada ręce.

– Mówiłem: to są bardzo ciężkie warunki. Ale tylko tyle są skłonni zaoferować. Sytuacja jest poważna, ale nie nierozwiązywalna, don Ignazio. Musimy pomyśleć o planie naprawczym. Trzeba nadać sprawom nowy bieg. Bo w tej chwili Dom Florio nie ma żadnej wiarygodności. – Ton jest spokojny, ale te słowa kłują jak sztylety.

Ignazio kładzie rękę na ustach, żeby nie przekląć, drży, potem uderza nią w biurko.

– Do diabła! – krzyczy.

Vincenzo szarpie się w tył na krześle. Nigdy nie widział Ignazia tak wściekłego i zdesperowanego.

– Banca Commerciale ma już Banco Florio. Ma jego akcje, ma klientów. I to od sześciu lat! Jako zabezpieczenie pieniędzy, o które prosiłem! A teraz chce całej reszty?

– Tylko że w tym czasie otrzymaliście linię kredytową w wysokości pięciu milionów.

– Ilu? – pyta oszołomiony Vincenzo.

Prawnik spogląda na młodszego Floria i tym razem nie ukrywa politowania zabarwionego irytacją.

– Sześć lat temu wasz brat otworzył kredyt w Banca Commerciale i z roku na rok nadal się w nim zadłużał, poręczając go akcjami, począwszy od udziałów w Navigazione. Wy, signore, byliście chronieni przed tą wiedzą zbyt długo. Dobrze, byście wiedzieli, że nad waszą przyszłością zbierają się burzowe chmury.

Vincenzo otwiera usta, ale nie jest w stanie się odezwać.

Zaczyna rozumieć. Przypomina sobie. „Aegusa”, jacht, na którym spędził tyle beztrudnych wakacji w dzieciństwie. Sprzedany. Ten sam los spotkał „Aretuzę” i „Valkyrie”. Tak samo było ze sprzedażą Villi ai Colli.

– Zawsze myślałem, że sprzedałeś Villę ai Colli zakonnikom, ponieważ Franca nie chciała już postawić stopy w miejscu, gdzie zmarła Giovannuzza. Tymczasem...

Zmarszczka bólu żłobi czoło Ignazia. Starszy Florio wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tak, to też, także z tego



powodu”, po czym sięga nad blatem, chwytając kolejny fascykuł, przesuwa go do Vincenza. Na okładce widnieje napis: SPRZEDAŻ TERRE ROSSE. Własność Giovanni d’Ondes, jej posag.

Vincenzo z niedowierzaniem kręci głową. Wyciąga rękę, by otworzyć teczkę, po czym cofa ją, jakby się sparzył.

– *Maman* o tym wie?

– O sytuacji, w której się znajdujemy? Mało. Jest świadoma, że mamy trudności, ale...

– A Franca?

Spojrzenie Ignazia jest bardziej wymowne niż słowa.

– Przede wszystkim trzeba zdecydować, czy wykupić akcje spółki winiarskiej przekazane jako zabezpieczenie dla Banca Commerciale, a tym samym uratować wasz udział w produkcji marsali – kontynuuje Marchesano. – Macie też prywatne rachunki, które muszą być uregulowane jak najszybciej.

– Ale są jeszcze zasoby... – mówi cicho Vincenzo. Wstaje, macha rękami, po czym wskazuje na pozycje w rejestrze. – Są nieruchomości, akcje... nawet te ze spółki winiarskiej mają wartość.

Ignazio parska.

– Nie słyszałeś, że te akcje zostały zastawione jako zabezpieczenie długów? Nie możemy ich wliczać, gdyż ich wykupienie jest prawie niemożliwe. Owszem, są jakieś długi do odzyskania, ale to wciąż bardzo mało. Większość naszego bogactwa stanowią teraz Favignana i domy. – Ignazio rozpościera ramiona, jakby chciał objąć otoczenie.

Przez chwilę Vincenzo wraca myślami do małej willi w parku Olivuzzy i do swoich przygotowań do ślubu z ukochaną Anniną. Obiecał jej ślub jak z bajki, a zamiast tego...

Głos Marchesana przerywa jego myśli. Mężczyzna dotyka papierów palcem wskazującym.

– Sami widzicie, co trzeba zrobić. – Po raz pierwszy podnosi głos.

– Trzeba ciąć wydatki. Rozumiem, że trudno wam to przyjąć do wiadomości, jednak od czegoś trzeba zacząć.

– Ale od czego? Od Teatro Massimo? Od szpitala miejskiego? Wiecie, w jakim stanie był budżet? W jakim stanie były sklepienia? Interweniowałem, żeby przywrócić... A teraz mam to wszystko zostawić?

– Don Ignazio, prowadzicie zbyt wiele inicjatyw, które nie przynoszą dochodu. Trzeba położyć kres pewnym rzeczom.

Ignazio zrywa się z biurka, idzie do okna. Włosy ma w nieładzie, krawat rozluźniony.

– Obcięcie funduszy na cele charytatywne oznaczałoby ogłoszenie przed światem, że nie jesteśmy już Floriami, że nasze nazwisko, nazwisko mojego ojca i dziadka, nie ma już żadnej wartości. Rozumiecie to?

Prawnik nie odpowiada od razu. Przykłada dłoń do ust, jakby próbując powstrzymać to, co myśli. Ale w końcu mówi. A Ignazio i Vincenzo zawsze będą pamiętać te kamienne słowa – nawet gdy będą starzy, nawet gdy nie będą już mieli własnego domu i będą zmuszeni żyć u kogoś w gościnie.

– Nie macie już nazwiska, na którym moglibyście polegać, don Ignazio.

Vincenzo osuwa się w fotelu. Ignazio wpatruje się w pustkę, potem zamyka oczy. Po raz pierwszy jest wdzięczny, że jego ojciec nie żyje, bo nie mógłby znieść takiego wstydu. Choć on prawdopodobnie nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji.

– W tym miejscu już jesteśmy? – szepce Ignazio.

Marchesano prostuje się, chwyta kieszonkowy zegarek, by zyskać na czasie, bo ma sporo do powiedzenia, a słowa płoną w jego ustach, ale nie chce nikogo obrazić. W końcu decyduje się mówić.

– Nie mamy wielu możliwości, poza tym, że musimy zwrócić się wysoko, bardzo wysoko.

– Do banku centralnego? Do Bonalda Stringhera, tego rekina? – Ignazio energicznie potrząsa głową. – Nie! Założyłby nam łańcuch na szyję. Ma zbyt wielu sojuszników wśród przemysłowców. Na to tylko czekają: żeby mnie wyrzucić i rozszarpać między sobą Dom Florio jak wściekłe psy.

– Mogliby, owszem, ale wątpię w to. W tej chwili głównym celem jest ochrona gospodarki Palermo i Sycylii, bo to leży w interesie wszystkich. – Adwokat odchrząkuje. – Będziemy musieli pilnie wystąpić o spotkanie ze Stringherem, jeszcze przed zgromadzeniem akcjonariuszy. – Ciężko oddycha, po czym kontynuuje, a czyni to, patrząc Ignaziowi prosto w oczy: – Podejmowaliście

przedsięwzięcia, które okazały się nieudane. Dotowaliście przedsiębiorstwa, które zamykały się w ciągu kilku lat. Podjęliście się budowy stoczni, która nigdy nie weszła do pełnej eksploatacji, więc musieliście ją sprzedać. Zgrzeszyliście pychą i brakiem doświadczenia. Wielu ludzi doradzało wam to, co najlepsze, ale wy ich odrzuciliście. Co więcej, narobiliście sobie mnóstwa wrogów, poczynając od Erasma Piaggia, którego niezbyt grzecznie wyrzuciliście za drzwi. Tak, jesteśmy już w tym miejscu, i tak, nazwisko Florio jest teraz warte tyle, ile papier, na którym zostało zapisane. Wasze dziedzictwo jest poważnie zagrożone i pozostaje wam tylko jedno, aby ocalić przynajmniej godność: znaleźć sposób, by wyjść z tego z podniesioną głową.

\*\*\*

Kiedy Marchesano opuszcza pokój, Vincenzo łapie się za głowę, wpatruje się niewidzącym wzrokiem w perski dywan. Ignazio chodzi po gabinecie.

– Przestań. – Głos Vincenza jest chropawy od gniewu. – Uspokój się, do diaska.

Ignazio staje przed nim.

– Czego chcesz? – mówi wojowniczym tonem. – Nawet chodzić nie mogę?

– Dprowadzasz mnie do szału, naprawdę – odpowiada Vincenzo i odpycha brata.

Chce się pokłócić? Tak. Krzyczeć, zrozumieć, zbuntować się, bo to, co właśnie odkrył, nie może być prawdą. To niemożliwe, nie do uwierzenia.

Ignazio chwyta go za ramiona, potrząsa.

– To ty się uspokój.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– I co byś z tego zrozumiała? Wszystko, co masz w głowie, to samochody i dziewczyny. Poza tym jaki byłby pożytek z niepokojenia nas obu?

Vincenzo zrywa się na równe nogi.

– Za to ty jesteś święty. Powiedz, ile wydałeś na twoje *fimmine*, co? Bizuteria, którą podarowałeś im wszystkim, nie mówiąc już o domach, jak ten dla Liny Cavalieri! A teraz wciąż jeździsz do Rzymu. Bynajmniej nie w interesach! Z powodu Very!

– Nie waż się mnie osądzać. To ja płacę za twoje rozrywki, nie pamiętasz? Czy wiesz, ile kosztuje organizacja wyścigów?

Stoją naprzeciwko siebie. Vincenzo ponownie odpycha brata, przeżuwa obelgę. Są prawie tego samego wzrostu, bardzo do siebie podobni. Ale piętnaście lat różnicy wieku jest teraz widoczne bardziej niż kiedykolwiek.

– Miałeś obowiązek powiedzieć mi, co się dzieje. Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak... – Vincenzo szuka słowa i nie może go znaleźć.

– ...zdesperowani? – uzupełnia Ignazio z prychnięciem. – Tak, do cholery, tacy właśnie jesteśmy. I nie wykluczam, że będziemy musieli sprzedać jakieś nieruchomości, żeby wyczyścić nasze długi.

Przełyka ślinę, świadomy, że właściwie trzeba zrobić znacznie więcej, aby Dom Florio się nie zawalił.

Vincenzo próbuje się uspokoić. Boi się. Nie jest to jednak ten ekscytujący strach, który czuje podczas wyścigów. Nie, ten strach mrozi mu krew w żyłach i paraliżuje myśli, narzuca na przyszłość czarną zasłonę. Vincenzo się rozgląda, jakby nie rozpoznawał miejsca, w którym się znajduje, jakby meble i przedmioty, które zawsze były częścią jego codzienności, nagle przeszły na własność kogoś innego. Chodzi po gabinecie i dotyka marmurowej płaskorzeźby przedstawiającej epizod z życia Świętego Jana Chrzciciela. Jest to dzieło wielkiego piętnastowiecznego rzeźbiarza Antonella Gagiego. Vincenzo pamięta, że ojciec kupił je, gdy on był dzieckiem; płyta wydawała mu się wtedy ogromna. Obok obraz ze szkoły Rafaela. Biurko, skórzane fotele, perski dywan. A dalej, w innych pomieszczeniach tego domu, jak integralna część jego życia, wazy z majoliki, czeskie kryształły, niemiecka porcelana, angielskie buty, ubrania od najlepszych krawców. Jak to możliwe, że nic nie należy już do niego? Jaka egzystencja go czeka?

– Przykro mi. – Słyszysz za plecami głos Ignazia.

Odwraca się, obejmuje brata.

– Wyjdziemy z tego z podniesioną głową, Ignazio. Zobacysz. Ten jednak, potrząsając głową, uwalnia się z uścisku.

– A ty... masz teraz się żenić... – mówi drżącym głosem. Na tę myśl zmarszczka na czole Vincenza się wygładza.

– Odłożmy to na przyszły rok. Annina to mądra dziewczyna. Zrozumie.

– Pomyśl, co będą o nas mówić. Zaczynając od tej żmii Tiny Whitaker.

Vincenzo wykonuje gest mówiący „Kogo to obchodzi?”.

– Spróbujmy jakoś z tego wyjść – odpowiada.

Nie jest w stanie odrzucić myśli, że jest rozwiązanie, jakiegokolwiek rozwiązanie, bo przecież jakieś wyjście musi być. Jego rodzina zrobiła tak wiele dla Palermo i Sycylii. Czy to wszystko może zostać zapomniane?

Ignazio przytakuje i wzdycha, przygnębiony. Ale jego umysł już biegnie, szuka czegoś, co go pocieszy. I znajduje: Verę, jej łagodny uśmiech, jej spokój. Jednak obok tej myśli budzi się inna, jednocześnie jasna i okrutna. Od razu próbuje ją przegnać, ale na próżno. Bo właśnie lekkość, którą dawała mu Vera, pozwalała mu wciąż mieć nadzieję na przyszłość.

Także Franca jest przy nadziei. Tak, jego żona znów jest w ciąży. Pięć lat po śmierci Jacobiny Franca spodziewa się dziecka i tylko Bóg wie, jak bardzo Ignazio pragnie, by to był chłopiec. Bo każdy człowiek potrzebuje wierzyć, że jego świat nie kończy się na nim, że ma coś do przekazania przyszłości. Florio trzyma się tej przyszłości jak rozbitek skały.

\*\*\*

– Pójdziemy do Royal Cinematographe? Gdybyś wiedziała, jak bardzo poruszyła mnie wczorajsza *Francesca da Rimini*! A potem płakałam ze śmiechu przy *Małpie dentyście*!

– Cokolwiek powiesz, moja droga – odpowiada Franca. Zwraca się do szofera: – Via Candelai, przy skrzyżowaniu z via Maqueda, proszę.

Isotta Fraschini skręca łagodnie, omijając wyboje w bruku.

Nowa ciąża napełniła Francę dziwną niepewnością. Nie jest to wyłącznie strach o dziecko ani konsekwencja wiecznie złego nastroju Ignazia, który i tak jest teraz w Rzymie w interesach. „Jest też coś innego”, myśli. W jej głowie pojawia się obraz Very Arrivabene, ale ona szybko go odgania. Nie, to mieszanina zmęczenia i zniecierpliwienia. Chciałaby wyjechać, na przykład do Paryża lub w Alpy, ale lekarz jej tego zabronił: przemieszcza się więc między Olivuzzą a Villą Igiea, zaprasza przyjaciół na karty, dużo czyta – właśnie skończyła nową tragedię swego uwielbianego d’Annunzia, *Statek*, choć lektura trochę ją znudziła – i często chodzi do kina w towarzystwie Stefaniny Pajno, której gadanina zawsze ją bawi, oraz Maruzzy, oczarowanej widokiem „scen z życia”, być może dlatego, że przypominają jej one czasy, kiedy była młoda, zamożna i mogła podróżować w towarzystwie ojca i brata.

– Regio Teatro Bellini to jednak piękniejszy kinematograf. Bardziej elegancki – mówi Franca z niezwykłą nutą wesołości w głosie.

Stefanina rozkłada ręce.

– Ale pospółstwo nie dba o elegancję. Jedyne, na czym mu zależy, to baśnie, nawet jeśli są to tylko marionetki. – Śmieje się miękko. – Wyznam ci coś, Franco: jako dziecko oglądałam raz przedstawienie kukielkowe z okna mojej sypialni, z moją nianią obok, ponieważ rodzice nie chcieli, abym mieszała się z tłumem. A kiedy gawędziarz zaczął opowiadać i udawać śmieszne głosy, bardzo się podekscytowałam: bałam się, śmiałam i płakałam, mimo że niania zakryła mi uszy, żebym nie słyszała przekleństw. Tutaj, w kinematografie, czuję tę samą wolność!

– Poza tym kino daje wszystkim szansę na zobaczenie świata i poznanie historii, których nie ma nawet w książkach – dodaje z entuzjazmem Maruzza.

– Tak. – Stefanina wygładza swoją niebieską popołudniową suknię, opiera się na kanapie samochodu i patrzy przez okno. – Wszystko się zmienia, nabiera tempa, nawet w tak leniwym mieście jak Palermo. I nie mówię tylko o nowych ulicach, które wreszcie zastępują portowe zaułki i rudery, ani o samochodach, czy nawet

tych latających maszynach, które tak bardzo lubi twój szwagier! Mówię o kobietach: wkrótce i my, jak paryżanki, nie będziemy już nosić gorsetów i być może będziemy organizować wiece, jak sufrażystki w Londynie. Czytałaś o tym, prawda? Piętnaście tysięcy zebrało się w Albert Hall! Nagle kobiety zaczęły robić nowe rzeczy, biegną ku przyszłości. Jednak...

– Co? – pyta Franca, odwracając się do niej.

– Czasami wydaje mi się, że te zmiany są tylko powierzchowne. I że w rzeczywistości my, kobiety, wciąż pozostajemy w tyle, trzymając się przeszłości.

– Niezależność jest zawsze nieco przerażająca – komentuje Maruzza. – Nie można jednak stronić od postępu.

– Ale nie można też nagle wymazać przeszłości. Nie byłoby to sprawiedliwe. Ja na przykład uważam, że to niestosowne siedzieć w kinie obok swojej praczki czy woźnicy. Wydaje mi się, że to jest sprzeczne z tym... jak to się nazywa... z porządkiem społecznym, o właśnie!

Maruzza przewraca oczami.

Franca słucha, ale nie odpowiada, przesuwa ręką po brzuchu. Być może także z tego wynika jej niepokój: w jakim świecie będzie żyło jej dziecko? Jakie będzie jego miejsce w tym mieście, które drży, gotowe do pogoni za przyszłością, ale twarz wciąż ma zwróconą ku przeszłości?

\*\*\*

Boazeria jest wywoskowana i wydziela delikatny zapach. Na ścianach półki pełne oprawionych w skórę tomów i obrazy w mrocznych barwach. Wypolerowana marmurowa podłoga lśni w promieniach słońca. Bezczelnego słońca, niezwykłego jak na listopad, nawet w Rzymie. Wydaje się ono niemal szydercze.

Giuseppe Marchesano i Ignazio Florio siedzą przed potężnym biurkiem. Wszystko w tym pomieszczeniu zdaje się mieć jeden cel: wzbudzanie respektu. Nawet te wielkie dwuskrzydłowe drzwi obite czerwonym safianem, teraz zamknięte za ich plecami.

Naprzeciwko obu mężczyznom siedzi Bonaldo Stringher, dyrektor generalny centralnego banku Włoch, Banca d'Italia, i przegląda akta, które przedstawił mu Marchesano.

Ignaziowi brakuje tchu. Czuje krople potu na skroniach i wyciera je szybkim gestem.

– Widzę, że staliście się rozsądniejsi – mówi Stringher.

Ma twarz jakby wyrzeźbioną w marmurze, pokaźną łysinę, przenikliwe oczy i sposób bycia energiczny, a zarazem zdystansowany.

Ignazio prostuje plecy.

– Każdy ma prawo do poprawy – odpowiada pewnie.

Marchesano nie umie powstrzymać grymasu irytacji. Ignazio Florio potrafi być arogancki, nawet gdy stoi na skraju przepaści.

Ręka Stringhera przesuwają się po ciemnej kamizelce, zatrzymuje na złotej dewizce zegarka. Dyrektor zerka na cyferblat, jakby oceniał, ile jeszcze czasu dać obu mężczyznom.

– Rozmawiałem z premierem w waszej sprawie.

*Onorevole*<sup>61</sup> Giolitti jest zdania, że Dom Florio trzeba uratować, nie tyle dlatego, że należy do was, ale żeby zagwarantować zatrudnienie i porządek publiczny na Sycylii, co i tak jest niezwykle trudnym zadaniem.

Marchesano chce ripostować, ale Stringher podnosi rękę, by go powstrzymać. Rozgląda się, po czym bierze z popielniczki niedopalone cygaro. Zapala je ponownie i uważnie wpatruje się w Ignazia.

– Zatem bylibyście skłonni powierzyć zarządzanie majątkiem zewnętrznemu administratorowi? A wasz brat? Co on myśli? Nadal jest właścicielem trzeciej części majątku...

– Mój brat ma do mnie absolutne zaufanie.

Spojrzenie Stringhera jest sceptyczne.

– Nie będzie więc problemu, aby na tych dokumentach znalazł się również jego podpis?

– Nie będzie – zapewnia Marchesano. – Panowie Florio zobowiązują się do powierzenia całego swojego majątku



zewnątrznemu administratorowi na okres dziesięciu lat, w zamian za co otrzymają czek gwarantujący im odpowiedni poziom życia.

Bonaldo Stringher unosi brwi.

– Czy ten czek będzie również wspierać pasożytnicze postaci, którymi otaczają się panowie Florio? Pytam, by zrozumieć, o jakiej sumie mówimy.

– Pasożytnicze postaci? To dobrzy przyjaciele, którym udzielamy pomocy i wsparcia. – Ignazio nie potrafi się opanować. – Moja rodzina ma jeszcze do utrzymania godność, signor Stringher. W porządku, popełniliśmy... popełniłem kilka błędów w zarządzaniu rodzinnym majątkiem. Przyznaję. Ale noszę ważne, szanowane nazwisko. Nie pozwolę, aby ktokolwiek mnie poniżał i...

Marchesano kładzie mu rękę na ramieniu, ściska. „Milczcie, na miłość boską”, zdaje się mówić.

– Jak już powiedziałem, signor Florio wie, że będzie musiał ponieść wyrzeczenia, ale nic, z czym nie mógłby sobie poradzić. On i jego rodzina będą musieli być bardziej rozważni... ale też na pewno nie będą żyć jak zwykli ludzie.

Stringher odchyła się w fotelu, patrzy na obu, obraca cygaro w palcach.

– Akcje NGI, które sprzedacie wskazanym spółkom, nie wystarczą na pokrycie zadłużenia. Potrzebujecie około dwudziestu jeden milionów lirów<sup>62</sup>.

Ignazio drży. Ta suma odcina mu oddech, osusza płuca.

– Udało mi się uzyskać odroczenie płatności za akcje spółki winiarskiej, które daliście w zastaw i mieliście spłacić do grudnia – kontynuuje Stringher, przesuwając palcem po zestawieniu. – Macie jednak jeszcze inne terminy płatności, których musicie dotrzymać.

– Ale koncesje na transport morski...

– Nie pokładałbym w tym zbytnej wiary, signor Florio. Lloyd Italiano już zmierza w tym kierunku. Zaczynjcie raczej myśleć o konieczności scedowania na nich części waszych parowców. To może nieco poprawić wasze położenie.

„A więc miałem rację – myśli Ignazio, wpatrując się w krawędź perskiego dywanu, a wzrok mu się rozmywa. – Cholerny Piaggio!

Wygląda na to, że celem jego życia jest wyrwanie nam wszystkiego, co osiągnęliśmy”.

Jednak to, co ma na myśli Stringher, związane jest raczej z rozmową, którą odbył z Giolittim. Ministerstwo transportu stara się pilotować odnowienie koncesji na transport morski. Ich charakter – zdaniem szefa rządu – musi się zmienić, bo w tej chwili uniemożliwia innym firmom, także tym z Ligurii czy Toskanii, oferowanie swoich usług po korzystniejszych cenach. Dla Giolittiego nie jest to kwestia Północy czy Południa: chodzi o to, że państwo nie może wspierać firm, które w istocie są monopolistami. A Stringher doskonale zdaje sobie sprawę, że był już nawet jeden przetarg na odnowienie usług transportowych, choć z różnych powodów żadna firma nie wzięła w nim udziału.

Stringher wie o tym i milczy, bo on, w przeciwieństwie do Ignazia Florio, umie rozpoznać właściwy moment na zabranie głosu. Jest świadomy swej władzy, jej granic i tego, komu jest winien lojalność. I jeśli z jednej strony przyście na ratunek Domu Florio oznacza udzielenie pomocy gospodarce całej wyspy, to z drugiej strony rząd bardzo jasno przedstawił swoje interesy. A te dwie sprawy niekoniecznie muszą się pokrywać.

Ignazio złodowaciał. W ciszy, która zapadła, w końcu odzywa się Marchesano. Wstaje, patrzy na Stringhera i mówi:

– Dziękuję, dyrektorze. Poinformujemy was o naszej decyzji.

\*\*\*

– Donna Franca, tu jesteście! Szukałam was wszędzie, aż Nino mi powiedział, że jesteście w ogrodzie. W taki chłód!

Maruzza, zwykle tak spokojna, nie ukrywa zdenerwowania. Otula Francę swoim szalem, ogrzewa jej ręce. Od powrotu z Mesyny Franca nie rozmawia, mało i źle sypia, prawie nie je. Teraz siedzi, nieruchoma, na kamiennej ławce przed wolierą, okryta jedynie wełnianym żakietem narzuconym na ciemnoszarą aksamitną suknię.

– Wróćcie do domu, proszę. Poleciałam w kuchni, by podali wam herbatę i tartę cytrynową, którą tak lubicie. Wejdźmy do środka;

zaraz zacznie padać.

W odpowiedzi Franca podnosi głowę i patrzy na Maruzę z dziwnym uśmiechem.

– Były tam. Widziałam je... – mamroce. – Tylko ja mogłam je zobaczyć, ale tam były...

– Ale kto, donna Franca? O czym mówicie? – Głos Maruzy staje się wysoki, pełen troski. – Chodźcie, ogrzejemy się przed kominkiem. Potrzebujecie odpoczynku i ciepła. Mastro Nino zapalił w karmazynowym salonie.

Ale Franca się nie rusza. Spogląda przed siebie, palce zaciskają się na ciemnym szalu, który zarzuciła jej na ramiona Maruzza. W jej oczach jawią się obrazy, które nie chcą zniknąć.

Plaża w Mesynie.

O świcie 28 grudnia 1908 roku zatrzęsała się ziemia między Sycylią a Kalabrią. Zdarzało się to w przeszłości i zdarzy jeszcze nieraz w przyszłości. Od zawsze był to obszar trzęsień ziemi, morskich wirów i silnych prądów. Floriowie dobrze go znali, mimo że minęło już ponad sto lat, odkąd bracia Paolo i Ignazio opuścili kalabryjską Bagnarę tuż po trzęsieniu ziemi, by szukać szczęścia w Palermo.

Ale to nie było „zwykłe” trzęsienie ziemi. To była ręka Boga spadająca z nieba na ludzi i rzeczy, aby zniszczyć wszystko, czego dotknęła. Ziemia pękła jak powierzchnia chleba. I posypały się okruchy.

Reggio Calabria zostało zdewastowane, wiele mniejszych miejscowości – także Bagnara – zamieniło się w sterty gruzu; wystarczyły niespełna dwie minuty, by Mesyna obróciła się w proch, pył i kamienie. Następnie duch trzęsienia ziemi opanował morze, wzburzył je, a wysokie fale zwały się na to, co pozostało z miasta i tych, którzy zdążyli ująć z domów na ulice. Wybuchy pożary, dochodziło do wycieków gazu i eksplozji. W końcu nadszedł deszcz i sprasował pył, brudząc, zamiast obmywać, oślepiając tych, którzy ocaleli, błądzących w oszołomieniu wśród ruin. Szpalty gazet zapełniały się szczegółami, a każdy był bardziej przerażający od poprzedniego: rozpadliny, z których wystawały ręce i nogi, jęki, najpierw głośne, przejmujące, potem coraz słabsze, ludzie

uciekający na wieś lub pozostający tępo na miejscu, skamieniali, oniemiali albo krzyczący bez wytchnienia. Opowiadano też o mężczyznach gorączkowo przekopujących cegły, belki i martwe ciała w poszukiwaniu czegoś, co można ukraść: odwieczna historia szakali żerujących na cudzym cierpieniu.

W kolejnych dniach nagromadziły się informacje, udręka i przerażenie nałożyły się na konieczność sprowadzenia pilnej pomocy, która mogła dotrzeć jedynie drogą morską, ponieważ drogi lądowe były poprzerywane przez osuwiska lub przepaście.

Sam król, który przybył do Mesyny wraz z królową Heleną 30 grudnia na pokładzie okrętu „Vittorio Emanuele”, tak pisał w telegramie wysłanym do Giolittiego: „Tu jest rzeź, ogień i krew. Wysyłajcie statki, statki, jeszcze raz statki”. Potem przyszła wiadomość, że Nicoletta Tasca di Cutò, siostra Giulii Trigony, została przysypana pod gruzami wraz z mężem, Franceskiem Cianciafarą. Tyle szczęścia, że uratowano ich szesnastoletniego syna Filippa.

W tym momencie France nie wystarczały już gazety i zasypała Ignazia pytaniami. Chciała wiedzieć, co zrobił krążownik królewskiej marynarki „Piemonte”, który w chwili tragedii znajdował się w porcie w Mesynie i jako pierwszy podjął interwencję, jaką pomoc przysłały brytyjskie statki handlowe, ale przede wszystkim co robi Navigazione Generale Italiana. On wyjaśnił, że przywożą żywność i pomoc, że cztery parowce NGI są już gotowe na przyjęcie ofiar trzęsienia ziemi, że „Lombardia” i „Duca di Genova” płyną z Genui z prowiantem wystarczającym dla około dwóch tysięcy osób na miesiąc, a „Singapore” i „Campania” zmierzają do Neapolu z prawie trzema tysiącami uchodźców na pokładzie.

Ale to jej nie wystarczało.

Kiedy Ignazio oznajmił, że zamierza udać się do Mesyny, Franca chciała mu towarzyszyć, a gdy odmówił, błagała i prosiła. Giovanna i Maruzza nieustannie jej powtarzały, że dla kobiety w ciąży jest to zbyt niebezpieczne, że miastu grozi epidemia i infekcje, że Franca jest potrzebna w Palermo w komitetach charytatywnych dla wysiedlonych, że nie powinna się przemęczać, że jej przerażenie

może zaszkodzić dziecku... Wszystko na próżno. Rankiem w dniu wyjazdu męża Franca stanęła w drzwiach, trzymając torbę podróżną i walizkę, i kategorycznym tonem powiedziała:

– Muszę tam być.

Wsiedli na pokład parowca, a następnie szalupa przetransportowała ich na plażę w Mesynie. Podczas gdy Ignazio dostarczał żywność i leki oraz działał w ekipach ratunkowych, Franca błąkała się wśród namiotów i prowizorycznych obozów, gotowa pomóc w każdy możliwy sposób.

I właśnie wtedy je zobaczyła.

Dzieci. Tak wiele, tak bardzo wiele dzieci. Ubrudzone błotem i krwią, zebrzące o kawałek chleba lub przekopujące się przez gruzy, szukające znaku życia tam, gdzie już nie było nic poza pyłem i śmiercią. Nieruchome, szare niemowlęta, które matki uparcie przyciskały do piersi, nagie ledwo chodzące maleństwa rozpaczliwie przywołujące matki wśród stert gruzy, dzieci patrzące na nią – żywe, ale bez życia w oczach.

I wtedy niemal powaliło ją na ziemię wspomnienie o jej dzieciach. W każdym spojrzeniu dostrzegała Giovannuzę, w każdym niepewnym kroku odnajdywała Baby Boya, wszystkie niemowlęta wyglądały dla niej jak Giacobina. Pobiegła nawet za małą dziewczynką w białej koszuli nocnej, która przypominała jej pierworodną, wołała ją po imieniu, ale ta odwróciła się od niej i przytuliła szybko do matki siedzącej niedaleko ze śpiącym chłopcem na kolanach.

Przez chwilę pozazdrościła tej nieszczęśnicy, która straciła wszystko, ale wciąż miała przy sobie dzieci. Od tej chwili nie mogła myśleć o niczym innym.

– Tylko ja je widziałam, ale one tam były – powtarza i wyciąga rękę, jakby chciała pogłaskać Giovannuzę po twarzy lub zmierzić loki Baby Boya.

Maruzza podchodzi, obejmuje ją, opiera czoło na jej ramieniu.

– Musicie pozwolić im odejść, donna Franca – szepce. – Są z wami zawsze, ale nie ma ich już na tej ziemi. I choć to bolesne, trzeba dbać o tych, którzy na tej ziemi jeszcze są. O Igieę i to małe stworzenie tutaj. – Położyła jej dłoń na brzuchu.

Franca wybucha płaczem. Płacze za tymi sierotami, którym nie mogła pomóc. Tak, przyjęli około pięćdziesięciu przesiedleńców – głównie dzieci – w swojej fabryce ceramiki, którą przerobiono na szpital. Giovanna i ona osobiście zajęły się trzema z nich, ale jeden zmarł od ran, o drugiego upomniał się dziadek, a trzeci przywiązał się do teściowej Franki i nigdy jej nie opuszcza.

Ona nie chce jednak cudzych dzieci, chce mieć własne.

Lecz ich już nie ma. Są tylko cienie błakające się po Olivuzzy, małe aniołki, które nigdy nie dorosną. Czasami Franca słyszy tupot ich małych stóp na schodach, innym razem, we śnie, wydaje się jej, że czuje pieszczotę drobnej dłoni lub pocałunek dziecięcych ust. Budzi się nagle, z sercem w gardle, i w ciemności szuka śladu ich obecności, zapachu, śmiechu. Ale jest sama.

Jednak Maruzza ma rację, tak jak miała rację żona rybaka pięć lat wcześniej na Favignanie, gdy Franca myślała o... Jest Igiea i jest dziecko, które ma przyjść na świat za kilka miesięcy. Chłopiec? Franca ma taką nadzieję, ale trudno jej w to uwierzyć. W jej życiu nadzieja często zamieniała się w truciznę.

Ociera łzy, po czym podtrzymywana przez Maruzzę, wstaje i patrzy na wolierę. W tym domu, w tym parku jest zbyt wiele śladów przeszłości, zbyt wiele wspomnień.

– Wróćmy do Villi Igiea, Maruzzo – prosi niemal bezgłośnie.

– Dobrze – odpowiada ta druga, obejmując ją ramieniem. – Wracamy.

\*\*\*

Jest marzec 1909 roku, kiedy w biurze Bonalda Stringhera spotyka się grupa prawników i dyrektorów banków, aby omówić sytuację Domu Florio.

Bracia są nieobecni. W ich zastępstwie występują adwokaci Ottavio Ziino i Vittorio Rolandi Ricci, którzy wraz z Giuseppem Marchesanem reprezentują interesy Domu Florio. Rolandi Ricci podejmuje się nieprzyjemnego zadania opisu sytuacji: nie ma już czasu, mówi. Tak, jeszcze bardziej niż pieniądze ucieka czas, bo

istnieje ryzyko, że nie będzie już czego ratować. Do nacisków dołącza jeszcze de Seta, prefekt Palermo, który zwrócił się do dyrektora Banca d'Italia o szybkie rozwiązanie sprawy.

Rzeczywiście, Palermo znów jest niespokojne.

Nie tylko dlatego, że 12 marca na piazza Marina zginął od rewolwerowych kul porucznik nowojorskiej policji Giuseppe „Joe” Petrosino, który przybył ze Stanów do Palermo, by odkryć powiązania sycylijskiej mafii z amerykańskim stowarzyszeniem włoskich gangów Czarna Ręka. Ani dlatego, że miecz Damoklesa, jakim jest nieprzedłużenie koncesji na transport morski, a w konsekwencji upadek przemysłu morskiego w Palermo, wciąż wisi nad miastem i 21 marca doprowadza je do paraliżu obejmującego wszelką działalność – od fabryk po szkoły, od sklepów po tramwaje – i który cudem nie przeradza się w zamieszki.

Zbyt wiele plotek krąży od zbyt dawna i ludzie chcą wiedzieć. Przechodzą obok Olivuzzy, spacerują po ogrodzie Villi Igiea i wyciągają szyje, wyteżają wzrok, nadstawiają uszu. Próbują wyłapać ruch za oknami, oglądają zaparkowane przed wejściem samochody i kolaski, których wciąż jeszcze się używa do popołudniowych spacerów, słuchają muzyki dobiegającej z salonów, przyglądają się gościom zajęтым rozmowami, przyjęciami i herbatkami i zastanawiają się, czy kryzys naprawdę jest tak poważny, jak im się mówi.

Bezczelne i chciwe Palermo czeka na to, co się wydarzy, a robi to ze złym uśmiechem, bo wielu uważa, że w końcu nadszedł czas, by ten arogancki Ignazio Florio dostał za swoje. Ale pod tym uśmiechem kryje się i strach. Jeśli Florio zatonie, trudno będzie miastu utrzymać się na powierzchni. Zbyt wiele rzeczy jest zagrożonych – miejsca pracy, organizacje charytatywne, nawet teatry.

Z Rzymu nadeszły wieści, które przypawiły Ignazia o drzenie. Po spotkaniu z prawnikami Domu Florio Stringher napisał do niego, że Ziino, Rolandi Ricci i Marchesano – z błogosławieństwem Banca d'Italia – próbują utworzyć konsorcjum bankowe, które przejąłoby jego długi i zarządzało Domem. Stringher jest zirytowany, choć słowa dobiera ostrożnie. Dla niego Ignazio to jedynie irytujący

niekompetentny żebrak, który popłakuje, ponieważ banki przestały go słuchać.

Ignazio nie wie już, do kogo się zwrócić. Pewnego popołudnia na początku maja udaje się do siedziby Banca Commerciale, aby omówić kolejne odroczenie, ale nie może nawet nakłonić dyrektora do spotkania, ponieważ według sekretarza jest on bardzo zajęty.

– Jeśli tak jest, to ja nie będę mu przeszkadzał – odpowiada sucho Ignazio i wychodzi, odprowadzany spojrzzeniami urzędników.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak upokorzony. Kiedyś mógł kupić cały oddział banku. Mógł być panem ich życia. Dziś wyrzucają go za drzwi ze zniecierpliwieniem.

W domu jego niepokój nie znajduje ujścia. Chciałby z kimś porozmawiać. Nie z przyjacielem, nawet nie z Romualdem, przed którym się wstydzi, ale z kimś, kto go rozumie. Z bratem? Nie, Vincenzo pojechał gdzieś samochodem z Anniną i Marią Concettą. Ślub zaplanowali na lato i postanowili mieszkać częściowo w jego willi w ogrodzie Olivuzzy – którą Vincenzo urządził na nowo, żeby Annina „miała własną przestrzeń” – a częściowo w nowoczesnej kamienicy przy via Catania, prostopadłej do eleganckiej via Libertà, w centrum jednej z najszybciej rozwijających się dzielnic miasta. „W kamienicy, za którą jeszcze do końca nie zapłacili, na litość boską!”, myśli Ignazio z irytacją.

Franki też nie ma: jest w Villi Igiea i organizuje wieczór gier karcianych i występów muzycznych. Zawsze lubiła grać w karty i gra dobrze, ale ostatnio wydaje się myśleć jedynie o tym. Początkowo Ignazio był zadowolony, ponieważ po powrocie z Mesyny Franca przez wiele tygodni nie chciała nikogo widzieć i całe dni spędzała zamknięta w swoim pokoju w Olivuzzy. Potem jednak zorientował się, że ta rozrywka staje się coraz droższa, i poprosił ją, by ograniczyła stawki. Ale ona zdawała się głucha na jego błagania. Prawdę mówiąc, relacje między nimi znów się pogorszyły.

Ciąża Franki, która zbliżyła ich do siebie i przywróciła jakąś nadzieję, zakończyła się szczęśliwym rozwiązaniem. 20 kwietnia 1909 roku urodziła się dziewczynka. Nazwali ją Giulia, po ukochanej siostrze Ignazia. Ma silne płuca i temperament, który



wypełnia życiem pokoje dziecięce, nazbyt długo puste. Zaraz po jej urodzeniu Igiea – obecnie prawie dziewięcioletnia – długo wpatrywała się w siostrę, po czym zapytała pielęgniarkę, czy ona również umrze jak pozostałe. Kobieta uśmiechnęła się do niej zakłopotana i pieszczotliwie zapewniła ją, że nie, że dziewczynka będzie żyła. Franca na szczęście tego nie usłyszała. Ale Ignazio poczuł ucisk w sercu, bo to proste pytanie na nowo rozpałiło ogień jego bólu.

Z pięciorga jego dzieci pozostało tylko dwoje. Na dodatek dwie dziewczynki.

Zaraz po przyjściu Giulii na świat Ignazio podarował France platynową bransoletkę. Nie szafiry, bo te jej dał, gdy urodził się Baby Boy. Mało go obchodziło, że ten wydatek powiększy jego długi. Ujął jej ręce, pocałował. Ona długo wpatrywała się w niego, zanim się odezwała, pólżąc na poduszkach, z twarzą spuchniętą i zmęczoną.

– Przepraszam – powiedziała w końcu półgłosem. Jej zielone oczy były ogromne i zrezygnowane.

„Przepraszam, bo to nie jest chłopiec. Bo jestem za stara, żeby dać ci kolejnego syna. Bo mimo wszystko kochałam cię i ufałam tobie i naszemu małżeństwu. Ale teraz nie zostało już nic, uleciał nawet duch miłości, która nas połączyła. Bo wiem, że masz kogoś innego. I wiem, że to nie jest przelotna miłostka”.

Wszystko to przeszło z duszy Franki do jej oczu, a gorycz, którą czuła, przelała się na Ignazia, zmuszając go, by spuścił głowę w milczeniu.

Bo tak było i tak jest. Jego myśli kierują się w stronę Very. Ona rozumie jego frustrację i wie, jak być blisko niego, jak dodać mu odwagi. Uspokoić choć trochę jego ból. Ignazio wyobraża sobie Verę, jak podchodzi do niego i obejmuje go bez słów. Pomaga mu zdjąć marynarkę, siada na kanapie w rzymskim apartamencie hotelowym, gdzie się spotykają, i opiera głowę o jego ramię. Nie wypytuje go, tylko słucha. Nie ocenia, tylko przyjmuje.

Jeśli jest prawdą, że Franca była jego pierwszą wielką miłością, to równie prawdziwe jest to, że nie była jedyną. „Bo zmienia się charakter tego uczucia, bo zmieniają się ludzie i zmienia się sposób,

w jaki potrzebują czuć się kochani – myśli Ignazio. – Bajki się kończą, a pozostaje tylko pragnienie uścisku, który pocieszy, przepędzi strach przed upływającym czasem i da złudzenie, że nie jest się samotnym”.

Ale Vera jest w Rzymie, daleko stąd.

Ignazio błądzi po domu, a gdy przechodzi, służba usuwa się na bok, spuszczać oczy. Pyta, gdzie jest jego matka, i ktoś wskazuje na zielony salon. Giovanna siedzi w fotelu i ma obok siebie robótkę, ale jej ręce, zdeformowane przez artretyzm, spoczywają na kolanach. Drzemie.

Ignazio podchodzi do niej, całuje ją w czoło, a ona się budzi.

– O, synu. Co ci powiedzieli w banku?

On przez chwilę się waha, a potem mówi:

– Wszystko dobrze, *maman*. Nie bój się – kłamie, a serce mu się ściska.

Ona się uśmiecha i z westchnieniem zamyka oczy. Ignazio siada obok niej, bierze ją za rękę. Co mógł powiedzieć tej biednej kobiecie, która musiała wyzbyć się nawet ziemi ze swojego posagu, ukochanych Terre Rosse, gdzie spędziła całą młodość? Patrzy na zdjęcie ojca na stoliku obok fotela. Jednak tym razem – o dziwo – nie odczytuje w jego surowym spojrzeniu oskarżenia. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że ojciec mówi mu: „Bądź silny, nabierz odwagi, bo to jest ten moment”.

„Jest jeszcze nadzieja”, myśli Ignazio, kierując się do gabinetu, i powtarza to sobie, gdy zagląda do pokoju Igiei i widzi, jak dziewczynka spokojnie się bawi, podczas gdy mamka kołysze smacznie śpiącą Giulię. Floriowie nadal mają solidność, zasoby i nazwisko, wbrew temu, co myśli Marchesano. Badania prowadzone przez rzeczoznawców z Banca d’Italia gwarantują, że pieniądze są, że rodzina nadal ma majątek i że długi osobiste – te, z powodu których tak wiele osób unosi brwi – nie są główną przyczyną jej problemów.

Wchodzi do gabinetu i zatrząskuje za sobą drzwi.

– Nie poddam się – mówi głośno. – Zobaczycie, z kim macie do czynienia.

\*\*\*

Tak bardzo irytują go ludzie z Banca d'Italia i Banca Commerciale, którzy nie tylko traktują go jak niekompetentnego głupca, ale też wszędzie wściubiają nos i niestrudzenie grzebią we wszystkich jego sprawach, że Ignazio nie zdaje sobie sprawy, iż karmi węża na własnym łonie. To właśnie Vittorio Rolandi Ricci, jeden z jego prawników, pisze do Stringhera, uskarżając się, że mimo dramatycznej sytuacji w Palermo nadal piją szampana, rzucają pieniądze na stoły hazardowe i oddają się kosztownym rozrywkom.

Stringher traci panowanie nad sobą, ale okazuje to na swój sposób. Pisze do Ignazia list, surowy, w lodowatym tonie. Pięć słów oburzenia, oskarżenia, potępienia, pogardy, nieufności. I nade wszystko formułuje wyraźną groźbę rzucenia Floriów na pastwę losu.

Lektura tego listu coś w Ignaziu wyzwała. Nie po raz pierwszy czuje się upokorzony, nie po raz pierwszy czuje się zawstydzony, ale formalny, zdystansowany ton Stringhera wstrząsa nim do głębi, boleśnie coś uświadamia. Ignazio musi odpowiedzieć. Zamyka się w swoim gabinecie i pisze. Przygotowuje brudnopis, ostrożnie dobiera słowa, bo nie chce dać do zrozumienia adresatowi, jak bardzo czuje się upokorzony, ani nie może ryzykować dalszego rozdrażniania dyrektora. Pisze, czyta, skreśla, rozważa. Deklaruje, że zwolni nadmiar pracowników, zmniejszy koszty utrzymania domu i inne. Próbuje się nawet usprawiedliwiać, tłumaczyć, ale wyczuwa niespójność usprawiedliwień i wymazuje je zdecydowanym pociągnięciem pióra. W końcu, zagryzając dolną wargę, pisze list i pali brudnopis.

„To wszystko, co mogę zrobić”, mówi do siebie, zakleja kopertę i odchyła się na oparcie fotela, mrużąc oczy. Tak bardzo chciałby mieć teraz kieliszek koniaku, swojego koniaku.

W tym momencie słyszy silnik isotty fraschini, a po chwili cichy głos dziękujący szoferowi. Franca wróciła do domu.

Ignazio wyciąga zegarek z kieszeni kamizelki. Ten list sprawił, że stracił poczucie czasu. Jest wpół do trzeciej.

– O tej godzinie... – mruczy. I wtedy uderza go pewna myśl.

„Ile pieniędzy straciła dziś w nocy?”. Wychodzi z gabinetu, przemierza salony i spotyka Francę przed drzwiami jej pokoju: w ręku trzyma złotą torebkę z diamentową klamrą, jeden z ostatnich zakupów u Cartiera, oraz plik zobowiązań do zapłaty.

Na ten widok Ignazio zaczyna drżeć.

– Ile przegrałaś? – syczy.

Ona podnosi rękę, patrzy na papiery, jakby nie należały do niej.

– Ach... nie wiem. Ja tylko podpisałam i powiedziałam im, że zapłacę do jutra.

Wyczerpany Ignazio zbliża dłonie do skroni.

– Im, czyli komu? I ile masz zapłacić?

Franca wchodzi do środka, zaskakując Carmelę, która spała na krześle. Zrzuca pantofle, wręcza Ignaziowi papiery z suchym: „Masz”, po czym zbliża się do pokojówki, która z oczami spuszczoneymi z zakłopotania zaczyna rozpinąć guziki jej czarnej sukni ze srebrnymi cekinami.

Ignazio przegląda liczby i blednie.

Dotarłszy do ostatniego guzika, Carmela spostrzega, że Ignazio zasłania ręką usta, jakby chciał powstrzymać okrzyk. Franca wyczuwa dyskomfort służącej.

– Możesz już iść, moja droga, jutro posprzątasz – mówi.

Carmela się wymyka.

Franca w samej halce patrzy długo na Ignazia, unosi brwi, potem siada na łóżku.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile przegrałaś? – Głos Ignazia jest nie do poznania. Ostry i jednocześnie płaczliwy. – Czy rozumiesz, że podczas gdy ty się bawiłaś, ja byłem tutaj, sam jak nieszczęśnik, i pisałem list, w którym usprawiedliwiałem się przed tym psem Stringherem? Upokarzałem się w imieniu rodziny, a ty...

Franca zdejmuje pończochy. Po ostatniej ciąży nabrała nieco ciała, a na jej twarzy zaczynają się pojawiać ślady przeżytych cierpień, ale też ekscesów i nieprzespanych nocy.

– Nie muszę wiedzieć, co robisz ze swoim czasem. Poza tym myślę, że Vera bardziej lubi te zwierzenia.

– Nigdy nie chciałaś wiedzieć nic o mnie i o tym, co czuję! – krzyczy Ignazio i rzuca w nią papierami. – Czy kiedykolwiek pytałaś mnie, jak się czuję, jak idą interesy? Albo co przeszedłem po śmierci naszych dzieci, co to dla mnie znaczyło? Nigdy nie pozwoliłem, by brakowało ci czegokolwiek: strojów, biżuterii, podróży! A ty byłaś niewdzięczna! Ty, ty, ty... Byłaś tylko ty i twój ból. Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że muszę się wszystkim zajmować, trzymać to wszystko razem, podczas gdy ty byłaś zajęta sprawianiem, by reszta świata się nad tobą litowała? Ja też straciłem trójkę dzieci, wiesz? Nie mam już spadkobiercy, kogoś, komu mógłbym powierzyć Dom Florio. Straciłem swoją przyszłość, ale dla ciebie to nigdy nie miało znaczenia. – Podchodzi bliżej, wpatrując się w jej oczy. – A teraz chcą mnie nawet zmusić do przyjęcia nadzoru finansowego, jakbym był idiotą niezdolnym do zarządzania własnym majątkiem. Wiedziałaś, że rzeczy idą źle, ale wciąż się odwracałaś, żyłaś swoim życiem, wydawałaś pieniądze bez patrzenia na koszty. I upokorzyłaś mnie, owszem, bo nie mogę spłacić tych weksli ani jutro, ani Bóg wie kiedy. Ale ciebie to nie obchodzi. Jesteś egoistką. Jesteś przeklętą egoistką, która dostała się do tego domu tylko z powodu swojej ładnej buzi!

Franca patrzy na niego z dystansem. Być może piła, a może jest po prostu zmęczona. Nie reaguje od razu. Wstaje, wkłada koszulę nocną i szlafrok, po czym siada z powrotem na łóżku i gładzi pościel.

– Jak możesz oskarżać mnie o egoizm po tym wszystkim, na co mnie przez lata wystawiałaś? – odpowiada w końcu półgłosem. – Mówisz, że nie byłam u twego boku w interesach, ale jeśli Villa Igiea jest sławna w całej Europie, to wyłącznie dzięki mnie, dzięki temu, co zrobiłam i robię każdego dnia dla gości. Nie, Ignazio. – Schyla się po jedną kartkę z podłogi, zgniata ją w kulkę. – To ty zawsze i wszędzie dążyłeś do własnej przyjemności. To ty wydałeś fortunę na swoje kochanki, o wiele więcej, niż ja wydałam na cokolwiek. Bawiłeś się, nie dbając o mnie ani o to, jak się czuję. I wiedząc, że na końcu każdego romansu, gdy pojawiała się nuda lub zmęczenie, będę czekała na ciebie bez żadnych pytań. Ale teraz wszystko się skończyło, Ignazio. Każdy ma swój sposób na ucieczkę

od bólu i nikt nie może zarzucić drugiemu, że mimo wszystko próbuje przetrwać. – Zastona melancholii łagodzi urazę, której Franca nie chce już ukrywać. – Czy wiesz, jaka jest prawda? Byłoby tysiąc razy lepiej, gdybyśmy się nie pobrali.

Ignazio czuje, że krew odpływa mu z twarzy. Przełyka ślinę. Wpatrują się w siebie przez długą chwilę.

Następnie on wychodzi z pokoju i idzie w ciemności do swojej sypialni.

\*\*\*

– Ten Florio to niewdzięcznik! Czytaliście list, w którym opisuję moje spotkanie z nim kilka dni temu? Mówi, że przy porozumieniu, jakie wypracowaliśmy z innymi bankami, zostałyby *de facto* odsunięty od zarządzania Domem. Grozi, że wycofa się z negocjacji i poprosi o układ sądowy w Palermo, proponując wierzycielom spłatę należnych kwot w ciągu siedmiu lat, dzięki zarządcy formalnie wyznaczonemu przez sąd, ale wybranemu przez niego. Co on sobie myśli? Za kogo on się uważa? – kończy Vittorio Rolandi Ricci i wzdycha.

Wie, że wobec Bonalda Stringhera nie musi kontrolować tonu. Znają się od lat i mimo przestrzegania form wykształcili szczere, silne porozumienie, skąpe w słowa, ale bogate w wiedzę o mechanizmach gospodarki i władzy.

Stringher nie odpowiada od razu. Wstaje od biurka, podchodzi do okna i odsuwa zasłony, wpuszczając do środka miedziane światło słońca, które zdaje się żądać, by przywrócono mu moc, zanim ciemność ogarnie pokój. Patrzy na pojazdy i pieszych na via Nazionale i dopiero wtedy mówi:

– Tak, czytałem wasz list. Byliście precyzyjni i szczerzy i za to dziękuję.

„Zupełnie odwrotnie niż Florio w swoim liście, pełnym dobrych intencji, które jednak w ciągu kilku dni rozpląnęły się jak śnieg na słońcu – myśli. – Tego człowieka zrujnowały przywileje, które miał, a on wierzy, że wciąż je ma”. Przez chwilę zastanawia się, czy nie

powinien pokazać tego listu adwokatowi. „Nie, to by nic nie dało – decyduje w końcu. – Niektórych rodzajów broni należy używać tylko wtedy, gdy są potrzebne”.

W jasnych oczach adwokata pojawia się gniew.

– Ten człowiek jest ślepy! Mimo naszych starań i projektu umowy, który mu przedłożyliśmy, wpada na pomysł, by obciążyć hipoteką Egady, swoje najważniejsze źródło dochodu! Co mu wtedy zostanie?

Stringher wraca do biurka, siada, kiwa głową.

– Tak, tylko głupiec albo osoba mająca złych doradców mogłaby coś takiego pomyśleć. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że ma tu miejsce jedno i drugie. Robimy, co możemy, ale nie da się ratować tych, którzy za nic nie chcą być uratowani.

– On naprawdę nie rozumie, co by się stało, gdyby odrzucił nasze porozumienie. Nie wie, że ugody sądowe w końcu przynoszą to, czego ludzie chcą uniknąć.

– Czyli porażkę – uzupełnia Stringher, przejeżdżając palcem po wąsach. – A nie honor i szacunek!

– Zachowuje się tak, jakby chciał otworzyć na oścież drzwi spekulantom – dodaje Rolandi Ricci, zakładając ręce nad swym okrągłym brzuchem.

– A może już je otworzył – mruczy Stringher.

Ricci wpatruje się w niego pytająco. Wie, że dyrektor generalny Banca d'Italia nigdy nie składa pochopnych oświadczeń.

– Myślę, że Florio zmierza właśnie w tym kierunku. Zauważyliście nieobecność Marchesana na ostatnich spotkaniach, prawda? Taka postawa Floria, jego przemyślenia, rozwiązania, które proponuje, potwierdzają tylko plotki, jakie do mnie dotarły. On szuka sojuszy gdzie indziej. – Stringher pochyla się do przodu. – Mu pracujemy sumiennie, a rząd poprosił nas o pomoc dla Domu Florio przede wszystkim w celu zabezpieczenia porządku publicznego na Sycylii. Jeśli jednak Florio nie przystąpi do naszego konsorcjum lub jeśli posłucha złych doradców, nie mamy powodu, by bronić jego majątku przed wierzycielami. Dom Florio popadnie w ruinę, a inni przedsiębiorcy wypełnią pustkę, która się utworzy. Rozumiecie?

Milknie. Zapada długa cisza przerywana odgłosami ulicy i ciężkim oddechem adwokata, który w końcu szeptem:

– Tak. Rozumiem doskonale.

\*\*\*

Pod koniec maja 1909 roku adwokat Ottavio Ziino z ziemistą twarzą informuje niewzruszonego Stringhera, że bracia Florio wycofują się z konsorcjum.

– Dokonali innych ustaleń. Nie mogli przyjąć zaproponowanych warunków – podsumowuje głuchym tonem.

Bonaldo Stringher słucha i kręci głową. Wpatruje się w adwokata z wyraźnym dystansem.

– Proszę przekazać swojemu klientowi, że to zła decyzja i że będzie opłakiwał jej konsekwencje. Zdradził zaufanie moje i swoich wierzycieli, działał w sposób niemądry i nieuczciwy, a jego zachowanie doprowadzi go do ruiny.

Ziino nie potrafi ukryć drżenia rąk, ale nie spuszcza wzroku.

Stringher wstaje, poprawia krawat.

– Od tej chwili sprawy Ignazia Florio już mnie nie dotyczą. Wierzyciele będą mogli swobodnie podzielić majątek Domu Florio w sposób, jaki im odpowiada. Nie kiwnę palcem.

W Palermo wiadomość rozchodzi się jak podmuch wichru. Odbija się od biur Banco di Sicilia do biur Banca d'Italia i rozsiewa niepokój. W salonach informacja o odmowie wejścia do konsorcjum miesza się z plotkami na temat Very Arrivabene. To ona – mówią dobrze poinformowani – doradziła mu, żeby to zrobić. Ona, a nie jego żona, bo Ignazio – mówią ci sami ludzie – przyzwyczaił się, że donna Franca nigdy nie wtrąca się do interesów. Ktoś inny twierdzi, że dowiedział się „z bardzo wiarygodnych źródeł”, jakoby niektórzy doradcy Ignazia zawarli już umowy z pewnymi przemysłowcami, którzy... Jeszcze inni twierdzą, że Dom Florio to tonący statek. A wiadomo, co się dzieje z wrakami.

Wieść rozchodzi się po ulicach, fabrykach i dociera do portu. Natychmiast wybuchają plotki, pojawia się niepewność



i zamieszanie. Umowy handlowe i przeniesienie własności mają bardzo małe znaczenie dla robotników, marynarzy i biedaków, którzy żyją dzięki dobroczynności. Ale domyślają się, co ich czeka, a groźba jest konkretniejsza niż kiedykolwiek: jeśli pieniądze Floriów mają się skończyć, to ich nieszczęście dopiero się zacznie.

Kiedy Ignazio ogłosił rodzinie swoją decyzję, Vincenzo wzruszył tylko ramionami i powiedział: „Rób, co chcesz”, po czym uciekł do domu Anniny, by organizować ślub, który miał się odbyć za kilka miesięcy. Giovanna, blada, cierpiąca, zrobiła znak krzyża, wyszeptała modlitwę, po czym wzięła Igieę za rękę i odeszła. Zatopiona w fotelu, z rękami opartymi na kolanach, Franca wysłuchiwała męża bez zmruczenia powiek.

– Czy naprawdę myślisz, że uda nam się wyjść z tego pobojuwiska? – zapytała w końcu, zapalając papierosa.

Wzruszył ramionami i wymamrotał „Mam nadzieję”, co Franca ledwo usłyszała. Ale wtedy zrobiła coś, czego nie robiła od dawna: podeszła i przytuliła się do niego. Ten gest czułości był dokładnie tym, czego Ignazio w tym momencie potrzebował. I coś w jego wnętrzu skruszyło się, odsłaniając ślad miłości wciąż żywej, mimo kłótni i wyrzutów sumienia.

Odsunął się nieco od Franki, wziął ją za rękę.

– Dlaczego? – zapytał, wpatrując się w jej zielone oczy.

– Bo tak jest – odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. I po tak długim czasie pojawił się błysk czułości.

Jest wiele rzeczy, o które Ignazio chciałby ją zapytać. Czy rzeczywiście to wszystko była jego wina, jego niewierności, czy może ona też czuje się choć trochę odpowiedzialna za klęskę ich małżeństwa? Czy rzeczywiście była mu zawsze wierna, czy też uległa czyimś zalotom, jak ludzie gadają? Dlaczego śmierć ich dzieci, zamiast ich łączyć, coraz bardziej ich rozdzielała?

Ale pozostaje nieruchomy, milczący, podczas gdy ona idzie przygotować się na kolejny wieczór w Villi Igiea. Kolejny powód do gorczy; w ostatnich czasach do salonów gier w willi przychodzą także niezbyt szanowane osoby: kanciarze i zawodowi gracze, rekiny pożyczkowe i prostytutki, wykorzystujący przede wszystkim naiwnych lub znudzonych burżujów. I którzy mimo wszystko

sprawiają, że pieniądź krąży, czego Floriowie rozpaczliwie potrzebują.

Kiedy Ignazio słyszy, jak za Francą zamykają się drzwi wejściowe, zakrywa twarz rękami. Jeszcze jedna okazja do rozmowy, do wyjaśnienia sobie czegoś została stracona.

\*\*\*

Porozumienie, które miało uratować Dom Florio, podpisano 18 czerwca 1909 roku. Ojcem chrzestnym operacji był niejaki Vincenzo Puglisi, który skontaktował Ignazia z właścicielami piemontskiej firmy Fratelli Pedemonte-Luigi Lavagetto e Co. oraz z rodziną Parodi, producentami konserw z Genui. Produkt tonnary na Favignanie i Formice scedowano na pięć lat, a na całe Egady zaciągnięto bardzo poważną hipotekę.

„Co za idiota – myśli Bonaldo Stringher w swoim biurze w Rzymie, czytając poufne raporty przekazywane mu przez biura regionalne. – To się nie skończy po prostu źle. To się skończy ruiną”, prorokuje, zapalając cygaro.

Rolandi Ricci wchodzi do biura akurat w momencie, gdy Stringher zamyka akta. Siada, nie czekając na zaproszenie.

– Zatem wygrana Banca Commerciale.

Stringher przez chwilę siedzi bez ruchu, po czym wstaje i chowa papiery do szafki.

– Tak, Florio nie zdawał sobie sprawy, że Lavagetto i Parodi podpisali subrogację na korzyść Banca Commerciale, więc gdyby pewnego dnia mieli trudności, scedowaliby swój kredyt na bank, a Florio byłby zmuszony do załatwiania spraw bezpośrednio z Banca Commerciale.

– Który bez mrugnięcia okiem nabyłby Egady, pozostawiając właściciele na pastwę losu – podsumowuje Rolandi Ricci.

Śmiech Stringhera jest pogardliwy.

– Commerciale daje pieniądze Lavagetto i rodzinie Parodi, ci dają je Floriom, a oni użyją tych pieniędzy do spłacenia długów, które są winni Commerciale... Klasyczny wykup wewnętrzny, krótko

mówiąc. Zyskaliśmy jednak dwóch dłużników, którzy są nieskończenie bardziej wiarygodni niż Ignazio Florio. Kiedy myślę o tym, co ten człowiek roztrwonił... Trudno sobie wyobrazić bardziej uderzający przykład głupoty w finansach. Nie odkupił akcji spółki winiarskiej, więc stracił winiarnię. Został *de facto* odsunięty od Navigazione Generale Italiana, nie jest już właścicielem stoczni ani pochylni. Czeka go katastrofa. To tylko kwestia czasu.

\*\*\*

– Niewiarygodne! Tak nas mało!

– Ech, tak, moja droga. Przyjęcie z oszczędnościami, inaczej niż jeszcze kilka lat temu. Pamiętacie, jak na koniec każdego balu wszyscy otrzymywali złote lub srebrne drobiazgi?

– Słyszałam, że musieli zwolnić kilku służących i że Ignazio zrezygnował z angielskiego krawca.

– Ale ona nie rezygnuje z niczego. Widziałyście tę suknię?

– Francuska czy angielska? Zresztą po urodzeniu ostatniej córki Franca zrobiła się przyciężkawa.

– Jasne, ale z tą platyną i diamentami i z takimi perłami na szyi może nosić, co tylko zechce.

Franca ignoruje te złośliwości, które ścigają ją jak rój os. „Niech mówią, co chcą, te pasożyty”, myśli. Już jej nie zależy. W sukni z zielonej koronki i jedwabiu w odcieniu jej oczu przechadza się wśród stołów udekorowanych kompozycjami z białych kwiatów z atlasowymi wstążkami, patrząc, czy wszystko jest w porządku i czy nikt z gości nie został pominięty. Jej tarczą jest uśmiech.

Niewielka orkiestra gra walca, a Vincenzo i Annina tańczą, po raz pierwszy jako mąż i żona. Jest 10 lipca 1909 roku i wydaje się, że do Olivuzzy powróciło trochę szczęścia.

Annina jest piękna w sukni, która podkreśla jej talię, i w welonie podtrzymywanym po bokach głowy przez konwalie. Vincenzo jest również piękny, ale przede wszystkim ma spojrzenie zakochanego mężczyzny; tuli do siebie oblubienicę, wiruje razem z nią, a potem

zatrzymuje się ze śmiechem. Całują się bez skrępowania, jakby byli sami na świecie.

Franca wie, jak rozpoznać prawdziwe szczęście. Choć w jej życiu nie ma już miłości, ona nadal ją wyczuwa i rozpoznaje jej zapach: intensywne, słodkie perfumy, podobne do zapachu konwalii, które zdobią welon Anniny.

Tęskni za szczęściem.

Obserwuje ich taniec i modli się, by ich uczucie nie wygasło tak, jak wygasła miłość jej i Ignazia. Modli się przede wszystkim, by Vincenzo nie sprawił, że Annina będzie cierpiała. Żyje w nim duch Floriów: jest przedsiębiorczy, zdecydowany, dalekowzroczny, a jednak brat zawsze go trzymał pod kloszem i finansował każde jego przedsięwzięcie. Annina ma zaledwie dwadzieścia cztery lata, jest piękna i pewna siebie. Ale ona też żyła w złotej klatce. Czy uda im się wspólnie znaleźć siłę, by stawić czoła burzom, które nieuchronnie nadejdą?

Franca wzdycha i szuka wzrokiem męża. Stoi w kącie, niedaleko foteli, w których siedzą Giovanna i Maruzza. Marszczy czoło.

Jak zwykle Ignazio nie powiedział jej nic o tym, co się dzieje. Wciąż ją prosi, by nie obstawiała zbyt wysoko w bakaracie czy ruletce, by oszczędzała, ograniczała wydatki na stroje, choć wie, że skierowane są na nią oczy świata i że ona nie może zrezygnować z corocznego odnawiania garderoby ani z długich pobytów na Riwierze Francuskiej czy w austriackich Alpach.

Obecnie jednak Franca jest w pełni świadoma poważnego kryzysu wiszącego nad Domem Florio. Jeszcze kilka tygodni wcześniej rozmawiała o tym otwarciu z Giulią Trigoną, przyznając, że owszem, plotki o ich trudnościach są uzasadnione. Jej przyjaciółka objęła ją, zalewając się łzami, ale też wyjawiała, że całe miasto wiedziało o tym już od jakiegoś czasu. Na początku czerwca jej mąż Romualdo został burmistrzem Palermo i słyszała, jak z niepokojem opisywał strajki dokerów, pracowników Navigazione Generale Italiana i fabryki ceramiki, krwawe starcia między robotnikami a karabinierami, obrzucane kamieniami sklepy przy via Maqueda, całkowicie zniszczoną kawiarnię na piazza Regalmici, pobitych przechodniów, barykady przed kościołem Crociferi... Wszystko dlatego, że

mieszkańcy nie chcieli i nie mogli pogodzić się z tym, że umowy na transport morski nie zostaną odnowione, ponieważ zanosilo się na to, że dostanie je Lloyd Italiano Erasma Piaggio, który nie miał żadnego interesu w angażowaniu do swej działalności Palermo i zatrudnianiu palermiańczyków.

Na słowa Giulii nałożyły się gorące doniesienia na łamach „L’Ora”, czytane jej na głos przez Maruzzę, które wzmogły niepokój Franki, zrozpaczonej myślą, że w tak niewielkiej odległości od Olivuzzy czy Villi Igiea wybuchło piekło. Zamieszki były jednym z powodów, dla których ślub Anniny i Vincenza został przesunięty o kilka dni, a przyjęcie przewidziano tylko dla bliskich osób. Bal w wielkim stylu groził zaognieniem nastrojów robotników, nie mówiąc już o tym, że zbyt obciążyłyby ich finanse.

Maria Concetta, siostra Anniny, bierze Francę pod rękę.

– Są naprawdę piękni razem, prawda?

– Tak. Piękni i szczęśliwi. Życzę im, aby tak było przez długi czas.

Przed nimi przechodzi mężczyzna o szpiczastej brodzie i cienkich wąsach. Ma na sobie zakurzone ubranie i z lekkością trzyma na jednym ramieniu statyw, na którym zamontowana jest duża skrzynia, wyglądająca na delikatną i ciężką zarazem. Uśmiecha się do Franki i opuszcza głowę w pozdrowieniu.

Maria Concetta nie może się opanować i rzuca przyjaciółce pytające spojrzenie.

– To signor Raffaello Lucarelli, przyjaciel Vincenza – wyjaśnia z uśmiechem Franca. – Zrobił... jak on to nazwał? Ach tak, „wspaniały film z życia”, czyli filmowe nagranie ze ślubu. Mówi, że chce go pokazać w swoim teatrze.

– Czyli całe Palermo będzie mogło uczestniczyć w ślubie? Ależ to niesamowite!

– Najpierw Palermo, a potem prawdopodobnie całe Włochy. Wiesz, Vincenzo już taki jest. Nie potrafi oprzeć się temu, co nowe, i chce udowodnić światu, że zawsze jest o krok przed innymi. I nie przejmuje się niczyją opinią.

– Jak Ignazio... – komentuje Maria Concetta.

Aluzja jest dyskretna i pozbawiona złośliwości. Franca przytakuje i próbuje ukryć gorycz, którą widać w jej oczach, kiedy pomyśli

o Verze Arrivabene. Kilka dni wcześniej weszła do gabinetu Ignazia, żeby z nim porozmawiać. Nie znalazła go, ale od razu zauważyła jego listy w srebrnym pojemniku na papiery. Jeden z nich leżał wciąż na biurku obok odpowiedzi Ignazia, już zakopertowanej i gotowej do wysłania. Przeczytała go. Były to słowa zakochanej kobiety, pełne zaufania, poczucia wspólnoty, radości. Wszystkiego, co ona i Ignazio stracili.

Poczuła się jak złodziejka: odłożyła wszystko na miejsce i wyszła na palcach z pokoju.

„Czy to możliwe, że Ignazio naprawdę odwzajemnia miłość tej kobiety?”, zastanawiała się, zamykając drzwi.

– Taki jest. Ale potem zawsze do mnie wraca – odpowiada teraz Marii Concetcie, czyniąc wysiłek, by się uśmiechnąć.

Ile razy w ciągu szesnastu lat małżeństwa powtarzała – przed innymi i sobą – to zdanie? „Zawsze musi do ciebie wrócić – tłumaczyła jej Giovanna dawno temu. – Jeśli chcesz go zatrzymać, musi wiedzieć, że zawsze mu wybaczysz. Zamknij oczy i zatkać uszy, a gdy wróci, milcz”. I tak właśnie się zachowała. Cierpiała, czekała i przebaczała w milczeniu. A potem nauczyła się już nie cierpieć, żyć bez czekania na niego, wybaczać bez wysiłku. Zaakceptować jego i siebie.

Teraz jednak nie może się nie zastanawiać, czy z Verą nie jest inaczej. I czy w jej przyszłości nie przyjdzie kolej na samotność. Taką, w której nawet nic bólu łącząca ją z Ignaziem zostaje przerwana. Samotność, w której przetrwa się tylko wtedy, gdy zgodzi się na życie w towarzystwie duchów.

– Co będziesz robić po wyjeździe nowożeńców na miesiąc miodowy? – pyta Maria Concetta. – Maruzza wspomniała, że chciałabyś wyjechać na kilka dni.

Franca przytakuje, po czym szuka w torebce ustnika. Daje znak przyjaciółce, aby wyszła za nią do ogrodu.

– Tak. Ignazio chciałby pojechać na Lazurowe Wybrzeże; potrzebuje spokoju. – Zapala papierosa. – To były straszne dni dla wszystkich i obawiam się, że będzie ich więcej. Jadą też Igiea i Giulia, a także moja teściowa.

Maria Concetta odgarnia włosy z czoła i patrzy przez ramię. Od bufetu, przy którym zgromadzili się goście, dochodzi wybuch śmiechu, a następnie oklaski. Vincenzo musiał powiedzieć coś zabawnego.

– Moja matka się martwi – mówi. – Nie tylko zamieszkami w mieście. Cóż, znasz plotki o sytuacji Domu Florio. Matka chciałaby, żeby Annina nie była w to zamieszana. Żyje w spokojnym otoczeniu, jest dziewczyną bez zmartwień i nie chce, żeby miała kłopoty.

– Nie mogę jej winić – komentuje sucho Franca. – Przecież wystarczy, że jedna osoba rzuci słowo tu, druga tam i trudny moment natychmiast zamienia się w ruinę.

Maria Concetta zastępuje jej drogę, patrzy France w oczy. Przyjaźnią się od lat, potrafią być wobec siebie szczerze.

– Czy chcesz wiedzieć, jak moja siostra skomentowała te plotki? – pyta.

– Powiedz.

– Powiedziała, że jeśli chodzi o nią, bracia Florio równie dobrze mogliby wrócić do życia na *via dei Materassai*, jako biedni *aromatari*, a ona nie przejmowałaby się tym, bo kocha Vincenza i chce z nim być.

Franca czuje ciepło w sercu. Prawie zapomniała, że istnieją tak silne, tak czyste uczucia. I ta myśl znajduje odzwierciedlenie w geście Marii Concetty, która ujmuje jej ręce i mówi drżącym głosem:

– Zaopiekuj się nią, Franca, proszę. Jest tak młoda, tak gotowa rzucić się w wir życia. Nie wie, nie może wiedzieć, jak trudno jest być żoną i matką. Potrzebuje przyjaciółki, która będzie się nią opiekowała i ją chroniła.

Franca obejmuje Marię Concettę, a wzruszenie ściska ją za gardło.

– Będzie dla mnie jak siostra. Obiecuję ci, że się nią zaopiekuję. Ona jest już Florio. A dla Floriów nic nie jest ważniejsze niż rodzina.

\*\*\*

– Don Ignazio, gdzie to postawić?

Ignazio odwraca się, patrzy na tragarzy rozładowujących skrzynie i meble zabrane z siedziby Navigazione Generale Italiana. Teraz budynek przy piazza Marina nie należy do niego. Ignazio nie zobaczy już promenady wzdłuż Cassaro ani szarego bruku na placu czy błyszczących wagonów tramwaju. Ale też może nie będzie już słyszał skrzypienia ani widział pęknięć w boazerii.

Luigi Luzzatti – nowy premier, ale stary lis polityki i finansów – nie potrzebował wiele czasu, aby rozwiązać problem: w czerwcu 1910 roku powierzył zarządzanie zakontraktowanymi usługami spółce, która właśnie powstała w Rzymie – Narodowemu Towarzystwu Usług Morskich. I to ono przejęło większość statków Floria. Przez jakiś czas Ignazio nadal będzie wiceprezesem zarządu NGI, a Vincenzo pojawi się na fatalnym spotkaniu 25 kwietnia 1911 roku w Rzymie, kiedy to siedziba Navigazione zostanie definitywnie przeniesiona do Genui.

Ale fakt jest faktem: Floriowie są już poza Navigazione Generale Italiana.

Razem z Vincenzem Ignazio otworzył firmę zajmującą się prawami morskimi. Niewielki interes, ale dla niego to szansa na pozostanie w tym środowisku, w którym – musi to już otwarcie przyznać – liczy się teraz mało lub wcale. Urządzili sobie biuro przy via Roma. Jasne i nowoczesne, z ładnym widokiem na budynki, które zmiotły część historycznego centrum w zapale odnowy, przebiegającym wciąż przez miasto jak prąd elektryczny.

Ignazio każe tragarzom iść za sobą po schodach i wskazuje dwa duże pokoje.

– Tutaj niskie meble, obrazy i biurko mojego ojca, w drugim pokoju regały na książki i szafa pancerna.

– Jednak je zabrałeś...

Słowa Vincenza sprawiają, że Ignazio się krzywi. Brat stoi obok niego w słomkowym kapeluszu i lnianym garniturze, trącając końcem laski ciężkie mahoniowe biurko, które ustawiają tragarze.

– Nie mogłem go tam zostawić – mruczy Ignazio.

– Nie mam wielkiej miłości do antyków i tradycji rodzinnych, ale dobrze zrobiłeś. – Patrzy na brata z boku. – Nie bądź melancholijny.



Zamiast tego pomyśl, że będziemy mieli mniej kłopotów i mamy szansę się odbudować dzięki porozumieniu w sprawie tonnar.

– Mam nadzieję, że tak.

Vincenzo nie rozumiałby tego, co wie Ignazio. Jego młodszy brat zawsze patrzy w przyszłość, nigdy nie czuł się przywiązany do przeszłości. Być może nie uważa, że pozostawienie biurka ojca i dziadka jakiemuś obcemu człowiekowi byłoby obrazą dla nazwiska Florio. I pewnie trudno mu sobie wyobrazić, jakie są konsekwencje zakończenia ich związku z Navigazione Generale Italiana. Jest tylko kwestią czasu, kiedy Ignazio będzie musiał porzucić odlewnię Oretea, którą jego dziadek Vincenzo zbudował wbrew wszystkim i która wyprodukowała jedne z najpiękniejszych dzieł z żeliwa zdobiących Palermo. I będzie musiał sprzedać pochylnię: część parlamentarzystów z Palermo już działa, by dobić targu z Attiliem Odero, właścicielem stoczni. Podobno umowa przewiduje, że pracownicy zostaną przesunięci na inne stanowiska i że w związku z tym nie będzie zbyt wielu zwolnień, ale nikt w to nie wierzy: Odero ma zupełnie inne interesy, a nowa firma posiada biura w Rzymie, Genui i Trieście. Wszędzie, tylko nie w Palermo. Wszystko trafiło w ręce ludzi z Północy, głównie Liguryjczyków. Tak, Ignazio wie, jak to się skończy, podobnie jak mieszkańcy Palermo, którzy teraz patrzą na niego z pogardą i nie rozstępują się już, by go przepuścić.

Odwraca się w stronę brata. Są sami w pokoju zagraconym pudłami i meblami.

– Ty też uważasz, że winę za to wszystko ponoszę ja – mówi.

– Tak i nie – odpowiada Vincenzo. Bez gniewu, bez oskarżenia. – Miałeś zbyt wiele przeciwko sobie i nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Starąłeś się wszystko podtrzymać, ale nie zawsze postępowałeś tak, jak wymagały okoliczności.

Nie ma odwagi dodać nic więcej. Z drugiej strony jaki sens miałoby teraz obwinianie brata za szalone wydatki, królewskie prezenty, ciągłe wyjazdy, wystawne przyjęcia? Zresztą on też zawsze brał wszystko, czego chciał, od samochodów po kobiety. „Może przy Anninie wszystko się zmieni – mówi sobie. – Nauczę się doceniać proste rzeczy, bez pretensji do wielkości”. Uśmiecha się na

tę myśl, ale potem widzi, że brat stawia na biurku zdjęcie Baby Boya w srebrnej ramce, i serce mu się ściska. „Zawsze uważałem, że jestem odważny, bo nie boję się jeździć samochodem czy pilotować samolot – myśli. – Ale prawdziwą odwagą jest żyć z nieusuwalnym bólem i robić to codziennie, iść mimo wszystko do przodu. Annina i ja pomożemy ci znieść twój ból, bracie. Bo niektóre więzi są silniejsze niż krew. Nigdy sobie tego nie powiemy, bo jesteśmy mężczyznami, a mężczyźni nie mówią sobie takich rzeczy. Ale tak jest”.

Podchodzi do Ignazia i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Zrobimy wszystko, żeby przetrwać – mówi. – I zrobimy to razem.

\*\*\*

Ignazio biegnie korytarzami Kwirynału i prawie nie widzi strażników, którzy próbują go zatrzymać. Urzędnik w liberii daje im znak, żeby nie interweniowali, bo to bardzo delikatna sprawa.

I naprawdę bolesna, ponieważ tragedia spotkała Romualda Trigone, wieloletniego przyjaciela Ignazia, prawie brata. Jego żona Giulia została zaszytowana w hotelu Rebecchino, trzeciorzędny rzymskim pensjonacie, przez palermiańskiego barona Vincenza Paternò del Cugno, porucznika kawalerii.

„Jak to możliwe? – gorączkowo myśli Ignazio, zrozpaczony, zdyszany. – Jak?”. Nie umie znaleźć odpowiedzi.

Ale bardzo dobrze wie, kiedy ta historia się zaczęła.

Niecałe dwa lata wcześniej, w sierpniu 1909 roku, podczas przyjęcia w Villi Igiea. To właśnie tam poznali się Giulia i Vincenzo Paternò. Niezadowolona i zaniedbana żona stała się obiektem uwagi potomka nieszczególnie bogatej szlacheckiej rodziny. Związek jak wiele innych – do ukrycia przed oczami świata, do skonsumowania w tajemnicy. Jednak tu wszystko stało się publiczne: Giulia opuściła dom i sprzedała część swojego majątku, aby utrzymać kochanka. Wszczęto postępowanie o separację prawną.

Podczas skandalu, który dotknął także rodziny Tasca di Cutò i Trigona, Franca próbowała przemówić Giulii do rozsądku, przypominając jej, że skazuje swoje córki, Clementinę i Giovannę, na wstyd i trwałe społeczne piętno. Ale Giulia nie słuchała głosu rozsądku; mówiła, że nawet gdyby opuściła Vincenza, nigdy nie wróciłaby do Romualda. Nazwała go kobieciarzem, rozrzutnikiem i tchórzem, niezdolnym do wzięcia za nic odpowiedzialności.

Ignazio natomiast próbował skonfrontować się z Vincenzem Paternò i dzięki znajomościom wśród krewnych i znajomych w wysokich sferach Palermo znalezienie go nie zajęło dużo czasu. Paternò del Cugno okazał się tyleż charyzmatycznym, co wyniosłym i aroganckim młodzieńcem, który oskarżył nawet Ignazia o plan zdobycia Giulii. Nie ukrywał, że interesuje go majątek kochanki, gdyż miał poważne długi hazardowe. Emocje były silne, padły ostre słowa. O mało nie doszło do wymiany ciosów.

Ignazio dyszy bardziej z bólu, który gniecie mu klatkę piersiową, niż ze zmęczenia. Mówi sobie, że mógł zrobić więcej. Każdy mógł zrobić więcej, a jednak nikt nic nie zrobił.

A teraz Giulia nie żyje.

Zatrzymuje się na drugim piętrze, pyta urzędnika spojrzeniem, a ten wskazuje dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza, ostatnie z mieszkań zarezerwowanych dla dam i kawalerów dworu.

Zbliża się, puka.

Po drugiej stronie szloch.

Wchodzi.

Romualdo siedzi pochylony w fotelu. Przy nim stoi lokaj.

– On mi ją zabił. Nieszczęśnik, przeklęty, zabił mi ją!

Ignazio rzuca kapelusz i płaszcz, klęka u stóp Romualda, obejmuje go, a ten przywiera do niego jak rozbitek do skały. Jest chory, i to nie tylko z powodu tego, co się stało. Od kilku dni gorączkuje i widać, że dopiero co wstał z łóżka.

– Zabiję go, drania! Chociaż stało się to, co się stało, ja... – Wybuch szlochu przerywa potok gniewnych słów. – Giulia... Nigdy nie chciałem, żeby to się tak skończyło. – Ściska klapę marynarki Ignazia. – A on? Czy to prawda, że się zabił?

Ignazio chwyta jego twarz w dłonie, potrząsa nim.

– Strzelił sobie w skroń, ale najwyraźniej jest tylko ranny. Wygląda na to, że umówiła się z nim na spotkanie, by powiedzieć mu, że go opuszcza, a on planował ją zatrzymać. Miał ze sobą sztylet i... – Nie może mówić dalej. On również z wysiłkiem powstrzymuje łzy.

Romualdo jęczy, uderza się w czoło pięściami.

– Nawet zwierząt się tak nie zabija. – Potem nagle się ożywia, chwyta Ignazia za ramiona. – Powinienem był się domyślić! Wiesz, że zaledwie kilka dni temu ten nędznik przyszedł tutaj, do naszego mieszkania, niezwykle wzburzony. Powiedzieli mi, że Giulia próbowała go uspokoić, ale on zaczął krzyczeć: „Ty tchórzliwa szmato, w takim momencie chcesz mnie porzucić? Zabiję cię!”. Powinienem był się domyślić!

– Tak, opowiadano mi. Straszna scena. A teraz uspokój się. – Ignazio podnosi głowę, szukając spojrzeniem lokaja. – Dwa koniaki – rozkazuje.

Bierze kieliszek, każe przyjacielowi wychylić go jednym haustem.

Romualdo to robi i wydaje się, że odzyskuje kontrolę nad sobą, choć jego ręce nadal się trzęsą.

– A ona, widziałeś ją?

– Nie. Przyszedłem tu prosto do ciebie. Franca jest w hotelu, razem z Alessandrem. Wiem tylko, że księżę Belmonte poszedł przekazać tę wiadomość ojcu Giulii, który miał właśnie jechać do Frascati. Stracił już jedną córkę w trzęsieniu ziemi w Mesynie, biedak...

Ale Romualdo go nie słucha.

– Chciała to zrobić po swojemu, a ja nie mogłem tego znieść. Wiesz, przez co przeszedłem, wiesz też, że królowa prosiła, byśmy spróbowali się pogodzić, ale ona nic, nic...

Ignazio ponownie przytakuje. Był przy Romualdzie dwa dni wcześniej, kiedy on i Giulia podpisali prawną separację, i wiedział, jak bardzo przyjaciel cierpiał. Podaje mu więcej koniaku.

– Wiem.

Romualdo zakrywa twarz.

– Zabita jak dziwka – bełkoce. – Jak najgorsza.

Przyjaciel ściska go za ramię.

– Pomyśl o tym: teraz nie będziesz miał się czego wstydzić. Teraz jesteś taką samą ofiarą jak ona, a nawet większą. I będziesz musiał uważać, jak się zachowujesz. Będziesz musiał udać się do króla i królowej i porozmawiać z nimi.

Bezlitosne słowa, Ignazio wie. Tylko on może być tak bezpośredni w stosunku do Romualda.

To konieczne, aby przyjaciel zareagował w odpowiedni sposób. Należy do jednej z najważniejszych rodzin na wyspie, jest czołowym politykiem, był burmistrzem Palermo.

Romualdo patrzy na niego. Jest oszołomiony, ale rozumie sens słów Ignazia.

– Iść do króla i królowej – powtarza mechanicznie. – Muszę też porozmawiać z moimi szwagrami.

Ignazio energicznie przytakuje.

– Oczywiście, oczywiście... Zwłaszcza z Alessandrem, który jest przede wszystkim twoim szwagrem, a dopiero potem przeciwnikiem politycznym, pamiętaj o tym. – Robi pauzę, zmuszając Romualda, by na niego spojrział. – Nie wiemy do końca, jaką mamy sytuację polityczną. Więc posłuchaj mnie: musisz być silny. Nawet jeśli myślisz o tym, jak to się skończyło, nawet jeśli myślisz, że to najgorsza hańba, musisz ją pochować w swojej rodzinnej kaplicy. To ty masz zorganizować pogrzeb. Była matką twoich dzieci i nie możesz o tym zapomnieć.

Romualdo przesuwając ręką po włosach, kiwa głową. Nie, nie zapomina, że Giulia była z domu Trigona. Raczej woli zapomnieć o scenach, które sprawiły, że ich życie bardziej przypominało wojnę niż małżeństwo, bo on też jest odpowiedzialny za tę porażkę. Z żalu wyłaniają się wspomnienia jego ciągłych zdrad, zwłaszcza ostatniej, z aktorką z trupy Eduarda Scarpetty, co Giulia wielokrotnie mu wypominała.

Wie, że Ignazio ma rację: zabójstwo Giulii to cios dla jego społecznej wiarygodności, a tym samym dla jego kariery politycznej. Musi odzyskać godność i pokazać, że w jego rodzinie są jeszcze wartości i on jest po to, by ich bronić.

Romualdo z trudem wstaje. Chwieje się, idzie się ubrać. Co jakiś czas zastyga, patrzy w pustkę, jego ciałem wstrząsa szloch. Bo

można się nawzajem nienawidzić, można się ranić, można się oddalać, ale śmierć jest pieczęcią, pod którą wszystko kamienieje, podczas gdy żywym pozostaje ciężar istnienia. Śmierć jest miłosierna tylko dla tych, którzy odchodzą; dla tych, którzy pozostają, stanowi wyrok bez możliwości odwołania.

Śmierć Giulii przypieczętowała ich więź na zawsze.

Ignazio robi to, co do niego należy. Prosi Tullia Giordane, redaktora naczelnego „L’Ora”, o dwie wzmianki: pierwszą w obronie pamięci Giulii, a drugą wspierającą Romualda. Ona była dobra i łagodna, ale padła ofiarą gorączkowej namiętności. On był uczciwy i szlachetny, ale padł ofiarą tragicznych okoliczności. Jest tylko jeden winowajca: Vincenzo Paternò del Cugno.

Tak będzie. Tak musi być.

\*\*\*

Powrót do Palermo jest dziwny, ponury. Franca nadal organizuje wieczory w Villi Igiea, ale spędza również dużo czasu z matką, osamotnioną po tym, jak kilka miesięcy wcześniej zmarł jej syn Franz, niepełnosprawny i zaledwie trzydziestoletni. Ignazio dzieli czas między Sycylię i Rzym, oficjalnie podróżując tam w interesach, ale tak naprawdę po to, by być blisko Very, która stała się centrum jego myśli. I rzeczywiście, kiedy wraca do domu, jest nieprzyjazny i często w złym humorze, nie tylko dlatego, że wierzyściele nie dają mu spokoju.

Nad wszystkim unosi się melancholia. Śmierć Giulii ukazała obojgu, jak tragiczne skutki może mieć nieszczęśliwe małżeństwo. Na szczęście córki, a także nowożeńcy Vincenzo i Annina sprawiają, że dni stają się lepsze.

W pogodny majowy poranek Franca dołącza do szwagierki i córki w stajniach, obecnie zamienionych na garaż. Annina poczekała, aż Igiea skończy lekcję muzyki, a potem zabrała tam dziewczynkę, by pooglądała samochody. Pokazuje jej, jak działa układ kierowniczy.

– Widzisz? Jest połączony z kołami i powoduje ich skręt. Następnym razem, gdy przyjdą mechanicy, przyjaciele wujka,

poproszę ich, aby pokazali ci wszystko jak należy.

Igiea przytakuje, ale bez większego zainteresowania; czasy, kiedy chciała być „pilotką”, minęły. Teraz woli rysować, oglądać fotografie albo chodzić do kina z matką lub z wujkiem i Anniną. Ale przede wszystkim kocha morze. Na małym stoliku w Olivuzzy stoi zdjęcie przedstawiające ją i matkę przed jedną z tych dużych przenośnych kabin, które służą za przebieralnie: Igiea poważnie wpatruje się w obiektyw. Na fotografii nie ma Giulii – którą wszyscy nazywają Giugiù – ponieważ była jeszcze zbyt mała, by się kąpać. To ujęcie jest bardzo bliskie im obu: przeżywały wtedy chwilę rzadkiego i przez to tym bardziej cennego spokoju.

Annina wyciera ręce. Razem z Francą idą w stronę domu. Igiea wyprzedza kobiety, a tuż za nią drepce jeden z jej ukochanych perskich kotów.

– Wiesz, Vincenzo chciałby pojechać na kilka tygodni do Szwajcarii. Może wyjedziemy w lipcu, bo najpierw musi zająć się resztą kłopotów związanych z wyścigiem samochodowym. – Obie wiedzą, że kłopoty to pieniądze, które trzeba zapłacić organizatorom i przewoźnikom. – Pomysł Vincenza, żeby przenieść trybuny z Buonfornello do Cerdy, był bardzo dobry. Widziałaś, ile osób przyszło? A jaki był widok!

– Tak – potwierdza Franca. – Przyznaję, że po ostatnich dwóch edycjach trochę się martwiłam. Pamiętasz, że dwa lata temu, kiedy zawodników było tak mało, sam Vincenzo zdecydował się na udział w konkursie? No, przynajmniej taką miał wymówkę.

Annina śmieje się, podnosi twarz do słońca. Nie boi się opalenizny.

– Vincenzo jest urodzonym organizatorem i miłośnikiem nowości. Wie, jak zaangażować ludzi i sprawić, by dali z siebie wszystko. – Poważnieje. – I nie zamierzam ani na chwilę spuścić go z oczu. Nie podobało mi się, jak niektóre z obecnych na niego patrzyły.

Franca odwraca spojrzenie. Nigdy nie powie tego, co myśli; obawia się, że szwagier nie tylko odziedziczył zalety mężczyzn z rodziny Florio, ale i przejął złe nawyki brata. Za bardzo kocha Anninę.

– Zawsze bądź ostrożna i zawsze miej oczy szeroko otwarte – mówi tylko.

Usta Anniny wyginają się w uśmiechu.

– Mężczyźni są tacy, jak się ich wyszkoli. A ja go dobrze szkole.

W powietrzu unosi się odurzający zapach róż z ogrodu. Igiea biegnie do niani, która siedzi na ławce. Giugiù stawia pierwsze kroki, a starsza siostra dopinguje ją, klaszcząc w dłonie.

Annina dotyka płatków róży, wdycha jej aromat.

– Co jakiś czas wracam myślami do Giulii Trigony. Biedaczka. Nigdy nie miałam odwagi cię o to zapytać, ale... czy to prawda, że ją widziałaś?

Na samo wspomnienie Francę przechodzi dreszcz.

– Nie. Poszłam najpierw do hotelu, a potem z Ignaziem i Alessandrem na cmentarz w Verano na sekcję zwłok, ale nie chcieli mnie wpuścić.

– A wiesz, co z tym mężczyzną?

Franca wzdycha.

– Od Ignazia nie udało mi się nic wyciągnąć. W gazetach piszą, że jest w więzieniu Regina Coeli i ledwo mówi, bo postrzał zniszczył mu prawą stronę twarzy. Będzie musiał odpowiedzieć przed sądem za morderstwo z premedytacją. Myślę, że Ignazio może zostać wezwany do złożenia zeznań. – Opuszcza głowę, tłumii szloch. – Mam ogromne wyrzuty sumienia, że nie naciskałam na nią mocniej. Powinnam była bardziej się o nią troszczyć. Wiedziałam, że on ciągle prosił ją o pieniądze, że posunął się do grózb. A Giulia chciała go zostawić, bo stał się agresywny. Gdybym była bliżej niej, może...

– Może stałoby się to później, ale i tak by się stało. To ona wyznaczyła mu spotkanie i to był jej największy błąd.

Rozmowa o tak potwornym losie w środku ogrodu pełnego cudownych kwiatów wydaje się France czymś niebywale okrutnym.

– Była mi droga jak siostra, bardziej niż siostra. Nie mogę znieść, że zewsząd otacza mnie śmierć – mówi cicho. – Zbyt wielu bliskich straciłam.

Annina ściska ją za ramię.

– A zatem Vincenzo i ja przywrócimy życie temu domowi. Może wraz z dzieckiem, które będzie się szeroko uśmiechać, tak jak jego



tato! – Śmieje się. – Tak, nowy mały Florio! Właśnie takiej radości potrzebuje ta rodzina.

\*\*\*

Cholera. Starożytna zaraza, którą miasto dobrze zna i którą z bliska widział Vincenzo Florio, dziadek Ignazia.

Jej ofiary są od wieków te same: nędzarze, którzy nie mogą zachowywać nawet podstawowej higieny i żyją w ciasnocie. Najpierw jedna, potem dziesięć, potem dwadzieścia osób. Palermo posyła urzędników od domu do domu, ale wielu ludzi nie otwiera, bo się boi: jeśli znajdą cię chorego, zabierają cię do szpitala i zostawiają, byś umarł samotnie jak pies.

Wszystko dzieje się bardzo, bardzo szybko. Z niższych piętér cholera wznosi się na wyższe, rozprzestrzenia się z historycznego centrum na przedmieścia, dociera do willi, przywiera do ciał mieszkańców. Nikt i nic nie jest w stanie jej zatrzymać.

Rankiem 17 czerwca 1911 roku Annina budzi się z silnymi bólami brzucha. Vincenzo całuje ją, dotyka jej czoła. Jest rozpalone.

– Masz trochę gorączki – mówi zaniepokojony. – Idę wezwać lekarza – szepce i raz jeszcze ją całuje.

Kiedy przybywa lekarz Domu Florio, gorączka jest już wysoka. Annina ciężko oddycha. Lekarz dotyka jej, po czym się cofa.

Cholera.

Jak to możliwe, że dotarła do Olivuzzy? Wszystko tam jest czyste, jest bieżąca woda, są toalety i...

A jednak.

Na tę wiadomość Franca wpada w panikę. Straciła już córkę z powodu choroby zakaźnej i nie chce nawet myśleć, że Igiea i Giugiù mogłyby się zarazić. Nakazuje, by dziewczęta z Maruzzą i guwernantką opuściły Palermo. Lekarz każe odizolować Anninę; Ignazio błaga Vincenza, by był temu posłuszny i trzymał się od niej z daleka, ale on kręci głową.

– To moja żona. Muszę z nią być – odpowiada. – Nie zostawię jej samej. Musi wyzdrowieć.

Bierze ją na ręce i niesie do pokoju na trzecim piętrze Olivuzzy, z dala od wszystkich. Tuli ją do piersi, ale Annina w gorączce z trudem go rozpoznaje. Twarz ma czerwoną, spocone włosy przykleiły jej się do głowy, jest bardzo słaba. On zwilża jej czoło świeżymi ściereczkami. Siada przy łóżku, trzyma jej dłoń, całuje ją, odsyła wystraszone pokojówki i sam zmienia prześcieradła i pościel.

– Nie umieraj – mówi, ściskając ją za rękę. – Nie odchodź – błaga.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się kochany i w pełni przyjęty, doświadczył radości dzielenia tych samych pasji, śmiechu i wzruszenia tymi samymi rzeczami. To wszystko nie może się tak skończyć. Nie może!

– To za wcześnie – mówi ze ściśniętym gardłem. – Nie możesz mnie zostawić. Chcemy mieć dziecko. Pamiętasz, ile o tym rozmawialiśmy? Obiecałaś mi dziecko.

„Obudź się”, błaga ją w myślach, patrząc na jej nieruchomą, woskową twarz. „Obudź się”, mówi i próbuje dać jej coś do picia.

Wieczorem Annina traci przytomność. Na parterze jej siostra Maria Concetta płacze i rozpacza, podobnie jak jej matka, ale lekarz nie pozwala im wejść na górę.

– To już wystarczająco niedobre, że jest tam signor Vincenzo. Miejmy nadzieję, że nie zachoruje – mówi ponuro i patrzy na Ignazia, którego twarz jest ziemista.

Kobiety postanawiają zostać na noc, aby być blisko Anniny.

Następnego ranka w złoconych lustrach salonów Olivuzzy i w szybach okien odbijają się blade i zmęczone twarze. Służba biegnie po mydło i ocet, żeby się zdezynfekować.

Zamknięta w swoim pokoju Giovanna płacze i modli się na kolanach przed krucyfiksem. Przerazona Franca ma nadzieję, że jej dziewczynki się nie zaraziły. Otępiały Ignazio chwyta za telefon, by zadzwonić do Very, powiedzieć jej, co się dzieje, i usłyszeć jej głos. Vincenzo czuje, że jego dusza się rozpada.

Annina leży w przesiąkniętej potem pościeli, już się nie budzi, nie jest w stanie pić ani mówić, jej oddech staje się coraz cięższy, a ciało coraz słabsze.

Po południu 19 czerwca ma atak konwulsji.

Vincenzo krzyczy, woła o pomoc. Gorączka jest zbyt silna. Ze schodów podnoszą się głosy Marii Concetty i jej matki, słysząc krzyki Ignazia i lekarza.

Annina dygocze, walczy, dyszy.

Vincenzo próbuje ją unieruchomić, ale nie może, a ona miota się coraz bardziej.

Potem nieruchomieje, przewraca oczami, prostuje plecy. I wiotczeje w ramionach Vincenza bez tchu, bez pulsu.

Nagle wszystko się kończy.

## Ołów (październik 1912 – wiosna 1935)

*Cu avi dinari vive felici e cu non avi perddi l'amici*  
„Kto ma pieniądze, szczęśliwy wśród braci, a kto ich nie ma, ten  
przyjaciół traci”  
przysłowie sycylijskie

30 czerwca 1912 roku uchwalono nową ordynację wyborczą. Prawo do głosowania rozszerzono na mężczyzn powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, którzy potrafią czytać i pisać. Analfabeci również mogli głosować, ale musieli mieć ukończone trzydzieści lat i odbyć służbę wojskową. W ten sposób liczba wyborców wzrosła z nieco ponad trzech milionów do ponad ośmiu i pół miliona. Socjaliści zaproponowali przyznanie prawa głosu także kobietom, proponując, by pierwszy paragraf ustawy brzmiał: „Wyborcami są wszyscy pełnoletni obywatele włoscy bez różnicy płci”, ale izba deputowanych odrzuciła ich poprawkę 15 maja 1912 roku.

I właśnie socjaliści zaczęli niepokoić Giolittiego w perspektywie wyborów, które miały się odbyć 26 października 1913 roku. Ich kongres w Reggio Emilia (lipiec 1912) skończył się wyrzuceniem przedstawicieli umiarkowanego skrzydła przez maksymalistów, wśród których był przyszły redaktor „Avanti!”, Benito Mussolini. Giolitti przystąpił wówczas do negocjacji z katolikami, które zaowocowały Paktem Gentiloniego (od nazwiska Vincenza Ottorina Gentiloniego, przewodniczącego Włoskiej Katolickiej Unii Wyborczej). Podpisując siedmiopunktowy dokument, liberalni kandydaci zobowiązali się do sprzeciwu wobec każdej „antykatolickiej” ustawy, która trafi do parlamentu. Manewr pozornie zakończył się sukcesem, ale powstała w ten sposób większość parlamentarna była rozdarta przez spreczne siły (byli tam i sygnatariusze paktu Gentiloniego, i antyklerykalni liberałowie) i przynajmniej częściowo nowa w polityce (nacjoniści i rewolucyjni socjaliści po raz pierwszy dostali się do legislatury). „Niech

pan już odejdzie, onorevole Giolitti”, tak powiedział 9 grudnia 1913 roku w parlamencie Arturo Labriola. „Kraj wymknął się panu z rąk, uciekł spod pańskiej kurateli, mówi nowym językiem [...]. Nowa sytuacja, nowa polityka, nowi ludzie. Niech umarli grzebią swoich umarłych”.

Giolitti zrezygnował 4 marca 1914 roku, po tym jak radykałowie wycofali się z rządu, stawiając go w mniejszości. Jako swojego następcę wskazał królowi Antonia Salandrę, którego gabinet objął rządy 21 marca 1914 roku.

W tym samym roku, 28 lipca, Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Królestwu Serbii po zamachu, w którym miesiąc wcześniej z rąk zaledwie dwudziestoletniego serbskiego nacjonalisty Gavrilo Principa zginęli arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona Zofia. 1 sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, a dwa dni później Francji. 4 sierpnia Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom. Włochy potrzebowały prawie roku, aby podjąć decyzję o przystąpieniu do konfliktu zbrojnego. Był to rok gwałtownych starć między frontem neutralnych – socjalistów, stronników Giolittiego, oraz przede wszystkim katolików, gdyż nowy papież, Benedykt XV (wybrany 5 września 1914 roku), natychmiast opowiedział się przeciwko wojnie – a grupą „interwencjonistów”, którzy, choć mniej liczebni w parlamencie, potrafili jednak pociągnąć za sobą lud płomiennymi przemówieniami. Do historii przeszła mowa, którą Gabriele d’Annunzio wygłosił w Quarto dei Mille pod Genuą w pięćdziesiątą piątą rocznicę Wyprawy Tysiąca w obecności co najmniej pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Związany paktem londyńskim, tajnym porozumieniem między rządem włoskim a tak zwanym Trójporozumieniem (Wielka Brytania, Francja i Rosja), utrzymywanym w tajemnicy przed parlamentem, premier Salandra uzyskał od króla pełnię władzy i 23 maja 1915 roku Włochy wypowiedziały wojnę Austrii, depreczując tym samym ostatnie ślady Trójprzymierza. Gotowały się do walki w Tyrolu Południowym i wzdłuż rzeki Isonzo, czyli na terenach, które zamierzały odebrać Austro-Węgrom, uważając je za swoje.

Konflikt szybko przerodził się w wyczerpującą wojnę okopową. Po klęsce pod Caporetto (24 października – 19 listopada 1917), w której wojska włoskie zostały zdziesiątkowane przez artylerię austriacko-

niemiecką (co najmniej dziesięć tysięcy zabitych i dwieście sześćdziesiąt pięć tysięcy jeńców), Włochy zdymisjonowały generała Luigiego Cadornę i powierzyły generałowi Armando Diazowi zadanie reorganizacji armii. Decydująca była bitwa pod Vittorio Veneto, stoczona między 24 października a 3 listopada 1918 roku: Włosi pokonali w niej Austriaków i 3 listopada wkroczyli do Trydentu i Triestu. Tego samego dnia podpisano zawieszenie broni w Villa Giusti w Padwie. Niemcy poddały się 11 listopada.

Kosztom milionów zabitych (dane wahają się między piętnastoma a siedemnastoma milionami; ponad milion wśród samych Włochów) mapa polityczna Europy zmieniła się nieodwracalnie. Do tych liczb należy dodać zgony z powodu wyniszczającej epidemii hiszpanki (1918–1920), które według najnowszych szacunków wyniosły około pięćdziesięciu milionów na całym świecie (we Włoszech sześćset tysięcy).

Trudną powojenną sytuację społeczno-gospodarczą wykorzystał Benito Mussolini, wyrzucony wcześniej (29 listopada 1914) z Włoskiej Partii Socjalistycznej z powodu podżegania do wojny. Bazując na powszechnym niezadowoleniu weteranów, założył Fasci di Combattimento, Związki Bojowe, organizację charakteryzującą się wyraźną niechęcią do socjalistów: postawa ta szybko przyjęła się także wśród burżuazji, przestraszonej strajkami i okupacją fabryk, które w tak zwanym czerwonym dwuleciu (1919–1920) miały miejsce w całym Włoszech. Nawet Giolitti, powracający po raz piąty jako szef rządu (9 czerwca 1920 – 7 kwietnia 1921), nie zdołał rozwiązać sytuacji. Fasci stawały się coraz bardziej gwałtowne i organizowały działania bojówkarskie przeciwko robotnikom i ich organizacjom. 22 października 1922 roku zebrało się w Neapolu ponad czterdzieści tysięcy faszystów zdecydowanych iść na Rzym. Premier Luigi Facta poprosił króla o ogłoszenie stanu wyjątkowego, ale Wiktor Emanuel III odmówił. Facta podał się do dymisji, a 29 października król powierzył stanowisko szefa rządu Mussoliniemu. 16 listopada, przedstawiając parlamentowi swój gabinet, Mussolini zażądał pełnych uprawnień „do reorganizacji systemu podatkowego i administracji publicznej”. Przyznano mu je na rok, dwustu siedemdziesięcioma pięcioma głosami przeciwko dziewięćdziesięciu. Partia Faszystowska (w ramach tak zwanej Listy Narodowej) uzyskała w wyborach z 6 kwietnia 1924 roku sześćdziesiąt

pięć procent głosów, ale socjalistyczny deputowany Giacomo Matteotti w gwałtownym wystąpieniu w Izbie wezwał do ich unieważnienia, ponieważ odbyły się w atmosferze przemocy i nadużyć. 10 czerwca Matteotti został porwany. Szok był tak wielki, że 26 czerwca stu dwudziestu trzech opozycyjnych deputowanych postanowiło opuścić obrady do czasu wyjaśnienia tego, co się stało. Ciało Matteottiego odnaleziono 16 sierpnia w lesie w Riano koło Rzymu; 3 stycznia 1925 roku Mussolini wziął na siebie odpowiedzialność „polityczną, moralną, historyczną” za mord, w istocie wyznaczając tym początek dyktatury faszystowskiej. Jej wyrazem były „ustawy faszystowskie”, ogłoszone w latach 1925–1926, na mocy których rozwiązane zostały „wszystkie partie, stowarzyszenia i organizacje podejmujące działania przeciwne władzy”, szefa rządu uznano za jedyne deponariusza władzy wykonawczej, przewidziano zwalnianie urzędników państwowych „niekompatybilnych” z dyrektywami partyjnymi, zakazano strajków i zdławiono wolność prasy. W wyborach 14 marca 1929 roku, które odbyły się w formie plebiscytu (wyborca otrzymywał listę nazwisk, które mógł zatwierdzić lub odrzucić), na „tak” zagłosowało 8,5 miliona osób, co stanowiło ponad dziewięćdziesiąt osiem procent głosujących; na wynik ten wpłynęło również podpisanie traktatów laterańskich (11 lutego 1929) – porozumienia między państwem a Kościołem, które ostatecznie położyło kres zerwaniu z 1871 roku.

„Sędziami naszych interesów i gwarantami naszej przyszłości jesteście my, my sami i nikt inny”, powiedział Mussolini w Cagliari 8 czerwca 1935 roku. Historia udowodni, że się mylił: w 1940 roku Włochy przystąpiły do drugiej wojny światowej, która przeobraziła równowagę polityczną, społeczną i gospodarczą całego świata. A to był dopiero początek. Jak pisał Winston Churchill w 1948 roku: „Scena ruiny materialnej i wstrząsów moralnych, z której wyszliśmy, jest tak ponura, że nigdy w minionych wiekach nie można było sobie tego wyobrazić. Po tym wszystkim, co wycierpieliśmy i osiągnęliśmy, znajdujemy się w obliczu problemów nie mniejszych, ale znacznie większych niż te, które pracowicie rozwiązywaliśmy”.

„Ołów jest ciałem metalicznym, ziemistym, ciężkim, bezdźwięcznym, o małej białości i dużej żywości”, pisze Ferrante Imperato w swojej *Dell'Historia Naturale* (1599). Obficie występujący w przyrodzie, łatwy do przetopienia i obróbki, był używany już przez Egipcjan. Fenicjanie, Grecy i Rzymianie używali go do wyrobu broni, wykuwali z niego groty strzał i dwustożkowe pociski do proc zwane *glandes plumbeae* (kule ołowiane pojawiły się dopiero w średniowieczu). Robili też z niego narzędzia rybackie (ciężarki, sondy, kotwice), różnego rodzaju spoiny, rury (odporne na utlenianie) oraz garnki, w których gotowano i zagęszczano moszcz, aby uzyskać „cukier Saturna” (octan ołowiu), służący do nadawania słodkości winu, a nazywany tak dlatego, że boga Saturna łączono właśnie z ołowiem.

Dzięki Teofrastowi z Erezu (III wiek przed naszą erą) znamy pochodzenie innego podstawowego zastosowania ołowiu: bieli ołowiowej, czyli rodzaju „pleśni”, która powstaje na powierzchni ołowiu w wyniku działania oparów octu. Do XIX wieku biel ołowiowa rozświetlała historię sztuki. Używali jej wszyscy: Leonardo, Tycjan, Van Dyck, Velázquez, ponieważ jedyny inny biały pigment – biel wapienna – nie nadaje się do malarstwa olejnego. Rozświetlała także kobiece twarze. Już w XI wieku Trotula de Ruggiero ze szkoły medycznej w Salerno wyjaśniała w *De Ornatu Mulierum*, jak zrobić maść, którą „można codziennie nacierać twarz, aby ją rozjaśnić”: kurzy tłuszcz, olejek z fiołków lub róż, воск, białko jajka i sproszkowana biel ołowiowa. Widoczna na portretach charakterystyczna bladość twarzy Elżbiety I wynika z tego, że aby zakryć blizny po ospie, królowa nakładała na twarz gęstą mieszankę bieli ołowianej i octu.

Wiele czasu minie, nim ludzie uświadomią sobie, jak niebezpieczna jest ta biel. W połowie XVII wieku niemiecki lekarz Samuel Stockhausen odkrył, że tlenek ołowiu jest przyczyną astmy dręczącej górników w mieście Goslar w Dolnej Saksonii. A kilka lat później Bernardino Ramazzini w *De Morbis Artificum Diatriba*, rozwodząc się nad działalnością garncarzy, tak pisał: „[...] wszystko, co jest trujące w ołowiu, gdy zostanie rozpuszczone w wodzie, dostaje się im do ust, nosa i do całego ciała, wskutek



czego doznają bardzo poważnej szkody [...] najpierw cierpią na drżenie rąk, potem dotyka ich paraliż, niedomagania śledziony, głupota, wyniszczenie, brak zębów, tak że rzadko się widzi garncarza, który by nie miał twarzy tępej i ołowianego koloru”. Ten stan nazwany zostanie „saturnizmem” i powstaną liczne hipotezy o jego znamienitych ofiarach: cesarze rzymscy (Kaligula, Neron, Domicjan, Trajan) obficie używający wina, a więc „cukru Saturna”, malarze (Piero della Francesca, Caravaggio, Rembrandt i Goya), obficie używający bieli ołowianej. Zdaje się też, że Beethoven zapłacił głuchotą za swoje zamiłowanie do win reńskich pitych w kryształowych pucharach i słodzonych octanem ołowiu. Są też tacy, którzy twierdzą, że Lenin zmarł w wyniku zatrucia ołowiem z dwóch kul, które dosięgły go w zamachu w 1918 roku i zostały wydobyte dopiero cztery lata później. Anonimowe są i pozostaną miliony prostych kobiet i mężczyzn, którzy pracowali z ołowiem i przez niego umierali: robotnicy, górnicy, linotypiści, kapelusznicy... Można się zgodzić z Primo Levim, gdy w *Układzie okresowym* określa ołów jako „mętny, trujący i ciężki”, ale to właśnie dzięki temu metalowi mamy *Zwiastowanie* Antonella da Messiny, *Ostatnią Wieczerzę* Leonarda i *Meduzę* Caravaggia.

Sztuka i zniszczenie, piękno i śmierć zamknięte w jednej duszy.

\*\*\*

Przed wejściem do hotelu z piskiem opon zatrzymuje się fiat. Z samochodu wysiada Franca. Ma na sobie beżowy płaszcz obszyty futrem i kapelusz z szeroką woalką zakrywającą twarz, a na czole zmarszczkę niepokoju. Zaciska palce na uchwycie torebki, sprężystym krokiem wbiegając po schodach prowadzących do holu. W ślad za nią biegnie Maruzza i dołącza do Franki, gdy ta pyta o numer pokoju Ignazia Florio.

– Signor Florio jest niedysponowany. Nie przyjmuje gości. – Portier jest uprzejmy, ale stanowczy.

Franca szeroko otwiera oczy z oburzenia. Podnosi woalkę i nieco się pochyla.

– Może być niedysponowany dla wszystkich kobiet, ale nie dla mnie. Jestem jego żoną, jestem donna Franca Florio – mówi z wściekłością. – Albo mi powiecie, jaki jest numer pokoju mojego męża, natychmiast, albo każę was zwolnić.

Mężczyzna mruczy zakłopotany:

– Przepraszam, nie poznałem...

To jeszcze bardziej denerwuje Francę. Kobieta wzdycha z irytacją, a potem zwraca się do Maruzzy.

– Weźcie auto i załatwcie nasze sprawy w hotelu. Potem odeślijcie je do mnie.

– Na pewno nie chcecie, żebym tu na was poczekała?

– Nie, dziękuję. Jedźcie.

Maruzza ściska ją za ramię.

– Bądźcie silna – szepce jej do ucha.

Franca znów wzdycha.

Całe życie stara się być silna. Całe życie ją *zmusza*, by była silna, poprawia się w myślach, gdy wchodzi po schodach, opierając dłoń na obciążonej aksamitem poręczy. Całe życie, kiedy znosiła, akceptowała, zamykała oczy. Bo tak miała się zachowywać. Bo taka była jedyna rola zarezerwowana dla donny Franki Florio na scenie tego plotkarskiego i niedyskretnego miasta zwanego Palermo. A wszystko z miłości. Nawet wtedy, gdy miłość przestała być miłością, gdy się skończyła, a ona została bez celu. Bez mężczyzny, który na dobre i na złe wypełniał jej życie.

Dopóki nie pojawiła się Vera.

Franca podchodzi do pokoju na trzecim piętrze. Z pomieszczenia dobiega stłumiony dźwięk kroków, po czym drzwi otwiera mężczyzna z gęstym siwym wąsem. Za nim na łóżku siedzi Ignazio; ma na sobie ciemnoczerwony aksamitny tużurek, część twarzy zasłania mu bandaż. Jego żona patrzy na niego spojrzeniem, w którym niepokój i gniew mieszają się w równych proporcjach.

– Signora... nie spodziewaliśmy się was tak szybko. – Mężczyzna, który otworzył drzwi, zaprasza ją gestem do środka.

Franca zna profesora Bastianellego – ten lekarz opiekuje się jej rodziną w Rzymie. Starając się zignorować atmosferę pełną

zakłopotania, mężczyzna zabiera kapelusz i torbę lekarską i dyskretnie wychodzi. Floriowie zostają sami.

Franca zdejmuje kapelusz i palto, ściąga rękawiczki. Ma na sobie piękną brązową suknię, a na szyi stonowany sznur pereł. Przysuwa krzesło bliżej łóżka, opiera dłonie na udach i patrzy na męża przez dłuższą chwilę.

Ignazio nie uchyla się od tego spojrzenia.

– Wybacz mi. Jeszcze i tę przykrość ci wyrządziłem – mówi w końcu i spuszcza głowę.

– Nie jest bardziej gorzka od innych. Wręcz przeciwnie. Więcej przeżyłam lęku o ciebie niż czegokolwiek innego – komentuje Franca z wymuszonym uśmiechem.

W reakcji na te słowa i spojrzenie pełne zrezygnowanego smutku Ignazio doznaje czegoś, z czym w ostatnich czasach coraz częściej musi się mierzyć – poczucia winy. Przez całe życie starał się odrzucać ten nieprzyjemny stan. Udawało mu się to i nadal udaje, gdy musi radzić sobie z coraz bardziej niepewną sytuacją swoich przedsiębiorstw. Ale z Francą to inna historia. Teraz wyrzuty sumienia ściskają mu gardło, gniotą klatkę piersiową, odbierają powietrze.

– Przepraszam – mruczy. Pociera dłońmi o skraj prześcieradła, wiedzie palcem po jakimś wyimaginowanym wzorze. – Kiedy Giberto, mąż Very, usłyszał o mnie i swojej żonie... Tak, wiem, że przykro ci słyszeć pewne rzeczy wprost ode mnie...

Franca pozostaje niewzruszona, więc Ignazio kontynuuje:

– Zaatakował mnie tutaj, w hotelowym lobby, kilka dni temu i zażądał satysfakcji. Pojedynek był nieunikniony. – Ignazio wstaje powoli. Rana na jego skroni nie jest poważna, ale dokuczliwa i powoduje zawroty głowy. – Spotkaliśmy się w Villi Anziani, przedwczoraj, jak mówiłem ci przez telefon. Pojedynekowaliśmy się na szable. Był wściekły, zaatakował mnie z gwałtownością demona. Chciał mnie zabić lub przynajmniej oszpecić.

I właśnie wtedy Franca wybucha śmiechem. Śmieje się serdecznie, przez dłuższą chwilę zakrywając usta rękami.

– O Boże, jacy wy, mężczyźni, jesteście śmieszni! – woła wreszcie. Ignazio patrzy na nią, oniemiały. Czy jego żona oszalała?

Franca potrząsa głową. Na twarzy ma ten rodzaj uśmiechu, w którym smutek i niedowierzanie pozostają w idealnej równowadze.

– Pojedynek na szable, jak w powieści dla pokojówek. I Giberto, który twierdzi, że broni swojego honoru po... Jak długo się z nią spotykasz? Po czterech latach? – Patrzy na swoje dłonie, palce zatrzymują się na ślubnej obrączce. – Gdybym miała wyzywać na pojedynek kobiety, z którymi sypiałeś, połowa naszych znajomych byłaby martwa lub oszpecona... albo ja. Tylko mężczyzna może zachować się tak głupio.

Ignazio nadal wpatruje się w nią zdumiony.

– Ale... co ty mówisz?

– Mówię, że może ty nie pamiętasz, ile miałeś kobiet, ale ja pamiętam. Przynajmniej te, o których słyszałam. Musiałam nauczyć się uśmiechać, wzruszać ramionami, jakby to było normalne, że mój mąż ma jeden romans za drugim. Były ich dziesiątki. I wiesz co? – Patrzy na niego, a jej zielone oczy są teraz czyste, niemal pogodne. – Tak długo mówiłam sobie, że mnie to nie obchodzi, że w końcu naprawdę przestało mnie obchodzić.

Ignazio podchodzi do stolika, bierze butelkę koniaku, nalewa sobie kieliszek.

– Zawsze jednak wracałem do ciebie.

– Bo nie miałbyś pojęcia, dokąd pójść.

– Nie gadaj głupstw. Zawsze byłeś moim punktem odniesienia.

Franca wstaje, zbliża się do niego.

– Nadal wmawiasz sobie to kłamstwo, Ignazio? Proszę bardzo, ale mnie już go nie opowiadaj. Jestem zbyt zmęczona. Kiedy wyszłam za ciebie, byłam naiwną dziewczyną i może ty też byłeś pełen nadziei. Wiesz, czasem czuję nostalgię za tą młodą kobietą, która była przekonana, że jej jedynym zadaniem jest trwać przy mężu i kochać go mimo wszystko. Jak ja walczyłam i jak cierpiałam, by poczuć się godną ciebie, twojego nazwiska... by być Florio. – Jej głos jest pełen surowości, której Ignazio nigdy nie słyszał.

– Franca...

– Nigdy nie wtajemniczałeś mnie w interesy, nie mówiłeś, o czym rozmawiasz ze swoimi politycznymi przyjaciółmi w Rzymie czy

w Palermo. Przez długie lata wydawało mi się to słuszne, a poza tym nie znałam innych kobiet angażowanych przez mężów w te sprawy. Byłam twoją żoną i miałam inne obowiązki; ktoś taki jak ja nie powinien się tym interesować. Ale teraz... – Waha się. Te słowa ją bolą, to oczywiste. – Teraz wiem, że Verę w te rzeczy wtajemniczasz. Nie, nie zaprzeczaj. Wiem, że niejednokrotnie ci doradzała. Nawet Vincenzo mi to potwierdził.

Ignazio przełyka ślinę i nie znajduje odpowiedzi. Jak może jej wyjaśnić, co czuje, skoro sam nie potrafi tego zrozumieć? Jak ma jej powiedzieć, że owszem, kocha ją, bo ona stanowi najpiękniejszą i najważniejszą część jego życia, bo razem byli panami świata, ale że na koniec to życie poskręcało się jak płonący papier i obróciło w popiół? Jak może jej wyznać, że kiedy patrzy wstecz, widzi tylko szalone przyjęcia, wycieczki, które tak naprawdę były ucieczkami, kobiece ciała bez tożsamości, pieniądze wyrzucone w poszukiwaniu przyjemności równie intensywnej, co szybko znikającej? I jak jej wyjawic, że gdy patrzy w przyszłość, widzi tylko nieuchronne postępowanie starości, której towarzyszy finansowa ruina?

Nie może. Ponieważ opowiedzenie jej tego wszystkiego oznaczałoby nadanie ciała i przyznanie głosu najboleśniejszej dla nich obojga rzeczywistości – braku dziedzica Domu Florio. Jego nazwisko, nazwisko jego stryja, człowieka „uczciwego i odważnego”, jak mówił mu ojciec, skończy się wraz z Ignaziem. Nie będzie komu przekazać obrączki, którą nosi na palcu. Miał wprawdzie nadzieję na bratanka, ale po śmierci Anniny Vincenzo stał się jeszcze bardziej niespokojny i zbuntowany. Nie, nie ma i nie będzie dziedzica.

Franca zauważa, że Ignazio pociera rodzinny pierścień. Zna ten gest. Oznacza zakłopotanie, cierpienie, niepokój.

– Wiem, że mnie obwiniasz – mówi.

– Za co? – Ignazio nie patrzy na nią. Nie spuszcza wzroku ze ściany za uchylonym oknem.

– Że dałam ci tylko jednego chłopca. Tylko jednego.

Westchnienie, bardziej z irytacji niż przygnębienia.

– Nie winię cię za nic. Mieliśmy jednego syna i Pan go zabrał. Pewnie chciał nas za coś ukarać.

– Nawet twoja matka nie powiedziałaaby czegoś takiego.

Poczucie winy znów napełnia pierś Ignazia. Bo on naprawdę tak myślał, w najczarniejszych chwilach, że Bóg chce go ukarać. Za ciąg głupstw i zrad, które składały się na jego życie. A zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Nawet gdyby miał dziedzica, to co by mu zostawił? Same długi.

– Nigdy się nie wycofałam, wiesz o tym. Zawsze byłam wierną żoną.

Ignazio już nie może tego znieść. Musi znaleźć sposób, by pozbyć się tego ciężaru.

– Przestań choć raz! – wybucha. – Dlaczego nie mówisz o mężczyznach jeżdżących za tobą po całych Włoszech i szalejących na twoim punkcie, począwszy od d’Annunzia i tego markiza, co cię obsypuje kwiatami, a skończywszy na Enricu Caruso, któremu, ależ ze mnie głupiec, dałem stanowisko w Teatro Massimo, kiedy nikt go jeszcze nie znał! Wiem, że nadal do ciebie pisze. Ile to już lat? Dziesięć? Piętnaście?

Franca macha ręką w irytacji.

– Nie ma sensu mnie oskarżać i dobrze o tym wiesz. Wszyscy za mną szaleją, ale nikt nigdy nie odważył się pójść dalej niż słowa. Bo nigdy nie dałam nikomu powodu ani okazji. Zawsze stawałam na wysokości twoich oczekiwań. I to wszystko po co? Zawsze była jakaś kobieta lepsza ode mnie, bardziej pożądana, bardziej fascynująca. Zaprzeczysz?

Ignazio wpatruje się w nią w milczeniu. W jego spojrzeniu jest złość i wstyd.

„Zawsze stawałam na wysokości twoich oczekiwań”.

Idealna żona. Piękna. Odpowiednia w każdej sytuacji. Swobodna, ale w sposób kontrolowany. Elegancka jak żadna inna. Błyskotliwa, dowcipna, inteligentna rozmówczyni. Miłośniczka muzyki i sztuki. Idealna pani domu. Czy to nie on zainspirował tamtą nieśmiałą dziewiętnastolatkę, by stała się wyrafinowaną i wymagającą kobietą, którą teraz widzi przed sobą? Chciał mieć żonę, którą mógłby się pochwalić, trofeum, którego zazdrościliby mu inni mężczyźni. Nigdy tak naprawdę nie szukał w niej partnerki. Był taki ślepy. Taki niedojrzały.

Uświadamia to sobie dopiero teraz, kiedy znalazł w kimś innym to, czego naprawdę potrzebował.

– Ja...

Franca wpatruje się w swoje dłonie, płacze bezgłośnie. Staje tuż przed nim.

– Co ma Vera, czego ja nie mam? – pyta w końcu cichym głosem.

– Franco... – Ignazio ociera jej łzy grzbietem dłoni. – Jesteście inne. Ona jest...

– Co może dać ci ponad to, co dałam ci ja przez te wszystkie lata?

W tym momencie Franca jest sędzią i ławą przysięgłych w jednym, a on nie może tego znieść. Odwraca się do niej plecami.

– Ona jest wszystkim, czym ty już nie możesz być – odpowiada. „Jest pełna entuzjazmu, pasji, witalności”, dodaje w myślach. – Przyjęła mnie do swojego życia. Ty natomiast odcięłaś mnie od wszystkiego. I każdy pretekst jest dobry, żeby się ode mnie oddalić: wieczory przy stole hazardowym, wypadki z przyjaciółkami...

Franca blednie, rozszerza oczy.

– Ty obwiniasz *mnie*, że nie byłam przy tobie?

– Odkąd zaczęły się kłopoty, tak. Nie było cię. A Vera była. I na tym polega różnica.

– Ale nigdy mnie o to nie prosiłeś.

– Jesteś moją żoną. Nie powinienem był cię prosić.

Franca czuje zawrót głowy.

Oddała mu całe swoje życie, ale jemu to nie wystarczyło. A teraz się okazuje, że on obwinia ją za to, że nie dała mu więcej. Ale co miała dać? Jak? Nie wystarczyło ignorowanie ciągłych zdrad? Znoszenie spojrzeń całego świata po śmierci dzieci? Trwanie u jego boku, zawsze i bez względu na wszystko? Nie, nie wystarczyło. Franca zdaje sobie teraz sprawę z tego, że Ignazio chciał, by całkowicie znikła, pozostała niewidzialna, dopóki on jej nie wezwie, wtedy gdy on będzie chciał bądź potrzebował jej obecności. Ale potem, kiedy poznał Verę, zrozumiał, że miłość nie polega na uległości, tylko na równości, na kroczeniu obok siebie. Ignazio wreszcie dorósł. Jednak żeby to się mogło stać, odsunął na bok ją i wszystko, co istniało między nimi.

„A więc i on może naprawdę kochać – myśli Franca, bardziej zdziwiona niż rozgoryczona. – I kocha kobietę, która nie jest mną”.

– Rozumiem. Nie ma tu nic więcej do dodania. – Prostuje ramiona, podnosi głowę. Godność i duma to jedyne rzeczy, których nikt nie może jej odebrać. – Jadę do Grand Hotelu. Możesz mnie tam znaleźć – mówi i bierze swój płaszcz.

On jej nie zatrzymuje. Pozwala ramionom opaść wzdłuż ciała, patrzy, obserwuje tę twarz wprawioną w ukrywanie bólu. Bólu odkładanego, zaprzeczanego, ignorowanego zbyt długo. Który teraz pali także jego, żre niczym kwas.

W oczach świata będą razem, ale będą żyć osobno. Będą dzielić stół, ale nie łóżko. I nigdy tego nie zmienią.

– Dam ci znać – mówi Ignazio, ale Franca jest już za drzwiami.

Schodzi, trzymając się poręczy drżącymi palcami. Lód, który tkwi w niej od lat – od śmierci dzieci, ale może nawet dłużej – nagle zamienia się w strumień lawy. Nieznośny żar bulgoce, wzbiera. Dusi ją. Franca zgina się w pół, opiera czoło na ramieniu i ciężko oddycha, próbując przeczekać zawrót głowy.

„Co mi pozostało? Igiea i Giulia, one na pewno, ale co jeszcze?”. Myśl pozostaje bez odpowiedzi. Łzy, które przed chwilą cisnęły się pod powieki, wyschły. Nie ma nic więcej do dodania. Franca prostuje się, idzie do wyjścia. Porusza się powoli, choć zawsze miała swobodny i pełen wdzięku krok. Przed hotelem znajduje samochód, który odesłała Maruzza. Gdy szofer otwiera jej drzwi, na podjeździe zatrzymuje się inne auto.

Wysiada z niego kobieta.

Na twarzy o delikatnych rysach widać napięcie, jasne loki wyłaniają się spod kremowego kapelusika. Spod wełnianej peleryny tego samego koloru wystaje mała walizka. Kobieta płaci kierowcy, po czym się odwraca.

W tym momencie ich spojrzenia się spotykają.

Vera Arrivabene otwiera szeroko oczy. Potem podnosi rękę, jakby na powitanie Franki. Przecież znają się od lat, były dobrymi przyjaciółkami. To byłby naturalny gest. Jednak to tylko chwila. Vera zamyka palce w pięść, opuszcza rękę. Pozwala na siebie



patrzeć, bez wstydu, bez wyrzutów sumienia. Jej twarz jest biała i delikatna, przypomina Madonnę, ledwie muśnięta różem.

Franca pozostaje bez ruchu. Patrzy na nią i jednocześnie ją ignoruje.

Vera odwraca się, niemal biegnie po schodach i znika w holu.

Dopiero wtedy Franca wsiada do samochodu i mówi:

– Do Grand Hotelu.

\*\*\*

Vincenzo Florio siedzi na krześle i patrzy przez okno, opierając brodę na zaciśniętej pięści. Za sobą słyszy ruch. Lekko się odwraca. Budzi się jedna z dwóch kobiet, z którymi spędził noc. Patrzy na niego spod ciężkich powiek, odgarnia z twarzy rudawe włosy i zaprasza go do siebie, klepiąc otwartą dłońią w materac. Druga, brunetka z obfitym biustem, chrapie cicho, ma półotwarte usta i potargane włosy rozsypane na gołych plecach. W pokoju unosi się zapach seksu, potu i szampana, połączony z silnymi kwiatowymi perfumami.

Vincenzo odmownie kręci głową, po czym znów odwraca się do okna.

Deszcz pada na Paryż, na platan, bulwary, na łupkowe dachy. Pada od trzech dni. Ten zimny, nieprzyjazny czerwiec zmęczył Vincenza. Trzeba było pojechać na Lazurowe Wybrzeże. Albo dołączyć do Franki, która jest z dziećmi w Szwajcarii. Ignazio pewnie jest w Wenecji lub Rzymie z Verą.

Jego oddech zaparował szybę. Vincenzo wyciąga palec, rysuje literę A. Potem gniewnym ruchem ją wymazuje.

Annina.

Od śmierci żony minęły trzy lata. Trzy lata, w czasie których nie robił nic poza podróżami i przenoszeniem się z jednego łóżka do drugiego, próbując otrząsnąć się z cierpienia, które go gnębi i ścisza za gardło.

Jest w związku z kobietą, z pochodzenia Rosjanką. Czasem wydaje mu się, że już ją nawet polubił, ale takie noce jak ta, którą

właśnie przeżył, pokazują mu, że jest inaczej. W rzeczywistości nie obchodzi go już nic ani nikt. Aby nie myśleć, próbował nawet nieco bardziej zaangażować się w rodzinny interes, choć Ignazio nigdy nie traktował go zbyt poważnie.

„Annina zawsze będzie częścią ciebie i twojego życia”, powiedziała mu Franca kilka dni po pogrzebie. Vincenzo siedział wtedy na ławce w parku, bez ruchu, z głową w dłoniach. Ona usiadła obok niego, zachowując jednak dystans. „Będiesz się ciągle zastanawiał, co byście razem robili, co by do ciebie mówiła, jak by się uśmiechała. Wyobrazisz sobie rozmowę z nią, tak jak ja wyobrażam sobie... – Zrobiła pauzę, spojrzała w dal, ściszyła głos. – Pomyślisz, jak by to było mieć dziecko i patrzeć, jak dorasta. Jakaś część ciebie będzie nadal z nią żyła, w twojej głowie lub w sercu. W miejscu i czasie, które nie istnieją. – Dopiero wtedy ścisnęła go za rękę, a on zaczął szlochać. – To jednak nie będzie twoje prawdziwe życie. Rzeczywistość będzie tutaj, z pustką, nieobecnością i słowami, których już nigdy nie będziesz mógł usłyszeć. Aż w końcu wyobrażanie sobie niemożliwego zabolci cię tak bardzo, że będziesz wolał się poddać. Zaczнеш patrzeć na terażniejszość. I poczujesz się odrobinę lepiej. Wiem, że to brzmi strasznie, ale uwierz mi, tak będzie. Nikt nie wie tego lepiej niż ja”. Położyła mu rękę na ramieniu i płakali razem, każde z nich pogrążone w swoim smutku.

Vincenzo potrząsa głową. W ciągu tych trzech lat często wracał myślami do słów Franki, czekając, aż cierpienie ustąpi. A jednak Annina wciąż, nieustannie była obok niego. „Być może – mówi sobie – kobiety widzą w ciemności bólu rzeczy, których mężczyźni nie mogą nawet odgadnąć. Jest to ich przekleństwo i ich zbawienie”.

Nawet teraz Annina stoi przed nim, ubrana w ciemną spódnicę i białą bluzkę z koronkowym kołnierzem. Już ma wsiąść za kierownicę jednego z ich samochodów, ale zatrzymuje się i patrzy na niego z wyrzutem, jakby chciała powiedzieć: „Co z ciebie zostało? Dlaczego?”.

– *Vincent, chéri, viens ici...*<sup>63</sup> – Ruda kobieta woła go, nie zważając na to, że ta druga jeszcze śpi.

Vincenzo chciałby odesłać je obie, sprawić, by zniknęły. Zamiast tego wstaje, odchodzi od okna, zdejmuje koszulę i kładzie się na łóżku. Pozwala się dotknąć. Zamyka oczy, zatapia się w jej ciele niemal gwałtownie. Nie obchodzi go, jak się nazywa, kim jest, ani jakie jest jej życie poza tym pokojem – dla niego jest po prostu ciałem dającym przyjemność i ciepło. I Vincenzo trzyma się kurczowo tej resztki życia, którą może jeszcze wziąć.

\*\*\*

W holu wejściowym hotelu w Champfer w Engadynie, gdzie przebywają Floriowie, Lanza di Trabia i Whitakerowie, panuje wielkie poruszenie. Napięte twarze, telegramy przechodzące z rąk do rąk, dzwoniące telefony, boje przemieszczający się szybko jak mrówki z pokoju do pokoju. Od około miesiąca – od czasu gdy młody serbski nacjonalista zamordował w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię – pogłoski o możliwym wypowiedzeniu Serbii wojny przez Austrię mnożą się, nakładają na siebie i zaprzeczają sobie nawzajem. Ultimatum postawione rządowi serbskiemu przez ambasadora Austrii w Belgradzie 23 lipca nie daje specjalnej nadziei na pokojowe rozwiązanie kryzysu.

Siedząc w fotelu, Franca przegląda włoskie i niemieckie gazety i jest zdezorientowana. Nie może się odnaleźć w następowaniu po sobie raz wojennej egzaltacji, a raz „gorączkowej intensywności, której wymaga powaga sytuacji”, z jaką Włochy rzekomo starają się utrzymać pokój, jak to ujął „Corriere della Sera”.

– Jestem. Przepraszam za spóźnienie. – Giulia Lanza di Trabia całuje ją w policzek i rozgląda się wokół. – A Norina i Delia?

– Nie będzie ich. Wstąpiły tu kilka minut temu i powiedziały, że obiecały spędzić popołudnie z Tiną. Dołączą do nas o piątej na herbatę. Są po trzydziestce, ale czasem ta kobieta traktuje swoje córki, jakby były małymi dziewczynkami.

– Tak lepiej – uśmiecha się Giulia, wkładając rękawiczki. – Idziemy?

Pozdrawiają gestem Giovanę, która w towarzystwie Maruzzy opala się na tarasie, po czym wychodzą przez drzwi na tyły hotelu.

Giulia wdycha rześkie powietrze.

– Jaka szkoda, że nie ma tu Igiei i Giugiù!

– Właśnie dostałam list z Zurychu: guwernantka pisze, że lekarstwa na plecy Igiei zdają się działać. Co do Giugiù, to jest zupełnie jak jej ojciec, mówi, że góry ją nudzą, i spędza czas, biegając po domu. W końcu co ma robić, gwiazdeczka? Ma dopiero pięć lat.

Zdecydowanym krokiem Giulia rusza ścieżką w kierunku sosen porastających zbocze.

– A ty masz wiadomości od Giuseppego? – pyta Franca.

– Nie. – Głos Giulii chropowacieje. Jej najstarszy syn zawsze miał niespokojną, buntowniczą naturę. – Przy tym, co się dzieje, byłoby lepiej, gdyby był tutaj lub w Palermo... albo przynajmniej dał nam znać, gdzie jest. – Robi pauzę, zaciskając wargi. – Myślę, że jest w Wenecji. Z tamtą.

– Ech, Madda. – Franca rozgląda się dookoła, patrzy na ostre szczyty na tle nieba.

Przed nimi otwiera się malownicza ścieżka wśród drzew. Zwalniają, prawie się zatrzymują. Powietrze jest balsamiczne, pachnące zielenią, nasycone zapachem mchu. Co jakiś czas krzyk ptaka przerywa ciszę.

– Bliźniaczki Papadopoli są rzeczywiście podobne jak dwie krople wody – ciągnie Franca. – Po prostu nie wiedzą, co to wierność i poszanowanie więzi małżeńskiej.

– Na litość boską! – Giulia wykrzywia się w grymasie. W przeciwieństwie do Franki nigdy specjalnie nie dbała o urodę, a czas nie wyświadczył jej żadnej przysługi. Jej rysy się wyostrzyły, twarz poznała zmarszczkami. – Kiedy pomyślę, jak go sobie owinęła wokół palca! Był młodym chłopcem, gdy się poznali, a ona miała już córkę. Giuseppe chciałby, żebym ją poznała, ale to szaleństwo! Miała rodzinę i zostawiła dla niego wszystko. Nie, nie zamierzam jej widzieć. Uważam za niewłaściwe nawet wspominać o niej.

Franca ściska jej ramię.

– Masz rację. I to jeszcze jak.

– A mój brat wciąż jest z jej siostrą Verą, jak mniemam.

Odpowiedzią Franki jest westchnienie.

Giulia wydaje okrzyk pogardy.

– Zostawić czwórkę dzieci i męża, aby być z innym mężczyzną, na dodatek żonatym. Świat oszalał!

Franca zatrzymuje się nagle, patrzy na Giulie, ściska jej ramię.

– Czy pamiętasz, co mi powiedziałaś przed wielu laty w ogrodzie zimowym waszego domu?

Giulia wpatruje się w jakiś odległy punkt i się uśmiecha.

– Byłaś tak bardzo przestraszona. Wszystko i wszyscy cię przerażali, łącznie z moją matką.

– Ale powiedziałaś mi wtedy, że muszę wziąć to, co należy do mnie, że mam być dumna, że jestem Florio, że noszę to nazwisko.

– Tak. I udało ci się. Zawsze, nawet w najtrudniejszych momentach.

Franca uśmiecha się, gorzko.

– Rzeczywiście. Nauczyłam się, jak to robić. Wielkim kosztem, ale w końcu się udało. W oczach świata byłam Florio. I zawsze będę. Ale w środku...

Giulia bierze ją za rękę.

– W środku umarłaś wiele razy. Z powodu tego, co przeszłaś, z powodu zachowania Ignazia. Ja też to wiem.

– Tak, ale jest coś więcej. Jeszcze dwa lata temu byłam przekonana, że znam swojego męża. Już dawno przestałam go usprawiedliwiać, akceptować bez słowa jego wady. Ale byłam przekonana, że miłość nadal nas jednoczy.

Giulia unosi brwi.

– Tak, nadal nazywam to miłością. Wciąż istniała między nami więź. Potem pojawiła się Vera i Ignazio naprawdę się w niej zakochał. A ja zostałam naprawdę sama.

– Kochana moja, nie jesteś sama... Jestem ja, Igiea, Giugiù... – szepce Giulia.

– Tak, dzięki Bogu jesteście. Kiedy jednak patrzę w lustro, widzę tylko siebie, tak jakby świat na zewnątrz nie istniał. Widzę złamaną kobietę, która mimo to nadal żyje. – Oddycha głęboko, prostuje

ramiona, patrzy w dal. – Właśnie to ci chciałam powiedzieć. Także dzięki twoim słowom nauczyłam się nie polegać na nikim, iść dalej mimo wszystko.

– I nic już nie czuć? – pyta cicho Giulia.

– Dobrze wiesz, że to nie jest możliwe. Ile lat minęło od śmierci Blasca?

– Dwadzieścia jeden – odpowiada Giulia jednym tchem.

– A czy od tamtej pory był dzień, choćby jeden, kiedy o nim nie myślałaś?

Giulia potrząsa głową.

– Nasi zmarli nigdy nas nie opuszczają. A ich obecność jest jednocześnie bólem i pociechą. – Nagle Giulia wybuchła łzami, zasłaniając twarz dłońmi. – Ty mówisz o zmarłych, a ja, ja...

– Co się dzieje? – pyta Franca zaniepokojona. Nigdy nie widziała, żeby jej szwagierka tak płakała. – Źle się poczułaś?

Wciąż szlochając, Giulia potrząsa głową.

– Nie, nie... Nie chciałam nic mówić, żebyś się nie martwiła, ale bardzo się boję. Rozmawiałam z Pietrem wczoraj wieczorem. Jest w Rzymie i mówi, że szykują się straszne rzeczy. Według niego Austriacy zaatakują Serbię, a to spowoduje włączenie się do wojny Francji, Rosji, a może nawet Anglii. A ja się tak strasznie boję, bo mam synów i Bóg jeden wie, co się może zdarzyć.

– Ale gazety mówią, że rząd włoski prowadzi mediacje.

– Pietro był bardzo sceptyczny – odpowiada Giulia, ocierając łzy.

– Nadchodzi wojna i nie wiadomo, jak to się skończy. A ja nie wyobrażam sobie, żeby moi synowie poszli walczyć. Giuseppe ma dwadzieścia pięć lat, Ignazio dwadzieścia cztery, a Manfredi dwadzieścia. Są dorosłymi mężczyznami, są Lanza di Trabia i ich miejsce jest na pierwszej linii. To ich obowiązek.

Franca nie wie, co powiedzieć. Najpierw Olivuzza, a potem Villa Igiea zawsze były otwarte dla wszystkich. Nie pamięta nawet, ilu Anglików, Francuzów, Niemców i Rosjan gościła. Polityków i artystów, bankierów i przedsiębiorców, z całymi rodzinami. Rozmawiali, jedli razem posiłki, tańczyli do białego rana, grali w karty lub tenisa, śmiali się z żartów i plotek. Nurkowali w morzu lub wspinali się na monte Pellegrino, spędzali szczęśliwe godziny na

Favignanie, pływali na jachtach Ignazia lub jeździli samochodami Vincenza. Myśli o kaiserze, o królewskiej parze Wielkiej Brytanii, o cesarzowej Eugenii. Teraz ci sami ludzie zdecydują, czy wydać Europę na pastwę ognia i żelaza.

Synowie Giulii są tacy młodzi. Ale przecież Giovannuzza miałyby już dwadzieścia jeden lat i być może musiałyby patrzeć, jak jej mąż odjeżdża na wojnę. Z kolei Ignazino miałyby dopiero szesnaście, byłby zbyt młody...

„Nie. Przestań. Ich już nie ma na tym świecie. Za to Giulia jest”.

Kładzie dłoń na ramieniu szwagierki.

– Pietro prawdopodobnie przesadza: zawsze widzi wszystko w najczarniejszych barwach. Nic złego nie stanie się twoim dzieciom.

– Mam nadzieję. – Giulia bierze głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Tak, lepiej pomyśleć o przyszłości moich córek, Sofii i Giovanny. Jedna ma osiemnaście, druga siedemnaście lat.

– I tego urwisa Ignazia – dodaje Franca z wymuszonym uśmiechem. Nie może znieść, że Giulia tak cierpi. – Musimy patrzeć naprzód, na życie, a nie na te straszne rzeczy, co do których nie mamy nawet pewności, czy się wydarzą.

Kiedy jednak wracają do hotelu, szybko się orientują, że wcześniejsze pobudzenie zamieniło się w strach. Udręka stała się tak wielka, że atakuje zmysły; w powietrzu unosi się nieprzyjemny zapach dymu papierosowego i potu. Grupy ludzi otoczone kuframi i walizkami oblegają konsjerży: wołają głośno o rachunek, niepokoją się, przeklinają, błagają o uwagę, wpadają w szał. W kącie szłocha kobieta i dwoje jej dzieci na podłodze płacze, ale nikt się nimi nie zajmuje.

Franca ucieka z terażniejszości i wraca myślą do nocy, w której umarł jej syn. Potem rozgląda się dookoła, gorączkowo szuka przyjaznej twarzy i znajduje ją: Maruzza wstaje z sofy, na której siedziała obok Giovanny, z zamkniętymi oczami odmawiającej różaniec, i podchodzi do niej.

– Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Mówią, że wkrótce zaangażują się w to inne kraje.

– Jak? Kiedy? A Włochy? – Franca i Giulia mówią unisono, ale Maruzza podnosi rękę, zatrzymuje je.

– Zatelegrafowałam, żeby uprzedzić don Ignazia – mówi, zwracając się do Franki. – Whitakerowie już się pakują. Wszyscy opuszczają hotel i wracają do domów.

Giulia kładzie rękę na piersi, jakby chcąc uciszyć bicie serca.

– Będę musiała porozmawiać z moim mężem i dziećmi. Tak, macie rację: musimy wracać do Włoch. Franco, masz przy sobie dokumenty potwierdzające, że jesteś damą dworu królowej Heleny, prawda?

Franca przytakuje, zdezorientowana.

– Tak, ale...

– Dobrze. Jestem pewna, że te dokumenty liczą się jako paszport dyplomatyczny dla ciebie i twojej rodziny – wyjaśnia Giulia, na powrót pragmatyczna. – Zadzwoń do Zurychu i powiedz guwernantce, żeby przygotowała dziewczęta do natychmiastowego wyjazdu.

Franca przytakuje.

– Zaraz to zrobię.

– I porozmawiaj z Ignaziem – dodaje ciszej Giulia. – Jego miejsce jest teraz przy tobie. Dobrze, żeby sobie to uświadomił.

\*\*\*

– Oczywiście, że zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jednak moim obowiązkiem jest...

– Ależ byliśmy w Wiedniu gośćmi cesarza! I chcesz się zgłosić na ochotnika, żeby walczyć przeciwko niemu? To absurd!

– Jest wojna i każdy musi robić to, co do niego należy.

Przez prawie rok Franca żywiła gorącą nadzieję, że Włochy pozostaną poza konfliktem. Strach przed wojną narastał w niej stopniowo i długo chowała go w najmroczniejszych zakamarkach duszy, tam gdzie trzyma wszystko, czego nie może zaakceptować. Ale teraz nie potrafi już udawać, że się nie boi.



Wstaje, chodzi tam i z powrotem po pokoju, z trudem opanowując napięcie. Nieco wcześniej była w palazzo Butera i zastała Giulie zrozpaczoną, bo jej synowie szykują się do wyjazdu. Franca kocha tych chłopców; Giuseppe, Ignazio i Manfredi są częścią jej życia, widziała, jak dorastają i stają się mężczyznami, podczas gdy sama traciła własne dzieci. Myśl, że zobaczy ich w mundurach, napełnia ją udręką. Nie chce sobie nawet wyobrazić, co czuje jej szwagierka. Dlatego postanowiła, że nie będzie się z nimi żegnać, bo dzięki temu nie będzie musiała przyznać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jest już zmęczona walką z życiem i światem.

Wychodzi do ogrodu i mrużąc oczy przed słońcem, kieruje się do greckiej świątyni z widokiem na morze. Absurdalne wydaje się jej to całe mówienie o wojnie, gdy otacza ją spokój ogrodu Villi Igiea, kwitnące rośliny, zapach lata w powietrzu. Przy ścieżkach łagodnie schodzących w stronę wybrzeża, pomiędzy żywopłotami z bukszpanu i pospornicy dwóch ogrodników sadi nowe rośliny i rozmawia cicho. Tylko odgłosy odległego portu przełamują świst wiatru między palmami.

Mieszkają teraz – z Giovanną i Maruzzą oraz angielską guwernantką dziewczynek, panną Daubeny – w Villi Igiea. Olivuzza stała się zbyt duża, zbyt droga w utrzymaniu i miała zbyt wymagający park. Lepsze jest to mieszkanie w ich hotelu, luksusowe, ale łatwiejsze do zagospodarowania. Zresztą Villa Igiea jest teraz niemal pusta, bo goście – prawie sami Włosi – wyjechali kilka dni temu.

Franca słyszy, że podchodzi do niej Ignazio, ale tylko zaciska dłonie w pięści i nie odwracając się, pyta:

– To naprawdę konieczne, żebyś się natychmiast zaciągał?

On nie odpowiada od razu, patrzy w stronę tonnary Arenella i willi Quattro Pizzi, tak ukochanej przez jego dziadka. Głęboki błękit łagodzi jego rozdrażnienie. Zmarszczki na czole wygładzają się, myśli wracają do rejsów na „Aegusie”. Ale to tylko chwila. „Kiedy to było? Całe wieki temu, w innym życiu”, konstatuje Ignazio z goryczą.

– Konieczne? Tak – odpowiada w końcu. – Teraz mogę jeszcze otrzymać przydział gdzieś z dala od linii frontu, adekwatny do moich umiejętności. To samo dotyczy Vincenza, któremu grozi, że skończy na pierwszej linii, bo jest młodszy. Jest świetnym kierowcą i dobrym mechanikiem, mógłby być przydatny do transportu na tyłach. Już myśli o założeniu fabryki małych samolotów lub hydroplanów we współpracy z Vittorioem Ducrotem, a jeszcze opowiedział mi o projekcie ciężarówki dla wojska, przystosowanej do użytku w najbardziej niedostępnych miejscach... Zresztą wiesz, jaki on jest. Zawsze w ruchu.

Franca kręci głową.

– Jeszcze zrobi coś niemądrego. To gorąca głowa.

– Ależ nie! – Ignazio głaszcze ją po ramieniu. – Będziemy bezpieczni. Zobaczysz.

Franca odwraca się, by spojrzeć na męża. Ignazio ma włosy przyprószone siwizną, a jego niegdyś zmysłowe usta naznaczone są goryczą.

– Myślisz, że to się szybko skończy? – pyta go, zaciskając dłonie na tkaninie czarnej spódnicy.

Ignazio wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Wojna miała trwać tylko kilka tygodni, a tymczasem to już rok. – Ścisza głos, muska dłonią biały koronkowy rękaw bluzki Franki. – A wojna i tak tylko pogorszy sytuację.

Franca nie umie zinterpretować rezygnacji w jego głosie. Chce zapytać i już ma zamiar to zrobić, ale w tym momencie odgłos nadchodzących kroków każe jej się odwrócić.

– Wybaczcie, że przeszkadzam, signor Florio. Gdybym wiedział, że jesteście zajęci, poczekałbym z rozmową.

– Ależ proszę, signor Linch. Dzień dobry.

Carlo Augusto Linch podchodzi do nich długim, miękkim krokiem. Ignazio wita się z nim serdecznie, a Franca ogranicza się do skinięcia głową. Nie ufa temu Argentyńczykowi, także dlatego, że niewiele o nim wie; tyle tylko, że studiował w Mediolanie i na politechnice w Zurychu, że zarządzał fabryką w Niemczech i że wrócił do Włoch na początku wojny. Od razu zdobył zaufanie jej męża i szwagra, czarując ich sposobem bycia i swobodą mówienia.

Bracia postanowili zaangażować go do administrowania swoim majątkiem, a raczej tym, co z niego zostało. Tak więc trzy miesiące temu, czyli w lutym 1915 roku, Linch został zarządcą i pełnomocnikiem Floriów.

Franca stoi z boku, obserwując obu mężczyzn. Słyszy zdanie: „Ponieważ dziedzictwo Domu Florio jest...”. I unosi brew. Jakie dziedzictwo, skoro już nawet Cartier i Worth – których klientką jest od ponad dwudziestu lat – proszą ją o podpisanie dokumentów gwarantujących spłatę rachunków? Nie mówiąc już o tym, co wydarzyło się zaledwie dzień wcześniej: pokojówka zrezygnowała z pracy, ponieważ nie otrzymywała regularnie wynagrodzenia. Prawdziwy brak szacunku dla rodziny, która dawała chleb i pracę połowie Palermo.

– A wy, signora? Co zrobicie?

Odpowiedziała zakłopotanym uśmiechem.

– Wybaczcie, nie słuchałam. O czym mówiliście?

– Co zrobicie, aby wesprzeć ojczyznę w tym czasie? Czy użyjecie swoich usług jako siostra Czerwonego Krzyża?

– Ach... Tak, na pewno. W szpitalu, tu, w Palermo, jak sądzę.

Linch uśmiecha się do niej, ale potem odwraca wzrok, jakby ta odpowiedź wcale go nie przekonała.

– Jestem pewien, że będziecie w stanie dostosować się do tej trudnej sytuacji. Przed nami czasy wielkich poświęceń.

Franca przymyka powieki. Wyczuwa w tych słowach wyrzut dotyczący jej postępowania, wydatków, a zwłaszcza tego, co stało się teraz jej jedyną rozrywką.

Karty. *Chemin-de-fer*, bakarat, poker. Kiedy gra, smutek staje się mniej uciążliwy, myśli są lżejsze, czas płynie. Oczywiście wraz z godzinami znikają pieniądze, bo gra o wysokie stawki. Ale szczęścia ma „więcej, niż wypada”, jak mówi jej towarzyszka przy stole hazardowym, Marie Thérèse Tasca di Cutò, dla przyjaciół Ama, żona Alessandra i szwagierka biednej Giulii Trigony. „Jednak nie tyle, ile potrzeba”, chciałaby jej odpowiedzieć Franca.

– Myślę, że w biurze są wszystkie potrzebne papiery – mówi Ignazio do Lincha. – Każę przygotować auto, możemy pojechać razem.

– Nie ma potrzeby. Tutaj też mogę wam wszystko opowiedzieć.

Franca patrzy na tego mężczyznę, a potem na męża. Był czas, kiedy odwróciłyby się w milczeniu, uznając, że to męskie sprawy. Ale teraz chce słuchać i rozumieć. „Skoro kochanka mojego męża wie wszystko o naszych interesach, to dlaczego ja mam pozostawać w niewiedzy?”, myśli z irytacją. Idzie więc razem z nimi do wiklinowych foteli w rogu tarasu Villi Igiea, każe kelnerowi przynieść dzbanek lemoniady i siada z gracją.

Linch obserwuje ją z ukosa. Jest wyraźnie zakłopotany. Nigdy wcześniej nie musiał omawiać interesów w obecności kobiety. Franca patrzy na niego wyzywająco, potem zerka na Ignazia i czeka.

Jej spojrzenie jest tak ostre, że mężczyzna zaczyna się jąkać.

– Więc... jeśli pozwolicie...

Unikając wzroku żony, Ignazio siada, pije łyk lemoniady.

– Proszę. Śmiało.

Linch ostrożnie otwiera przyniesioną ze sobą teczkę, kładzie ją na małym stoliku. Dotyka papierów – listów, notatek, rachunków – jakby zbierał pomysły, po czym składa dłonie w piramidkę przed twarzą.

– Jak wiecie, kilka dni temu zakończyłem wreszcie dokładne badanie waszej sytuacji finansowej. Jak już wspomniałem, miałem zamiar udać się do Rzymu, aby spróbować utworzyć konsorcjum, które pomogłoby Domowi Florio. Banca d’Italia mógł zdecydowanie przyczynić się do uzdrowienia waszej sytuacji i spłacenia długów. Po pierwsze, umowa z Lavagetto i Parodi dotycząca tonnar na Egadach. Już wiadomo, że to była niefortunna decyzja i skomplikowała wszystko jeszcze bardziej. Na początku oczywiście mieliście niezły zastrzyk gotówki pozwalający uregulować część długów Domu Florio, ale dochód z tonnar był niewystarczający, aby pokryć nawet odsetki. Ponadto pożyczka, którą, hmm, lekkomyślnie zaciągnęliście we francuskim banku kredytowym na pokrycie innych strat, okazuje się bardzo uciążliwa.

Ignazio słucha beznamiętnie. Franca próbuje nadażyć, ale zbyt wiele rzeczy jest dla niej niejasnych.

– Następnie są pakiety akcji, które gwarantują inne kredyty i w różnym stopniu obciążają Dom. Zamierzam wystąpić o cesję

pakietów będących jeszcze w waszym posiadaniu w celu uzyskania płynności finansowej, a także o dotacje z innych instytucji bankowych zabezpieczone hipotekami na waszych nieruchomościach, do sprzedania w późniejszym czasie. – Robi pauzę, wzdycha. – Podsumowując: potrzebujecie dużo pieniędzy, co sprawia, że musicie zwrócić się do banków o pożyczki, oferując im jako zabezpieczenie nieruchomości takie jak Olivuzza, ale także wasze domy w dzielnicy Castellammare. Majątek, który w przyszłości trzeba będzie sprzedać.

Ignazio sapie.

– Nasza willa i... i również aromateria?

– Tak, wraz z innymi magazynami i mieszkaniami.

– Nawet dom przy via dei Materassai... dom mojego ojca?

Jego głos jest tak cichy jak szelest wiatru wśród sosen.

– Obawiam się, że tak.

Ignazio przeczesuje palcami włosy.

– Mój Boże... – Śmieje się, ale to gorzki śmiech. – Szczerze mówiąc, nie bywam tam od bardzo dawna. A moja żona nie chce nawet iść do Quattro Pizzi, którą odnowiliśmy, bo spodziewałem się już wcześniej, że będę musiał zrezygnować z Olivuzzy. Ale sprzedaż domu przy via dei Materassai...

Zamyka rękę w pięść, opiera na niej brodę.

Nagle Franca czuje się nieswojo. Nigdy nie widziała domu, w którym długo mieszkał ojciec Ignazia, a teściowa rzadko z nią o nim rozmawiała. I, owszem, nigdy nie podobała jej się willa Quattro Pizzi. Nie może powiedzieć, że jest brzydka, ale na pewno za mała na ich potrzeby, a do tego położona w dzielnicy robotniczej, jaką jest Arenella. Nie bardzo nadawałaby się do przyjmowania gości, którzy, aby do niej dotrzeć, musieliby pokonać ulice pełne wozów i biedoty. Ale usłyszeć to w taki sposób, jako wyrzut, to przykrość, której się nie spodziewała.

Linch bierze arkusz papieru.

– Obawiam się, że nie będziemy mieli dużego pola manewru z Banca d'Italia. Próbowałem umówić się na spotkanie ze Stringherem, ale powiedziano mi, że jest bardzo zajęty, a przede wszystkim, że nie jest zainteresowany.

– Ależ oczywiście... – Ignazio zrywa się na równe nogi, uderzając w stolik i omal nie wywracając karafki. – Ten sukinsyn chce nas zmusić do zapłacenia za to, co stało się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, kiedy wycofałem się z konsorcjum, taka jest prawda. Nigdy nie dbał o Dom Florio! – prawie krzyczy. – Zawsze chciał nas pozbawić wszystkiego, nawet godności. – Odchodzi kilka kroków, mruży obelgi w dialekcie, po czym zasłania oczy ręką. – Będę musiał napisać o tym wszystkim do Vincenza. Chyba właśnie wraca z Paryża – rozważa, jakby mówił tylko do siebie. – Nie wiem, jakie jest teraz jego życie. Więcej czasu spędza we Francji niż gdziekolwiek indziej i wraca tu tylko po to, by zorganizować Targa Florio lub jakiś inny wyścig.

– Uspokójcie się. Usiądźcie – upomina go stanowczo Linch. – O tym też musimy porozmawiać.

Ignazio siada z miną skazańca zbliżającego się do szubienicy. Nagle France robi się go żal. Instynktownie wyciąga rękę, bo chciałaby go pocieszyć, dać mu do zrozumienia, że jest blisko niego. Ale Ignazio nie patrzy na nią, więc wycofuje dłoń.

– Trzeba będzie ograniczyć cały szereg działań i jednocześnie zmniejszyć wydatki – wyjaśnia Linch spokojnie i dobitnie, jakby oswajał zranioną bestię. – Chodzi mi na przykład o datki na cele charytatywne. – Tu rzuca France szybkie, niemal ukradkowe spojrzenie. – Ale także wydatki na odzież i biżuterię. Albo zbytki, jak na przykład zegarki kieszonkowe z waszym znakiem firmowym, które dawaliście w prezencie kontrahentom. Krótko mówiąc, wszystkie niekonieczne wydatki. Patronat nad Teatro Massimo czy Targa Florio powinien być znacznie ograniczony.

– I wy też z tą historią? – Ignazio przygryza knykcie zaciśniętej pięści. Kołysze się na krześle w przód i w tył. – Obciąć działalność charytatywną, dotacje dla Massimo! Mecenas Marchesano poruszył ten temat co najmniej siedem lat temu! Czy to możliwe, że nikt nie zdaje sobie sprawy z nazwiska, które noszę? Zaraz zaczniesz się szczebiać na ulicach Palermo, że Ignazio Florio jest bankrutem.

– Być może gdybyście wtedy dokonali takiego wyboru, bylibyście teraz w mniej krytycznej sytuacji. I tak, przyznaję, decyzja jest bardzo bolesna, ale bardziej niż kiedykolwiek konieczna, jeśli

chcecie się uratować. – Linch przerzuca kartki, wyjmując kolejną, pokazuje ją Ignaziowi. Jest to weksel gwarantowany podpisem drżącej ręki Giovanny. – Widzicie to? Poprosiłem Banca d'Italia o odroczenie i przyznali mi je wyłącznie dlatego, że weksel jest gwarantowany majątkiem waszej matki.

Po raz pierwszy w życiu Ignazio Florio się rumieni.

Linch nie potrafi ukryć współczucia. Zmarszczki w kącikach jego ust zdają się pogłębiać, powieki opadają.

– Będzie to wymagało wielu poświęceń od wszystkich – mówi cicho. I odwraca się, by spojrzeć na Francę, która odruchowo krzyżuje ręce na piersi. – Przydałoby się na przykład zaproponować bankom zastawy gwarantujące długi. – Pauza, długa pauza. – Zastawy w postaci biżuterii.

Franca blednie. Potrząsa gwałtownie głową.

– Nie, nie możecie mnie o to prosić. – W jej głosie słychać pisk szkła pocieranego o szkło. – Nie moja biżuteria. W sejfie są diamenty, on o tym wie – dodaje, wskazując na Ignazia, który jednak zdaje się ją ignorować. – Nie trzeba używać mojej...

– Jak mówiłem, każdy musi coś poświęcić, także wy, signora. – Linch nie podnosi głosu, ale jego ton nie pozwala na replikę.

Franca jest oszołomiona: nikt dotąd nie zwracał się do niej w ten sposób, a już zwłaszcza obcy człowiek.

Ignazio wzrusza ramionami. Wzdycha. W końcu odzywa się tonem pokonanego człowieka.

– Niech tak będzie. Domy, biżuteria... Jaka to różnica? Król jest nagi! – Znów wstaje, zaczyna powoli iść, zatrzymuje się obok jednego z filarów i gładzi go. W jego pamięci przesuwiają się obrazy dawnych, lepszych czasów, uśmiecha się łagodnie. – Był czas, kiedy zrobiłbym wszystko, by bronić tego, co należało do mnie. Walczyłbym, przyjąłbym umartwienie i upokorzenie. Ale teraz nie ma o co i dla kogo walczyć. Jestem drzewem bez pąków i wkrótce nasz kraj też nim będzie. Ta wojna przyniesie tylko nieszczęście, w trakcie i po niej. I w imię czego, dla kogo mam się starać? – Odwraca się, by na nich spojrzeć. – Nie mam już nic, co czyniło ze mnie Floria. – Zaczyna wyliczać: – Sprzedałem winiarnię, pierwsze przedsięwzięcie mojego dziadka Vincenza. Próbowałem zbudować

stoczną, ale rozpadła się, a wraz z nią Navigazione Generale Italiana, którą mój ojciec uczynił wielką. Pozwoliłem, by Oretea splajtowała. Wydałem rekinom na żer tonnary na Egadach, przekonany, że uda mi się stanąć na nogi, ale na próżno. Kiedy poprosiłem o pomoc, otrzymałem tylko sznur, na którym mogę się powiesić. Co mi pozostało? Banco Florio zamieniony w biuro gryzipiórka i ten hotel, który teraz, gdy jest wojna, stoi pusty. Stracę wszystko, nawet dom. Czyli historię mojej rodziny. – Patrzy na Francę. – Więc co mnie obchodzi twoja biżuteria? Została nam tylko godność i odrobina dumy. Postaraj się ich nie zmarnować.

Franca zrywa się z miejsca, łapie go za nadgarstek, szarpie.

– Nie możesz! – Bierze obie jego ręce. – Czy nie myślisz o mnie i swoich córkach?

W tym momencie na progu drzwi tarasowych pojawia się Igiea. Jest zgrabną piętnastolatką o krótkich włosach i delikatnej twarzy przypominającej rysy matki. Wchodzi na taras, podnosi rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem, i patrzy na rodziców. To, że się kłóca, nie jest niczym nowym.

– *Maman*, Maruzza i ja zastanawialiśmy się, czy pójdziemy później odwiedzić księżną Amę? Czy Maruzza powinna jechać, czy zostać z babcią? Wiesz, że nie jest z nią najlepiej.

Ręka Franki, biała, sztywna, puszcza nadgarstek Ignazia.

– Później pójdziemy do Tasca di Cutò. Tak, lepiej, żeby Maruzza została z babcią.

Ignazio czeka, aż córka odejdzie, po czym zwraca się do Lincha.

– Zróbcie wszystko, co konieczne, aby uratować, co się da. – Mówi to niskim, spokojnym głosem. – Dostaniecie to, czego potrzebujecie jako zabezpieczenie dla zaległych weksli.

Linch wstaje. Jest kilka lat starszy od Ignazia i prawie tego samego wzrostu, ale szczuplejszy.

– Potrzebuję listy wszystkich waszych wydatków, signor Florio. Każda wypłata, każdy zakup, każdy zaległy rachunek. Proszę o faktury i od tej pory nie kupujcie niczego bez wcześniejszej konsultacji ze mną. Czy mogę liczyć na to, że przekażecie to również swojemu bratu?



Ignazio kiwa głową. Zrozumiał, że Linch będzie nieugięty wobec niego i wobec Vincenza.

– Postaram się. Za kilka dni się zaciągam, więc wiecie...

– To godne pochwały. Będę was informował na bieżąco i walczył o to, by Banca d'Italia i Stringher się opamiętali. – Linch chrząka, podchodzi do Franki. – Signora... Obawiam się, że dotyczy to również was. Czy dostanę aktualną listę waszych wydatków?

Franca przytakuje. Wpatruje się w monte Pellegrino, jakby podziwiała majestat góry, ale w rzeczywistości ogarnia ją wściekła furia zmieszana z upokorzeniem. Jej wydatki? Oczywiście. A co z tymi, które Ignazio robi dla Very, w Rzymie, skoro już nawet z nią mieszka? Nie mówiąc o tym, że – Franca jest niemal pewna – na postanowieniu jej męża o wyjeździe na wojnę zaważyła decyzja tej właśnie kobiety, która zaciągnęła się jako pielęgniarka.

Po raz kolejny zostaje zepchnięta na margines, dźwigając ciężar błędów cudzych i własnych. „Ale nie moje klejnoty – myśli. – Nigdy ich nie dostanę”.

\*\*\*

W pomieszczeniu jest za gorąco. Zasłony z adamaszku przepuszczają czerwone światło słońca zachodzącego na horyzoncie spowitym w gęste chmury. Maruzza siedzi w fotelu, jedną ręką podpira głowę, a w drugiej trzyma otwartą powieść *Może tak, może nie* d'Annunzia, pozostawioną przed laty w Villi Igiea przez Francę. Była prezentem od wieszczki, który opatrzył ją dedykacją: *Dla Donny Franki Florio z najszczerzym oddaniem*, a ona kazała ją oprawić w safian ze złotymi tłoczeniami.

„Tak, wiele lat wcześniej, kiedy wojna była daleko i nikt nie wiedział, co się stanie”, myśli Maruzza z westchnieniem.

Franca coraz rzadziej przyjeżdża do Palermo. Kiedy nie podróżuje, spędza długie okresy w Rzymie, zwykle w Grand Hotelu, z córkami i z Amą Tasca di Cutò, która opuściła swojego męża Alessandra i dzieci i jest obecnie widywana z młodym *cavalier servente*.

Na tę myśl dama do towarzystwa Franki zatrząskuje książkę. Nie należy nigdy oceniać, zastanawia się, ale naprawdę, te Tasca di Cutò po prostu nie mogą się powstrzymać. Przez te wszystkie lata jeżdżenia po Europie w towarzystwie Floriów widziała już całkiem sporo. Z nostalgią wspomina długie pobyty w Montecatini, Szwajcarii czy na Lazurowym Wybrzeżu i wydatki, które również za nią ponosiła Franca.

To się już skończyło.

Podnosi oczy do sufitu, na jej twarzy maluje się ból, którego nie da się ukryć. Wojna wkradła się w życie wszystkich niczym wilgotna plama powoli odklejająca tynk od ściany, pozostawiając po sobie liszaje zniszczenia. Mężczyznom pozwala się działać, walczyć w nadziei – a może złudzeniu? – że są zdolni zmienić świat, przywrócić normalne życie. Kobiety natomiast mogą jedynie czekać, aż burza minie, i patrzeć na zniszczenia, zastanawiając się, czy i kiedy życie będzie mogło wznowić swój bieg.

Kto wie, jak będzie ono wyglądało po tym wszystkim.

– Maruzza... Maruzza!

Głos dobiega spod grubej warstwy koców, w które zawinięta jest Giovanna. Wątła, zmęczona, blada, usztywniona przez artretyzm. Odpoczywa w fotelu. To w nim albo w łóżku spędza większość czasu.

– Moje dzieci jeszcze nie przyszły? – pyta szeptem, w którym słychać łzy. – Nie wiedzą, że jestem chora?

Maruzza podchodzi do niej, gładzi jej twarz, ociera łzę.

– Donna Giovanna, są na wojnie.

– Tak, wiem... ale ja jestem ich matką i źle mi tutaj. Mogli pozwolić im przyjechać, choćby na dwa dni. A Franca? Gdzie Franca?

– W Rzymie z córkami.

– Ach... w Rzymie... To może ona na trochę przyjedzie?

Maruzza pochyła się i całuje ją w czoło, mówi coś do niej, próbuje uspokoić jej niepokój. Zauważa, że oddech staruszki znów jest cięższy, być może dlatego, że na każdą myśl o swoich odległych dzieciach Giovanna robi się niespokojna. Po tylu latach Maruzza czuje się bliższa tej kobiecie niż jej krewni. Widziała, jak starzeje się

w samotności, jak staje się coraz bardziej wątpią, jak cierpi z powodu śmierci wnuków, trudności finansowych Domu Florio, utraty powagi tego niegdyś potężnego i szanowanego nazwiska. Widziała na jej twarzy smutek i rozczarowanie, gdy synowie prosili ją o żyrowanie ich weksli lub sprzedaż ziemi z posagu, by pokryć odsetki od długów, których nie byli w stanie spłacić.

A teraz jest samotna i chora. *Angina pectoris*, mówią lekarze: tak sklasyfikowali bóle, które uderzają od ramion w dół do klatki piersiowej i sprawiają, że każdy oddech jest bolesny. Cierpienia i zmartwienia – przeszłe, obecne i te spodziewane – w końcu zebrały swoje żniwo.

Maruzza napełnia szklanek wodą i wlewa kilka kropel lekarstwa, które powinno uspokoić bicie chorego serca. Giovanna pije miksturę, a potem prosi o odsłonięcie zasłon, chce zobaczyć niebo i ostatnie promienie słońca. Miedziany blask wlewa się do pokoju, oświetla meble Ducrota i fotografie na komodzie. Nad nimi wisi portret jej męża Ignazia. Nowy obraz, wykonany po pożarze.

To na nim zatrzymuje spojrzenie Maruzza. „Czy można naprawdę kochać tylko jednego mężczyznę przez całe życie?“, pyta sama siebie. Wie, że Giovanna zawsze chowała w swoim sercu męża, którego ona знаła tylko z opowieści innych członków rodziny. Człowieka opanowanego, oszczędnego w emocjach, cichego, delikatnego, zdolnego do wielkich gestów czułości, ale też chłodnego i bezwzględego. Giovanna najwyraźniej podchwytuje te myśli, bo przywołuje ją do siebie.

– Dajcie mi na niego popatrzeć – mówi, a jej rysy łagodnieją. Na starych ustach pojawia się niewyraźny uśmiech. Giovanna podnosi rękę, wskazuje na komodę. – Podajcie mi fotografię mojego syna Vincenza.

Maruzza ma zamiar wziąć zdjęcie tego Vincenza, którego znała, ale sekundę potem rozumie; jej ręka zastyga w powietrzu, po czym przesuwa się w kierunku innej ramki, okalającej wizerunek dziecka o łagodnej i poważnej twarzy. Podaje ją Giovannie, a ona całuje zdjęcie i kładzie sobie na sercu.

– *Sangu di lu me cori*<sup>64</sup> – szepce i próbuje się podnieść. – Kiedyś mi mówili, że mam takie szczęście. Mnie, której nie zostało już nic, po czym mogłabym płakać. – Gładzi zdjęcie, gładzi je. – Gdyby on żył, toby się tak nie skończyło. Wiecie, o czym mówię, Maruzzo? O tym, że kiedy zamknę oczy, moi synowie się pozabijają o pieniądze. Brak im spokoju i cierpliwości... Gdzie oni są, dlaczego nie wracają do mnie? Ignazio, Vincenzo, gdzie jesteście? – woła i zaczyna się szamotać, próbuje wstać z miejsca.

Maruzza przytula ją, próbuje uspokoić.

– Już wam mówiłam, są na froncie. Być może wrócą z nowym rokiem. Na razie nie myślcie o tym, donna Giovanna, a przede wszystkim nie wzburzajcie się tak, bo zaboli was w piersi.

– Kości tylko znajdą – mówi ponuro Giovanna, wciąż ściskając zdjęcie. – Obróćcie mi fotel w stronę okna, chcę popatrzeć na zewnątrz – dodaje tonem, w którym przez chwilę znów pobrzmiwa dawna energia. – Może tylko to mi zostało. Nie mam już nic. Ani domu, ani zdrowia. Nic. Tylko oczy do wypłakania.

Nie bez wysiłku Maruzza obraca fotel tak, by Giovanna mogła zobaczyć ciemniejące miasto; już niedługo, wraz z godziną policyjną, zgasną wszystkie światła. Otulone ciemnością Palermo zaśnie, przerażone jak dziecko, które zagłęda w pustkę nocy i widzi tylko ból i udrękę. Zwinie się w sobie, zapadając w litościwy sen bez marzeń.

Maruzza przygląda swoje siwe włosy, po czym mówi:

– Przyniosę obiad. Poprosiłam, żeby zrobili wam rosół z kury. Zaraz do was wrócę.

Villa Igiea została częściowo zamieniona na szpital dla oficerów. Po korytarzach wędrują pielęgniarki i mężczyźni w mundurach lub piżamach, wspierając się na kulach i laskach. Wszędzie rozbrzmiewają te utykające kroki, rytmiczny stukot przypominający uderzenia w bębny. Nawet powietrze w willi się zmieniło: tam, gdzie kiedyś unosił się aromat wody kolońskiej, cygar, kwiatów i pudru, teraz zalega ciężka woń choroby połączona z zapachem potraw przygotowywanych w piwnicznych kuchniach. Czerwone chodniki zostały usunięte, salę gier zajmują rzędy łóżek, a brzęk

żetonów zastąpiły jęki. Nawet sztukaterie na klatce schodowej są wyszczerbione i pokryte warstwą kurzu.

Maruzza czeka przed kuchnią, aż obiad będzie gotowy. O ścianę oparte jest lustro w masywnej złotej ramie, a ona nie może się powstrzymać, by na siebie nie spojrzeć. Zmęczona twarz, głębokie zmarszczki, siwe włosy zebrane w niedbały kok. W pokoju donny Giovanni czas zdaje się stać w miejscu, a jednak są tam wszystkie znaki jego upływu. Wszystkie, wraz z udrękami wojny i trudnościami finansowymi rodziny. Nie, los nie był dla niej łaskawy.

Patrzy na sufit.

„Tak, jest bardzo chora. Nie mogę dłużej czekać – myśli. – Muszę znaleźć sposób, żeby chociaż jej córka tu do niej przyjechała. Ale przecież i ona ma dwóch synów na froncie, biedna kobieta. Jak miałyby pocieszyć matkę?”.

Drzwi kuchenne nagle się otwierają, Maruzza otrząsa się z zamyślenia. Odbiera od kucharza tacę i kieruje się do mieszkania rodziny. Spodziewa się, że znów będzie trzeba zmuszać donnę Giovannę do jedzenia. W ostatnich tygodniach musiała to robić niemal przy każdym posiłku. Wchodzi do pokoju.

– Zgodnie z obietnicą lekki rosół z kury – mówi radosnym tonem. – I jest też wyciskany sok z pomarańczy. Zjecie, prawda, donna Giovanna? Bo w południe odesłaliśmy pełne naczynia...

Nie słyszy odpowiedzi. Koce zsunęły się na podłogę, ciało wygięło się i osunęło na podłokietnik. Dłoń wciąż ściska zdjęcie syna. Kąciki ust opadły pod ciężarem bezbrzeżnej samotności. Spojrzenie Giovanni utkwione jest gdzieś daleko za Palermo, za horyzont. Odeszła w milczeniu, bez dzieci obok siebie. Samotna. „I być może – mówi sobie Maruzza, gdy zamyka jej oczy, a kurtyna smutku opada na jej serce – być może, mimo wszystko, jest najszcześniejszą z Floriów”.

Widziała, jak słońce wschodzi, ale oszczędzone jej będzie patrzenie na jego zachód.

\*\*\*

Pierwsze dni stycznia 1918 roku zostawiają w ustach metaliczny posmak żałoby. Franca przechadza się po Olivuzzy, ogląda każdy pokój i korytarz. W jednej dłoni ściska rękawiczki z kozłej skóry, drugą przytrzymuje futrzany kołnierz płaszcza. Za nią ubrana na czarno Maruzza i służąca w niebieskim płaszczu wytartym na łokciach. Jest jedną z niewielu, które pozostały w willi: większość służby została zwolniona z powodu ograniczeń narzuconych przez Lincha. Trzy kobiety posuwają się powoli, w milczeniu, zostawiając ślady stóp na zakurzonej podłodze. Patrzą na meble przykryte białymi prześcieradłami, zwinięte dywany, kilka przedmiotów – pióro, para okularów – zapomnianych przez kogoś.

Wchodzą do zielonego salonu. Franca zawsze lubiła ten przytulny pełen światła pokój od strony ogrodu. Ale teraz jest w nim ciemno i zimno, czuć stęchły zapach wilgoci. Otwiera drzwi na taras i podmuch wiatru rozwiewa piasek i zeschnięte liście, które spiętrzyły się pod progiem. Potem Franca się odwraca i wśród mebli dostrzega zakurzoną ramę do haftu, pokrytą pajęczynami jak nićmi utkanymi po raz ostatni przez naturę. Rama należała do jej teściowej Giovanny.

Pochowali ją w rodzinnej kaplicy kilka dni po Nowym Roku; musieli czekać na powrót Vincenza i Ignazia z frontu oraz na jej przyjazd z Rzymu. Po wielu latach Giovanna Ondes połączyła się wreszcie z ukochanym mężem i synem Vincenzem.

Dziś Franca wróciła do Olivuzzy na pogrzeb innego rodzaju. Wkrótce posiadłość zostanie wystawiona na licytację, a przedtem trzeba ją opróżnić z mebli i zdecydować, co zachować, a co sprzedać. Prosił o to Carlo Linch.

Ignazio i Vincenzo musieli wrócić na front, więc zadanie spadło na nią. Część mebli trafi do domu przy via Catania, gdzie Vincenzo zamieszka po zakończeniu wojny; inne do magazynu w Quattro Pizzi, gdzie będą czekać na lepsze czasy, lub do ich mieszkania w Villi Igiea. Reszta zostanie sprzedana.

Po to właśnie przybyła Franca: aby wybrać, co zachować z życia, które jej odbierają. Jakby nie musiała już i tak wiele oddać. Jakby nie zabrali już wszystkiego, co naprawdę się dla niej liczyło. Będzie musiała pożegnać się jeszcze z francuskimi meblami, z kandelabrami

kupionymi w Paryżu przez Giovanę, z inkrustowanymi hebanowymi szafkami, z dywanami z Aubusson, z wielką kolekcją antycznych waz i majolik, z marmurową płaskorzeźbą Antonella Gaginiego w gabinecie Ignazia. A także z obrazami Antonina Leta, Francesca De Mury, Luki Giordana, Francesca Solimeny i Francesca Lojacona. Tak, nawet z Velázquezem. Jedynie niektóre trafią do Villi Igiea. Po pozostałych pozostaną tylko ślady na gołych ścianach Olivuzzy.

Co jakiś czas Maruzza podchodzi do Franki, wskazuje na coś, „To?“, pyta. Franca odpowiada skinieniem głowy. Wówczas Maruzza tłumaczy służącej, co należy wpisać do małego notesu, który kobieta trzyma w dłoniach.

Franca wychodzi z zielonego salonu, dociera do schodów z czerwonego marmuru i zatrzymuje się na kilka chwil, by spojrzeć na to, co pozostało z ogrodu zimowego: nic poza suchymi roślinami, gołymi pniami i zgnilizną. Potem opuszcza wzrok i kieruje się do swojej sypialni. Po drodze zatrzymuje się tylko na chwilę przed gablotą zawierającą statuetki zakupione na przestrzeni lat w Saksonii, Francji i Capodimonte: grupki dzieci bawiące się samotnie lub ze szczeniakami, różne w stylu, identyczne w uśmiechach i zabawie uwięzionej w bieli porcelany.

Czyste wspomnienia z czasów, gdy niewinność wydawała się wartością.

– Te też – mówi, a jej głos nagle twardnieje. – Nie chcę ich więcej widzieć.

Otwiera drzwi do swojej sypialni. Wprawdzie nie zostało tam już prawie nic, ale Franca była tam szczęśliwa. Na tym łóżku urodzili się Giovanna, Ignazio, Igiea i Giulia, i być może w tym pokoju wciąż obecne są wspomnienia, zamknięte w płatkach róż na podłodze, w kłamce, która z trudem zamyka okiennice, w krzywym uśmiechu cherubinka pod sufitem...

„Jakie wspomnienia?“, myśli Franca ze złością. Częściej niż szczęśliwych chwil, ten pokój był świadkiem bólu i zazdrości. Mieści w sobie pustkę duszy, której jego mieszkanka już dawno nie potrafiła opanować. „Są tu tylko rzeczy, bezużyteczne rzeczy. Martwe”.

Stojąca na progu Maruzza mówi:

– Powiem służbie, aby zabrały też część wyprawy ślubnej i wysłały ją do Rzymu.

Franca się odwraca.

– Używaną bieliznę mogą oddać na cele charytatywne lub zatrzymać dla siebie... jeśli jeszcze jej sobie nie przywłaszczyły. – Ton jest lekceważący. – Na co zresztą wygląda. Myślicie, że tego nie wiem?

Maruzza jedynie kiwa głową, grymas marszczy jej suche wargi.

– Pospieszmy się. Chcę wrócić do córek.

Franca staje przed pokojem Ignazia, wskazuje suchym gestem tylko jeden mebel, wytworny mahoniowy wieszak na koszule, po czym zamyka drzwi, ponownie przechodzi przez ogród zimowy, zmierzając do jadalni.

– Precz ze wszystkim – mówi, mając na myśli zabytkowe pawie z koralu i miedzi na gzymsie kominka i ogromny parawan przed paleniskiem. Do pokojów dzieciennych, gdzie są jeszcze zabawki i książki malców, których już nie ma, nawet nie zagląda. Mija je tylko i kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „Precz”.

Udaje się do najstarszej części Olivuzzy, w której dziesięć lat wcześniej wybuchł pożar, a która następnie została odnowiona. Za te prace trzeba wciąż jeszcze płacić rachunki, a ona nie może powstrzymać myśli: „Gdyby wszystko spłonęło, przynajmniej oszczędzono by mi bólu serca”. Idzie dalej, po czym nagle zatrzymuje się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Chwyta za klamkę, ale przez dłuższą chwilę pozostaje bez ruchu.

W końcu otwiera i wchodzi.

W półmroku dostrzega fotele i sofy ustawione pod ścianami, puste konsole pozbawione kryształowych wazonów, srebrnych pater i zegarów ze złoczonego brązu, zwinięte dywany, stoły pokryte zakurzonymi tkaninami. Patrzy w górę na żyrandole z Murano, matowe od kurzu, i na złoczone sztukaterie sufitowe uwięzione w sieci pajęczyn. Jednak tym, co wydobywa z jej płuc żałobne westchnienie, jest cisza.

W tej sali nigdy nie panowała cisza.



Było to królestwo muzyki, śmiechu, pogawędek, szelestu toalet, brzęku kieliszków, stukania obcasów. Sala balowa Olivuzzy.

Franca posuwa się do przodu, zatrzymuje się na środku pomieszczenia i rozgląda dookoła.

I nagle widzi postacie, które wymknęły się prawom czasu. Mężczyzn i kobiety, których już nie ma, ale którzy niegdyś tu byli, uśmiechali się, tańczyli, kochali. Słyszy ich głosy, a oni zdają się jej dotykać. Wśród nich jest też i ona, cień pośród cieni: młoda, piękna, z Ignaziem, który kładzie rękę na jej talii i śmieje się, i patrzy na nią z pożądaniem. Niedaleko znajdują się Giulia Trigona i Stefanina Pajno oraz Maria Concetta i Giulia Lanza di Trabia. W powietrzu unosi się aromat jej ulubionych perfum, La Marescialla. Są wachlarze z satyny i masy perłowej, puchary do szampana, białe rękawiczki, diamentowe bransolety, koronki i karneciki oprawne w jedwab. Są nuty mazurka i polki, i walca...

Ale to tylko chwila, to tylko efekt kurzu podniesionego przejściem służącej, która uchyliła okiennice, żeby wpuścić trochę światła, i teraz wpatruje się w nią, czekając na polecenia.

Kolejny krok. Cienie się rozplývają, kurz osiada.

Franca wychodzi z pokoju, nie odpowiadając na pytające spojrzenie Maruzzy, która pozostaje nieruchoma o chwilę za długo, a następnie musi ją gonić.

– Trzeba wziąć serwis z saskiej porcelany i srebrne sztuce – mówi Franca.

Maruzza kiwa głową, zwraca się do służącej.

– Zapisz. Dodałabym jeszcze srebrne naczynia z dużej szafy i kryształ, prawda, donna Franca?

Ale Franca nie słucha. Jest zmęczona tą listą, zmęczona zmaganiem się ze wspomnieniami, które wywołuje w niej każdy, nawet najbardziej nieistotny przedmiot. Krzesło, na którym d'Annunzio siedział podczas kolacji po przedstawieniu *La Gioconda* w Teatro Massimo. Fortepian, na którym Puccini zagrał *Che gelida mano*, a z którego przez krótki czas korzystały także jej dzieci. Stół, na którym wraz z Ignaziem rozłożyła duże arkusze papieru, by rysować meble dla Villi Igiea. Aparat fotograficzny, który Vincenzo

podarował swojemu starszemu bratu, a on robił nim zdjęcia w ogrodzie Hôtel Métropole, zanim...

Spogląda na przedmioty, które zdają się ją wołać, a potem przyspiesza kroku, niemal biegnie w stronę drzwi wyjściowych, jakby te rzeczy ją goniły. „Losem człowieka jest być szczęśliwym i nie zdawać sobie z tego sprawy. Jego przekleństwem jest marnowanie czasu szczęścia bez świadomości, że jest on rzadki i niepowtarzalny. Że pamięć nie może oddać ci tego, czego doświadczyłaś, a zamiast tego odda ci miarę tego, co straciłaś”, myśli Franca, podczas gdy dwie pozostałe kobiety rozmawiają o lnianych obrusach i srebrnych widelcach. Patrzy na nie i ogarnia ją bezgraniczny smutek. Chciałaby się rozplakać i zawołać: „Myślicie o rzeczach, a ja myślę, że te rzeczy wkrótce nie będą już należały do mnie, podczas gdy kiedyś mówiły o mnie, o Ignaziu, o naszych dzieciach, o tej rodzinie. Ale miłość uciekła, pozostawiając mi jedynie zmarszczki goryczy. Czy wiecie, co naprawdę znaczy czuć się kochaną? Mieć nadzieję, że będzie się kochaną? Czuć się nieskończenie samotną?”.

Pozostaje nieruchoma i milcząca. Bo mimo wszystko nadal jest donną Francą Florio. I wolno jej pokazywać światu tylko jedną twarz – tę dumną.

W końcu trzy kobiety wsiadają do samochodu, by wrócić do Villi Igiea. Franca czuje, że serce jej się rozjaśnia, gdy odjeżdża coraz dalej od domu, w którym bywała przecież szczęśliwa. Za kilka dni wraz z córkami wróci do Rzymu. Palermo ze swym nieprzejrzystym, zimnym światłem zostanie daleko, a ona będzie mogła przestać wspominać.

Franca nie wie, że w ciągu kilku lat nawet pamięć o tym domu i o tym parku wyblaknie. Że wszystko trafi w ręce spółki budowlanej, która podzieli park na działki, usunie z niego niemal wszystko i postawi budynki tam, gdzie stała woliera i neoklasyczna świątynia, gdzie ciągnęły się aleje obsadzone krzewami róż i tropikalnych roślin, gdzie bawiły się jej dzieci, a Vincenzo ścigał się automobilem.

Nie usłyszy głosu pił ścinających prastare drzewa ani uderzeń siekierą łamiących pnie juk i dracen. Nie zobaczy wyrwanych

z korzeniami żywopłotów ani płomieni, które strawią winorośl dawniej oplatającą altanę.

Niewiele się uratuje z tego bujnego ogrodu. Dwie palmy zamknięte na skrawku ziemi, widoczne z jednego z okien nowo zbudowanej kliniki. Kwietnik w miejscu, gdzie był salon z widokiem na ogród. Drzewo oliwne obok wejścia, szczególnie drogie senatorowi Florio, zamknięte w betonowej wannie na parkingu.

Wokół małej willi zaprojektowanej przez architekta Basilego – gdzie kochali się Vincenzo i Annina – pozostanie niewielki teren zielony. Ktoś będzie nawet próbował podpalić ten swoisty domek z bajki, by zbudować tam kolejną kamienicę, kolejne betonowe monstrum. Los zadecyduje inaczej.

Ale to już inna historia.

\*\*\*

W lutym 1918 roku niebo jest olśniewająco niebieskie. Niespodziewany prezent po dniach deszczu. Front nad rzeką Piave znajduje się zaledwie kilka kilometrów dalej: smugi dymu wznoszą się jak kolumny i gęstnieją w chmury zakrywające horyzont. Włoskie i austriackie armaty milczą, to znak, że obie armie przygotowują się do ofensywy. Wkrótce haubice znów zagrzmia i żołnierze wyjdą z okopów, by kosztem dziesiątek, a nawet setek ofiar zdobyć mały skrawek ziemi. Strach przed śmiercią w ataku na bagnety jest tak wielki, że niektórzy celowo się okaleczają lub poddają infekcjom, aby nie walczyć. Tyle przynajmniej powiedzieli Ignaziowi, a on temu wierzy.

Zatrzymuje ambulans w niewielkiej odległości od budynku otoczonego namiotami i oznaczonego czerwonym krzyżem. Jest to gospodarstwo przekształcone w szpital polowy. Rzędy mężczyzn na noszach – niektórzy obandażowani, inni czekający na leczenie, jeszcze inni umierający lub już martwi.

Ignazio wysiada i idzie ostrożnie błotnistą ścieżką usianą ciemnymi plamami, które nauczył się już rozpoznawać. Powiedziano mu, że krew wojny ma tylko jeden kolor, ale to nieprawda. Jest

ciemnoczerwona, gdy tryska z rany. Czarna, kiedy sączy się z trupów. Z namiotów dobiega zapach jodyny wraz z przekleństwami, krzykami, jękami. Ignazio dochodzi do namiotu w pobliżu tego, co kiedyś było stajnią. Wchodzi. W pierwszej chwili ma wrażenie, że zajmują go wyłącznie kobiety ubrane na biało, zakonnice i pielęgniarki. Ranni wydają się tu spokojniejsi, ale nie trzeba wiele czasu, by pojąć grozę tego miejsca: wszyscy są okaleczeni, niektórym pociski oderwały nawet część twarzy.

Jedna z kobiet pochylająca się nad łóżkiem rannego prostuje się, dostrzega go i podnosi rękę w geście pozdrowienia. Następnie ociera rękę o fartuch i podchodzi.

– Nie spodziewałem się ciebie tak szybko.

Wojna była okrutna także dla Very Arrivabene: o ile zmęczeniu i podkrążonym oczom można zaradzić, o tyle nic nie wyprostuje jej zgarbionych pleców i nie wymaze głębokich zmarszczek wokół ust.

Ignazio gładzi wierzch jej brudnej dłoni.

– Chciałem cię zobaczyć. Wygląda na to, że ataki się nasilają.

Vera głaszcze go po ramieniu.

– Tak. Teraz przywożą tych biedaków dziesiątkami. Jak się trzymasz?

– Trzymam się.

Prosi, by wyszła z nim na zewnątrz. Siadają na ławce pod kruszącym się murem, Ignazio zapala papierosa. Jego ręce lekko drżą.

– Wiadomości z Palermo nie są dobre. To, co zostało z Domu Florio, wygląda jak igraszka jakiegoś złego bóstwa. Udało mi się przynajmniej zapłacić za prace wykonane w Olivuzzy i Villi Igiea; ta historia ciągnęła się przez całe lata. I zatwierdziliśmy Lincha jako administratora do kwietnia dwudziestego szóstego roku. Oczywiście z godziwą pensją. – Robi pauzę, patrzy na Verę, głaszcze ją po policzku. – Przepraszam. Jak zwykle zrzucam na ciebie swoje kłopoty i nawet nie zapytałam, co u ciebie.

Ona pochyła głowę.

– Wczoraj siedziałam przy biednym człowieku, który stracił nogi, rolniku z Frosinone. Umarł na moich rękach. Był przerażony, bo jego syn też dostał wezwanie, więc nikt już nie uprawia jego ziemi,

żona i córki przecież nie pójdą za pługiem. Bolało mnie, gdy widziałam, jak desperacko się mnie trzyma. A ja nie mogłam nawet dać mu morfiny...

– Wiem. Widzę ich. – Ignazio oddycha głęboko. – To, co się dzieje, jest absurdalne. Wzywają już do poboru rocznik dziewięćdziesiąty dziewiąty, właściwie jeszcze dzieci. – Wpatruje się w jakiś odległy punkt. – Martwię się o Manfrediego, syna Giulii. Teraz jest w Wersalu, jako oficer przy Stałym Komitecie Międzysojuszniczym, ale wiem, że nie może się doczekać powrotu do walki. A jej drugi syn, Ignazio...

– Wiesz coś?

– W ciągu trzech miesięcy od zniknięcia jego samolotu najpierw powiedziano nam, że jest w Szwajcarii, a potem, że dostał się do niewoli w Niemczech... Mam złe przeczucia.

– A Vincenzo?

Ignazio zaciąga się papierosem.

– Mój brat jest niedaleko stąd, przynajmniej tak mi się wydaje. Napisał mi, że nadal wprowadza modyfikacje do swojej ciężarówki, mimo że jest w produkcji już od dwóch lat. Widziałem kilka z nich: naprawdę potrafią się wspinać po górskich ścieżkach tak stromych, że nie wiedziałabyś, jak poradzić sobie z nimi w inny sposób. Szczęściarzem z niego! Wystarczy mu klucz francuski i kilka śrubek, by zapomnieć o całym świecie!

Vera ujmuje jego twarz w dłonie, całuje go w usta.

– Czy jestem okropną osobą, jeśli powiem, że jestem szczęśliwa, że siedzę tu teraz z tobą?

– Nie, jesteś cudowną osobą. – Ignazio przeczesuje palcami kosmyk włosów, który wysunął się jej spod czepka. Choć wycieńczona, Vera wciąż jest dla niego piękna. Nawet jeśli w jej oczach pojawiła się rozpacz. Nawet jeśli te zmarszczki nigdy nie znikną. – Jesteś odważną kobietą, która nie boi się działać w obłąkanym świecie.

Vera obejmuje go i pozostają tak przez długi czas, w milczeniu.

Ale myśli Ignazia zwracają się ku Francji. Nie widział swoich córek od miesięcy, ale cieszy się, że są z nią bezpieczne. Jeśli chodzi o jego żonę, to Ignazio szybko się orientuje, że postanowiła trzymać

się z dala od fali śmierci. Oczywiście uczestniczy w komitetach pomocy i organizuje zbiórki pieniędzy dla żołnierzy na froncie, ale nie ma pojęcia, co to znaczy nosić zakrwawionych mężczyzn, widzieć zniszczone domy i wioski, drzeć przy każdym wybuchu.

Próbował jej to opisać w kilku listach, szukać jej zrozumienia, ale na próżno. Jakby nic już nie mogło jej dotknąć, jakby jej emocje były rozmyte, niewyraźne. Śmierć jej dzieci i utrata domu to nie tylko wciąż niezabliźniona rana: to rana, którą ona sama nieustannie naciera solą, by przekonać siebie, że jej ból jest większy niż jakikolwiek inny na świecie. Jakby już nie mogła się obejść bez tej myśli.

Wielkie cierpienie jest egoistyczne, nie dopuszcza porównań. Zna tylko to zniszczenie, które zadaje zamieszkiwanej przez siebie duszy.

To także ich od siebie oddziela.

\*\*\*

– Florio!

– Tutaj!

Vincenzo wysuwa się spod naprawianej przez siebie ciężarówki, wstaje i pędzi do żołnierza roznoszącego pocztę. Od śmierci matki otrzymuje niewiele listów, więc zaskakują go aż trzy koperty z jego nazwiskiem.

Waży je w dłoniach, po czym szuka spokojnego miejsca do czytania i znajduje je w kącie warsztatu. Jeden jest od brata, drugi od francuskiej modelki, którą poznał w Paryżu dwa lata wcześniej, Lucie Henry. Romans, który zaczął się przypadkiem i może się przerodzić w coś poważnego. Ale to nie jest moment, żeby się nad tym zastanawiać – mówi sobie, odkładając kopertę na bok. Trzeci list jest od jego siostry Giulii.

Ignazio informuje go o tym, co Linch robi dla ich interesów. Fabryka hydroplanów, którą Ducrot założył w Mondello, a w której Vincenzo ma udziały, nareszcie prosperuje. Florio uśmiecha się z zadowoleniem. Jego pomysł okazał się trafiony. Następnie przebiega wzrokiem przez linijki, w których Ignazio opisuje, że

Olivuzza została opróżniona i jeśli brat chce zabrać jakieś meble do swojego mieszkania, to znajdują się one teraz w magazynach na Arenelli. Z nutką współczucia Vincenzo myśli, ile musiało kosztować Francę wybranie tego, co zachować, a co sprzedać. On nigdy nie miałby tyle odwagi. Kiedy wojna się skończy – bo musi się skończyć, powtarza sobie od niepamiętnych czasów – przeniesie się na dobre na via Catania. Nowy budynek, nowa historia; bez wspomnień, bez bólu.

Bo niekiedy przeszłość jest przekleństwem, gładem na duszy, którego nawet siłą woli nie da się unieść. I o tym właśnie myśli, gdy otwiera list od siostry. Pismo Giulii jest drobne i kanciaste, a papier dziwnie pofalowany. Vincenzo zaczyna czytać, najpierw z roztargnieniem, potem pospiesznie, w końcu czyta jeszcze raz i znowu.

To prawda, co mówią: złamane serce nie robi hałasu.

Nieważne, jaka jest tego przyczyna: żałoba, strata czy nigdy niezapomniana albo nieprzeżyta miłość. Rana jest otwarta i boli. Z biegiem lat może się zasklepić, ale blizna jest gotowa znów się otworzyć w chwili, gdy uderzy w nią nowe ostrze.

A to ostrze nosi imię Manfredi.

Po długim pobycie we Francji żądny walki siostrzeniec Vincenza, Manfredi, wrócił do Włoch. Zginął kilka dni temu, 21 sierpnia 1918 roku. Odłamek trafił go w głowę. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata.

Vincenzo już rozumie, co tak odkształciło papier.

Łzy.

Giulia, podobnie jak Ignazio, również patrzy na śmierć swoich dzieci. Dwadzieścia pięć lat temu umarł Blasco, teraz zginął Manfredi. Od ośmiu miesięcy nie ma żadnych wieści o Ignaziu. Jedyńm synem, który jej pozostał, jest Giuseppe, ale on też jest w wojsku.

Vincenzo opiera się o ścianę i zsuwa się na podłogę, bo nogi zrobiły się miękkie; jego oczy wypełniają się łzami i ociera je, żeby nikt nie widział, że płacze. Wspomina swoich siostrzeńców i długa seria obrazów zalewa jego duszę, a wraz z nimi przychodzą ból, żal i smutek.

Byli razem na Favignanie, na pokładzie „Sultany”, podróżowali, ścigali się na welocypedach w parku Olivuzzy. Vincenzo ponownie przeżywa moment, kiedy pokazał im pierwszy motocykl, który podarował mu Ignazio. I choć jego starszy brat kazał im mówić do siebie „wuju”, on nigdy tego nie oczekiwał: różnica wieku była zbyt mała. Byli towarzyszami najpierw dziecięcych zabaw, a później szalonych młodzieńczych eskapad.

Jego serce jest jak ołów. Wstrząsa nim szloch, potem kolejny. Ból jest jak gorący, ciężki pocisk penetrujący jego wnętrze. Stracił Ignazia i Manfrediego. Jak Anninę, która nie zdążyła nawet dać mu dziecka. Jak matkę, z którą nie mógł się pożegnać. Jak Olivuzzę.

Jak wszystko, co było jego, a czego nie potrafił zatrzymać.

\*\*\*

Koniec wojny nie przyniósł końca cierpień. „Może na takie rzeczy jest jeszcze za wcześnie”, myśli Franca, patrząc na stosik kart na małym stoliku z różanego drewna przy wejściu do jej mieszkania w Villi Igiea. Podnosi je, przegląda, ale już wie, że tymi bilecikami Palermo odrzuca zaproszenie na przyjęcie, które chciała zorganizować za miesiąc, w połowie lutego 1919 roku. Miała nadzieję, że przywróci hotelowi świetność, ale na razie jej wysiłki są daremne. Za dużo żałoby, za dużo zniszczeń: miasto potrzebuje ciszy i spokoju, by osuszyć łzy. A niedawna przeszłość willi jako szpitala wojskowego z pewnością nie pomaga.

Zmęczonym gestem odkłada bilety na bok i kieruje się na balkon z widokiem na park. Opatulona w jasnoniebieski płaszczyk prawie dziesięcioletnia Giugiù próbuje namówić gospodynię, by zabrała ją nad brzeg morza, które dziś jest wyjątkowo wzburzone. Natomiast Igiea, osiemnastolatka, z pewnością zamknęła się w swoim pokoju i czyta, być może jedną z tych angielskich powieści, które często kupuje w Rzymie. Franca przekartkowała kilka stron książki znalezionej na szafce nocnej córki: *Podróż w świat* Virginii Woolf, ale natychmiast zamknęła ją ze złością. Historia o parach, które się za



sobą uganiają, a potem się odrzucają, wydała jej się nieprzyjemnie znajoma.

Musi być wdzięczna, że jej córki nie ucierpiały zbyt wiele z powodu wojny, choć rodzina z pewnością nie wyszła z niej bez szwanku. Vincenzo powrócił do Palermo i wznowił działalność organizatora zawodów sportowych i imprez miejskich. Od czasu do czasu opuszczał swoje mieszkanie przy via Catania, by przyjechać do Villi Igiea i odwiedzić bratanice, ale choć zawsze starał się być przy nich pogodny, widać było, że wojna zostawiła na jego duszy inne blizny obok tej nieusuwalnej, jaką była śmierć Anniny. Jeśli chodzi o Ignazia, to nadal przebywa w Rzymie z Verą, coraz pracowiciej angażując się w sprawy, o których Franca wiedziała niewiele lub nic, poza tym, że z pewnością nie rozwiązywały ich problemów finansowych. Widzieli się po jego powrocie z frontu i Franca prawie nie rozpoznała męża w przygarbionym pięćdziesięcioletnim mężczyźnie o twarzy pokrytej bliznami i matowym spojrzeniu. Przygniotła go również tragedia Giulii: żywiona jeszcze po śmierci Manfrediego nadzieja na odnalezienie jej drugiego syna, Ignazia, rozwiąła się bezpowrotnie, gdy rok po zaginięciu znaleziono jego zwłoki... a raczej to, co z nich zostało. Od tamtej pory Giulia, podobnie jak jej matka, nie zdejmowała żałobnej czerni i żyła zamknięta w palazzo Butera, nie widując nikogo, nawet rodzonych braci. Na szczęście jej syn Giuseppe nie tylko przeżył wojnę, ale został mianowany specjalnym sekretarzem premiera Włoch na konferencji pokojowej w Paryżu. Zaś Giovanna zaręczyła się z Ugiem Moncadą di Paternò, a Sofia także na pewno wkrótce znajdzie męża. Przynajmniej dla tych trojga życie toczyło się dalej.

„Tak, ale na pewno nie życie takie jak wcześniej. Więc jakie?”, zastanawia się Franca.

Świat zrodzony z popiołów wojny jest dla niej obcy, niemal odpychający. Ten świat usunął z powierzchni ziemi ludzi takich jak kaiser Wilhelm II, zgasił światła całej epoki, a teraz błądzi w ciemnościach. I to sprawia, że Franca czuje się stara, choć ma dopiero czterdzieści pięć lat.

Postanawia usiąść przy biurku, by przeczytać korespondencję. Towarzystwo Pań z Giardinello prosi ją o pomoc dla kilku młodych

wdów wojennych, Stefanina Pajno zaprasza ją na wieczór muzyczny, trzeba napisać podziękowania dla...

Rozlega się pukanie do drzwi. Natarczywy, niezwykły dźwięk. Jedna z hotelowych pokojówek otwiera i z kimś rozmawia. Wtedy Franca słyszy znajomy głos: „Donna Franca! Donna Franca, proszę, muszę z wami porozmawiać...”. Wstaje z westchnieniem i idzie do drugiego pokoju.

Diodata, jej osobista służąca w Olivuzzy. Przez chwilę rozwija się między nimi wstęga wspomnień i Franca pozwala sobie na uśmiech. Ileż razy ta kobieta układała jej włosy? Ile sukien dla niej przygotowała? Zawsze była uważna, dyskretna. Nawet – i szczególnie – podczas kłótni z Ignaziem.

Franca uśmiecha się do niej, podchodzi i wpuszcza ją do środka, zwalniając pokojówkę.

– Dobrze wyglądasz – mówi, chociaż wie, że kłamie.

Stojąca przed nią kobieta stanowi tylko cień krzepkiej, rumianej dziewczyny, która spędziła tyle lat w jej służbie. Jest chuda, ma zmarszczki, nosi bezkształtny kapelusz i połatany płaszcz.

– Dziękuję. Wy też, signora, macie się bardzo dobrze. – Diodata pochyła głowę. Jest zakłopotana. – Donna Franca, wybaczcie mi, że przychodzę tak po prostu, nie napisawszy wam nawet bileciku. Wiem, że tak nie wypada. Ale, widzicie, słyszałam, że wróciliście z Rzymu, a tylko wy, z wszystkich ludzi, których znam, możecie mi pomóc. – Jej oczy wilgotnieją. – Błagam was, donna Franca. Jestem zdesperowana! – Uderza się pięścią w czoło. – Pamiętacie, dlaczego się zwolniłam? Tanino Russello, rolnik, który przywoził warzywa ze wsi i miał kawałek ziemi blisko przysiółka San Lorenzo, poprosił mnie o rękę. – Zarumieniła się. – Oboje byliśmy samotni i uznaliśmy, że możemy spróbować być razem. Dzieci się nie pojawiły, ale on, jeśli pamiętacie, miał swoje lata i utykał. Dlatego nie poszedł na wojnę i wydawało się, że to błogosławieństwo. Ale trzy miesiące temu przyszedł do domu z kaszlem. Matko Najświętsza, jak on strasznie kaszłał! A następnego dnia rano dostał takiej gorączki, że przestraszyłam się i wezwałam lekarza. Ale lekarz nie przyszedł od razu, bo powiedział, że w całym Palermo jest wiele takich przypadków jak mojego męża i że to вина tej, jak ją

nazywają, hiszpańskiej grypy. Dziesiątki ludzi męczy gorączka, która nie chce ustąpić, mają bóle szyi i nie mogą oddychać, w końcu wyrzucają krew ustami i umierają. I tak właśnie się stało. Po czterech dniach bardzo wysokiej gorączki Tanino zaczął się dusić i pluć krwią, a następnego dnia rano już go nie było. – Podnosi głowę. W jej spojrzeniu są ból, zmaganie, rozpacz. – Ja też ją miałam, tę hiszpankę, zaraz po nim, ale Pan nie chciał mnie zabrać. I tak tu wciąż jestem na tej ziemi, musiałam sprzedać ten kawałek roli, którą uprawiał i z której udawało nam się utrzymać, ale te pieniądze mi się kończą, bo ziemia nie jest już nic warta, nic. Sama jestem i wzgardzona, kiedy umrę, zostaną po mnie tylko kości. Jeśli nie znajdę kogoś, kto przyjmie mnie na służbę... – Łapie ją za rękę. – Błagam was, donna Franca, weźcie mnie z powrotem, choćby na trochę. A może któraś z waszych przyjaciółek potrzebuje...

Przytłoczona zalewem słów Franca odruchowo robi krok do tyłu.

Ta gwałtowna i często śmiertelna grypa nie była dla niej nowością: donoszono o niej już w czasie wojny, ale gazety poświęcały jej tylko kilka linijek, apelując o ostrożność lub informując, że to czy tamto miejsce publiczne zostało zdezynfekowane. Wśród jej znajomych nie było chorych, Franca uznała zatem, że w Palermo nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Diodato, co ty mówisz? Czy to możliwe, że hiszpańska grypa dotknęła tak wielu ludzi również tutaj?

Kobieta energicznie przytakuje.

– Nie macie pojęcia, ile osób zmarło, donna Franca. Ci, co mieszkali daleko od miasta, w kierunku morza lub na wsi, ci się uratowali, ale biedni ludzie w mieście... w Castellammare, w Kalsa, w Noce, w Zisa... nie ma domu, gdzie by nie było przynajmniej jednego chorego lub zmarłego. – Wykręca sobie rękę. – Jedni zabarykadowali się w domach, inni codziennie prali ubrania mydłem siarkowym. Byli nawet tacy, co zasłaniali twarz szmatami. Ale niewiele to dało.

Franca jest oszołomiona. Groza choroby zamienia się w obezwładniającą falę, która zamazuje jej wzrok i sprawia, że wspomnienie śmierci Giovannuzzy powraca w całym swym okrucieństwie.

– Moje córki... – jęczy, wpatrując się w Diodatę z mieszaniną przerażenia i niedowierzania.

– Znam tylko was, przez dwadzieścia lat wam służyłam. Proszę, nie zostawiajcie mnie na środku drogi. Jestem silna, umiem pracować. Gdybym mogła, wyjechałabym do Ameryki, jak niektórzy pracownicy kuchni. Ale nie mam pieniędzy na jedzenie, a co dopiero na wyjazd.

Franca prawie jej nie słucha. W jej głowie uformowała się jedna myśl i teraz niepodzielnie zajmuje cały jej umysł: „A jeśli Diodata nadal zaraza?”. Nie może przebywać w towarzystwie tej kobiety ani minuty dłużej. Nic nie mówiąc, idzie do swojego pokoju, otwiera szufladę i wyciąga kilka banknotów. I właśnie wtedy przychodzi jej coś do głowy. Staje, rozważa to, po czym wyciąga pióro i papier, pisze kilka linijek. Wkłada pieniądze i banknot do koperty, po czym szybkim krokiem wraca do salonu.

– Nie mogę cię przyjąć z powrotem, Diodato, naprawdę nie mogę. Ale weź to – mówi, podając jej kopertę. – Jest tam trochę pieniędzy wraz z wiadomością do mojego szwagra Vincenza. Powiedziałaś, że chciałybyś pojechać do Ameryki, prawda? Idź do niego na via Roma, powiedz, że ja cię przysyłam. Napisałam mu, by jeśli to możliwe, kupił ci bilet na najbliższy parowiec.

Diodata bierze kopertę, nie dowierzając. Wybuchła płaczem.

– Och, donna Franca, dziękuję! Wiedziałam, że jesteście świętą osobą! – Zbliża się do niej, próbuje ucałować jej dłoń, ale Franca uchyla się.

– Daj spokój, nie musisz mi dziękować za tak niewiele.

Kobieta patrzy na nią, wyciera oczy, przepełniona wdzięcznością, która jeszcze bardziej krępuje Francę.

– Nigdy was nie zapomnę – mówi. – W moich modlitwach zawsze będziecie wy i wasze dzieci, te żyjące i te, co są aniołami. Zawsze byliście dla mnie dobra i nadal jesteście.

Franca łapie za klamkę.

– Idź szybko na via Roma – powtarza i prawie chowa się za drzwiami. – Żegnaj, Diodato, i niech ci się powiedzie.

Zamyka drzwi, choć tamta nadal powtarza podziękowania i błogosławieństwa, po czym biegnie do łazienki, szuka siarkowego

mydła. Gorączkowo myje ręce i przedramiona.

Ale nie tylko hiszpańskiej gorączki się boi, nie. Przede wszystkim boi się tej biedy, którą zobaczyła w Diodacie, chce się pozbyć tego poczucia brudu, tymczasowości, nędzy. Wyrzutów sumienia, świadomości tego, co oznacza upadek Domu Florio. Bo nie tylko jej życie się zmieniło. Zmieniło się życie wielu innych osób, i to na gorsze. Tej odpowiedzialności Franca nie jest w stanie udźwignąć.

\*\*\*

„Rzym jest piękny, ale też męczący. Przebywanie w Paryżu jest jak znalezienie się we wnętrzu obrazu Pissarra. Wizyta tutaj od czasu do czasu dobrze robi na serce...”. Kwietniowe słońce gładzi okna budynków przy rue de la Paix i przed oczami Franki tańczą wspomnienia lekkie jak welony: miesiąc miodowy, spacery nad Sekwaną z przyjaciółmi, wyścigi konne w Grand Palais, wieczory w operze. „Jakby nic złego nie mogło się tu wydarzyć”, myśli i uśmiecha się, słuchając Igiei i Giugiù rozprawiających o kapeluszach, jakie widziały w Café de Paris, gdzie zatrzymały się na obiad. Igiei nie podoba się nowa moda, która zakazała kwiatów i chce tylko wstążek i piór. Za to Giugiù jest jej entuzjastką.

Od dwóch lat Franca mieszka w Rzymie, w apartamencie Grand Hotelu. I to nie tylko dlatego, że w tym mieście może podkreślić swoją rolę damy dworu, ale przede wszystkim dlatego, że wszystko jest tu prostsze: mniej służby, mniej wydatków. Gdy jednak na początku wracała na kilka dni do Villi Igiea i siadała w małej świątyni z widokiem na morze, wydawało jej się, że słyszy, jak Palermo ją wzywa. Miasto chciało odzyskać swoją królową, jej beztrudne przyjęcia, aplauz w teatrze, walce tańczone do białego rana, *gelo di mellone* jej *monsù*. Ale nawet ten głos ucichł i jest już tylko szeptem. „Być może Palermo zdało sobie sprawę, że kiedy szczęśliwe czasy się skończyły, pozostaje już tylko nadzieja, że ktoś będzie o nich pamiętał”.

Jedyne, do czego Franca nie może przywyknąć w Rzymie, to wszechobecność polityki. Każde wydarzenie we Włoszech odbija się

tu natychmiastowym, konkretnym echem. Wszystko, co wcześniej docierało do niej przez filtr gazetowych reportaży czy czyjeś opowieści, teraz wydaje się bliższe i często groźniejsze. Jak choćby ten straszny zamach w Teatro Diana w Mediolanie kilka tygodni wcześniej, w którym zginęło co najmniej piętnaście osób, w tym mała dziewczynka. Następnego dnia Rzym był pełen flag z żałobnymi wstęgami, a całe miasto pogrążyło się w otchłani smutku. No i jeszcze te strajki i ciągłe starcia między socjalistami a faszystami. Kto wie, czy ten Benito Mussolini, który zaledwie kilka dni wcześniej odwiedził Gabriele'go d'Annunzio w Gardone Riviera, jest naprawdę właściwym człowiekiem, by przywrócić porządek we Włoszech?

– Czy mnie słyszysz, Mutti<sup>65</sup>? – Igiea klepie ją po dłoni. – Moja przyszła teściowa oczekuje, że pokażę jej suknię ślubną, gdy będzie już prawie gotowa. Zamierza podarować mi jakąś rodzinną biżuterię i chce mieć pewność, że będzie pasować.

– Tak, mnie też o tym wspominała, podobnie jak o tym, że wolałaby włoskie atelier. – Wzrusza ramionami. – Worth to dom mody, z którego my, Floriowie, zawsze korzystaliśmy. Jest najlepszy i chcę, żebyś miała na twój ślub to, co najlepsze. – Już wyobraża sobie protesty Carla Lincha („Donna Franca, obiecaliście mi ograniczenie wydatków!”) i wyrzuty robione przez Ignazia. Ale jej to nie obchodzi. Chce, by Igiea miała taki ślub, jakiego ona mieć nie mogła.

Giulia marszczy brwi.

– A co ze mną? – pyta, nie ukrywając dziecięcej zazdrości.

– Z tobą, Giugiù, pójdziemy na boulevard des Capucines, do Liberty.

Franca pochyla się do młodszej córki, obdarza ją pieśczołą.

– O, ostatnio byłam tam z Maruzzą. Tęsknię za nią, wiesz?

– Ja też za nią tęsknię – wzdycha Franca.

Minął prawie rok od ślubu Maruzzy z hrabią Galantim, dyrektorem Villi Igiea. Późne małżeństwo dla obojga, związek z rozsądku, pozwalający damie do towarzystwa Franki uciec przed burzami, które nie oszczędzały Domu Florio. Kiedy Maruzza

przekazała jej tę wiadomość, Franca jedynie skinęła głową i wypowiedziała parę słów zrozumienia. Natomiast córki urządziły jej wielkie święto i długo ją przytulały.

„Cóż za wspaniałe córki. Jak dwa kwiaty”, myśli Franca.

Giugiù ma dopiero dwanaście lat, ale już rozkwita. A Igiea, dwudziestojednoletnia, jest bardzo pogodną młodą damą o delikatnej twarzy i pięknych smukłych dłoniach. Na palcu serdecznym lewej ręki nosi pierścion, który diuk Averardo Salviati podarował jej z okazji ich zaręczyn. Mają się pobrać za kilka miesięcy, 28 października 1921 roku. Poznali się podczas wakacji w Abetone, miejscu pełnym wspomnień dla Franki: to tam poznała Giovannę i tam Ignazio poprosił ją o rękę.

Czułość i melancholia mieszają się na chwilę. Franca jest szczęśliwa, że Igiea znalazła mężczyznę, który kocha ją czule i ma prestiżowy tytuł. Nie mogła marzyć o lepszej partii dla swojej małej, choćby dlatego, że warunki ekonomiczne Floriów z pewnością nie uległy poprawie. Wręcz przeciwnie. Ale ma też nadzieję, że ten związek nie będzie przypominał jej małżeństwa z Ignaziem. Że będzie spokojny. Że będą się kochać i szanować. „Dlaczego miałyby być inaczej? – mówi sobie w duchu dla uspokojenia. – Nie mam powodu, by tak myśleć”.

Docierają do Wortha, ale gdy mają wejść, do Franki podbiega mały chłopiec ubrany w marynarski strój i przytula się do jej nóg.

– *Le carrousel! Je veux monter sur le carrousel!*<sup>66</sup> – woła, potrząsając blond lokami.

Zaraz za nim pojawia się zdyszana niania, po tyśiąckroć przeprosza Francę i w końcu odciąga malca, który rozpaczliwie płacze.

Giugiù się śmieje, ale uwagi starszej córki nie uszło nabrzmiałe smutkiem spojrzenie matki. Igiea była bardzo mała, gdy Giovannuzza i Baby Boy umarli, ale nosi w sobie ich pamięć. Podchodzi do Franki, obejmuje ją.

– *Mamma* – szepce.

Franca z trudem powstrzymuje łzy.

– Przepraszam, jeśli nie byłam w stanie zapewnić tobie i Giugiù pogodnego życia.

– Nie mów tak – odpowiada Igiea. – Zawsze byłaś cała dla nas. A papa, cóż, popełnił wiele błędów, ale nigdy nie brakowało nam jego miłości – dodaje spokojnym głosem. – Ta kobieta, z którą jest, nigdy cię nie zastąpi. Teraz, kiedy mam Averarda, rozumiem wiele rzeczy. Na przykład że można kochać dwie osoby w tym samym czasie, ale inną miłością. Papa, być może, potrzebuje obu.

– Nie – syczy Franca, podnosząc głowę. Otwiera się niezabliźniona rana, przepuszcza strużkę bólu. – Jeśli podzielisz miłość mężczyzny i kobiety, to ona się roztrzaska. Oddałam mu całą siebie, podczas gdy on... On nie wie, co to znaczy kochać. Bo nigdy nie potrafił się mną naprawdę zająć. Nie wiedział jak ani nie potrafił zrozumieć, że czasem trzeba zrezygnować z czegoś swojego, by pozwolić drugiej osobie być szczęśliwą. Będę go nadal kochać, bo jest moim mężem i twoim ojcem, ale...

Igiea prostuje się, patrzy matce w oczy, ściska jej rękę.

– Ale zawsze będziecie blisko. I to jest jedyna rzecz, która naprawdę się liczy.

\*\*\*

Vincenzo oddycha głęboko ciepłym paryskim powietrzem. Uśmiecha się, po czym patrzy na idącą obok niego kobietę i całuje ją w czoło. Ona się śmieje, spontanicznie, srebrzyście, z życiem. Ma czarne włosy, ciemne oczy, doskonały nos. Twarz zdradzającą swobodny, wesoły charakter.

Trudno mu uwierzyć, że znalazł kobietę, która chce być blisko niego, mimo jego ciągłych wahań nastroju. Lucie Henry pojawiła się w jego życiu przypadkiem, ale nie przypadkiem została. Przetrwali wojnę i teraz żyją razem między Paryżem a Palermo.

Przytulona do niego, Lucie odwzajemnia jego spojrzenie.

– Czy myślisz, że twoja szwagierka ucieszy się na mój widok? Ostatnim razem nie wydawała się szczególnie zadowolona z mojej obecności.



Vincenzo wzrusza ramionami i kręci hebanową laską ze srebrną główką.

– A to już jej problem. Będę tam, by zobaczyć moje bratanice, a ty jesteś moją *petite amie*<sup>67</sup>. Czy to w porządku, jeśli będę się tak do ciebie zwracał?

– Urodziłam córkę poza małżeństwem. Znałam wielu mężczyzn. Teraz mieszkam z tobą, nie będąc twoją żoną. Na Sycylii nazwaliby mnie inaczej, ale nie dbam o to.

Vincenzo ściska jej rękę. Zatrzymują się na środku chodnika. On pieści jej twarz i mówi do niej szeptem:

– Pamiętasz? Wojna dopiero się zaczęła, a ty pozowałam temu malarzowi bez grosza. W noc naszego spotkania ja byłam pijana, a ty się z nim pokłóciłaś.

Lucie śmieje się miękko.

– Myślisz, że mogłabym zapomnieć? Miałaś wkrótce wrócić do Włoch, więc zaczęliśmy się spotykać potajemnie, jak dwoje niedorostków. A potem przedstawiłam cię Renée. – Przerywa. – Chciałam, żebyś ją poznał, bo...

– Masz wspaniałą córkę – przerywa jej.

Obrazy zastępują słowa, pamięć staje się ciepła, złota jak miód. Renée o szeroko rozstawionych oczach, równie jasnych jak oczy Lucie, przyjrzała mu się uważnie, zanim podeszła, po czym zapytała matkę, czy jest jednym z jej przyjaciół. Nagłe zakłopotanie Lucie zniknęło, gdy tylko Vincenzo schylił się i potargał loki dziewczynki, mówiąc: „*Non, ma petite*<sup>68</sup>. Jestem kimś, kto kocha twoją mamę”. Potem spojrzał w górę i napotkał oczy Lucie. Czekają na niego zamglone łzami spojrzenie.

Pamięć przeskakuje do przodu. Ich dwoje, w pokoju Lucie, przed balkonem osłoniętym białymi zasłonami. Nie dotykają się, są jeszcze ubrani. Patrzą na siebie. Tylko tyle. Stoją, zatrzymani w cudownej, nieokreślonej chwili, kiedy uprawianie miłości zaczyna się w umyśle, nim porwie ciała.

Lucie jest jedyną kobietą, która była w stanie złagodzić ból po Anninie.

– Chodźmy – mówi teraz Vincenzo. Pozwala swojej dłoni zsunąć się po jej ramieniu, dociera do palców, spleta je ze swoimi.

W herbaciarni hotelu Le Meurice znajdują Francę, Igieę i Giulię. Miękkie światło padające z kryształowych żyrandoli odbija się od boazerii i półek, osiada na białych obrusach i jarzy się w mlecym blasku porcelany.

Franca siedzi sztywno w fotelu; Igiea obok niej nalewa herbatę dla siebie i matki. Giulia jest pogrążona w lekturze powieści.

– O, tu jesteście. – Vincenzo podchodzi, całuje siostrzenice, gładzi policzek szwagierki.

– Wybaczcie, że musiałyście czekać. – Stojąca za nim Lucie skłania głowę w nieformalnym pozdrowieniu.

Franca wskazuje na krzesło przed sobą.

– Nic się nie stało. Miałyśmy pracowity dzień. Igiea wybierała suknię u Wortha, a potem zrobiłyśmy sobie wycieczkę do Cartiera. – Ignoruje podniesioną brew Vincenza i przywołuje kelnerkę, prosząc, by przyniosła więcej ptifurek.

Lucie chrząka, przenosi wzrok z dziewcząt na bratową Vincenza. „Jest bardzo piękna i ma wrodzoną klasę – myśli. – Ale jest taka chłodna, taka daleka”. Franca trzyma zaciśnięte dłonie na udach, plecy ma sztywne, a uśmiech, nawet gdy pojawia się na jej ustach, kiedy rozmawia z Vincenzem o przygotowaniach do ślubu Igiei, nigdy nie dociera do jej oczu.

W pewnej chwili Lucie wyczuwa, że ona także jest obserwowana. A raczej osądzana. Przez tę piękną kobietę z pewnością, ale także przez jej córki. Igiea zwraca na nią wyniosłe spojrzenie, nieco tylko maskowane grzecznością, Giugiù natomiast przygląda jej się z mieszaniną znudzenia i zakłopotania. „Porównują mnie do swojej matki?”. Lucie nie może sobie nie zadać tego pytania.

Vincenzo zdaje się nie zauważać tej gry spojrzeń.

– Twoi rodzice nie szcędzą wydatków na ślub, co? – mówi do Igiei z nutą ironii.

Piękne usta Franki rozszerzają się w uśmiechu.

– Dla córki wszystko, co najlepsze. A i konwenanse trzeba zachować, zwłaszcza jeśli zaangażowane rodziny: Salviati i Aldobrandini, należą do najważniejszych we Włoszech.

– Mama wie, co jest dla mnie najlepsze – oznajmia Igiea. – Rzymska arystokracja przywiązuje dużą wagę do...

– Rzymska? – Lucie rozszerza oczy. – A więc ślub będzie w Rzymie?

– Oczywiście. Igiea zamieszka w Rzymie albo w Migliarino Pisano, gdzie Salviati mają rodzinną posiadłość – wyjaśnia Franca. – Ale organizuję też duże przyjęcie w Villi Igiea dla przyjaciół z Palermo, którzy nie będą mogli przyjechać na przyjęcia w Rzymie, żeby i oni mogli poznać pana młodego.

– Na przyjęcia? – pyta Vincenzo. – Jedno nie wystarczy?

– Prawdziwe przyjęcie będzie po ceremonii cywilnej; po ślubie kościelnym zjemy tylko skromne śniadanie w gronie najbliższych osób, ledwie sto kilkadziesiąt osób. Twój brat tak chciał, a ja dostosowałam się do jego życzenia.

– Stryjku, pamiętasz, że jako świadek będziesz musiał iść do spowiedzi, prawda? – wtrąca Igiea. – Wiesz, że moja przyszła teściowa, księżna Aldobrandini, jest bardzo religijna i że kardynał Vannutelli, który będzie celebrował ślub, jest droгим przyjacielem rodziny.

Vincenzo przewraca oczami i się śmieje.

– Nie byłem u spowiedzi od nie wiem ilu lat. Obawiam się, że moje rozwiązłe życie zasmuci biednego księdza!

Lucie wpatruje się w Igieę. Wydaje jej się niemożliwe, by dziewczyna w tym wieku była tak wierna tradycji i pozorom. W końcu nie może się opanować i woła:

– Ale... mamy już dwudziesty wiek!

– Jeśli jest coś, co nigdy nie wychodzi z mody, to wiedza o tym, jak zachować się we właściwy sposób – ripostuje Igiea z kąśliwym wdziękiem. – A zachowanie nasze, Floriów, musi być tego dnia bez zarzutu. – Potem rzuca okiem na matkę i kontynuuje: – Mój ojciec wie, jak ważne jest, aby żyć zgodnie z nazwiskiem, które się nosi. Dlatego będzie stał przy matce tak długo, jak będzie trzeba. – Przerzywa, bo pojawiła się kelnerka z kolejną tacą ptifurek.

W nagłej ciszy Franca obdarza Igieę uśmiechem pełnym dumy. Jest dumna z córki, z jej determinacji. Z jej delikatnego, ale wyrazistego sposobu wyznaczania granic.

Za to Vincenzo spuszcza głowę, chwyta łyżeczkę i przejeżdża nią po obrusie, tam i z powrotem. Zrozumiał, co mówi mu siostrzenica. Wreszcie zdobywa się na odwagę, spogląda na Lucie i widzi w jej oczach głęboki smutek. Tak, ona też zrozumiała: jej obecność na ślubie nie jest mile widziana.

– Czy na spowiedzi nie należy być szczerym? – pyta zupełnie nieprzekonującym tonem.

Igiea wyciąga rękę w stronę ptifurek, waha się, wybiera jedną.

– To nie jest kwestia tego, co się mówi, ale tego, co się decyduje ujawnić. Jeśli czegoś nie można zobaczyć, to po prostu nie istnieje – mówi cicho, z odrobiną cukru na ustach. Podnosi oczy i patrzy na Lucie.

W jej spojrzeniu jest wyrok bez odwołania.

\*\*\*

Franca odkłada słuchawkę telefonu, wstaje z fotela i pozwala sobie na lekki uśmiech. Maria Arabella, córka Igiei i Averarda, urodziła się nieco ponad miesiąc wcześniej, 6 września 1922 roku, i zarówno matka, jak i dziecko mają się dobrze, być może po części dzięki temu, że mieszkają na wsi, w pięknej posiadłości Salviatic. Tym, co ją jednak rozweseliło, był przede wszystkim głos Igiei: spokojny, pewny, pogodny. Głos kobiety, która znalazła swoje miejsce w świecie i czuje się doceniana i szanowana przez swoją nową rodzinę.

Telefon znów dzwoni i Giulia biegnie go odebrać.

– Halo? Och, stryjek Vincenzo! Tak, nic nam nie jest... A wy? Jak się ma *Tante*<sup>69</sup> Lucie? A Renée? A babcia Costanza, widziałeś ją? Ach, dobrze! Co? Organizujesz wyścig łodzi motorowych pomiędzy Arenellą a Villa Igiea i chcesz wiedzieć, czy my...

Franca rozumie i natychmiast przecząco kręci głową.

– Zapytam mamę, ale chyba nie przyjedziemy... Palermo w listopadzie jest zbyt smutne. Aha, wiesz, że wczoraj oglądaliśmy film, którego akcja rozgrywa się na Sycylii? Nazywa się *Podróż* i występuje w nim Maria Jacobini, i jest taka piękna...

Uśmiech Franki gaśnie. Zgasł też obraz Palermo, który przywołało zaproszenie Vincenza. Nie ma teraz większego znaczenia, że nawet ostatni odcinek via Roma został ukończony czy że są nowe ulice i duże sklepy. To rzeczy dla drobnomieszczactwa, dla pospólstwa bez stylu. Większość arystokratów, którzy przydawali blasku Palermo przez tyle sezonów, nie zdołała przewyciężyć skutków wojny lub wyjść z późniejszych trudności ekonomicznych i wycofała się w cień albo przeniosła gdzie indziej, na przykład do Toskanii lub Rzymu, tak jak ona. I stara się jak najczęściej podróżować: pokoje hotelowe w Paryżu, austriackich Alpach czy Trentino to wygodne, eleganckie miejsca bez duszy i wspomnień.

Jedynie Giulia znalazła sposób, by uchwycić się przeszłości. Konstantyn, były król Grecji, wybrał Palermo na miejsce swojego wygnania i Giulia spędza całe dni z nim, królową Zofią i ich małym dworem, który często spotyka się w Villi Igiea.

Jak duch, który wybrał towarzystwo innych duchów.

Wzrok Franki spoczywa na szufladzie małego biurka pod ścianą, jednego z mebli Ducrota, które udało jej się przywieźć do Rzymu: wie, że znajduje się tam plik papierów, zostawionych przez Ignazia kilka miesięcy wcześniej, podczas jego ostatniej wizyty. Może to była nieostrożność, a może zrobił to celowo, kto wie. Przejrzała je i z plątaniny liczb i biurokratycznych formuł zrozumiała jedną rzecz: hipoteka Olivuzzy, zaciągnięta w Société française de Banque et Dépôts, została – w jaki sposób? – anulowana i dużą część zabudowań pałacowych wraz ze sporym fragmentem parku nabył Girolamo Settimo Turrisi, książę Fitalii.

Franca spiesznie zamknęła teczkę i schowała ją do szuflady, starając się o niej zapomnieć. Myślenie o końcu jej świata było bolesne; posiadanie konkretnego dowodu, że on się dokonuje, było nie do zniesienia.

Nie, nie wróci do Palermo przynajmniej przez jakiś czas. Ale nie chce też zostać w Rzymie. Bo nie wiadomo, co się wydarzy po tym gigantycznym zgromadzeniu faszystów w Neapolu, na którym Benito Mussolini powiedział: „Albo dadzą nam rząd, albo weźmiemy go sami, idąc na Rzym”, jak gdyby miasto było jego trofeum.

– Słuchaj, Giugiù, co powiesz na małą wycieczkę? – mówi do Giulii, jak tylko dziewczyna kończy rozmowę. – Może pojedziemy do Stresy. A potem do Viareggio, do hotelu Select, jak zawsze. I poprosimy Dory, by pojechała z nami.

Giulia wydaje okrzyk i zaczyna podskakiwać, uszczęśliwiona. Nowa amerykańska przyjaciółka mamy – miss Dory Chapman – to kobieta, która podróżowała po całym świecie i zna wiele niesamowitych historii. Ale przede wszystkim jest zawsze w dobrym humorze. Giulia zauważyła nawet, że kiedy matka z nią rozmawia, jest mniej smutna niż zwykle.

– Zobaczysz, jak będzie pięknie – dodaje Franca. Następnie, całując córkę w policzek, szeptem: – Tak, potrzebujemy trochę rozrywki.

\*\*\*

Franca nie wie, dlaczego Ignazio dołączył do niej w hotelu Select w Viareggio w ten pochmurny listopadowy wieczór. Wyglądał na zmęczonego i zabrał ze sobą tylko parę walizek, jakby wyjechał w pośpiechu. Ona jednak jak zwykle nie zadaje żadnych pytań. W milczeniu wyjmując ze swojej złotej siatkowej torby sznur pereł i bransoletkę, zakłada je i zamyka torbę w kuferku.

Następnie zarzuca na ramiona pelerynę z sobolowym obszyciem i mówi po prostu:

– Idziesz?

– Dokąd się wybierasz?

– Do kasyna, na kilka zakładów i małą pogawędkę. Nie ma tu nic innego do roboty.

Ignazio wzrusza ramionami.

– Wybaczysz, jeśli nie pójdę z tobą? Jest zimno, zaraz się rozpada, a ja jestem wykończony i chętnie poszedłbym spać.

– Twój pokój jest naprzeciwko pokoju Giugiù. Tu masz klucz – odpowiada Franca sucho. – Idę z Dory i markizem di Clavesana. Nie będę sama.

Ignazio odchodzi, nawet się z nią nie żegnając.

„Widział więcej świtów niż słońca, a teraz stał się starcem narzekającym na dwie krople deszczu”, rozmyśla Franca z gorzkim uśmiechem, zmierzając do holu, gdzie czeka na nią Dory.

– Jesteś, moja droga! – woła, otulając się etolą z lisa. – Czy jesteś wystarczająco ciepło ubrana? Wy, Sycylijczycy, *so much* potrzebujecie ciepła! Markiz di Clavesana czeka na nas *in the car*. Idziemy?

Franca się uśmiecha. Tak, Giugiù ma rację: ta kobieta naprawdę zaraza radością.

– Oczywiście – odpowiada.

Gdy boy zamyka za nimi drzwi, w oddali słychać grzmot.

\*\*\*

Jest tuż po północy. Dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach idzie szybko korytarzami dla służby hotelu Select. Wchodzą po schodach, po czym po cichu otwierają drzwi do magazynu. Tam, wśród mioteł i koszy z brudną bielizną, znajdują fartuch. Jeden z nich chwyta go, potrząsa, uśmiecha się. Rozlega się metaliczny brzęk kluczy.

Opuszczają magazyn i udają się na pierwsze piętro, do luksusowych apartamentów. Przy świetle małej lampki wkładają klucz do zamka i przekręcają go bez hałasu.

Są w środku.

Pokój jest bardzo duży i oświetlony jedynie światłem ulicznych latarni. Widzą łóżko, rzuconą między poduszki podomkę, widzą toaletkę i krzesło, na którym leży halka. Jeden z nich wsuwa chusteczkę do dziurki od klucza. Następnie wskazuje na toaletkę. Przed nią, na pufie, stoi kuferek.

*Ten* kuferek.

Kładą go na łóżku, otwierają wytrychem.

Jest. Złota siatkowa torba z biżuterią Franki Florio. Szperają w niej, dotykają aksamitnych saszetek, wyciągają je i podchodzą z nimi do okna. Perły i kamienie szlachetne wysyłają w ciemność błyski światła.

Jeden z intruzów wkłada woreczki z powrotem do torby, a drugi przechodzi na przeciwną stronę pokoju i przykłada ucho do drzwi oddzielających ten pokój od pokoju drugiej kobiety, Amerykanki.

Cisza. Mogą kontynuować.

Stawiają kuferek z powrotem na pufie. Potem plądrują szafy, walizki i pudła na kapelusze, grzebią w ubraniach. Wreszcie chwytają słoiczki z kremami, otwierają okno, wyrzucają kosmetyki na żywopłot. Wszyscy będą przekonani, że tamtędy uciekli.

Następnie wchodzi do pokoju Dory. Tam łup jest mniej bogaty: złote pióro, mały notes, również oprawiony w złoto, koperta z pięcioma tysiącami lirów.

Potem zamykają za sobą drzwi i odchodzą tak samo cicho, jak przybyli.

\*\*\*

Ręce komisarza Cadolina trzymające papier lekko się trzęsą. Policjant czyta na głos, nie dowierzając, jego głos jest niepewny.

– Przepraszam, że znowu przeszkadzam, panie Florio, ale kwestor Grazioli z Rzymu jest już w drodze i chciałbym przed jego przyjazdem mieć pewność, że lista jest kompletna. Mogę?

Ignazio, z zaciśniętą pięścią przy ustach, kiwa głową.

– Dziękuję. A zatem: sznur stu osiemdziesięciu dużych pereł z zapięciem z brylantów i rubinów, sznur trzystu pięćdziesięciu dziewięciu pereł z zapięciem z brylantów, sznur czterdziestu pięciu dużych pereł, sznur czterystu trzydziestu pięciu małych pereł, platynowy naszyjnik z dużymi perłami typu drop i dużymi brylantami, torebka ze złota i platyny z rubinami i wisiorkiem, złota brosza z brylantami i królewską koroną z turkusowym węzłem...

– Moja żona jest damą dworu królowej Heleny i to jest jej odznaka.

– Ach, oczywiście... Zegarek ze wstążką z brylantami i bransoletą, złota bransoletka z kwadratowym zegarkiem, pięć pierścieni z perłami, pierścionek z rubinami i brylantami, długi łańcuch z brylantami podzielony na trzy części...



Franca nie słucha. Trzyma dłonie na kolanach, spojrzenie ma zagubione w pustce. Nie tylko nie ma już swojej biżuterii, jej jedynej ochrony przed brzydotą świata, ale odkąd odkryto kradzież przed dwoma dniami, sama czuje się jak w więzieniu, jak gdyby to ona była złodziejem. Ciągłe przesłuchania. Wszędzie policja. Dziennikarze czekający przed hotelem. Pytania za pytaniami, do niej, do Dory, do Ignazia, nawet do Giulii. Nieznane ręce grzebiące w jej garderobie i szufladach, rozsypujące wszędzie proszek na odciski palców. Przesłuchania pokojówek i lokajów. I na co to wszystko? Nie ustalili nawet, czy złodziej działał sam czy nie, czy wszedł drzwiami czy przez okno ani dokąd uciekł. Tak, na szybie była plama z kremu, ale...

– ...duża bransoleta i łańcuch z platyny, bransoleta z dwoma rubinami i brylantami, bransoleta z platyny z czterema dużymi perłami, bransoleta cała z brylantów, bransoleta z platyny z turkusami...

„Nic już nie mam”.

– ...bransoleta z brylantów i szafirów, platynowy pierścionek z trzema brylantami, kilka broszek z rubinami i diamentami, warkocz z brylantami i rubinami...

„Jestem już niczym”.

– Skończyliście? – pyta Ignazio. Jest zmęczony, zniechęcony i nie stara się tego ukryć.

Cadolino kiwa głową, kłania się France i wychodzi.

Ignazio zbliża się do niej, dotyka jej twarzy, a ona patrzy na niego, jakby dotąd nie zauważyła jego obecności.

– Zobaczysz, że ich znajdą – mówi Florio, próbując pocieszyć żonę. On też jest zdenerwowany i nie dowierza. Te klejnoty są warte fortunę i mogły być gwarancją na pokrycie jego długów. Wie o tym nawet Linch, który pospiesznie do niego zadzwonił, by dowiedzieć się „o rozmiary szkody”.

Franca wykręca chusteczkę.

– Co było mi najdroższe zaraz po dzieciach... – szepce. – Chyba nie umiem zatrzymać tego, co dla mnie najcenniejsze, moim losem jest tracenie w najboleśniejszy sposób ludzi i rzeczy. Za jaki grzech muszę tak pokutować? Dlaczego muszę być tak ukarana?

Ignazio ją obejmuje.

– Przeszliśmy przez znacznie gorsze rzeczy. Pamiętaj, że jest to łatwo rozpoznawalna biżuteria. Złodzieje nie mogą pozwolić, by rozebrał je pierwszy lepszy złotnik. Dodatkowo nikt nie będzie chciał ryzykować wmieszania się w zarzut paserstwa. To po prostu zbyt niebezpieczne.

Franca szeroko otwiera oczy.

– Rozebrał? Podzielił na kawałki? – jąka się. – Moje naszyjniki? Moje pierścionki? Moje perły? – Gorączkowo potrząsa głową. – Nie, nie! – powtarza, a pocieszenia Ignazia na nic się nie zdają.

Franca zaczyna drżeć, obejmuje się ramionami, jakby chciała powstrzymać się przed rozpadnięciem. „Jeszcze i to muszę cierpieć?”, pyta sama siebie. Płacze cicho, jej twarz wykrzywia ból będący sumą wszystkich cierpień minionych lat. Jakby ta kradzież oprócz biżuterii pozbawiła ją również jedynej rzeczy, która jeszcze była zdolna chronić jej duszę – pamięci o szczęściu.

\*\*\*

Przynajmniej tym razem los jest dla niej łaskawy. Śledztwo prowadzi zdolny podkomisarz z Mediolanu, Giovanni Rizzo. Jest zawzięty i kompetentny. Szybko identyfikuje złodziei – Belga Henry’ego Poissona i byłego oficera niemieckich sił powietrznych Richarda Soytera. Śledzili Francę od kilku dni, badali zwyczajnie jej i przyjaciółki i zadziałali w chwili, gdy mieli pewność, że Ignazio i Giulia śpią.

Rizzo zastawia na nich pułapkę w Kolonii, wykorzystując naiwność narzeczonej Poissona, Marguerite. Następnie trzeba się przedrzeć przez gąszcz nieprawdopodobnych i często sprzecznych relacji wydarzeń, beczelne wypowiedzi („A co signora Florio chce zrobić z tymi klejnotami? Ma ich tak wiele”, miał powiedzieć Poisson w chwili aresztowania), przetrzymywanie walizek na włoskiej granicy i sądowe perypetie, by dotrzeć w końcu do roku 1926, czyli cztery lata później, kiedy złodzieje zostali skazani zaocznie przez włoski wymiar sprawiedliwości. Tym procesem nikt

się już nie interesuje, nawet Franca, która nawet nie bierze w nim udziału.

Wystarczyło jej, że w styczniu 1923 roku odzyskała całą swoją biżuterię. Z mieszaniną zdumienia i współczucia podkomisarz Rizzo patrzył, jak otwiera etui jedno po drugim, zbliża perły do twarzy, pieści brylanty i zakłada pierścionki.

– Wróciły... Są tutaj. Są moje – szeptała, płacząc ze szczęścia.

Jej życie, a przynajmniej jego część, wróciło na swoje miejsce.

\*\*\*

Choć minęło już ponad dziesięć lat, odkąd Ignazio musiał opuścić biuro przy piazza Marina, skrzypienie, które słyszał, nigdy nie ustało, a pęknięcia się nie zagoiły. Wręcz przeciwnie. Olivuzza została okaleczona i zamieniona w nową dzielnicę miasta. Villa Igiea straciła rację bytu – pokoje są opuszczone, kasyno nie przynosi niemal żadnych zysków. Fabrykę ceramiki przejął Ducrot. Siedziba Banco Florio i budynki przy via dei Materassai sprzedano ludziom o wątpliwej reputacji, którzy wzbogacili się, gdy Włochy tonęły w wojnie. Nawet „L’Ora” już dawno przeszła w ręce bogatego właściciela młynów, Filippa Pecoraino. W 1926 roku faszystowski reżim zamknął gazetę, by w następnym roku otworzyć ją ponownie z podtytułem „Quotidiano fascista del Mediterraneo” – „Faszystowski Dziennik Morza Śródziemnego”.

W tej niekończącej się burzy jedynym oparciem jest Carlo Linch. Zawsze obecny, punktualny, niezmordowany, z uporem maniaka kontynuuje prośby o ograniczenie wydatków („Jest ich wciąż o wiele za dużo!”), zwłaszcza wobec Franki, posuwając się nawet do tego, że wypomina jej ślub Igiei, choć minęły od niego cztery lata. „Prawdziwy drenaż! Stroje, biżuteria, trzy przyjęcia! Ach, gdyby udało się uniknąć tego marnotrawstwa!”, wykrzykuje w trudniejszych momentach, poirytowany. Linch nie jest jednak człowiekiem nieczułym: ratowanie tego, co pozostało z Dom Florio, to zadanie, które wykonuje z samozaparciem godnym lepszej sprawy. Złośliwi insynuują, że ma na uwadze swoje własne interesy

i że pewne decyzje podjęte w tym okresie mogły być bardziej rozważne. Ale jest jak jest. On wciąż ma nadzieję, a wraz z nim Ignazio.

Przez krótką chwilę ta nadzieja miała trzy imiona: „Ignazio Florio”, „Vincenzo Florio” i „Giovanna Florio”. Nie było to łatwe, ale w końcu Banca Commerciale przyznała braciom Florio linię kredytową na zakup trzech angielskich parowców. Jeden z nich, „Giovanna Florio”, w zamyśle Ignazia miał nawet obsługiwać trasę łączącą Morze Śródziemne i Baltimore. Jednak plany te zniweczył kryzys we włoskim handlu, podkopany przez nieznośne koszty i coraz mniejsze zyski. W ciągu kilku lat wszystkie trzy parowce zostały wycofane z eksploatacji i zakotwiczone w porcie w Palermo, stanowiąc smutny symbol kolejnego straconego marzenia, aż pochodzący z Piano di Sorrento kapitan Achille Lauro wyczarterował je za śmieszłą sumę i zbudował dzięki nim swoje morskie imperium.

Kolejny płomień, kolejna nadzieja: po miesiącach rozmów z ministerstwem marynarki handlowej w grudniu 1925 roku w Rzymie założono pod nazwiskiem Florio towarzystwo żeglugowe, któremu powierzono obsługę części linii na Morzu Tyrreńskim. Ignazio za nic nie chciał porzucać morza, bo to z morzem nierozdzielnie związane jest nazwisko Florio. To jednak Linch pokonał nieufność ministerstwa i pociągnął za sznurki. Ignazio zaś rozpoczął kolejne ze swoich przedsięwzięć: udał się na Wyspy Kanaryjskie z zamiarem otwarcia tam tonnary, aby przechwycić ławice tuńczyków, zanim wpłyną do Morza Śródziemnego.

„Ze wszystkich szalonych pomysłów, jakie kiedykolwiek miałeś, ten jest najbardziej szalony”, myśli Franca, krzywiąc się podczas lektury listu, który właśnie nadszedł od jej męża. Znajduje się w sypialni swojego domu w Rzymie, małej eleganckiej willi przy via Sicilia, przypominającej nieco architekturą Villę Igiea i wyposażonej w meble zaprojektowane przez Ducrota i inne cenne przedmioty ocalone z Olivuzzy, między innymi czeskie krysztály i saski serwis obiadowy. Przyjęcia dla setek gości są już odległym wspomnieniem, ale kolacja w domu Franki Florio musi być nadal wydarzeniem towarzyskim na wysokim poziomie.

List Ignazia nie daje zbyt wielu powodów do radości: okazuje się, że tuńczyków wcale nie ma tak wiele, są natomiast całe ławice sardynek, które zamierza eksploatować, o ile znajdzie pieniądze na sprzęt i pracowników. Wraz z nim pojechali Vincenzo i Lucie; wynajęli małą willę, w której żyją bez luksusów i specjalnych wygód, tak jak miejscowi. Zdjęcia dołączone do listu są mniej ponure: na jednej z fotografii widać Ignazia i Vincenza siedzących na łóżku, na innym Ignazia samego w fotelu, jeszcze na innym Lucie przy garnkach w kuchni. A potem sceny z połowów, wnętrza tonnar, chaty rybaków, plaża o zachodzie słońca.

Franca odrzuca zdjęcia na bok, prychna z irytacją. Nigdy, ani razu, Ignazio nie poprosił jej, żeby do niego dołączyła, choćby na kilka tygodni. Na pytanie, dlaczego tego nie zrobił, odpowiedział, że wyspy są zbyt odległe i prymitywne, nieodpowiednie dla Giugiù. Poza tym, podsumował z uśmiechem: „Nie mogę sobie jakoś wyobrazić organizowania kolacji wśród dzikusów”.

Kłamstwa.

Very nie ma na zdjęciach, ale Franca jest pewna, że tamta popłynęła razem z nim. Wyczuwa jej obecność, nawet jeśli jej nie widzi. Ignazio może być tysiące kilometrów od niej, ale ona i tak czyta w jego wnętrzu, odszyfrowuje prawdę kryjącą się za jego słowami jak nikt inny. Nauczyła się tego kodu kosztem własnego cierpienia.

– Przyszedł list od taty? Mogę go przeczytać?

Jasnowłosa i długonoga Giulia wchodzi do pokoju. Jej obecność jest jak podmuch wiosennego wiatru. Franca uśmiecha się i podaje jej kartkę. Jaka ona jest piękna, ta jej Giugiù. Zjawiskowa szesnastolatka. Podczas gdy Igiea ma klasyczną i delikatną urodę, Giulia jest równie witalna i pełna wdzięku jak jej ojciec, do którego też jest bardzo przywiązana.

Dziewczyna czyta na głos i wydaje okrzyk radości, gdy dowiaduje się, że ojciec planuje wkrótce wrócić do Rzymu, by załatwić jakieś interesy. W tym momencie w drzwiach pojawia się pokojówka.

– Pan Linch jest tutaj, signora.

Zdumiona Franca wstaje od toaletki.

– Linch? Co to się stało?

Giulia wzrusza ramionami.

– Może przyniósł jakieś papiery, skoro tata wraca – mówi i idzie za matką do salonu, gdzie lokaj wprowadził gościa.

Franca zatrzymuje ją jednak na progu. Linch często jest posłańcem złych nowin i Franca nie chce, by córka się zdenerwowała.

– Giulio, kochanie, idź i sprawdź, czy kucharz już przygotowuje foie gras na dzisiejszą kolację – mówi.

Dziewczyna z urażoną miną odchodzi w kierunku kuchni.

Carlo Linch stoi, nie zdjął nawet płaszcza i wydaje się spieszyć.

– Dzień dobry, donna Franca. Wybaczcie, że pojawiaam się bez zapowiedzi, ale muszę z wami porozmawiać.

Ona wskazuje mu fotel i siada.

– Ze mną? – pyta. – Oczywiście, proszę – dodaje, gdy lokaj zamyka drzwi.

– Będę się streszczał i obawiam się, że nie mam przyjemnych nowin – mówi Linch, marszcząc czoło. – Muszę wam ponownie przypomnieć, że wasze wyjścia są zbyt częste i...

– Och, jakże jestem zmęczona tą śpiewką! – Franca przerywa mu z nieukrywaną irytacją. Przenosi wzrok na dywan, który kiedyś zdobił salon w Olivuzzy. – Obciążliśmy już wydatki na wszystko, co się dało, a nawet poprosiliśmy o odroczenie płatności za prace wykonane w tym budynku, czekając na pieniądze, które powinny wpłynąć z udziałów w spółce żeglugowej.

– Ale w tej willi macie dziewięć osób służby, a potrzebujecie połowy z nich. Nie mówiąc już o waszych długach hazardowych i podrózach. Pod nieobecność męża wypada mi więc poprosić was, signora, o większą, hmm, kontrolę.

Policzki Franki czerwienieją z oburzenia.

– Jak śmiecie? Mój mąż nigdy nie mówił mi, co mam robić, a wy...

– Jeszcze nie skończyłem, signora.

Franca poprawia fałdy spódnicy, po czym patrzy na Lincha, czekając na ciąg dalszy.

– Apeluję do waszego zdrowego rozsądku. Ograniczanie wydatków tu, w Rzymie, już nie wystarcza. Powinniście się

przenieść z powrotem do Palermo.

– Słucham? – pyta Franca tak cicho, że chyba tylko ona słyszy.

– Wróćcie do domu. Tam możecie zadbać o to, co jeszcze posiadacie, pomóc rodzinie...

Franca patrzy na niego przez dłuższą chwilę bez słowa. Potem nagle odrzuca głowę do tyłu i zaczyna się szaleńczo śmiać. Śmieje się długo i tak głośno, że łzy napływają jej do oczu, i płacze, gdy śmiech cichnie. Potem gwałtownie wstaje.

– Do domu? – Jej głos jest mroczny, ale opanowany. – To powiedzcie mi, signor Linch, wy, co wszystko wiecie: do którego domu mam wrócić? Olivuzza i jej ogród nie należą już do nas. Dom, w którym gościł świat: głowy państw, muzycy, poeci, aktorzy! Do Villi Igiea, gdzie jestem teraz gościem? – Urywa, zielone oczy wysyłają iskry wściekłości. – A może powiecie mi, że domem, do którego muszę wrócić, jest Palermo? – Przełyka łzy i gorz. Żadna tama nie jest w stanie powstrzymać jej gniewu: zbyt długo go w sobie trzymała. Jest jak fala sztormowa. Franca błądzi po pokoju, obszycie jej sukni trzepocze wokół kostek. – Palermo, które od ponad wieku ma chleb i pracę dzięki Floriom, które zyskało aurę wielkiego europejskiego miasta dzięki Teatro Massimo, sfinansowanemu przez mojego męża. Wszyscy oni przychodzili do nas z kapeluszem w ręku, prosząc o pomoc lub dotację, pewni, że Dom Florio nigdy nie uchyli się od dobroczynności. To miasto, które prosiło i obiecywało, ale zwodziło. W Palermo wdzięczność trwa trzy dni, tyle co sirocco. – Przystaje, przesuwając dłoń po czole. Pukiel włosów opada jej z powrotem na twarz. – I powiedzcie mi jeszcze: do kogo mam wrócić? Nikt już na mnie nie czeka. Do tych, którzy nazywali się naszymi przyjaciółmi, przychodzili prosić o pożyczki, przyjmowali nasze podarunki, a teraz odwracają twarz, gdy nas spotykają? Czy do tych, którzy wykupili Olivuzzę za grosze, po tym jak została rozparcelowana? – Prostuje się, zakłada ręce na piersi. Powieki trzepoczą, głos drży. – Możecie mi mówić wiele rzeczy, signor Linch. Ale przybyliście do Palermo, kiedy hieny już rozdzierały na strzępy to, co pozostało z naszego życia. Nie możecie zrozumieć. Nie wiecie, co to znaczy stracić szacunek, bo nie widzieliście *mojego* Palermo. Miasto Floriów było żywe, bogate,

pełne nadziei. A teraz już nie istnieje. To tylko sieć nieznanymi ulic przesłonięta budynkami zamieszkanymi przez duchy.

Linch w milczeniu sięga do kieszeni, wyciąga chusteczkę, podaje Franca. Ona ją bierze, dziękuje. Na batystowej tkaninie pozostaje smuga pudru.

– Rozumiem – odpowiada Linch, opuszczając głowę. – Co mogę powiedzieć? Starajcie się żyć najlepiej, jak potraficie, z tym, co wam zostało. Nigdy nie jest za późno na roztropność.

To zdanie prowokuje kolejny szloch.

– Jednak musicie zrozumieć, że nie mogę wycofać mojej... prośby – kontynuuje mężczyzna. – Interesy wcale nie idą dobrze. Zabiegam o nowe koncesje żeglugowe u samego ministra Ciano, ale przeszkody są liczne, począwszy od tego, że wasz mąż po raz kolejny wszedł na kurs kolizyjny z Banca Commerciale, a ten bank jest właścicielem większości akcji i obligacji Domu Florio. Powinien być bardziej ugodowy, a tymczasem...

– On mnie nie informuje o takich rzeczach. Wiecie o tym. – Franca opuszcza głowę, wpatruje się w dywan.

– Tak mi się wydawało. – Linch bierze kapelusz, poprawia rondo. – Nasze nadzieje wiążemy z tym, że wasz mąż walczył, by przemysłowcy poparli listę Mussoliniego w wyborach lokalnych w Palermo. Tam nadal jest do pewnego stopnia słuchany. Teraz musimy mieć nadzieję, że rząd o tym pamięta i jest nam wdzięczny. – Skłania głowę w ukłonie. – Dziękuję, że mnie wysłuchaliście, donna Franca. Jeśli zmienicie zdanie, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Franca zostaje sama.

Nagle potrzebuje zaczerpnąć świeżego powietrza, otwiera więc drzwi na balkon. Odrzuca do tyłu głowę, oddycha ciężko, gdy powiew osusza jej łzy. Wiatr przesuwając zasłonę, podnosi ją i przez chwilę Franca jest zaskoczona, widząc w szybie swoje odbicie. Tym razem nie może sobie wmówić, że mimo upływu lat i cierpienia wciąż jest piękna. Tym razem widzi oznaki strat, zagubionych uczuć, wszystkiego, co jej odebrano. Są tam, w jej zielonych oczach, z których zniknęła wszelka żywość. W pogłębiających się zmarszczkach. W siwych włosach.



„Stałam się cieniem wśród cieni – myśli. – Niczym więcej niż odbicie na szybie”.

\*\*\*

Ignazio idzie ze spuszczoną głową wąskim korytarzem willi Quattro Pizzi. Przez otwarte okno dobiega delikatny chłopot fal i zapach wodorostów. Zapach, który przenosi go do lat dzieciństwa na Favignanie, kiedy cała rodzina wprowadziła się do pałacu zbudowanego przez jego ojca.

Niedawno minęły święta Bożego Narodzenia 1928 roku, Nowy Rok przeszedł cicho i bez radości. Franca, choć obecnie przebywa w Mediolanie, mieszka na stałe razem z Giulią w Rzymie. Została wyeksmitowana z willi przy via Sicilia i zajmuje teraz dom przy via Piemonte.

Ignazio przełyka ślinę. Dociera do drzwi wieży, otwiera je szeroko, ale nie wchodzi do środka. Patrzy jedynie na światło i kurz tańczący nad majoliką podłogi. Potem wpatruje się w otwierającą się przed nim przestrzeń. Morze jest jak błyszcząca, zimna płyta metalu, nakrapiana punkcikami małych łodzi rybackich, które właśnie wracają do przystani. Za wodą dostrzega ogród Villi Igiea.

Cios w serce. Jeszcze jeden.

Nawet Villa Igiea nie należy już do niego. Kilka miesięcy wcześniej on i Vincenzo sprzedali ją towarzystwu finansowemu, które obecnie za pośrednictwem Lincha zarządza prawie całym ich majątkiem: zaduszonym długami przedsiębiorstwem żeglugowym, tonnarami na Wyspach Kanaryjskich (to kolejna klęska), udziałami w firmie Ducrota, domem Vincenza przy via Catania, a nawet willą Quattro Pizzi, w której obecnie mieszka Ignazio. Aby zostać w Villi Igiea, musiałyby płacić czynsz. Ponieważ nie mógł sobie na to pozwolić, nowy dyrektor – grzecznie – poprosił go, by się wyprowadził. Potem, gdy grzeczność nie wystarczyła, przyszedł nakaz eksmisji.

„*Semu nuddu 'mmiscatu cu' nenti*”, myśli Ignazio. I wie, że tak samo myślą o nim ludzie: nic zmieszane z niczym.

Patrzy na swoje dłonie i zastanawia się, kogo o to wszystko obwiniać. Dziesiątki, może setki razy zadawał sobie to pytanie. Winił swoich partnerów, obłudnych, niezdolnych, krótkowzrocznych, innym razem wmawiał sobie, że to przeciwnicy podcięli mu skrzydła. Uznawał, że jest ofiarą złego losu, potem przekonywał siebie, że jego pomysły są zbyt śmiałe, zbyt wyprzedzające czas, by mogły odnieść sukces.

Dziś jednak nie ma już siły, by dłużej się okłamywać. Mruga, aby powstrzymać łzy, i jak we śnie widzi ojca, który patrzy na mattanze na Favignanie, zatrzymuje się, by porozmawiać z robotnikami z Oretei, oblicza, jak najlepiej eksploatować kopalnie siarki, z zamkniętymi oczami degustuje marsalę, patrzy, jak pociąg wjeżdża do *baglio* w Alcamo, dyskutuje z Crispim w rzymskim hotelu. Pech, nieudolność innych czy to, że świat nie był gotowy na jego wyczyny – takie myśli nawet na sekundę nie zagościły w głowie jego ojca. Działał odpowiedzialnie i z poczuciem obowiązku i to było wszystko. Jego jedynym bogiem był Dom Florio, jedyną religią – praca. Tak jak dziadek, zmarły tuż po narodzinach Ignazia, którego ten znał tylko z opowieści ojca: prosty, ale twardy człowiek, handlarz przypraw z Kalabrii, który zaczynając od nędznej *putia*, zdobył szacunek całego miasta. To on zbudował tę willę na Arenelli i uczynił ją tak niezwykłą, że wzbudzała podziw królów i królowych.

Ignazio zastanawia się, czy to przypadkiem nie krew Floriów go zdradziła, bo zawsze był przekonany, że ona wystarczy, by nabrać wprawy w interesach. Że wiedza i umiejętności przedsiębiorcze były tam, w jego krwi. Ale istniało coś więcej, coś, czego on nie miał. Pragnienie awansu? Chęć odniesienia sukcesu? Poczucie obowiązku? Umiejętność czytania w duszach ludzi, intuicyjnego wyczuwania ich pragnień?

Nie wie. I nigdy się nie dowie.

Wie tylko, że nie jest to już czas na opowiadanie kłamstw. W wieku sześćdziesięciu lat nie ma sensu szukać usprawiedliwień, przekonywać samego siebie, że w kuźni losu ktoś – Bóg czy ktokolwiek – wykuł mu pancerz tak ciężki, że nie sposób było nie upaść pod jego ciężarem.

Tylko on ponosi winę.

\*\*\*

– To kwestia dni – powiedział lekarz poprzedniego wieczoru. – Nie otwierajcie okien, ale zapewnijcie mu ciepło i rozmawiajcie o miłych rzeczach. Dajcie mu trochę przyjemności.

Ignazio skinął głową i odprowadził go do drzwi. A potem rozplakał się jak dziecko. Nie płakał tak nawet wtedy, gdy dwa lata wcześniej, w 1927 roku, syn jego siostry Giulii, Giuseppe Lanza di Trabia, zmarł na febrę, pozostawiając rodzinę w takiej samej sytuacji: bez męskich potomków, którzy mogliby nieść dalej nazwisko. „To musi być klątwa Floriów”, pomyślał, dotykając rodzinnego pierścienia.

A teraz Romualdo. Zabiera go gruźlica. Gdy Ignazio dowiedział się, że przyjaciel jest ciężko chory, sprowadził go z sanatorium w Alpach, aby Romualdo mógł umrzeć we własnym mieście. Postanowił gościć go w Quattro Pizzi. Był mu to winien.

Wchodzi do pokoju. Przyjaciel jest wychudzony, blady, ma ciemne kręgi pod oczami. Ignazio siada przy jego łóżku, tak samo jak kiedyś jego stryjeczny pradziadek, którego imię nosi, siadał przy swoim bracie Paolu, również umierającym na gruźlicę.

– Jak się masz?

– Jak kwiat – mówi Romualdo i się śmieje. Zawsze się śmiał i robi to nawet w obliczu śmierci. – Potasuj karty, zagramy partyjkę.

Ignazio spełnia życzenie z ciężkim sercem.

Romualdo z trudem koncentruje uwagę na grze i często przerywa, by porozmawiać. W pewnej chwili nieruchomieje i patrzy na ścianę.

– Wiesz, że czasem o niej myślę?

– O kim, *curò*? – Ignazio tasuje, przygotowując kolejne rozdanie.

– O mojej żonie, o Giulii. – Wzdycha. – O tym, że Paternò dostał dożywocie i nigdy nie wydawało mi się to wystarczające. Ale nie pamiętam już nawet twarzy tego bydlaka. Za to Giulie... Biedaczka. Teraz, kiedy i ja umieram, tak mi jej żal.

– Przestań – przerywa mu Ignazio. – Nie umierasz – dodaje z powagą, choć obaj wiedzą, że kłamie.

Romualdo odwraca się, patrzy na niego i podnosi brwi.

– Darujmy sobie te pierdoły, Ignazio.

Ten opuszcza wzrok na karty. Zamazuje mu się obraz.

– Tyle mieliśmy kobiet, a teraz siedzimy tu sami jak dwa biedaki – mówi.

– O czym ty mówisz? Masz przecież Verę, prawda?

– Vera nie chce mnie widzieć. Twierdzi, że to już nie jest to, co było. Nie wiem, co robić. Brak mi jej.

– A Franca?

Ignazio odkłada karty, gorzko się uśmiecha.

– Odkąd zastawiłem jej biżuterię jako zabezpieczenie pożyczek w Banco di Sicilia, niemal się do mnie nie odzywa. A minęły dwa lata... Cierpiała już wtedy, gdy się dowiedziała, że Boldini sprzedał obraz Rothschildom. A wiesz, co mi powiedziała, gdy podała mi torbę z biżuterią?

– Co?

– „Obiecałeś, że dasz mi wszystko. A zamiast tego wszystko mi zabrałeś”.

Pamięć przesuwa w zwolnionym tempie bolesne obrazy. Franca zawinęła biżuterię – każdą sztukę osobno – w aksamitną tkaninę, prawie jak całun, po czym włożyła ją z powrotem do torby. Płakała. Perły zostawiła na koniec, przesunęła je przez palce, jeden sznur po drugim.

– Mówili mi, że perły to łzy – szepnęła, zaciskając klejnoty w pięści. Przybliżyła je do twarzy w ostatniej pieśczoce, po czym zamknęła je w etui i podała mu.

Ten obraz wciąż go dręczy.

– Moja biedna Franca. Miała rację – mówi cicho. – Nacierpiała się przeze mnie.

Romualdo wzrusza ramionami.

– Wmówiliśmy sobie milion bzdur, Ignazio. Tę i inne. – Wyciąga karty z jego rąk. – I kończy się tak, jak się kończy.

– A teraz, na koniec, co nam zostało, *curò*? – pyta Ignazio, może bardziej siebie niż Romualda.

– A czy coś musi zostać? Dobrze nam się żyło, Ignazio. Nie staliśmy z boku, braliśmy życie siłą i cieszyliśmy się nim, nie zastanawiając się zbytnio nad niczym. Idę ku śmierci bez żalu. Byłem burmistrzem Palermo, byłem bogaty i potężny, jak ty. Mieliliśmy w swoich łózkach wspaniałe kobiety. *Picciuli*, podróże, szampana... Mieliliśmy życie, Ignazio. Mieliliśmy wielkie marzenia, byliśmy wolni, a mimo to zawsze broniliśmy tego, co naprawdę się dla nas liczyło, *curò*. Nie pieniądze, nie władza, nawet nie nazwisko. Godność.

\*\*\*

Ignazio przypomina sobie słowa Romualda w dniu, w którym są zmuszeni opuścić również dom przy via Piemonte. Wrócił do żony po tym, jak na dobre opuściła go Vera, która w 1930 roku przeżyła głęboki kryzys duchowy po śmierci swojego syna Leonarda podczas manewrów lotniczych nad Adriatykiem. Uznała, że Ignazia i ją łączyła już tylko gwałtowność boskiej kary za to, co zrobili: śmierć dzieci Ignazia, a potem śmierć Leonarda była karą, na którą zasłużyli za niewierność. Powiedziała mu to, a on nie był w stanie nic odpowiedzieć. Ograniczył się do objęcia tej kobiety, która dała mu tyle spokoju, zawsze miała dla niego uśmiech i teraz przez łzy błagała go o odkupienie, o skruchę za zło wyrządzone jego żonie i rodzinie. Potem, złożyłwszy ostatni pocałunek na jej czole, odszedł.

Ale te słowa zapadły w jego duszę, ukorzeniły poczucie winy, które tak długo odrzucał. I to one skłoniły go do powrotu do Franki, do podzielenia się z nią tym, co jeszcze zostało.

Nie poddał się, nie od razu: przenosząc się z jednego miasta do drugiego, na wszelkie sposoby starał się doprowadzić do końca interesy, nawet te małe, nawet za cenę upokorzenia. Ale jego nazwisko budziło teraz politowanie, pogardę, a czasem nawet śmiech. Ignazio Florio zrujnował imperium. Ignazio Florio nie potrafił zarządzać swoim majątkiem. Ignazio Florio był lekkomyślnym nieudacznikiem.

Zaczął zazdrościć Vincenzowi, ponieważ brat miał u swego boku odważną i praktyczną kobietę. Lucie naprawdę go kochała i zrobiła wszystko, by coś uratować, począwszy od biżuterii i mebli, które przez wszystkie ich wspólne lata podarował jej Vincenzo. Rzadko się widywali: wraz z Lucie i jej córką jego brat podróżował między mieszkaniem przy via Catania w Palermo a jej domem rodzinnym w Épernay w Szampanii. Kiedy spotkali się ostatnio, Ignazio miał wrażenie, że piętnastoletnia różnica wieku została wymazana: zobaczył mężczyznę wyglądającego na znacznie więcej niż swoje pięćdziesiąt lat, zmęczonego i ociążałego. W końcu, mówił sobie, jego brat też zawsze robił to, co chciał, nie zważając na konsekwencje. I może właśnie z powodu swoich ekscesów nie miał dzieci. Kto wie, czy się nie poddał, zastanawiał się wtedy Ignazio. Ale po raz kolejny nie powiedział ani słowa.

Kasznięcie. Za nim stoją lokaj i pokojówka, oboje w płaszczach.

– Signore, my już byśmy poszli. Gdybyście wypłacili nam nasze ostatnie miesięczne wynagrodzenie... – mówi mężczyzna.

Prośba grzeczna, ale stanowcza.

– Jeśli chodzi o pozostałe miesiące, prosilibyśmy, abyście przynajmniej dali nam zaliczkę – dodała pokojówka.

Ignazio czuje nagły przypływ złości na tych dwoje. Czy nie wiedzą, że już inne drapieżniki oskubały go do kości?

Sięga do kieszeni, wyciąga zwitek banknotów. Ostatni.

– Proszę. Zajmij się ich podziałem – mówi do lokaja, po czym odwraca się do niego plecami i idzie do Giulii, która stojąc w drzwiach pokoju, przyglądała się tej scenie.

Gładzi jej ramię, uśmiecha się do niej. Ona odwzajemnia uśmiech, po czym podchodzi do łóżka, na którym leżą otwarte dwie małe walizki.

– Nie potrzebujesz pomocy?

– *Papà*, już mnie o to pytałeś – odpowiada córka z błyskiem ironii w oczach. – Nigdy w życiu nie pakowałeś walizki. Powrzucałbyś wszystko luzem. Usiądź, nie zajmie mi to dużo czasu.

Ignazio wzdycha i jest posłuszny. To właśnie wobec Giulii ma najsilniejsze poczucie winy. Dwa lata wcześniej przeszła poważne załamanie nerwowe; na szczęście Igiea i Averardo zaopiekowali się

nią, goszcząc ją w Migliarino Pisano. Pomogli jej dojść do siebie, dzięki czemu zaczęła normalnie jeść, spokojnie spać. Sprawili, że poczuła się kochana.

W tym czasie był jeszcze z Verą. Jeśli chodzi o Francję, to po odwiedzinach u córki uznała za stosowne wyjechać do Paryża, straciwszy nie wiadomo ile w kasynach Lazurów Wybrzeża. Na swoje usprawiedliwienie po powrocie powiedziała, że nie mogła już dłużej znosić żadnego bólu, a już najmniej bólu swoich córek.

W końcu Giulia wyzdrowiała, ale od tego czasu stała się trochę nieobecna, jakby świat, do którego należała, już jej nie interesował.

– Przepraszam – mówi Ignazio niemal do siebie.

Giulia zdaje się nie słyszeć. Jednak po chwili pyta:

– Za co?

– Za to, co musisz robić przeze mnie.

– Na szczęście jadę do Igiei – odpowiada córka pospiesznie, zamykając walizki. Najpierw wkłada rękawiczki, potem płaszcz z futrzanym obszyciem. W Rzymie zima jest wyjątkowo wilgotna. – A przede wszystkim jadę do Arabelli, Laury Floriany, Flavii Domitilli i Forese. Na pewno chętnie spędzą trochę czasu z ciotką.

– Przyjedziemy do ciebie, mama i ja. Przyjedziemy do ciebie i Igiei, skarbie.

Ona kiwa głową. Zamyka walizki i całuje go w policzek.

– Dbaj o mamę – mówi, gładząc klapę jego znoszonej, pamiętającej znacznie lepsze czasy marynarki. – Ona nie jest tak silna jak ty.

„Nie wiesz, jaka była kiedyś. To ja uczyniłem ją słabą. To ja ją złamałem”, myśli Ignazio.

Giulia wychodzi. Przed domem czeka na nią samochód Salviaticich. Ignaziowi zostało wpatrywanie się w słabo oświetlone pokoje, puste ściany i eleganckie wyposażenie, które pójdzie na licytację. Los podobny do tego, jaki spotkał meble pozostawione w Palermo, zajęte przez miejski urząd skarbowy z powodu niezapłaconych podatków. Niewiele tego zostało, naprawdę; większość sprzedano już w 1921 roku, podczas trwającej ponad miesiąc aukcji.

W jego spojrzeniu nie ma już jednak smutku ani żalu. Jest w nim tylko przeblask godności, tej godności, której jego przyjaciel

Romualdo bronił do ostatniego tchu. Teraz dla Ignazia niczym się ona nie różni od rezygnacji.

\*\*\*

Franca siedzi na łóżku, dłonie oparła na kolanach i wzrok wbiła w podłogę. Ignazio wchodzi, ale nie patrzy na nią. Ona też wygląda znacznie starszej niż na sześćdziesiąt jeden lat. Ignazio wie dlaczego, wie, że nie chodzi tylko o rozrzutność. I właśnie dlatego, że wie – jak tylko może, unika wpatrywania się w tę zastygłą twarz, matowe oczy, ręce pokryte plamami.

Podchodzi do fotela, na którym leży płaszcz, bierze go, zarzuca na ramiona. Wyczuwa ślad jej perfum, zawsze tych samych: La Marescialla.

– Idziemy? – pyta.

Franca kiwa głową.

Ignazio idzie po dwie małe walizki, po czym wychodzą z domu. Reszta rzeczy jest już w podupadłym, ale czystym i spokojnym hotelu Eliseo w pobliżu porta Pinciana. Averardo i Igiea długo namawiali, by rodzice przeprowadzili się do nich, ale Franca była nieugięta: to byłoby zbyt wielkim ciosem dla ich godności.

Na ulicy ktoś się zatrzymuje, by ich pozdrowić, a ktoś inny odwraca twarz. W sąsiedztwie wszyscy wiedzą, kim są małżonkowie. Idą w milczeniu, ramię w ramię. Z biegiem lat przepaść między nimi się powiększyła. Franca zawsze była od niego wyższa, ale teraz Ignazio jakby się skurczył, podczas gdy ona zachowuje swój giętki, harmonijny krok. Kosztuje ją to wiele wysiłku, ale nie może inaczej.

Bo świat ją obserwuje, a ona wciąż jest donną Francą Florio.

\*\*\*

Rzymska wiosna jest zimna, ale ludzie w siedzibie Banca Commerciale zdają się tego nie zauważać. Może dlatego, że sala była pełna już od rana, może dlatego, że oczekiwanie rozpałiło



umysły, może dlatego, że w naturze tajemnic leży wydzielanie ciepła, które parzy każdego, kto znajdzie się zbyt blisko.

Katalog aukcyjny nie podaje pochodzenia wystawionych przedmiotów, ale ci, którzy zajmują miejsca na sali, nie potrzebują nazwiska na papierze. Bo broszki i bransolety z brylantami, pierścionki z rubinami, bransolety ze szmaragdami, długie sznury pereł mogły należeć tylko do jednej osoby.

Do niej.

Arystokracja rzymska dowiedziała się i wysłała swoich pełnomocników z dokładnymi wskazaniem. Są tacy, którzy zachowali pamięć o jakiejś broszce Cartiera – albo Fecarotty, albo braci Merli – ponieważ podczas kolacji, premiery teatralnej, przypadkowego spotkania zobaczyli ją na niej. Zazdrość przerodziła się w żądę posiadania. Jakby blask biżuterii mógł zachować ślad uroku i wdzięku osoby, która ją nosiła, a teraz ci ludzie chcą wejść w posiadanie tych klejnotów, aby zabłysnąć jak jej odbicie.

Licznie obecni jubilerzy wydają się bardziej zdystansowani. Witają się formalnymi ukłonami i niemal wyzywającymi spojrzeniami. Następnie kartkują katalog i zastanawiają się nad ceną aukcyjną tego czy innego egzemplarza, wyobrażając sobie, jak rozebrać biżuterię i wykorzystać kamienie w innej, nowocześniejszej, mniej rozpoznawalnej oprawie.

Przez salę przebiega szum. W progu pojawia się Giulia Florio. Ma na sobie kapelusz z woalką i czarny płaszcz. Najmłodsza córka domu Florio, z dłońmi zaciśniętymi na uchwycie aksamitnej torebki, wyniosłym spojrzeniem bada twarze obecnych, jedną po drugiej, jakby chciała je odcisnąć w swoim umyśle.

„Wiem, kim jesteście – zdaje się mówić to spojrzenie. – Przyszliście tu, bo nigdy nie moglibyście sobie pozwolić na to, co posiadała moja rodzina. Jesteście tylko wronami skubiącymi padlinę. Możecie rozbierać kamienie, rozdzielać pasma pereł lub topić metal, ale ja będę wiedziała, co zrobiliście, i będę wiedziała, kto z was to zrobił. Nigdy nie będziecie mieć elegancji mojej matki ani klasy mojego ojca, ani wspaniałości mojej rodziny. Nigdy. I jestem tu po to, by wam o tym przypomnieć”.

Posuwa się do przodu pewnym krokiem, z wysoko uniesioną głową, po czym zajmuje miejsce. Prowadzący aukcję rozpoznał ją: waha się przez kilka chwil, po czym zaczyna wywoływać przedmioty. Przed jej oczami sztuka po sztuce przesuwa się biżuteria, która towarzyszyła życiu jej matki. Czasami Giulia pamięta nawet, kiedy widziała jakiś klejnot na matce po raz ostatni. Jak tę złotą broszkę z brylantami, którą pięć lat wcześniej, w 1930 roku, Franca zabrała z depozytu tylko na kilka dni, aby założyć ją podczas ślubu Humberta II z Marią Józefą Belgijską. Wciąż była damą dworu i do jej obowiązków należało uczestniczenie w tak ważnej uroczystości z królewską broszką. Giulia nie zapomniała upokorzenia w oczach matki, kiedy bank powiedział jej, że nie może powierzyć Floriom ani tej broszki, ani naszyjników z pereł, ponieważ obawia się, że nie zostaną zwrócone. W końcu uległ, ale wymagało to wstawiennictwa osób na wysokich stanowiskach.

Aukcjoner opisuje biżuterię, oferty następują jedna po drugiej. Gdy przychodzi do pereł, wśród licytujących wybucha istny szal. Po sprzedaniu sznura trzystu pięćdziesięciu dziewięciu pereł za prawdopodobnie połowę jego wartości, po głośnym okrzyku triumfu jubilera, który go kupił, Giulia ściska torebkę i wychodzi z sali z wysoko uniesioną głową.

Nigdy nie wyjawi matce, że była świadkiem sprzedaży jej ukochanej biżuterii. Ojciec pokazał jej list z Banca Commerciale informujący o dniu i godzinie aukcji, a potem spojrzął na nią milcząco, jakby chciał powiedzieć: „Pomóż mi”. Giulia wpatrywała się w niego, potem pokręciła głową, tylko raz, i odeszła. Ostatni rozdział tej historii jej rodzice musieli napisać razem, sami, tylko we dwoje. Tak jak pisali inne rozdziały, zarówno te jasne, jak i te ciemne. Ona, Giulia, była jedynie świadkiem losów Domu Florio. I chciała widzieć dłoń, która napisała ostatnie słowo.

\*\*\*

Franca siedzi przed toaletką. Mały pokój hotelu Eliseo skąpany jest w jasnym świetle, które mówi o nowym życiu i wiosnie. To ją

drażni, niemal obraża. Ignazio wyszedł na spacer. Albo tak jej powiedział. Ona wie, że jej mąż nie mógł znieść rozmowy o tym, co się w tym momencie działo. Stojąc już w progu, wyszeptał tylko: „Wybacz mi”.

Franca zamyka oczy. Dziś jest ten dzień.

W myślach słyszy stuk młotka oznaczający sprzedaż jej biżuterii.

Bransoletka z szafirami, którą Ignazio podarował jej z okazji narodzin Baby Boya. Inna, platynowa, prezent z okazji narodzin Giulii. Platynowa broszka z brylantami w kształcie orchidei – podarunek z okazji pierwszej rocznicy ślubu. A potem jej perły. Sznur czterdziestu pięciu dużych pereł. Stu osiemdziesięciu. Czterystu trzydziestu pięciu małych perełek... A przede wszystkim sznur trzystu pięćdziesięciu dziewięciu pereł, który nosiła, gdy Boldini malował jej portret.

Każde uderzenie młotka, choć Franca go nie słyszy, odbija się w jej kościach, a ból dociera do samej duszy. Te klejnoty były jej tarczą przez całe życie. Broniły jej, pokazywały światu jej siłę, jej piękno. A teraz, gdzie są? Kto będzie się nią opiekował? Gdzie są elegancja, styl, opanowanie? Czy one kiedykolwiek naprawdę istniały, czy naprawdę do niej należały? A może były to fałszywe pewniki skazane na zniknięcie wraz z upływem lat?

Odpowiedź jest tam, przed nią. Jest w twarzy naznaczonej zmarszczkami goryczy, w smutnych oczach, w ociążonym ciele ukrytym pod plisowaną suknią. W duszy, która rozpadała się tyle razy, że nie jest już w stanie złożyć się z powrotem.

„Nie bój się być tym, kim jesteś”, powiedziała jej Giulia w pewien deszczowy dzień, całe lata temu, w innym życiu. I Franca próbowała. W jedyny sposób, jaki wydawał jej się możliwy. Z miłością, we wszystkich jej formach. Do Ignazia, do dzieci, do rodziny, do nazwiska, które nosiła. Kochała bardzo i bardzo była kochana, ale w końcu to miłość wydrążyła w jej wnętrzu przepaść ciemności i ciszy. „Mówią, że miłość to dawanie siebie bez zastrzeżeń; ale jeśli dajesz całego siebie, to nie masz już nic, by żyć”.

To właśnie ją spotkało.

Na początku jej miłość do Ignazia była pełna pragnienia, przywiązania i ufności. Oddała się całkowicie jemu i temu, czym był

i co reprezentował. Przytłoczyły ją bogactwo, szaleństwo życia, luksus. Wraz z pojawieniem się dzieci radość była pełna. Przez bardzo krótki, a teraz nieskończenie odległy czas czuła, że żyje. Nawet złośliwe plotki, spojrzenia zazdrości, trucizna całego miasta, które tak bardzo ją męczyły, teraz wydawały jej się znakiem tej pełnej i lśniącej doskonałości.

A potem krąg został przerwany. Zaczęły się zdrady, ból, żaloba. Łudziła się, że może obronić tę miłość, że mimo wszystko nadal będzie kochać Ignazia, że nadal będzie tym, czego on chciał. Że nadal będzie donną Francą Florio.

Później rozpoczął się upadek. Nie tylko Domu Florio. Jej upadek. Gwiazda, która rozświetlała niebo Palermo, jasna jak żadna inna, zgasła, stając się ciemnością w ciemności.

Znikła jej biżuteria, nawet ta, która była oznaką kłamliwej, rozpaczliwej, źle ulokowanej miłości. Złudzenie Franki, że była szczęśliwa, jest jak para osuszona przez słońce, jest jak pył w ten złoty wiosenny poranek.

Nie posiada już nic.

Pozostaje łagodna czułość wobec Ignazia, zrodzona z ich wspólnych lat. Pozostaje też miłość do córek, do Igiei i Giulii. Franca pielęgnuje w sobie nadzieję, że one nie popełnią jej błędów. Że będą wierne sobie i rozumieją, że miłość nie może żyć tylko dlatego, że jedno z dwojga tego chce. I że przede wszystkim nauczą się kochać same siebie.

„Czy gdybym wiedziała to wszystko, kochałabym mniej?

Nie.

Kochałabym inaczej”.

Wpatruje się w punkt w lustrze, które ocalało z Olivuzzy, ale jej spojrzenie jest nieobecne, odległe. Po chwili nikły uśmiech wygina jej usta, łagodni rysy twarzy.

Przed nią na dywanie siedzi chłopiec. Ma gęste blond loki, spojrzenie urwisa i śmieje się, gdy ciągnie za spódnicę zielonooką dziewczynkę o przejrzystej skórze, która trzyma na rękach niemowlę. Dalej, w rogu pokoju, stoją jej matka i ojciec, jej brat Franz, jej teściowa Giovanna. Jest też Giulia Tasca di Cutò, młoda i piękna jak w czasach ich przyjaźni.

Franca znów spogląda na dzieci. One odpowiadają spojrzeniem, uśmiechają się do niej.

Giovannuzza. Baby Boy. Giacobina.

– Czekamy na ciebie, *mamma* – mówi Giovannuzza, nie poruszając ustami.

Ona kiwa głową. Wie, że na nią czekają. Wie też, że miłość do nich była inna. Przy nich nigdy nie bała się być po prostu Francą. Nie bała się być krucha, pokazać swojej duszy. Rozumie to dopiero teraz, gdy wszystko inne zniknęło.

Wtedy, tylko dla nich, tam w lustrze, Franca jest znowu młoda i piękna. Jest w swoim pokoju, tym z podłogą pokrytą płatkami róż i cherubinami na suficie. Jej zielone oczy są wyraziste, usta uchylone w pogodnym uśmiechu. Ma na sobie białą suknię i swoje perły.

W tej chwili, równie doskonałej, jak niemożliwej, jest szczęśliwa.

Tak szczęśliwa, jak nigdy nie była naprawdę.

## Zakończenie (listopad 1950)

*Cu campa si fa vecchiu*  
„Kto żyje, ten się starzeje”  
przysłowie sycylijskie

Listopad 1950 roku jest lodowaty, biczowany podmuchami wiatru pachnącego mokrą ziemią. Ignazio z trudem stąpa betonową ścieżką cmentarza Santa Maria di Gesù, czasem się potyka. Idąca obok niego Igiea musi kilkakrotnie go podtrzymać. Za nimi, za bramą, stoją ludzie, wielu ludzi. Przybyli, aby złożyć ostatni hołd donnie France Florio.

– Franca... – szepce Ignazio.

Zmarła kilka dni wcześniej w Migliarino Pisano, w domu Igiei, gdzie zamieszkała. Miała siedemdziesiąt sześć lat. Ignazio nie chciał zobaczyć jej ciała. W jego umyśle – coraz bardziej kruchym i chmurnym – Franca zawsze będzie dziewczyną w białej batystowej sukni i słomkowym kapeluszu, którą poznał w Villi Giulia.

Teraz unosi wzrok. Ma przed sobą wielką kaplicę grobową Floriów. Drzwi z kutego żelaza są szeroko otwarte i tuż za marmurowym lwem wyrzeźbionym przez Benedetta De Lisiego leży ciemna trumna przykryta wieńcem z kwiatów. Eksplozja życia pośród tej szarości.

Igiea lekko potrząsa ramieniem ojca, a on spogląda na nią, jakby zaskoczony, że jest obok. Twarz córki pod woalką jest udreńczona, oczy czerwone od łez.

– Czy chcesz się z nią pożegnać, *papà*?

Ignazio zdecydowanym gestem odpowiada, że nie. Igiea wzdycha, jakby chciała powiedzieć: „Tego się spodziewałam”. Zwraca się do stojącej za nią młodej kobiety, swojej najstarszej córki, Arabelli.

– Zaopiekuj się dziadkiem – mówi i robi miejsce, by Arabella mogła wziąć go pod ramię.

Potem idzie krótką ścieżką między grobami, wchodzi po małych schodkach do wnętrza kaplicy, gdzie czekają na nią mąż, siostra Giulia i szwagier Achille Bellosio Afan de Rivera.

Ignazio patrzy na swoje córki z melancholijnym dystansem. Wie, że uważają go za zagubionego w przeszłości, bardziej wyobrażonej niż rzeczywistej, i że obwiniają o to, że ich matka cierpiała. Nie bez racji.

Igiea i Giulia są kobietami spełnionymi. Mają własne życie, rodziny, swoje miejsce w świecie. Nie należą już do Sycylii, nie noszą już jego nazwiska. Ci, co mogliby je nosić, leżą w tej samej kaplicy, która za chwilę przyjmie Francę.

W przeszłości Ignazio często zastanawiał się, czy boi się śmierci. Teraz zna odpowiedź. Nie. Jego życie było pełne, przez długi czas niczego sobie nie odmawiał. Ale teraz jest zmęczony. Jest zmęczony tym, że przeżył tych, których kochał, że był tamą powstrzymującą falę losu, podczas gdy inni zostali przez ten los zmieceni.

Ignazio podchodzi tam, gdzie otwiera się krypta.

– Gdzie chcesz iść, dziadku? – pyta Arabella, prawie go powstrzymując.

On wskazuje na małą, czarną żelazną bramę, otwartą na tę okazję.

– Tam – mówi po prostu.

W krypcie jest jeszcze zimniej. Tufowe ściany są popękane, pokryte welonem pleśni, a żelazne kandelabry powyginane; noszą ślady wilgoci i upływu czasu. Jednak dwa białe sarkofagi w centrum krypty wydają się odporne na spustoszenie, jakie czyni czas. Grobowiec jego ojca pokrywa kurz. Ignazio podchodzi do niego, przesuwa po nim ręką, aby go oczyścić. Kiedy wykonuje ten gest, rodzinny pierścień dotyka kamienia, wydając dźwięk, który zmusza go do gwałtownego cofnięcia dłoni. Drugi sarkofag, bardziej monumentalny, należy do jego dziadka Vincenza, którego on nie znał. Obok niego leżą jego matka Giovanna i babka Giulia, a także pradziadek Paolo i jego brat Ignazio, którzy przybyli do Palermo z Bagnara Calabria i byli właścicielami nędznej *putà*. To od niej wszystko się zaczęło. A razem z nimi jest jego prababka Giuseppina, żona Paola.

Oni wszyscy tam są. Ród Florio.

Każdy z nich miał przyszłość, kogoś, komu mógł pozostawić coś więcej niż pieniądze, firmy i budynki – nazwisko i historię.

I niczym droga, kamień po kamieniu, to nazwisko i ta historia doszły do niego.

Teraz nie ma już nikogo, kto mógłby pielęgnować ich pamięć. Ta myśl wywołuje nieznośny zawrót głowy i każe mu zamknąć oczy, jakby wystarczyło nie widzieć, by nie runąć w przepaść. Dlatego Ignazio nie chciał uczestniczyć w pochówku Franki. Bo tam w kaplicy, obok niej, leży jego brat Vincenzo i troje dzieci: Giovannuzza, Baby Boy i Giacobina.

Zawroty głowy nie ustępują nawet po tym, jak Ignazio opuszcza cmentarz i wsiada do alfy romeo Igiei. Palermo przesuwa się przed jego obojętnymi oczami. Przechodzi go tylko drgnienie, gdy przejeżdżają obok palazzo Butera, rozerwanego przez bomby w 1943 roku. Jego siostra Giulia musiała przeżyć jeszcze to, po śmierci swojego ostatniego syna, Giuseppego, a potem męża Pietra. Zmarła zaledwie trzy lata wcześniej, w Wigilię 1947 roku.

Ignazio opuszcza wzrok i patrzy na rodzinny pierścień. Ruina Domu Florio jest już czymś odległym. Kiedy o niej myśli, czuje irytację, ale nie ból. Nawet zależność od córek i brata pozostawia go obojętnym. Nie ma już żadnych pieniędzy, mimo że – przynajmniej formalnie – Dom Florio nigdy nie zbankrutował. To, co rozdziera jego duszę, to myśl, że wraz z nim wygaśnie nazwisko. Historia. Ich historia, zamknięta w tym małym złotym krążku wytartym przez lata.

Igiea zatrzymuje samochód przed willą Quattro Pizzi. Ignazio prawie tego nie zauważa. Jego oczy patrzą, nie widząc; zagubił się w myślach.

– *Papà*, jesteśmy u stryja Vincenza – mówi mu. – Wejdę na górę, przywitam się z nim i cocią Lucie, ale nie zostanę na obiad. – Córka obchodzi samochód, otwiera mu drzwi.

Ignazio wysiada, po czym wskazuje na plażę.

– Poczekaj – mówi. – Pozwól mi zobaczyć morze. – Uśmiecha się do niej niemal przeprasza jąco.



Idą z trudem, buty zapadają się w piasku i drobnych kamieniach na brzegu. Nagle Ignazio wskazuje ruchem głowy na wieżę po swej lewej stronie.

– Wiesz, twojej matce się tutaj nie podobało.

Igiea patrzy na plamę zieleni po drugiej stronie zatoki. Wśród drzew daje się wciąż dostrzec małą świątynię.

– Woląta Villę Igiea, wiem. Została tam tak długo, jak mogła – dodaje melancholijnie.

Ignazio wpatruje się w urządzenia stoczni na horyzoncie, a następnie przenosi wzrok dalej, ku Palermo.

– Zostaw mnie tu na dziesięć minut – mówi, ruszając ku płaskiej skale niedaleko od bocznego wejścia do willi.

– Jest zimno, *papà*. – Morze pęcznieje, rozpryski piany wypełniają solą powietrze. – Nie lepiej, żebyś się ogrzał?

– Nie, nie. Zostaw mnie tutaj. – Ścisną jej ramię. – Idź przywitać się ze stryjem.

Igiea kiwa głową, rzuca mu spojrzenie pełne smutku i zrozumienia, po czym odchodzi.

Ignazio długo wpatruje się w fale – obojętne i gniewne – które rozbijają się o skały.

Willa Quattro Pizzi powstała na zlecenie jego dziadka, Villa Igiea to dzieło jego i Franki. Pomiedzy tymi dwoma budynkami rozpina się całe życie Ignazia i życie jego rodziny.

Palermo. Morze.

Byli absolutnymi władcami tego miasta. A jego ojciec wiele lat wcześniej na Favignanie powiedział mu, że mają morze w żyłach.

Zawrót głowy powraca. Gwałtowny, brutalny.

„Wszystko zostanie zapomniane”, mówi do siebie Ignazio i ta myśl wyrywa z niego szloch. Na chwilę zamyka oczy.

I słyszy, że ktoś go woła.

– Don Ignazio! – Starszy mężczyzna z kędzierzawymi włosami idzie w jego stronę. Trzyma za rękę małą czarnowłosą dziewczynkę.

– *Assabbinirica*, don Ignazio. Jestem Luciano Gandolfo, pamiętacie mnie?

Ignazio przygląda się mu, marszczy czoło.

– Byliście jednym ze służących w willi, prawda?

– Tak, tak. Byłem tu już jako *picciriddu*, kiedy jeszcze żył wasz świętej pamięci ojciec. Miałem piętnaście lat, kiedy umarł. Moja rodzina i ja zawsze służyliśmy Floriom. – Mężczyzna pochyła się. – Słyszałem o waszej pani. To była taka piękna kobieta, niech odpoczywa w pokoju. Jesteście teraz tutaj, u don Vincenza?

Ignazio przytakuje. Ten, kto wszędzie posiadał domy, kto był panem Olivuzzy, jest teraz gościem swojego brata.

Dziewczynka, która zaczęła zbierać muszle, nagle się prostuje i patrzy na Ignazia intensywnym, ciemnym spojrzeniem.

– To wy jesteście don Ignazio Florio? – pyta.

Może mieć jakieś dziesięć lat lub trochę więcej.

Ignazio przytakuje.

– Więc jesteście bratem don Vincenza, tego od samochodów! Mój ojciec idzie z nim porozmawiać, gdy przywożą nam amerykańskie silniki do łodzi motorowych.

– To moja wnuczka, córka mojego syna Ignazia – wyjaśnia staruszek. Bierze ją za rękę, podprowadza bliżej. – Mój syn jest mechanikiem.

Ignazio z trudem wstaje.

– Wasz syn...

Mężczyzna przytakuje.

– Po waszym ojcu go nazwałem, bo zawsze był dla nas hojny. A ona – dodaje, wskazując na wnuczkę – ona nazywa się Giovanna, jak wasza matka, która była bardzo dobra dla nas tutaj.

Dziewczynka błyska uśmiechem; można powiedzieć, że jest dumna z tego, że wspomina się jej imię.

– Wiem wszystko o was, don Ignazio. Dziadek wiele opowiada mnie i moim braciom, a dziadkowie moich kolegów ze szkoły też opowiadają nam o połowach tuńczyka i o Domu Florio. – Przerywa, patrzy na muszle, które trzyma w dłoni, wybiera jedną i podaje mu. – Wszyscy tutaj wiedzą, kim jesteście.

Ignazio przyjmuje muszlę.

– Wszyscy wiedzą? – pyta niskim głosem.

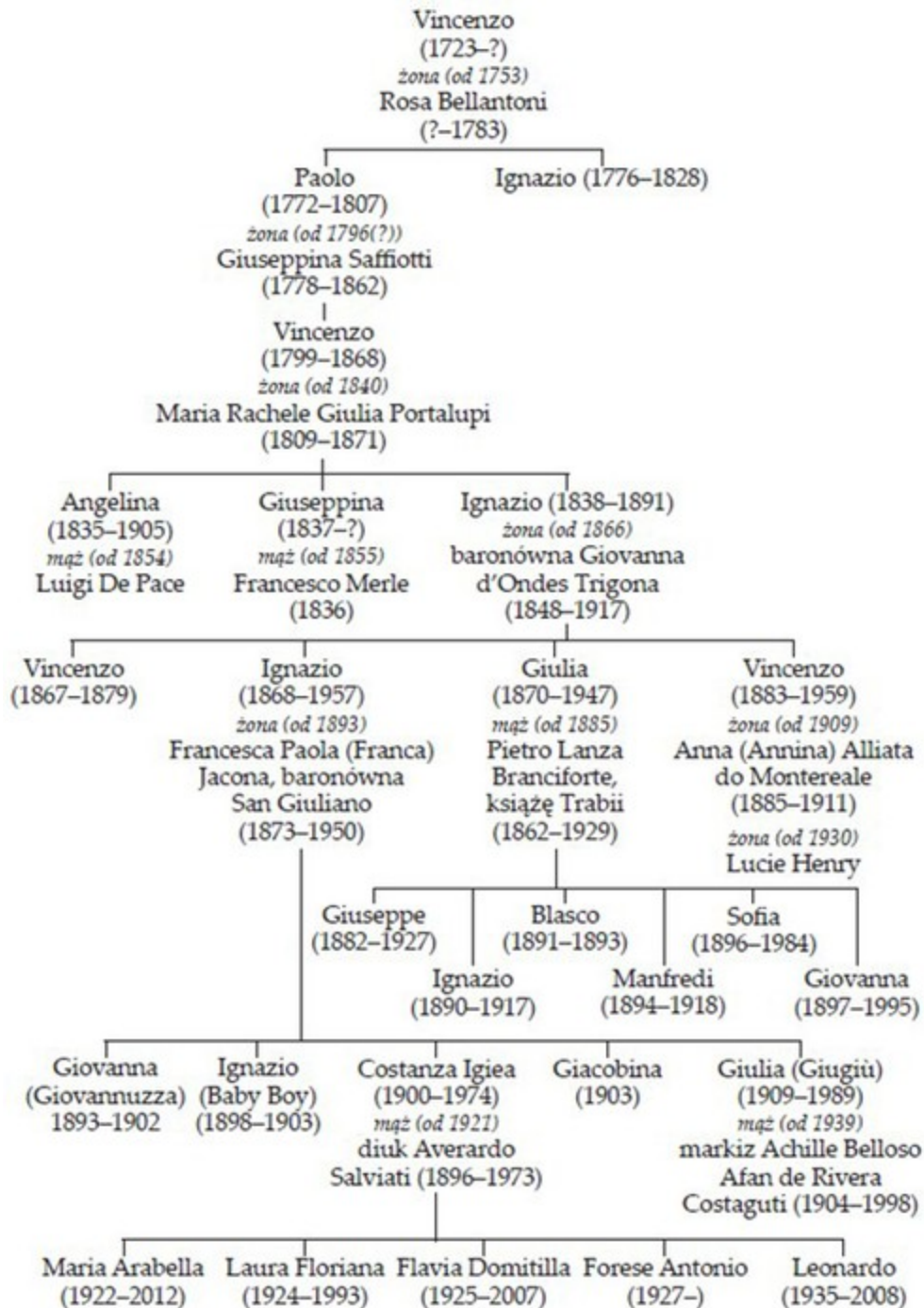
Dziewczyzna przytakuje, a starzec dodaje:

– *Caciettu*<sup>70</sup>. Wszyscy znają waszą historię, don Ignazio. Waszą, waszego brata, waszej rodziny. W Palermo było wielu bogatych i ważnych ludzi, ale nie takich jak wy. Wy jesteście Florio.

Ze ściśniętym gardłem Ignazio podnosi wzrok, patrzy na horyzont. Na falach, daleko, płynie łódź z białym łacińskim żaglem. Przypomina schifazzo<sup>71</sup>.

– To prawda. – Odwraca się, uśmiecha do małej dziewczynki i starca. – Inni to inni. My jesteśmy Florio.

# Drzewo genealogiczne rodziny Florio



## Od autorki

*Zima lwów* to powieść. Podkreślanie tego może wydawać się bezcelowe, ale nie wtedy, gdy opowiada się o rodzinie takiej jak Florio, która odcisnęła głębokie piętno na historii Palermo, Sycylii i Włoch, a jej dramatyczny wzlot i upadek od dawna fascynuje historyków podejmujących trudne zadanie przeanalizowania jej w całej złożoności.

Podobnie jak *Sycylijskie lwy*, ta powieść również opiera się na udokumentowanych wydarzeniach, połączonych z sytuacjami i postaciami, które sobie wyobraziłam lub przerobiłam na potrzeby powieści. Potrzeby te kierowały mną również w decyzjach – często niełatwych – o podkreśleniu jednych elementów historii Domu Florio ze szkodą dla innych. Krótko mówiąc, dokonywałam wyborów. Taki już los autorów powieści historycznych dotyczących współczesności i jest on dla nich jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem.

Kończąc moją podróż z rodem Florio – trwała ona prawie sześć lat – uważam, że powinnam wymienić opracowania będące dla mnie prawdziwymi kompasami przy pisaniu obu powieści. To przede wszystkim monumentalna praca, którą napisał Orazio Cancila, *I Florio, storia di una dinastia imprenditoriale* (Floriowie. Historia dynastii przedsiębiorców), niezbędna do ustalenia rzetelnej faktografii. Następnie *L'età dei Florio* (Wiek Floriów) pod redakcją Romualda Giuffridy i Rosaria Lentini oraz *I Florio* (Floriowie) autorstwa Simonego Candeli, książka bardzo bogata w informacje i ciekawa interpretacyjnie. Wreszcie *L'economia dei Florio, una famiglia di imprenditori borghesi dell'800* (Interesy Floriów, rodziny dziewiętnastowiecznych przedsiębiorców mieszczańskich), która zbiera wypowiedzi różnych autorów, a także zawiera katalog wystawy zorganizowanej w 1991 roku w Palermo, której kuratorem był Rosario Lentini, człowiek wielkiego intelektu i ogromnej

kultury, piszący wiele o Floriach, zwłaszcza o ich działalności przedsiębiorczej i związkach z włoską kulturą i polityką.

Skupione na bardziej szczegółowych tematach – i dlatego bardzo odkrywcze – były: *Le navi dei Florio* (Statki Floriów) autorstwa Piera Piccionego; *Villa Igia* pod redakcją Francesca Amendolaginego; *Giuseppe Damiani Almeyda* autorstwa Anny Marii Fundarò; *I Florio e il regno dell'Olivuzza* (Floriowie i królestwo Olivuzzy) autorstwa Franceski Mercadante; *La pesca del tonno in Sicilia* (Połów tuńczyka na Sycylii) autorstwa Vincenza Consolo; *Breve storia della ceramica Florio* (Krótka historia ceramiki Floriów) autorstwa Augusta Marinello; *Boldini. Il ritratto di donna Franca Florio* (Boldini. Portret donny Franki Florio) autorstwa Mattea Smolizy; *Gioielli in Italia* (Bizuteria we Włoszech) pod redakcją Lii Lenti; *Le toilette della signora del Liberty* (Toaleta kobieca w okresie secesji) autorstwa Ketty Giannilivigni; *Il guardaroba di donna Franca Florio* (Garderoba donny Franki Florio) pod redakcją Cristiny Piacenti Aschengreen; *Regine. Ritratti di nobildonne siciliane (1905–1914)* (Królowe. Portrety sycylijskich arystokratek) pod redakcją Danielego Anselmo i Giovanniego Purpury; *La musica nell'età dei Florio* (Muzyka w dobie Floriów) autorstwa Consuelo Giglio, oraz strony internetowe: targapedia.com (gdzie między innymi można znaleźć egzemplarze „Rapiditas. Uniwersalnego Magazynu Motoryzacyjnego” założonego przez Vincenza Florio), targaflorio.info i amucidellatargaflorio.com, istne kopalnie informacji o historii wyścigu Targa Florio.

Nie mogę jednak zapomnieć o pomysłach i sugestiach, które czerpałam z takich tekstów jak *La Sicilie illustrée* (fasc. 1904–1911), *Palermo fin de siècle*, autorstwa Pietra Nicolosiego, czy *Sulle orme dei Florio* (Śladami Floriów) Gaetana Corsellego d'Ondes i Paoli D'Amore Lo Bue, a także klasyki, jak *Princes Under the Volcano: Two Hundred Years of a British Dynasty in Sicily* autorstwa Raleigha Trevelyana, *Estatì felici* (Szczęśliwe lata) autorstwa Fulca Santostefano della Cerda diuka Verdury czy *I racconti* (Opowiadania) autorstwa Giuseppego Tomasiego di Lampedusy. Dzięki nim mogłam zagłębić się w zwyczaje świata obecnie nieistniejącego, a wciąż niezwykle fascynującego. Zawsze mogłam też liczyć na mojego doradcę historycznego i artystycznego

Francesca Melię, który odkrył przede mną złożoność i bogactwo społeczeństwa Palermo na przełomie XIX i XX wieku, analizował liczne teksty i porównywał dokumenty, w tym *Dizionario storico-eraldico della Sicilia* (Słownik historyczno-heraldyczny Sycylii) autorstwa Vincenza Palizzola Graviny, *Vivere e abitare da nobili a Palermo tra Seicento e Ottocento* (Życie i mieszkanie arystokracji w Palermo od XVII do XIX wieku) pod redakcją Luisy Chifari i Cira D'Arpy oraz *La pittura dell'Ottocento in Sicilia tra committenza, critica d'arte e collezionismo* (Dziewiętnastowieczne malarstwo sycylijskie. Zamówienia, krytyka sztuki, kolekcjonowanie) pod redakcją Marii Concetty Di Natale.

Kolejnym cennym źródłem były zdigitalizowane dokumenty dostępne w Internet Archive oraz archiwa internetowe dzienników „Corriere della Sera” i „La Stampa”. W artykułach współczesnych czasom powieści znalazłam skrupulatnie przedstawione opisy wydarzeń, które w innym przypadku popadłyby w zapomnienie. Jestem wdzięczna tym dziennikarzom – często anonimowym – którzy z pasją utrwalali historie, postaci i wydarzenia, a także tym, którzy udostępniali swoje artykuły. Oczywiście bardzo przydały mi się „Giornale di Sicilia” i „L'Ora”, prawdziwi protagoniści informacji w tamtych latach.

Do tego dochodzą eseje, świadectwa i artykuły dotyczące włoskiego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego w latach 1868–1935. Jeśli w powieści są jakieś błędy lub nieścisłości, to są one wyłącznie moją winą, a nie osób, które pomagały mi w badaniach.

Spośród tekstów traktujących o „intymnych” wydarzeniach w życiu rodziny dwa miały dla mnie zasadnicze znaczenie. Przede wszystkim *Franca Florio* autorstwa Anny Pomar, jedyna prawdziwa biografia Franki, wydana w 1985 roku i oparta na świadectwie Giulii Florio, ostatniej córki Franki i Ignazia. Książka, która rekonstruuje zarówno epokę, jak i indywidualną historię tej kobiety o udręczonym życiu. Długo rozmawiałam z Markiem Pomarem, synem autorki, również po to, by przedyskutować z nim te miejsca, gdzie informacje zawarte w tekście nie pokrywały się z tymi, które pojawiły się podczas moich badań. Dlatego szczerze dziękuję

Marcowi za wielką życzliwość, jaką mi okazał, i czuję się zaszczycona, że mogłam iść ścieżką wytyczoną przez jego matkę.

*L'ultima leonessa* (Ostatnia lwica) wydana w 2020 roku, na krótko przed śmiercią jej autorki Costanzy Afan de Rivera, to druga książka, również wyjątkowa, bo opowiadająca o życiu Giulii Florio poprzez wspomnienia jej córki. Wciąż ze wzruszeniem wspominam chwile, kiedy miałam zaszczyt rozmawiać z donną Costanzą i podziwiać jej pasję w przywoływaniu wydarzeń z życia rodziny: dzięki niej miałam okazję nie tylko uchwycić najbardziej autentyczne aspekty kobiety tak pełnej sprzeczności, jaką była Franca, lecz także naprawdę zrozumieć wagę, a zarazem dumę, które niesie ze sobą nazwisko Florio.



# Podziękowania

W ciągu tych sześciu długich lat, od momentu gdy w mojej głowie pojawiła się scena trzęsienia ziemi, która otwiera *Sycylijskie lwy*, do tych słów podziękowania na końcu *Zimy lwów*, poznałam wartość dyscypliny, samotności, cierpliwości, odwagi.

Tak, bo pisanie to czynność, która nigdy nie jest celem samym w sobie; wymaga odpowiedzialności i hartu ducha. Zostaje się samemu ze swoimi słowami i wątpliwościami, z obawą, że nie dało się wystarczająco dużo, z poczuciem, że trzeba walczyć z trudną do oswojenia historią i wybierać, które suche gałęzie odciąć, a które fundamenty zbudować na nowo.

A jednak w końcu uświadamiasz sobie, że każda powieść to droga pełna zakrętów i wybojów i że możesz wybrać, czy będziesz ją pokonywać w spokojnym tempie czy niepewnym krokiem, oświetloną jedynie światłem intuicji. Wiesz tylko, że masz przed sobą Gwiazdę Polarną: historię, którą chcesz opowiedzieć. Starasz się to robić najlepiej, jak potrafisz, starasz się zachować odpowiedni dystans i pozwalasz, by czas pomógł cenionym słowom znaleźć swoje miejsce. I wreszcie wkładasz rękę w paszczę lwa, a bestia, której się obawiałeś, potulnie pozwala ci się głaskać.

Właśnie.

Opowiadanie historii Floriów było tym wszystkim i jeszcze czymś więcej.

I nie udałooby mi się to, gdybym nie miała obok siebie ludzi, którzy pomagali mi z cierpliwą łagodnością. Przede wszystkim mój mąż i dzieci – nigdy mnie nie zawiedli i wspierali mnie nawet w najbardziej skomplikowanych momentach, a także często jeździli ze mną po Włoszech. Nie było to łatwe. Powiedzieć „dziękuję” to mało. Wraz z nimi rodzina: moja matka Giovanna oraz siostry Vita i Anna, siostrzenice, bratanice, szwagrowie, wujowie i kuzyni (zwłaszcza z rodzin Basiricò i Rosselli). Mam ten przywilej, że otaczają mnie ludzie, którzy mnie kochają, co nie jest takie częste.

To wielkie szczęście, że mam Was obok siebie i mogę cieszyć się Waszym szacunkiem.

Następnie wielka rzesza przyjaciół. Chiara, która zawsze jest przy mnie, w ten czy inny sposób, Nadia Terranova, wzór i cenny punkt odniesienia, Loredana Lipperini, która jest moją wróżką chrzestną (i wie, co to znaczy), Evelina Santangelo, której dziękuję za rady. Ale również Piero Melati, który zawsze darzył mnie wielkim szacunkiem, Alessandro D'Avenia, który tak uważnie mnie słuchał, Pietrangelo Buttafuoco, staromodny dżentelmen o wielkim sercu, i wreszcie grupa Villa Diodati Reloaded: Filippo Tapparelli, Eleonora Caruso, Domitilla Pirro, którzy co najmniej przy kilku okazjach zbierali to, co ze mnie zostało, i rozśmieszali mnie. I jeszcze raz: Felice Cavallaro i Gaetano Savatteri, dwa najpiękniejsze i najbardziej autentyczne głosy wyspiarskiej i włoskiej kultury.

Podziękowania kieruję do Eleny, Gabrielli, Antonelli, Valerii, Rity, Valentiny i zawsze drogiej Elisabetty Bricca, niezwykłych kobiet i czytelniczek, z którymi łączy mnie dziesięcioletnia przyjaźń, do Franca Cascio i Elviry Terranovy, bo po prostu są, do Alessii Gazzoli, Valentiny D'Urbano i Laury Imai Messiny, którym jestem winna szacunek i wielką wdzięczność. Wasze opowieści są dla mnie zawsze źródłem inspiracji.

Lista księgarzy, których noszę w sercu, jest również bardzo długa: wielu z nich to nie tylko osoby „do współpracy”, ale prawdziwi przyjaciele i jako takich wymieniam ich z imienia: Fabrizio, Loredana i Marcella, Teresa, Alessandro i Ina, Ornella, Maria Pia, Bianca, Caterina i Paolo, Manuela, Guido, Sara, Daniela, Giovanni, Maria Carmela i Angelica, Arturo, Nicola, Carlotta i Nicolò, Valentina, Fabio, Cetti i jej siostry, Barbara i Francesca, Serena, Alberto, Marco i Susan, Stefania i Giuseppe. Wszystkim Wam i wszystkim innym księgarzom – niezależnym i działającym w ramach różnych sieci – chcę nie tylko podziękować, ale i ukłonić się nisko, bo Wasza praca jest szlachetna i niezwykła; gdybym nie była nauczycielką, myślę, że zostałabym księgarką. Jeśli *Sycylijskie lwy* stały się tym, czym są, zawdzięczam to Wam i pasji, którą włożyliście w zaproponowanie jej czytelnikom, i niesamowitemu sposobowi, w jaki towarzyszyliście jej na ulicach świata. Tak samo

muszę podziękować tym, którzy przedstawili Wam moją książkę, agentom Prolibro (jeden za wszystkich: Toti Di Stefano), na czele z kierownikiem sprzedaży Emanuele Bertonim. Jesteście moimi bohaterami.

Podziękowania dla Giuseppego Basiricò, utalentowanego antykwariusza i niezwykłego człowieka; zawdzięczam mu nie tylko niezliczone pocztówki, książki i przedmioty związane z historią rodziny Florio, lecz także moc zachęt i pomocy od samego początku moich badań; dla braci Tortorici za ich szacunek i za to, że pozwolili mi przeglądać cuda wystawione w ich galerii sztuki; dla Francesca Sarno, który udostępnił mi katalog aukcji mebli rodziny Florio z 1921 roku i towarzyszył mi z wielką pilnością i uwagą.

Dziękuję profesorowi Mariowi Damianemu Almeydzie, wnukowi architekta Floriów, który stworzył wspaniałe internetowe archiwum rysunków swojego dziadka, a w pewien deszczowy poranek przyjął mnie w swoim mieszkaniu, by pokazać mi kilka niepublikowanych rysunków pałacu Florio na Favignanie. Brawa należą mu się również za wspaniałe dzieło konserwacji i upowszechniania tego niezwykłego miejsca, które od lat samodzielnie prowadzi. Szczególne podziękowania dla profesora Piazzzy, który pozwolił mi odwiedzić jeden z najpiękniejszych i najlepiej zachowanych obszarów dawnej Olivuzzy. Dziękuję Giuseppeemu Carliemu, właścicielowi zabytkowego sklepu jubilerskiego Carli w Lukce i miłośnikowi zegarków, który ujawnił mi istnienie zegarka kieszonkowego wykonanego dla Floriów w celach reklamowych na początku XX wieku. To wyrafinowany czytelnik i człowiek o wielkiej kulturze; niezwykle mi imponował swoją intelektualną hojnością.

Dziękuję tym, którzy mnie przyjęli (i czekali na mnie) przez te miesiące: Enricowi del Mercato, Mariowi di Caro i Sarze Scarafii; dziękuję Claudiowi Cerasie i wszystkim dziennikarzom, którzy się ze mną spotkali i rozmawiali bez uprzedzeń, bez filtrów. Bardzo miło było z Wami pracować. Dziękuję moim koleżankom i kolegom oraz dyrektorce Państwowej Szkoły Hotelarskiej im. Paola Borsellino, którzy nadal przyjmują mnie z taką samą sympatią jak zawsze.

Podziękowania dla Constanzy Afan de Rivera: chętnie dałabym jej tę książkę i zobaczyła ten lekki uśmiech, którym wyraziła swoje zaciekawienie. Z wielkim żalem przyjmuję wiadomość, że już nie przeczyta tych stron.

Dziękuję Sarze di Cara, Marze Scanavino i Glorii Danese: trzem osobom, które prowadziły mnie, każda na swój sposób, przez te lata. Wobec nich mam dług wdzięczności, którego nie da się wyrazić słowami.

Dzięki Isabelli di Nolfo i Valentinie Masilli, które nie zwracają już uwagi na to, że jestem wiecznie nieobecna, i wiedzą, jak radzić sobie z moimi lękami.

Ogromne podziękowania dla Silvii Donzelli i Stefanii Fietty, moich agentek. Gdyby nie wierzyły w tę historię od początku, nie ujrzałaby ona światła dziennego. Dziękuję za cierpliwość i za to, że jesteście, zawsze. Cenne i bezcenne.

Podziękowania dla Nord, mojego domu wydawniczego: przede wszystkim dla Stefana Mauriego, Cristiny Foschini i Marka Tarò, którzy zawsze okazywali mi szacunek i sympatię. Dziękuję za wrażliwość i inteligencję, za to, że widzieliście we mnie przede wszystkim człowieka, a potem autorkę, że przyjęliście mnie mimo mojego powszechnie znanego szaleństwa. Podziękowania dla Viviany Vuscovich, która przyniosła światu *Sycylijskie lwy* i *Zimę lwów* – nikt inny nie mógłby dokonać takich cudów jak ona. Dzięki Giorgii di Tolle, wcielonej cierpliwości, i Paolowi Caruso. Dzięki ludziom z działu marketingu, Elenie Pavanetto i Giacomowi Lanaro, zawsze uważnym, zawsze kreatywnym, zawsze przyjaznym. Podziękowania dla Barbary Trianni: oprócz tego, że jest fantastyczną szefową biura prasowego, jest też *partner in crime* – oraz *partner in shopping* – ale przede wszystkim niezwykłą kobietą, odważną i stanowczą. Podziękowania dla Alessandra Magno i zespołu działu audiobooków i e-booków: Simonie Musmeci, Davidemu Perra i Desirée Favero. Podziękowanie niech przyjmie Ninna Bruschetta, „głos *Lwów*”. Dziękuję Elenie Carloni i Ester Borgese, które wyłapały literówki i błędy, oraz ponownie Simonie Musmeci, która ujednoliciła wyrażenia w dialekcie. Gdybym mogła, wzięłabym sterowiec, przyczepiłabym baner z podziękowaniami

i godzinami latałabym nad via Gherardini. I nie jest wykluczone, że w pewnym momencie to zrobię.

Następnie chcę wymienić trzy osoby, które były ze mną podczas tych lat badań i pisania.

Francesca Maccani, która zawsze w nas wierzyła. Która nigdy się nie wycofała, zbierała łzy i wyznania, była naprawdę moim aniołem stróżem. Życzę Ci wszystkiego dobrego za to, co dla mnie zrobiłaś, i wiedz, że to naprawdę dużo.

Francesco Melia, którego historyczna i artystyczna wiedza jest imponująca. To osoba o ogromnej dobroci i cierpliwości, towarzysz przygód, który potrafił wygładzić moją niepewność nawet zwykłym żartem. Współpracował ze mną z niebywałą uczynnością.

Cristina Prasso. Jej, jednej z najbardziej skrytych osób na naszej planecie, mówię tylko jedno. Dziękuję. Bo gdybyś w 2018 roku nie uwierzyła i nie przeczytała mojej powieści w jedną noc, wszystko to nigdy by się nie wydarzyło. Dziękuję, bo nie zawiodłaś mnie ani na chwilę, nawet w momentach, kiedy zmęczenie było przytłaczające i obawiałam się, że nie będę w stanie stworzyć tej historii tak, jak czułam, że powinna wyglądać; dziękuję, że byłaś nie tylko wydawczynią i redaktorką, lecz także przyjaciółką i punktem odniesienia. Dziękuję za wszystko, czego mnie nauczyłaś i uczysz każdego dnia. Dziękuję za to, że jesteś i jaka jesteś.

Dziękuję wszystkim trojgu. Za tymi słowami kryje się wiele rzeczy niewypowiedzianych, które muszą takimi pozostać.

Dziękuję tym, którzy przeczytali tę powieść, a potem ją polecają, dają w prezencie, zamieszczają na Instagramie i Facebooku, bo im się podobała; ale dziękuję też tym, którzy jej nie kochają, i tym, którzy pozostają wobec niej obojętni: czytanie to zawsze sposób dbania o siebie.

I wreszcie: Paolo i Giuseppina, Ignazio, Vincenzo i Giulia, Giovanna i Ignazio, Franca i Ignazziddu oraz wasze dzieci – każde z Was coś mi dało. Czegoś mnie nauczyliście.

Jestem Wam winna moje ostatnie „dziękuję”.

---

<sup>1</sup> Służącego, który się zajmie twoimi ubraniami (syc.). (Wszystkie przypisy, o ile nie podano inaczej, pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Starożytne, pełne szacunku sycylijskie pozdrowienie, znaczące w przybliżeniu „Niech będzie ci dane błogosławieństwo”.

<sup>3</sup> Idź spać. Jeszcze potrafię sam się przebrać (syc.).

<sup>4</sup> Najmocniej przepraszam. Czekałem tu na was i...

Dobrze. Teraz kładź się spać, bo jutro rano musimy wstać o piątej (syc.).

<sup>5</sup> Rodzinne posiłki potrafią być bardzo hałaśliwe (fr., syc.).

<sup>6</sup> Nieco oddalony (fr.).

<sup>7</sup> Dosł. Woda w niepogodę, burzowa woda (syc.).

<sup>8</sup> Drewno się prostuje, kiedy jest jeszcze zielone (syc.).

<sup>9</sup> Tyle jest lepsza ode mnie? (syc.).

<sup>10</sup> Około dziesięciu milionów euro (przyp. aut.).

<sup>11</sup> Tonnara to zespół przybrzeżnych urzędzeń do połowu i przerobu tuńczyka: przystań dla łodzi, przetwórnice, miejsce do naprawy sieci, hangary i magazyny.

<sup>12</sup> *Gabelotto* to w jednej osobie dzierżawca, administrator dóbr i dowódca zbrojnej straży strzegącej interesów. Początki tej charakterystycznej dla rolniczej i rybackiej Sycylii funkcji wiążą się z okresem, w którym arystokracja zaczęła przenosić się do większych miast wyspy, głównie Palermo i Katanii, zostawiając troskę o uprawy czy połów w rękach dzierżawcy, który płacił im coroczny czynsz, zwany *gabello*.

<sup>13</sup> Mattanza – tradycyjna forma połowu tuńczyków, opisana dokładnie w kolejnym rozdziale.

<sup>14</sup> *Il povero* znaczy po włosku „biedak”.

<sup>15</sup> Niech odpoczywają w pokoju (łac.).

<sup>16</sup> Jak tylko wróci twój ojciec, opowiem mu, co zrobiłeś. Kto to widział, żeby brać i wyrzucać książki, kiedy chce się uczyć? (syc.).

<sup>17</sup> Jest jeszcze mały. To tylko chłopiec... – Musi zrozumieć, że nie może zawsze robić tego, na co ma ochotę. Musi pracować, bo pieniędzy nie znajduje się pod cegłą (syc.).

<sup>18</sup> Trinacria to również historyczna nazwa Sycylii.

<sup>19</sup> Zimny sycylijski deser, wbrew swojej nazwie przyrządzany z arbuza.

<sup>20</sup> Tytuł zarezerwowany dla znakomitych szefów kuchni, często pracujących w rezydencjach najbogatszych rodzin dziewiętnastowiecznej Sycylii.

<sup>21</sup> Niech znak Krzyża i Matka Boska Bolesna dadzą nam dobry rok (syc.).

<sup>22</sup> Syn mojego serca, dusza moja (syc.).

<sup>23</sup> Obudź się, serce moje (syc.).

<sup>24</sup> Pietra dura (inaczej: mozaika florencka) – znana od epoki renesansu metoda zdobienia powierzchni obrazami i deseniami układanymi z płytek precyzyjnie wycinanych z kamieni półszlachetnych.

<sup>25</sup> W każdym wielkim państwie jeden wróg to za dużo, a stu przyjaciół to za mało (syc.).

<sup>26</sup> Jesteś naprawdę elegancka, moja droga (fr.).

<sup>27</sup> Czyż nie? (fr.).

<sup>28</sup> Co się dzieje? (fr.).

<sup>29</sup> Wybacz, że przyszedłem bez zapowiedzi (fr.).

<sup>30</sup> Przeprowadzona w tym samym 1882 roku reforma włoskiego systemu wyborczego rozszerzała prawo głosu na wszystkich mężczyzn – kobiety wciąż tego prawa nie miały – od dwudziestego pierwszego roku życia, umiejących czytać i pisać, mających ukończone przynajmniej dwie klasy szkoły powszechnej lub odprowadzających przynajmniej 19 lirów i 80 centymów – około 87 euro – podatku rocznie. Oznaczało to zwiększenie liczby wyborców z poprzednich 2,2% do ponad 6% populacji, czyli do 2 milionów uprawnionych z ponad 29 milionów.

<sup>31</sup> W ten sposób (syc.).

<sup>32</sup> Możecie mnie nazywać, jak chcecie (syc.).

<sup>33</sup> Około 13 500 euro. Suma stosunkowo niska jak na nasze standardy, ale w tamtych czasach niezwykle wysoka (przyp. aut.).

<sup>34</sup> *Cornutu* albo wzmocnione *crasto e cornutu* – popularna na Sycylii obelga, dosł. rogacz, jednak w zależności od kontekstu może też występować jako rubaszny komplement.

<sup>35</sup> Lidia Poët była pierwszą Włoszką, która uzyskała prawo wykonywania zawodu adwokata. Została wpisana na listę adwokatów w sierpniu 1883 roku, ale już w listopadzie tego roku decyzja została odwołana przez sąd w Turynie. Poët nie przestała walczyć o prawo kobiet do pełnego udziału w życiu publicznym i choć nie mogła występować przed sądem, pracowała w kancelarii swego brata. Do pełnego i samodzielnego wykonywania zawodu adwokata wróciła w 1920 roku, mając wówczas 65 lat.

<sup>36</sup> Około osiemnastu milionów euro (przyp. aut.).

<sup>37</sup> Typowa dla Sycylii forma zabudowań wiejskich łącząca mieszkania oraz stajnie, szopy i inne pomieszczenia gospodarcze zebrane wokół dużego podwórza, połączone wspólną ścianą zewnętrzną z masywną bramą i przystosowane do zbrojnej obrony przed napaścią.

<sup>38</sup> Na jednego szelmę trzeba szelmy półtora (syc.).

<sup>39</sup> Miłość do łóżka nie jest dobrą rzeczą (syc.).

<sup>40</sup> Przeł. Józef Łukaszewicz.

<sup>41</sup> Zawołajcie mi, proszę, dyrektora (fr.).

<sup>42</sup> Nie martwcie się, mamó (fr.).

<sup>43</sup> Około dwudziestu dwóch milionów euro (przyp. aut.).

<sup>44</sup> Początek arii tenora z pierwszego aktu *Cyganerii* Pucciniego. W swobodnym przekładzie: „Jakaż zimna rączka! Pozwoli panienska, że ją rozgrzeję. Cóż da szukanie, gdy ciemność nastanie? Na szczęście, daję słowo, noc mamy księżycową, a księżyc jest tu blisko”.

<sup>45</sup> Pochodzący z północnych Włoch placek o zwartym, kruchym cieście, nierzadko orzeszkami piniowymi i owocami kandyzowanymi.

<sup>46</sup> Jeśli chcesz doświadczyć mąk piekielnych, zimę spędź w Mesynie, a lato w Palermo (syc.).

<sup>47</sup> Babcia (niem.).

<sup>48</sup> Idziesz? (niem.).

<sup>49</sup> Najbardziej rozbudowany, barokowy w swej strukturze sycylijski deser.

<sup>50</sup> Idź i pobaw się w innym pokoju (niem.).

<sup>51</sup> Przeł. Anna Ludwika Czerny.

<sup>52</sup> Cyt. za: Edmund de Waal, *Białe szlaki*, przeł. Marianna Cielecka.

<sup>53</sup> Przeł. Marianna Cielecka.

<sup>54</sup> Fascynujący obraz (fr.).

<sup>55</sup> Więcej o sobie nie umiem powiedzieć. Jestem sąsiadką, co nie w porę przychodzi (wł.).

<sup>56</sup> Chce mi się pić (niem.).

<sup>57</sup> – Proszę się nim zaopiekować. Może jest głodny... – On już jadł, pani Florio. Ale nie spał zbyt wiele. – Co się stało, mój aniołku? Pójdziemy się trochę zdrzemnąć, co? (fr.)

<sup>58</sup> Proszę wrócić do hotelu, panie Florio. Szybko, szybko! (fr.)

<sup>59</sup> Dwa charakterystyczne rodzaje weneckich ciastek. Prostokątne *zaleti* piecze się z mąki pszennej i kukurydzianej z dodatkiem rodzynek i orzeszków piniowych. *Bussolai* to okrągłe maślane ciastka z dziurką, od której otrzymały nazwę (*buso* to po wenecku „dziura”).

<sup>60</sup> Mój syn (syc.).

<sup>61</sup> Tytuł grzecznościowy przysługujący członkom włoskiego parlamentu.

<sup>62</sup> Około osiemdziesięciu sześciu milionów euro (przyp. aut.).

<sup>63</sup> Vincent, kochanie, chodź tutaj (fr.).

<sup>64</sup> Krew mego serca (syc.).

<sup>65</sup> Mamó (niem.).

<sup>66</sup> Karuzela, chcę na karuzelę (fr.)

<sup>67</sup> Dosł. małą przyjaciółką (fr.), ale z romantyczną konotacją.

<sup>68</sup> Nie, moja mała (fr.).



<sup>69</sup> Ciotka (fr.).

<sup>70</sup> Oczywiście (syc.).

<sup>71</sup> Nieduży statek z ożaglowaniem łacińskim, służący głównie do kabotażu. Na takim pod koniec 1799 roku bracia Paolo i Ignazio Floriowie przyплыли z Bagnara Calabria do Palermo.

Redaktorka inicjująca: Joanna Maciuk  
Redaktorki prowadzące: Magdalena Matuszewska, Anna Kapuścińska

Przekład: Tomasz Kwiecień  
Redakcja: Maria Wirchanowska  
Korekta: Gabriela Niemiec, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Joanna Strękowska-Türkmen  
Skład okładki: Paweł Sky  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Małgorzata Maj/Arcangel  
© Fototeca Gilardi/Photodisc/Getty Images

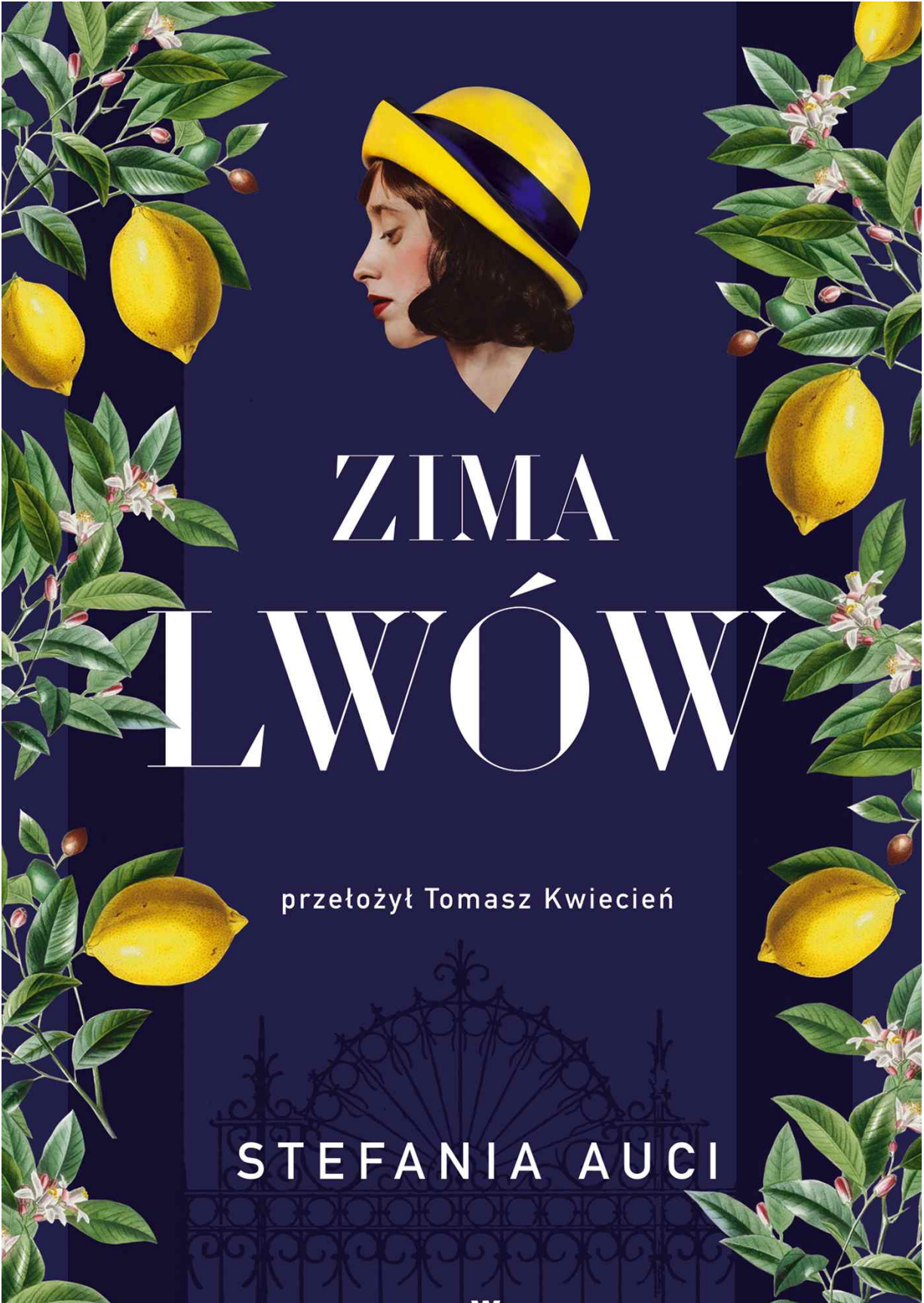
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN: 978-83-8318-416-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o.)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o.)

**virtualo**



ZIMA

W LWÓW

przełożył Tomasz Kwiecień

STEFANIA AUCI

